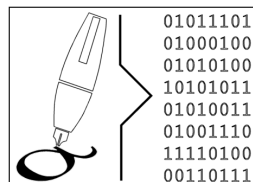


DAVID EDDINGS

DIAMENTOWY TRON

Księga pierwsza dziejów Elenium

Przełożyła: Maria Duch



Tytuł oryginału:

The Diamond Throne

Data wydania polskiego: 1993 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1989 r.

PROLOG

O Ghwerigu i Bhelliomie z mitologii bogów trolli

Bardzo dawno temu, gdy tylko czas rozpoczął swój bieg, na długo przedtem, zanim niezdarci, odziani w skóry i uzbrojeni w maczugi przodkowie Styrików wyszli z gór i lasów Zemochu na równiny centralnej Eosii, w głębokiej grocie ukrytej pod wiecznymi śniegami północnej Thalesii mieszkał karłowaty, pokraczny troll o imieniu Ghwerig. Z powodu swojej brzydoty i przeogromnej chciwości był wyrzutkiem; żył i pracował samotnie, poszukując w głębi ziemi złota i drogich kamieni, które mógłby dodać do swojego skarbca strzeżonego zazdrośnie. Aż w końcu nadszedł dzień, kiedy dokopał się do sztolni leżącej głęboko pod zamarzną powierzchnią ziemi i w migotliwym świetle pochodni ujrzał osadzony w ścianie ciemnoniebieski, drogocenny kamień, większy niżli pięść. Pokraczny Ghwerig począł drzeć z emocji; przykucnął i napawał się wspaniałością klejnotu. Wiedział, że jest on więcej wart od całej, gromadzonej przez stulecia, zawartości jego skarbca. Potem z wielką ostrożnością zaczął kawałek po kawałku odłupywać skałę, aby wydobyć kamień z miejsca, w którym spoczywał od początków świata. A w miarę jak szafir wyłaniał się ze skały, coraz wyraźniej był widoczny jego szczególny kształt i trollowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Jeżeli udałoby mu się wydobyć drogocenne znalezisko w nie naruszonym stanie, to — ostrożnie szlifując i polerując — uwydatni jego kształt i tym samym tysiącrotnie zwiększy jego wartość.

W końcu Ghwerig delikatnie uwolnił klejnot ze skalnego pokładu i zaniósł do grotu, która była zarazem warsztatem pracy i skarbcem trolla. Bez wahania roztrzaskał jeden ze swoich bezcennych diamentów, a z jego fragmentów sporządził narzędzia do rzeźbienia i szlifowania znalezionej kamienia.

Przez dziesięciolecia Ghwerig cierpliwie rzeźbił i szlifował przy świetle dymiących pochodni. Przez cały czas mruczał kłątwy i zaklęcia, które napełniały bezcenny klejnot dobrą i złą mocą bogów trolli. Po oszlifowaniu kamień miał kształt ciemnoszafirowej róży. Ghwerig obdarzył go imieniem Bhelliom — Kamień-Kwiat — i uwierzył, że dzięki niemu będzie odtąd wszechmocny.

Jednakże chociaż w Bhelliomie zawarta była cała potęga bogów trolli, nie

przekazał on swojej mocy pokracznemu, paskudnemu karłowi. Ghwerig z wściekłości walił pięściami w kamienną podłogę groty. W końcu postanowił zasięgnąć rady swoich bogów i złożył im w ofierze kute złoto i błyszczące srebro. Bogowie wyjawili mu, że potęga Bhelliomu może zostać uwolniona jedynie za pomocą specjalnego klucza, który zagwarantuje, że nie zostanie przypadkowo wyzwolona przez kaprys jakiejś przypadkowej osoby. Potem bogowie trolli powiedzieli Ghwerigowi, co musi uczynić, by pozyskać władzę nad klejnotem, któremu nadał szlif i moc. Zgodnie z tymi instrukcjami troll wykonał dwa pierścienie, wykorzystując odpryski szafiru, które nie zauważone spadły w pył u jego stóp podczas rzeźbienia drogocennej róży. Pierścienie wykuł z najlepszego złota, a w każdy wprawił wypolerowany, owalny fragment Bhelliomu. Ghwerig nałożył pierścienie na palce obu dłoni i podniósł szafirową różę. Głęboki, świetlisty błękit kamieni wprawionych w pierścienie spłynął na Bhelliom. Klejnoty, ozdabiające powykręcane dłonie trolla, stały się jasne niczym diamenty. Ghwerig poczuł pulsowanie mocy Kamienia-Kwiatu i uradował się, że oszlifowany przez niego szafir poddał się jego woli i gotów był, by mu służyć.

Przez niezliczone stulecia Ghwerig dokonywał wielkich cudów dzięki potędze Bhelliomu. I nadszedł czas, kiedy do krainy trollów przybyli Styrycy. Na wieść o istnieniu Kamienia-Kwiatu serca Starszych Bogów Styricum napełniły się żądzą zawładnięcia jego mocą. Jednakże Ghwerig był przebiegły i, aby udaremnić próby odebrania mu Bhelliomu, opieczętował wejście do swej groty zaklęciami.

Z czasem Młodszych Bogów Styricum zaniepokoiła władza, jaką mógł zdobyć ten z bogów, który posiadał Bhelliom. Po naradzie uznali, że nie można pozwolić, aby tak wielka potęga została kiedykolwiek uwolniona z głębi ziemi. Postanowili więc pozbawić kamień mocy. Do tego zadania wybrali spośród siebie zwinną boginię Aphrael. Aphrael udała się na północ, a że była drobnej postaci, udało jej się prześliznąć przez szparę tak malutką, że Ghwerig przeoczył ją rzucając czary. Aphrael, gdy tylko znalazła się w grocie, zaczęła śpiewać, a głos miała słodki. Oczarowanego pieśnią Ghweriga nie zaniepokoiła obecność bogini. Potem Aphrael uspiła go. A kiedy marzycielsko uśmiechnięty troll zamknął ślepia, zdjęła z jego prawej dłoni pierścień i zastąpiła go innym, ze zwykłym diamentem. Ghwerig ocknął się czując szarpnięcie i spojrzął na swą dłoń. Zobaczył na palcu pierścień, poprawił go i uspokoił się, z rozkoszą słuchając śpiewu bogini. Ponownie pogrążył się w słodkich marzeniach, jego powieki opadły, a wtedy sprytna Aphrael ściągnęła mu pierścień z lewej dłoni i zastąpiła go innym, też ze zwykłym diamentem. Ghwerig znowu zerwał się na równe nogi i z przestraszeniem spojrzął na lewą dłoń, ale uspokoił go widok pierścienia, wyglądającego dokładnie tak samo, jak jeden z tych, które wykonał z okruchów Kamienia-Kwiatu. Aphrael śpiewała długo, aż troll zapadł w głęboki sen. Wtedy bogini stąpając bezgłośnie wykradła się z pieczary, unosząc z sobą pierścienie będące kluczem do potęgi Bhelliomu.

I zdarzyło się, że Ghwerig wyjął Bhelliom z kryształowej szkatuły, by dzięki jego siłom spełnić swoje marzenie, ale klejnot nie poddawał się jego woli, gdyż troll nie posiadał już kluczy do jego mocy. Wściekłość Ghweriga była bezgraniczna. W poszukiwaniu Aphrael i swoich pierścieni po wielekroć przemierzał całą krainę wzdłuż i wszerz, lecz chociaż szukał przez całe stulecia, nie odnalazł bogini.

Mijały wieki. Styrycy wciąż władali górami i równinami Eosii. Aż nadszedł czas, gdy przybyli na te ziemie Eleni. Przez setki lat wędrowali tam i z powrotem po całej krainie, w końcu niektórzy z nich dotarli na daleką północ Thalesii i wypędzili stamtąd Styryków razem z ich bogami. A gdy Eleni dowiedzieli się o Ghwerigu i jego Bhelliomie, poczęli przeszukiwać wzgórza i doliny Thalesii w nadziei odnalezienia wejścia do grotty trolla. Wszystkich ogarnęła żądza zdobycia słynnego klejnotu. Czyhali na jego wartość, albowiem nikt nie wiedział o mocy zamkniętej w lazurowych płatkach.

Z tym trudnym zadaniem uporał się Adian z Thalesii, największy i najsilniejszy z herosów starożytności. Postanowił narazić własną duszę zasięgając rady bogów trolli. Tak długo składał im ofiary, aż ich przebłagał. Wyjawili mu, że Ghwerig wyruszył do odległej krainy na poszukiwanie bogini Aphrael ze Styricum, która ukradła mu parę pierścieni; nie wspomnieli mu jednak nic o ich prawdziwym znaczeniu. Adian udał się na daleką Północ i tam przez sześć lat, każdego dnia o zmierzchu, oczekiwał na nadejście Ghweriga.

Wreszcie pewnego zmierzchu po sześciu latach karłowaty troll wrócił. Adian w przebraniu podszedł do niego i powiedział, że wie, gdzie można znaleźć boginię Aphrael, oraz że za hełm pełen najlepszego złota gotów jest wyjawić mu miejsce jej pobytu. Ghwerig dał się zwieść i poprowadził Adiana do ukrytego wejścia swej pieczary. Udał się do skarbcza i napełnił hełm herosa po brzegi złotym kruszczem. Po wyjściu z grotty ponownie opieczętował zakłęciami jej wejście. Adian odebrał złoto i znowu oszukał trolla mówiąc, że Aphrael znajduje się w krainie zwanej Horset, na zachodnim brzegu Thalesii. Ghwerig pośpieszył do Horsetu w poszukiwaniu bogini, a Adian raz jeszcze naraził swoją duszę błagając bogów trolli, by złamali zakłęcia Ghweriga i otworzyli mu wejście do grotty. Kapryśni bogowie trolli zgodzili się i zakłęcia zostały złamane.

W różowym świetle poranka, gdy lodowe pola północy skrzyły się purpurowo, wyszedł z pieczary Adian z Bhelliomem w dłoni. Pośpieszył do stolicy swego królestwa zwanej Emsat i kazał wykuć dla siebie koronę, którą ozdobił wykradzionym trollowi klejnotem.

Udręka Ghweriga nie miała granic, gdy wrócił z niczym do swej grotty i przekonał się, że nie tylko utracił klucze do wyzwolenia potęgi Bhelliomu, lecz również i sam Klejnot-Kwiat. Od tamtej pory wraz z zapadnięciem ciemności myszkował po polach i lasach wokół Emsatu, próbując odzyskać swój skarb, ale potomkowie Adiana bacznie strzegli szafiru i troll nie mógł nawet nacieszyć nim

oczu.

I nadszedł czas, gdy Azash, Starszy Bóg Styricum, od dawna kryjący w sercu żądzę posiadania Bhelliomu i pierścieni wyzwalających jego moc, wysłał hordy swoich wyznawców z Zemochu chcąc zagarnąć klejnoty siłą. Królowie Zachodu wspomagani przez Rycerzy Kościoła chwycili za broń, by stawić czoło armii Othy z Zemochu i jego okrutnemu styrickiemu bogowi, Azashowi. Król Sarak z Thalesii wraz z kilkoma wasalami pożeglował na południe od Emsatu, rozkazując, aby pozostali hrabiowie podążyli za nim, gdy tylko zbiorą wojska. Tak się jednakże zdarzyło, że król Sarak nigdy nie dotarł na pola wielkiej bitwy na równinie Lamorkandii. Padł od ciosu włóczy zemoskiej podczas krwawej potyczki nad brzegami jeziora Venne w Pelosii. Jego wierny wasal, choć sam śmiertelnie ranny, podniósł królewską koronę i przebił się do bagnistego, wschodniego brzegu jeziora. Tam, umierający, uciekając przed pogonią, wrzucił koronę Thalesii w mroczne głębie wód torfowego jeziora. Ghwerig, który cały czas podążał za utraconym skarbem, ukryty na kępie przyglądał się temu z przerażeniem.

Zemosi, którzy zabili króla Saraka, niezwłocznie zaczęli badać brunatne głębiny w nadziei, że znajdą koronę i triumfalnie zanoszą ją Azashowi, lecz ich poszukiwania przerwało przybycie oddziału rycerzy Zakonu Alcjonu, śpieszących z Deiry na bitwę w Lamorkandii. Alcjonicy natarli na Zemochów i wycięli ich w pień. Wiernego wasala króla Thalesii pochowali z honorami i odjechali nieświadomi, że legendarna korona Thalesii spoczywa w mętnych wodach jeziora Venne. W Pelosii krążą opowieści, że w bezksiężycowe noce można ujrzeć widmową postać nieśmiertelnego trolla, snującego się po bagnistych brzegach Venne. Z powodu swoich powykrzywianych członków Ghwerig nie waży się sam szukać w ciemnych głębinach jeziora, pełza jedynie po otaczających je moczarach to płacząc z tęsknoty za Bhelliomem, to wyjąc z wściekłości, iż bezpowrotnie go utracił.

CZEŚĆ I

Cimmura

Rozdział 1

Padało. Delikatna srebrzysta mżawka sączyła się z nocnego nieba na kamienne wieże Cimmury. Kropelki deszczu syczały w płomieniach pochodni po obu stronach szerokiej bramy, a kamienie na drodze wiodącej do miasta lśniły czarno. Do Cimmury zbliżał się samotny jeździec. Był otulony ciemnym, obszernym płaszczem podróżnym i dosiadał rosnącego srokacza o zmierzwionej sierści, długim pysku i bezdusznych, złośliwych oczach. Podróżny był postawnym mężczyzną, raczej grubokościstym i żyłastym niż tęgim. Miał czarne gęste włosy, a na jego nosie widać było wyraźny ślad po dawnym złamaniu. Jechał spokojnie, ale z tą szczególną czujnością cechującą wytrawnych wojowników.

Zwał się Sparhawk. Czas obszedł się z nim łagodnie i nie tyle naznaczył jego ogorzałą od słońca i wiatru twarz, co ciało pokrył bliznami, z których kilka, głębokich i purpurowych, doskwierało mu przy dżdżystej pogodzie. Zazwyczaj sprawiał wrażenie przynajmniej o dziesięć lat młodszego, niż był w istocie, tego wieczoru jednak czuł ciężar swego wieku i marzył tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w ciepłym łóżu, w zajeździe, do którego zmierzał. Nareszcie — po dziesięciu latach życia pod przybranym imieniem w kraju, gdzie prawie nigdy nie padał deszcz, gdzie promienie słońca były niczym potężny młot o wyblakłe kowadło piasku, w kraju kamieni i stwardniałej gliny, gdzie ściany domów były grube i białe, by chronić przed palącym słońcem, a pełne wdzięku kobiety o zasłoniętych twarzach zdążyły do studni w srebrnym świetle poranka, dźwigając na ramionach ogromne gliniane naczynia — po dziesięciu latach wygnania Sparhawk wracał do domu.

Srokacz niedbale strząsnął kropelki deszczu ze zmierzwionej sierści i zbliżył się do bram miasta. Zatrzymał się w czerwonym kręgu światła pochodni przed strażnicą.

Wyszedł z niej chwiejnym krokiem nie ogolony strażnik w napierśniku i hełmie pokrytych plamami rdzy, w połatanym zielonym płaszczu niedbale przewieszonym przez jedno ramię i stanął chwiejnie na drodze Sparhawk.

— Muszę znać twoje imię, panie — odezwał się niezbyt wyraźnie przepitym głosem.

Sparhawk spojrział na niego przeciągle, a potem rozchylił płaszcz, by pokazać ciężki srebrny amulet zwisający na łańcuchu z jego szyi.

Na wpół pijany strażnik otworzył szeroko oczy i cofnął się o krok.

— Och, przepraszam, dostojny panie — powiedział. — Droga wolna, proszę jechać.

Ze strażnicy wytknął głowę inny wartownik.

— Kto to jest, Raf? — zapytał.

— Rycerz Zakonu Pandionu — odpowiedział nerwowo pierwszy strażnik.

— A czego szuka w Cimmurze?

— Nie zadaje się takich pytań pandionitom, Brał. — Wartownik o imieniu Raf uśmiechnął się służalczo do Sparhawk. — On jest tu nowy — powiedział przepraszająco, wskazując kciukiem do tyłu na swego towarzysza. — Z czasem się nauczy, dostojny panie. Czy możemy być w czymś pomocni?

— Nie — odrzekł Sparhawk — ale dziękuję za dobre chęci. Lepiej schowaj się przed deszczem, ziomku, bo jeszcze się przeziębisz. — Podał strażnikowi w zielonym płaszczu drobną monetę i wjechał do miasta. Rosły srokacz wolno kroczył wąską, brukowaną uliczką. Od ścian domów odbijało się echo stalowych podków dzwoniących o kamienie.

Przy bramie znajdowała się dzielnica biedoty. Nędzne, rozpadające się domy przycupnęły ciasno jeden obok drugiego, ich górne piętra pochylały się nad mokrą, zaśmieconą ulicą. Zniszczone szyldy, kołysane nocnym wiatrem, skrzypiały na zardzewiałych hakach, obwieszczając, jaki sklep znajduje się na parterze za szczelnie zamkniętymi okiennicami. Mokry, żałośnie wyglądający kundel przemykał chyłkiem z podkulonym ogonem. Poza tym ulica była pusta i ciemna.

Na skrzyżowaniu migotliwie płonęła pochodnia. Pod nią, niczym błada zjawa, stała z nadzieją w oczach młoda, schorowana i wychudzona ladacznica, otulona zniszczoną niebieską opończą.

— Czy miałbyś ochotę, panie, miło spędzić czas? — zaskomlała. Patrzyła nieśmiało szeroko otwartymi oczyma, a z jej mizernej twarzy wyzierał głód.

Jeździec zatrzymał się, pochylił w siodle i wsypał do jej brudnej dłoni kilka drobnych monet.

— Idź do domu, siostrzyczko — powiedział łagodnie. — Późno już i dżdżysto, dzisiejszej nocy nie będziesz miała klientów. — Wyprostował się i odjechał, odprowadzany wdzięcznym wzrokiem dziewczyny. Skręcił w wąską, spowitą mrokiem uliczkę. Z wilgotnej ciemności, gdzieś z głębi zaułka, dobiegł go odgłos czyichś pośpiesznych kroków. Z mrocznego cienia dotarł do jego uszu szept, szybka wymiana zdań. Srokacz parsknął i położył uszy po sobie.

— Nie denerwuj się — rzekł Sparhawk. Jego głos, cichy i łagodny, zmuszał jednak do posłuszeństwa. Potem już głośniejszym głosem zwrócił się do pary zaczajonych w mroku rzezimieszków: — Służyłbym wam z ochotą, ziomkowie, ale jest późno i nie mam nastroju do przygodnych rozrywek. Lepiej zrobicie ograbiając jakiegoś

młodego, pijanego szlachcica. W ten sposób pozostaniecie przy życiu i będziecie mogli jutro też kraść. — Odrzucił do tyłu wilgotny płaszcz odstawiając oprawną w skórę rękojeść prostego, szerokiego miecza, zawieszzonego u pasa.

W ciemnej uliczce zapadła pełna napięcia cisza, a potem rozległ się szybki tupot. Nocni złodzieje uciekli.

Rosły srokacz parsknął kpiąco.

— Też tak uważam — zgodził się Sparhawk, otulając się z powrotem płaszczem. — Ruszamy dalej?

Wjechali na duży, oświetlony pochodniami plac. Większość jaskrawokolorowych płóciennych bud była zamknięta. W ten późny deszczowy wieczór jedynie kilku nie tracących nadziei zapaleńców piskliwymi okrzykami nadal zachwalało swoje towary śpieszącym do domów przechodniom. Sparhawk ściągnął wodze. Z odrapanych drzwi oberży wytoczyła się grupa hałaśliwych, młodych szlachciców. Krzycząc po pijacku i zataczając się ruszyli przez plac. Rycerz czekał spokojnie, aż zniknęli w bocznej uliczce, po czym rozejrzał się czujnie dookoła.

Plac był prawie pusty i dzięki temu wprawne oko Sparhawka od razu wyłowiło z mroku Kragera, niechlujnego osobnika średniego wzrostu, ubranego w zabłoczone buty i brunatną, niedbale zebraną przy szyi pelerynę. Szedł powłócząc nogami, mokre włosy oblepiały jego wąską czaszkę. Mrużąc krótkowzroczne, wodniste oczy wpatrywał się uważnie w dżdżysty mrok. Sparhawk wstrzymał oddech. Mięło prawie dziesięć lat, nie widział tego łachmyty od owej pamiętnej nocy w Ciprii. Krager wyraźnie się postarzał. Brzuch mu się znacznie zaokrąglił, twarz poszarzała, ale nie ulegało wątpliwości, że to był on.

Ponieważ szybkie ruchy przyciągają wzrok, Sparhawk nie zareagował gwałtownie. Wolno zsunął się z siodła i poprowadził rumaka do pokrytego zielonym płótnem straganu. Przez cały czas trzymał zwierzę między sobą a krótkowzrocznym mężczyzną w brunatnej pelerynie.

— Dobry wieczór, ziomku — rzekł spokojnie do sprzedawcy w brązowym przyodziewku. — Muszę coś załatwić. Dobrze zapłacę za popilnowanie mojego konia.

Oczy nie ogolonego straganiarza nagle się ożywiły.

— Wybij to sobie z głowy — ostrzegł go Sparhawk. — Choćbyś nie wiem co robił, ten koń nie pójdzie za tobą, ale ja pójdę i możesz mi wierzyć — wcale nie będziesz tym zachwycony. Zadowol się tedy zapłatą i nie próbuj kraść.

Straganiarz spojrzął na posępne oblicze postawnego rycerza, przełknął głośno ślinę i pochylił się w ukłonie.

— Wedle rozkazu, dostojny panie — zgodził się pośpiesznie. — Przysięgam, że pański szlachetny wierzchowiec będzie przy mnie bezpieczny.

— Szlachetny... co?

— Szlachetny wierzchowiec — twój koń, panie.

— Och, rozumiem. Będę wdzięczny.

— Czy życzysz sobie czegoś jeszcze, dostojny panie?

Sparhawk rzucił okiem prze plac na plecy Kragera.

— Masz może przypadkiem trochę drutu? — zapytał. — Mniej więcej długości trzech łokci.

— Chyba mam, dostojny panie. Beczki ze śledziami obwiązane są drutem. Zaraz sprawdzę.

Sparhawk oparł skrzyżowane dłonie na siodle, obserwując Kragera sponad końskiego grzbietu. Minione lata, pałace słońce i kobiety zmierzające do studni wczesnym porankiem w promieniach słońca odplynęły w niepamięć i nagle znalazł się znów w zagrodach pod Cipprią, śmierdzący gnojem i krwią, przepełniony strachem i nienawiścią. Poranione ciało odmawiało mu posłuszeństwa, a tymczasem jego prześladowcy z mieczami w dłoniach nie rezygnowali z pościgu.

Odpędził od siebie wspomnienia i skupił uwagę na tym, co działo się dookoła. Miał nadzieję, że straganiarzowi uda się znaleźć trochę drutu. Drut jest dobry. Nie robi hałasu i zamieszania, a w dodatku, jeśli się ma trochę czasu, można sprawić, by wyglądało to na dzieło Styrika lub Pelozyczyka. Sam Krager nie był ważny. Nigdy nie stał się niczym więcej, jak tylko nędznym dodatkiem do Martela, jego parą dodatkowych rąk. Podobnie drugi z nich, Adus, nigdy nie stał się niczym więcej jak tylko narzędziem zbrodni. Liczyło się to, czym śmierć Kragera byłaby dla Martela — tak naprawdę jedynie to miało znaczenie.

— To najlepszy, jaki mogłem znaleźć, dostojny panie — odezwał się z szacunkiem sklepikarz w zatłuszczonym fartuchu, wychodząc ze straganu z kawałkiem zardzewiałego, miękkiego drutu. — Przykro mi. To niewiele.

— Jest akurat taki, jak trzeba — rzekł Sparhawk biorąc drut. Okręcił go wokół dłoni i naciągnął. — Prawdę mówiąc jest doskonały — ocenił, po czym odwrócił się do konia. — Faran, zostań tu — rozkazał.

Koń wyszczerzył do niego zęby. Sparhawk roześmiał się cicho i ruszył przez plac, trzymając się w pewnej odległości od Kragera. Jeżeli ten krótkowzroczny mężczyzna zostanie znaleziony w jakiejś mrocznej bramie z ciałem wygiętym w łuk, z drutem okręconym dookoła szyi i kostek, z wybałuszonymi oczyma w szerniałej twarzy lub z głową w rynsztoku jakiegoś podejrzanego zaułka — może wyprowadzi to Martela z równowagi, zaboli, a nawet przestraszy. Najważniejsze jednak, że wtedy Martel może wyjść z ukrycia. Na to Sparhawk czekał od lat. Ostrożnie skradał się za swą zwierzyną, a dłońmi ukrytymi pod płaszczem rozplątywał drut.

Jego zmysły się wyostrzyły. Wyraźnie słyszał skwierczenie pochodni oświetlających plac i widział pomarańczowe refleksy w kałużach wody pomiędzy brukowcami. Te refleksy dziwnie urzekły go swoim pięknem. Sparhawk czuł się dobrze, możliwe, że najlepiej od dziesięciu lat.

— Mości rycerzu! Pan Sparhawk? Czy możliwe, abyś to był ty, dostojny panie?

Sparhawk wzdrygnął się i klnąc w duchu szybko odwrócił głowę. Człowiek, który go zagadnął, miał długie, elegancko ufryzowane, jasne loki. Ubrany był w szafranowy obcisły kubrak, lawendowe nogawice i soczyście zielony płaszcz. Policzki miał uróżowione, a na nogach mokre brązowe ciżmy o ostrych noskach. Mały, nieużyteczny miecz u boku oraz kapelusz z szerokim rondem i ociekającym wodą piórem pozwalały rozpoznać w nim dworzanina, jednego z tych pasożytów, obiboków, którzy niczym plaga robactwa zapelniali pałac.

— Co robisz tu, w Cimmurze, panie? — zapytał fircyk wysokim, niemal kobiecym głosem. — Wszak zostałeś skazany na banicję.

Sparhawk zerknął szybko na swą niedoszłą ofiarę. Krager zbliżał się do wylotu ulicy i za chwilę zniknie mu pewnie z oczu. Wciąż jednak była szansa. Gdyby jednym szybkim, mocnym ciosem uciszył tego wystrojonego lalusia, mógłby jeszcze dopaść Kragera. Wtem na plac weszli nocni strażnicy w towarzystwie handlarza drewnem. Sparhawk skrzywił się głęboko rozczarowany. Teraz nie było mowy o tym, by pozbyć się stojącego na drodze fanfarona, nie zwracając uwagi wartowników. Skierował na wyperfumowanego paniczyka swoje zimne, gniewne spojrzenie.

Dworzanin cofnął się i zerknął nerwowo w kierunku strażników idących wzdłuż straganów, sprawdzających umocowania spuszczonego zasłon.

— Nalegam, abys powiedział mi, po co tu wróciłeś, panie! — Fircyk czynił wysiłki, by brzmiało to stanowczo.

— Nalegasz? Ty? — Głos Sparhawk'a był przepełniony wzgardą.

Dworak ponownie zerknął na wartowników, jakby szukał u nich wsparcia, i nagle wyprostował się butnie.

— Aresztuję pana, Sparhawk'u. Domagam się, byś złożył stosowne wyjaśnienia. — Wyciągnął rękę i złapał rycerza za ramię.

— Nie dotykaj mnie — wycedził Sparhawk odtrącając jego dłoń.

— Uderzyłeś mnie! — dworzanin krzyknął z bólu. Sparhawk chwycił go za ramię i przyciągnął do siebie.

— Jeśli kiedykolwiek jeszcze mnie dotkniesz, to wypruję z ciebie flaki. A teraz zejdz mi z drogi.

— Zawołam strażę! — Fircyk wyraźnie się przeląkł.

— A jak sądzisz, ile ci zostanie życia, jeżeli to uczynisz?

— Nie zastraszysz mnie, dostojny panie. Mam potężnych przyjaciół.

— Ale teraz ich tu nie ma, a ja jestem, prawda? — Sparhawk odepchnął go z odrazą i ruszył przez plac.

— Czasy waszej samowoli już się skończyły, pandionito! Teraz w Elenii przestrzega się praw! — wołał za nim piskliwie strojniś. — Pójdę prosto do barona Harparina. Powiem mu o tym, że wróciłeś do Cimmury, uderzyłeś mnie i wystraszyłeś!

— W porządku — odpowiedział Sparhawk nie odwracając się. — Zrób to. — Szedł dalej, zirytowany i rozczarowany tak bardzo, że musiał mocno zacisnąć szczęki, by nie stracić panowania nad sobą. Wtem przyszedł mu do głowy pomysł — dziecinny wprawdzie, ale w tej sytuacji wydawał się zupełnie na miejscu. Przystanął, wyciągnął przed siebie ramiona i zaczął mruczeć pod nosem styrickie słowa, kreśląc przy tym dłońmi w powietrzu jakieś zawiłe wzory. Zawahał się trochę, szukając w pamięci słowa odpowiadającego karbunkułowi. Zrezygnował, zastąpił ten wyraz słowem „czyrak” i dokończył wymawianie zaklęcia. Spojrzał przez ramię na swojego prześladowcę i uwolnił zaklęcie. Potem odwrócił się i poszedł dalej przez plac, uśmiechając się z lekka do siebie. Doprawdy, była to czysta złośliwość, ale taki właśnie był czasami Sparhawk.

Wręczył straganiarzowi monetę za opiekę nad Faranem, wskoczył na siodło i odjechał w mglistą mżawkę spowijającą plac — potężny mężczyzna otulony w płaszcz ze zgrzebnej wełny, dosiadający srokacza o paskudnym pysku.

Z dala od placu ulice były ciemne i puste, jedynie na skrzyżowaniach skwierczące i kopzące w deszczu pochodnie rzucały słabe, migotliwe, pomarańczowe światło. Uderzenia podków Farana niosły się głośnym echem po pustej uliczce. Nagle Sparhawk poprawił się nieznacznie w siodle. Na karku i plecach poczuł delikatne mrowienie. Rozpoznał je natychmiast. Ktoś go obserwował i nie był to przyjaciel. Sparhawk ponownie zmienił pozycję. Starał się, aby jego ruchy nie przywoływały na myśl niczego więcej poza zwykłym kiwaniem się w siodle zmęczonego podróżnika. Jednocześnie ukrytą pod płaszczem prawicą odszukał rękojeść miecza. Nieprzyjemne mrowienie przybierało na sile, aż wreszcie przy następnym skrzyżowaniu w cieniu za migoczącą pochodnią dostrzegł odzianą w burą szatę, zakapturzoną postać. Była prawie niewidoczna w mroku i spowijającej wszystko mżawce.

Srokacz zaczął stąpać sztywno. Zastrzygł uszami.

— Widzę go, Faranie — odpowiedział bardzo cicho Sparhawk.

Podążali dalej brukowaną uliczką. Minęli pomarańczową plamę światła pochodni i znów otoczył ich mrok. Oczy Sparhawka Przyzwyczyły się do ciemności, ale zakapturzona postać zdążyła już ukryć się w którymś z zaułków lub za jednymi z wielu wąskich drzwi. Poczucie, że jest obserwowany, zniknęło i ulica nie sprawiała już wrażenia niebezpiecznej. Podkowy Farana dzwoniły o mokry bruk.

Zajazd, do którego zmierzał Sparhawk, znajdował się przy nie rzucającej się w oczy bocznej uliczce. Frontowe podwórze dzieliło od ulicy solidne ogrodzenie z dębowych bali. Ściany budynku były zadziwiająco wysokie i mocne. Pojedyncza, dymiąca latarnia płonęła obok mokrego drewnianego szyldu, który żałośnie skrzypiał kołyszac się pod uderzeniami niesionego nocnym wiatrem deszczu. Sparhawk podjechał blisko bramy i kilkakrotnie kopnął w poczerwiałe od deszczu belki. Butem, przy którym cicho dzwoniła ostroga, wystukał pewien wyraźny

rytm.

Czekał.

Wtem brama zaskrzypiała i z jej cienia wyrzwał odźwierny w czarnym kapturze. Skinął szybko głową i otworzył szerzej bramę, by wpuścić Sparhawk. Potężny rycerz wjechał na mokre od deszczu podwórze i powoli zsiadł z konia. Furtian zamknął i zaryglował bramę, po czym ściągnął kaptur odsłaniając stalowy hełm i ukłonił się nisko.

— Witaj, dostojny panie — pozdrowił Sparhawk z szacunkiem.

— Już noc, za późno na ceremoniał, mości rycerzu — odpowiedział Sparhawk lekko się skłaniając.

— Przestrzeganie form jest podstawą dobrego wychowania, panie Sparhawku — rzekł ironicznie odźwierny. — Staram się to praktykować, gdy tylko mam po temu okazję.

— Mnie to nie przeszkadza. — Sparhawk wzruszył ramionami. — Zajmiesz się moim koniem?

— Oczywiście. Jest tu pański giermek, Kurik.

Sparhawk skinął głową. Odpiął od siodła dwie ciężkie skórzane sakwy.

— Zaniosę to na górę, dostojny panie — zaofiarował się odźwierny.

— Nie trzeba. Gdzie jest Kurik?

— Pierwsze drzwi u szczytu schodów. Czy życzysz sobie kolację, dostojny panie?

Sparhawk potrząsnął przecząco głową.

— Potrzebuję tylko kąpieli i ciepłego łóża — rzekł, po czym zwrócił się do konia, który drzemał z tylną nogą wspartą na czubku kopyta. — Farn, obudź się.

Zwierzę otworzyło oczy i rzuciło mu bezduszne, nieprzyjazne spojrzenie.

— Pójdiesz z tym rycerzem — powiedział zdecydowanie Sparhawk. — Nie próbuj go gryźć, kopać czy przypierać zadem do ściany stajni, nie deptaj mu także po nogach.

Srokacz położył uszy po sobie i skinął łbem.

Sparhawk zaśmiał się.

— Daj mu kilka marchewek — poradził furtianowi.

— Jak wytrzymujesz z tą kapryśną, brutalną bestią, dostojny panie?

— Obaj pasujemy do siebie — odparł Sparhawk. — Dobrze się spisaliś, Farnie — rzekł do srokacza. — Dziękuję, śpij dobrze.

Koń odwrócił się do niego zadem.

— Miej oczy otwarte, mości rycerzu — przestrzegł Sparhawk odźwiernego. — Ktoś mnie śledził, gdy tu jechałem, i mam przeczucie, że kryło się za tym coś więcej niż tylko czcza ciekawość.

Twarz furtiana spoważniała.

— Zwróć na to uwagę, dostojny panie — powiedział.

Sparhawk ruszył przez połyskujące mokrymi kamieniami podwórko w kierunku schodów wiodących do zadaszanej galerii na piętrze.

Zajazd, z wyglądu podobny do wielu innych, był dobrze strzeżonym sekretnym miejscem, o którym w Cimmurze wiedziało jedynie niewielu. Należał do Zakonu Rycerzy Pandionu. Zapewniał bezpieczną kryjówkę tym z nich, którzy z różnych powodów nie chcieli być widziani w siedzibie zakonu, zamku znajdującym się na wschodnim krańcu miasta.

U szczytu schodów Sparhawk przystanął i lekko zastukał końcami palców do drzwi. Po chwili otworzył mu krzepki mężczyzna o stalowosiwych włosach i krótko przystrzyżonej brodzie. Ubrany był w nogawice i buty z czarnej skóry oraz długi kaftan z tego samego materiału, u jego pasa zwisał ciężki sztylet, nadgarstki obciskały mu stalowe opaski. Muskularne ramiona i barki miał nagie. Nie był przystojny. Oczy lśniły mu zimno jak agaty.

— Spóźniłeś się — powiedział bezbarwnym głosem.

— Musiałem przystawać trochę po drodze — odparł lakonicznie Sparhawk wchodząc do ciepłej, oświetlonej świecami izby. Siwowłosa mężczyzna zamknął za nim drzwi i zasunął z hałasem rygiel. — Jak leci, Kuriku? — Sparhawk powitał nie widzianego od dziesięciu lat giermka.

— Znośnie. Zdejmij ten mokry płaszcz.

Sparhawk wyszczerzył zęby w uśmiechu, upuścił na podłogę sakwy podróżne i odpiął zapinkę ociekającego wodą, wełnianego płaszcza.

— A co u Aslade i chłopców?

— Rosną — mruknął Kurik biorąc płaszcz. — Synowie robią się coraz wyżsi, a Aslade coraz grubsza. Wiejskie życie jej służy.

— Przecież ty lubisz pulchne białogłowy — przypomniał mu Sparhawk. — Dlatego się z nią ożeniłeś.

Giermek chrząknął spoglądając krytycznie na wychudzoną postać swego pana.

— Nie dojadłeś, Sparhawk — powiedział z wyrzutem w głosie.

— Nie matkuj mi. — Sparhawk opadł na ciężkie dębowe krzesło. Rozejrzał się dookoła. Izba miała kamienną posadzkę i kamienne ściany. Niski pułap wspierał się na solidnych czarnych belkach. Na kominku zasklepionym w półkolisty łuk płonął ogień, napełniając izbę grą blasków i cieni. Na stole znajdowały się dwie zapalone świece, a pod ścianami stały dwa wąskie łoża. Jednakże wzrok Sparhawka powędrował najpierw w kierunku solidnego haka sterczącego przy jedynym przesłoniętym niebieską zasłonką oknie. Wisiała tam pełna zbroja lśniąca czernią. Obok oparta o ścianę leżała duża czarna tarcza ze srebrnym herbem jego rodziny — jastrzębiem z rozłożonymi skrzydłami, trzymającym w szponach włócznię. Za tarczą stał schowany w pochwie masywny miecz ze srebrną rękojeścią.

— Zapomniałeś naoliwić zbroję przed odjazdem — rzekł z wyrzutem Kurik. — Cały tydzień czyściłem ją z rdzy. Podaj mi nogę. — Jeden po drugim ścia-

gnął mu wysokie buty do konnej jazdy. — Dlaczego ty zawsze musisz chodzić po błocie? — mruzczał otrzepując buty przed kominkiem. — W izbie obok przygotowałem ci kąpiel — powiedział po chwili. — Rozbierz się. I tak chciałem obejrzeć te twoje rany.

Znużony Sparhawk westchnął i podniósł się. Giermek delikatnie pomógł mu zdjąć ubranie.

— Jesteś cały mokry — zauważył Kurik, dotykając szorstką dłonią lepkich pleców swego pana.

— Takie rzeczy przydarzają się ludziom, kiedy pada deszcz.

— Czy ty w ogóle radziłeś się chirurga, gdy dostałeś tę ranę? — Giermek lekko przeciągnął palcami po długiej purpurowej bliznie na prawym barku Sparhawk.

— Jakiś medyk rzucił na nią okiem. Nie było pod ręką chirurga, więc pozwoliłem, by się sama wygoiła.

— To widać. — Kurik pokiwał głową. — Wykap się, a ja przyniosę ci coś do zjedzenia.

— Nie jestem głodny.

— To niedobrze. Wyglądasz jak szkielet. Teraz, gdy już wróciłeś, nie pozwolę, byś kręcił się tu w takim stanie.

— Kuriku, dlaczego mnie dręczysz?

— Bo jestem zły. Wystraszyłeś mnie na śmierć. Zniknąłeś na dziesięć lat, wieści docierały bardzo rzadko, a wszystkie były złe. — W tym momencie spojrzenie giermka zmiękło i zamknął Sparhawk w uścisku, który innego mężczyznę powaliłby na kolana. — Witaj w domu, dostojny panie — powiedział przytłumionym głosem.

Sparhawk równie krzepko uściśnął przyjaciela.

— Dziękuję, Kuriku. — Jego głos też przepełniało wzruszenie. — Cieszę się, że wróciłem.

— W porządku. — Kurik ponownie przybrał surowy wyraz twarzy. — A teraz wykap się. Śmierdzisz. — Odwrócił się raptownie i ruszył do drzwi.

Sparhawk uśmiechnął się i przeszedł do sąsiedniej izby. Wszedł do drewnianej balii i z rozkoszą zanurzył się w parującej wodzie. Do niedawna jeszcze był innym człowiekiem — człowiekiem zwanym Mahkra. Żył pod przybranym imieniem tak długo, iż wiedział, że zwykła kąpiel nie zmyje z niego tej drugiej osobowości. Przyjemnie jednak było odpocząć i pozwolić gorącej wodzie oraz mydłu obmyć skórę z kurzu suchego, spalonego słońcem wybrzeża. Z dziwną obojętnością oglądał swe wychudzone, pokryte bliznami ciało i w zadumie wspominał życie, które wiódł jako Mahkra w mieście zwanym Jiroch, w Rendorze. Pamiętał mały, chłodny sklep, w którym Mahkra, zwykły mieszczanin, sprzedawał mosiężne dzbany, kandyzowane owoce i egzotyczne perfumy, a oślepiające promienie słońca odbijały się od grubych białych ścian domów po przeciwnej stronie ulicy. Pamiętał

nie kończące się rozmowy w małej winiarni na rogu, gdzie Mahkra godzinami pociągał kwaśne, żywiczne, rendorskie wino i mimochodem próbował zdobywać informacje, które potem przekazywał swojemu przyjacielowi, również rycerzowi Zakonu Pandionu, Vorenowi — dotyczyły one rosnącej w Rendorze popularności eshandistów, tajemnych kryjówek z bronią na pustyni i działalności agentów cesarza Zemochu, Othy. Pamiętał gorące, ciemne noce, duszne od zapachu perfum Lillias, kapryśnej kochanki Mahkry, i początek każdego dnia, kiedy wstawał i podchodził do okna, by przyglądać się kobietom idącym do studni w srebrnym świetle poranka. Westchnął. „A kimże teraz jesteś, Sparhawk?” — zapytał samego siebie. Z pewnością nie był już kupcem, handlującym mosiądzem, daktylami i perfumami. Czy był znowu rycerzem Zakonu Pandionu? A może magiem? Czy też Obrońcą Korony, Rycerzem Królowej? A może żadnym z nich? Być może jest tylko nie oszczędzonym przez czas, zmęczonym człowiekiem, który przeżył zbyt wiele lat, potyczek i ran.

— Czyżbyś chodził w Rendorze z gołą głową? — zapytał cierpko Kurik od drzwi. Krzepki giermek niósł szatę i szorstki ręcznik. — Kiedy człowiek zaczyna sam do siebie mówić, jest to nieomylny znak, że był za długo na słońcu.

— Zadumałem się tylko. Dziesięć lat mieszkałem daleko stąd i trochę potrwa, nim się przyzwyczaje.

— Może ci zbraknąć na to czasu. Czy ktoś rozpoznał cię po drodze? Sparhawk przypomniał sobie fircyka na placu i skinął głową.

— Jeden z lizusów Harparina widział mnie niedaleko zachodniej bramy.

— Teraz wszystko jasne. Masz stawić się jutro w pałacu albo Lycheas, szukając ciebie, rozbierze Cimmurę kamień po kamieniu.

— Lycheas?

— Księżę regent — bękart księżniczki Arissy i któregoś z pijanych żołnierzy lub zbiegłych spod szubienicy złodziejasków, którzy mieli okazję zażywać z nią rozkoszy.

Sparhawk usiadł gwałtownie. Spojrzał na giermka z powagą.

— Myślę, że lepiej będzie, gdy wytłumaczysz mi parę spraw — powiedział. — Ehlana jest królową. Po cóż więc w królestwie księżę regent?

— Gdzie ty się podziewałeś? Na księżycu? Ehlana zachorowała miesiąc temu.

— Żyje? — zapytał Sparhawk ze ściśniętym gardłem. Znowu poczuł nieznośny ból na wspomnienie rozstania z piękną, bladą dziewczynką o poważnych szarych oczach, której towarzyszył od jej najmłodszych lat i którą w pewien osobliwy sposób pokochał, choć liczyła zaledwie osiem wiosen, gdy król Aldreas zsyłał go do Rendoru.

— Żyje — odparł Kurik — nie umarła, ale tak jakby była martwa. — Rozłożył w rękach duży szorstki ręcznik. — Wychodź już z wody — polecił. — Opowiem ci o tym, kiedy będziesz jadł.

Sparhawk skinął głową i podniósł się. Kurik wytarł go szorując ostro rękami i pomógł odziać się w miękką szatę. Na stole w izbie obok czekała kolacja — półmisek z plasterkami parującego mięsa w gęstym sosie, połowa bochenka zwykłego czarnego chleba i trójkątny kawałek sera oraz dzbanek z zimnym mlekiem.

— Jedz — powiedział Kurik.

— Co się dzieje w tym kraju? — zapytał Sparhawk, gdy zasiadł do stołu. Ze zdziwieniem poczuł nagle, że zgłodniał. — Zaczynaj od początku.

— Dobrze — zgodził się Kurik, wyciągając swój sztylet i krojąc chleb na grube pajdy. — Wiesz chyba, że po twoim odjeździe pandionicy zostali odesłani do siedziby zakonu w Demos?

— Słyszałem o tym. — Sparhawk skinął głową. — Król Aldreas nigdy za nami specjalnie nie przepadał.

— Twój ojciec był temu winien, Sparhawk. Aldreas przepadał za swoją siostrą, a twój ojciec zmuszał go do poślubienia innej niewiasty. Z tego powodu król zmienił swój stosunek do Zakonu Pandionu.

— Kuriku — przerwał mu Sparhawk — nie należy mówić w ten sposób o królu.

Giermek wzruszył ramionami.

— On już nie żyje, więc go to nie dotknie, a poza tym jego uczucia do siostry były tajemnicą poliszynela. Pałacowi paziowie brali pieniądze od każdego, kto chciał oglądać, jak naga Arissa zmierza górnym korytarzem do sypialni swojego brata. Aldreas nie był zbyt silnym królem, Sparhawk. We wszystkim słuchał Arissy i prymasa Anniasa. Tak więc, skazując pandionitów na zamknięcie w klasztorze w Demos, Annias i jego podwładni mogli działać bez przeszkód. Miałeś szczęście, że nie było cię tu przez te wszystkie lata.

— Być może — mruknął Sparhawk. — Na co umarł Aldreas?

— Ogłosili, że to padaczka. Ja raczej sądzę, że wykończyły go wszeteczne dziewczki, które po śmierci jego żony Annias przemycił dla niego do pałacu.

— Kuriku, plotkujesz nie gorzej od starej baby.

— Wiem — zgodził się Kurik. — To moja wada.

— A wtedy Ehlana została koronowana na królową?

— Tak. I wówczas zaczęły się zmiany. Annias był przekonany, że będzie go słuchała tak samo jak Aldreas, ale ona szybko się z nim rozprawiła. Wezwała mistrza Vaniona z siedziby zakonu w Demos i uczyniła go swoim osobistym doradcą. Potem kazała Anniasowi przygotować się do odejścia do klasztoru, gdzie oddałby się medytacjom właściwym stanowi duchownemu. Oczywiście siny z wściekłości Annias natychmiast rozpoczął knowania. Słab postać tak gęsto, jak gęsto jest much na drodze. Kursowali między nim a klasztorem, w którym została zamknięta Arissa. Prymas i księżniczka byli starymi przyjaciółmi i z pewnością mieli wiele tematów do omówienia. No i Annias zasugerował Ehlanie, że powinna poślubić swojego kuzyna — bękartę Lycheasa — ale ona tylko

roześmiała mu się w twarz.

— To cała ona — uśmiechnął się Sparhawk, — Sam ją wychowałem i nauczyłem żyć w zgodzie z właściwymi zasadami. Na co choruje?

— Wygląda, że na to samo, na co zmarł jej ojciec. Miała atak i już nie odzyskała przytomności. Dworscy medycy orzekli, że nie pożyje dłużej niż tydzień. Wtedy wkroczył do akcji Vanion. Pojawił się w pałacu razem z Sephrenią i jedenastoma innymi pandionitami, którzy przybyli w pełnych zbrojach, z opuszczonymi przyłbicami. Odesłali pokojowe królowej, a ją samą podnieśli z łoża, odziali w uroczyste szaty i nałożyli koronę na jej głowę. Potem królową przenieśli do sali tronowej, posadzili na tronie i zamknęli drzwi. Nikt nie wie, co tam robili, ale gdy wyszli, Ehлана siedziała na swoim tronie zamknięta w kryształ.

— Co takiego?! — wykrzyknął Sparhawk.

— Jest przejrzysty jak szkło. Można zobaczyć każdy pieg na nosie królowej, ale nie można się do niej zbliżyć. Kryształ jest twardszy od diamentu. Annias wezwał kowali. Kuli młotami przez pięć dni i nie udało się im nawet zadrasnąć kryształu. — Kurik spojrział na Sparhawk. — Potrafiłbyś zrobić coś takiego? — zapytał z ciekawością.

— Ja? Nawet nie wiedziałbym od czego zacząć. Sephrenia nauczyła nas podstaw, ale w porównaniu z nią jesteśmy jak dzieci.

— No cóż, cokolwiek zrobiła, utrzymuje to Ehlanę przy życiu. Można usłyszeć, jak bicie serca królowej rozbrzmiewa echem po całej sali. Przez pierwszy tydzień ludzie gromadzili się tam tłumnie tylko po to, by tego posłuchać. Zaczęto nawet mówić, że to cud i sala tronowa powinna zostać zamieniona na coś w rodzaju świętego grobowca. Ale Annias zamknął drzwi, wezwał Lycheasa — bękart do Cimmury i uczynił z niego księcia regenta. To było ze dwa tygodnie temu. Od tamtej pory Annias każe swoim gwardzistom ścigać wszystkich, którzy są mu nieprzychylni. Lochy pod katedrą pękają już w szwach. Tak mają się sprawy w chwili obecnej. Wybrałeś dobry czas na powrót. — Przerwał i spojrział prosto w oczy swojego pana. — Co wydarzyło się w Cipprii?

— Niewiele. — Sparhawk wzruszył ramionami. — Pamiętasz Martela?

— Tego renegata, którego Vanion pozbawił czci rycerskiej? Tego z białymi włosami?

Sparhawk skinął głową.

— Przybył do Cipprii z kilkoma ludźmi — opowiadał — i wynajął do pomocy jeszcze piętnastu, a może dwudziestu miejscowych łotrów. Czyhali na mnie w ciemnym zaułku.

— To stąd te blizny?

— Tak.

— Ale uciekłeś.

— Oczywiście. Rendorscy mordercy źle znoszą widok własnej krwi rozbrzgananej na bruku i murach okolicznych domów. Kiedy dwunastu położyłem tru-

pem, reszta straciła odwagę. Pozbyłem się ich i uciekłem na skraj miasta. Ukrywałem się w pewnym klasztorze, dopóki nie zagoiły mi się rany, potem wziąłem Farana i przyłączyłem się do karawany jadącej do Jirochu.

Oczy Kurika załśniły zimnym blaskiem.

— Myślisz, że Annias miał w tym swój udział? — zapytał. — Wiesz, jak wielką nienawiścią darzy twoją rodzinę. Z całą pewnością to on nakłonił Aldreasa, by cię skazał na banicję.

— Mnie też nachodziły czasami takie myśli. Annias i Martel już przedtem działali ręka w rękę. W każdym razie wydaje mi się, że mam niejedno do omówienia z naszym miłym prymasem.

Kurik rozpoznał znajomy ton w głosie Sparhawk.

— Wpakujesz się w kłopoty — ostrzegł.

— Nie będzie tak źle. Większe kłopoty czekają Anniasa, jeżeli upewnię się, że maczał palce w tym napadzie. — Sparhawk wyprostował się. — Muszę porozmawiać z Vanionem. Czy on nadal jest w Cimmurze?

Kurik kiwnął głową.

— Jest w zamku na skraju miasta — odrzekł — ale nie możesz tam teraz jechać. O zachodzie słońca zamykają wschodnią bramę. Myślę, że powinieneś stawić się w pałacu zaraz po świcie. Annias na pewno wpadnie na pomysł, by ogłosić, że jesteś wyjęty spod prawa za samowolny powrót z banicji. Lepiej, byś sam tam poszedł, niż mieliby cię wlec jak pospolitego rzezimieszka. A i tak będziesz musiał gęsto się tłumaczyć, by uniknąć lochu.

— Nie sądzę. Mam dokument z pieczęcią królowej upoważniający mnie do powrotu. — Sparhawk odsunął talerz. — Odręczne pismo jest trochę dziecinne i są na nim ślady łez, ale sądzę, że nadal jest prawomocne.

— Ona płakała? Nie przypuszczałem, że wie, jak się to robi.

— Miała wtedy tylko osiem lat, Kuriku, i z jakichś powodów lubiła mnie.

— Nie tylko ona. — Kurik spojrzał na talerz Sparhawk. — Najadłeś się?

Sparhawk skinął głową.

— To idź do łoża. Jutro czeka cię pracowity dzień.

Minęło kilka godzin. Izbę wypełniała pomarańczowa poświata rzucana przez dogasający ogień, a spod przeciwległej ściany dobiegał regularny oddech Kurika. Jednostajne trzaskanie nie zamkniętych okiennic kołyszających się na wietrze kilka ulic dalej sprowokowało jakiegoś psa do szczekania. Sparhawk leżał, nadal po-grażony w półśnie, czekając cierpliwie, aż pies dostatecznie zmoknie lub znudzi go to ujadanie i ponownie schowa się do budy.

Jeśli człowiekiem, którego widział w mroku i deszczu na placu, był Krager — nie można mieć zupełnej pewności, że Martel również przebywa w Cimmurze. Krager to chłopiec na posyłki i często wyprzedza Martela o wiele lig. Jeżeli

jednak na targowisku był brutalny Adus — nie ulega wątpliwości, że Martel jest w mieście, gdyż zawsze trzymał Adusa na krótkiej smyczy.

Nie powinien mieć kłopotu z odnalezieniem Kragera. To słabeusz z typowymi dla słabeuszy przywarami. Sparhawk uśmiechnął się ponuro w ciemności. Odszuka Kragera, a on będzie wiedział, gdzie znaleźć Martela. Z łatwością wyciągnie z niego tę informację.

Poruszając się ostrożnie, by nie obudzić śpiącego giermka, Sparhawk podszedł do okna. Popatrzył na deszcz padający na puste, oświetlone latarnią podwórko. W zamyśleniu ujął inkrustowaną srebrem rękojeść szerokiego miecza stojącego obok jego paradnej zbroi. „Jakie to miłe uczucie — pomyślał. — Niczym podanie dłoni staremu przyjacielowi”.

Niewyraźne, jak zawsze, pojawiło się wspomnienie dzwonów. To ich dźwiękiem kierował się tamtej nocy w Cyprii. Ranny, wykrwawiony i samotny, potykając się w ciemnościach nocy, w gnoju zagród dla bydła, na wpół pełznąć, podążał za dźwiękiem dzwonów. Dotarł do muru i poszedł wzdłuż niego wspierając się zdrowym ramieniem o stare kamienie, aż znalazł się przy bramie i tam upadł. Sparhawk potrząsnął głową. To było dawno temu. Dziwne, że nadal tak dobrze pamiętał te dzwony. Stał z dłonią na rękojeści miecza, wpatrzony w noc i w deszcz. W uszach rozbrzmiewał mu dźwięk dzwonów.

Rozdział 2

Rycerz chodził tam i z powrotem po oświetlonej blaskiem świec izbie, próbując ponownie przyzwyczaić się do ciężaru paradnej zbroi.

— Zapomniałem już, jaka jest ciężka — powiedział.

— Zniewieściałeś — rzucił Kurik. — Potrzebny ci miesiąc albo dwa, byś wrócił do formy. Czy aby na pewno chcesz dziś w niej iść?

— To jest oficjalna wizyta, a takie wizyty wymagają oficjalnego stroju. No i wolałbym, aby nikt nie miał wątpliwości, kim jestem. Jam jest Obrońca Korony i Rycerz Królowej, więc gdy przed nią staję, powinienem mieć na sobie zbroję.

— Nie pozwolą ci stanąć przed królową — uprzedził Kurik biorąc do rąk hełm swego pana.

— Nie pozwolą?

— Nie zrób jakiegoś głupstwa, Sparhawk. Będziesz tam zupełnie sam.

— Czy hrabia Lenda nadal jest członkiem Rady Królewskiej?

Kurik skinął głową.

— Jest już stary — rzekł — i nie cieszy się dużym autorytetem, ale Annias zbyt go poważa, by usunąć.

— A więc będę tam miał chociaż jednego przyjaciela. — Sparhawk wziął od giermka hełm, nałożył go i uniósł przyłbicę.

Kurik podszedł do ściany po miecz i tarczę. Wyjrzał przez okno.

— Przystaje padać — zauważył. — Robi się coraz widniej. — Wrócił, położył miecz i tarczę na stole i sięgnął po srebrzystą wierzchnią szatę. — Unieś ramiona — polecił.

Sparhawk rozłożył szeroko ręce, a Kurik zarzucił mu szatę na ramiona i zasznurował boki. Potem dwukrotnie owinął rycerza długim pasem. Sparhawk podniósł pochwę z mieczem.

— Naostrzyłeś? — zapytał.

Giermek spojrzał na niego z wyrzutem.

— Przepraszam. — Sparhawk podwiesił miecz u pasa i przesunął broń na lewe biodro.

Kurik przypiął długi czarny płaszcz do naramienników zbroi, po czym cofnął się o krok i spojrzął na Sparhawk'a z aprobatą.

— Może być — powiedział. — Poniosę ci tarczę. Lepiej się pośpiesz. W pałacu wcześniej wstają. Dzięki temu mają więcej czasu na knucie intryg.

Wyszli z izby i zeszli na podwórze zajazdu. Deszcz prawie ustał, jeszcze tylko ostatnie krople spadały na ziemię niesione gwałtownymi podmuchami porannego wiatru. Na niebie nadal kłębiły się siwe ciężkie chmury, od wschodu zaczynało się już jednak przejaśniać.

Rycerz odźwierny wyprowadził Farana ze stajni i razem z Kurikiem pomógł Sparhawkowi go dosiąść.

— Bądź ostrożny w pałacu, dostojny panie — ostrzegł giermek przybierając oficjalny ton, jakiego używał zawsze, gdy nie byli sami. — Gwardia pałacowa jest chyba neutralna, ale Annias ma własny oddział żołnierzy z gwardii kościelnej. Każdy człowiek odziany w czerwoną liberię to twój potencjalny wróg.

Podniósł do góry czarną tarczę z herbem. Sparhawk umocował ją u siodła.

— Pójdiesz do zamku zobaczyć się z Vanionem? — spytał giermek.

Kurik skinął głową.

— Zaraz jak otworzą wschodnią bramę miasta — zapewnił rycerza.

— Ja udam się tam, gdy tylko załatwię wszystko w pałacu, ale ty wróć i czekaj na mnie tutaj. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu. — Może będziemy zmuszeni pośpiesznie opuścić miasto.

— Nie trać panowania nad sobą, dostojny panie.

Sparhawk odebrał od odźwiernego wodze Farana.

— A więc dobrze, mości rycerzu — powiedział. — Otwieraj bramę, pojedę złożyć uszanowanie temu bękartowi Lycheasowi.

Furtian zaśmiał się i pchnął wrota.

Faran wyjechał dumnym kłusem, dzwoniąc stalowymi podkowami o mokry bruk. Ten wielki rumak lubił popisywać się i zawsze, gdy Sparhawk dosiadał go w pełnej zbroi, z pychą wysoko unosił kopyta.

— Czy nie jesteśmy obaj trochę za starzy na takie pokazy? — zapytał Sparhawk oschle.

Faran puścił tę uwagę mimo uszu i dalej dumnie zadzierał łeb.

O tej porze na ulicach Cimmury było niewielu ludzi, przeważali wśród nich rozczochrani rzemieślnicy i zaspani sklepikarze. Bruk był mokry, a jaskrawe szylidy nad wejściami do sklepów skrzybiały niemiłosiernie, kołysane gwałtownymi podmuchami wiatru. Prawie wszystkie okna były jeszcze przesłonięte okiennicami i ciemne, jednakże tu i ówdzie złościście płonęły świece w pokojach rannych ptaszków.

Sparhawk poczuł, że jego zbroja zaczęła wydzielać znajomą mieszaninę zapachów stali, oleju i rzemieni, które przez całe lata nasiąkały jego potem. Spalone

słońcem ulice i pełne aromatu przypraw sklepy Jirochu niemal zupełnie wyparły wspomnienie tego zapachu z jego pamięci. A woń ta — bardziej niż znajome bruki Cimmury — upewniała go, że znów jest w domu.

Zbłąkany pies wybiegł na ulicę ujadając głośno, ale Faran minął go ze wzgardą i pokłusował dalej.

Pałac znajdował się w centrum miasta. Była to górująca nad otaczającymi ją domami okazała kamienna budowla z wysokimi wieżami, nad którymi powiewały barwne flagi. Od miasta pałac oddzielały mury opatrzone blankami. Kiedyś w przeszłości jeden z królów Elenii rozkazał pokryć te mury od zewnątrz białym wapieniem. Klimat i dymy zalegające miasto sprawiły, że wapień pokrył się brudnymi, szarymi smugami.

Szerokiej bramy strzegło sześciu mężczyzn w ciemnoniebieskich liberjach, żołnierzy gwardii pałacowej.

— Stać! — zawołał jeden z nich zagradzając drogę nadjeżdżającemu zbrojnemu mężczyźnie. Gwardzista stanął na środku wjazdu lekko unosząc swoją pikę.

Sparhawk udał, że nie usłyszał wezwania, i Faran parł prosto na żołnierza.

— Powiedziałem stać, mości rycerzu! — ponownie rozkazał wartownik.

Nagle jeden z jego towarzyszy przyskoczył, złapał go za ramię i odciągnął na bok.

— To Obrońca Korony! — krzyknął. — Nigdy nie wchodź mu w drogę.

Sparhawk wjechał na wewnętrzny dziedziniec i zsiadł z konia trochę niezdarne, gdyż ciążyła mu zbroja, a tarcza krępowała ruchy. Żołnierz podbiegł i nadstawił pikę.

— Dzień dobry, ziomku — odezwał się do niego Sparhawk spokojnie.

Strażnik zawahał się.

— Przypilnuj mojego konia — mówił dalej rycerz. — Nie powinienem zabić tam zbyt długo. — Podał wartownikowi wodze Farana i zaczął wchodzić na szerokie schody kierując się do ciężkich podwoi.

— Mości rycerzu! — zawołał za nim gwardzista.

Sparhawk nie zareagował i nadal kroczył po stopniach. U podwoi stało dwóch ubranych na niebiesko wartowników, niemłodych już; ich twarze wydały mu się znajome. Jeden z wartowników patrzył szeroko rozwartymi zdumionymi oczyma i nagle uśmiechnął się szeroko.

— Witamy, dostojny panie Sparhawk — powiedział otwierając drzwi przed rycerzem w czarnej zbroi.

Sparhawk mrugnął do niego porozumiewawczo i wszedł do środka dzwoniąc ostrogami na wypolerowanej kamiennej posadzce. Tuż za drzwiami natknął się na dworzanina o ufryzowanych i wypomadowanych włosach, ubranego w obcisły złocistobrazowy kubrak.

— Chcę rozmawiać z Lycheasem — oznajmił Sparhawk bezbarwnym głosem. — Zaprowadź mnie do niego.

— Ale... — Dworzanin pobladł, zaraz jednak wziął się w garść i zaczął wyniośle: — Jak możesz...?

— Nie słyszałeś, ziomku? — zapytał Sparhawk.

Mężczyzna w złocistobrazowym kubraku cofnął się.

— W-w te-tej chwili — wyjąkał. Odwrócił się i poprowadził rycerza szerokim, głównym korytarzem. Ramiona mu wyraźnie drżały. Sparhawk zauważył, że dworzanin nie prowadzi go do sali tronowej, ale do sali posiedzeń, gdzie król Aldreas niegdyś spotykał się ze swymi doradcami. Zbrojny mąż uśmiechnął się przelotnie na myśl o tym, że obecność młodej królowej, siedzącej na tronie pod kryształowym kloszem, może skutecznie hamować zapędy jej kuzyna do przywłaszczenia sobie korony.

Sali posiedzeń strzegło dwóch gwardzistów w czerwonych liberiach — żołnierzy prymasa Anniasa. Obaj równocześnie opuścili swoje piki krzyżując je i zagradzając wejście do sali.

— Obrońca Korony pragnie rozmawiać z księciem regentem — zwrócił się do nich drżącym głosem dworzanin.

— Nie mamy rozkazu, by wpuścić Obrońcę Korony — oznajmił jeden z gwardzistów.

— A więc dam go wam teraz — powiedział Sparhawk krótko. — Otworzyć drzwi!

Dworzanin zamierzał się oddalić, lecz Sparhawk złapał go za ramię.

— Nie pozwoliłem ci jeszcze odejść, ziomku — zganiał go, po czym spojrzał na straż. — Otworzyć drzwi! — powtórzył.

Gwardziści ociągali się przez chwilę, popatrzyli nerwowo najpierw na rycerza, a potem na siebie nawzajem. W końcu jeden z nich przełknął głośno ślinę i sięgnął do klamki.

— Będziesz musiał mnie zaanonsować — rzekł Sparhawk do dworzanina trzymając nadal odzianą w rękawicę dłoń na jego ramieniu. — Nie chcemy przecież nikogo zaskoczyć, prawda?

Z popłochem wyzierającym z oczu dworzanin postąpił w kierunku otwartych drzwi, odchrząknął i wyrzucił z siebie jednym tchem:

— Obrońca Korony, rycerz Zakonu Pandionu, dostojny pan Sparhawk.

— Dziękuję, ziomku. Teraz możesz odejść.

Dworzanin skłonił się.

Posadzkę obszernej sali posiedzeń pokrywał dywan, a okna przesłaniały niebieskie draperie. Na ścianach wisały duże świeczniki. Pośrodku komnaty stał długi, polerowany stół, a na nim wieloramienny kandelabr z płonącymi świecami. Trzech mężczyzn siedziało nad dokumentami przy stole, czwarty wstał ze swojego fotela.

Był to prymas Annias. Od czasu gdy Sparhawk widział go po raz ostatni dziesięć lat temu, prymas wychudł, a twarz zszarzała mu i zmarniała. W zaczesanych

do tyłu włosów lśniły pasma siwizny. Ubrany był w długą sutannę, na szyi zawieszony miał złoty łańcuch z kosztownym wisiolem — symbolem jego urzędu. Kiedy zobaczył w drzwiach Sparhawk, na jego twarzy odmalował się niepokój.

Hrabia Lenda, siedemdziesięcioletni starzec o siwych włosach, ubrany w szary miękki kubrak, uśmiechnął się szeroko, a jego jasne, niebieskie oczy rozbłysnęły w wychudzonej twarzy. Baron Harparin, zagorzały miłośnik chłopców, wystrojony w jaskrawe szatki, wyglądał na zdziwionego. Obok siedział grubas w czerwonym kaftanie. Sparhawk nie znał go.

— Sparhawk! — wykrzyknął Annias, otrząsając się ze zdumienia. — Co ty tu robisz?

— Wiem, że wielbny ksiądz prymas mnie szukał — odparł rycerz — postanowiłem więc oszczędzić waszej wielbności kłopotów.

— Samowolnie powróciłeś z wygnania, panie Sparhawk — stwierdził Annias oskarżycielskim tonem.

— To jest właśnie jedna ze spraw, o których musimy porozmawiać. Doszły mnie słuchy, że bękart Lycheas pełni funkcję księcia regenta, dopóki królowa nie powróci do zdrowia. Może posłałbyś po niego, byśmy nie musieli powtarzać wszystkiego po raz drugi?

Zaszokowany zniewagą Annias nie potrafił wykrztusić słowa.

— Przecież jest bękartem, prawda? — rzekł Sparhawk. — Jego pochodzenie nie jest tajemnicą, więc czemu robić z tego powodu ceregiele? Jak zauważyłem, sznur od dzwonka jest tuż obok. Zadzwoń, wasza wielbność, i pošlij kogoś ze służby po księcia regenta.

Hrabia Lenda nie krył uciechy.

Annias rzucił starcowi pełne wściekłości spojrzenie i podszedł do zwisających w głębi sali sznurów od dzwonek. Wahał się przez chwilę, który z nich pociągnąć.

— Proszę nie popełnić błędu, wasza wielbność — ostrzegł Sparhawk. — Sprawy mogą przyjąć zły obrót, jeżeli zamiast służącego pojawi się w tych drzwiach kilkunastu gwardzistów.

— No, dalej, Anniasie — ponaglił hrabia Lenda. — Moje życie i tak już dobiega końca, a odrobina emocji przed zejściem z tego świata mi nie zaszkodzi.

Annias zacisnął zęby i pociągnął za niebieski sznur, a nie za czerwony, jak zamierzał. Po chwili drzwi otworzyły się i wszedł młody służący w liberii.

— Słucham, wasza wielbność? — skłonił się przed prymasem.

— Przekaż księciu regentowi, że oczekujemy, iż stawi się tu natychmiast.

— Ale...

— Natychmiast!

— Tak, wasza wielbność. — Służący oddalił się.

— No widzisz, jakie to było proste? — rzucił Sparhawk do prymasa. Następnie podszedł do siwowłosego hrabiego Lendy, ściągnął rękawicę i ujął jego dłoń.

— Cieszę się, że widzę cię w dobrym zdrowiu, hrabio — rzekł.

— Chciałeś powiedzieć, że dziw, iż ciągle jeszcze żyję? — zaśmiał się Lenda.

— Jak było w Rendorze, panie Sparhawk? Gorąco, sucho i bardzo dużo pyłu.

— Zawsze tam tak było, mój chłopcze. Zawsze tam tak było. Czy masz zamiar odpowiedzieć na moje pytanie? — domagał się Annias.

— Proszę, wielbny księże prymasie — odpowiedział Sparhawk uniesieniem — zaczekajmy na przybycie bękarta regenta. Wypada Przestrzegać zasad, prawda, wasza wielbność? — Uniósł do góry brew. — Powiedz mi — dodał z namysłem — jak się miewa jego matka? Chodzi mi o jej zdrowie. Nie spodziewam się, abyś ty, człek duchowny, sprawdził cielesne walory księżniczki Arissy — jak mógł to uczynić prawie każdy w Cimmurze.

— Posuwasz się za daleko!

— Chcesz powiedzieć, że nie wiedziałeś o tym? Mój Boże, wielbny starcze, doprawdy, nie powinieneś się tak tym przejmować.

— Jaki niegrzeczny! — wykrzyknął baron Harparin do grubasa w czerwieni.

— To nie są sprawy, które ty mógłbyś zrozumieć, baronie — zwrócił się do niego Sparhawk. — Słyszałem, że masz zupełnie inne skłonności.

Drzwi otworzyły się i wszedł przyszczaty, młody człowiek o ciemnoblond włosach i wydatnych wargach. Ubrany był w zieloną, obszytą gronostajami szatę, a na głowie miał mały złoty diadem.

— Chciałeś mnie widzieć, Anniasie? — rzekł nosowym, łamiącym się głosem.

— To sprawa wagi państwowej, książę panie — odpowiedział Annias. — Chcemy, abyś wydał wyrok w sprawie o zdradę stanu.

Młodzieniec spojrział na niego zmieszany. Prymas ciągnął dalej:

— Oto pan Sparhawk, który samowolnie złamał rozkaz twojego zmarłego wuja, króla Aldreasa. Pan Sparhawk został odkomenderowany do Rendoru i otrzymał polecenie, by nie wracał, aż zostanie wezwany królewskim rozkazem. Jego obecność w Elenii jest dowodem jego winy.

Lycneas odskoczył jak oparzony od odzianego w czarną zbroję rycerza o ponurej twarzy.

— Sparhawk? — wyjąkał zdumiony.

— We własnej osobie — przyznał zbrojny mąż. — Obawiam się jednak, że dobry prymas nieco przesadził. Przejmując funkcję Obrońcy Korony przysięgłem bronić króla i królowej zawsze, gdy królewskie życie będzie zagrożone. Ta przysięga ma pierwszeństwo przed każdym rozkazem — królewskim czy innym — a życie królowej wyraźnie jest w niebezpieczeństwie.

— To jedynie formalność, Sparhawk — warknął Annias.

— Wiem — odparł łagodnie Sparhawk — ale formalności są duszą prawa. Hrabia Lenda odchrząknął.

— Przystudiowałem ten problem — powiedział — i dostojny pan Sparhawk dosłownie zacytował przepis prawny. Jego przysięga Obrońcy Korony istotnie ma

większą wagę.

Książę Lycheas przeszedł na drugą stronę sali omijając Sparhawk'a z daleka.

— To absurd — orzekł. — Ehlana jest chora. Nie jest narażona na żadne fizyczne niebezpieczeństwo. — Usiadł w fotelu obok prymasa.

— Królowa — poprawił go Sparhawk.

— Co?

— Należy ją tytułować „Jej królewska mość” lub w ostateczności „Królowa Ehlana”. Bardzo niestosowne jest mówić o niej używając jedynie imienia. Uważam, że z formalnego punktu widzenia jestem zobowiązany bronić jej zarówno przed fizycznym niebezpieczeństwem, jak i przed niestosownym traktowaniem. Nie jestem jednak tego zbyt pewien, więc zanim przyślę waszej wysokości swych sekundantów, odwołam się do sądu mego starego przyjaciela, hrabiego Lendy.

Lycheas pobladł.

— Wyzwanie?

— To zupełna bzdura — oznajmił Annias. — Nie będzie wysyłania ani podejmowania żadnego wyzwania. — Zmrużył oczy. — Stanowisko księcia regenta zostało jasno wyrażone. Sparhawk po prostu szuka wykrętu, chcąc uniknąć kary. Jeżeli nie przedstawi nam dokumentu potwierdzającego jego wezwanie do Cimmury, to zostanie oskarżony o zdradę stanu. — Uśmiechnął się złośliwie.

— Obawiałem się już, że o to nie zapytasz, wasza wielbność — powiedział rycerz. Sięgnął za pas i wyciągnął zwój pergaminu przewiązany niebieską wstążką. Rozwiązał wstążkę i rozwinął pergamin. Krwistoczerwony kamień w pierścieniu zdobiącym dłoń pandionity zapłonął w świetle świec. — Wydaje się, że wszystko jest w porządku — mówił Sparhawk studiując dokument. — Jest na nim podpis królowej i jej osobista pieczęć. Instrukcje są dla mnie zupełnie oczywiste. — Podał pergamin hrabiemu Lendzie. — A jaka jest twoja opinia, wielmożny panie?

Starzec wziął dokument i przebiegł go oczyma.

— Pieczęć królowej — potwierdził — i odręczne pismo też jest jej. Rozkazuje ona panu Sparhawkowi stawić się przed nią natychmiast po jej wstąpieniu na tron. To jest ważny rozkaz królewski, panowie.

— Pozwól mi spojrzeć na to, hrabio — warknął Annias.

Lenda podał mu pergamin przez stół. Prymas przeczytał dokument zgrzytając cicho zębami.

— Nie ma nawet daty — zarzucił.

— Proszę wybaczyć, wasza wielbność — zauważył Lenda — ale prawo nie wymaga, by dekryty i rozkazy królewskie były opatrzone datą. Datowanie to czysto umowna sprawa.

— Skąd to wzięłeś? — zapytał prymas Sparhawk'a, obserwując rycerza spod w półprzymkniętych powiek.

— Miałem go już od pewnego czasu.

— Z całą pewnością został napisany, zanim królowa wstąpiła na tron.

— Na to wygląda, prawda?

— Jest więc nieważny. — Prymas ujął pergamin w obie dłonie, jakby miał zamiar go podrzeć.

— Jaka jest kara za zniszczenie królewskiego dekretu, wielmożny panie? — zapytał niewinnie Sparhawk zwracając się do hrabiego Lendy.

— Śmierć.

— Tak też sądziłem. No, dalej, podrzyj go, wasza wielbność. Będę bardziej niż szczęśliwy mogąc osobiście wykonać wyrok — oczywiście tylko dlatego, by oszczędzić na czasie i kosztach tych wszystkich nudnych procedur prawnych. — Ich spojrzenia skrzyżowały się. Po chwili prymas rzucił pergamin z odrazą na stół.

Lycheas obserwował całą scenę z coraz większym rozczarowaniem. Wtem zorientował się, co spostrzegł przed chwilą.

— Twój pierścień, panie Sparhawk — powiedział swoim łamiącym się głosem. — To jest symbol twojej funkcji, prawda?

— Można tak powiedzieć. Dokładniej — ten pierścień i pierścień królowej są symbolami więzi łączących moją i jej rodzinę.

— Daj mi go.

— Nie.

Lycheasowi oczy omal nie wyszły z orbit.

— Wydałem ci właśnie królewski rozkaz! — krzyknął.

— Nie. To była osobista prośba, Lycheasie. Nie mogłeś wydać królewskiego rozkazu, ponieważ nie jesteś królem.

Lycheas spojrzał niepewnie na prymasa, ale Annias lekko pokręcił głową. Na przyszczatej twarzy młodzieńca pojawił się rumieniec.

— Książę regent chciał tylko obejrzeć pierścień, dostojny panie Sparhawk — tłumaczył duchowny łagodnie. — Szukaliśmy jego towarzysza, pierścienia króla Aldreasa, ale wygląda na to, że się zgubił. Czy wiesz, gdzie moglibyśmy go znaleźć?

Sparhawk rozłożył ręce.

— Król Aldreas miał go na palcu, kiedy wyjeżdżałem do Cyprii — stwierdził.

— Pierścieni zwykle się nie zdejmuje, więc myślę, że miał go na palcu, gdy umarł.

— Nie. Nie miał.

— Może więc ma go królowa.

— O ile mogliśmy stwierdzić — nie.

— Ja chcę mieć ten drugi pierścień — upierał się Lycheas — jako symbol mojej władzy.

Sparhawk spojrzał na niego ze zdziwieniem.

— Jakiej władzy? — zapytał bez ogródek. — Pierścień należy do królowej Ehlany i jeżeli ktoś próbowałby go jej odebrać, musiałbym podjąć odpowiednie kroki. — Nagle poczuł delikatne mrowienie skóry. Wydawało się, że świece

w złotych kandelabrach lekko zamigotały i w przesłoniętej niebieskimi zasłonami sali posiedzeń nagle pociemniało. Sparhawk natychmiast zaczął bezgłośnie splatać po styricku przeciwzakłęcie. Uważnie obserwował twarze mężczyzn siedzących dookoła stołu, próbując odkryć źródło prymitywnych czarów. Po uwolnieniu zakłęcia spostrzegł, że Annias drgnął. Sparhawk uśmiechnął się ponuro i wstał.

— Przystąpmy do sprawy — rzekł zdecydowanie. — Co właściwie stało się z królem Aldreaselem?

— Padaczka — Hrabia Lenda westchnął ze smutkiem. — Ataki zaczęły się kilka miesięcy temu i powtarzały się coraz częściej. Król robił się coraz słabszy i w końcu... — Wzruszył ramionami.

— Nie chorował na padaczkę, gdy opuszczałem Cimmurę — zauważył Sparhawk.

— Choroba zaczęła się nagle — powiedział chłodno Annias.

— Na to wygląda. Krążą plotki, że królowa cierpi na tę samą przypadłość.

Prymas bez słowa skinął głową.

— Czy nikomu z was nie wydało się to dziwne? — zastanawiał się Sparhawk. — Nigdy nie było przypadków tej choroby w rodzinie królewskiej. A czyż nie jest osobliwe, że u Aldreasa objawy pojawiły się dopiero wtedy, gdy dobiegł czterdziestki, a jego córka zaniemogła już w osiemnastej wiosnie życia?

— Nie znam się na medycynie — odrzekł Annias. — Możesz zapytać nadwornego medyka, ale jestem pewien, że nie doszukasz się niczego, o czym już byśmy nie wiedzieli.

Sparhawk chrząknął. Rozejrzał się po sali posiedzeń.

— Uważam, że na tym możemy zakończyć dyskusję. Teraz chcę zobaczyć królową.

— To wykluczone! Absolutnie wykluczone! — krzyknął Lycheas.

— Nie prosiłem cię o pozwolenie — rzekł zdecydowanie rycerz — Czy mogę to odzyskać? — wskazał na pergamin leżący na stole przed prymasem.

Podali mu dokument, a on szybko przebiegł po nim wzrokiem.

— Tu gdzieś to jest — powiedział szukając potrzebnego mu zdania. — „Rozkazuję ci stawić się przede mną natychmiast po twoim przybyciu do Cimmury”. To nie budzi chyba wątpliwości, prawda?

— Do czego zmierzasz? — zapytał podejrzliwie prymas.

— Ja tylko wykonuję rozkazy, wasza wielebność. Królowa rozkazała, bym stawił się przed nią, i zamierzam to uczynić.

— Drzwi do sali tronowej są zamknięte — wysapał Lycheas.

— Nie szkodzi. — Sparhawk uśmiechnął się niemal dobrotliwie. — Mam klucz. — Znacząco oparł dłoń na srebrnej rękojeści miecza.

— Nie ośmielisz się!

— Spróbuj mi przeszkodzić.

Annias zakasłał.

— Czy mogę zabrać głos, wasza wysokość? — zapytał.

— Oczywiście, wielbny księże prymasie — odparł szybko Lycheas. — Korona zawsze chętnie wysłuchuje rad Kościoła.

— Korona? — zapytał Sparhawk.

— To zwykła formułka — odrzekł Annias. Dopóki królowa nie jest w pełni sił, księżę Lycheas występuje w imieniu Korony.

— Ale nie w stosunku do mnie.

Annias odwrócił się do Lycheasa i powiedział:

— Kościół radzi, by przychylić się do grubiańskiego żądania Obrońcy Korony. Nie pozwólmy, by ktokolwiek mógł oskarżyć nas o niegrzeczność. Ponadto Kościół radzi, aby księżę regent i członkowie Rady Królewskiej towarzyszyli panu Sparhawkowi do sali tronowej. Ma on reputację biegłego w pewnych formach magii i — chroniąc życie królowej — nie możemy dopuścić, by pochopnie użył swych sztuczek bez uprzedniego zasięgnięcia opinii nadwornego medyka.

Lycheas udawał przez chwilę, że rozważa te słowa, po czym wstał.

— Niech będzie, jak radzisz, wasza wielbność — obwieścił. — Zarządzamy, abyś nam towarzyszył, panie Sparhawk.

— Zarządzamy?

Lycheas zignorował to pytanie i majestatycznym krokiem ruszył w kierunku drzwi.

Sparhawk przepuścił przodem barona Harparina oraz grubasa w czerwonym kaftanie i wyszedł tuż za prymasem. Uśmiechał się jakby z rozbawieniem, ale w cichych słowach, które wysyczał przez zaciśnięte zęby, nie znać było dobrego humoru.

— Anniasie, nie rób tego więcej.

— O czym mówisz? — Prymas drgnął zaskoczony.

— O twoich czarach. Po pierwsze, nie jesteś w tym zbyt dobry i szkoda mi marnować siły na odwracanie amatorskich zaklęć. A po drugie, o ile pamiętam, duchownym zakazano zabaw z magią.

— Nie masz dowodów!

— Nie potrzebuję dowodów. Moje słowo, słowo rycerza Zakonu Pandionu wystarczy przed każdym sądem — cywilnym czy kościelnym. Ale może obejdziesz się bez tego? Tylko nie mruż więcej żadnych zaklęć w moją stronę.

Rada Królewska i Sparhawk za Lycheasem udali się oświetlonymi świecami korytarzem ku szerokim, podwójnym drzwiom sali tronowej. Lycheas wyciągnął z zanadru klucz i otworzył je.

— Idź, staw się przed swoją królową — powiedział do Sparhawk — jeżeli ma to dla ciebie tak wielkie znaczenie.

Sparhawk wyciągnął rękę, sięgnął do srebrnego lichtarza po płonąca świecę i wkroczył do pograżonej w ciemnościach komnaty.

W sali tronowej było zimno, panował w niej lepki zaduch, pachniało stęchłą złą. Sparhawk kroczył wzdłuż ścian, zapalając po kolei wszystkie świece. Potem podszedł do tronu i zapalił stojące po obu jego stronach kandelabry.

— Po co ci tyle światła, panie Sparhawk? — rzucił od drzwi Lycheas ze złością.

Sparhawk jakby go nie usłyszał. Wyciągnął dłoń i oparł ją na kryształ otaczającym tron. Po chwili wyczuł przenikającą kryształ znajomą aurę Sephrenii. Potem powoli unióśł oczy, by spojrzeć na bladą twarz Ehlany. Obietnica, ukryta niegdyś w dziecięcych rysach, spełniła się. Królowa nie była zwykłą ślicznotką, jakich wiele wśród dziewcząt. Była prawdziwą pięknoscią. Jej uroda niemal oślepiła swą doskonałością. Długie, jasne włosy miękko spływały na ramiona młodej władczyni. Była ubrana w królewskie szaty, a jej skronie otaczała ciężka złota korona Elenii. Siedziała na tronie wyprostowana, z zamkniętymi oczyma.

Wspomniał, jak z początku czuł się urażony rozkazem króla Aldreasa, który uczynił go opiekunem dziewczynki. Szybko jednak odkrył, że nie była zwykłym dzieckiem, ale raczej poważną, młodą damą o bystrym, chłonnym umyśle i ogromnej ciekawości świata. Gdy przestała się wstydzic, zaczęła go wypytywać dokładnie o wszystko, co działo się w pałacu i tak, prawie mimochodem, rozpoczęła naukę sztuki rządzenia państwem oraz zaczęła poznawać zawiłości polityki dworskiej. Po kilku miesiącach stali się sobie bardzo bliscy. Rycerz odkrył, że z niecierpliwością oczekuje na ich codzienną rozmowę, podczas której delikatnie formował jej charakter i prowadził ją ku ostatecznemu przeznaczeniu, jakim było objęcie tronu Elenii.

Gdy patrzył na królową siedzącą niczym martwy posąg, czuł nieznośny ból w sercu i poprzysiągł sobie, że jeżeli będzie trzeba, to przetrząśnie cały świat, by umożliwić jej odzyskanie zdrowia i tronu. Im dłużej na nią patrzył, tym większa ogarniała go złość i ochota, żeby bić pięściami w kryształ i siłą przywrócić ją do przytomności.

Wtem uświadomił sobie, że słyszy ją i czuje. Dźwięk, zrazu cichy i niewyraźny, z każdą minutą stawał się głośniejszy i mocniejszy, dudnił miarowo i narastał. Niósł się głośnym echem po sali tronowej i niczym uderzany z coraz większą siłą bęben obwieszczał, że serce Ehlany nadal bije.

Sparhawk obnażył miecz i oddał honory królowej. Potem przyklęknął z czcią i wyrazem wielkiej miłości. Schylił się i z oczyma pełnymi łez ucałował osłaniającą młodą władczynię kryształ.

— Jestem tu, Ehlano — wyszeptał — i sprawię, że wszystko znów będzie dobrze.

Jej serce zaczęło uderzać jeszcze głośniejsze, jakby usłyszała, co powiedział.

Od wejścia dobiegł go szyderczy chichot Lycheasa. Sparhawk przysiągł sobie, iż gdy tylko nadarzy się okazja, rozprawi się z tym bękartem, mimo że jest on kuzynem królowej. Podniósł się i ruszył do wyjścia.

Lycheas stał w drzwiach z kluczem w dłoni, uśmiechał się głupio. Sparhawk mijając księcia wyciągnął rękę i odebrał mu klucz do sali tronowej.

— Nie będzie ci już potrzebny — powiedział. — Teraz ja tu jestem, więc ja go przejmuję.

— Anniasie... — Lycheas chciał zaprotestować.

Prymas, rzuciwszy okiem na ponure oblicze obrońcy Korony, postanowił nie kusić losu.

— Niech go zatrzyma — rzekł krótko.

— Ale...

— Powiedziałem: niech go zatrzyma — warknął Annias. — I tak nie jest nam potrzebny. Niech obrońca Korony zatrzyma klucz do komnaty, w której spoczywa pogrążona we śnie jego królowa. — W tonie głosu duchownego słychać było wstrętą aluzję. Odziana w rękawicę dłoń Sparhawk'a zacisnęła się w pięść.

— Czy mógłbyś, panie Sparhawk, dotrzymać mi towarzystwa w drodze powrotnej do sali posiedzeń? — zapytał hrabia Lenda, kładąc lekko rękę na okrytym zbroją ramieniu rycerza. — Czasami tracę równowagę i z chęcią wesprę się na kimś młodym i silnym.

— Oczywiście, wielmożny panie — odpowiedział Sparhawk, rozwierając pięść.

Lycheas poprowadził członków rady z powrotem korytarzem w stronę sali posiedzeń, a tymczasem Sparhawk zamknął drzwi i podał klucz staremu przyjacielowi.

— Czy mógłbyś go przechować, hrabio? — zapytał.

— Uczynię to z radością.

— I proszę, dopilnuj, by w sali tronowej nie zgasły świece. Nie pozwól jej przebywać w ciemności.

— Rozumiem. — Ruszyli korytarzem. — Musieli ci chyba niezłe przez lata nauki garbować skórę — powiedział starzec.

Sparhawk uśmiechnął się do niego szeroko.

— Potrafisz być naprawdę przykry, gdy ci na tym zależy — dodał Lenda chichocząc.

— Staram się jak mogę, wielmożny panie.

— Miej się na baczności tu, w Cimmurze, panie Sparhawk — ciągnął dalej hrabia. Teraz już mówił z powagą, przyciszonym głosem. — Annias ma szpiegów na każdym rogu. Lycheas nawet nie kichnie bez jego zgody. Tak naprawdę, to w Elenii rządzi Prymas, a on cię nienawidzi.

— Ja też za nim nie przepadam. — Sparhawk umilkł na chwilę. — Okazałeś się dzisiaj, hrabio, prawdziwym przyjacielem. Czy z tego powodu nie naraziłeś się na niebezpieczeństwo?

— Bez wątplenia tak — hrabia Lenda uśmiechnął się — ale jestem już stary i znacząco zbyt niewiele, by stanowić jakiegokolwiek zagrożenie dla Anniasa. Mogę

go co najwyżej drażnić, ale on jest zanadto wyrachowany, by mnie za to prześladować.

Prymas czekał na nich w drzwiach sali posiedzeń.

— Rada przedyskutowała sytuację, panie Sparhawk — powiedział chłodno. — Królowej z całą pewnością nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Jej serce bije mocno, a kryształ, który ją otacza, jest niezniszczalny. W tej sytuacji niepotrzebny jej obrońca. rozkazuje ci więc, abyś powrócił do siedziby zakonu w Cimmurze i pozostał tam, dopóki nie otrzymasz dalszych poleceń. — Na jego ustach pojawił się złośliwy uśmieszek. — Lub, oczywiście, dopóki królowa osobiście nie wezwie cię przed swoje oblicze.

— Oczywiście — odpowiedział z rezerwą Sparhawk. — Chciałem to właśnie sam zaproponować, wasza wielbność. Jestem tylko zwykłym rycerzem i będę się czuł o wiele lepiej w siedzibie zakonu otoczony moimi braćmi niż tutaj, w pałacu. — Uśmiechnął się. — Doprawdy, ja zupełnie nie pasuję do dworu.

— Zauważyłem to.

— Tak też myślałem. — Sparhawk uściśnął krótko dłoń hrabiego Lendy na pożegnanie. Następnie spojrzał Anniasowi prosto w oczy. — A więc do ponownego spotkania, wasza wielbność.

— Jeżeli w ogóle ponownie się spotkamy. — Och, spotkamy się. Na pewno się spotkamy. — Sparhawk odwrócił się na pięcie i odszedł.

Rozdział 3

Siedziba Zakonu Rycerzy Pandionu znajdowała się tuż za wschodnią bramą Cimmury. Był to zamek w pełnym tego słowa znaczeniu, o wysokich, zwieńczonych blankami murach i z wystawionymi na wiatr narożnymi wieżami. Otaczała go głęboka fosa najeżona zaostrozonymi palami, nad którą przerzucony był zwodzony most — opuszczony teraz, lecz strzeżony przez czterech ubranych w czarne zbroje jeźdźców na bojowych rumakach.

Uzyskanie pozwolenia na wejście do siedziby Zakonu Pandionu związane było z określonym rytuałem. Sparhawk ściągnął wodze Farana i czekał. Ze zdziwieniem stwierdził, że te formalności go nie drażnią. Stanowiły część jego życia przez długie lata nowicjatu i spełnienie tych odwiecznych ceremonii było jakby odrodzeniem i potwierdzeniem jego tożsamości. Już teraz, gdy czekał na rytualne wezwanie, spalone słońcem domy w Jirochu i kobiety zmierzające do studni w srebrzystym blasku poranka odpłynęły w głąb jego pamięci, zajmując w niej właściwe miejsce.

Dwóch rycerzy w pełnych zbrojach ruszyło powoli, podkowy ich wierzchowców dudniły głucho na grubych belkach zwodzonego mostu. Zatrzymali się tuż przed Sparhawkiem.

— Kimże jest ten, który stoi u bram domu Orędowników Boga? — zaintonował jeden z nich.

Sparhawk podniósł przyłbicę w symbolicznym geście pokojowych zamiarów.

— Jam jest Sparhawk — odpowiedział — Orędownik Boga i członek tego zakonu.

— Jakże możemy to stwierdzić? — zapytał drugi z rycerzy.

— Poznacie mnie po tym znaku. — Sparhawk wyciągnął spod wierzchniej szaty ciężki srebrny amulet na łańcuchu, jaki każdy pandionita nosił zawieszony na piersi.

Obaj jeźdźcy obejrzelik amulet z pozorną uwagą.

— To istotnie jest pan Sparhawk, członek naszego zakonu — orzekł jeden z nich.

— Zaiste — zgodził się drugi — a więc czy powinniśmy... hm... — zawahał

się marszcząc czoło.

— ... zezwolić mu na wejście do domu Orędowników Boga — odpowiedział mu Sparhawk.

Rycerz skrzywił się.

— Nigdy nie mogłem zapamiętać tego fragmentu — wymamrotał. — Dzięki, panie Sparhawk. — Chrząknął i zaczął ponownie: — Zaiste, a więc czy powinniśmy zezwolić mu na wejście do domu Orędowników Boga?

Stojący obok rycerz uśmiechnął się szeroko.

— Jego prawem jest wolny wstęp do naszej siedziby — powiedział — bo jest jednym z nas. Witaj, panie Sparhawk. Proszę, wejdź w mury naszego domu i przebywaj pod jego dachem w pokoju.

— Tego samego życzę tobie i twojemu towarzyszowi wszędzie tam, gdzie zawiedzie was los — Sparhawk zakończył ceremonię.

— Witaj w domu — usłyszał w odpowiedzi. — Długo cię nie było.

— Racja. Czy Kurik tu dotarł?

— Jakaś godzinę temu. — Jeden z rycerzy skinął głową. — Rozmawiał z Vanionem i już odjechał.

— Chodźmy do środka — zaproponował Sparhawk. — Potrzeba mi tego pokoju, o którym wspominałeś, i muszę zobaczyć się z Vanionem.

Dwaj rycerze zawrócili konie i powiedli przybysza przez zwodzony most.

— Czy Sephrenia nadal tu jest? — zapytał Sparhawk.

— Tak. Ona i mistrz Vanion przybyli tu z Demos zaraz po tym, jak królowa zachorowała.

— To dobrze. Z Sephrenią również muszę porozmawiać.

Cała trójka zatrzymała się przed bramą zamku.

— To jest pan Sparhawk, członek naszego zakonu — obwieścił jeden z rycerzy tym, którzy czekali przy bramie. — Sprawdziliśmy jego tożsamość i rękujemy za jego prawo wejścia do domu Rycerzy Pandionu.

— Przejeżdżaj więc, panie Sparhawk, i niech pokój zagości w twym sercu, gdy przekroczysz progi tego domostwa.

— Dziękuję ci, mości rycerzu, w twoim sercu niech również zagości pokój.

Rycerze rozstąpili się i Faran bez ponaglenia ruszył do przodu.

— Znasz rytuał równie dobrze jak ja, prawda? — mruknął Sparhawk.

Srokacz zastrzygł uszami.

Na głównym dziedzińcu nowicjusz, który nie miał jeszcze prawa do noszenia zbroi i ostróg, podszedł pośpiesznie i odebrał wodze Farana.

— Witamy, dostojny panie — powiedział.

Sparhawk zawiesił tarczę na łęku siodła i dzwoniąc zbroją zsiadł z konia.

— Dziękuję — odpowiedział. — Czy wiesz, gdzie znajduje mistrza Vaniona?

— Wydaje mi się, że jest w południowej wieży, dostojny panie.

— Dzięki jeszcze raz. — Sparhawk ruszył przez podwórzec, ale zaraz przystanął. — Och, uważaj na tego konia — ostrzegł. — On gryzie.

Nowicjusz wyglądał na zaskoczonego i ostrożnie odsunął się od wielkiego, odrażającego srokacza, nadal jednak trzymał pewnie jego wodze.

Koń rzucił Sparhawkowi ponure, nieprzyjazne spojrzenie.

— Tak będzie bardziej po sportowemu, Faranie — wyjaśnił rycerz i zaczął wchodzić po wydeptanych stopniach schodów prowadzących do wiekowego zamczyska.

Wewnątrz murów było zimno i mroczno. Kilku członków zakonu, których Sparhawk spotkał na korytarzu, nosiło — wedle zwyczaju panującego w bezpiecznej siedzibie — mnisie szaty, ale dający się słyszeć od czasu do czasu brzęk stali zdradzał, że pod habitami mieli kolczugi i broń. Nie wymieniano pozdrowień i bracia śpieszyli do swoich obowiązków z pochylonymi głowami i ukrytymi w cieniu kapturów twarzami.

Sparhawk przed jednym z nich uniósł otwartą dłoń — pandionici rzadko podawali sobie ręce.

— Wybacz, bracie — powiedział. — Może wiesz, czy mistrz Vanion jest nadal w południowej wieży?

— Tak, jest — odparł rycerz.

— Dziękuję, bracie. Niech pokój będzie z tobą.

— I z tobą, mości rycerzu.

Sparhawk ruszył dalej oświetlonym pochodniami korytarzem wkrótce doszedł do wąskich schodów, które pomiędzy ścianami wielkich surowych kamieni wiodły na południową wieżę. U szczytu schodów znajdowały się masywne drzwi, strzeżone przez dwóch młodych rycerzy. Sparhawk nie znał żadnego z nich.

— Muszę porozmawiać z mistrzem Vanionem — rzekł. — Nazywam się Sparhawk.

— Czy możesz potwierdzić swoją tożsamość? — zapytał jeden z nich siląc się, by jego młody głos zabrzmiał szorstko.

— Tylko co to zrobiłem.

Przez chwilę młodzieńcy usilnie starali się znaleźć godne wyjście z tej sytuacji.

— A może tak po prostu otwórzcie drzwi i powiedzcie Vanionowi, że tu jestem? — poradził Sparhawk. — Jeżeli mnie rozpozna, to wpuście mnie do środka. Jeżeli nie — możecie spróbować zrzucić mnie ze schodów — powiedział nie kładąc specjalnego nacisku na słowo „spróbować”.

Młodzi rycerze popatrzyli na siebie nawzajem, po czym jeden z nich otworzył drzwi i zajrzał do środka.

— Stokrotnie przepraszam, mistrzu Vanionie — usprawiedliwiał się — ale jest tu rycerz zakonny, który podaje się za Sparhawką. Mówi, że chce z tobą rozmawiać, szlachetny panie.

— Spodziewałem się go — odpowiedział znajomy głos. — Niech wejdzie. Zmieszani młodzieńcy usunęli się Sparhawkowi z drogi.

— Dziękuję, bracia — mruknął do nich Sparhawk. — Pokój z wami — dodał i wszedł do środka. Znalazł się w dużej komnacie o kamiennych ścianach. Wysokie, strzeliste okna przesłaniały ciemnozielone zasłony, a posadzkę zdobił brązowy dywan. W zasklepionym ostrym łukiem kominku płonął ogień. Masywne fotele stały wokół oświetlonego świecami stołu. Siedziało przy nim dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta.

Vanion, mistrz Zakonu Rycerzy Pandionu, trochę się postarzał w ciągu minionych dziesięciu lat. Jego włosy i broda przybrały stalowoszary kolor. Więcej zmarszczek pokrywało mu twarz, lecz nie znać było na niej słabości. Na widok wchodzącego Sparhawk podniósł się i wyszedł zza stołu.

— Zastanawiałem się właśnie, czy nie potrzebujesz wsparcia tam, w pałacu — powiedział obejmując odzianego w zbroję Sparhawk. — Wiesz, że nie powinienś być iść sam.

— Może i nie powinienem, ale wszystko poszło dobrze. — Sparhawk położył na stole rękawice i hełm. Odpiął miecz i ułożył go obok. — Cieszę się, że cię znowu widzę, mistrzu — rzekł ujmując dłoń starca. Vanion zawsze był wymagającym nauczycielem, nie tolerującym niedociągnięć u młodych, których przygotowywał do zajęcia miejsca w szeregach rycerzy zakonnych. Sparhawk prawie znienawidził tego człowieka w okresie swojego nowicjatu, ale teraz uważał surowego mistrza za jednego ze swoich najbliższych przyjaciół i uścisk ich dłoni był ciepły, a nawet serdeczny.

Następnie rosty rycerz odwrócił się do kobiety. Była niska, drobna, lecz jej postać cechowała ta szczególnie, miła dla oka doskonałość, jaką można spotkać u ludzi podobnej budowy. Nosiła miękką białą szatę, miała włosy ciemne niczym noc i szafirowe oczy. Jej rysy z pewnością nie były typowe dla Elenów i sprawiały dziwnie egzotyczne wrażenie. Od pierwszego spojrzenia można w niej było poznać Styriczkę. Na stole przed nią leżała otwarta gruba księga.

— Sephrenio — powitał ją ciepło — pięknie wyglądasz. — Ucałował jej dłoń w rytualnym geście powitalnym Styrików.

— Długo cię nie było, Sparhawk — odpowiedziała łagodnym, śpiewnym głosem.

— Pobłogosławisz mnie, mateczko? — zapytał z uśmiechem. Uklęknął. Zwracał się do niej zgodnie ze styrickim zwyczajem, odzwierciedlającym ten szczególny rodzaj zażyłości łączący nauczyciela i ucznia, jaki istniał od niepamiętnych czasów.

— Z przyjemnością. — Delikatnie ujęła w dłonie jego twarz i wypowiedziała po styricku rytualne błogosławieństwo.

— Dziękuję — rzekł po prostu.

A ona uczyniła coś, co robiła bardzo rzadko. Wciąż trzymając jego twarz w dłoniach pochyliła się i pocałowała go lekko.

— Witaj w domu, mój drogi — wyszeptwała.

— Cieszę się, że wróciłem — odpowiedział. — Tęskniłem za tobą.

— Pomimo to, że beształam cię, gdy byłeś chłopcem? — zapytała uśmiechając się ze słodyczą.

— Besztanie nie boli tak bardzo. — Zaśmiał się. — Pod pewnymi względami tęskniłem nawet za tym.

— Myślę, że przynajmniej z nim jednym poradziłyśmy sobie, Vanionie — zwróciła się do mistrza. — Między nami mówiąc, zrobiliśmy z niego dobrego pandionitę.

— Jednego z najlepszych — zgodził się Vanion. — Mam wrażenie, że przy tworzeniu reguły zakonu myślano o podobnych Sparhawkowi.

Sephrenia w Zakonie Rycerzy Pandionu zajmowała bardzo szczególną pozycję. Pojawiła się przed bramą zakonnego klasztoru w Demos po śmierci styryckiego nauczyciela, który wprowadzał nowicjuszy w tajniki tego, co Styrycy określali jak sekrety. Nie została ani wybrana, ani wezwana, lecz po prostu pojawiła się i przejęła obowiązki swojego poprzednika.

Eleni zazwyczaj pogardzali Styrykami i obawiali się tych dziwnych, obcych ludzi, mieszkających w małych, prymitywnych chatkach rozrzuconych grupkami daleko w lasach i górach. Styrycy oddawali cześć dziwnym bogom i uprawiali magię. Przez stulecia krążyły wśród mniej oświeconych warstw społeczeństw niemal całej Eosii niesamowite historie o tajemnych rytuałach, w których jakoby wykorzystywano krew i ciała Elenów. Od czasu do czasu pod wpływem tych opowieści bandy pijanych wieśniaków wyrzynały w pień osady bezbronnych Styryków. Kościół odcinał się od tych okropności. Rycerze Kościoła, którzy poznali bliżej i szanowali swoich egzotycznych nauczycieli, bardziej zdecydowanie wyrażali swą dezaprobatę dając powszechnie do zrozumienia, że nie spowodowane ataki na siedziby Styryków spotkają się z szybkim i równie okrutnym odwetem. Jednak mimo tej ochrony każdy Styryk, który pojawiał się w wiosce lub mieście Elenów, mógł spodziewać się wyzwisk i obelg, a nierzadko gradu odpadków i kamieni. Tak więc Sephrenia przybywając do Demos narażała się na pewne ryzyko. Motywy jej decyzji nie były jasne, ale przez lata służyła wiernie pandionitom, a oni pokochali ją i zaczęli darzyć szacunkiem. Nawet Vanion, mistrz zakonu, często zasięgał jej rady.

Sparhawk spojrzął na leżącą na stole księgę.

— Książka, Sephrenio? — zapytał z udanym zdziwieniem. — Czyżby w końcu Vanion przekonał cię do nauki czytania?

— Wiesz, co sędzę o tych praktykach. Oglądam czasem obrazki — wskazała na barwnie iluminowaną stronicę. — Zawsze lubiłam jaskrawe kolory.

Sparhawk przysunął sobie fotel i usiadł ze szczękiem zbroi.

— Widziałeś Ehlane? — zapytał Vanion, zajmując z powrotem swoje miejsce za stołem.

— Tak. — Sparhawk spojrział na Sephrenię. — Jak to uczyniłaś, mateczko? W jaki sposób otoczyłaś ją tym kryształem?

— To jest dość trudne. — Umilkła i popatrzyła na niego badawczo. — Być może jesteś już do tego gotów — wyszeptała, po czym podniosła się z fotela. — Podejdź tu, Sparhawk — rzekła zbliżając się do kominka.

Zakłopotany wstał i podążył za nią.

— Spójrz w płomień, mój drogi — powiedziała łagodnie, zwracając się do niego w ten dziwny, styricki sposób, jakiego zawsze używała wobec Sparhawa, gdy był jej uczniem.

Powolny słowom Sephrenii skierował wzrok na ogień. Usłyszał cichy szept w języku Styrików, a potem czarodziejka wsunęła wolno dłoń w płomień. Rycerz bezwiednie opadł na kolana, nie odrywając oczu od ognia.

W płomieniach coś się poruszyło. Sparhawk zbliżył twarz do kominka i wpatrywał się uważnie w małe jęczyczki ognia, tańczące na końcu zwęglonego dębowego polana. Płomienie stawały się coraz bardziej niebieskie, aż rozmyły się w iskrzącą, błękitną mgiełkę. Zdawało mu się, że widzi jakieś postacie drżące w trzaskającym ogniu. Obraz robił się coraz wyraźniejszy i rycerz nagle ujrzał salę tronową w odległym o całe ligi pałacu. Dwunastu rycerzy Zakonu Pandionu odzianych w czarne zbroje szło po kamiennej posadzce niosąc szczupłą, młodą dziewczynę. Nie spoczywała na noszach, lecz na dwunastu błyszczących ostrzach mieczy, trzymanyh pewnie przez dwunastu mężczyzn z opuszczonymi przyłbicami. Pochód stanął u stóp tronu. Z cienia wysunęła się ubrana w białą szatę Sephrenia. Podniosła jedną rękę i wydawało się, że coś mówi, ale Sparhawk słyszał tylko trzask ognia. Dziewczyna usiadła wstrząsana silnymi konwulsjami. To była Ehlana. Miała wykrzywioną twarz i nieobecne, szeroko otwarte oczy.

Sparhawk bez namysłu wyciągnął ku niej rękę, kładąc dłoń prosto w ogień.

— Nie! — powiedziała ostro Sephrenia, odciągając jego ramię. — Wolno ci tylko patrzeć.

Jakby posłuszna nie wypowiedzianemu rozkazowi drobnej postaci w białej szacie, Ehlana, drżąc cała, podniosła się i stanęła chwiejnie. Sephrenia wskazała na tron i królowa potykając się, wstąpiła po stopniach, by zająć należne jej miejsce.

Sparhawk płakał. Próbował znów sięgnąć ku Ehlanie, ale Sephrenia powstrzymała jego rękę delikatnym dotknięciem, które miało siłę żelaznego łańcucha.

— Patrz dalej, mój drogi — szepnęła.

Dwunastu rycerzy uformowało krąg wokół siedzącej na tronie królowej i stojącej u jej boku postaci w białej szacie. Rycerze z czcią wyciągnęli swoje miecze tak, że kobiety na podium znalazły się w stalowym kole. Sephrenia podniosła ramiona i przemówiła. Sparhawk wyraźnie widział jej skupioną, napiętą twarz, gdy

wypowiadała słowa zaklęcia, którego nie był w stanie pojąć.

Koniec każdego z dwunastu mieczy zaczął się jarzyć początkowo słabo, potem coraz jaśniej, aż w końcu całe podium skąpane było w srebrzystobiałym świetle. Blask bijący z ostrzy wydawał się stapiać dookoła Ehlany i jej tronu. Wtedy Sephrenia wymówiła jedno słowo opuszczając ramiona w bolesnym geście. W tej samej chwili światło otaczające Ehlanę zestaliło się i królowa została zamknięta w kryształ. Sala tronowa wyglądała teraz tak, jak dzisiejszego ranka, kiedy wszedł do niej Sparhawk. W ogniu kominka sylwetka Sephrenii jak zwiędły kwiat opadła na podium u stóp tronu.

Łzy płynęły strumieniami po obliczu Sparhawk. Sephrenia delikatnie przytuliła do piersi głowę rycerza.

— To nie jest łatwe, Sparhawk — pocieszała go. — Patrzenie w ogień otwiera serce i wyzwala w nas prawdę. Jesteś o wiele bardziej delikatny, niż chciałbyś, byśmy sądzili.

— Jak długo kryształ będzie mógł ją utrzymać przy życiu? — zapytał. Otarł oczy wierzchem dłoni.

— Tak długo, jak długo my — trzynaście osób obecnych przy rzucaniu zaklęcia — będziemy żyli — odpowiedziała Sephrenia. — Najwyżej rok, według waszej miary czasu. — Rycerz patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma. — To nasze siły trzymają ją przy życiu. Po upływie określonego czasu będziemy po kolei odchodzić, przekazując jednemu brzemie. Kiedy każdy z nas zrobi już wszystko, co było w jego mocy — twoja królowa umrze.

— Nie! — krzyknął Sparhawk i spojrzał na Vaniona. — Czy ty też tam byłeś? Vanion skinął głową.

— Kto jeszcze? — zapytał Sparhawk.

— Nie musisz tego wiedzieć — odpowiedział mistrz. — Wszyscy poszliśmy dobrowolnie i wiedzieliśmy, na co się narażamy.

— Kto przejmie brzemie, o którym wspomniałaś? — Sparhawk znów zwrócił się do Sephrenii.

— Ja.

— Wciąż jeszcze nie podjęliśmy decyzji — sprzeciwił się Vanion. — Każdy spośród tych, którzy tam byli, może to uczynić.

— Nie, jak długo nie zmienimy zaklęcia, Vanionie — w jej głosie brzmiało zadowolenie.

— Ta sprawa nie jest jeszcze postanowiona — powiedział mistrz.

— Ale po co to zrobiliście? — zapytał Sparhawk. — Wszystko, czego dokonaliście, to darowaliście jej jeden rok życia za okrutną cenę — a ona nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

— Jeżeli odkryjemy przyczynę jej choroby i znajdziemy lekarstwo, zaklęcie będzie można cofnąć — odparła Sephrenia. — Utrzymujemy ją przy życiu, by zyskać na czasie.

— Czy wiemy już, na co zachorowała?

— Pracują nad tym wszyscy lekarze w Elenii — rzekł Vanion — i wezwałem innych z różnych części Eosii. Sephrenia rozważa możliwość, iż choroba nie jest naturalnego pochodzenia. Natknęliśmy się na pewne kłopoty. Dworscy medycy odmówili współpracy.

— A więc wróć do pałacu — powiedział Sparhawk ponuro. — Może uda mi się ich przekonać, by nam pomogli.

— Już o tym pomyśleliśmy, ale Annias pilnie ich strzeże.

— O co chodzi prymasowi? — wybuchnął ze złością Sparhawk. — Chcemy tylko, by Ehlana wróciła do zdrowia. Czemu więc ciska nam kłody pod nogi? Czyżby pragnął tronu dla siebie?

— On chyba myśli o wyższym tronie — powiedział Vanion. — Arcyprałat Cluvonus jest stary i słabego zdrowia. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby Annias wierzył, że może przypaść mu w udziale mitra arcyprałata.

— Annias? Arcyprałatem? Vanionie, ależ to absurd!

— W życiu jest wiele absurdów, Sparhawk. Oczywiście wszystkie zakony rycerskie są przeciwne Anniasowi, a z naszym zdaniem hierarchowie Kościoła liczą się, ale prymas ma w swoich rękach skarbiec Elenii i chętnie rozdaje łapówki. Ehlana mogłaby odsunąć go od skarbcza, lecz zachorowała. Być może dlatego nie zależy mu na jej wyzdrowieniu.

— I chce posadzić na tronie zamiast niej bękarta Arissy? — Sparhawk z każdą chwilą robił się coraz bardziej zły. — Vanionie, właśnie widziałem Lycheasa. On jest jeszcze słabszy — i głupszy — niż król Aldreas. A poza tym on jest z nieprawego łoża.

— Uchwała Rady Królewskiej może zalegalizować jego pochodzenie. — Vanion rozłożył ręce. — Annias rządzi radą.

— Nie całą. — Sparhawk zgrzytnął zębami. — Formalnie ja również jestem członkiem rady i myślę, że gdyby zaszła potrzeba, byłbym w stanie powstrzymać niektórych głosujących. Jeden czy drugi publiczny pojedynek mógłby zmienić ich poglądy.

— Jesteś popędliwy, Sparhawk — rzekła Sephrenia.

— Nie, jestem zły. Czuję, że mógłbym zrobić pewnym osobom krzywdę.

— Nie możemy jeszcze podjąć żadnej decyzji. — Vanion westchnął. Potem potrząsnął głową i przeszedł do innej sprawy. — Co naprawdę dzieje się w Rendorze? — Raporty Vorena były ostrożne na wypadek, gdyby dostały się w ręce nieprzyjaciela.

Sparhawk wstał i podszedł do parapetu jednego z okien, czarny płaszcz falował wokół jego stóp przy każdym kroku. Rycerz wyjrzał przez okno. Niebo nadal było pokryte brudnoszarymi chmurami, a Cimmura wydawała się kulić pod uderzeniami wiatru, jakby przygotowując się do przetrwania następnej zimy.

— Tam jest gorąco i sucho, i jest mnóstwo pyłu. — Sparhawk zadumał się, mówiąc jakby do siebie. — Słoneczny blask odbity od ścian razi w oczy. Wczesnym porankiem, zanim jeszcze wstanie słońce i gdy niebo jest niczym płynne srebro, kobiety z zasłoniętymi twarzami, ubrane w czarne szaty, dźwigając na ramionach gliniane dzbany podążają cichymi ulicami do studni.

— Nie doceniłam cię, Sparhawk — powiedziała Sephrenia swoim melodyjnym głosem. — Masz duszę poety.

— Nieprawda. Trzeba być w Rendorze, by móc zrozumieć, co się tam dzieje. Słońce niczym młot spada na głowę, a powietrze jest tak gorące i suche, że nie sposób myśleć. Rendorczyce poszukują najprostszych odpowiedzi. Słońce nie sprzyja rozmyślaniom. To mogłoby wyjaśnić fenomen Eshanda. Prosty pasterz z na wpół upieczonym mózgiem był idealnym człowiekiem, na którego miało spłynąć boże objawienie. Myślę, że tylko dzięki słońcu eshandyjska herezja tak szybko się rozprzestrzeniła. Ci biedni głupcy zaakceptowaliby każdą ideę, bez względu na to jak byłaby absurdalna, byle tylko ruszyć się z miejsca i mieć nadzieję na znalezienie odrobiny cienia.

— To bardzo ciekawe spojrzenie na ruch, który wywołał trzystuletnią wojnę w całej Eosii — zauważył Vanion.

— Powinieneś sam tego doświadczyć — powiedział Sparhawk, wracając na swoje miejsce za stołem. — W każdym razie jeden z tych upieczonych na słońcu entuzjastów pojawił się w Dabourze około dwudziestu lat temu.

— Arasham? — domyślił się Vanion. — Słyszeliśmy o nim.

— Tak każe na siebie mówić, choć naprawdę nazywa się inaczej. Przywódcy religijni, by przypodobać się swoim wyznawcom, często zmieniają imiona. O ile wiem, Arasham jest niewykształconym, nie domytnym fanatykiem, który w małym stopniu zdaje sobie sprawę z tego, co się wokół niego dzieje. To osiemdziesięcioletni starzec, który ma widzenia i słyszy głosy, jego wyznawcy zaś są głupszy od swoich baranów. Z ochotą zaatakowałby królestwa Północy — gdyby tylko potrafili określić, gdzie jest północ. Zresztą na ten temat toczą się w Rendorze poważne debaty. Na własne oczy widziałem paru tych heretyków. Spędzają oni sen z powiek hierarchów w Chyrellos, a w rzeczywistości są to wyjący na pustyni derwisze, nędznie uzbrojeni i niewprawni w rzemiośle wojennym. Prawdę mówiąc, Vanionie, bardziej martwiłbym się następnym atakiem zimy niż jakimkolwiek powstaniem eshandistów w Rendorze.

— Mocno powiedziane.

— Zmarnowałem dziesięć lat życia tropiąc nie istniejące niebezpieczeństwo. Mam nadzieję więc, że wybaczycie mi moją gorycz.

— Z czasem nabędziesz cierpliwości, Sparhawk. — Sephrenia uśmiechnęła się. — Z chwilą, gdy osiągniesz dojrzałość.

— Myślałem, że już ją osiągnąłem.

— Nawet nie w połowie.

— A ile ty masz lat, Sephrenio? — zapytał szczerząc zęby w uśmiechu.

— Dlaczego wy, pandionici, zawsze pytacie o to samo? — Czarodziejka spojrzała na niego z rezygnacją. — Wiesz, że ci nie odpowiem, więc po prostu przyjmij do wiadomości, że jestem starsza od ciebie i nie zwracaj tym sobie głowy.

— Jesteś starsza również ode mnie — dodał Vanion. — Byłem twoim uczniem, gdy miałem tyle lat, co ci chłopcy pilnujący moich drzwi.

— Czy wyglądam aż tak staro?

— Sephrenio, moja droga, jesteś młoda niczym wiosna i mądra niczym zima. Wiesz przecież, że wszystkich nas rozkochałaś w sobie. Odkąd cię znamy, najcudowniejsze panny nie mają dla nas uroku.

— Czyż on nie jest miły? — Czarodziejka uśmiechnęła się do Sparhawk. — Z pewnością nie ma na świecie większego pochlebcy od niego.

— Posłuchałabyś, co ma do powiedzenia, gdy podczas ćwiczeń nie trafisz włócznią w cel — odparł cierpko Sparhawk i poprawił na ramionach ciężką zbroję. — Co jeszcze słyhać? Długo mnie tu nie było i jestem ciekaw nowin.

— Otha zbiera armię — rzekł Vanion. — Wieści, które napływają z Zemochu, głoszą, że skierował on swoją uwagę na wschód, na Daresię i cesarstwo Tamul, ale mamy co do tego trochę wątpliwości.

— A ja mam nawet więcej niż trochę — zgodziła się Sephrenia. — Zachodnie królestwa nagle zapełniły się styrickimi włóczęgami, którzy obozują na skrzyżowaniach dróg i obnoszą się z pierwotnymi bogami Styricum. Żadna z lokalnych grup Styrików nie przyznaje się do nich. Dla jakiejś przyczyny cesarz Otha i jego okrutny bóg zalewają nas potokiem szpiegów, a Azash kiedyś już pognął Zemochów do ataku na zachód. Tu jest ukryte coś, czego on desperacko pożąda, a czego nie znajdzie w Daresii.

— Zemosi już nieraz zbierali armię — powiedział Sparhawk lekceważąco. — Nic z tego nigdy nie wynikło.

— Sądzę, że teraz sytuacja może być poważniejsza — stwierdził Vanion. — Poprzednio Otha gromadził wojska zawsze na granicy, a gdy nasze cztery zakony rycerskie wyruszały mu na spotkanie z Lamorkandii, rozpuszczał armię. On nas tylko sprawdzał. Tym razem jednak gromadzi swoje oddziały za górami, można powiedzieć — po kryjomu.

— Niech tu tylko przyjdzie — rzekł Sparhawk ponuro. — Powstrzymaliśmy go pięćset lat temu, powstrzymamy go i teraz, jeśli będzie potrzeba.

Vanion potrząsnął głową.

— Nie chcemy, by wróciło to, co się stało po bitwie nad jeziorem Randera — stulecie głodu i zarazy, całkowity upadek cywilizacji. Nie, mój przyjacielu, tego nie chcemy.

— Jeżeli tylko uda nam się tego uniknąć — dodała Sephrenia. — Jestem Styriczką i o wiele lepiej niż wy, Eleni, zdaję sobie sprawę jak okrutny i zły jest

Starszy Bóg Azash. Jeżeli ponownie ruszy na zachód, będziemy musieli go powstrzymać bez względu na koszty.

— Do tego właśnie zostali powołani Rycerze Kościoła — powiedział Vanion. — Teraz jednak wszystko, co możemy zrobić, to obserwować posunięcia Othy.

— Coś sobie właśnie przypomniałem — odezwał się Sparhawk. — Gdy ostatniej nocy wjeżdżałem do miasta, widziałem Kragera.

— Tu, w Cimmurze? — zdziwił się Vanion. — Myślisz, że jest z nim Martel?

— Chyba nie. Krager jest jego chłopcem na posyłki. To Adusa Martel nie spuszcza z oka. — Zmarszczył brwi. — A co dotarło do was na temat incydentu w Cyprii?

— Słyszeliśmy, że Martel napadł cię w ciemnym zaułku — odpowiedział Vanion — i to wszystko.

— Nie, to nie wszystko. Aldreas wysłał mnie do Cyprii i kazał zgłosić się do konsula Elenii — dyplomaty, który przypadkowo był kuzynem prymasa Anniasa. Konsul wezwał mnie do siebie późnym wieczorem. Szedłem właśnie do jego domu, gdy Martel, Adus i Krager — wraz z kilkoma miejscowymi zabijakami — wypadli na mnie z bocznej uliczki. Nie mogli wiedzieć, iż będę tamtędy przechodził, chyba że ktoś im o tym powiedział. Dodajmy do tego fakt, że Krager jest znów w Cimmurze, chociaż za jego głowę wyznaczono tu nagrodę, a możemy dojść do ciekawych wniosków.

— Sądysz, że Martel pracuje dla prymasa?

— A nie uważasz, że to możliwe? Annias nie był zbyt zadowolony, że mój ojciec nakłonił Aldreasa do zarzucenia pomysłu poślubienia własnej siostry i prawdopodobnie uznał, iż będzie miał tu, w Elenii, swobodę działania, jeżeli ród Sparhawków wygaśnie w zaułku Cyprii. Oczywiście, Martel ma swoje powody, by mnie nie lubić. Doprawdy, jestem zdania, że popełniłeś błąd, mistrzu. Oszczędziłbyś nam mnóstwa kłopotów, gdybyś nie rozkazał mi wtedy cofnąć wyzwania.

— Nie. — Vanion potrząsnął głową. — Martel był naszym bratem zakonnym i nie chciałem, byście toczyli pojedynek na śmierć i życie. A poza tym nie byłem całkiem pewien, kto by zwyciężył. Martel jest bardzo niebezpieczny.

— Ja również.

— Nie chcę, byś podejmował niepotrzebne ryzyko. Jesteś zbyt cenny.

— No cóż, teraz już za późno, by się tym martwić.

— Co planujesz?

— Powinienem zostać tu, w siedzibie zakonu, ale mam ochotę pokręcić się trochę po mieście. Może znowu natknę się na Kragera. Chciałbym go zobaczyć z kimkolwiek pracującym dla Anniasa. Miałbym wówczas odpowiedź na kilka dręczących mnie pytań.

— Może powinieneś trochę poczekać — doradziła Sephrenia. — Kalten jest już w drodze z Lamorkandii.

— Kalten? Nie widziałem go całe lata.

— Posłuchaj Sephrenii — radził Vanion. — Kalten dobrze sobie radzi w ulicznych awanturach, a ulice Cimmury mogą się okazać równie niebezpieczne, jak zaułki Cipprii.

— Kiedy spodziewacie się jego przyjazdu?

— Wkrótce. — Vanion wzruszył ramionami. — Może nawet dzisiaj.

— W takim razie zaczekam na niego. — Wtem przyszedł Sparhawkowi do głowy pewien pomysł. Uśmiechnął się do swojej nauczycielki i wstał.

— Co masz zamiar zrobić, Sparhawk? — spytała podejrzliwie.

— Och, nic takiego — odparł, po czym wymawiając styryckie słowa zaczął wykonywać dłońmi dziwne gesty. Dokończył budowy zaklęcia, uwolnił je i wyciągnął rękę. Powietrze zadrżało, przygasły płomyki świec i ogień na kominku. Gdy w komnacie znów zrobiło się jasno, Sparhawk trzymał w dłoni bukiet fiołków. — Dla ciebie, mateczko — powiedział kłaniając się lekko i podając jej kwiaty — ponieważ cię kocham.

— Dziękuję, Sparhawk. — Sephrenia uśmiechnęła się. — Spośród wszystkich moich uczniów ty zawsze miałeś najciekawsze pomysły. Jednakże — zwróciła mu uwagę — źle wymówiłeś *staratha*. Jeszcze chwila, a twoje dłonie napełniłyby się węzami.

— Będę ćwiczył — obiecał.

— Staraj się.

Rozległo się pełne szacunku pukanie do drzwi.

— O co chodzi? — zapytał Vanion.

Do komnaty wszedł młody rycerz.

— Przybył posłaniec z pałacu, mistrzu Vanionie. Mówi, że ma rozkaz dla pana Sparhawk.

— Czegóż oni teraz chcą? — mruknął Sparhawk.

— Niech wejdzie — polecił Vanion młodemu rycerzowi.

— W tej chwili, mistrzu.

Posłaniec miał znajomą twarz. Jego jasne włosy wciąż były elegancko ufryzowane. Szafranowy kubrak, lawendowe nogawice, brązowe ciżmy i soczyście zielony płaszcz nadal się wściekle ze sobą gryzły. Jednakże twarz młodego fircyka wzbogaciła się o zupełnie nową ozdobę. Na samym czubku jego piegowatego nosa znajdował się duży i sprawiający wrażenie niezwykle bolesnego czyrak. Dworzanin bez większego powodzenia starał się go przesłonić koronkową chusteczką skłaniając się elegancko przed Vanionem.

— Mistrzu, księżę regent przesyła ci wyrazy szacunku.

— Proszę, przekaz mu również moje uszanowanie — odpowiedział Vanion.

— Z całą pewnością nie omieszkać tego uczynić, szlachetny panie. — Elegancik zwrócił się następnie do Sparhawk. — Mam dla ciebie wiadomość, mości rycerzu.

— A więc mów — rzekł Sparhawk z przesadną kurtuazją. — Moje uszy czekają niecierpliwie na twoją wiadomość.

Fircyk zignorował to. Wyciągnął spod kubraka pergamin i odczytał z namaszczaniem:

— Jego wysokość królewskim dekretem rozkazuje ci natychmiast pojechać do klasztoru Zakonu Rycerzy Pandionu w Demos i oddać się tam religijnym praktykom do czasu, aż raczy ponownie wezwać cię do pałacu.

— Ach, tak... — Sparhawk pokiwał głową.

— Czy zrozumiałeś wiadomość, mości Sparhawk? — zapytał fircyk podając mu pergamin. Rycerz nie zadał sobie trudu przeczytania dokumentu.

— Była zupełnie jasna. Spełniłeś swoją misję w godny pochwały sposób. — Wbił wzrok w wyperfumowanego młodzieńca. — Jeżeli pozwolisz, dam ci radę, ziomku. Pokaż ten czyrak chirurgowi. Powinno się go szybko naciąć, bo będzie rósł dalej i w końcu nic nie będziesz widział.

Fircyk drgnął na słowo „naciąć”.

— Naprawdę tak uważasz, dostojny panie? — zapytał z boleścią w głosie, opuszczając chusteczkę. — Może okłady...

Sparhawk pokręcił głową.

— Nie, ziomku — powiedział z fałszywym współczuciem. — Mogę ci prawie zagwarantować, że okłady nic tu nie pomogą. Nacięcie jest jedynym ratunkiem.

Dworzanin wyraźnie posmutniał. Skłonił się i wyszedł.

— Sparhawk, czy to ty go tym uszczęśliwiłeś? — zapytała podejrzliwie Sephrenia.

— Ja...? — Rycerz spojrzał na nią z niewinną miną.

— Ktoś mu to zrobił. To nie jest naturalny wykwit.

— No, no... — Sparhawk zdziwił się. — Coś takiego.

— I co teraz? — odezwał się Vanion. — Czy zamierzasz usłuchać rozkazów bękarta?

— Oczywiście, że nie — zachnął się Sparhawk. — Mam tu, w Cimmurze, zbyt wiele do zrobienia.

— Bardzo go rozzłościł. — Tak?

Rozdział 4

Sparhawk dzwoniąc ostrogami wyszedł na dziedziniec zamku. Niebo znowu było pochmurne. Rycerz uważnie przyjrzał się nowicjuszowi, który przyprowadził ze stajni Farana. Był to osiemnastoletni, wysoki młodzieniec w szarej tunice.

— Jak się nazywasz? — zapytał go Sparhawk.

— Berit, dostojny panie.

— Jaka pełnisz tu funkcję?

— Nie przydzielono mi jeszcze konkretnych obowiązków. Po prostu próbuję być użyteczny.

— Dobrze. Obróć się.

— Dostojny panie...?

— Chcę ci się przyjrzeć.

Nowicjusz wyglądał na zmieszanego, ale zrobił, co mu kazano. Sparhawk zmierzył dłońmi szerokość jego pleców. Berit był krzepkim młodzieńcem, choć sprawiał wrażenie kościstego.

— Będziesz pasował — stwierdził rycerz.

Berit odwrócił się zakłopotany.

— Udasz się w podróż — rzekł mu Sparhawk. — Spakuj wszystko, czego będziesz potrzebował, a ja tymczasem pojedę po człowieka, z którym wyruszysz.

— Stanie się wedle twojej woli, dostojny panie — odparł młodzieniec kłaniając się z szacunkiem.

Sparhawk schwycił za łęk siodła i podciągnął się na grzbiet Farana. Berit podał mu wodze. Rycerz trącił lekko ostrogami rosłego srokacza i rumak ruszył stępą przez dziedziniec. Sparhawk odpowiedział na pozdrowienia rycerzy przy bramie, przejechał zwodzony most i przez wschodnią bramę wjechał do miasta.

Na ulicach Cimmury zobaczył mrowie ludzi. Tragarze dźwigający duże paki zawinięte w zgrzebne płótno torowali sobie drogę w wąskich zaułkach. Kupcy ubrani tradycyjnie na niebiesko stali w wejściach do swoich sklepów pełnych towarów wabiących oczy jaskrawymi kolorami. Od czasu do czasu przejeżdżał wóz, turkocząc kołami po bruku. W pobliżu skrzyżowania dwóch wąskich uliczek marszerował z arogancką pewnością siebie oddział żołnierzy gwardii kościelnej ubra-

nych w szkarłatne liberie. Sparhawk nie ustąpił im drogi i parł prosto równym kłusem. Gwardziści niechętnie rozstąpili się i usunęli na bok robiąc mu miejsce.

— Dziękuję, ziomkowie — powiedział Sparhawk uprzejmie.

Nie odpowiedzieli.

— Powiedziałem: dziękuję, ziomkowie. — Rycerz zatrzymał Farana.

— Proszę bardzo — odparł jeden z nich ponuro.

Sparhawk czekał.

— ...dostojny panie — dodał niechętnie żołnierz.

— O wiele lepiej, przyjacielu. — Sparhawk ruszył dalej.

Brama zajazdu była zamknięta. Sparhawk pochylił się i pięścią w rękawicy zapukał w belki. Otworzył mu odźwierny. Nie był to ten sam rycerz, co poprzedniego wieczoru. Sparhawk zsunął się z grzbietu Farana i podał furtianowi wodze.

— Będiesz go jeszcze potrzebował, dostojny panie? — zapytał rycerz pełniący wartę przy bramie.

— Tak, mości rycerzu. Zaraz wracam. Czy mógłbyś osiodłać konia mojego giermka?

— Oczywiście, dostojny panie.

— Będę ci wdzięczny. — Sparhawk położył rękę na szyi Farana. — Zachowuj się dobrze — polecił koniowi.

Srokacz odwrócił łeb z wyrazem zranionej dumy.

Dzwoniąc ostrogami Sparhawk wspiął się na schody. Zastukał do drzwi.

— No? Jak poszło? — zapytał Kurik wpuszczając go do izby.

— Nieźle.

— W każdym razie uszedłeś z życiem. Widziałeś królową?

— Tak.

— O, to niespodzianka.

— Można powiedzieć, że nalegałem. Czy mógłbyś się spakować? Wracasz do Demos.

— Nie powiedziałeś „my”, Sparhawk.

— Ja zostaję tutaj.

— Przypuszczam, że masz ku temu ważne powody.

— Lycheas rozkazał, bym pojechał do klasztoru. A ja, między nami mówiąc, zamierzam to zignorować i pokręcić się trochę po Cimmurze, ale nie chcę być śledzony. W zamku jest nowicjusz z postury podobny do mnie. Ubierzemy go w moją zbroję i wsadzimy na Farana. Potem obaj z wielką pompą odjedziecie do Demos. Jeśli tamten będzie miał opuszczoną przyłbicę, to szpiedzy prymasa pomyślą, że usłuchałem rozkazu.

— Może się powiedzie. Nie podoba mi się tylko, że zostaniesz tu sam.

— Nie będę sam. Kalten ma przybyć dziś lub jutro.

— To już trochę lepiej. Kalten jest bardziej rozważny. — Kurik zawahał się. — Myślałem, że przebywa na wygnaniu w Lamorkandii. Kto rozkazał mu wracać?

— Vanion nie wspominał nic na ten temat, ale wiesz przecież, jaki jest Kalten. Może po prostu nudziło mu się w Lamorkandii i postanowił coś zrobić na własną rękę.

— Jak długo mam pozostać w Demos? — zapytał giermek pakując swoje rzeczy.

— Najwyżej miesiąc. Drogi będą z pewnością pod obserwacją. Dam ci znać. Potrzebujesz pieniędzy?

— Ja zawsze potrzebuję pieniędzy, Sparhawk.

— Sakiewka jest w kieszeni bluzy. — Rycerz wskazał na swoją podróżną odzież wiszącą na oparciu krzesła. — Weź, ile ci trzeba.

Kurik uśmiechnął się szeroko.

— Zostaw mi trochę — uprzedził Sparhawk.

— Oczywiście, dostojny panie. — Giermek schylił głowę w żartobliwym ukłonie. — Mam spakować również twoje rzeczy?

— Nie. Wrócę tu po przyjeździe Kaltena. Trudno niepostrzeżenie wchodzić i wychodzić z siedziby zakonu. Czy tylne wejście wiodące do obozowiska jest nadal otwarte?

— Było wczoraj. Czasami tam wpadam.

— Tak też myślałem.

— Człowiek musi mieć jakieś przywary, Sparhawk. Przynajmniej podczas nabożeństwa mam za co bić się w pierś.

— Jak Aslade dowie się, że pijesz, to gotowa jeszcze podpalić ci brodę.

— A więc chyba. powinniśmy zrobić wszystko, by się o tym nie dowiedziała, prawda, dostojny panie?

— Dlaczego ja zawsze muszę być zamieszany w twoje rodzinne sprawy?

— To pozwala ci nie tracić kontaktu z rzeczywistością. Ożeń się, Sparhawk. Gdy będziesz miał żonę, inne kobiety przestaną zwracać na ciebie uwagę. Mężczyzna żonaty jest bezpieczny. Kawaler stanowi ciągłe wyzwanie dla każdej białogłowy.

Pół godziny później Sparhawk i jego giermek zeszli na podwórzec, dosiedli koni i przejechali przez bramę. Podkowy ich wierzchowców dzwoniły po brukowanych ulicach. Skierowali się ku wschodniej bramie miasta.

— Jesteśmy obserwowani, zauważyłeś to? — spytał Kurik cicho.

— Mam nadzieję, że ten ktoś nas nie spuszcza z oka — odparł rycerz. — Nie znoszę kręcenia się w kółko dla zwrócenia czyjejś uwagi.

Dopełnili rytuałów przy zwodzonym moście przed zamkiem. Na dziedzińcu czekał na nich Berit.

— To jest Kurik — powiedział mu Sparhawk zsiadając z konia. — Pojedziecie obaj do Demos. Kuriku, ten młodzieniec nazywa się Berit.

Giermek dokładnie przyjrzał się nowicjuszowi.

— Jest podobnie zbudowany jak ty — zauważył. — Może będę musiał skrócić kilka rzemyków, ale twoja zbroja powinna na niego pasować.

— Tak też myślałem.

Podszedł inny nowicjusz i wziął wodze obu wierzchowców.

— Chodźcie ze mną — powiedział Sparhawk. — Powiemy Vanionowi, co zamierzamy zrobić, a potem odziejemy w zbroję mojego sobowtóra.

Berit drgnął zaskoczony.

— Stałeś się ważny — rzekł mu Kurik. — Widzisz, jak szybko można awansować w naszym zakonie? Wczoraj nowicjusz, a dziś Obrońca Korony.

— Wszystko ci wyjaśnię, gdy będziemy u Vaniona — zapewnił Berita Sparhawk. — Nie jest to na tyle ciekawa historia, bym chciał ją opowiadać więcej niż jeden raz.

Późnym popołudniem cała trójka znów pojawiła się na dziedzińcu. Berit kroczył niepewnie, nie przyzwyczajony do ciężaru zbroi. Sparhawk odziany był tylko w zwykłą bluzę i nogawice.

— Chyba będzie padać — powiedział Kurik spoglądając w niebo.

— Nie rozpuścisz się — rzekł Sparhawk.

— Nie to mnie martwi — odparł giermek — tylko to, że znowu będę musiał skrobać rdzę z twojej zbroi.

— Życie jest ciężkie.

Kurik chrząknął. Obaj podsadzili Berita na siodło Farana.

— Zawieszysz tego młodzieńca do Demos — zwrócił się Sparhawk do sroka-cza. — Zachowuj się tak, jakbyś to mnie niósł na swoim grzbiecie.

Faran spojrzał na niego pytająco.

— Nie będę ci nic wyjaśniał, bo zajęłoby to zbyt wiele czasu. Teraz wszystko zależy od ciebie, Faranie, ale pamiętaj: on ma na sobie moją zbroję, więc nie próbuj go ugryźć, bo połamiesz sobie zęby. — Sparhawk odwrócił się do giermka. — Pozdrów ode mnie Aslade i chłopców.

— Nie omieszkam. — Kurik wskoczył na siodło.

— Wyjeżdżając nie róbcie zbyt dużego przedstawienia — dodał rycerz — ale upewnijcie się, że was widziano. I pilnuj, by Berit nie podnosił przyłbicy.

— Wiem, co mam robić, Sparhawk. A więc ruszajmy, dostojny panie — giermek zwrócił się do Berita.

— Dostojny panie?

— Do tego też musisz się przyzwycząić, Bericie. — Kurik zawrócił konia. — Do zobaczenia, Sparhawk — powiedział i obaj z Beritem ruszyli przez dziedzi-niec w kierunku zwodzonego mostu.

Reszta dnia minęła spokojnie. Sparhawk siedział w przydzielonej mu przez Vaniona celi, czytając zatechłą od starości księgę. O zachodzie słońca przyłączył się do innych braci w refektarzu, by spożyć prostą wieczerzę, a potem wraz z nimi, w cichej procesji, przeszedł do kaplicy. Nie był głęboko religijny, ale powrót do

praktyk z czasów nowicjatu dawał mu uczucie powrotu do samego siebie. Tego wieczoru odprawiał mszę Vanion, wygłaszał kazanie o cnocie pokory. Sparhawk, zgodnie ze swoim starym zwyczajem, w połowie kazania zapadł w drzemkę.

Pod koniec mszy obudził go anielski głos. Młody rycerz, o włosach koloru dojrzałej pszenicy i szyi niczym marmurowa kolumna, śpiewał czystym tenorem hymn ku czci Boga. W jego promiennej twarzy błyszczały pełne uwielbienia oczy.

— Czy naprawdę aż tak byłem nudny? — mruknął Vanion do Sparhawka, gdy wychodzili z kaplicy.

— Pewnie nie, ale nie mnie o tym sądzić. Czy mówiłeś o zwykłej stokrotce, która w oczach Boga jest równie piękna jak róża?

— Słyszałeś to kazanie już poprzednio?

— Nieraz.

— Te stare historie są najlepsze.

— Kim jest ten tenor?

— To pan Parasim. Właśnie zdobył ostrogi.

— Nie chcę cię zasmucać, mistrzu, ale on jest chyba zbyt dobry jak na ten świat.

— Wiem.

— Bóg pewnie bardzo szybko powoła go do siebie.

— Ale to już sprawa Boga, nieprawdaż?

— Wyświadczy mi grzeczność, Vanionie. Nie stawiaj mnie w sytuacji, w której to ja spełnię Jego wolę.

— To również leży w rękach Boga. Śpij dobrze, Sparhawku.

Okolo północy drzwi celi otworzyły się z trzaskiem. Sparhawk zsunął się szybko ze swego wąskiego łoża chwytając miecz i poderwał się na nogi.

— Daj spokój — powiedział z niesmakiem rosły, jasnowłosy mężczyzna. W jednej dłoni trzymał świecę, a w drugiej bukłak z winem.

— Witaj, Kaltenie — pozdrowił Sparhawk przyjaciela z lat dziecińczych. — Kiedy przyjechałeś?

— Jakieś pół godziny temu. Już myślałem, że będę musiał wspinać się na mury. — Kalten był wyraźnie wzburzony. — To czas pokoju. Czemu każdej nocy podnoszą most?

— Pewnie z przyzwyczajenia.

— Nie masz zamiaru go odłożyć? — Przybysz wskazał na miecz w dłoni Sparhawka. — A może będę musiał sam wszystko wypić?

— Wybacz — rzekł Sparhawk i oparł miecz o ścianę.

Kalten postawił świecę na małym stoliku w rogu celi, rzucił bukłak z winem na pryczę i zamknął przyjaciela w mocnym uścisku.

— Cieszę się, że znowu cię widzę.

— I ja cię witam z radością. Siadaj. — Sparhawk wskazał na stołek i usiadł na brzegu łoża. — Jak było w Lamorkandii?

— Zimno, mokro i nerwowo — odparł Kalten opryskliwie. — Lamorkandzycy nie należą do najsympatyczniejszych ludzi na świecie. A jak było w Rendorze? Sparhawk wzruszył ramionami.

— Gorąco, sucho i pewnie tak samo nerwowo jak w Lamorkandii.

— Doszły mnie plotki, że natknąłeś się tam na Martela. Miły pogrzeb mu sprawiłeś?

— Uciekł mi.

— Czyżbyś spał, Sparhawk? — Kalten odpiął kołnierz płaszcza, spod którego wysunęła się spleciona masa jasnych włosów. — Chyba nie zamierzasz przesiedzieć przy tym winie całej nocy? — zapytał dobitnie.

Sparhawk chrząknął, odkorkował bukłak i podniósł go do ust.

— Niezłe. Gdzie je zdobyłeś? — Podał wino przyjacielowi.

— W oberży przy drodze, tuż przed zachodem słońca. Pamiętałem, że w siedzibie Zakonu Rycerzy Pandionu można dostać do picia jedynie wodę lub czasem herbatę, jeżeli zdarzy się, że akurat jest w pobliżu Sephrenia. Głupi obyczaj.

— Wszak jesteśmy Rycerzami Kościoła.

— W Chyrellos sześciu patriarchów co noc upija się niczym szewcy. — Kalten pociągnął solidny łyk, po czym potrząsnął bukłakiem. — Powinienem wziąć dwa — zauważył. — Och, a tak przy okazji, w tej oberży widziałem Kurika z jakimś młodzieniaszkiem ubranym w twoją zbroję.

— Powinienem się tego domyślić — skrzywił się Sparhawk.

— Od Kurika dowiedziałem się, gdzie jesteś. Chciałem zanocować w oberży, ale gdy usłyszałem, że wróciłeś z Rendoru, przyjechałem prosto tutaj.

— Jestem wzruszony.

Kalten roześmiał się i podał mu bukłak.

— Czy Kurik i nowicjusz trzymali się z dala od ciekawskich? — zapytał Sparhawk.

Kalten skinął głową.

— Byli w jednej z izb na zapleczu — opowiadał — a młodzieniec miał opuszczoną przyłbicę. Czy obserwowałeś kiedy, jak ktoś próbuje pić przez przyłbicę? Nigdy nie widziałem nic zabawniejszego. Było tam również kilka ladacznic. Młody pandionita może właśnie w tej chwili pobiera nauki.

— Ma prawo.

— Zastanawiam się, czy również to robi z opuszczoną przyłbicą.

— Te dziewczki niejedno już widziały.

Kalten roześmiał się.

— Kurik opowiedział mi, co się tu wydarzyło — podjął temat. — Czy naprawdę sądzisz, że możesz swobodnie kręcić się po Cimmurze?

— Zastanawiałem się nad jakimś przebraniem.

— Najlepiej spraw sobie sztuczny nos — poradził Kalten. — Ten twój złamany dziób pozwala z łatwością dostrzec cię w tłumie.

— Kto jak kto, ale ty o tym wiesz najlepiej. W końcu sam go złamałeś.

— To było w zabawie... — zaczął się usprawiedliwiać Kalten.

— Przyzwyczailem się już do niego — przerwał mu Sparhawk. — Porozmawiam rano z Sephrenią. Może ona wymyśli przebranie dla mnie.

— Słyszałem, że tu przyjechała. Co u niej?

— Jak zawsze. Sephrenia nigdy się nie zmienia.

— To prawda. — Kalten pociągnął następny łyk z bukłaka i otarł usta wierzchem dłoni. — Myślę, że zawsze przysparzałem jej zmartwień. Choćby nie wiem jak bardzo się starała, ja po prostu nie byłem w stanie wymówić nic po styricku. Łamałem sobie język za każdym razem, gdy próbowałem powiedzieć *ogeragek-gasek*.

— *Okeragukasek* — poprawił go Sparhawk.

— Wszystko jedno. Niech inni parają się magią, mnie wystarczy mój miecz. — Pochylił się nad Sparhawkiem. — Mówią, że eshandiści zamierzają wznieść powstanie w Rendorze. Czy jest w tym choć odrobina prawdy?

— Nie ma konkretnego niebezpieczeństwa. — Sparhawk wzruszył ramionami i wyciągnął się na pryczy. — Wrzeszczą i kręcą się w kółko na pustyni, wykrzykując coś jeden do drugiego. Na razie do niczego więcej się nie posunęli. A co słyhać ciekawego w Lamorkandii?

— Wszyscy wielmoże zamieszani są w wojny pomiędzy sobą. — Kalten parsknął śmiechem. — Cale królestwo płonie żądzą zemsty. Czy uwierzysz, że właśnie toczy się tam wojna o pszczele żądło? Pewien hrabia został użądłony i wypowiedział wojnę baronowi, którego wieśniacy byli właścicielami pasieki. Walczą ze sobą już od dziesięciu lat.

— Widzę więc, że Lamorkandia to miejsce wymarzone dla ciebie. A co poza tym tam słyhać?

— Cała okolica na wschód od Motery jest pełna Zemochów.

Sparhawk zerwał się na równe nogi.

— Vanion mówił, że Otha zbiera armię — przypomniał sobie.

— Otha zbiera armię co dziesięć lat. — Kalten podał przyjacielowi bukłak. — Myślę, że robi to, by zapobiec niepokojom wśród swoich ludzi.

— Czy Zemosi robią w Lamorkandii coś szczególnego?

— O ile wiem, nic takiego. Zadają mnóstwo pytań — głównie na temat dawnych obyczajów. W każdej wiosce jest ich dwóch lub trzech. Wypytują stare baby i w szynkach stawiają wino włóczęgom.

— Osobliwe — mruknął Sparhawk.

— Dobrze określiłeś Zemochów. Nigdy specjalnie nie cenili zdrowego rozsądku. — Kalten wstał. — Pójdę poszukać jakiegoś posłania. Przyciągnę je tutaj, abyśmy mogli przed zaśnięciem pogadać o starych czasach.

— Świetnie.

— O tym, jak twój ojciec przyłapał nas na śliwie. — Jasnowłosy rycerz uśmiechnął się szeroko.

Sparhawk drgnął.

— Przez prawie trzydzieści lat próbowałem o tym zapomnieć, Kaltene.

— A ja pamiętam, że twój ojciec miał naprawdę bardzo ciężką rękę. Straciłem orientację, co działo się tego dnia potem... w dodatku przez te śliwki chwyciła mnie kolka. Zaraz wracam. — Wypadł z celi.

To dobrze, że Kalten znów był blisko. Zanim rozpoczęli swój nowicjat w Zakonie Rycerzy Pandionu, wychowywali się razem — wszyscy krewni Kaltena zostali zabici, a on sam znalazł opiekę w domu rodziców Sparhawka w Demos. Pod wieloma względami byli sobie bliźsi niż bracia. Co prawda Kalten nie miał najlepszych manier, ale ich bliska przyjaźń była jedną z tych rzeczy, które Sparhawk cenił sobie nade wszystko.

Po chwili rosły blondyn wrócił targając za sobą posłanie. Do późna snuli wspomnienia leżąc w przyćmionym blasku świec. W sumie była to wspaniała noc.

Następnego dnia wstali wczesnym rankiem i ubrali się, przykrywając swoje kolczugi habitami, jakie pandionicy zazwyczaj nosili przebywając w obrębie murów swoich zamków. Ostrożnie ominęli poranną procesję do kaplicy i udali się na poszukiwanie kobiety, która całe pokolenia rycerzy zakonu wprowadzała w zawilgości tego, co zwano sekretami.

Znaleźli ją wysoko w południowej wieży, gdzie popijała przed kominkiem poranną herbatę.

— Dzień dobry, mateczko — pozdrowił ją od drzwi Sparhawk. — Pozwolisz, że przyłączymy się do ciebie?

— Oczywiście, cni rycerze.

Kalten podszedł i ucałował jej dłonie.

— Czy pobłogosławisz mnie, mateczko? — zapytał.

Uśmiechnęła się, położyła mu dłonie na policzkach i po styricku wymówiła błogosławieństwo.

— Nie wiem dlaczego, ale to zawsze poprawia mi samopoczucie — powiedział Kalten podnosząc się z kolan — choć nie rozumiem ani słowa.

— Widzę, że postanowiliście tego ranka nie odwiedzać kaplicy. — Sephrenia spojrzała na nich z wyrzutem.

— W tym tłoku dwóch mniej czy więcej nie powinno sprawić Bogu różnicy. — Kalten wzruszył ramionami. — A poza tym mogę wyrecytować ci z pamięci wszystkie kazania Vaniona.

— Jakie figle zaplanowaliście na dzisiaj?

— Figle, Sephrenio? — zapytał niewinnie Kalten.

— Właściwie to nie figle nam w głowie — rzekł Sparhawk śmiejąc się. — Mamy pewną zupełnie prostą sprawę do załatwienia.

— W mieście?

Skinał głową.

— Problem polega na tym — tłumaczył — że obaj jesteśmy w Cimmurze zbyt znani. Pomyśleliśmy sobie, że ty mogłabyś pomóc nam wyszukując jakiegoś przebranie.

— Zaczynam podejrzewać, że to jakiś wybieg. — Spojrzała na nich zimno. — O co dokładnie chodzi w tej waszej zupełnie prostej sprawie?

— Chcielibyśmy rozejrzeć się za starym przyjacielem — wyjaśnił Sparhawk. — Nazywa się Krager. Ma pewne informacje, którymi może miałby ochotę się z nami podzielić.

— Informacje?

— On wie, gdzie jest Martel.

— Tego wam Krager nie powie.

— A może założymy się, Sephrenio? — Kalten z trzaskiem przypominającym chrzęst gruchotanych kości wyłamywał palce swych wielkich dłoni.

— Czy wy nigdy nie dorośniecie? Wciąż jesteście parą rozbrykanych dzieciaków.

— I dlatego tak bardzo nas kochasz, prawda, mateczko? — jasnowłosy rycerz pokazał zęby w uśmiechu.

— Co nam radzisz? Za kogo mielibyśmy się przebrać? — zapytał Sparhawk. Ściągnęła wargi namyślając się i spojrzała na nich.

— Dworzanin i jego sługa — zdecydowała.

— Nikt nie weźmie mnie nigdy za dworzanina — sprzeciwił się Sparhawk.

— Miałam na myśli odwrotną sytuację. Mogę sprawić, że będziesz wyglądał prawie jak uczciwy sługa. A Kaltena ubierzemy w atlasowy kubrak, ufryzujemy mu te jego długie, jasne włosy i będzie mógł udawać dworaka.

— Do twarzy mi w atlasie — mruknął skromnie Kalten.

— A czemu nie dwóch zwykłych tragarzy? — zapytał Sparhawk.

— Zwykli tragarze płaszczą się przed każdym napotkanym szlachcicem — potrząsnęła głową. — Czy potrafilibyście zdobyć się na coś takiego?

— Racja — przyznał Kalten.

— A poza tym tragarze nie noszą mieczy, a ja nie wyobrażam sobie, abyście odważyli się nie uzbrojeni udać do Cimmury.

— Ona myśli o wszystkim, prawda? — Sparhawk zwrócił się do Kaltena.

— Zobaczmy, co się da zrobić — rzekła Sephrenia.

Kilku nowicjuszy zostało rozestanych po całym zamku w poszukiwaniu potrzebnych rzeczy. Sephrenia oglądała każdą z nich wybierając jedne, inne odrzucając. Po godzinie z komnaty wyszło dwóch mężczyzn, mało przypominających rycerzy zakonnych, którzy tam wcześniej weszli. Sparhawk ubrany był w prostą

liberię, u jego boku wisiał krótki miecz. Miał doklejoną kędzierzawą czarną brodę, czarna opaska przykrywała mu lewe oko, a przez złamany nos biegła purpurowa blizna.

— To swędzi — narzekał, próbując podrapać się w fałszywą brodę.

— Trzymaj ręce z daleka, dopóki klej nie wyschnie. — Sephrenia uderzyła go lekko po palcach. — I nałóż rękawice, by zakryć ten pierścień.

— Oczekujesz, że będę nosił taką zabawkę? — spytał z pretensją Kalten, wywijając lekkim rapierem. — Ja chcę mieć miecz, a nie drucik do dziergania.

— Dworzanie nie noszą mieczy, Kaltenie — przypomniała i obrzuciła go krytycznym spojrzeniem. Ubrany był w atłasowy jasnoniebieski kubrak z czerwonymi klinami i czerwone nogawice. Na stopach miał miękkie trzewiki, ponieważ nie można było znaleźć dość wielkich modnych ciżem. Jego świeżo ufryzowane włosy spływały na kołnierz blad różowego płaszcza. Całości dopełniał kapelusz z szerokim rondem, ozdobiony białym piórem. — Pięknie wyglądasz, Kaltenie — pochwaliła go. — Nikt nie zwątpi, że jesteś dworzanie. Jeszcze tylko położę ci róż na policzki.

— Co to, to nie! — odsunął się od niej.

— Siadaj — powiedziała stanowczo. Wskazała krzesło i sięgnęła po puzderko z różem.

— Muszę?

— Tak. Siadaj.

— Jeżeli będziesz się śmiał — Kalten spojrzał na Sparhawk — to ci wleję, więc nawet nie próbuj.

— Ja miałbym się śmiać?

Ponieważ zamek był cały czas obserwowany przez szpiegów prymasa Anniasa, Vanion zaproponował praktyczne wyjście z tej sytuacji:

— I tak muszę przetransportować pewne rzeczy do zajazdu. Annias wie, że zajazd należy do nas, a więc z niczym się nie zdradzimy. Schowamy Kaltena w wozie, a tego pocziwca posadzimy jako woźnicę. — Przyjrzał się uważnie doklejonej brodzie Sparhawk. — Jakim cudem udało ci się tak dobrze dopasować ją do koloru jego włosów? — zapytał Sephrenię zdumiony.

— Gdy następnym razem będziesz w stajni — odpowiedziała uśmiechając się ze słodyczą — nie przyglądaj się zbyt uważnie ogonowi swojego konia.

— Ogon mojego konia?

— To był jedyny karosz w stajni, Vanionie. Nie wzięłam dużo, uwierz mi.

— Ogon mojego konia? — powtórzył z pretensją. — Każdy z nas się nieustannie poświęca. To część zakonnej przysięgi, pamiętasz?

Rozdział 5

Wóz był koślawy, a koń kulał na wszystkie cztery nogi. Sparhawk rozparł się na koźle, trzymając niedbale lejce jedną ręką, i rozglądał się leniwie dookoła.

Koła turkotały i skrzypiały, wóz podskakiwał na nierównościach brukowanych ulic.

Spod luźno ułożonych z tyłu wozu skrzyń i beli dobiegł stłumiony głos Kaltena:

— Sparhawk, czy ty musisz trafiać w każdą dziurę?

— Cicho bądź — mruknął Sparhawk. — Zbliża się dwóch żołnierzy gwardii prymasa.

Kalten zaklął pod nosem i umilkł.

Gwardziści w czerwonych liberjach spoglądali wokół z pogardliwym wyrazem twarzy. Tragarze i ubrani na niebiesko sklepikarze ustępowali im z drogi. Sparhawk ściągnął lejce swojej szkapie i zatrzymał wóz na środku ulicy, zmuszając gwardzistów, by go obeszl.

— Witajcie, ziomkowie — pozdrowił ich.

Rzucili mu szybkie spojrzenie, po czym bez słowa minęli wóz.

— Miłego dnia! — zawołał za nimi.

Na to nie zwrócili już zupełnie uwagi.

— Po co to zrobiłeś? — zapytał Kalten cicho z tyłu wozu.

— Sprawdzam tylko, czy dobrze się przebrałem — odparł Sparhawk, potrząsając lejcami.

— I...?

— Co i?

— Jak wypadła próba?

— Nie zwrócili na mnie uwagi.

— Daleko jeszcze do zajazdu? Uduszę się pod tym wszystkim.

— Niezbyt daleko.

— Zrób mi przyjemność, Sparhawk. Dla urozmaicenia omiń choć jeden wybój.

Wóz skrzypiąc ruszył w dalszą drogę.

Przed zaryglowaną bramą zajazdu Sparhawk zeskoczył z kozła i na tęgich belkach wystukał umówiony rytm. Po chwili bramę otworzył rycerz odźwierny i obrzucił Sparhawką uważnym spojrzeniem.

— Przykro mi, przyjacielu — powiedział. — W zajęzdzie nie ma wolnych miejsc.

— Nie mamy zamiaru tu zostać, mości rycerzu — rzekł Sparhawk. — My tylko przywieźliśmy jakieś rzeczy z siedziby zakonu.

Furtian otworzył szeroko oczy ze zdumienia i przyjrzał się dokładniej rosltemu woźnicy.

— Czy to pan Sparhawk? — zapytał z niedowierzaniem. — Nie poznałem cię, dostojny panie.

— O to właśnie chodziło. Nie powinienes mnie rozpoznać.

Rycerz otworzył bramę i Sparhawk wprowadził strudzonego konia na podwórzec.

— Możesz już wyjść — powiedział do Kaltena, gdy brama została zamknięta.

— Pomóż mi się wydostać.

Sparhawk przesunął kilka skrzyń i zza nich wyłonił się zakłopotany Kalten.

Odźwierny spojrział z rozbawieniem na postawnego, jasnowłosego dworzani-
na.

— No dalej, powiedz tylko jedno słowo — rzucił Kalten wojowniczo.

— Nie śmiałbym, mości rycerzu.

Sparhawk zdjął z wozu podłużną skrzynię i położył ją sobie na ramieniu.

— Znajdź sobie kogoś do pomocy przy rozładunku — powiedział furtianowi.

— To przesyłka od mistrza Vaniona. I zaopiekuj się koniem. Jest zmęczony.

— Zmęczony? On chyba już zdycha — rzekł odźwierny, oglądając posępną szkapę.

— Jest stary i tyle. Wcześniej czy później wszystkich nas to czeka. Czy tylne wyjście wiodące do oberży jest otwarte? — Spojrział na furtkę w odległym rogu podwórza.

— Zawsze jest otwarte, dostojny panie.

Sparhawk skinął głową i razem z Kaltenem ruszyli przez podwórzec.

— Co masz w tej skrzyni? — zapytał Kalten.

— Nasze miecze.

— To rozsądne, ale chyba trochę trudno będzie je wyciągnąć?

— W razie potrzeby cisnę skrzynię o bruk. — Sparhawk otworzył narożną furtkę. — Idź przodem, szlachetny panie — powiedział kłaniając się.

Przeszli przez zagracony składzik i znaleźli się w sprawiającej nędzne wrażenie karczmie. Jedyne okno przesłaniał stuletni kurz, a polepę zaścieniała spleśniała słoma. Pachniało tu zwietrzałym piwem, porozlewany winem i wymiocinami. Z niskiego stropu zwisały pajęczyny, a ząb czasu zdążył już solidnie nadwerżyć

proste drewniane stoły i ławy. W izbie były tylko trzy osoby: zgorzkniały oberżysta, pijany mężczyzna siedzący za stołem przy drzwiach oraz drzemiąca w kącie ladacznica w czerwonej sukni.

Kalten podszedł do drzwi i wyjrzał na ulicę.

— Nadal nie ma zbyt wielkiego tłoku — mruknął. — Wypijmy sobie po kufelku, zanim okolica się obudzi.

— A może tak zjedlibyśmy śniadanie?

— Przecież właśnie to powiedziałem.

Usiedli przy jednym ze stołów. Oberżysta podszedł i niezdarnie mażąc po stole brudną szmatą próbował zetrzeć rozlane piwo. Nawet mrugnięciem nie dał znaku, że rozpoznał w nich pandionitów.

— Co podać? — Jego głos miał ponure, nieprzyjazne brzmienie.

— Piwo — odpowiedział Kalten.

— Przynieś nam również trochę chleba i sera — dodał Sparhawk.

Oberżysta mruknął coś i odszedł.

— Gdzie widziałeś Kragera? — zapytał cicho Kalten.

— Na placu w pobliżu zachodniej bramy.

— To wyjątkowo nędzna część miasta.

— Krager jest wyjątkowo nędznym osobnikiem.

— Wobec tego zacznijmy stamtąd poszukiwania, ale to chyba trochę potrwa.

Krager mógł się przecież zaszyć w jednej ze szcurzych nor Cimmury.

— A masz coś pilniejszego do załatwienia?

Dziewka w czerwonej sukni wstała chwiejnie i szurając nogami po zasłanej słomą podłodze podeszła do ich stołu.

— Chyba żaden z was, szanowni panowie, nie ma ochoty na odrobinę uciechy? — zapytała zmęczonym głosem. Brakowało jej z przodu jednego zęba, a czerwona suknia była zbyt wydekoltowana. Pochyliła się prezentując obwisłe piersi.

— Trochę jeszcze zbyt wcześnie, siostrzyczko — powiedział Sparhawk — ale dziękujemy ci za dobre chęci.

— Jak idą interesy? — zagadnął Kalten.

— Marnie. Rano zawsze marnie idzie. — Westchnęła. — Może postawilibyście dziewczynie coś do picia? — spytała z nadzieją w głosie.

— Czemu nie? Oberżysto! — zawołał Kalten. — Przynieś również kufelek tej damie.

— Dzięki, szanowni panowie — powiedziała dziewczyna, rozglądając się po karczmie. — To jest żałosne miejsce — stwierdziła z pewną rezygnacją w głosie. — Nie zająłabym tu nawet, ale nie lubię pracować na ulicy. — Westchnęła. — Powiem wam coś zabawnego. Boli mnie noga. Czyż to nie dziwne, że przytrafiło się to akurat komuś takiemu jak ja? Nie sądzicie, że raczej powinien mnie

boleć grzbiet? Jeszcze raz dzięki, szanowny panie. — Odwróciła się i szurając nogami wróciła na swoją ławę.

— Lubię rozmawiać z ladacznicami — stwierdził Kalten. — One mają takie miłe, proste poglądy na życie.

— Dziwne upodobanie jak na Rycerza Kościoła.

— Bóg wynajął mnie na wojownika, Sparhawk, nie na mnicha. Walczę zawsze, gdy On mi każe walczyć, ale z resztą czasu robię, co chcę.

Oberżysta przyniósł im kufle piwa oraz talerz z chlebem i serem. Jedli rozmawiając cicho.

W ciągu następnej godziny do oberży przyszło jeszcze kilku klientów — cuchnących potem tragarzy, którzy uciekli od swojej harówki, i właścicieli pobliskich sklepów. Sparhawk podniósł się, podszedł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Choć wąska, boczna uliczka nie była zbyt ruchliwa, to śpieszących po niej w obie strony ludzi było dość, by zapewnić im pewnego rodzaju schronienie. Sparhawk powrócił do stołu.

— Myślę, że czas na nas, szlachetny panie — powiedział do Kaltena i podniósł skrzynię.

— Ruszajmy więc — odparł Kalten. Osuszył swój kufel i wstał kołyszając się lekko. Potknął się kilka razy w drodze do drzwi i chwiał się nieco, gdy wychodził na ulicę. Kapelusz przekrzywił mu się na głowie. Sparhawk szedł z tyłu ze skrzynią na ramieniu.

— Nie przesadzasz trochę? — mruknął do przyjaciela, gdy skręcili za róg.

— Jestem typowym pijanym dworzaninem. Właśnie wyszliśmy z karczmy.

— Już ją minęliśmy. Jeżeli będziesz udawał zbyt pijanego, to zwrócisz na siebie uwagę. Myślę, że czas na cudowne wytrzeźwienie.

— Psujesz całą zabawę — narzekał Kalten. Przestał się zataczać i poprawił kapelusz z białym piórem.

Ruszyli dalej zatłoczoną ulicą. Sparhawk włożył się za przyjacielem z tyłu, jak przystało na dobrego sługę.

Gdy dotarli do następnego skrzyżowania, Sparhawk poczuł znajome mrowienie skóry. Postawił drewnianą skrzynię i rękawem otarł czoło.

— Co się stało? — zapytał Kalten. On również przystanął.

— Skrzynia jest ciężka, szlachetny panie — wyjaśnił Sparhawk dostatecznie głośno, by przechodnie usłyszeli, po czym prawie szeptem dodał: — Jesteśmy obserwowani. — Rozejrzał się po obu stronach ulicy.

Odziana w burą szatę, zakapturzona postać stała niemal całkiem ukryta za grubymi zielonymi zasłonami w oknie na piętrze. Sparhawk przypomniał sobie podobną postać, która pierwszej nocy po jego powrocie do Cimmury obserwowała go na mokrych od deszczu uliczkach.

— Wiesz, gdzie jest? — zapytał cicho Kalten udając, że poprawia kołnierz swego różowego płaszcza.

Sparhawk chrząknął i dźwignął skrzynię na ramię.
— Okno na górze, nad sklepem ze świecami.
— Ruszajmy, wierny sługo — powiedział fałszywy dworzanin głośno. — Dzień upływa. — Rzucił szybkie, ukradkowe spojrzenie na przysłonięte zielonymi zasłonami okno.
Skręcili za następny róg.
— Dziwacznie wyglądał, prawda? — zauważył Kalten. — Ludzie zazwyczaj nie zakładają w domu kapturów.
— Może on ma coś do ukrycia.
— Myślisz, że nas rozpoznał?
— Trudno powiedzieć. Nie jestem pewien, ale to mógł być ten sam człowiek, który obserwował mnie w nocy, gdy wróciłem do miasta. Nie przyjrzałem mu się dobrze, ale go czułem — dokładnie w ten sam sposób, co tego tutaj.
— Czy magia może przeniknąć nasze przebrania?
— Z łatwością. Za pomocą czarów widzi się człowieka, nie strój. Pójdźmy kilka ulic dalej i sprawdźmy, czy będzie nas śledzić.
Około południa dotarli do placu w pobliżu zachodniej bramy, na którym Sparhawk widział Kragera. Tam się rozdzielili. Sparhawk ruszył w jedną stronę, a Kalten w drugą. Wypytywali sprzedawców w kolorowych straganach i sklepach, opisując szczegółowo Kragera. Spotkali się po przeciwnej stronie placu.
— Masz coś? — zapytał Sparhawk.
Kalten skinął głową.
— Pewien sprzedawca wina powiada, że podobny do Kragera człowiek przychodzi trzy, cztery razy dziennie, by kupić flaszkę czerwonego arcjańskiego.
— W porządku, to ulubione wino Kragera. — Sparhawk uśmiechnął się. — Jeżeli Martel się dowie, że on znowu pije, chyba wyrwie mu serce wsadzając rękę przez gardło.
— Naprawdę potrafiłby zrobić coś takiego?
— To jest całkiem możliwe, jeśli masz dostatecznie długie ramię i wiesz, czego szukać. Czy twój handlarz winem widział może, skąd Krager zwykle przychodzi?
Kalten skinął głową i wskazał na jedną z ulic.
— Stamtąd.
Sparhawk podrapał się w zamyśleniu po brodzie z końskiego ogona.
— Jeżeli ją oderwiesz — uprzedził Kalten — Sephrenia przełoży cię przez kolano i spierze jak dzieciaka.
Sparhawk natychmiast opuścił rękę.
— Czy Krager był już tego ranka po pierwszą butelkę? — zapytał.
— Ze dwie godziny temu.
— Powinien więc ją niedługo skończyć. Jeżeli pije tak jak dawniej, rankiem obudził się z niezłym kacem. — Sparhawk rozejrzał się po placu. — Pójdźmy tą

uliczką do miejsca, gdzie ludzie już się tak nie tłoczą, i poczekajmy na niego. Gdy tylko skończy mu się wino, przyjdzie po więcej.

— Nie rozpozna nas? Wiesz, że zna nas obu.

Sparhawk potrząsnął głową.

— Jest tak krótkowzroczny — przypomniał — że z ledwością widzi koniec swego nosa. A jeszcze ta flaszka wina. . . Nie rozpozna nawet własnej matki.

— Krager ma matkę? — Kalten udał zdziwienie. — A ja myślałem, że on po prostu wypełził spod jakiejś zmurszałej belki.

Sparhawk roześmiał się.

— Chodź — zaproponował — poszukajmy miejsca, w którym moglibyśmy na niego zaczekać.

— Zaczaimy się na niego? — zapytał radośnie Kalten. — Już całe wieki tego nie robiłem.

— Czaj się do woli, stary druhu.

Poszli wskazaną przez handlarza winem ulicą. Po kilkuset krokach Sparhawk wskazał na wąski wylot zaułka.

— To jest to, czego nam trzeba — powiedział. — Tam się ukryjemy. Kiedy Krager nadejdzie, schwytamy go i będziemy mogli spokojnie z nim pogawędzić.

— Jasne — Kalten przystał na to ze złowróżbnym uśmiechem.

Weszli w zaułek. Po obu stronach walały się tu gnijące śmieci, a trochę dalej stał cuchnący publiczny wychodek.

— Nie zawsze podejmujesz najlepsze decyzje. — Kalten powachlował ręką przed nosem. — Czy nie mogłeś wybrać trochę mniej woniejącego miejsca?

— Wiesz — westchnął Sparhawk — brakowało mi już twego ciągłego marudzenia.

— Trzeba o czymś mówić. — Kalten wzruszył ramionami. Sięgnął za swój błękitny kubrak, wyciągnął mały zakrzywiony nóż i zaczął zeszkrobywać błoto z butów. — Ja pierwszy go dostanę.

— Kogo?!

— Kragera. Ja pierwszy dobiorę mu się do skóry.

— Skąd ci to przyszło do głowy?

— Jesteś moim przyjacielem, Sparhawk. Przyjaciele zawsze ustępują pierwszeństwa swoim przyjaciołom.

— A ty przypadkiem nie kierujesz się tą słuszną zasadą?

Kalten potrząsnął głową.

— Ty lubisz mnie bardziej niż ja ciebie — stwierdził. — To całkiem naturalne. Ja jestem o wiele miłszy od ciebie.

Sparhawk spojrział na niego przeciągle.

— Po to mamy przyjaciół — dodał zyczliwie Kalten — by wytykali nam nasze drobne wady.

Czekali u wylotu zaułka obserwując ulicę. Nie była szczególnie ruchliwa, ponieważ mieściło się przy niej tylko kilka sklepów. W okolicznych domach znajdowały się głównie mieszkania i składy towarów.

Minęła godzina, potem następna.

— Może upił się i zasnął — powiedział Kalten.

— Nie Krager. On może wytrzymać więcej niż cały oddział wojska. Przyjdzie. Kalten wytknął głowę z wylotu zaułka i spojrzał w niebo.

— Będzie padać — przepowiedział.

— Nieraz już zmokliśmy.

Kalten złapał za przód swego atlasowego kubraka i przewrócił oczyma.

— Aleś, Śpajhawk — zaseplenił komicznie — wieś psiecież, zie gdy ta ma-
tehia zawilgotnieje, to shobią się na niej flamy.

Sparhawk parsknął śmiechem zasłaniając usta rękawem.

Czekali dalej przez następną, wlokącą się w nieskończoność godzinę.

— Słońce niedługo zajdzie — rzekł Kalten. — Może on znalazł inny sklep z winem.

— Poczekajmy jeszcze trochę — odparł Sparhawk.

Atak nastąpił bez ostrzeżenia. Z głębi zaułka szarżowało na nich ośmiu czy dziesięciu krzepkich, zgrzebnie odzianych ludzi z mieczami w dłoniach. Rapiier Kaltena ze świstem wyskoczył z pochwy, zanim jeszcze dłoń Sparhawk'a sięgnęła rękojeści krótkiego miecza. Człowiek biegnący na czele zgiął się wpół i łapał oddech po gładkim pchnięciu Kaltena. Sparhawk minął przyjaciela, odparował cios miecza i zaraz zatopił klingę w brzuchu jednego z napastników. Przy wyciąganiu ostrze przekreślił, by rana była możliwie największa.

— Rozwal tę skrzynię! — krzyknął do Kaltena, odparowując kolejny cios.

Zaułek był zbyt wąski, by mogło zmieścić się w nim jednocześnie więcej niż dwóch atakujących zbirów. Chociaż miecz Sparhawk'a był krótki, rycerzowi udało się trzymać napastników na pewną odległość. Za sobą usłyszał trzask łamanego drewna z rozbijanej przez Kaltena skrzyni. Po chwili przyjaciel zjawił się u jego ramienia z mieczem w dłoni.

— Ja mój już mam — usłyszał. — Weź swój miecz.

Sparhawk pobiegł do wylotu zaułka. Wyrzucił krótki mieczyk, wyciągnął ze strzaskanej skrzyni swoją własną broń i pognął z powrotem. Kalten ściał dwóch napastników, a pozostałych zmusił, by cofali się krok po kroku, sam jednak nie wyszedł bez szwanku. Lewą rękę przyciskał mocno do boku, a pomiędzy palców ciekła mu krew. Sparhawk włączył się do bitwy, wymachując dwuręcznym ciężkim mieczem. Rozciął jednemu ze zbirów głowę, innemu odrąbał ramię trzymające broń, potem głęboko wbił ostrze w brzuch trzeciego, który zatoczył się na ścianę, a ustami puścił strumień krwi.

Reszta napastników uciekła.

Sparhawk odwrócił się i zobaczył, że Kalten spokojnie wyciąga klingę swego miecza z piersi człowieka, któremu sam przed chwilą odrąbał ramię.

— Nie zostawiaj nigdy nikogo takiego za sobą, Sparhawk — powiedział jasnowłosa mężczyzna. — Nawet jednoreki może ugodzić cię w plecy. W dodatku w ten sposób robisz bałagan. Zawsze skończ jedną robotę, zanim się weźmiesz do następnej. — Nadal przyciskał mocno lewą rękę do boku.

— Dobrze się czujesz? — zapytał Sparhawk.

— To tylko draśnięcie.

— Draśnięcie tak nie krwawi. Pozwól, niech to obejrze.

Cięcie w boku Kaltena było pokaźne, ale nie wyglądało na głębokie. Sparhawk oderwał rękaw koszuli jednej z ofiar, zwinął i przyłożył do rany.

— Przytrzymaj to — polecił. — Przyciskaj, by zatrzymać krwawienie.

— Bywałem już ranny, wiem, co mam robić.

— Powinniśmy się chyba oddalić. — Sparhawk popatrzył na leżące na ziemi trupy. — Kogoś z sąsiedztwa mogła zainteresować ta wrzawa. — Nagle drgnął. — Czy nic cię nie zdziwiło w ich wyglądzie? — zapytał.

— Zupełnie nie pasują do tego miejsca. — Kalten wzruszył ramionami.

— Właśnie to miałem na myśli. Tacy, którzy zarabiają na życie czyhając na ludzi w zaułkach, nie przywiązują zwykle wagi do swojego wyglądu, a ci tutaj są gładko ogoleni. — Odwrócił jedno z ciał i rozerwał zgrzebną koszulę. — O, to interesujące — zauważył.

Nieboszczyk miał na sobie czerwoną bluzę z emblematem wyhaftowanym na lewej piersi.

— Gwardziści prymasa — mruknął Kalten. — Obawiam się, że naraziliśmy się Anniasowi.

— Niewykluczone. Wynośmy się stąd. Ci, którzy uszli z życiem, mogli pobiec po pomoc.

— A więc — do zamku czy do zajazdu?

Sparhawk pokręcił głową.

— Ktoś nas rozpoznał mimo przebrania i Annias będzie spodziewał się, że tam właśnie się udamy.

— Pewnie masz rację. Co proponujesz?

— Znam jedno miejsce. To niedaleko. Możesz iść?

— Równie dobrze jak ty. Jestem młodszy od ciebie, pamiętasz?

— Tylko o sześć tygodni.

— Ale jestem młodszy, Sparhawk. Nie spierajmy się o szczegóły.

Miecze zatknęli za pasy i wyszli z zaułka. Sparhawk podtrzymywał rannego przyjaciela.

Ulica, którą zmierzali, biegła przez coraz nędzniejszą okolicę i wkrótce weszli w labirynt splełanych uliczek i zaułków. Duże, zaniedbane budynki pasowały do

odzianych w łachmany ludzi, którzy zdawali się obojętni na otaczający ich brud i nędzę.

— Ależ tu tłoczno. — Kalten zatrzymał się. — Daleko jeszcze? Zaczynam być trochę zmęczony.

— Tuż za następnym skrzyżowaniem.

Kalten mruknął coś i przycisnął mocniej rękę do boku. Ruszyli. Mieszkańcy tej dzielnicy posyłali im nieprzyjazne, a nawet wrogie spojrzenia. Ubiór Kaltena wskazywał na jego przynależność do dworu, a ludzie z samych dołów mieli niewielki pożytek z dworzan i ich sług.

Dotarli do skrzyżowania i Sparhawk poprowadził przyjaciela w mroczny zaułek. Przeszli go już prawie w połowie, gdy zagroził im drogę grubas z zardzewiałą piką w dłoni.

— Dokąd to waszym zdaniem zmierzacie? — zapytał.

— Muszę porozmawiać z Platimem — odparł Sparhawk.

— Nie sądzę, aby zechciał cię wysłuchać. Jeżeli macie choć trochę oleju w głowach, to wynoście się z tej części miasta, zanim zapadnie noc. Po zmroku zdarzają się tu nieszczęśliwe wypadki.

— A czasami nawet przed zmrokiem — powiedział Sparhawk, wyciągając swój miecz.

— Tylko mrugnę i zaraz będzie tu kilkunastu ludzi.

— Uważaj, mój przyjaciel ze złamanym nosem może cię pozbawić głowy, zanim mrugniesz — rzekł Kalten.

Grubas cofnął się z obawą.

— No i jak będzie, ziomku? — spytał Sparhawk. — Prowadzisz nas do Platima, czy trochę się zabawimy?

— Nie masz prawa mnie straszyć!

Sparhawk podsunął mu miecz pod nos.

— To daje mi wszelkie prawa, ziomku. Postaw swoją pikę przy ścianie i zaprowadź nas do Platima — ale już!

Grubas zawahał się, a potem ostrożnie oparł pikę o mur i ruszył w głąb zaułka. Gdzieś po stu krokach dotarli do ślepego końca uliczki. Były tu kamienne schody prowadzące do drzwi piwnicy.

— Idźcie tam, w dół. — Grubas zamierzał wracać.

— Prowadź — rzekł Sparhawk. — Nie chcę cię mieć za plecami, przyjacielu. Wyglądasz mi na kogoś, kto może podejmować błędne decyzje.

Grubas powoli zszedł po zabłoconych schodach i zastukał dwa razy do drzwi.

— To ja, Sef! — zawołał. — Jest tu dwóch szlachciców, którzy chcą rozmawiać z Platimem.

Po chwili usłyszeli szczeł łańcucha. Drzwi otworzyły się i wytknął przez nie głowę jakiś brodac.

— Platim nie lubi szlachciców — oznajmił.

— Polubi, gdy mnie zobaczy — stwierdził Sparhawk. — Zejdź z drogi, ziomku.

Brodacz spojrział na miecz w dłoni Sparhawka, przełknął głośno ślinę i otworzył szerzej drzwi.

— Przechodź, Sef — zwrócił się Kalten do przewodnika.

Grubas wszedł do środka.

— Dołącz do nas, przyjacielu — rzekł Sparhawk do brodacza. — Lubimy towarzystwo.

Schody wiodły dalej w dół, pomiędzy pokrytymi pleśnią, wilgotnymi ścianami z kamieni, i kończyły się w obszernej piwnicy o kamiennym stropie. W palenisku na środku płonął ogień wypełniając wnętrze dymem, a pod ścianami stały proste drewniane ławy przykryte siennikami wypchanymi słomą. Leżało tam kilkudziesięciu mężczyzn i kobiet, popijając wino oraz grając w kości. Tuż obok paleniska siedział rozparty w dużym fotelu potężny mężczyzna o kręconej czarnej brodzie i olbrzymim brzuchu. Ubrany był w atłasowy kubrak w wyblakłym pomarańczowym kolorze, poplamiony i brudny, a w krzepkiej dłoni trzymał srebrny kufel.

— To jest Platim — powiedział nerwowo Sef. — Trochę się upił, więc lepiej bądźcie ostrożni, wielmożni panowie.

— Poradzimy sobie — odrzekł Sparhawk. — Dzięki za twoją pomoc, Sef. Nie wiem, jak byśmy sobie dali radę bez ciebie. — Ruszył w stronę paleniska.

— Co to za jedni? — spytał cicho Kalten, spoglądając na leżących pod ścianami ludzi.

— Kieszonkowcy, żebracy, pewnie kilku morderców — i różni tacy.

— Miłych masz przyjaciół, Sparhawku.

Platim był zajęty oglądaniem naszyjnika z rubinowym wisiosem. Sparhawk i Kalten zatrzymali się przed nim, a on podniósł na nich swoje zamglone oczy, zwracając szczególną uwagę na strojny ubiór Kaltena.

— Kto wpuścił tu tych dwóch?! — ryknął.

— My sami wchodzimy, Platim. — Sparhawk wsunął za pas swój miecz i podniósł opaskę z oka.

— No, to możecie również sami wyjść.

— Obawiam się, że nie mamy na to w tej chwili ochoty — rzekł Sparhawk.

Potężny mężczyzna w pomarańczowym kubraku pstryknął palcami i leżący pod ścianami ludzie zaczęli wstawać.

— Jesteście w widocznej mniejszości, przyjaciele. — Platim spojrział znacząco na swoją horde.

— Ostatnio często nam się to przydarzało — stwierdził Kalten kładąc rękę na rękojeści swojego miecza.

— Wasz ubiór nie pasuje do tych mieczy. — Platim zmrużył oczy.

— A ja tak starałem się, aby wszystko w mym stroju pasowało do siebie jak najlepiej — westchnął Kalten.

— Kim jesteście? — spytał Platim podejrzliwie. — Ten jest ubrany jak dworzanin, ale nie wygląda mi na jednego z tych pałacowych ptaszków.

— Trafił prosto w sedno, prawda? — powiedział Kalten do Sparhawk. Spojrzał na Platima. — Faktycznie, jesteśmy pandionitami.

— Rycerze Kościoła? Podejrzałem coś w tym rodzaju. Po co więc te szatki?

— Jesteśmy obaj nazbyt dobrze znani — wyjaśnił Sparhawk. — Chcieliśmy móc swobodnie poruszać się po mieście.

— Wygląda na to — Platim rzucił znaczące spojrzenie na zakrwawiony kubrak Kaltena — że ktoś was jednak rozpoznał mimo przebrania, ale może po prostu zaszczyście do niewłaściwej oberży. Kto cię zranił?

— Żołnierz gwardii prymasa — mruknął Kalten. — Udało mu się pchnięcie. Pozwolisz, że usiądę? Trochę mi słabo.

— Niech ktoś przyniesie mu stołek! — zawołał Platim, po czym ponownie zwrócił się do przybyszy: — Dlaczego Rycerze Kościoła i gwardziści prymasa mieliby z sobą walczyć?

— Polityka pałacowa to czasem ciemne sprawy — odparł Sparhawk wzruszając ramionami.

— Święta prawda. Co was tu sprowadza?

— Potrzebne nam jest miejsce, gdzie moglibyśmy się zatrzymać na pewien czas. — Sparhawk rozejrzał się dookoła. — Ta twoja piwnica nadawałaby się do tego celu.

— Przykro mi, przyjacielu. Mogę czuć sympatię do kogoś, kto właśnie miał starcie z gwardzistami, ale ja prowadzę interesy i nie ma tu miejsca dla zbiegów. — Platim spojrział na Kaltena, który właśnie opadł na stołek podany przez obdarzonego żebraka. — Zabiłeś tego, który cię zranił?

— On to uczynił — Kalten wskazał na Sparhawk. — Ja zabiłem kilku innych, ale to mój przyjaciel głównie walczył.

— Przejdźmy do interesów — rzekł Sparhawk. — Myślę, Platim, że jesteś coś winny mojej rodzinie.

— Nie zadaję się z wielmożami, chyba że od czasu do czasu jakiemuś podejrzną gardło — a więc raczej niepodobna, bym twojej rodzinie był coś winien.

— Ten dług nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Dawno temu pewni gwardziści mieli zamiar cię powiesić, a mój ojciec ich powstrzymał.

Platim spojrział z niedowierzaniem.

— Jesteś Sparhawk? — zapytał zdumiony. — Nie za bardzoś podobny do swego ojca.

— To przez ten nos — powiedział Kalten. — Jeżeli komuś złamiesz nos, zmienisz zupełnie wyraz jego twarzy. . . Czemu gwardziści cię wieszali?

— To było nieporozumienie. Zasztyletowałem jednego gościa. Nie miał na sobie munduru, a więc nie wiedziałem, że był oficerem ze straży przybocznej

prymasa. — Skrzywił się z niesmakiem. — Wszystko, co miał w sakiewce, to dwie srebrne monety i garść miedziaków.

— Przyznajesz, że jesteś mi coś winien? — naciskał Sparhawk.

Platim pogładził swoją bujną czarną brodę.

— Tak, chyba tak — zgodził się niechętnie.

— A więc zostajemy tutaj.

— To wszystko, czego chcesz?

— Niezupenie. Szukamy pewnego człowieka — osobnika imieniem Krager. Twoi żebracy są w mieście wszędzie, chcę, by się za nim rozejrzeli.

— Niezbyt wygórowane żądanie. Czy możesz go opisać?

— Potrafię zrobić coś lepszego. Pokażę ci go.

— Powiedziałeś coś bez sensu, przyjacielu.

— Za chwilę zrozumiesz. Czy masz jakąś miskę i trochę czystej wody?

— To da się zrobić. Co ci chodzi po głowie?

— On wywoła na wodzie wizerunek twarzy Kragera — powiedział Kalten. — To stara sztuczka.

Platim spojrzął na obu rycerzy z szacunkiem.

— Słyszałem, że wy, pandionicy, wszyscy jesteście czarodziejami, ale nigdy czegoś podobnego nie widziałem.

— Sparhawk jest w tym nawet lepszy ode mnie — zapewnił Kalten.

Jeden z żebraków przyniósł pogiętą miednicę napełnioną trochę mętną wodą. Sparhawk ustawił miskę na podłodze i skoncentrował się przez chwilę, mruczając pod nosem styryckie słowa zaklęcia. Przesunął wolno dłoń nad wodą i pojawiła się w niej tłusta twarz Kragera.

— No, to jest rzeczywiście coś — zdumiał się Platim.

— To nie takie trudne — powiedział skromnie Sparhawk. — Niech twoi ludzie na to popatrzą. Nie mogę zatrzymać tego tu na zawsze.

— A jak długo będzie widoczny ten obraz?

— Około dziesięciu minut. Potem zacznie się rozpadać.

— Talen! — zawołał Platim. — Chodź tutaj.

Niechlujnie wyglądający, może dziesięcioletni chłopak podszedł z drugiego końca izby. Miał postrzępioną i brudną opończę, a na niej długą, czerwoną, atłasową pelerynę, która powstała po obcięciu rękawów kubraka ozdobionego kilkoma dziurami po pchnięciu nożem.

— Czego chcesz? — spytał malec niewinnie.

— Możesz to narysować? — zapytał Platim wskazując na misę.

— Oczywiście, że mogę, ale po co?

— Bo jeśli tego nie zrobisz, to dam ci po uszach.

— Musiałbyś mnie najpierw złapać, tłusciochu — Talen uśmiechnął się szeroko — a ja potrafię biegać szybciej od ciebie.

Sparhawk wsunął palec do kieszeni swojego skórzanego kaftana.

— Czy to byłoby warte odrobiny twego czasu? — zapytał pokazując chłopcu drobną srebrną monetę.

— To jest warte dzieła sztuki. — Talenowi rozbłyły oczy.

— Chcemy tylko, by rysunek był dokładny.

— Twoje słowo jest dla mnie rozkazem, szefie. — Malec skłonił się drwiąco.
— Pójdę po swoje przybory.

— Czy on rzeczywiście coś potrafi? — zapytał Kalten, gdy chłopak odszedł w kierunku jednej z pryczy pod ścianą.

— Nie jestem znawcą sztuki. — Platim wzruszył ramionami. — Ten mały spędza cały czas na rysowaniu obrazków — chyba że żebrze lub kradnie.

— Jest jakby trochę za młody na tego rodzaju zajęcia.

Platim roześmiał się.

— On ma najzręczniejsze palce w całej Cimmurze — stwierdził. — Mógłby ci wykraść oczy z oczodołów i nawet nie zauważyłbyś ich braku, dopóki nie chciałbyś się czemuś dokładniej przyjrzeć.

— Będę o tym pamiętał — obiecał Kalten.

— Może już być za późno, przyjacielu. Gdy tu przyszedłeś miałeś chyba pierścień na palcu? Rosły blondyn podniósł swoją zakrwawioną lewą rękę. Pierścienia nie było.

Rozdział 6

— Ostrożnie! — Kalten drgnął. — To naprawdę boli.

— Muszę to oczyścić, zanim zabandażuję — rzekł Sparhawk, dalej ocierając ranę w boku przyjaciela umoczonym w winie kawałkiem płótna.

— Ale czy musisz to robić tak zawzięcie?

Platim obszedł palenisko, stąpając ciężko i kołysząc się na boki. Stał nad ławą, na której leżał Kalten.

— Wyzdrowieje? — zapytał.

— Pewnie tak. Już kilkakrotnie przydarzało mu się stracić sporo krwi i zwykle dochodził do siebie. — Sparhawk odłożył szmatkę i wziął długi pasek lnianego płótna. — Siadaj — polecił przyjacielowi.

Kalten mruknął coś i usiadł z widocznym wysiłkiem. Sparhawk począł okręcać go bandażem.

— Nie za ciasno — powiedział Kalten. — Muszę przecież oddychać.

— Przestań marudzić.

— Czy gwardziści prymasa gonili was z jakiegoś konkretnego powodu? — zapytał Platim. — Czy po prostu robili to dla uciechy?

— Mieli powody — odparł Sparhawk kończąc opatrywanie rany. — Ostatnio udało nam się trochę zdenerwować Anniasa.

— Nieźle się spisaliście. Nie wiem jak wy, wielmoże, ale my, zwykli ludzie, nienawidzimy go.

— My nim umiarkowanie pogardzamy.

— A więc to jedyne, co nas wszystkich łączy. Czy jest szansa, że królowa Ehlana wyzdrowieje?

— Staramy się o to.

— Myślę, że ona jest naszą jedyną nadzieją. — Platim westchnął. — W przeciwnym razie Annias będzie rządził Elenią według własnego widzimisię, a wtedy naprawdę będzie źle.

— Czyżbyś był patriotą, Platim? — zapytał Kalten.

— To, iż jestem złodziejem i mordercą, nie znaczy, że jestem nielojalny. Szanuję Koronę tak samo, jak każdy inny obywatel tego królestwa. Szanowałem na-

wet Aldreasa z wszystkimi jego słabościami. — Oczy Platima błysnęły chytrze. — Czy jego siostra rzeczywiście go kiedyś uwiodła? Tyle krążyło na ten temat różnych plotek.

— Trudno orzec. — Sparhawk wzruszył ramionami.

— Pamiętasz, jaka była wściekła, gdy twój ojciec nakłonił Aldreasa do wzięcia za żonę matki królowej Ehlany? — Platim zachichotał. — Była niemal pewna, że poślubi swego brata i będzie władać Elenią.

— Czy byłoby to zgodne z prawem? — zapytał Kalten.

— Annias twierdził, że znalazł sposób na omińnięcie prawa. W każdym razie po ślubie Aldreasa Arissa uciekła z pałacu. Znaleźli ją kilka tygodni później w nędznym burdelu nad rzeką. Zanim ją stamtąd wyciągnęli, zażywał z nią rozkoszy niemal każdy w Cimmurze. — Zerknął na rycerzy. — Co się w końcu z nią stało? Ścięli jej głowę?

— Nie — rzekł Sparhawk. — Jest zamknięta w klasztorze, w Demos. Mają tam bardzo ostrą regułę.

— Wreszcie odpocznie trochę. Z tego, co słyszałem, księżniczka Arissa była bardzo zajęta panną. — Wyprostował się i wskazał na najbliższą ławę. — Możesz się tu położyć — powiedział do Sparhawka. — Wszyscy złodzieje i żebracy w Cimmurze szukają tego waszego Kragera. Jeżeli tylko pojawi się na ulicy, najpóźniej po godzinie będziemy o tym wiedzieć. A tymczasem zdrzemnijcie się trochę.

Sparhawk skinął głową i powstał.

— Dobrze się czujesz? — spytał Kaltena.

— Można wytrzymać.

— Potrzeba ci czegoś?

— Co powiedziałbyś na trochę piwa? Oczywiście tylko dla odzyskania straconej krwi.

Trudno określić, która to była godzina, ponieważ piwnica nie miała okien. Sparhawk poczuł lekkie muśnięcie czyjejs dłoni i natychmiast się ocknął, łapiąc za rękę niechlujnie wyglądającego dziesięciolatka.

— Nigdy nie próbuj sięgać do czyjejs kieszeni, kiedy masz dreszcze. — Talen skrzywił się. Otarł twarz z deszczu. — Paskudny poranek — dodał.

— Czego szukałeś w mojej kieszeni?

— Niczego konkretnego, po prostu czegokolwiek, co mogłoby się przydać.

— Czy zechciałbyś oddać pierścień mojego przyjaciela?

— Ach, tak. Wziąłem go tylko po to, by nie wyjść z wprawy. — Chłopak sięgnął za mokrą opończę i wyciągnął pierścień Kaltena. — Oczyszcilem go z krwi — powiedział, oglądając klejnot z podziwem.

— Mój druh będzie ci za to wdzięczny.

— Żeby nie zapomnieć — znalazłem człeka, którego szukacie.

— Kragera? Gdzie?

— Zatrzymał się w burdelu przy ulicy Lwa.

— W burdelu?

— Może potrzeba mu trochę uczucia.

Sparhawk usiadł. Dotknął swojej brody z końskiego włosia, by upewnić się, że ciągle jest na miejscu.

— Chodźmy porozmawiać z Platimem.

— Chcesz, bym obudził twojego przyjaciela?

— Niech śpi. Jest w takim stanie, że nie zabiorę go na deszcz.

Platim chrapał w swoim fotelu, ale natychmiast otworzył oczy, gdy Talen dotknął jego ramienia.

— Chłopak znalazł Kragera — powiadomił go Sparhawk.

— Pewnie ruszysz za nim?

Sparhawk skinął głową.

— Myślisz, że gwardziści prymasa nadal cię szukają? — spytał Platim.

— Prawdopodobnie.

— I wiedzą, jak wyglądasz?

— Tak.

— A więc daleko nie zajdziesz.

— Muszę spróbować.

— Platim... — odezwał się Talen.

— Czego chcesz, mały?

— Przypominasz sobie Weasela? Pamiętasz, jak musieliśmy pomóc mu uciec z miasta?

Platim chrząknął i podrapał się po brzuchu, spoglądając niepewnie na Sparhawk.

— Bardzo jesteś przywiązany do swej brody? — zapytał.

— Nie bardzo. Czemu o to pytasz?

— Znam sposób, dzięki któremu będziesz mógł poruszać się po Cimmurze bez obawy, że ktoś cię rozpozna, ale musiałbyś się ogolić.

Sparhawk zaczął po kawałku odrywać sztuczną brodę.

— Rzeczywiście, nie jesteś do niej zbyt przywiązany. — Platim roześmiał się. Spojrzał na Talena. — Idź i przynieś ze skrzyni wszystko, co będzie mu potrzebne.

Chłopak podszedł do dużej drewnianej paki w rogu piwnicy i zaczął w niej grzebać, a tymczasem Sparhawk kończył odrywać brodę. Talen wrócił niosąc zniszczony płaszcz i parę butów, które niewiele różniły się od zapleśniałych skórzanych sakiewek.

— Czego jeszcze możesz pozbyć się ze swojej twarzy? — spytał Platim.

Sparhawk wziął od Talena płaszcz i nalał na jeden z jego rogów trochę wina z pucharu Platima. Następnie zaczął z werwą trzeć swoją twarz, usuwając pozostałości po kleju Sephrenii i zmywając purpurową bliznę.

— A nos? — zapytał Platim.

— Nie. Nos jest prawdziwy.

— Jak go złamałeś?

— To długa historia.

Platim wzruszył ramionami.

— Zdejmij trzewiki i skórzane nogawice — polecił. — Włóżysz ten płaszcz i buty.

Sparhawk przebrał się. Talen okręcił go płaszczem tak, że zakrywał rycerza niemal do kolan.

Platim spojrzał krytycznie.

— Załóż buty i usmaruj sobie błotem nogi. Wyglądasz trochę zbyt czysto.

Talen podszedł znowu do skrzyni i wrócił z wyświechtaną skórzaną czapką, długim kijem i kawałkiem brudnego płótna.

— Nałóż czapkę i obwiąż oczy tą szmatą — nakazał Platim. Gdy Sparhawk pospiesznie wykonał polecenie, zapytał: — Widzisz coś przez te bandażę?

— Tylko niewyraźne kontury, nic więcej.

— Nie powinieneś widzieć zbyt dobrze. Będziesz udawał ślepcę. Talen, przynieś mu miskę żebracza. — Platim znów odwrócił się do Sparhawk. — Poćwicz trochę chodzenie. Macaj kijem przed sobą, ale od czasu do czasu wpadaj na różne przedmioty i nie zapomnij się potykać.

— Twój pomysł jest świetny, Platim, ale nie widzę, dokąd idę. Czy to nie wzbudzi podejrzeń?

— Talen cię poprowadzi. Będziecie parą zwykłych żebraków.

Sparhawk przypasał miecz.

— Zostawisz go tutaj — polecił Platim. — Pod płaszczem można ukryć sztylet, ale coś takiego trochę trudniej.

— Masz rację. — Sparhawk podał miecz grubasowi w pomarańczowym kubraku. — Nie zgub go — powiedział, po czym zaczął ćwiczyć niezdatny chód ślepcy, stukając w podłogę przed sobą długim kosturem.

— Nie najgorzej — orzekł po kilku minutach Platim. — Szybko nabierasz wprawy. Teraz chyba nikt cię nie rozpozna. Po drodze chłopak nauczy cię żebrać.

Talen miał teraz groteskowo wykręconą lewą nogę i kuśtykał wspierając się na kuli. Pozbył się jaskrawej peleryny, okrywały go łachmany.

— Czy to nie boli? — zapytał Sparhawk, wskazując kijem na nogę chłopca.

— Nie bardzo. Wystarczy tylko stąpać na krawędzi stopy i wykręcać kolano do środka.

— Wygląda bardzo przekonująco.

— Naturalnie. Mam długą praktykę.

— Jesteście obaj gotowi? — spytał Platim.

— Gotowi na wszystko — odparł Sparhawk. — Myślę jednak, że nie będzie ze mnie zbyt dobry żebrak.

— Talen nauczy cię podstaw. To nie takie trudne. Życzę szczęścia, dostojny panie.

— Dzięki. Mogę go potrzebować.

Był późny ranek szarego, deszczowego dnia. Sparhawk i jego młody przewodnik wyłonili się z piwnicy i ruszyli przez zabłocony zaułek. Sef znów stał na czatach, lecz gdy go mijali, nie odezwał się ani słowem.

Na ulicy Talen złapał Sparhawk za róg płaszcza i zaczął prowadzić. Rycerz szedł za nim po omacku, stukając kijem o bruk.

— Jest kilka sposobów zebrania — odezwał się chłopak po dłuższej chwili. — Niektórzy wolą po prostu siedzieć i wyciągać swoją miskę. Tym sposobem nie zbiera się jednak zbyt dużo pieniędzy, chyba że robisz to przed kościołem akurat wtedy, gdy kazanie poświęcone było miłosierdziu. Inni lubią podtykać żebraczą miskę pod oczy każdego przechodnia. W ten sposób dostajesz więcej monet, ale czasami ludzie się złością i nierzadko możesz oberwać po twarzy. Ty masz udawać ślepcę, a więc będziemy musieli opracować inną metodę.

— Czy mam coś mówić?

Talen skinął głową.

— Powinieneś czymś zwracać uwagę na siebie — tłumaczył. — „Litości!” zwykle wystarcza. Nie masz czasu na długie przemowy, a poza tym ludzie nie lubią rozmawiać z żebrakami. Jeżeli ktoś zdecyduje się coś ci ofiarować, to będzie chciał mieć to szybko za sobą. Spróbuj, żeby to, co mówisz, brzmiało bezradnie. Nie chodzi o jęczenie, ale staraj się włożyć trochę uczucia w swój głos, jakbyś miał się zaraz rozpłakać.

— Zebranie to cała sztuka, prawda?

— To jak sprzedawanie czegoś — Talen wzruszył ramionami — nic poza tym. Tyle że ty musisz sprzedawać mówiąc jedno lub dwa słowa, a więc włóż w to serce. Czy masz przy sobie jakieś miedziaki?

— Mam, jeżeli mi ich jeszcze nie ukradłeś. Czemu o to pytasz?

— Kiedy dojdziemy do burdelu, będziesz musiał wystawić miskę na przynętę. Wrzuc do niej parę miedziaków, aby wyglądało, żeś już coś uzebrał.

— Nie bardzo wiem, co masz na myśli.

— Chcesz czekać, aż ten Krager wyjdzie, tak? Gdybyś wszedł do środka, pewnie natknąłbyś się na jakiegoś zabijakę, który pilnuje tam porządku. — Zmierzył Sparhawk wzrokiem. — Może byś sobie z nim i poradził, ale narobiłbyś przy tym takiego hałasu, że madam wezwałaby strażę. Lepiej więc poczekać na zewnątrz.

— W porządku. Zakładam więc, że poczekamy.

— Zajmiemy miejsce przy drzwiach i będziemy żebrać, dopóki on się nie pojawi. — Chłopiec przerwał na chwilę. — Zamierzasz go zabić? Czy będę mógł

popatrzeć?

— Nie. Chcę tylko zadać mu kilka pytań.

— Och! — W okrzyku Talena zabrzmiało rozczarowanie.

Padło coraz mocniej i deszcz spływał po płaszczu na gołe nogi Sparhawka.

Dotarli do ulicy Lwa i skręcili w lewo.

— Burdel jest tuż przed nami — powiedział Talen. Wciąż prowadził Sparhawka ciągnąc za róg jego ociekającego wodą płaszczu. Nagle stanął jak wryty.

— Co się stało? — zapytał Sparhawk.

— Konkurencja — wyjaśnił chłopak. — Pod ścianą obok drzwi leży mężczyzna bez nogi.

— Żebrze?

— A po cóż innego by tu siedział?

— Co teraz zrobimy?

— To nie jest duży kłopot. Powiem, żeby się wyniósł.

— Usłucha cię?

Talen skinął głową.

— Usłucha, gdy mu powiem, że wynajęliśmy to miejsce od Platima. Zostań tu. Zaraz wrócę.

Chłopak pokuśtykał przez zalaną deszczem ulicę do pomalowanych czerwoną farbą drzwi burdelu i rzekł coś cicho do jednonogiego żebraka. Mężczyzna przyglądał mu się przez chwilę, po czym jego noga w cudowny sposób wysunęła się spod zgrzebnego chałatu, a on sam podniósł się i odszedł wolnym krokiem, niosąc swą kulę pod pachą i mrucząc coś do siebie. Talen wrócił i przyprowadził Sparhawka do drzwi.

— Po prostu oprzyj się o ścianę — instruował — i wyciągaj miskę, gdy ktoś będzie nadchodził. Jednak nie podsuwaj jej mu pod sam nos. Przecież jesteś ślepy, po prostu wysuń ją gdzieś w bok.

Obok właśnie przechodził ze spuszczoną głową zamożny kupiec, otulony ciemnym płaszczem. Sparhawk wyciągnął żebraczą miskę.

— Litości — powiedział z prośbą w głosie.

Kupiec nawet się nie odwrócił.

— Nieżle — ocenił Talen. — Jednak spróbuj włożyć w swoje słowa odrobinę uczucia, mówiłem ci przecież o tym.

— Czy dlatego nic mi nie wrzucił do miski?

— Nie. Nigdy nie licz na jałmużnę od kupca.

— Aha.

Kilku tragarzy ubranych w skórzane kaftany zbliżało się ulicą. Rozmawiali głośno i trochę niepewnie trzymali się na nogach.

— Litości — odezwał się do nich Sparhawk.

— Proszę, dobrzy ludzie — powiedział Talen łamiącym się głosem. Pociągnął nosem, wycierając go w rękaw. — Wspomóżcie mojego biednego, ślepego ojca.

— Czemu nie? — Jeden z nich, najwyraźniej w dobrym nastroju, sięgnął do kieszeni i wyciągnął kilka monet. Wybrał drobnego miedziaka i wrzucił Sparhawkowi do miski.

Któryś z tragarzy zachichotał.

— On zbiera na wizytę u dziewczynek.

— To jego sprawa, no nie? — odparł dobroczyńca. Odeszli w głąb ulicy.

— Pierwsze koty za płoty — rzekł Talen. — Schowaj miedziaka do kieszeni. Nie trzeba, by w misce było zbyt wiele monet.

Przez godzinę Sparhawk i jego młody nauczyciel zarobili jeszcze kilkanaście miedziaków. Po kilku pierwszych próbach zajęcie to zaczęło być coraz bardziej ekscytujące i Sparhawk ogarniało uczucie triumfu za każdym razem, gdy udało mu się wydębić monetę od przechodnia.

Wtem przed czerwonymi drzwiami zatrzymał się wytworny powóz zaprzężony w dwójkę karych koni. Młody lokaj w liberii zeskoczył z kozła z tyłu, opuścił schodki i otworzył drzwi karety. Z powozu wysiadł szlachcic odziany w zielony aksamit. Sparhawk go znał.

— Mogę tu trochę zabawić, kochany — powiedział szlachcic, czule głaszcząc młodego lokaja po twarzy. — Odjedź powozem gdzieś dalej i zaczekaj na mnie. — Zachichotał po niewieściemu. — Ktoś mógłby go rozpoznać, a ja doprawdy nie chciałbym, aby ludzie pomyśleli, że bywam w takim miejscu. — Przewrócił oczyma i drobnymi kroczkami ruszył w kierunku czerwonych drzwi.

— Litości dla ślepca — zebrał Sparhawk wyciągając miskę.

— Z drogi, łotrze! — Szlachcic machnął ręką, jakby odpędzał uprzykrzoną muchę. Gdy powóz zniknął w głębi ulicy, otworzył drzwi i wszedł do środka.

— Ciekawe — mruknął Sparhawk.

— A to dobre, nie ma co! — Talen zaśmiał się głośno.

— Nie spodziewałem się zobaczyć czegoś takiego — baron Harparin wchodzący do burdelu!

— Ludzie szlachetnie urodzeni chyba też mają prawo do odczuwania żądz?

— Harparin odczuwa żądzę, owszem, zgadza się, nie wiem tylko, czy te dziewczki by go zadowolily. Ale ty mógłbyś go zainteresować.

— Daj spokój. — Talen zaczerwienił się.

Sparhawk zmarszczył czoło.

— Dlaczegoż to Harparin zechciał odwiedzić ten sam burdel, w którym zatrzymał się Krager? — dumał.

— Czy oni się znają?

— Nie przypuszczam. Harparin jest członkiem Rady Królewskiej i bliskim przyjacielem prymasa Anniasa, Krager zaś jest trzeciorzędnym sługusem. Jeżeli umówili się na spotkanie, to dużo bym dał, aby usłyszeć, o czym będą mówić.

— Więc idź do środka.

— Co?

— To miejsce publiczne, a ślepy mężczyzna też potrzebuje uciechy. Tylko nie wszczynaj bójek. — Talen rozejrzał się ostrożnie. — Gdy już tam wejdiesz, zapytaj o Naweena. Ona pracuje dla Platima. Powiedz, że to on cię przysłał, a Naweena zaprowadzi cię tam, skąd będziesz mógł podsłuchiwać.

— Czy władza Platima obejmuje całe miasto?

— Tylko jego doły. Górną połowę rządzi Annias.

— Idziesz ze mną?

Talen potrząsnął głową.

— Shanda ma skrzywione poczucie moralności — powiedział z zalem. — Nie wpuszcza dzieci do środka. . . w każdym razie nie wpuszcza tam chłopców.

— Shanda?

— Ona tu jest madam.

— Nie muszę chyba nawet zgadywać. Kochanka Kragera zwie się Shanda. Taka nieduża, szczupła białogłowa?

Talen skinął głową i zapytał jeszcze, by się upewnić:

— Z bardzo niewyparzoną buzią?

— To ona — zdecydowanie rzekł Sparhawk.

— Czy ona cię zna?

— Spotkaliśmy się raz, ze dwanaście lat temu.

— Bandaż zakrywa ci prawie całą twarz, a światło w środku nie jest zbyt mocne. Chyba uda ci się prześliznąć, jeżeli trochę zmienisz głos. Idź. Ja zostanę na czatach. Znam z widzenia każdego strażnika i szpicla w Cimmurze.

— Dobrze.

— Masz pieniądze na dziewczynę? Mogę ci trochę pożyczyć. Shanda nie pozwoli zobaczyć ci żadnej z dziewczek, dopóki nie zapłacisz.

— Poradzę sobie — chyba że znowu opróżniłeś mi kieszeń.

— Nie ośmieliłbym się, dostojny panie!

— Na pewno byś się ośmielił. Mogę tam zostać jakiś czas.

— Baw się dobrze. Naweena jest bardzo zmysłowa — tak mi mówiono.

Rycerz udał, że tego nie usłyszał. Otworzył pomalowane czerwoną farbą drzwi i wszedł do środka.

Przedsionek był mroczny, pachniało tu tanimi perfumami. Udający ślepcę Sparhawk machał kijem na prawo i lewo stukając w ściany.

— Hej! — zawołał piskliwym głosem. — Jest tu kto?

Drzwi w końcu przedsionka otworzyły się i stanęła w nich szczupła kobieta w żółtej aksamitnej sukni. Miała rzadkie, jasnobure włosy, niezadowolony wyraz twarzy i twarde spojrzenie.

— Czego chcesz? — zapytała. — Tu nie wolno żebrać.

— Nie przyszedłem tu dla żebraniny — odparł Sparhawk. — Przyszedłem po to, by coś kupić lub w ostateczności wynająć.

— Masz pieniądze?

— Tak.

— Pokaż.

Sparhawk sięgnął za swój brudny płaszcz i wyjął kilka monet. Podał je na wyciągniętej dłoni.

Kobieta przymrużyła chytrze oczy.

— Nie waż się o tym nawet myśleć — ostrzegł.

— Nie jesteś ślepy! — powiedziała z pretensją.

— Zgadłaś.

— Czego więc sobie życzysz?

— Przyjaciel poradził mi, bym spytał o Naween.

— Ach, Naween. Ostatnio ma duże wzięcie. Poślę po nią — jak tylko zapłaczysz.

— Ile?

— Dziesięć miedziaków albo pół srebrnej korony.

Sparhawk podał jej małą srebrną monetę i kobieta cofnęła się za drzwi. Chwilę później wróciła z dorodną brunetką.

— To jest Naween. Mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić. — Shanda uśmiechnęła się lekko do Sparhawk, ale zaraz uśmiech zniknął jej z twarzy. Odwróciła się i zniknęła w swoim pokoju.

— Nie jesteś naprawdę ślepy, co? — spytała Naween zalotnie. Miała ze dwadzieścia lat, jej policzki zdobiły zabawne dołeczki. Była otulona w jasnoczerwony szlafroczek.

— Nie — zapewnił Sparhawk — nie naprawdę.

— To dobrze. Nie robiłam tego nigdy przedtem ze ślepcem i nie wiedziałabym, czego się spodziewać. Chodźmy na górę. — Poprowadziła go w kierunku schodów. — Masz jakieś szczególne upodobania? — zapytała uśmiechając się do niego przez ramię.

— W tej chwili chciałbym tylko słuchać.

— Słuchać? Czego?

— Przysłał mnie Platim. Shanda ma przyjaciela, który tu mieszka — osobnika imieniem Krager.

— Myszowaty, mały człowieczek ze słabym wzrokiem?

— To on. Wszedł tu przed chwilą szlachcic ubrany w zielony aksamit. Myślę, że on i Krager właśnie rozmawiają. Chciałbym usłyszeć, co mówią. Czy możesz to jakoś zorganizować? — Uniósł rękę i zdjął bandaże z oczu.

— A więc naprawdę nie chcesz...? — Zawiesiła głos i wydeła lekko swoje pełne wargi.

— Nie dzisiaj, siostrzyczko. Mam inne sprawy na głowie.

— Podobasz mi się, przyjacielu — westchnęła. — Moglibyśmy bardzo miło spędzić czas.

— Kiedy indziej. Dziś zaprowadź mnie w jakieś miejsce, gdzie mógłbym słyszeć, o czym rozmawia Krager ze swoim towarzyszem.

— Chodźmy na górę. — Westchnęła ponownie. — Możemy skorzystać z pokoju Feather. Ona odwiedza właśnie swoją matkę.

— Swoją matkę?

— Ladacznice też mają matki. Pokój Feather jest obok tego, w którym mieszka przyjaciel Shandy. Jeżeli przyłożysz ucho do ściany, będziesz mógł słyszeć, co się tam dzieje.

— Dobrze. Chodźmy. Nie chcę niczego stracić.

Izba przy końcu korytarza na górze była mała i bardzo skromnie wyposażona. Na stole płonęła pojedyncza świeca. Naween zamknęła drzwi, a następnie zdjęła szlafrok i położyła się na łóżku.

— To tylko dla pozorów — szepnęła ochryple — na wypadek, gdyby ktoś nas podglądał. Albo na wypadek, gdybyś zmienił zdanie. — Mrugnęła do niego znacząco.

— Która to ściana? — zapytał cicho.

Pokazała mu palcem.

Przeszedł przez pokój i przyłożył głowę do szorstkiego tynku.

— ... do mego pana Martela — usłyszał znajomy głos. — Potrzebuję jakiegoś dowodu, że rzeczywiście jesteś od Anniasa i że to, co mi powiesz, pochodzi od niego. To mówił Krager. Sparhawk uśmiechnął się z zadowoleniem i słuchał dalej.

Rozdział 7

— Prymas uprzedził mnie, że możesz być trochę nieufny — mówił Harparin swoim kobiecym głosem.

— Za moją głowę wyznaczono w Cimmurze nagrodę, baronie — powiedział Krager. — W tych warunkach odrobina ostrożności nie zaszkodzi.

— Czy rozpoznałbyś podpis i pieczęć prymasa?

— Tak.

— Tu jest od niego pismo, które potwierdza moją tożsamość. Zniszcz je po przeczytaniu.

— Ani myślę. Martel może mieć ochotę zobaczyć to na własne oczy. — Krager przerwał na chwilę. — Czemu Annias po prostu nie spisał swoich instrukcji?

— Bądź rozsądny — rzekł Harparin. — Wiadomość mogłaby wpaść w nieprzyjazne ręce.

— Równie dobrze jak posłaniec. Czy kiedykolwiek widziałeś, co pandionici robią ludziom, od których chcą wydobyć pewną informację?

— Mamy nadzieję, że nałóżycie się zabezpieczyłeś, by tego uniknąć. Krager zaśmiał się szyderczo.

— Rycerze zakonni nie mają szans, baronie. — Język mu się trochę plątał. — Moje życie niewiele jest warte, ale to wszystko, co mam.

— Jesteś tchórzem.

— A ty jesteś... tym, czym jesteś. Podaj mi to pismo. Sparhawk usłyszał szelest papieru.

— W porządku — bełkotał niewyraźnie Krager. — To pieczęć prymasa, zgadza się.

— Piłeś?

— Naturalnie. A co innego jest do robienia w Cimmurze? Chyba że się zna twoje sposoby na zabicie nudy.

— Niezbyt cię lubię, Kragerze.

— Ja też za tobą nie przepadam, baronie, ale obaj chyba możemy z tym żyć, co? Przekaż mi wiadomość i odejdz. Twoje perfumy przyprawiają mnie o mdłości.

Zapadła drętwą cisza, a potem Harparin zaczął mówić, starannie wymawiając słowa, jakby kierował je do dziecka lub kogoś głupiego.

— Oto, co prymas Annias chce przekazać Martelowi: Powiedz mu, by zgromadził ludzi — niech sam zadecyduje, ilu mu potrzeba — i ubrał ich w czarne zbroje. Mają nieść proporce Zakonu Pandionu — każda szwaczka może je wam uszyć, a Martel wie, jak one wyglądają. Potem wszyscy mają z wielką paradą pojechać do zamku hrabiego Raduna, wuja króla Dregosa z Arcium. Wiesz, gdzie to jest?

— Na trakcie między Darrą i Sarrinium, prawda?

— Dokładnie tam. Hrabia Radun jest pobożnym człowiekiem i wpuści rycerzy zakonnych bez pytania. Gdy już Martel znajdzie się w obrębie murów, jego ludzie mają zabijać każdego na swojej drodze. Nie powinni natrafić na znaczny opór, ponieważ Radun nie trzyma zbyt wiele wojska. Hrabia ma żonę i kilka niezamężnych córek. Annias chce, by wszystkie zostały wielokrotnie zgwałcone.

— Adus i tak by to zrobił. — Krager roześmiał się.

— Dobrze, ale powiedz mu, by się nie hamował. W zamku Raduna przebywa kilku duchownych. Chcemy, by wszystko widzieli. Gdy Adus i inni skończą z kobietami, niech każdej poderzną gardło. Radun ma być poddany torturom, a potem ścięty. Zabierzcie jego głowę, ale nie odzierajcie ciała doszczętnie z szat i klejnotów, aby można było trupa hrabiego rozpoznać. Sprawcie w zamku krwawą rzeź, jedynie duchowni mają pozostać przy życiu. Kiedy już będzie po wszystkim, pozwólcie im odejść.

— Dlaczego?

— By mogli donieść o tej masakrze królowi Dregosowi w Larium.

— Ach, więc chodzi o to, by król Dregos wypowiedział wojnę pandionitom?

— Niezupełnie — chociaż to też jest możliwe. Jak tylko skończycie, wyślij do mnie, do Cimmury, człowieka na rączym koniu, by mnie o tym powiadomił.

Krager ponownie wybuchnął śmiechem.

— Tylko głupiec przyniósłby taką nowinę. — Czknął. — Zanim skończy mówić, dostanie z tuzin pchnięć nożem.

— Prymas miał rację. Jesteś naprawdę bardzo podejrzliwy.

— Lepiej być podejrzliwym niż martwym, a ludzie, których najmie Martel, pewnie będą myśleli podobnie. Opowiedz mi lepiej, baronie, jaki cel chcecie osiągnąć.

— Nie musisz wiedzieć nic więcej.

— Ale Martel będzie chciał wiedzieć. On nie ma zwyczaju być ślepy m narzędziem w czyimś ręku.

Harparin zaklął pod nosem.

— Niech tak będzie — zrezygnował. — Pandionicy przeszkadzają prymasowi w realizacji pewnych planów. Ta masakra da mu pretekst do ponownego odesłania rycerzy zakonnych do ich klasztoru w Demos. Potem Annias osobiście zawie-

zie raport do Chyrellos, by przedłożyć go hierarchii kościelnej i samemu arcyprałatowi. Nie będą mieli innego wyjścia, jak tylko rozwiązać Zakon Pandionu. Przywódcy — Vanion, Sparhawk i inni — zostaną uwięzieni w lochach bazyliki w Chyrellos. A stamtąd nikt jeszcze nie wyszedł żywy.

— Martelowi spodoba się ten pomysł.

— Annias też tak uważa. Ta Styriczka, Sephrenia, zostanie oczywiście spalona na stosie jako czarownica.

— Z chęcią na to popatrzymy. — Krager milczał przez chwilę. — Chodzi o coś jeszcze, prawda?

Harparin nie odpowiadał.

— Czemu jesteś taki powściągliwy, baronie? — pytał Krager. — Jeżeli ja potrafię przejrzeć wasze zamiary, możesz być pewien, że potrafi to również Martel. Wyjaśnijmy więc wszystko do końca.

— W porządku. — Głos Harparina brzmiał ponuro. — Pandionicy z pewnością nie zgodzą się łatwo na zamknięcie w klasztorze i spróbują uchronić swoich przywódców przed więzieniem. W takim przypadku będzie musiało ruszyć na nich wojsko. To z kolei da Anniasowi i Radzie Królewskiej pretekst do wprowadzenia stanu wyjątkowego i zawieszenia określonych praw.

— O jakie prawa chodzi?

— Te, które traktują o sukcesji tronu. Formalnie Elenia będzie w stanie wojny, a wiadomo, że Ehlana nie jest w stanie podołać swym obowiązkom. Abdykuje więc na rzecz swojego kuzyna, księcia regenta Lycheasa.

— Tego zasmarkanego bękarta Arissy?

— Legalność pochodzenia może być nadana dekretem rady i — posłuchaj mnie, przyjacielu — licz się ze słowami mówiąc o Lycheasie. Zniewaga wobec króla jest zdradą stanu, a wiesz, że to prawo działa wstecz.

Nastało pełne napięcia milczenie.

— Słyszałem — odezwał się Krager — że Ehlana jest nieprzytomna i zamknięta w czymś w rodzaju kryształu.

— Cóż z tego?

— Jak będzie mogła podpisać akt abdykacji?

Harparin roześmiał się.

— W klasztorze w pobliżu Lendy jest pewien mnich — wyjaśnił. — Od miesiąca ćwiczy podpis królowej. Udaje mu się to coraz lepiej.

— Sprytne. A co się z nią stanie po abdykacji?

— Jak tylko Lycheas zostanie koronowany na króla, sprawi jej uroczysty pogrzeb.

— Ale ona przecież nadal żyje?

— No to co? Jeżeli będzie trzeba, pochowa się ją razem z tronem i już.

— A więc pozostał tylko jeden problem, prawda?

— Nie widzę żadnych problemów.

— To dlatego, że masz zamknięte oczy, baronie. Prymas musi działać szybko. Jeśli pandionicy dowiedzą się o wszystkim, zanim Annias zdoła dotrzeć do hierarchów w Chyrellos, podejmą kroki przeciwko oskarżeniu.

— Mamy to na uwadze. Dlatego musisz zawiadomić mnie, jak tylko hrabia i jego ludzie będą martwi.

— Ta wiadomość nigdy do ciebie nie dotrze. Każdy, kogo z nią wyślemy, zda sobie sprawę, że jak tylko ją dostarczy — zginie, więc zamiast do Cimmury uda się do Lamorkandii lub Pelosii. — Krager przerwał. — Pokaż mi swój pierścień — powiedział po chwili.

— Mój pierścień? Po co chcesz go oglądać?

— To sygnet, prawda?

— Tak, z herbem mojego rodu.

— Wszyscy szlachetnie urodzeni mają podobne pierścienie, prawda?

— Oczywiście.

— Świetnie. Powiedz prymasowi, by zwracał baczną uwagę na tacę z ofiarami w katedrze w Cimmurze. Któregoś dnia wśród miedziaków pojawi się na niej sygnet. Pierścień z herbem rodowym hrabiego Raduna. Wiadomość zostanie przekazana, a posłaniec umknie zdrów i cały.

— To chyba nie spodoba się Anniasowi.

— Nie musi mu się podobać. No, dobrze, więc — ile?

— O co pytasz?

— O pieniądze. Ile Annias chce zapłacić Martelowi za współpracę? Dostanie koronę dla Lycheasa i pełnię władzy w Elenii dla siebie. Ile to dla niego jest warte?

— Powiedział, abym wspomniał o sumie tysiąca złotych koron.

Krager roześmiał się.

— Wydaje mi się — rzekł szyderczo — że na ten temat Martel miałby odmienne zdanie.

— Nie ma czasu na targi. Prymasowi się śpieszy.

— A więc prawdopodobnie nie będzie się zbyt upierał przy tej cenie? Wracaj do pałacu i powiedz mu, że odrobinę większa szczodrość byłaby tu całkiem na miejscu. Obawiam się, że całą zimę spędzę na jeźdźeniu tam i z powrotem, od Anniasa do Martela, pośrednicząc w negocjacjach.

— W skarbcu nie ma więcej pieniędzy.

— Można temu łatwo zaradzić, baronie. Wystarczy, że zwiększycie podatki albo Annias sięgnie do zasobów Kościoła.

— Gdzie teraz jest Martel?

— Tego nie wolno mi powiedzieć.

Sparhawk zaklął pod nosem i odsunął ucho od ściany.

— Interesujące? — zapytała Naweena z łóżka.

— Bardzo.

— Jesteś pewien, że nie zmienisz zdania? — Przeciągnęła się lubieżnie. — Teraz, gdy już załatwiłeś swoje sprawy?

— Przykro mi, siostrzyczko — podziękował Sparhawk. — Mam dzisiaj jeszcze mnóstwo do zrobienia. Zapłaciłem już za twoje usługi Shandzie, po co więc miałybyś pracować, jeżeli nie musisz?

— Myślę, że to etyka zawodowa. A poza tym — chyba cię polubiłam, mój duży przyjacielu ze złamanym nosem.

— Miła jesteś. — Sięgnął do kieszeni, wydobyl złotą monetę i podał ją dziewczynie. Spojrzała na niego zdumiona. — Wyśliznę się frontowymi drzwiami, zanim gość Kragera będzie gotowy do wyjścia. — Podszedł do drzwi.

— Zajrzyj tu czasem, gdy nie będziesz tak zajęty — szepnęła.

— Pomyślę o tym — obiecał. Ponownie zawiązał sobie na oczach bandaż. Cicho opuścił izdebkę, zszedł do mrocznego przedsionka i wyszedł na ulicę.

Talen stał przytulony do ściany obok drzwi, próbując schować się przed deszczem.

— Dobrze się bawiłeś? — zapytał chłopiec.

— Usłyszałem to, co powinienem usłyszeć.

— Nie to miałem na myśli. Naween jest podobno najlepsza w Cimmurze.

— Naprawdę nie sprawdzałem tego. Byłem tam, by załatwić pewną sprawę.

— Rozczarowałeś mnie, dostojny panie. — Talen uśmiechnął się bezczelnie.

— Ale pewnie nie tak bardzo, jak rozczarowałeś Naween. Mówią, że ona lubi swoją pracę.

— Brudne myśli chodzą ci po głowie, chłopcze.

— Wiem, i nie masz pojęcia, jak jestem z tego zadowolony. — Jego buzia spoważniała, rozejrzał się dookoła ostrożnie. — Sparhawk, czy ktoś cię śledzi?

— Tak, to możliwe.

— Nie mówię o gwardzistach prymasa. Daleko, w głębi ulicy stał człowiek, a przynajmniej myślę, że to był człowiek. Miał na sobie mnisi habit, a kaptur zakrywał mu twarz.

— W Cimmurze jest wielu mnichów.

— Nie takich jak ten. Zrobiło mi się zimno od samego patrzenia na niego.

Sparhawk spojrzał na niego bacznie.

— Czy wcześniej kiedykolwiek czułeś coś podobnego?

— Raz. Platim wysłał mnie na spotkanie z kimś przy zachodniej bramie. Do miasta wjeżdżało właśnie paru Styrików i gdy mnie minęli, nie mogłem zebrać myśli ani skupić się na niczym. Otrząsałem się z tego dopiero na drugi dzień.

Nie było doprawdy żadnego powodu, by wyjaśniać chłopcu to zjawisko. Wielu ludzi było wrażliwych i tylko nieliczni dochodzili do czegoś więcej.

— Nie martw się tym — poradził Sparhawk. — Każdy z nas od czasu do czasu czuje się podobnie.

— Może masz rację. — W głosie Talena pobrzmiwało zwątpienie.

— Nie mamy tu już czego szukać. Wracajmy do Platima.

Na zalanych deszczem ulicach Cimmury panował teraz większy ruch. Szlachta w kolorowych, jaskrawych płaszczach tłoczyła się pospołu z odzianymi na brązo-wo lub szaro ludźmi z gminu. Sparhawk, aby uniknąć podejrzeń, zmuszony był całą drogę iść po omacku, wymachując przed sobą kijem ślepcy. Około południa dotarli ponownie do piwnicy.

— Czemu mnie nie obudziłeś? — zapytał Kalten opryskliwie. Siedział na brzegu swojej ławy trzymając w dłoniach miskę z gęstym gulaszem.

— Musiałeś wypocząć. — Sparhawk odwiązał z oczu bandaż. — A poza tym pada.

— Widziałeś Kragera?

— Nie, ale go słyszałem, co jest równie cenne. — Sparhawk obszedł palenisko i skierował się do miejsca, w którym siedział Platim. — Czy mógłbyś dostarczyć mi wóz z woźnicą? — zapytał.

— Bez trudu. Potrzebujesz tego już? — Platim uniósł swój srebrny kufel. Pił głośno gulgocząc i wylewając piwo na poplamiony pomarańczowy kubrak.

— Tak — rzekł Sparhawk. — Musimy wrócić z Kaltenem do zamku. Gwardia prymasa pewnie nadal nas szuka, więc pomyślałem sobie, że moglibyśmy ukryć się na wozie.

— Fury są dość powolne. Czy nie szybciej byłoby kareta z opuszczonymi zasłonami?

— Masz kareta?

— Prawdę mówiąc — nawet kilka. Ostatnio bogowie byli dla mnie łaskawi.

— Miło mi to słyszeć. — Sparhawk odwrócił się. — Talen! — zawołał.

Chłopak podszedł do niego.

— Ile ukradłeś mi tego ranka? — zagadnął rycerz.

— Niewiele. A bo co? — zapytał ostrożnie Talen.

— Powiedz dokładniej.

— Siedem miedziaków i jednego srebrnika. Jesteś moim przyjacielem, więc złote monety włożyłem ci z powrotem do kieszeni.

— Wzruszasz mnie.

— Pewnie chcesz, bym ci wszystko oddał.

— Zatrzymaj to jako zapłatę za twoje usługi.

— Jesteś hojny, dostojny panie.

— Jeszcze nie skończyłem. Chcę, byś miał na oku Kragera. Na pewien czas chyba będę musiał wyjechać z miasta, a nie chcę tracić jego śladu. Jeżeli opuści Cimmurę, pójdiesz do zajazdu przy ulicy Róż. Znasz to miejsce?

— To ten zajazd prowadzony przez pandionitów?

— Skąd wiesz o tym?

— Wszyscy o tym wiedzą.

Sparhawk pomiął to milczeniem.

— Zapukaj do bramy trzy razy i odczekaj chwilę. Potem zapukaj jeszcze dwa razy. Otworzy ci odźwierny. To rycerz, więc zachowuj się wobec niego uprzejmie. Powiesz mu, że człowiek, którym interesuje się Sparhawk, opuścił miasto. Postaraj się określić, w którą pojechał stronę. Zapamiętasz to?

— Chcesz, bym ci to wyrecytował?

— To niekonieczne. Odźwierny z zajazdu da ci za tę informację pół korony.

Talenowi zaświeciły się oczy.

— Dziękuję ci, przyjacielu. — Sparhawk zwrócił się do Platima. — Uważam twój dług względem mojego ojca za spłacony.

— Już o nim zapomniałem. — Grubas uśmiechnął się szeroko.

— Platim bardzo chętnie zapomina o długach — wtrącił Talen. — W każdym razie o własnych.

— Pewnego dnia ten twój niewyparzony język wpędzi cię w poważne kłopoty, chłopcze — ostrzegł Platim.

— Nie, bo szybko zwiewam.

— Idź i powiedz Sefowi, by zaprzął siwki do karety z niebieskimi kołami i podjechał tu.

— A co ja będę z tego miał?

— Przełożę na później lanie, które właśnie miałem ci zamiar spuścić.

— To uczciwa propozycja. — Chłopak roześmiał się i odbiegł.

— Wielki z niego spryciarz — powiedział Sparhawk.

— Jest najlepszy — zgodził się Platim. — Przypuszczam, że zastąpi mnie, gdy odejdę na emeryturę.

— A więc to następca tronu.

— Następca tronu złodziei. — Platim roześmiał się głośno. — To ładnie brzmi, prawda? Wiesz co, lubię cię. — Ciągłe się śmiejąc grubas klepnął potężnego rycerza po ramieniu. — Dostojny panie, daj mi znać, kiedy będę mógł coś jeszcze dla ciebie zrobić.

— Nie omieszkam, Platim.

— Dla ciebie specjalna stawka.

— Dzięki. — Sparhawk wyciągnął miecz zza fotela Platima i wrócił na swoją ławę, by przebrać się z powrotem w swoje rzeczy.

— Jak się czujesz? — zapytał Kaltena.

— Dobrze.

— W takim razie przygotuj się do drogi.

— Dokąd jedziemy?

— Wracamy do zamku. Usłyszałem coś, o czym powinien wiedzieć Vanion.

Powóz był nienowyy, ale solidnej konstrukcji i w dobrym stanie. W oknach wisiały zasłonki, które skutecznie zabezpieczyły pasażerów przed spojrzzeniami ciekawskich. Para siwków biegła żwawym klusem.

Kalten rozparł się na skórzanej kanapie.

— Czy mi się wydaje, czy też rzeczywiście złodziejom lepiej płacą niż rycerzom?

— Nie pchaliśmy się do tego interesu dla pieniędzy, Kaltenie — przypomniał mu Sparhawk.

— To bolesna prawda, przyjacielu. — Kalten wyciągnął nogi przed siebie i założył ręce na piersiach. — Wiesz — powiedział — to mogłoby mi się spodobać.

— Lepiej się nie przyzwyczajaj — poradził Sparhawk.

— Muszę przyznać, że o wiele wygodniej jest tak jechać, niż tłuc się w twardej siodle.

— Niewygody hartują ducha.

— Mój duch ma się całkiem dobrze, Sparhawk. To mój tyłek zaczyna mieć dość.

Kareta jechała szybko ulicami, wkrótce minęła wschodnią bramę miasta i zatrzymała się przed zwodzonym mostem. Sparhawk i Kalten wysiedli. Było dżdżyste popołudnie. Sef natychmiast zawrócił powóz i odjechał z głośnym turkotem w kierunku miasta.

Dopełnili rytuałów, umożliwiających im wejście do zamku, i skierowali się od razu do południowej wieży, do komnaty mistrza.

Vanion siedział przy dużym stole i przeglądał stos dokumentów. Sephrenia spoczywała w fotelu przy płonącym z trzaskiem ogniu ze swoją zawsze obecną filiżanką herbaty w dłoni. Wpatrywała się w tańczące płomienie pogrążona w zadumie.

Vanion podniósł oczy i spostrzegł plamy krwi na kubraku Kaltena.

— Co się stało? — zapytał.

— Nasze przebrania zawiodły. — Kalten wzruszył ramionami. — Grupa gwardzistów prymasa zaskoczyła nas w zaułku. To nic poważnego.

Sephrenia wstała z fotela.

— Czy opatrzyłeś ranę? — podeszła do jasnowłosego rycerza.

— Sparhawk mnie zabandażował.

— Pozwól mi rzucić na to okiem, dobrze? Opatrunek Sparhawka może nie wystarczyć. Usiądź i rozepnij kubrak.

Kalten trochę marudził, ale zrobił, co mu kazała czarodziejka. Odwinęła bandaż i przyjrzała się ranie ze ściągniętymi ustami.

— Czy ty chociaż to obmyłeś? — zapytała Sparhawka.

— Przetarłem odrobiną wina.

— Och, Sparhawk — westchnęła. Wstała, podeszła do drzwi i wysłała młodego rycerza po potrzebne jej rzeczy.

— Sparhawk zdobył pewne informacje — Kalten zwrócił się do mistrza.

— Jakie informacje? — zapytał Vanion.

— Znalazłem Kragera. — Sparhawk przysunął sobie krzesło. — Zatrzymał się w burdelu, w pobliżu zachodniej bramy.

Sephrenia uniosła brew.

— A co ty robiłeś w burdelu, Sparhawk? — zdziwiła się.

— To długa historia — odparł czerwieniąc się lekko. — Pewnego dnia opowiem ci o tym, mateczko. W każdym razie — ciągnął dalej — baron Harparin przybył do burdelu i...

— Harparin? — Vanion wyglądał na zdumionego. — W burdelu? On jeszcze bardziej niż ty nie miał tam czego szukać.

— Przybył, by zobaczyć się z Kragerem. Udało mi się dostać do pokoju sąsiadującego z tym, w którym mieli spotkanie. — Sparhawk pokrótce przedstawił szczegóły planu prymasa.

Gdy skończył swoje sprawozdanie, Vanion zmrużył oczy.

— Annias jest bardziej bezlitosny, niż myślałem. Nigdy nie przypuszczałem, że posunie się do masowego mordy.

— Powstrzymamy go, prawda? — zapytał Kalten, gdy Sephrenia zaczęła czyścić jego ranę.

— Oczywiście, że tak — odparł z roztargnieniem Vanion. W zamyśleniu wpatrywał się w sklepienie komnaty. — Jest sposób, by temu zapobiec. — Spojrzał na Kaltena. — Czy możesz jechać konno? — zapytał.

— To tylko lekkie zadrapanie — zapewnił go, gdy Sephrenia przyłożyła mu opatrunek do rany.

— Dobrze. Chcę, byś pojechał do klasztoru w Demos. Zbierz wszystkich rycerzy, których tam zastaniesz, i ruszaj do zamku hrabiego Raduna w Arcium. Trzymaj się z dala od głównych dróg. Nie chcemy, by Martel zorientował się, dokąd zmierzasz. Sparhawk, chcę, abyś ty poprowadził rycerzy z Cimmury. Spotkacie się z Kaltenem gdzieś w Arcium.

Sparhawk potrząsnął głową.

— Jeżeli wyruszymy wszyscy dużym oddziałem, Annias domyśli się, że coś planujemy. A jak nabierze podejrzeń, może powstrzymać Martela i zaatakować zamek hrabiego kiedy indziej, gdy nie będzie już nas w pobliżu.

— To prawda. — Vanion zmarszczył czoło. — W takim razie spróbuj wyprowadzić ukradkiem po kilku rycerzy naraz z Cimmury.

— To trwałoby za długo — powiedziała Sephrenia, obwiązując tułów Kaltena czystym bandażem — i takie ukradkowe wymykanie się zwraca większą uwagę niż otwarty wyjazd. — Zmarszczyła brwi w zamyśleniu. — Czy ten klasztor przy drodze do Cardos nadal należy do zakonu? — zapytała.

Vanion skinął głową.

— Jest jednak zupełnie zniszczony — dodał.

— Czyż nie czas najwyższy, by go wreszcie odbudowano?

— Nie bardzo wiem, co masz na myśli, Sephrenio.

— Musimy znaleźć pretekst, który pozwoli wyjechać z miasta większości rycerzy zakonnych. Jeżeli udałbyś się do pałacu i powiedział radzie, że masz zamiar

zebrać wszystkich swoich rycerzy, by odbudować ten klasztor, Annias uzna, że działasz dokładnie po jego myśli. Weźmiesz ze sobą wozy pełne materiałów budowlanych, by wyglądało to bardziej przekonująco, i wyjedziesz z miasta. Gdy już opuścisz Cimmurę i znajdziesz się z dala od oczu szpiegów, będziesz mógł zmienić kierunek jazdy.

— To chyba może się powieść — ocenił Sparhawk. — Pojedziesz z nami, mistrzu?

— Nie — odparł Vanion. — Muszę udać się do Chyrellos, by ostrzec kilku przyjaznych mi członków hierarchii kościelnej przed tym, co planuje Annias.

Sparhawk skinął głową. Nagle coś sobie przypomniał.

— Nie jestem tego całkiem pewien — powiedział — ale myślę, że tu w Cimmurze ktoś mnie obserwuje, i chyba nie jest to Elen. — Uśmiechnął się do Sephrenii. — Ćwiczone mi w rozpoznawaniu delikatnego dotknięcia styryckiego umysłu. Wydaje mi się, że ten obserwator potrafi poznać mnie bez względu na to, jak się przebiorę. Jestem prawie pewien, że to on nasłał na mnie i Kaltena gwardzistów, co oznacza, że ma powiązania z Anniasem.

— Jak wyglądał? — zapytała Sephrenia.

— Nie potrafię powiedzieć. Nosił habit i kapturem zasłaniał twarz.

— Nic nie doniesie Anniasowi, jeżeli będzie martwy — wzruszył ramionami Kalten. — Zróbmy na niego zasadzkę gdzieś na drodze do Cardos.

— Czy to nie zbyt proste rozwiązanie? — zapytała z powątpiewaniem Sephrenia zawiązując mocno bandaż.

— Jestem prostym człowiekiem, mateczko. Sprawy skomplikowane mnie onieśmielają.

— Chciałbym dopracować jeszcze kilka szczegółów — rzekł Vanion i spojrzał na Sephrenię. — Pojadę z Kaltenem do Demos. Czy chcesz jechać z nami?

— Nie — odparła. — Pojadę ze Sparhawkiem na wypadek, gdyby ten Styryk, który go obserwował, próbował nas śledzić. Powinnam sobie z nim poradzić bez uciekania się do morderstwa.

— A więc dobrze. — Vanion wstał od stołu. — Sparhawk, ty i Kalten pojedziecie rozejrzeć się za wozami i materiałami budowlanymi. Ja udam się do pałacu i trochę nakłamię. Jak tylko wrócę, wszyscy ruszamy.

— A co ja mam robić, Vanionie? — zapytała Sephrenia.

— Może wypitałabyś jeszcze jedną filiżankę herbaty? — Uśmiechnął się do niej. — Dziękuję, Vanionie. Chętnie.

Rozdział 8

Oziębilo się, a w południe z ponurego nieba zaczął sypać zmarznięty, drobny śnieg. Stu otulonych płaszczami i odzianych w czarne zbroje rycerzy Zakonu Pandionu jechało kłusem za Sparhawkiem i Sephrenią przez skute silnym mrozem pogranicze. Zmierzali do Arcium. Towarzyszyło im dzwonięcie podków i szczęk zbroi. Już piąty dzień byli w podróży.

Sparhawk spojrział w niebo i ściągnął wodze swojego karego wierzchowca. Koń stanął dęba, bijąc przednimi kopytami w powietrze.

— Och, przestań już — odezwał się do niego Sparhawk ze złością.

— Ależ on ma temperament! — zauważyła Sephrenia.

— A przy tym nie grzeszy rozumem. Będę zadowolony, gdy wreszcie spotkamy się z Kaltenem i dosiędę znów swojego Farana.

— Czemu się zatrzymujemy?

— Wieczór już blisko, a lasek tam dalej, przed nami, w ogóle nie ma podszycia. Równie dobrze możemy tu rozbić obóz na noc. — Potem zawołał głośno przez ramię: — Panie Parasimie!

Młodzieniec o włosach koloru dojrzałej pszenicy podjechał bliżej.

— Słucham, dostojny panie? — rzekł swoim słodkim, anielskim głosem.

— Zatrzymamy się tu na noc. Jak tylko wozy dotrą, ustaw namiot Sephrenii i dopilnuj, by miała wszystko, czego potrzebuje.

— Wedle rozkazu, dostojny panie.

Nim rycerze rozbili obozowisko, niebo zdążyło pokryć się mroźną purpurą. Sparhawk wystawił warty i poszedł, mijając kolejne namioty i trzeszczące przed nimi ogniska, by dotrzymać towarzystwa Sephrenii. Jej namiot stał w pewnym oddaleniu od reszty obozu. Rycerz uśmiechnął się na widok jej zawsze obecnego czajniczka do herbaty zawieszzonego nad ogniem na metalowym trójnogu.

— Co cię tak rozbawiło, Sparhawku? — zapytała.

— Nic szczególnego. — Obejrzał się na rycerzy krzątających się wokół swoich ognisk. — Jacy oni wszyscy są młodzi — powiedział jakby do siebie. — To prawie chłopcy.

— Tak już jest, Sparhawku. Starzy podejmują decyzje, a młodzi je realizują.

- Czy ja kiedykolwiek byłem taki młody?
- Och, tak, mój drogi. — Roześmiała się. — Nie wyobrażasz sobie nawet, jacy obaj z Kaltenem byliście młodzi, gdy po raz pierwszy zjawiliście się u mnie na lekcji. Miałam wrażenie, że mojej opiece powierzono dwójkę dzieci.
- A teraz ja mam podobne wrażenie, kiedy patrzę na nich. — Posmutniał. Wyciągnął dłonie, by je ogrzać nad ogniem. — Zimna noc. Chyba moją krew rozrzedziły upały w Jirochu. Mówiąc szczerze, odkąd wróciłem do Elenii, nigdy nie było mi naprawdę ciepło. Czy pan Parasim przyniósł ci wieczerzę, mateczko?
- Tak. To bardzo miły chłopiec.
- Pewnie obraziłby się, gdyby słyszał, co powiedziałaś. — Sparhawk roześmiał się.
- Przecież to prawda, czyż nie?
- Oczywiście, ale on i tak by się obraził. Młodzi rycerze zawsze są tacy wrażliwi!
- Czy kiedykolwiek słyszałaś, jak śpiewa?
- Raz. W kaplicy.
- Ma cudowny głos, prawda?
- Sparhawk skinął głową.
- Naprawdę nie sądziłem, że należy do zakonu rycerskiego. Pewnie lepiej pasowałby do normalnego klasztoru. — Rozejrzał się dookoła, wyszedł z kręgu światła rzucanego przez ognisko, przyciągnął do ognia polano i przykrył je swoim płaszczem. — Lepsze to od siedzenia na ziemi, choć mało przypomina wygodny fotel. — Gestem zaprosił Sephrenię, by usiadła.
- Dziękuję, Sparhawk. — Uśmiechnęła się. — To bardzo uprzejmie z twojej strony.
- Zostało mi jeszcze trochę dobrych manier. — Spojrzał na nią z powagą. — Obawiam się, mateczko, że będzie to dla ciebie ciężka podróż.
- Wytrzymam, mój drogi.
- Możliwe, ale bez potrzeby nie narażaj się. Jeżeli zmęczysz się lub zmarzniesz, nie wahaj się zaraz mi o tym powiedzieć.
- Wszystko będzie dobrze. My, Styrycy, jesteśmy twardzi.
- Sephrenio — odezwał się po chwili — jak długo potrwa, zanim ci rycerze, którzy byli w sali tronowej, zaczną kolejno umierać?
- Naprawdę trudno powiedzieć.
- Czy za każdym razem, gdy to się stanie, będziesz o tym wiedziała?
- Tak, bo ja przejmę ich miecze.
- Ich miecze?
- Miecze są narzędziami zaklęcia i symbolami brzemienia, które musi być przekazane przed odejściem w zaświaty.
- Czy nie byłoby rozsądniej podzielić się odpowiedzialnością?
- Uznałam, że nie.

— To mógł być błąd!
— Możliwe, ale to ja go popełniłam.
Zaczął chodzić nerwowo tam i z powrotem.
— Powinniśmy szukać lekarstwa zamiast przejeżdżać pół Arcium — wyrzucił z siebie.

— To, co teraz robimy, także jest ważne, Sparhawk.
— Nie wytrzymam jednoczesnej utraty ciebie, Ehlany i Vaniona — wyznał.
— Ciągle jeszcze mamy czas, mój drogi.
Sparhawk westchnął ciężko.
— Jesteś już przygotowana do snu, mateczko? — zapytał.
— Tak. Mam wszystko, czego mi potrzeba.
— Spróbuj się wyspać. Wcześniej wyruszamy. Dobranoc, Sephrenio.
— Śpij dobrze, Sparhawk.

Obudził się, kiedy światło poranka zaczęło przedzierać się przez gałęzie drzew. Zapiął rzemienie swej zbroi, drżąc pod zimną blachą. Wyszedł z namiotu, który dzielił z pięcioma innymi rycerzami, i rozejrzał się po uśpionym obozie. Ognisko przed namiotem Sephrenii znowu płonęło, a jej biała szata błyszczała w szarym świetle poranka i blasku ognia.

— Wcześniej wstałaś, mateczko — powiedział podchodząc do niej.
— Ty również. Jak daleko stąd do granicy?
— Dzisiaj powinniśmy wjechać do Arcium.

Wtem, skądś spoza lasu, dobiegł ich dziwny dźwięk, jakby ktoś grał na fujarce. Melodia — choć w tonacji molowej — nie była smutna, wydawała się raczej pełna odwiecznej radości.

Sephrenia otworzyła szeroko oczy i prawą ręką kreśliła w powietrzu dziwne znaki.

— Może to pasterz? — powiedział Sparhawk.
— Nie. — Wstała. — To nie pasterz. Chodź ze mną.

Robiło się coraz widniej. Melodia prowadziła ich w kierunku łąk rozciągających się na południe od ich obozowiska. Doszli do wystawionego przez Sparhawka posterunku.

— Czy też to słyszałeś, dostojny panie? — zapytał trzymający wartę rycerz w czarnej zbroi.

— Tak. Wiesz może, kto to jest lub skąd dochodzi melodia?
— Nie widziałem nikogo, ale dźwięk chyba rozlega się z tego drzewa na środku łąki. Czy chcesz, bym poszedł z tobą, dostojny panie?
— Nie, zostań tutaj. My to zbadamy.

Sephrenia wysunęła się naprzód, zmierzając wprost do drzewa, z którego konarów zdawała się płynąć ta dziwna melodia.

— Lepiej będzie, jeśli ja pójde przodem — powiedział Sparhawk doganiając czarodziejkę.

— Nic nam nie grozi — rzekła uspokajająco.

Doszli do drzewa. Sparhawk zajrzał pomiędzy cieniste konary, szukając tajemniczego muzykanta. Zobaczył małą, może pięcioletnią dziewczynkę. W jej wielkich oczach czaiła się noc. Miała ciemne, długie, lśniące włosy, a na nich opaskę splecioną z traw. Siedziała na gałęzi dmuchając w zwykłą fujarkę — taką, na jakich grywali pasterze owiec. Pomimo zimna ubrana była jedynie w krótką, przewiazaną lnianą przepaską tunikę, nie zakrywającą rąk ani nóg. Bose brudne stópki miała skrzyżowane i siedziała na gałęzi ze spokojną pewnością siebie.

— Co ona tam robi? — spytał zaskoczony Sparhawk. — W pobliżu nie ma żadnych domów czy wioski.

— Myślę, że czeka na nas — odpowiedziała Sephrenia.

— To niemożliwe. — Popatrzył w górę na dziecko. — Jak masz na imię, dziewczynko?

— Pozwól, że ja ją zapytam. To styryckie dziecko, a one są zwykle płochliwe. — Zsunęła z głowy kaptur i przemówiła w dialekcie niezrozumiałym dla Sparhawk.

Dziewczynka opuściła fujarkę i uśmiechnęła się. Jej usta wyglądały jak mały różowy łuk.

Sephrenia zadała jeszcze jedno pytanie dziwnie łagodnym głosem.

Dziecko potrząsnęło główką.

— Czy jej chata stoi gdzieś tu, w lesie? — spytał Sparhawk.

— Ona nie ma domu w pobliżu — odpowiedziała Sephrenia.

— Czy jest niemową?

— Nie chce mówić.

Sparhawk rozejrzał się wokół.

— Nie możemy jej przecież tu zostawić. — Wyciągnął ręce do dziecka. — Schodź, maleńka — powiedział.

Dziewczynka uśmiechnęła się do niego i ześliznęła z gałęzi prosto w jego ramiona. Ważyła niewiele, a jej włosy pachniały trawą i drzewami. Z ufnością objęła rycerza za szyję i zmarszczyła nosek czując zapach jego zbroi.

Postawił małą na ziemi, a ona natychmiast podeszła do Sephrenii, ujęła jej drobne dłonie i ucałowała. Kobietę i dziecko łączył jakiś osobliwy związek, którego Sparhawk nie mógł pojąć. Sephrenia wzięła dziewczynkę na ręce.

— Co z nią zrobimy, Sparhawk? — zapytała z dziwnym napięciem w głosie. Wydawało się, że była to dla niej sprawa dużej wagi.

— Musi jechać z nami, dopóki nie spotkamy ludzi, z którymi można ją będzie zostawić. Wracajmy do obozu i rozejrzyjmy się za jakimś ubraniem dla niej.

— I za śniadaniem.

— Chciałabyś tego, Fleciku? — Sparhawk zwrócił się do dziecka.

Dziewczynka uśmiechnęła się i skinęła głową.

— Czemu ją tak nazywasz? — zapytała Sephrenia.

— Jakoś musimy ją nazywać, zanim poznamy jej prawdziwe imię — jeśli w ogóle jakieś ma. Wracajmy do ciepłego ogniska. Ruszyli przez łąkę w stronę obozu.

Granice Arcium przekroczyli w pobliżu miasta Dieros, nadal unikając kontaktu z ludźmi. Szli równolegle do ciągnącego na południe traktu, trzymając się z dala od tej uczęszczanej drogi. Krajobraz Arcium był wyraźnie inny od pejzażu Elenii. W odróżnieniu od swojego północnego sąsiada Arcium było królestwem murów. Ciągnęły się wzdłuż dróg, przegradzały — często bez widocznego powodu — otwarte pastwiska. Mury były grube i wysokie, toteż Sparhawk nieraz musiał prowadzić swoich rycerzy okrężną drogą. Ze skwaszoną miną przypomniał sobie słowa patriarchy Kościoła z XXIV wieku, który po dotarciu do Larium z Chyrellos określił Arcium jako „kamienny ogród Boga”.

Następnego dnia wjechali do dużego lasu złożonego głównie z brzoź, bezlistnych o tej porze roku. Sparhawk uderzyła w nozdrza woń dymu, a wkrótce zobaczył ciemną mgłę, która niczym całun wisiała nisko pomiędzy białymi pniami drzew. Zatrzymał kolumnę, a sam ruszył naprzód, by zbadać sytuację.

Po przebyciu gdzieś z pół ligi natknął się na skupisko prymitywnych styryckich chat. Wszystkie stały w ogniu, a pomiędzy nimi leżały ciała ludzi, którzy do niedawna w nich mieszkali. Sparhawk począł miotać przekleństwa. Zawrócił swego karego rumaka i pogalopował z powrotem.

— Co się stało? — zapytała Sephrenia patrząc na jego posępną twarz. — Skąd ten dym dochodzi?

— Tam była wioska styrycka — odrzekł ponuro. — Oboje wiemy, co oznacza dym.

Westchnęła z jękiem.

— Lepiej zostań tu z dzieckiem — poradził jej Sparhawk — dopóki nie porzebiemy zmarłych.

— Nie. To jest częścią również jej dziedzictwa. Wszyscy Styrycy wiedzą, że tak się czasem dzieje. Poza tym, może będę mogła pomóc ocalałym — jeśli ktoś ocalał.

— Niech będzie, jak chcesz — rzekł krótko. Narastała w nim wściekłość. Krótkim gestem ręki dał znak kolumnie. Ruszyli.

Ślady dowodziły, że nieszczęśni Styrycy usiłowali się bronić, ale niewiele wskórali. Sparhawk wydał polecenia swoim ludziom — część kopała groby, pozostali gasili ogień.

Sephrenia ze śmiertelnie pobladłą twarzą obchodziła pokryte ciałami pobojo-wisko.

— Wśród ofiar jest tylko kilka kobiet — zauważyła. — Reszta zapewne uciekła do lasu.

— Sprawdź, może uda ci się przekonać je, by wróciły. — Sparhawk spojrział na pana Parasima, który nie skrywając łez kopał grób. Młody rycerz był zbyt wrażliwy, by grzebać ofiary tej masakry. — Parasim, pójdiesz z Sephrenią — rozkazał.

Parasim odrzucił łopatę. Szlochał.

W końcu wszyscy zmarli zostali oddani ziemi, a Sparhawk zmówił nad grobami krótką modlitwę do Boga Elenów. Nie była zapewne zbyt stosowna dla Styrików, ale nie wiedział, co innego mógł uczynić.

Sephrenia i Parasim powrócili po godzinie.

— Udało się? — zapytał Sparhawk.

— Znaleźliśmy je — odpowiedziała czarodziejka — ale nie chcą wyjść z lasu.

— Trudno się im dziwić — pokiwał smutno głową. — Zobaczymy, może uda się naprawić chociaż kilka chat, aby miały się gdzie schronić.

— Nie trać czasu, Sparhawk. One tu już nie wrócą. Tak nakazują im bogowie Styrików.

— Powiedziały ci może, mateczko, dokąd odeszli nikczemnicy, którzy popełnili tę zbrodnię?

— Co zamierzasz, Sparhawk?

— Ukarać ich. Tak nakazuje mi mój Bóg, Bóg Elenów.

— Nie. Jeżeli takie są twoje zamiary, nie powiem, w którą stronę odeszli.

— Niezależnie od tego, czy zdecydujesz się to wyjawić, czy nie, ja im tego nie daruję. Potrafię ich sam wytropić.

Spojrziała na niego bezradnie, ale po chwili w jej oczach pojawiło się wyrachowanie.

— Dobijmy targu — zaproponowała.

— Słucham.

— Powiem ci, gdzie możesz ich znaleźć, jeżeli przyrzekniesz, że nikogo nie zabijesz.

— Dobrze — zgodził się niechętnie, z nadal mroczną z wściekłości twarzą.

— W którą stronę odeszli?

— Nie skończyłam jeszcze. Zostaniesz tu ze mną. Znam cię, czasami posuwasz się za daleko. Wyślij kogoś innego.

Patrzył na nią przez chwilę bez słowa, po czym odwrócił się.

— Panie Lakusie! — zawołał.

— Nie — powiedziała — nie Lakus. On jest równie popędliwy jak ty.

— Więc kto?

— Może Parasim.

— Pan Parasim?

— Jest bardziej opanowany. Jeżeli powiemy mu, by nikogo nie zabijał, to tak właśnie postąpi.

— A więc dobrze — rzekł Sparhawk przez zaciśnięte zęby. — Parasimie — zwrócił się do pogrążonego w smutku młodego rycerza — weź dwunastu ludzi i dopędź tych bydlaków. Nie zabijaj nikogo, ale spraw, by bardzo, ale to bardzo żalowali, że w ogóle wpadli na pomysł, by uczynić coś takiego.

— Stanie się wedle słów twoich, dostojny panie — powiedział Parasim z zimnym błyskiem w oczach. Sephrenia udzieliła mu wskazówek i ruszył ku pozostałym rycerzom. Po drodze zatrzymał się, ubraną w rękawicę dłonią wyrwał ciernisty krzew i z całej siły cisnął nim w niewinną brzozę, odłupując z niej kawałek białej kory.

— Och, nie! — jęknęła Sephrenia.

— Poradzi sobie. — Sparhawk zaśmiał się ponuro. — Pokładam duże nadzieje w tym młodym człowieku i wierzę w jego poczucie sprawiedliwości.

Nie opodal Flecik stała nad świeżymi grobami. Na fujarce wygrywała cichą, pełną przeogromnego smutku melodię.

Nadal było zimno i pochmurno, jednak śnieg przestał padać. Po tygodniu nieprzerwanej podróży dotarli do ruin zamku, położonego jakieś osiem lig na zachód od miasta Darra. Tam czekał na nich Kalten z głównymi siłami Zakonu Rycerzy Pandionu. Wyjechał im naprzeciw.

— Już myślałem, że zabłądziliście — powiedział na powitanie. Spojrzał ciekawie na dziewczynkę, która, otulona w płaszcz Sparhawka, siedziała przed nim na siodle ze zwieszonymi po obu stronach końskiego karku bosymi stópkami. — Czy nie jesteś trochę za stary na zakładanie rodziny?

— Znaleźliśmy ją po drodze — odparł Sparhawk. Podniósł dziecko i podał je Sephrenii.

— Czemu nie daliście jej jakichś butów?

— Daliśmy. Ciągłe je gubi. Za Darra jest żeński klasztor, tam ją zostawimy — Sparhawk spojrzął na wznoszące się na wzgórzu ruiny. — Czy można tam gdzieś schronić głowę pod dachem?

— Coś się znajdzie, a już na pewno mury osłonią was przed wiatrem.

— Chodźmy więc do środka. Czy Kurik przyprowadził Farana i przywiózł moją zbroję?

Kalten skinął głową.

— To dobrze. — Sparhawk wyraźnie się ucieszył. — Ten koń jest trochę nieposłuszny, a stara zbroja Vaniona poobcierała mnie niemiłosiernie.

Wjechali w ruiny i odnaleźli Kurika i młodego nowicjusza.

— Co wam zajęło tyle czasu? — zapytał giermek szorstko.

— Mieliśmy do przejechania długą drogę — Sparhawk jakby się usprawiedliwiał — a wozy nie mogą jechać zbyt szybko.

— Trzeba było je zostawić z tyłu.

— One wiozły jedzenie i dodatkowy sprzęt.
Kurik chrząknął.
— Chodźmy do środka. Rozpaliłem ogień w ruinach wieży obserwacyjnej. — Spojrzał zdziwiony na Sephrenię trzymającą dziecko w ramionach. — Pani — ukłonił się z szacunkiem.
— Witaj, Kuriku — powiedziała ciepło. — Jak się mają Aslade i chłopcy?
— Dobrze. Mówiąc prawdę, nawet bardzo dobrze.
— Miło mi to słyszeć.
— Kalten uprzedził, że przybędziesz, pani, przygotowałem więc wrzątek na twoją herbatę. — Kurik spojrział na dziewczynkę, która wtulała twarz w suknię Sephrenii. — Czyżbyś coś przed nami ukrywała, pani?
— W tym Styricy są mistrzami, Kuriku. — Czarodziejka roześmiała się perliście, serdecznie.
— Wejdźmy wszyscy do środka, by się ogrzać. — Giermek poprowadził ich przez zasypany gruzem dziedziniec. Berit został przy koniach.
— To nie był chyba zbyt dobry pomysł, by zabierać go w tę podróż — odezwał się Sparhawk wskazując kciukiem za siebie, w kierunku nowicjusza. — Jest trochę za młody, by walczyć na śmierć i życie.
— Poradzi sobie — rzekł Kurik. — Ćwiczyłem z nim kilka razy w Demos i udzieliłem mu paru wskazówek. Jest dzielny i szybko się uczy.
— W porządku, ale gdy rozpocznie się bitwa, bądź blisko niego. Nie chcę, by stała mu się krzywda.
— Czyż kiedykolwiek pozwoliłem, by tobie stała się krzywda?
Sparhawk wyszczerzył zęby w uśmiechu.
— O ile pamiętam, nigdy — przyznał giermkowi rację.
Noc spędzili w ruinach i wczesnym rankiem ruszyli w dalszą drogę. Ich połączone siły liczyły ponad pięciuset ludzi. Jechali dalej na południe pod zachmurzonym zimowym niebem. Tuż za Darrą stał klasztor żeński o ścianach z żółtego piaskowca i dachach pokrytych czerwoną dachówką. Sparhawk i Sephrenia zjechali z drogi i po zamarzniętej nagiej łące skierowali się ku zabudowaniom.
— Jak się nazywa to dziecko? — zapytała odziana w czarny habit przeorysza, gdy stanęli przed jej obliczem w surowej komnacie, ogrzewanej jedynie małym mosiężnym piecykiem.
— Ona nie mówi, matko przełożona — odpowiedział Sparhawk. — Cały czas gra na tej fujarce, więc nazwaliśmy ją Flecik.
— To nieprzyzwoite imię, mój synu.
— Dziecku to nie przeszkadza, matko przełożona — odezwała się Sephrenia.
— Czy próbowaliście odszukać jej rodziców?
— W okolicy, w której ją znaleźliśmy, nie było nikogo — wyjaśnił Sparhawk. Przeorysza z grobową miną spojrzała na Sephrenię.

— To styrickie dziecko — zauważyła. — Czy nie należałoby umieścić je w rodzinie tej samej rasy i wiary?

— Mamy niecierpiące zwłoki sprawy do załatwienia — wyjaśniła Sephrenia — a Styrików trudno odszukać, kiedy sobie tego nie życzą.

— Oczywiście zdajecie sobie sprawę, że jeżeli zostanie z nami, to wychowamy ją w wierze Elenów.

— Spróbuj, matko przełożona — powiedziała Sephrenia z uśmiechem — myślę jednak, że szybko się przekonasz, iż nie uda się jej nawrócić. Idziesz, Sparhawk?

Dołączyli do kolumny i pojechali na południe pod rozpogadzającym się niebem, z początku klusem, a potem grzmiącym galopem. Minęli pagórek i nagle Sparhawk ściągnął ostro wodze Farana. Osłupiał ze zdumienia. Na wielkim białym kamieniu siedziała mała dziewczynka i grała na fujarce.

— Jak mogłaś... — zaczął rycerz, ale zaraz przerwał. — Sephrenio! — zawołał, lecz ubrana w białą szatę kobieta już zsiadała z konia. Podeszła do dziecka przemawiając łagodnie w dziwnym styrickim dialekcie.

Flecik opuściła fujarkę posyłając Sparhawkowi diabełkowaty uśmieszek. Sephrenia roześmiała się i wzięła dziecko w ramiona.

— Jak ona zdołała nas wyprzedzić? — zapytał Kalten wyraźnie zmartwiony.

— Któż to wie? — odparł Sparhawk. — Chyba będzie lepiej, jeżeli odwiozę ją z powrotem.

— Nie — powiedziała Sephrenia zdecydowanie. — Ona chce iść z nami.

— To nie jest dobry pomysł — rzucił szorstko Sparhawk. — Nie zabiorę dziecka na pole bitwy.

— Nie kłopotz się tym. Ja się nią zajmę. — Czarodziejka uśmiechnęła się do dziewczynki wtulonej w jej ramiona. — Będę o nią dbać jak o własne dziecko. — Przytuliła policzek do lśniących, czarnych włosów Flecika. — W pewnym sensie nim jest.

— Zrób, jak chcesz — Sparhawk poddał się i zawrócił Farana. Nagle poczuł napływającą falę chłodu i pełnej okrucieństwa nienawiści. — Sephrenio! — krzyknął ostrzegawczo.

— Ja to także czuję! — zawołała przytulając mocniej dziewczynkę do siebie. — To jest skierowane na dziecko.

Flecik zaczęła niespokojnie wrywać się z ramion Sephrenii. Jej twarzyczka stężała w wyrazie udręki raczej niż gniewu czy przestachu. Zdziwiona czarodziejka zsadziła dziewczynkę z konia, a ona przyłożyła fujarkę do ust i zaczęła grać. Tym razem nie była to jej zwykła śpiewna, tęskna melodia; usłyszeli gniewne, złowrogie tony.

Wtem z oddali dobiegło ich wycie pełne bólu i zdumienia. Wrzask momental-

nie zaczął cichnąć, jakby ktoś — czy coś — uciekał z nieprawdopodobną prędkością.

— Co to było?! — wykrzyknął Kalten.

— Nieprzyjazny duch — odparła Sephrenia spokojnie.

— A co go odpędziło?

— Melodia grana przez dziecko. Wydaje się, że Flecik sama umie się obronić.

— Czy ty rozumiesz cokolwiek z tego, co się tu dzieje? — Kalten zwrócił się do Sparhawk.

— Nie więcej niż ty. Ruszajmy. Czekają nas jeszcze kilka dni ciężkiej jazdy.

Zamek hrabiego Raduna, wuja króla Dregosa, wznosił się na szczycie wysokiego, skalistego wzgórza. Podobnie jak wiele zamków w tym południowym królestwie był otoczony masywnymi murami. Wypogodziło się i słońce świeciło jasno. Sparhawk, Kalten i Sephrenia, wioząca przed sobą w siodle dziewczynkę, wjechali na rozległe, porośnięte pożółkłymi trawami błonia rozciągające się wokół twierdzy.

Otwarto bramę nie zadając żadnych pytań. Na dziedzińcu powitał ich hrabia, postawny, barczysty mężczyzna z przyprószonymi siwizną włosami. Miał na sobie wzorzysty, zielonoczarny kubrak ze sztywnym białym kołnierzem. W Elenii taki strój już dziesięć lat temu wyszedł z mody.

— To zaszczyt dla mojego domu gościć w jego murach Rycerzy Kościoła — oznajmił, gdy się przedstawili.

— Twoja gościnność jest legendarna, wielmożny panie — powiedział Sparhawk zsuwając się z grzbietu Farana — ale nie przybyliśmy tu z czysto towarzyską wizytą. Czy możemy porozmawiać gdzieś na osobności? Musimy przedyskutować z tobą pewną niecierpiącą zwłoki sprawę.

— Zapraszam serdecznie, wskażę drogę.

Podążyli za nim przez szerokie wrota zamczyska, a potem oświetlonym blaskiem świec korytarzem. Gdy doszli do jego końca, hrabia mosiężnym kluczem otworzył jedne z drzwi.

— To moja biblioteka — powiedział skromnie. — Jestem dość dumny z mojej kolekcji książek. Mam ich prawie dwa tuziny.

— Coś okropnego — mruknęła Sephrenia.

— Może będziesz miała ochotę przeczytać którąś z nich, pani?

— Ta dama nie czyta, hrabio — rzekł Sparhawk. — Ona zna sekrety magii i obawia się, że czytanie może zaszkodzić jej zdolnościom.

— Wiedźma? — spytał hrabia spoglądając na drobną, kruchą kobietę. — Prawdziwa wiedźma?

— My wolimy używać innych określeń, wielmożny panie — odparła łagodnie.

— Usiądźcie, proszę — hrabia wskazał na fotele stojące za dużym stołem, zalany blaskiem chłodnych promieni zimowego słońca, wpadających przez okratowane okno. — Jestem bardzo ciekaw, co to za niecierpiąca zwłoki sprawa.

Sparhawk ściągnął hełm i rękawice, a następnie położył je na stole.

— Czy znajome ci jest imię Anniasa, prymasa Cimmury, wielmożny panie? — zapytał.

— Słyszałem o nim — powiedział hrabia krótko. Jego twarz spoważniała.

— A więc aż tu dotarła sława prymasa?

— Tak.

— Rozumiem. Pan Kalten i ja przypadkowo odkryliśmy spisek uknuty przez Anniasa. Na szczęście on o tym nie wie. Czy zawsze, hrabio, tak przyjaźnie traktujesz Rycerzy Kościoła?

— Oczywiście. Czczę Kościół i szanuję jego rycerzy.

— Za kilka dni, najdalej za tydzień, znaczna grupa ludzi w czarnych zbrojach, dzierżących sztandary Zakonu Rycerzy Pandionu, podjedzie do twoich bram. Szczerze radzę, byś ich nie wpuszczał.

— Ale...

— To nie będą pandionicy, hrabio — Sparhawk przerwał mu unosząc dłoń — lecz najemnicy pod dowództwem renegata o imieniu Martel. Jeżeli otworzysz im bramy, zabiją wszystkich, którzy znajdują się wewnątrz tych murów — z wyjątkiem jednego czy dwóch duchownych, by miał kto rozgłosić wieść o tym okrutnym czynie.

— To potworne! — wykrzyknął Radun. — Dlaczego prymas Cimmury czuje do mnie tak wielką nienawiść?

— Ten spisek nie jest skierowany przeciwko tobie, hrabio — odezwał się Kalten. — Twoja śmierć ma okryć niesławą Rycerzy Pandionu. Annias ma nadzieję, że hierarchia Kościoła będzie tak tym poruszona, iż rozwiąże zakon.

— Muszę natychmiast zawiadomić o tym króla Dregosa, mego bratanka — oznajmił hrabia wstając. — Może tu przybyć z całą armią za kilka dni.

— To nie będzie konieczne, wielmożny panie — rzekł Sparhawk. — Tuż pod zamkiem, na północ stąd, mam ukrytych pięciuset pandionitów — prawdziwych — w pełnych zbrojach, gotowych do walki. Z twoim przyzwoleniem wprowadzę stu z nich do środka, by wspomóc twój garnizon. Gdy najemnicy przybędą, użyjesz jakiejś wymówki i ich nie wpuścisz.

— Czy to nie wyda się dziwne? — zapytał Radun. — Znany jestem z gościnności, szczególnie wobec Rycerzy Kościoła.

— Most zwodzony — mruknął Kalten.

— Przepraszam?

— Powiesz, hrabio, że kołowrót poruszający most zwodzony jest uszkodzony, że już go naprawiacie, i poprosisz, by uzbroili się w cierpliwość.

— Nie jestem kłamcą — powiedział sztywno hrabia.

— Dobrze, wielmożny panie — uspokoił go Kalten. — Dla ciebie sam uszkodzę kołowrót, a więc nie będziesz musiał kłamać.

Hrabia przez chwilę patrzył na niego ze zdumieniem, po czym wybuchnął gromkim śmiechem.

— Najemnicy będą stali na zewnątrz zamku — kontynuował Sparhawk — a mury nie zostawią im zbyt wiele miejsca do manewrów. Wtedy my zajdziemy ich od tyłu.

— Gdy już znajdą się w pułapce — Kalten uśmiechnął się szeroko — to rozbijemy ich w puch.

— A ja mogę zrzucić im kilka upominków ze swoich murów — dodał hrabia ze śmiechem. — Strzały, kamienie, wrzącą smołę i tym podobne niespodzianki.

— Wspaniale, to nam ułatwi sprawę — pochwalił go Kalten.

— Oczywiście zatroszczę się, aby dama i dziecko znalazły tu bezpieczne schronienie — powiedział Radun.

— Nie, wielmożny panie — zaprotestowała Sephrenia. — Pojadę razem z panami Sparhawkiem i Kaltenem do naszej kryjówki. Ten Martel, o którym wspomniał Sparhawk, jest byłym pandionitą i posiadał tajemną wiedzę odstręczającą uczciwych ludzi. Być może trzeba będzie stawić mu czoło, a ja jestem do tego najlepiej przygotowana.

— Ale z pewnością dziecko. . .

— Mała zostanie ze mną — rzekła zdecydowanie Sephrenia. Spojrzała na dziewczynkę, która w odruchu ciekawości otwierała książkę. — Nie! — zabroniła, prawdopodobnie bardziej szorstko, niż zamierzała. Wstała i odebrała dziecku książkę.

Flecik westchnęła, a Sephrenia przemówiła do niej krótko w dialekcie, którego Sparhawk nie rozumiał.

Nikt nie wiedział, kiedy nadciągnie Martel ze swoimi najemnikami, toteż tej nocy pandionicy nie rozpalili ognisk. Ranek wstał pogodny i zimny. Sparhawk wysunął się spod koców i spojrzał z niesmakiem na swoją zbroję. Dobrze wiedział, że upłynie co najmniej godzina, nim blachy ogrzeją się ciepłem jego ciała. Uznał, iż nie jest jeszcze gotowy, by mężnie znieść tę próbę, przypasał więc miecz, zarzucił płaszcz na ramiona i ruszył przez uspiony obóz w kierunku niewielkiego strumienia płynącego nie opodal.

Uklęknął nad brzegiem strugi, zaczerpnął wody w obie dłonie, upił trochę i zebrał się na odwagę, ochlapał lodowatą wodą twarz. Następnie podniósł się, otarł policzki skrajem płaszcza i przeszedł na drugą stronę strumienia. Wstające słońce złożyło bezlistny las, przeciskając się pomiędzy ciemnymi pniami i zapalając ogniki w kropelkach rosy, które niczym sznury pereł zwisały pośród ździebeł traw u stóp rycerza.

Sparhawk ruszył w głąb lasu. Szedł z pół godziny, aż nagle między drzewami dojrzał porośłą trawą polanę. Usłyszał tętent kopyt. Gdzieś przed nim samotny koń pędził krótkim galopem. A potem dobiegł go unoszący się w powietrzu dźwięk fujarki Flecika.

Przyśpieszył kroku, minął ostatnie drzewa, rozgarnął krzaki i wyszedł na polanę.

Faran, z błyszczącą w świetle wschodzącego słońca sierścią, galopował spokojnie dookoła łąki. Nie miał siodła ani uprząży, a w sposobie, w jaki biegł, było coś radosnego. Na jego grzbiecie leżała Flecik z fujarką przy ustach. Główkę ułożyła wygodnie na kołyszącym się karku konia, nogę założyła na nogę i bosą stópką wybijała tempo na jego zadzie.

Sparhawk przez chwilę przyglądał się oniemiały, po czym z rozłożonymi szeroko ramionami stanął srokaczowi na drodze. Faran przeszedł w klus, a potem zatrzymał się przed swoim panem.

— Co ty wyprawiasz? — skarcił go rycerz.

Koń spojrzał na niego spode łba i odwrócił wzrok.

— Chyba całkiem straciłeś rozum?

Rumak parsknął i machnął ogonem. Flecik wciąż grała swoją melodię, wtem niecierpliwie uderzyła kilka razy ubłoconą stópką w koński zad. Faran obszedł pomstującego Sparhawką i pogalopował zostawiając za sobą unoszącą się w rześkim powietrzu piosenkę fujarki.

Sparhawk zaklął i pobiegł za nimi. Dopiero po kilkunastu krokach zdał sobie sprawę z beznadziejności tej pogoni. Zatrzymał się, z trudem łapiąc oddech.

— Nie sądzisz, że to interesujące? — Spomiędzy drzew wyszła Sephrenia i stanęła na skraju łąki. Jej biała szata lśniła w porannym słońcu.

— Czy potrafisz ich zatrzymać? — zapytał Sparhawk. — Mała gotowa spaść i zrobić sobie krzywdę.

— Ona nie spadnie, Sparhawk. — Sephrenia powiedziała to tym dziwnym tonem, który czasami słychać było w jej głosie. Pomimo dziesięcioleci spędzonych wśród Elenów Sephrenia pozostała do szpiku kości Styriczką. Styricy zawsze stanowili zagadkę dla Elenów, jednak Rycerze Kościoła, dzięki trwającym całe stulecia bliskim związkom ich zakonów ze Styrikami, nauczyli się nie podawać w wątpliwość słów swoich nauczycieli.

— Dobrze, jeśli jesteś tego taka pewna — rzekł Sparhawk z niedowierzaniem, patrząc na Farana, który najwyraźniej zapomniał o swym złośliwym usposobieniu.

— Tak, mój drogi. — Sephrenia położyła dłoń na ramieniu rycerza. — Jestem tego absolutnie pewna. — Spojrzała na potężnego rumaka z małym jeźdźcem na grzbiecie galopującego radośnie dookoła łąki w złotym świetle poranka. — Po-

zwól im się jeszcze trochę pobawić.

Przed południem przybył Kalten. Wrócił z posterunku usytuowanego na południe od zamku, gdzie razem z Kurikiem obserwowali trakt biegnący z Sarrinium.

— Jak dotąd nic — raportował zsiadając z konia przy wtórze szczęku zbroi.
— A może Martel pojechał na przełaj omijając uczęszczane gościńce?

— Chyba nie — odparł Sparhawk. — Pamiętaj, że on chce, by go widziano. Potrzeba mu wielu świadków.

— Tak, nie pomyślałem o tym — przyznał jasnowłosy rycerz. — Czy pilnujecie traktu z Darry?

Sparhawk skinął głową.

— Pan Lakus i Berit trzymają tam straż — powiedział.

— Berit? — Kalten się zdziwił. — Ten nowicjusz? Czy nie jest na to trochę za młody?

— Poradzi sobie. Jest zrównoważony i trzeźwo myśli. A poza tym pan Lakus może ustrzec go od kłopotów.

— Pewnie masz rację. Czy zostało jeszcze coś z tego pieczonego wołu, którego przysłał nam hrabia?

— Często się. Niestety, mięso już wystygło.

— Lepsza zimna stawa niż żadna — westchnął Kalten wzdychając ramionami.

Dzień ciągnął się niemiłosiernie, tak jak zawsze ciągną się dni spędzone na czekaniu. Wieczorem Sparhawk chodził niecierpliwie tam i z powrotem po obozie. W końcu Sephrenia wyszła ze swego małego namiotu, który dzieliła z Fleciem, i stanęła przed rosnącym rycerzem w czarnej zbroi kładąc palec na ustach.

— Przystaniesz wreszcie? — spytała wyraźnie zła.

— Co mam przestać?

— Chodzić. Dzwonisz przy każdym kroku, a ten dźwięk każdego może doprowadzić do szału.

— Przepraszam. Pójdę stąd i będę dzwonił po drugiej stronie obozu.

— Czemu po prostu nie usiądziesz?

— Chyba jestem zdenerwowany.

— Zdenerwowany? Ty?

— Zdarza mi się to od czasu do czasu.

— To niech ci się to zdarza gdzie indziej.

— Dobrze, mateczko — zgodził się Sparhawk potulnie.

Następny ranek również był zimny. Tuż przed wschodem słońca do obozu cicho wjechał Kurik. Ostrożnie mijał śpiących rycerzy zawiniętych w czarne płaszcze, kierując się do miejsca, gdzie Sparhawk rozłożył swoje koce.

— Lepiej wstań już — powiedział giermek, delikatnie dotykając ramienia rycerza. — Nadjeżdżają.

Sparhawk zerwał się szybko.

— Ilu ich jest? — zapytał odrzucając kocy.

— Naliczyłem ze dwustu pięćdziesięciu.

— Gdzie Kalten? — pytał dalej Sparhawk, podczas gdy Kurik zapinał na nim rzemienie czarnej zbroi.

— Chciał się upewnić, że nie będzie żadnych niespodzianek, więc dołączył do kolumny.

— Czy ja dobrze słyszałem?!

— Uspokój się. Oni wszyscy mają czarne zbroje, więc z łatwością wmieszal się między nich.

— Czy mógłbyś mi to przywiązać? — Sparhawk podał giermkowi kawałek jasnej szarfy, jaką miał nosić każdy z rycerzy, by mogli się rozpoznać w czasie walki, ponieważ obie strony ubrane były na czarno.

Kurik wziął wstążkę.

— Kalten ma niebieską. Pasuje do jego oczu — zauważył zawiązując szarfę na ramieniu Sparhawk, po czym cofnął się i spojrzał na swojego pana z uznaniem. — Wspaniale — ocenił przewracając oczyma.

Sparhawk roześmiał się i klepnął przyjaciela po ramieniu.

— Chodźmy obudzić dzieciaki — powiedział spoglądając na śpiących rycerzy. Większość z nich była dużo młodsza od Sparhawk.

— Mam dla ciebie również złe wieści — rzekł Kurik, kiedy szli przez obóz budząc ze snu pandionitów.

— Co takiego?

— To nie Martel prowadzi kolumnę.

Sparhawk ogarnęło uczucie bolesnego zawodu.

— A kto? — zapytał.

— Adus. Ma twarz zbrogzoną krwią. Pewnie znowu je surowe mięso.

Sparhawk zaklął.

— Popatrz na to z innej strony. — Kurik starał się ułagodzić rycerza. — W końcu świat zostanie uwolniony od Adusa, a Bóg na pewno będzie rad mogąc sobie z nim uciąć dłuższą pogawędkę.

— Spróbujmy więc Go zadowolić.

Kalten wjechał do obozu, gdy rycerze pomagali sobie nawzajem zapinać zbroje.

— Wloką się pod tamto wzgórze, na południe od zamku — meldował nie zadając sobie nawet trudu zsiadania z konia.

— Może Martel ukrywa się gdzieś pośród nich? — zapytał Sparhawk z nadzieją.

— Obawiam się, że nie. — Kalten pokręcił głową. Staął w strzemionach i poprawił miecz u pasa. — Czemu po prostu ich nie zaatakujemy? Robi mi się zimno.

— Myślę, że rozczarowalibyśmy hrabiego Raduna nie dając mu szansy na udział w bitwie.

— Tak, to prawda.

— Czy w którymś z tych najemników zauważyłeś coś szczególnego?

— Nie, nic poza tym, że prawie połowa z nich to Rendorczycy.

— Rendorczycy?

— Nie pachną zbyt ładnie, prawda?

Podeszła do nich Sephrenia, a wraz z nią Parasim i mała Flecik.

— Dzień dobry, Sephrenio — pozdrowił ją Sparhawk.

— Co to za zamieszanie? — spytała.

— Nadciągają już goście. Zamierzamy wyjechać im na spotkanie.

— Martel?

— Nie, niestety, to tylko Adus z kilkoma przyjaciółmi. — Poprawił trzymany pod lewym ramieniem hełm. — Skoro nie dowodzi nimi Martel, Adus zaś ledwo mówi w języku Elenów, a jeszcze gorzej po styricku, to nie ma wśród nich nikogo, kto potrafiłby sklecić wystarczająco mocne zaklęcie, by strącić muchę ze ściany. Obawiam się więc, mateczko, iż podróżowałaś nadaremnie. Chcę, byś pozostała tu, w lesie, dobrze ukryta przed niebezpieczeństwem. Pan Parasim zostanie z tobą.

Na twarzy młodego rycerza pojawiło się rozczarowanie.

— Nie, Sparhawk — rzekła Sephrenia. — Niepotrzebny mi strażnik, a poza tym to będzie jego pierwsza bitwa. Nie możemy go jej pozbawić.

Twarz Parasima rozjaśniła się wdzięcznością.

Ze swego posterunku w lesie powrócił Kurik.

— Adus prowadzi swoich ludzi na szczyt pobliskiego wzgórza — zameldował. — Słońce już wstaje.

— Na koń! — rozkazał Sparhawk.

Pandionicy wskoczyli na siodła i cicho ruszyli przez las. Stanęli między drzewami na skraju rozległej łąki otaczającej zamek i czekali, przyglądając się najemnikom w czarnych zbrojach, zjeżdżającym ze wzgórza w złocistych promieniach słońca.

Adus, zwykle porozumiewający się z innymi za pomocą chrząknięć i beknięć, podjechał do bramy zamku hrabiego Raduna i odczytał kulawo to, co miał zapisane na kawałku papieru, który trzymał przed sobą w wyciągniętej ręce.

— Nie potrafi tego po prostu powiedzieć? — zapytał cicho Kalten. — Musi czytać? Przecież prosi tylko o pozwolenie na wjazd do zamku.

— Martel nie lubi ryzykować — odpowiedział Sparhawk — a Adus ma zwykle problemy z zapamiętaniem własnego imienia.

Adus czytał dalej swoją prośbę. Pewną trudność sprawiło mu wymówienie słowa „pozwolenie”, jako że miało więcej niż dwie sylaby.

Na blankach pojawił się hrabia Radun, by z żalem zakomunikować, iż uszkodzony został kołowrót podnoszący i opuszczający zwodzony most. Hrabia prosił, by cierpliwie czekali, aż mechanizm zostanie naprawiony.

Adus zastanawiał się nad tym, a ponieważ zajęło mu to trochę czasu, najemnicy zsiadli z koni i porozkładali się na trawie u podnóża murów zamku.

— To będzie aż nazbyt łatwe — mruknął Kalten.

— Postarajmy się po prostu, by żadnemu z nich nie udało się uciec — powiedział do niego Sparhawk. — Nie chciałbym, by do Anniasa dotarło cokolwiek z tego, co dziś się tu wydarzy.

— Nadal uważam, że Vanion próbuje być zbyt sprytny.

— Może właśnie dlatego on jest mistrzem, a my zwykłymi rycerzami.

Na szczycie murów zamku pojawiła się czerwona flaga. — Oto sygnał — rzekł Sparhawk. — Oddziały Raduna są gotowe. — Nałożył hełm, ściągnął wodze i stanął w strzemionach, mocno ściskając nogami boki Farana. Zakrzyknął gromko: — Do ataku!

Rozdział 9

- Nie ma żadnej nadziei? — zapytał Kalten.
- Nie — odpowiedział z głębokim smutkiem Sparhawk, kładąc Parasima na ziemi. — Wyzionął ducha. — Przygłodził zmarłemu włosy i delikatnie zamknął jego nieobecne oczy.
- Nie był jeszcze gotów, by stawić czoło Adusowi.
- Czy temu bydlakowi udało się uciec?
- Obawiam się, że tak. Odjechał z kilkunastoma niedobitkami na południe zaraz po tym, jak powalił pana Parasima.
- Wyślij za nim paru ludzi — rzekł posępnie Sparhawk, układając Parasimowi ręce na piersiach. — Powiedz, że jeżeli będzie trzeba, niech gonią ich aż do brzegu morza.
- Czy chcesz, bym ich poprowadził?
- Nie. Musisz ze mną jechać do Chyrellos. Berit! — zawołał.
- Nowicjusz zbliżył się prawie biegnąc. Miał na sobie starą, spryskaną krwią kolczugę i powgniatany hełm piechura bez przyłbicy. W dłoni trzymał brudny, osadzony na długim trzonku topór bitewny.
- Sparhawk przyjrzał się kolczudze młodzieńca.
- Czy jest tu również twoja krew? — zapytał.
- Nie, dostojny panie. Tylko tamtych. — Berit wskazał na trupy, którymi usłane było pole bitwy.
- To dobrze. Co powiedziałaś na dłuższą jazdę?
- Jak rozkażesz, dostojny panie.
- Ten przynajmniej umie się zachować — zauważył Kalten. — Bericie — rzekł po chwili — zapytaj: „Dokąd”, zanim zbyt pochopnie wyrazisz zgodę.
- Będę pamiętał o tym, panie Kaltenie.
- Chcę, byś poszedł ze mną — powiedział Sparhawk do nowicjusza. — Nim wyruszysz, musimy porozmawiać z hrabią Radunem. — Odwrócił się do Kaltena. — Wybierz grupę ludzi do pościgu za Adusem — polecił. — Niech gonią co sił. Nie chciałbym dać mu czasu na wysłanie któregoś z kamratów do Anniasa

z wiadomością o tym, co się tu wydarzyło. Pozostałym powiedz, by zajęli się rannymi i pogrzebali naszych poległych.

— A co z tymi trupami? — Kalten wskazał na ciała najemników leżące pod murami zamku.

— Spal je.

Hrabia Radun oczekiwał Sparhawk i Berita na zamkowym dziedzińcu. Miał na sobie pełną zbroję, a w dłoni trzymał miecz.

— Widzę, że pandionicy w pełni zasługują na swą sławę — powiedział.

— Dziękuję — rzekł Sparhawk. — Chciałbym cię prosić o przysługę, wielmożny panie, a nawet o dwie.

— Zrobię wszystko, czego sobie życzysz.

— Czy znasz, hrabio, kogoś spośród członków hierarchii w Chyrellos?

— Kilku, a patriarcha Larium jest moim dalekim kuzynem.

— To bardzo dobra dla mnie wiadomość. Wiem, że nie jest to najlepsza pora na podróż, ale chciałbym prosić, hrabio, byś towarzyszył mi w małej przejażdżce.

— Oczywiście. Dokąd mamy się udać?

— Do Chyrellos. Druga prośba jest bardziej osobistej natury. Potrzebny mi jest twój sygnet rodowy, hrabio.

— Mój pierścień? — Radun uniósł dłoń i spojrzał na ciężki złoty sygnet z wygrawerowanym herbem.

Sparhawk skinął głową.

— A co gorsza — dodał — nie mogę obiecać, że będę w stanie ci go zwrócić.

— Chyba nie do końca rozumiem.

— Ten oto Berit zawiezie pierścień do Cimmury i położy go na tacy podczas mszy w katedrze. Dla Anniasa będzie to sygnałem, że jego plan się powiódł i że ty, wielmożny panie, i twoja rodzina zostaliście wymordowani. Wtedy prymas pośpieszy do Chyrellos, by oskarżyć pandionitów przed hierarchami.

— A wtedy my wystąpimy, obalając te oskarżenia, prawda? — Radun uśmiechnął się szeroko.

— Otóż to. — Sparhawk również się uśmiechnął.

— To może wpędzić Anniasa w niezłe tarapaty — powiedział hrabia zdejmując sygnet z palca.

— O to właśnie nam chodzi, wielmożny panie.

— A więc mój pierścień nie pójdzie na marne. — Radun podał sygnet Beritowi.

— Ruszaj — rzekł Sparhawk młodemu nowicjuszowi. — Tylko nie zajęcz na śmierć żadnego z koni w drodze do Cimmury. Daj nam czas na dotarcie do Chyrellos przed Anniasem. — Przymknął w zamyśleniu oczy. — Myślę, że poranna msza.

— Dostojny panie...?

— Rzuć pierścień hrabiego na tacę podczas porannej mszy. Pozwólmy prymasowi napawać się zwycięstwem przez cały dzień, zanim ruszy do Chyrellos. Nałóż zwykłą odzież i pomódl się trochę, postaraj się nie wyróżniać z tłumu. Nie zbliżaj się do siedziby zakonu ani do zajazdu przy ulicy Róż. — Spojrzał na młodego nowicjusza i przypomniał sobie o utracie Parasima. Jego serce znów przeszył ostry ból. — Nie mogę przyrzec, że nic ci nie grozi, Bericie — powiedział oschle — a więc nie mogę również rozkazać, byś podjął się tej misji.

— Nie musisz wydawać mi takiego rozkazu, dostojny panie — odparł Berit.

— Nie zawiodłem się na tobie. A teraz idź i przygotuj swojego konia. Czekam cię długa podróż.

Około południa Sparhawk i Radun wyszli z zamku.

— Jak sądzisz, ile czasu zajmie prymasowi dotarcie do Chyrellos? — zapytał hrabia.

— Najwyżej dwa tygodnie. Berit powinien już być w Cimmurze, zanim An-nias wyruszy do Chyrellos.

— Wszystko gotowe — powiedział Kurik podjeżdżając do nich.

— Lepiej jedź po Sephrenię — poradził mu Sparhawk.

— To chyba nie jest dobry pomysł. W Chyrellos może być niebezpiecznie.

— Czyżbyś miał odwagę powiedzieć jej, że ma zostać?

Kurik zerknął na niego z ukosa.

— Rozumiem — mruknął.

— Gdzie jest Kalten?

— Tam, na skraju lasu. Rozpalił wielkie ognisko.

— Może mu zimno.

Zimowe słońce świeciło jasno na błękitnym niebie, gdy pandionicy szykowali się do drogi.

— Doprawdy, pani — tłumaczył Sephrenii hrabia Radun — dziecko będzie całkiem bezpieczne w murach mego zamku.

— Ona nie będzie chciała tu pozostać, wielmożny panie — odparła czarodziejka. Przytuliła policzek do włosów Flecika. — A poza tym — dodała łamiącym się głosem — jej obecność jest dla mnie wielką pociechą. — Sephrenia była bardzo blada, sprawiała wrażenie zmęczonej. W dłoni trzymała miecz Parasima.

Sparhawk zatrzymał Farana obok jej białej klaczy.

— Dobrze się czujesz, mateczko? — zapytał cicho.

— Niezupełnie.

— Co się stało? — Poczł nagły niepokój.

— Pan Parasim był jednym z dwunastu rycerzy w sali tronowej pałacu w Cimmurze. — Westchnęła. — Przyszło mi właśnie dźwigać jego brzemień razem z moim. — Z trudem uniosła miecz.

— Ale nie jesteś chora, prawda?

— Nie, w każdym razie nie w takim sensie, jak myślisz. Po prostu musi upłynąć trochę czasu, nim przyzwyczaję się do dodatkowego ciężaru.

— Czy mógłbym ci jakoś pomóc, mateczko?

— Nie, mój drogi.

Sparhawk głęboko zaczerpnął powietrza.

— Saphrenio — powiedział — czy to, co spotkało dziś pana Parasima, jest częścią przeznaczenia, czekającego każdego z tych dwunastu rycerzy?

— Tego nie wiemy, Sparhawk. Umowa, którą zawarliśmy z Młodszymi Bogami Styricum, nie była tak szczegółowa. — Uśmiechnęła się słabo. — Jeżeli jednak w ciągu tego miesiąca umrze następny z rycerzy, będziemy wiedzieli, że najprawdopodobniej był to tylko wypadek nie mający nic wspólnego z tą umową.

— A więc będziemy co miesiąc tracić jednego z nich?

— Księżycowy miesiąc — poprawiła. — Co dwadzieścia osiem dni. Najprawdopodobniej tak. Młodszy Bogowie starają się w takich przypadkach postępować metodycznie. Nie martw się o mnie, Sparhawk. Za chwilę poczuje się lepiej.

Z zamku hrabiego Raduna do Darry było około sześćdziesięciu lig. Czwartego dnia podróży ze szczytu wzgórza zobaczyli pokryte czerwonymi dachówkami domy i setki kominów, z których smugi dymu unosiły się prosto w niebo w nieruchomym powietrzu. Na szczycie wzgórza oczekiwał na nich pandionita w czarnej zbroi.

— Witaj, panie Sparhawk — rzekł rycerz, podnosząc przyłbicę.

— Witaj, panie Olvenie — odpowiedział Sparhawk, rozpoznając poznaną bliźniami twarz rycerza.

— Mam dla ciebie, dostojny panie, wiadomość od mistrza Vaniona. Poleca ci on, abyś jak najszybciej udał się do Cimmury.

— Do Cimmury? Skąd ta zmiana planów?

— Jest tam król Dregos, który zaprosił również Warguna z Thalesii i Oblera z Deiry. Dregos zamierza ustalić przyczynę choroby królowej Ehlany i osądzić roszczenia bękartu Lycheasa do tytułu księcia regenta. Vanion przypuszcza, że Annias — by zapobiec kłopotliwym dociekaniom — przedstawi Radzie Królów swoje oskarżenia przeciwko naszemu zakonowi.

Sparhawk zaklął.

— Do tej pory Berit zdążył nas już znacznie wyprzedzić — powiedział. — Czy wszyscy królowie dotarli już do Cimmury?

Olven potrząsnął głową.

— Król Obler jest za stary, by podróżować szybko — odrzekł — a zanim król Wargun wytrzeźwieje i będzie mógł wyruszyć z Emsatu, upłynie pewnie z tydzień.

— Nie będziemy ryzykować — zdecydował Sparhawk. — Pojedziemy na skróty do Demos, a potem prosto do Cimmury. Czy Vanion jest nadal w Chyrellos?

— Nie. Zajechał do Demos w drodze do Cimmury. Towarzyszy mu Dolmant, patriarcha Demos.

— Dolmant? — zdziwił się Kalten. — A to niespodzianka! Kto w takim razie sprawuje władzę w Kościele?

— Panie Kaltenie — powiedział sztywno hrabia Radun. — Kierowanie Kościołem spoczywa w rękach arcyprałata.

— Przepraszam, wielmożny panie. Wiem, jak bardzo wy, mieszkańcy Arcium, szanujecie Kościół, lecz bądźmy szczerzy — arcyprałat Cluvonus ma osiemdziesiąt pięć lat i bardzo wiele śpi. Dolmant nie chwali się tym, ale większość podejmowanych w Chyrellos decyzji należy do niego.

— Jedźmy! — ponaglił Sparhawk.

Dotarcie do Demos zajęło im cztery dni wytężonej jazdy. Olven opuścił ich i wrócił do siedziby zakonu. Po następnych trzech dniach dotarli do bram zamku w Cimmurze.

— Gdzie możemy znaleźć mistrza Vaniona? — zapytał Sparhawk nowicjusza, który wyszedł na dziedziniec, by zająć się ich końmi.

— Jest w południowej wieży, dostojny panie, w swojej komnacie, razem z Dolmantem, patriarchą Demos.

Sparhawk powiódł swych towarzyszy do wnętrza wieży, a potem wąskimi schodami w górę.

— Dzięki Bogu, przyjechaliście na czas — powitał ich Vanion.

— Czy Berit dostarczył już pierścień hrabiego? — zapytał Sparhawk.

Vanion skinął głową.

— Dwa dni temu — rzekł. — Miałem w katedrze swojego obserwatora. — Zmarszczył lekko brwi. — Czy postąpiłeś rozsądnie, Sparhawk, powierzając tę misję nowicjuszowi?

— Berit jest młodzieńcem godnym zaufania — wyjaśnił Sparhawk — i w dodatku nie jest tu, w Cimmurze, zbyt dobrze znany. A tego nie można powiedzieć o większości rycerzy.

— Rozumiem. Ty byłeś dowódcą, Sparhawk. Do ciebie należało podjęcie decyzji. Jak poszło wam w Arcium?

— Najemnikom przewodził Adus — odparł Kalten. — Szukałem między nimi Martela, ale go nie znalazłem. W zasadzie wszystko przebiegło zgodnie z planem, tylko niestety Adusowi udało się uciec.

Sparhawk zaczerpnął tchu.

— Utraciliśmy pana Parasima — powiedział ze smutkiem. — Przykro mi, mistrzu. Próbowałem go trzymać z dala od bitwy.

W oczach Vaniona pojawił się głęboki żal.

— Wiem — rzekł Sparhawk dotykając ramienia starca. — Ja również go kochałem. — Dostrzegł szybką wymianę spojrzeń między Vanionem i Sephrenią. Skinęła lekko głową, jakby upewniając mistrza o tym, że Sparhawk wie, iż Parasim był jednym z dwunastu. Rycerz wyprostował się i przedstawił hrabiego Raduna.

— Zawdzięczam ci życie, mistrzu Vanionie — dziękował Radun, gdy ściskali sobie dłonie. — Proszę, powiedz, jak mogę się odwdziżyć.

— Twoja obecność tu, w Cimmurze, jest wystarczającą zapłatą, wielmożny panie.

— Czy pozostali dwaj królowie dołączyli już do mojego bratanka? — zapytał hrabia.

— Obler tak, jednak król Wargun jest jeszcze na morzu.

W pobliżu okna siedział szczupły sześćdziesięcioletni mężczyzna ubrany w surową czarną sutannę. Jego ascetyczną twarz okalały siwe włosy, ale spojrzenie miał nadal przenikliwe. Sparhawk podszedł i przyklęknął z szacunkiem.

— Najprzewielebniejszy księże arcybiskupie — schylił głowę przed patriarchą Demos.

— Miło znów cię widzieć, panie Sparhawk — rzekł do niego duchowny. Spojrzał ponad ramieniem rycerza. — Czy chodzisz do kościoła, Kuriku?

— Eee... gdy tylko jest okazja, najprzewielebniejszy księże arcybiskupie — odparł giermek lekko się rumieniąc.

— To doskonale, mój synu. Jestem pewien, że Bóg ogląda cię zawsze z przyjemnością. Jak się ma Aslade i chłopcy?

— Dobrze, wasza świątobliwość. Dziękuję za troskę.

Sephrenia przyglądała się arcybiskupowi.

— Nie jadasz jak należy, Dolmancie — odezwała się z pretensją w głosie.

— Czasami zapominam o posiłkach. — Uśmiechnął się do niej chytrze. — Gdy tylko nie śpię, całą moją uwagę zaprzęta nawracanie pogan. Powiedz, Sephrenio, czy jesteś w końcu gotowa odrzucić styrickie obyczaje i przyjąć prawdziwą wiarę?

— Jeszcze nie — odparła, również się uśmiechając. — Jednakże miło, że o to pytasz.

Patriarcha Demos roześmiał się.

— Pomyślałem sobie, że lepiej od razu mieć to pytanie za sobą, by nie ciążyło nad naszą dalszą rozmową. — Spojrzał ciekawie na dziewczynkę, przechadzającą się po komnacie i oglądającą meble. — A kim jest to piękne dziecko? — zapytał.

— To znajda, wasza świątobliwość — odpowiedział Sparhawk. — Natknęliśmy się na nią w pobliżu granicy z Arcium. Nie mówi, więc nazwaliśmy ją Flecik.

— I nie starczyło wam czasu, by ją wykapać? — zapytał Dolmant patrząc na zabłocone stópki dziewczynki.

— To nie byłoby wskazane, najprzewielebniejszy księże arcybiskupie — odparła Sephrenia.

Patriarcha Demos spojrział na nią zdziwiony. Potem ponownie skierował swój wzrok na dziewczynkę.

— Podejź tu, dziecko — powiedział.

Mała zbliżyła się do niego ostrożnie.

— I nie przemówisz nawet do mnie?

Flecik uniosła fujarkę i zagrała pytająco.

— Rozumiem — rzekł Dolmant. — A więc dobrze, Fleciku, czy przyjmiesz moje błogosławieństwo?

Spojrziała na niego chmurnie i potrząsnęła głową.

— To styrickie dziecko, Dolmancie — odezwała się Sephrenia. — Twoje błogosławieństwo nie miałoby dla niej znaczenia.

Flecik wyciągnęła rękę, ujęła szczupłą dłoń patriarchy i położyła ją sobie na sercu. Dolmant ze zdziwienia otworzył szeroko oczy.

— Jednakże ona chciałaby tobie ofiarować swoje błogosławieństwo — wyjaśniła Sephrenia. — Czy je przyjmiesz?

— Myślę, że nie powinienem, ale — Boże, dopomóż mi — przyjmę chętnie.

Flecik uśmiechnęła się do Dolmanta i ucałowała jego obie dłonie. Potem odbiegła kręcąc wdzięczne piruety; jej czarne włosy powiewały wokół główki, a z fujarki wydobywała się radosna melodia. Twarz patriarchy zastygła w wyrazie zdumienia.

— Spodziewam się, że zostanę wezwany do pałacu, jak tylko przybędzie król Wargun — powiedział Vanion. — Annias nie będzie chciał stracić okazji, by osobiście się ze mną zmierzyć. — Spojrział na Raduna. — Czy ktokolwiek widział cię, hrabio, kiedy jechałeś do naszego zamku?

— Miałem opuszczoną przyłbicę — wyjaśnił Radun — i, zgodnie z sugestią Sparhawk, przysłoniłem herb na swojej tarczy. Jestem przekonany, że nikt nie wie o mojej obecności w Cimmurze.

— To dobrze. — Vanion roześmiał się nagle. — Nie chcielibyśmy przecież popsuć niespodzianki Anniasowi, prawda?

Wezwanie do pałacu nadeszło dwa dni później. Vanion, Sparhawk i Kalten nałożyli mnisie szaty, jakie zwykle nosili pandionicy przebywając w siedzibie zakonu, jednakże pod nimi mieli kolczugi i miecze. Dolmant i Radun przywdziali czarne habity, Sephrenia — jak zawsze — była w białej sukni. Po krótkiej rozmowie Flecik zgodziła się pozostać w zamku. Kurik przypasał miecz.

— To na wypadek kłopotów — mruknął do Sparhawka, gdy opuszczali zamek.

Dzień był mroźny i pochmurny, a po ulicach Cimmury gwizdał zimny wiatr. Szli za Vanionem mijając zaledwie paru ludzi. Sparhawk nie był pewien, czy mieszkańcy miasta pozostali w domu ze względu na pogodę, czy też z powodu krążących plotek.

W pobliżu pałacu ujrzał znajomą postać. Mały żebrak, zawinięty w poszarpany płaszcz, wyszedł kulejąc zza rogu, gdzie chronił się przed wiatrem.

— Litości, szlachetni panowie, litości — błagał głosem chwytającym za serce.

Sparhawk wstrzymał Farana i sięgnął po kilka drobnych monet.

— Muszę z tobą porozmawiać, dostojny panie — powiedział cicho chłopiec, gdy inni odjechali już i nie mogli go usłyszeć.

— Później — odparł rycerz pochylając się w siodle, by wrzucić monety do żebraczej miski.

— Mam nadzieję, że niezbyt późno. — Talen zatrząśnięty z zimna. — Zamierzam tu.

Na krótko zatrzymali się przed pałacową bramą, gdyż strażę próbowały zatrzymać eskortę Vaniona. Kalten rozwiązał problem, odchylając szatę i opierając znacząco dłoń na rękojeści swojego miecza. W tym momencie dyskusja raptownie się urwała, a drużyna wjechała na dziedziniec pałacu. Zsiedli z koni.

— Uwielbiam tak załatwiać sprawy — powiedział wesoło Kalten.

— Łatwo cię uszczęśliwić — rzucił Sparhawk.

— Przyjacielu, jestem prostym człowiekiem, który znajduje radość w prostych przyjemnościach.

Skierowali się bezpośrednio do niebieskiej sali posiedzeń, gdzie na podobnych tronach fotelach siedzieli Lycheas oraz królowie Arcium, Deiry i Thalesii. Za każdym z władców stał mąż w pełnej zbroi. Na jedwabnych wierzchnich szatach rycerzy widniały emblematy trzech zakonów. Abriel o surowej twarzy, mistrz Zakonu Rycerzy Cyriników z Arcium, stał za królem Dregosem, Darellon, mistrz Zakonu Rycerzy Alcjonu z Deiry — za posuniętym w latach królem Oblerem, a grubokościsty Komier, mistrz Zakonu Rycerzy Genidianu — za królem Thalesii, Wargunem. Chociaż do wieczora było jeszcze daleko, Wargun miał już zamglone oczy. W trzęsącej się ręce trzymał srebrny puchar.

W drugim końcu komnaty zasiedli członkowie Rady Królewskiej — doradcy króla Elenii. Hrabia Lenda był wyraźnie zatroskany, baron Harparin zaś sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie.

Wraz z nimi siedział prymas Annias ubrany w fioletową atłasową sutannę. Patrzył z wyrazem triumfu na twarzy na wchodzącego Vaniona, ale gdy zobaczył towarzyszącą mistrzowi Zakonu Rycerzy Pandionu drużynę, oczy rozblęły mu wściekłością.

— Czemu nie przyszedłeś sam, mistrzu Vanionie? — zapytał. — W wezwaniu nie wspomiano o eskorcie.

— Moje stanowisko jest wystarczającym upoważnieniem wasza wielbność — odpowiedział mu zimno Vanion.

— To prawda — odezwał się hrabia Lenda. — Mistrz ma za sobą prawo i zwyczaj.

Annias rzucił starcowi pełne nienawiści spojrzenie.

— Jakie to szczęście, że mam tak biegłego w prawie doradcę — rzekł z sarkazmem. Potem jego spojrzenie padło na Sephrenię. — Usuńcie sprzed mego oblicza tę styrycką wiedźmę — zażądał.

— Nie — stwierdził Vanion krótko. — Ona tu zostanie.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie prosto w oczy, wreszcie Annias odwrócił wzrok.

— Dobrze, Vanionie — powiedział. — Z powodu wagi sprawy, którą zamierzam przedstawić Radzie Królów, postaram się zapanować nad naturalną odrazą, jaką wywołuje we mnie obecność tej czarownicy.

— Zbytek uprzejmości — mruknęła Sephrenia.

— Przystąp do rzeczy, Anniasie — odezwał się król Dregos poirytowany. — Zebraliśmy się tu po to, by rozsądzić sprawy związane z sukcesją tronu Elenii. Cóż to za niecierpiąca zwłoki sprawa, która jest na tyle ważna, że opóźnia nasze posiedzenie?

— Ta sprawa dotyczy osobiście ciebie, władco Arcium. — Annias wyprostował się. — W ubiegłym tygodniu oddział zbrojnych ludzi napadł na zamek we wschodniej części twojego królestwa, miłościwy panie.

— Czemu nic mi o tym nie wiadomo? — W oczach króla Dregosa zapłonął gniew.

— Racz mi wybaczyć, wasza królewska mość — przeproszał Annias. — Sam od niedawna wiem o tym incydencie i uznałem, że rozsądniej będzie przedstawić sprawę na forum Rady Królów. A chociaż ta potworna zbrodnia zdarzyła się w Arcium, to dotyczy ona wszystkich czterech królestw Zachodu.

— Anniasie, przejdź w końcu do sprawy! — zawołał król Wargun. — Swój kwiecisty styl zachowaj na kazania.

— Jak sobie życzysz, wasza królewska mość — powiedział prymas z ukłonem. — Mamy świadków tej zbrodni i myślę, że miast zadowalać się przekazami z drugiej ręki, raczycie wysłuchać, miłościwi panowie, bezpośredniej relacji. — Odwrócił się i skinął na jednego ze stojących przy wejściu gwardzistów w czerwonej liberii. Żołnierz podszedł do bocznych drzwi i wpuścił zdenerwowanego człowieka, który na widok Vaniona wyraźnie pobladł.

— Nie lękaj się, Tessero — rzekł do niego Annias. — Jak długo będziesz mówił prawdę, nie spotka cię żadna krzywda.

— Pokorny sługa waszej wielbności — wybełkotał roztrzęsiony mężczyzna.

— To jest Tessera, kupiec z Cimmury — przedstawił go prymas. — Tylko co wrócił z Arcium. Opowiedz nam — zwrócił się do kupca — co widziałeś na własne oczy.

— Było tak, jak już mówiłem poprzednio, wasza wielbność. Wraciałem z Sarinium, gdzie przebywałem w interesach. Rozpętała się burza i hrabia Radun raczył udzielić mi schronienia w swoim zamku. — Tessera mówił szybko, jakby recytował tekst wyuczony na pamięć. — Gdy się wypogodziło, szykowałem w stajni swojego konia do dalszej drogi. Wtedy dobiegły mnie głosy wielu mężczyzn zgromadzonych na podwórku, wyjrzałem więc, aby zobaczyć, co się dzieje. To była duża grupa Rycerzy Pandionu.

— Jesteś pewien, że to byli pandionicy? — odpowiedział mu Annias.

— Tak, wasza wielbność. Nosili czarne zbroje i dzierżyli sztandary Zakonu Pandionu. Hrabia znany jest z szacunku, jakim darzy Kościół i jego rycerzy, więc wpuścił ich bez pytania. Jak tylko pandionicy znaleźli się wewnątrz, dobyli mieczy i jęli mordować każdego, kto tylko stanął im na drodze.

— A mój wuj?! — zawołał król Dregos z rozpaczą.

— Hrabia usiłował walczyć, ale szybko go rozbroili i przywiązali do pala na środku podwórca. Zabili wszystkich mężczyzn w zamku, a potem. . .

— Wszystkich mężczyzn? — przerwał mu Annias z surowym wyrazem twarzy.

— Zabili wszystkich mężczyzn w zamku, a potem. . . — Tessera zawahał się. — Och, prawie zapominałem. Zabili wszystkich mężczyzn w zamku z wyjątkiem duchownych, a potem wywlekli na dziedziniec żonę i córki Raduna. Rozebrano je do naga i na oczach hrabiego zhańbiono.

— Moja ciotka i kuzynki! — zasłochał władca Arcium.

— Spokojnie, Dregosie — powiedział król Wargun, kładąc dłoń na jego ramieniu.

— Potem — ciągnął Tessera — gdy już kobiety zostały wielokrotnie zgwałcone, przyciągnęli je do miejsca, w którym był przywiązany hrabia, i poderżnęli im gardła. Hrabia płakał i usiłował zerwać więzy, ale były zbyt mocne. Błagał pandionitów, by darowali kobietom życie, lecz śmiali mu się w twarz. Kiedy żona i córki hrabiego leżały martwe w kałużach krwi, zapytał ich, dlaczego to uczynili. Jeden z nich — myślę, że ich dowódca — odpowiedział, że był to rozkaz pana Vaniona, mistrza Zakonu Rycerzy Pandionu.

Król Dregos poderwał się ze swego miejsca. Szlochał głośno i kurczowo ścisnął rękojeść miecza. Annias stanął przed nim.

— Podzielam twoją chęć zemsty, wasza wysokość, ale szybka śmierć byłaby zbyt wielką łaską dla tego potwora Vaniona. Pozwól nam, miłoścy panie, do końca wysłuchać tego uczciwego, dobrego człowieka. Ciągnij dalej swoje zeznanie, Tessero.

— Nie zostało już zbyt wiele do powiedzenia, wasza wielbność. Gdy pandionicy zabili wszystkie kobiety, jeśli torturować hrabiego. Zamęczyli go niemal na śmierć, wreszcie ścięli mu głowę. Po tym wszystkim przepędzili duchownych z zamku i doszczętnie go spalili.

— Dziękuję ci, Tessero — powiedział prymas. Skinął na drugiego ze swoich gwardzistów, a ten podszedł do tych samych bocznych drzwi, by wpuścić mężczyznę ubranego w chłopską koszulę. Wieśniak rzucał ukradkowe spojrzenia wokół i wyraźnie drżał.

— Powiedz nam swoje imię — rozkazał Annias.

— Nazywam się Verl, wasza wielbność, jestem poddanym hrabiego Raduna.

— A dlaczego znalazłeś się w Cimmurze? Wszak pańszczyźnianemu chłopu nie wolno opuszczać posiadłości swojego pana bez zezwolenia.

— Uciekłem, wasza wielbność, po tym, jak zamordowano hrabiego i jego rodzinę.

— Opowiedz nam, co się wydarzyło. Czy byłeś świadkiem tej zbrodni?

— Nie widziałem, co się stało wewnątrz murów, wasza wielbność. Pracowałem w polu nieopodal zamku, gdy zobaczyłem, jak wyjeżdża z niego duży oddział rycerzy zakutych w czarne zbroje i trzymających sztandary Zakonu Pandionu. Jeden z zbrojnych mężów miał włócznię, na której zatknięta była głowa hrabiego. Ukryłem się, ale gdy obok mnie przejeżdżali, słyszałem ich rozmowy i śmiechy.

— Co mówili?

— Ten, który trzymał włócznię z głową hrabiego, powiedział: „Musimy dostarczyć to trofeum do Demos, do mistrza Vaniona, na dowód wypełnienia jego rozkazów”. Kiedy przejechali, pobiegłem do zamku i znalazłem tam same trupy. Bałem się, że pandionicy mogą wrócić, więc uciekłem.

— Dlaczego przybyłeś do Cimmury?

— By donieść o tej zbrodni waszej wielbności i oddać się pod twoją opiekę, wielbny księże prymasie. Bałem się, że pandionicy złapią mnie i zabiją, jeżeli pozostanę w Arcium.

— Dlaczego to uczyniłeś, panie? — zapytał Dregos Vaniona. — Mój wuj nigdy nie występował przeciwko twojemu zakonowi.

Pozostali królowie również wpatrywali się oskarżycielsko w mistrza Zakonu Pandionu.

— Żądam, aby tego mordercę zakuć w kajdany! — wykrzyknął władca Arcium zwracając się do księcia Lycheasa.

Lycheas bez powodzenia próbował przybrać minę pełną majestatu.

— To uzasadnione żądanie, wasza wysokość — powiedział swoim nosowym głosem. Zerknął na prymasa szukając u niego wsparcia. — Rozkazujemy zatem, aby tego łajdaka Vaniona zakuć. . .

— Hm, wybaczcie mi, miłośnicy panowie — przerwał hrabia Lenda — ale zgodnie z prawem mistrz Vanion powinien powiedzieć, co ma na swoją obronę.

— A cóż może on mieć na swoją obronę? — zapytał zjadliwie król Dregos. Sparhawk i jego towarzysze stali w głębi komnaty. Sephrenia skinęła lekko i Sparhawk schylił ku niej głowę.

— Ktoś tu korzysta z magii — szepnęła — dlatego królowie ochoczo zaakceptowali tak infantylne oskarżenie. To zaklęcie wzbudzające wiarę w słowa.

— Czy możesz je odwrócić, mateczko? — zapytał szeptem.

— Tak, ale tylko wtedy, gdy będę wiedziała, kto je rzucił.

— To Annias. Próbował już swoich zaklęć na mnie, gdy tylko wróciłem do Cimmury.

— Duchowny? — zdziwiła się. — Dobrze. Zajmę się tym. — Zaczęła bezgłośnie poruszać ustami, a dłonie ukryła w rękawach, by nie widać było, jakie wykonuje nimi gesty.

— No, dalej, Vanionie — drwił prymas — co masz do powiedzenia na swoją obronę?

— Ci ludzie oczywiście kłamią — odparł Vanion z pogardą.

— A czemuż mieliby kłamać? — zapytał Annias, zwracając się do Rady Królów. — Gdy tylko dotarło do mnie sprawozdanie tych świadków, wysłałem oddział gwardii, by zbadać sprawę dokładnie. Oczekuję raportu w przyszłym tygodniu. A do tego czasu zalecałbym rozbroić wszystkich pandionitów i zabronić im opuszczania zamku, by zapobiec innym zbrodniom.

— W tej sytuacji byłoby to rozsądne posunięcie — powiedział król Obleszarpiąc swoją długą siwą brodę. — Mistrzu Darellonie — zwrócił się do alcjonity. — Wyślij jeźdźca do Deiry, niech sprowadzi do Elenii twoich rycerzy. Pomogą cywilnym władzom w rozbrojeniu i uwięzieniu pandionitów.

— Stanie się, jak rozkazałeś, wasza królewska mość — odparł Abriel patrząc groźnie na Vaniona.

— Szczerze radziłbym — sędziwy władca Deiry zwrócił się do króla Warguna i króla Dregosa — aby cyrinicy i genidianicy również przysłali swoich rycerzy. Wtrąćmy do lochów wszystkich pandionitów, dopóki nie będziemy mogli oddzielić niewinnych od winnych.

— Dopilnuj tego, Komierze — rzekł król Wargun.

— Ty również wezwij rycerzy, Abrielu — rozkazał król Dregos mistrzowi Zakonu Cyriników. Wpatrywał się w Vaniona z nienawiścią. — Modłę się o to, by twoi podwładni stawili opór. — W jego głosie brzmiała wściekłość.

— Dziękuję, miłoścy panowie — powiedział kłaniając się Annias. — Raczcie również — gdy tylko otrzymamy raport moich gwardzistów — udać się do Chyrellos wraz ze mną i tymi dwoma naocznymi świadkami. Tam będziemy mogli opowiedzieć o zbrodni hierarchom Kościoła i samemu arcyprałatowi z prośbą, by rozwiązał Zakon Pandionu. Ten zakon podlega władzy kościelnej i tylko Kościół może podjąć ostateczne decyzje.

— Słusznie. — Król Dregos zgrzytnął zębami. — Pozbądźmy się tej pandionickiej zarazy raz na zawsze.

Usta prymasa wykrzywiły się w uśmiechu. Wtem wzdrygnął się, a jego twarz stała się trupio blada — to Sephrenia uwolniła przeciwne zaklęcie.

W tym samym momencie Dolmant, patriarcha Demos, wystąpił naprzód odrzucając jednocześnie kaptur, by ukazać swoją twarz.

— Czy mogę zabrać głos, miłoścy królowie? — zapytał.

— Wa-wasza świątobliwość — wyjąkał Annias zdumiony — nie wiedziałem, że jesteś w Cimmurze, panie.

— Nie chciałem, byś o tym wiedział, Anniasie. Jak słusznie zauważyłeś, Zakon Rycerzy Pandionu podlega władzom kościelnym. Uważam więc, że — jako najwyższy tu rangą duchowny — powinienem przejąć dochodzenie w swoje ręce. Dziękujemy ci jednakże za sposób, w jaki je dotychczas poprowadziłeś.

— Ale...

— To wszystko, Anniasie — zbył go Dolmant. Następnie zwrócił się do Rady Królów i do Lycheasa, który gapił się na niego z otwartymi ustami.

— Miłoścy królowie — zaczął. Przechadzał się tam i z powrotem z założonymi do tyłu rękami, jakby pogrążony był w głębokiej zadumie. — Usłyszeliśmy istotnie poważne oskarżenie. Zastanówmy się jednak, kim są oskarżyciele. Jeden to prosty kupiec, a drugi — zbiegły chłop pańszczyźniany. Oskarżonym zaś jest mistrz jednego z zakonów Rycerzy Kościoła, mąż szlachetny, bez zmyzy na honorze. Czemu to człowiek takiej rangi jak mistrz Vanion miałby się dopuścić nikczemnej zbrodni? A przecież nie otrzymaliśmy jak dotąd przekonujących dowodów na to, że zbrodnia rzeczywiście miała miejsce. Nie postępujemy zbyt pochopnie.

— Jak już wspominałem, wasza świątobliwość — przerwał Annias — wysłałem swoich gwardzistów do Arcium, by obejrżeli miejsce zbrodni na własne oczy. Rozkazałem im również odszukać i przywieźć do Cimmury duchownych, którzy byli w zamku hrabiego Raduna świadkami tych okrucieństw. Ich zeznania nie powinny już budzić żadnych wątpliwości.

— Ach, tak — przyznał Dolmant. — Żadnych. Myślę jednak, że będę w stanie oszczędzić nam trochę czasu. Tak się składa, że jest ze mną człowiek, który był naocznym świadkiem tego, co wydarzyło się w zamku hrabiego Raduna, i nie sądzę, by jego zeznania mogły być podważone przez kogokolwiek z obecnych na tej sali. — Spojrzał na hrabiego Raduna, który osłonięty habitem, z kapturem na głowie, stał skromnie w głębi komnaty. — Proszę, wystąp, bracie.

Annias gryzł palce ze złości. Był wyraźnie dotknięty i rozczarowany odsunięciem od śledztwa i nieoczekiwanym pojawieniem się świadka.

— Czy mógłbyś się nam przedstawić, bracie? — zapytał Dolmant, gdy hrabia stanął u jego boku.

Radun odrzucił kaptur i wszyscy zobaczyli jego uśmiechniętą twarz.

— Wuj! — wykrzyknął osłupiały król Dregos.
— Wuj? — Król Wargun zerwał się na równe nogi rozlewając wino.
— To jest hrabia Radun, mój wuj — wytłumaczył zdumiony wciąż jeszcze Dregos.

— Wygląda na to, hrabio, że w cudowny sposób zmartwychwstałeś. — Władca Thalesii roześmiał się. — Moje gratulacje. Powiedz, jak udało ci się z powrotem przyszyć głowę?

Prymas był sinoblady. Patrzył na hrabiego Raduna z niemym niedowierzaniem.

— Jak mogłeś... — wybuchnął, ale zaraz się opamiętał. Rozglądał się dookoła z dzikim popłochem, jakby szukał drogi ucieczki. Wkrótce jednak się opanował. — Miłościwi panowie — wykrztusił — zostałem wprowadzony w błąd przez fałszywych świadków. Proszę o wybaczenie. — Strużki potu spływały mu po twarzy i nerwowo poprawiał się na fotelu. — Zamknąć tych dwóch kłamców! — Wskazał na kupca i wieśniaka, którzy płakali z przerażenia. Kilku gwardzistów w czerwonych liberiach czym prędzej wyprowadziło ich z komnaty.

— Annias szybko przyszedł do siebie, prawda? — mruknął Kalten do Sparhawk. — O ile się założysz, że zanim zajdzie słońce, ci dwaj powieszają się, oczywiście przy odrobinie czyjejś pomocy?

— Ja nie należę do ludzi, którzy się zakładają — odparł Sparhawk. — A już na pewno nie o coś takiego.

— Czy mógłbyś nam opowiedzieć, co naprawdę wydarzyło się w twoim zamku, hrabio? — zaproponował Dolmant.

— Nic nadzwyczajnego, wasza świątobliwość — zaczął Radun. — Jakiś czas temu pan Sparhawk i pan Kalten przybyli do moich bram i ostrzegli mnie, że pewni ludzie przebrani za Rycerzy Pandionu planują podstępem dostać się do zamku i zamordować mnie i moją rodzinę. Obaj przywieśli ze sobą grupę prawdziwych pandionitów. Gdy oszuści przybyli, pan Sparhawk poprowadził na nich swoich rycerzy i odparł atak.

— Szczęśliwy zbieg okoliczności — zauważył król Obler. — Który z tych krzepkich mężów jest panem Sparhawkiem?

— Ja, wasza królewska mość. — Sparhawk postąpił krok do przodu.

— Jak dowiedziałeś się o tym spisku?

— Zupełnie przypadkowo, wasza królewska mość. Zdarzyło mi się podsłuchać rozmowę na ten temat. Powiadomiłem natychmiast o wszystkim mistrza Vaniona, a on rozkazał, abym razem z panem Kaltenem podjął odpowiednie kroki.

Król Dregos podniósł się i zszedł z podium.

— Byłem wobec ciebie niesprawiedliwy, mistrzu Vanionie — powiedział głośno. — Powodowały tobą szlachetne pobudki, a ja cię oskarżyłem. Czy możesz mi wybaczyć?

— Nie mam nic do wybaczenia, wasza wysokość — odparł Vanion. — W podobnej sytuacji zachowałbym się tak samo.

Władca Arcium ujął dłoń mistrza i uścisnął z wdzięcznością.

— Czy mógłbyś, panie Sparhawk, rozpoznać spiskowców? — zapytał król Obler.

— Nie widziałem ich twarzy, wasza królewska mość.

— Szkoda, naprawdę szkoda — westchnął stary król. — Skłonny jestem sądzić, że ten spisek miał bardzo szeroki zasięg. Ci dwaj, którzy składali zeznania, też pewnie mają w nim swój udział i po otrzymaniu jakiegoś umówionego wcześniej sygnału wystąpili ze swymi — najwyraźniej dobrze przygotowanymi — kłamstwami.

— To samo i mnie przyszło na myśl, wasza królewska mość — zgodził się Sparhawk.

— Ale kto się za tym kryje? I przeciwko komu było to w istocie skierowane? Może przeciw hrabiemu Radunowi? A może przeciw królowi Dregosowi? A może nawet mistrzowi Vanionowi?

— Możliwe, że nie da się tego ustalić, dopóki fałszywi świadkowie nie wyjawią swoich towarzyszy spiskowców.

— Znakomita uwaga, panie Sparhawk. — Król Obler spojrzał surowo na prymasa Anniasa. — W twojej gestii, wasza wielebność, pozostaje zapewnić, by kupiec Tessera i chłop pańszczyźniany Verl byli w każdej chwili gotowi na przesłuchania. Będziemy wszyscy bardzo strapieni, jeżeli przydarzy im się coś złego.

— Będę ich szczególnie dobrze pilnował, miłościwy panie — zapewnił Annias władcę Deiry. Ze stężoną twarzą skinął na jednego ze swoich gwardzistów i po cichu przekazał mu instrukcje. Żołnierz szybko wybiegł z sali.

— Panie Sparhawk! — wybuchnął Lycheas. — Miałeś rozkaz udać się do klasztoru w Demos i pozostać tam, dopóki nie otrzymasz pozwolenia powrotu. Jak to więc się... .

— Umilknij, Lycheasie — przerwał mu ostro prymas.

Pryszczata twarz młodzieńca powoli pokrywała się rumieńcem.

— Zdaje się, Anniasie, że winien jesteś przeprosiny szlachetnemu panu Vanionowi — rzekł dobitnie Dolmant.

Annias pobladł, po czym odwrócił się sztywno do mistrza Zakonu Pandionu.

— Proszę przyjąć moje przeprosiny, mistrzu Vanionie — powiedział krótko. — Zostałem wprowadzony w błąd przez kłamców.

— Oczywiście, drogi prymasie — odparł Vanion. — Każdemu z nas zdarza się od czasu do czasu błędzić, nieprawdaż?

— Uważam, że w tej sprawie możemy zakończyć śledztwo — odezwał się Dolmant. Spojrzał przeciągle na prymasa, który z trudem panował nad sobą. — Bądź pewny, Anniasie, że postaram się całą tę sprawę przedstawić hierarchii w Chyrellos w tak łaskawym świetle, jak tylko będzie to możliwe. Dołożę wszelkich starań,

byś nie wyszedł na zupełnego głupca.

Annias zagryzł wargi.

— Panie Sparhawk — powiedział król Obler — czy rozpoznałeś ludzi, którzy napadli na zamek hrabiego?

— Człowiek, który nimi dowodził, nazywał się Adus, wasza królewska mość — odrzekł Sparhawk. — To okrutnik wypełniający polecenia dawnego pandionity, renegata Martela. Wielu jego ludzi było zwykłymi najemnikami. Resztę stanowili Rendorczycy.

— Rendorczycy? — Władca Arcium zmarszczył brwi i spojrzał z niedowierzaniem. — Od dawna stosunki między moim królestwem i Rendorem są napięte, ale ten spisek wydaje mi się zbyt subtelny jak na rendorskie głowy.

— Możemy tak spekulować godzinami — machnął ręką król Wargun, podsuwając swój pusty puchar służącemu do napełnienia. — Za jakąś godzinę kupiec i chłop zostaną poddani mękom w lochach, aż wyjawią wszystko, co wiedzą na temat spisku.

— Kościół nie aprobuje takich metod, wasza królewska mość — powiedział Dolmant.

Władca Thalesii prychnął kpiąco.

— W podziemiach bazyliki w Chyrellos są lochy — powiedział. — Słyną one z najlepszych w świecie specjalistów od wymuszania zeznań.

— Te praktyki zostały już zarzucone.

— Być może — rzekł król Wargun — ale to sprawa świecka. Nas nie krępują takie metody i przynajmniej ja nie zamierzam czekać, aż wasza świątobliwość wymodli z tych dwóch odpowiedzi.

Lycheas, którego boleśnie dotknęła rzucona prawie od niechcienia nagana Anniasa, wyprostował się w swoim podobnym do tronu fotelu.

— Jesteśmy zadowoleni, że tę sprawę udało się załatwić polubownie — oznajmił — i cieszymy się, że doniesienia o śmierci hrabiego Raduna okazały się nieprawdą. Zgadza się z patriarchą Demos, że powinniśmy uznać dochodzenie za zamknięte, chyba że mistrz Vanion i jego nadzwyczajni świadkowie mogą przedstawić nowe fakty, pozwalające dociec, kto stał za tym potwornym spiskiem.

— Nie, wasza wysokość — odrzekł Vanion. — W tej chwili nie możemy tego jeszcze uczynić.

Lycheas zwrócił się do władców Thalesii, Deiry i Arcium, usiłując bezskutecznie przyjąć majestatyczną pozę.

— Nie mamy wiele czasu, miłośniwi panowie — powiedział. — Każdy z nas ma królestwo, którym musi rządzić, a także inne sprawy wymagają naszej uwagi. Proponuję, byśmy podziękowali mistrzowi Vanionowi za jego pomoc w wyjaśnieniu tego problemu i pozwolili mu się oddalić, a sami przejdźmy do spraw wagi państwowej.

Królowie kiwając głowami wyrazili swoją zgodę.

— Możesz teraz odejść razem ze swymi przyjaciółmi, mistrzu Vanionie — rzekł dostojnie Lycheas.

— Dziękuję, wasza wysokość. — Vanion skłonił się lekko. — Jesteśmy szczęśliwi mogąc ci służyć, panie. — Odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi.

— Chwileczkę, mistrzu Vanionie — odezwał się szczupły mistrz Zakonu Rycerzy Alcjonu. — Skoro miłościwi panowie mają teraz zamiar poruszać sprawy wagi państwowej, myślę, że ja, mistrz Komier i mistrz Abriel możemy również odejść. Nie znamy się na rządzeniu państwem i nie potrafilibyśmy wnieść niczego wartościowego do debaty. Jednakże sprawa, która wyszła na jaw dzisiejszego ranka, wymaga przedyskutowania z naszymi braćmi, pandionitami. Powinniśmy przygotować się na wypadek, gdyby ktoś ponownie próbował uknuć intrygę.

— Słusznie — zgodził się Komier, mistrz Zakonu Genidianu.

— Doskonały pomysł, Darellonie — udzielił swojej zgody król Obler. — Nie dajmy się ponownie zaskoczyć. Powiadom mnie o wynikach waszej rozmowy.

— Możesz polegać na mnie, wasza królewska mość.

Mistrzowie trzech zakonów zeszli z podium i wraz z Vanionem opuścili komnatę. Gdy tylko znaleźli się na korytarzu, imponujący, ogromny Komier roześmiał się w głos.

— To było bardzo zgrabne, Vanionie — powiedział.

— Miło mi, że ci się spodobało — odrzekł Vanion również śmiejąc się.

— Musiałem dzisiejszego ranka chyba upaść na głowę — wyznał gendianita.

— Czy uwierzysz, że prawie dałem wiarę tym bredniom?

— Niewiele było w tym twojej winy, mistrzu Komierze — odezwała się Sephrena.

Potężny Thalezyjczyk spojrział na nią pytająco.

— Pozwólcie mi się nad tym trochę zastanowić — powiedział marszcząc czoło w zamyśleniu. Po chwili spojrział na Vaniona. — To sprawka Anniasa, prawda? Mogę się założyć, że on to ukartował.

Vanion skinął głową.

— Obecność Zakonu Rycerzy Pandionu w Elenii przeszkadza mu w realizacji jego planów — tłumaczył. — Prymas sądził, że w ten sposób nas się pozbędzie.

— Eleńscy politycy nie zawsze grzeszą rozumem — zadumał się Komier. — W Thalesii działamy dużo prościej. Jak mocna jest w Cimmurze pozycja prymasa?

— Gra pierwsze skrzypce w Radzie Królewskiej. A to, w większym bądź mniejszym stopniu, czyni zeń władcę Elenii.

— Czy on chce zasiąść na tronie?

— Nie, nie sądzę. On woli kierować wszystkim z ukrycia. Prymas pragnie na tronie osadzić Lycheasa.

— Lycheas jest chyba bękartem?

Vanion ponownie skinął głową.

— Jak bękart może zostać królem? — zdziwił się mistrz Zakonu Rycerzy Genidianu. — Nikt nie wie, kto jest jego ojcem.

— Prawdopodobnie Annias wierzy, że uda mu się jakoś obejść tę przeszkodę. Zanim ojciec Sparhawk wziął sprawę w swoje ręce, nasz dobry prymas prawie przekonał króla Aldreasa, że jest całkowicie stosowne, by poślubił on swoją własną siostrę.

— To odrażające — wzdrygnął się Komier.

— Słyszałem, że Annias ma pewne ambicje związane z tronem arcyprałata w Chyrellos — rzekł Abriel, siwowłosy mistrz Zakonu Rycerzy Cyriników do patriarchy Demos.

— Do mnie również dotarły podobne plotki — odparł spokojnie Dolmant.

— To będzie dla niego upokarzająca porażka, prawda? Hierarchowie niechętnie patrzą na kogoś, kto na oczach wszystkich zrobił z siebie kompletnego osła.

— Ja też tak uważam.

— I spodziewam się, że raport waszej świątobliwości będzie wystarczająco dokładny?

— To mój obowiązek, mistrzu Abrielu — powiedział nabożnie Dolmant. — Nie mogę przecież niczego ukryć, ja także jestem członkiem hierarchii, czyż nie? Przedstawię całą prawdę Najwyższej Radzie Kościoła.

— Radzi jesteście, że tak się stanie, wasza świątobliwość.

— Musimy porozmawiać, Vanionie — rzekł z powagą Darellon, mistrz Zakonu Rycerzy Alcjonu. — Tym razem spisek skierowany był przeciwko tobie i twojemu zakonowi, ale dotyczy to nas wszystkich. Następnym razem może chodzić o kogokolwiek spośród nas. Czy jest gdzieś bezpieczne miejsce, w którym moglibyśmy to omówić?

— Nasz zamek znajduje się na wschodnim krańcu miasta — odparł Vanion. — Mogę zagwarantować, że w obrębie jego murów nie ma ani jednego szpiega prymana.

Wyjechali właśnie z bramy pałacu, gdy Sparhawk nagle o czymś sobie przypomniał. Zwolnił i dołączył do Kurika jadącego na końcu kolumny.

— O co chodzi? — zapytał giermek.

— Zostańmy trochę z tyłu. Chcę zamienić parę słów z małym żebrakiem.

— Trudno takie zachowanie nazwać stosownym, Sparhawk — rzekł Kurik. — Spotkanie mistrzów wszystkich czterech zakonów może zdarzyć się tylko raz w życiu i z pewnością będą chcieli cię o niejedno zapytać.

— Dogonimy ich, nim dotrą do bramy zamku.

— A o czymże chcesz rozmawiać z tym żebrakiem? — Giermek był coraz bardziej rozdrażniony.

— On pracuje dla mnie. — Sparhawk zmierzył przyjaciela badawczym spojrzeniem. — Co cię gnębi, Kuriku? Twoja twarz przypomina chmurę gradową.

— Nieważne — rzucił krótko giermek.

Talen kulił się w ciemnym kącie przy ścianie. Był otulony w poszarpany płaszcz i cały drżał.

Sparhawk zsiadł z konia w odległości kilku kroków od chłopca i udawał, że poprawia popręg.

— Co chciałeś mi powiedzieć? — spytał cicho.

— Ten człowiek, którego kazałeś mi obserwować... — zaczął Talen. — Nazywa się chyba Krager, prawda? Wyjechał z Cimmury prawie w tym samym czasie co ty, ale wrócił mniej więcej tydzień później. Był z nim jeszcze jeden człowiek, mąż z białymi włosami. To trochę dziwne, bo nie jest znowu tak stary. W każdym razie udali się do domu tego barona, który lubi chłopców. Zostali tam przez kilka godzin, a potem znów wyjechali z miasta. Byłem dostatecznie blisko, by słyszeć ich słowa. Kiedy strażnicy zapytali, dokąd się udają, odparli, że do Cammorii.

— Dobry z ciebie chłopak — pochwalił go Sparhawk, wrzucając złotą koronę do jego miski żebraczej.

— To było dziecinnie proste — wzruszył ramionami Talen. Spróbował monetę zębami i schował ją pod koszulę. — Dzięki, dostojny panie.

— Czemu nie powiedziałeś o tym odźwiernemu z zajazdu przy ulicy Róż?

— Zajazd jest pod obserwacją. Postanowiłem być ostrożny. — Spojrzał ponad ramieniem rosnącego rycerza. — Cześć — powiedział do Kurika. — Dawno cię nie widziałem.

— Znacie się? — zapytał zdziwiony Sparhawk.

Giermek zaczerwienił się zakłopotany.

— Nie uwierzyłbyś, jak bardzo jesteśmy zaprzyjaźnieni. — Mały żebrak uśmiechnął się szelmowsko do Kurika.

— Dosyć tego, Talenie — powiedział ostro giermek. Potem wyraz jego twarzy trochę złagodniał. — Jak miewa się twoja matka? — zapytał ciepło.

— W zasadzie całkiem dobrze. Można rzec, że żyje dostatnio, dodając do własnych zarobków to, co czasami otrzyma od ciebie.

— Czyżbym nie o wszystkim wiedział? — Głos Sparhawka był pełen słodyczy.

— To moja osobista sprawa — rzekł Kurik. Następnie zwrócił się do chłopca: — Co robisz tu, na ulicy?

— Żebrzę. Widzisz? — Talen wyciągnął swoją miskę. — Po to ją mam. Może wrzuciłbyś coś po starej znajomości?

— Umieściłem cię w bardzo dobrej szkole, chłopcze.

— Och, była istotnie bardzo dobra. Dyrektor powtarzał nam trzy razy dziennie, w czasie posiłków, jaka ona jest dobra. On i inni nauczyciele jedli pieczoną wołowinę, a uczniowie — owsiankę. Ja nie przepadam za owsianką, więc zmieniłem szkołę. — Zatoczył nonszalancko ręką, wskazując na ulicę. — Ona jest teraz moją szkołą. Podoba ci się? To, czego się tutaj uczę, jest o wiele bardziej pożyteczne niż retoryka, filozofia czy ta nudna teologia. Jeżeli będę się przykładał, to

zarobię na swój własny kawałek pieczonej wołowiny.

— Powiniennem ci spuścić lanie — pogroził mu Kurik.

— Dlaczego, ojcze? — Chłopak zrobił niewinną minę. — W dodatku musiałbyś mnie najpierw schwytać. To pierwsza lekcja, jakiej nauczyłem się w nowej szkole. Chcesz może sprawdzić, czy dobrze ją przerobiłem? — Schwycił swój kostur, miskę żebraczą i zaczął uciekać w głąb ulicy, a Sparhawk zauważył, że biegł bardzo szybko.

Kurik zaczął miotać przekleństwa.

— Ojciec...? — zastanawiał się Sparhawk.

— Powiedziałem ci już, że to nie twoja sprawa.

— Wszak nie mamy przed sobą żadnych tajemnic, Kuriku.

— Koniecznie musisz to ze mnie wyciągnąć, tak?

— Ja? Jestem tylko zdziwiony, i to wszystko. Nie znałem cię od tej strony.

— Postąpiłem nierozważnie kilka lat temu.

— Delikatnie powiedziane.

— Obejdzie się bez przemądrzałych uwag, Sparhawk.

— Czy Aslade wie o tym?

— Oczywiście, że nie. Byłaby bardzo nieszczęśliwa, gdyby się o tym dowiedziała. Milczałem, by oszczędzić jej przykrości. Przynajmniej to należy się żonie od męża, prawda?

— Doskonale cię rozumiem, Kuriku — zapewnił go Sparhawk. — A czy matka Talena była bardzo piękna?

Giermek westchnął i rozmarzył się.

— Miała osiemnaście lat, Sparhawk, i była niczym wiosenny poranek. Nie mogłem się powstrzymać. Kocham Aslade, ale...

Sparhawk objął przyjaciela ramieniem. — To się czasami zdarza, Kuriku — powiedział. — Nie rób sobie z tego powodu ciągłych wyrzutów. — Wyprostował się. — Może spróbujemy dogonić pozostałych? — zaproponował wskakując na siodło.

CZEŚĆ II

Chyrellos

Rozdział 10

Abriel, mistrz Zakonu Rycerzy Cyriników z Arcium, sześćdziesięcioletni, siwowłosy, dobrze zbudowany mężczyzna, stał w oknie komnaty Vaniona i spoglądał w zamyśleniu na Cimmurę. Miał głęboko osadzone oczy i poważną, pokrytą zmarszczkami twarz. Zdjął hełm i odłożył miecz, lecz pozostał w zbroi i jasnobłękitnej wierzchniej szacie. Jako że był najstarszym spośród czterech mistrzów, inni z szacunkiem czekali, aż pierwszy zabierze głos.

— Wszystkich nas niepokoi to, co dzieje się w Cimmurze — zaczął — ale uważam, iż pewne sprawy powinniśmy dokładniej wyjaśnić. Czy pozwolisz, mistrzu Vanionie, że zadamy ci kilka pytań?

— Oczywiście — odparł Vanion. — Postaram się udzielić na każde z nich jak najbardziej wyczerpującej odpowiedzi.

— Rad to słyszę. W przeszłości nieraz byliśmy odmiennego zdania, mistrzu Vanionie, ale w obecnej sytuacji odłożmy nasze dawne spory na bok. — Abriel, jak wszyscy cyrinici, starannie dobierał słowa. — Sądzę, iż powinniśmy dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego osobnika o imieniu Martel.

Vanion odchylił się na oparcie fotela.

— Martel był pandionitą — rzekł, a w jego głosie pobrzmiwał smutek. — Musiałem go wykluczyć z naszego zakonu.

— To nie jest zbyt wyczerpująca odpowiedź, Vanionie — zauważył Komier. W odróżnieniu od innych Komier miał na sobie tylko kolczugę. Był dobrze zbudowany i barczysty. Jak większość Thalezyjczyków, mistrz Zakonu Rycerzy Genidiana był blondynem, a krzaczaste brwi nadawały jego obliczu wyraz pewnego okrucieństwa. Mówiąc bawił się bez ustanku rękojęścią leżącym przed nim na stole miecza. — Jeżeli ten Martel ma nam przysparzać kłopotów, to musimy wiedzieć o nim jak najwięcej.

— Martel był jednym z najlepszych — odezwała się ze spokojem Sephrenia ubrana w białą szatę. Siedziała przed kominkiem z nieodłączną filiżanką herbaty w dłoni. — Był szczególnie biegły w magii. Myślę, że to właśnie doprowadziło go do upadku.

— Był również niezrównany w walce na kopie — przyznał z żalem Kalten.

— Podczas ćwiczeń zawsze wysadzał mnie z siodła. Jedyne Sparhawk mógł mu sprostać.

— Wspomniałaś o upadku, Sephrenio, o co dokładnie chodziło? — zapytał Darellon. Mistrz Zakonu Rycerzy Alcjonu z Deiry miał prawie pięćdziesiąt lat. Masywna deirańska zbroja wydawała się niemal za ciężka dla jego szczupłych barków.

Sephrenia westchnęła.

— Styricy znają tyle zaklęć, ile gwiazd na niebie — tłumaczyła. — Niektóre są zupełnie proste, ot — zwykłe czary i uroki. Te Martel opanował bardzo szybko. Jednakże poza pospolitymi czarami rozciąga się królestwo magii, pełne głębokich tajemnic i niebezpieczeństw. Granic tego królestwa nie przekraczamy nigdy ze swoimi uczniami. Większość z ukrytych tam sekretów dla zwykłego rycerza i tak jest bezużyteczna, a pewne z nich mogą być wręcz zgubne dla duszy Elena.

Komier roześmiał się głośno.

— Wiele rzeczy ma zgubny wpływ na duszę Elena, pani — powiedział. — Sam tego doświadczyłem przy pierwszym spotkaniu z bogami trolli. Ból omal nie rozerwał mi duszy na strzępy. Domyślam się, że ten wasz Martel zabawiał się w zakazany sposób?

— Tak. — Sephrenia znowu westchnęła. — Prosił, bym wprowadziła go w tajniki zakazanej magii. Bardzo nalegał. Jest uparty. To jedna z jego charakterystycznych cech. Oczywiście odmówiłam. Jednakże tak jak zdarzają się wyrodni pandionicy, tak i zdarzają się wyrodni Styricy. Martel pochodził z bogatej rodziny, a więc stać go było na kupienie tego, czego pragnął.

— Kto go zdemaskował? — zapytał Darellon.

— Ja — odezwał się Sparhawk. — Zdarzyło się to, gdym jechał z Cimmury do Demos, na krótko przed tym, nim król Aldreas skazał mnie na banicję. Trzy ligi przed Demos jest skrawek lasu. Wjechałem weń, a zaczynało właśnie zmierzchać. Spomiędzy drzew przeświecała dziwna poświata. Zbliżyłem się, by sprawdzić, skąd ona pochodzi, i zobaczyłem Martela, który przywoływał jakiegoś stwora, z którego biło tak jaskrawe światło, że nie mogłem nawet rozpoznać jego oblicza.

— Nie sądzę, byś chciał je oglądać, Sparhawk — powiedziała Sephrenia.

— Być może — zgodził się rycerz. — W każdym razie Martel rozmawiał z tym stworem po styricku rozkazując, by był mu posłuszny.

— Nie ma w tym chyba nic nadzwyczajnego — rzekł Komier. — Wszyscy od czasu do czasu wywołujemy jakiegoś ducha czy zjawę.

— To nie był zwykły duch, mistrzu Komierze — zwróciła się do niego Sephrenia. — To był damork. Stworzyli go Starsi Bogowie Styricum, by niewolniczo spełniał ich wolę. Damorki posiadają nadzwyczajną moc, ale są bezduszne. Każdy z bogów potrafi je przywołać z ciemnych otchłani zaświatów, które zamieszkuje. Potrafi również sprawować nad nimi władzę. Jednakże próba ich przywołania przez zwykłego śmiertelnika jest czynem nierozważnym, wręcz głupim. Żaden

śmiertelnik nie może zdobyć władzy nad damorkiem. To, co zrobił Martel, zostało surowo zabronione przez Młodszych Bogów.

— A Starsi Bogowie? — zapytał Darellon.

— Starsi Bogowie nie kierują się żadnymi prawami, szlachetny panie, jedynie kaprysami i pragnieniami.

— Sephrenio, Martel jest Elenem — zauważył patriarcha Demos. — Może nie czuł się zobowiązany do przestrzegania zakazów styrickich bogów.

— Dopóki praktykuje się sztuki Styrików, dopóty podlega się ich bogom.

— Może popełniono pomyłkę uzbrajając rycerzy zakonnych nie tylko w zwykłą broń, ale i w magię — zastanawiał się Dolmant. — Myślę, że wkroczyliśmy na teren, który lepiej było pozostawić nietknięty.

— Decyzję o tym podjęto ponad dziewięćset lat temu, wasza świętobliwość — przypomniał Abriel, podchodząc do stołu — a gdyby rycerze zakonnicy nie byli biegli w magii, to Zemosi wygraliby bitwę na polach Lamorkandii.

— Możliwe — przyznał patriarcha Demos.

— Opowiadaj dalej, panie Sparhawk — zaproponował Komier.

— Niewiele mam do dodania, szlachetny panie. Nie wiedziałem, kim był damork — Sephrena później mi to wytłumaczyła — ale wiedziałem, że było to coś, z czym nie było wolno nam się kontaktować. Po chwili zjawa zniknęła i podjechałem, by porozmawiać z Martelem. Byliśmy przyjaciółmi i chciałem go przestrzec, że to, co robi, jest zakazane, ale wydawało się, że on postradał zmysły. Odtrącił mnie i kazał mi pilnować własnego nosa. Pojechałem do siedziby zakonu w Demos i doniosłem Vanionowi i mateczce o tym, co widziałem. Sephrena opowiedziała nam, czym był ten stwór i jak bardzo byłoby niebezpieczne, gdyby zagubił się gdzieś w naszym świecie. Vanion polecił mi wziąć kilku ludzi i pojmać Martela, by można go było przesłuchać. Kiedy zbliżyliśmy się do niego, zupełnie oszalał i sięgnął po miecz. Zawsze doskonale sobie z nim radził, a szaleństwo jeszcze dodawało mu odwagi. Tego dnia straciłem dwóch bliskich przyjaciół. W końcu udało nam się go obezwładnić i w łańcuchach powlekliśmy Martela do zamku.

— Na kolanach, jak sobie przypominam — dodał Kalten. — Sparhawk, gdy się zdenerwuje, potrafi być bardzo zasadniczy. — Uśmiechnął się do przyjaciela. — Nie zaskarbiłeś tym sobie jego sympatii.

— Wcale nie próbowałem. Zabił właśnie dwóch moich druhów i chciałem dostarczyć mu wystarczająco dużo powodów, by przyjął moje wyzwanie, gdy tylko Vanion z nim skończy.

— W każdym razie — podjął opowieść Vanion — przywieśli Martela do zamku w Demos. Stał przede mną. Nawet nie próbował się wypierać swego czynu. Żądałem, by zaprzestał posługiwania się zakazaną magią, ale on tylko obrzucił mnie obelgami. Nie pozostało mi nic innego, jak wydaląć go z naszego grona. Pozbawiłem go czci rycerskiej, odarłem ze zbroi i wypędziłem przez główną bramę.

— To chyba był błąd — odezwał się Komier. — Ja bym go zabił. Czy wywołał ponownie to coś?

— Tak — Vanion skinął głową — ale Sephrenia zwróciła się do Młodszych Bogów Styricum i oni przepędzili stwora z powrotem w zaświaty. Potem odebrali Martelowi znaczną część jego mocy. Odszedł płacząc i przysięgając nam wszystkim zemstę. Nadal jest groźny, ale przynajmniej nie może już przyzywać potworów. Opuścił Elenię i przez ostatnie dwanaście lat w różnych stronach świata ofiarowywał swój miecz i usługi temu, kto więcej zapłacił.

— Jest więc zwyczajnym najemnikiem? — zapytał Darellon. Na szczupłej twarzy mistrza Zakonu Alcjonu znać było głęboką powagę.

— Nie zwyczajnym, szlachetny panie — zaoponował Sparhawk. — On ma za sobą lata nauki i ćwiczeń, jak każdy rycerz zakonny. Mógł być najlepszym z nas i jest bardzo sprytny. Ma rozległe kontakty z najemnikami w całej Eosii. W jednej chwili może zwołać armię. Nie wie, co to litość i w nic już nie wierzy.

— Jak on wygląda? — spytał Darellon.

— Jest wzrostu trochę wyższego niż przeciętny — odparł Kalten. — Ma prawie tyle samo lat co Sparhawk i ja, ale jego włosy są całkiem białe — osiwił we wczesnej młodości.

— Wszyscy powinniśmy strzec się go — powiedział Abriel. — A kim jest ten drugi z nich, Adus?

— Adus to bydlę — odrzekł Kalten. — Martel, po wykluczeniu go z zakonu, zwerbował do pomocy Adusa i jeszcze jednego człowieka o imieniu Krager. Myślę, że Adus jest Pelozyjczykiem, a może Lamorkandczykiem. Ledwo umie mówić, więc trudno rozpoznać jego akcent. To okrutne zwierzę wyzbyte z wszelkich ludzkich uczuć. Rozkoszuje się zabijaniem ludzi, potrafi robić to powoli i naprawdę z wielką wprawą.

— A ten drugi? — zapytał Komier. — Krager?

— Krager jest nawet inteligentny — odparł Sparhawk. — W zasadzie to zwyczajny rzezimieszek — jego domena to fałszowanie monet, kradzieże, oszustwa i tego typu sprawy — ale ma słaby charakter. Martel powierza mu wykonanie zadań, których Adus nie byłby w stanie nawet zrozumieć.

— A co łączy Anniasa i Martela? — zapytał hrabia Radun.

— Prawdopodobnie nic poza pieniędzmi, wielmożny panie. — Sparhawk wzruszył ramionami. — Martela można do wszystkiego wynająć, obce mu jest pojęcie grzechu. Krążą plotki, że ma gdzieś ukryte pół tony złota.

— Miałem rację — rzucił szorstko Komier. — Nie trzeba było go wypędzać, Vanionie. Powinieneś go być zabić.

— Proponowałem to — rzekł Sparhawk — ale mistrz Vanion powiedział nie.

— Miałem ku temu powody — stwierdził Vanion krótko.

— Czy coś szczególnego może oznaczać obecność Rendorczyków w oddziale, który zaatakował dom hrabiego Raduna? — spytał Abriel.

— Chyba nie. — Sparhawk potrząsnął głową. — Właśnie powróciłem z Rendoru. Pełno tam równie chętnych do pracy najemników, co w Pelosii, Lamorkandii czy Cammorii. Martel werbuje ludzi, skąd tylko się da. Najemnicy z Rendoru nie są wyznawcami eshandinizmu.

— Czy mamy dostatecznie dużo dowodów, by postawić prymasa Anniasa przed sądem hierarchii w Chyrellos? — zapytał Darellon.

— Nie sędzę — powiedział Dolmant, patriarcha Demos. — Annias kupił sobie sporo głosów w Najwyższej Radzie Kościoła. Wysunięte przeciwko niemu oskarżenie musi być poparte niepodważalnymi dowodami. Wszystko, co na razie mamy, to podsłuchana rozmowa między Kragerem i baronem Harparinem. Annias może się łatwo z tego wykręcić albo po prostu przekupić sędziów.

Komier odchylił się na oparcie fotela, pocierając palcami policzek w zamyśleniu.

— Uważam — zaczął — że prymas całą tę sprawę trzyma mocno w swoich rękach. Jak długo będzie miał dostęp do skarbcza Elenii, tak długo będzie mógł finansować własne plany i nadal będzie kupował sobie poparcie hierarchów. Jeżeli nie będziemy ostrożni, to przekupi wszystkich na swojej drodze do arcyprałatury. Każdy z nas od czasu do czasu wchodził mu w drogę i przypuszczam, że pierwszym jego posunięciem jako arcyprałata będzie rozwiązanie wszystkich czterech zakonów. Czy w jakikolwiek sposób moglibyśmy odsunąć go od skarbcza Elenii?

Vanion potrząsnął głową.

— Słucha go cała Rada Królewska — wyjaśnił — z wyjątkiem hrabiego Lendy. Przyznają mu wszystkie potrzebne fundusze.

— A wasza królowa? — zapytał Darellon. — Czy ona również, zanim zachorowała, była mu posłuszna?

— Nie, nawet w najmniejszym stopniu — odparł Vanion. — Aldreas był królem o słabej woli, który wykonywał wszystko, czego zażyczył sobie prymas. Ehlana ma zupełnie inny charakter, a poza tym ona nie cierpi Anniasa. — Wzruszył ramionami. — Ale jest chora i dopóki nie wyzdrowieje, prymas ma wolną rękę.

Abriel pogrążony w myślach zaczął chodzić po komnacie tam i z powrotem.

— A więc to będzie cel naszych poczynań, panowie — zdecydował. — Wszystkie siły musimy skupić na znalezieniu lekarstwa, które uzdrowi królową Ehlaną.

Darellon bębnił palcami po wypolerowanym stole.

— Annias jest bardzo przebiegły — zauważył. — On z pewnością łatwo zgadnie, do czego zmierzamy, i spróbuje nam przeszkodzić. Nawet jeżeli znajdziemy lekarstwo, to czy nie osiągniemy jedynie tego, że nad życiem władczyni natychmiast zawiśnie niebezpieczeństwo?

— Pan Sparhawk jest Obrońcą Korony i Rycerzem Królowej, szlachetny panie — rzekł Kaltan. — Poradzi sobie, nie jest zresztą sam — ma mnie u boku.

— Mistrzu Vanionie, czy są jakieś postępy w leczeniu? — zapytał Komier.

— Medycy z Elenii nie potrafią sobie z tym poradzić. Posłałem po innych, ale jeszcze nie dotarli do Cimmury.

— Lekarze nie zawsze przybywają na wezwanie — odezwał się Abriel — a w szczególności wtedy, gdy głowa Rady Królewskiej jest osobiście zainteresowana tym, by królowa nie wyzdrowiała. — Zamyślił się. — Cyrinicy mają wiele kontaktów w Cammorii. Czy rozważaliście możliwość przewiezienia królowej na wydział medyczny uniwersytetu w Borracie? Tamtejsi medycy uchodzą za ekspertów w zatruciach pokarmowych.

— Myślę, że nie możemy zaryzykować usunięcia otaczającej królową osłony — powiedziała Sephrenia. — W tej chwili jedynie ten kryształ utrzymuje ją przy życiu. Ona by nie przeżyła podróży do Borraty.

— Prawdopodobnie masz rację, pani. — Mistrz Zakonu Rycerzy Cyriników skinął ze zrozumieniem głową.

— To jeszcze nie wszystko — dodał Vanion. — Annias nigdy nie wyrazi zgody na zabranie jej z pałacu.

Abriel zadumał się pochylając posępnie siwą głowę.

— Możemy zrobić coś innego — zaczął. — Nie jest to wprawdzie równoznaczne z bezpośrednim badaniem lekarskim, ale bywa skuteczne — a przynajmniej tak mi mówiono. Wprawny medyk wiele potrafi wywnioskować na podstawie dokładnego opisu objawów choroby. A więc oto, co ci proponuję, mistrzu Vanionie: Spisz wszystko, co wiesz na temat choroby królowej Ehlany i wyślij kogoś z tym dokumentem do Borraty.

— Ja się tego podejmę — rzekł cicho Sparhawk. — Z powodów osobistych pragnę, by królowa wróciła do zdrowia. A poza tym podobno Martel jest w Cammorii. Mam z nim kilka spraw do omówienia.

— Z takim rozwiązaniem wiąże się jednak następny problem — ciągnął Abriel. — W Cammorii jest teraz bardzo niespokojnie. Ktoś wznieca tam niepokoje, podburza ludzi. Nie jest to najbezpieczniejsze miejsce na świecie.

Komier rozparł się w fotelu.

— A co powiedzielibyście, panowie, na mały pokaz jedności? — zwrócił się do pozostałych mistrzów.

— Co masz na myśli? — zapytał Darellon.

— To dotyczy nas wszystkich — mówił Komier. — W naszym wspólnym interesie jest utrzymanie Anniasa z dala od tronu arcyprałata. My, mistrzowie, wśród naszych rycerzy znamy takich, którzy przewyższają innych zręcznością i męstwem. Niech każdy z nas wybierze spośród nich jednego i przyśle, by wraz z panem Sparhawkiem ruszył do Cammorii. Takie towarzystwo nikomu nie przyniesie ujmy, a wysłanie przedstawicieli wszystkich czterech zakonów przekona świat, że Rycerze Kościoła stoją za tą sprawą jak jeden mąż.

— To bardzo dobry pomysł, Komierze — zgodził się Darellon. — W ciągu ostatnich kilku stuleci nieraz dochodziły do głosu różnice zdań między naszymi

zakonami i zbyt wielu ludzi uważa nadal, że jesteśmy podzieleni. — Zwrócił się do Abriela. — Czy domyślasz się, szlachetny panie, kto stoi za tymi niepokojami w Cammorii?

— Wielu uważa, że Otha — odparł mistrz cyrinitów. — Przez ostatnie pół roku jego szpiedzy weszli w centralnych królestwach.

— Mam przecucie — powiedział Komier — że nadejdzie taki dzień, kiedy będziemy musieli coś z tym Othą zrobić — i to coś ostatecznego.

— To by oznaczało wystąpienie przeciwko Azashowi — odezwała się Sephrenia — a nie jestem pewna, czy tego właśnie chcemy.

— Czy Młodszy Bogowie Styricum nie mogliby się z nim rozprawić? — zapytał Komier.

— Postanowili się nie mieszać — odparła czarodziejka. — Wojny pomiędzy ludźmi są okropne, ale wojny pomiędzy bogami byłyby po stokroć straszniejsze. — Spojrzała na Dolmanta. — O Bogu Elenów mówi się, że jest wszechmocny. Czy Kościół nie mógłby się do Niego zwrócić z prośbą o stawienie czoła Azashowi?

— To pewnie byłoby możliwe — rzekł patriarcha Demos. — Jest jednak pewien problem. Otóż Kościół nie uznaje istnienia Azasha ani innych styryckich bogów. To zagadnienie natury teologicznej.

— Jacy wy jesteście krótkowzroczni!

— Sephrenio, moja droga — Dolmant roześmiał się — myślałem, że znasz umysły duchownych. Wszyscy jesteśmy do siebie podobni. Akceptujemy jedną z prawd, a potem zamykamy oczy na wszystkie inne. To zapobiega konfuzji. — Spojrzał na nią z ciekawością. — Powiedz mi, Sephrenio, któremu z pogańskich bogów ty służysz?

— Tego nie wolno mi wyjawiać — odparła smutnie. — Jednakże mogę ci wyznać, że to nie jest bóg. Ja służę bogini.

— Kobiece bóstwo? Cóż za absurdalny pomysł!

— Tylko dla mężczyzny. Dla kobiety to całkiem naturalne.

— Mistrzu Vanionie, czy jest jeszcze coś, o czym powinniśmy wiedzieć? — zapytał Komier.

— Wydaje mi się, że powiedzieliśmy już prawie wszystko. — Vanion spojrzał na Sparhawk. — Czy chciałbyś coś dodać?

Sparhawk pokręcił głową.

— Nie — powiedział. — Chyba nie.

— A co z tym Styrykiem, który nasłał na nas gwardzistów? — zagadnął Kalten.

Sparhawk odchrząknął.

— Zapomniałem o tym — przyznał. — To zdarzyło się prawie w tym samym czasie, gdy podслуchałem rozmowę Kragera z Harparinem. Kalten i ja byliśmy

przebrani, ale pewien Styrik nas rozpoznał. Niedługo potem zostaliśmy napadnięci przez żołnierzy Anniasa.

— Sądysz, że jedno z drugim ma coś wspólnego? — spytał Komier.

Sparhawk skinął głową.

— Ten Styrik śledził mnie od kilku dni — odpowiedział — i jestem prawie pewien, że to on naprowadził na nas gwardzistów. A to wskazywałoby na jego powiązania z Anniasem.

— Trudno w to uwierzyć, Sparhawk. Annias jest dobrze znany ze swego uprzedzenia do wszystkiego, co styrickie.

— Nie na tyle jednak, by nie szukać u nich pomocy, jeżeli uzna, że zaszła taka potrzeba. Dwa razy miałem okazję przyłapać go na czarach.

— Duchownego? — Dolmant był zdumiony. — To jest surowo zabronione!

— Tak samo, jak knucie intryg w celu zamordowania hrabiego Raduna, wazsa świątobliwość. Nie sądzę, by Annias przywiązywał zbyt dużą wagę do zasad. Daleko mu jeszcze do maga, ale sam fakt, że wie, jak to się robi, pozwala przypuszczać, iż ktoś go uczył. Tym nauczycielem mógł być jedynie Styrik.

Darellon splótł na piersi swoje szczupłe palce.

— Tak, są Styricy i Styricy — westchnął. — Istotnie, jak zauważył Abriel, w centralnych królestwach ostatnio widzi się więcej niż zwykle Styrików, a większość z nich przybywa z Zemochu. Może Annias poszukując Styrika, który wprowadziłby go w tajniki magii, skontaktował się właśnie z tym niewłaściwym.

— Myślę, że za bardzo komplikujesz sprawę — stwierdził patriarcha Dolmant. — Nawet Annias nie chciałby mieć do czynienia z Othą.

— Zakładając oczywiście, że on wie, iż ma z Othą do czynienia.

— Szlachetni panowie — powiedziała Sephrenia ze spokojem. — Zastanówcie się nad tym, co stało się dzisiejszego ranka. — Patrzyła na nich w zamyśleniu. — Czy ktokolwiek z was — lub choć jeden z królów, którym służycie — dałby się zwieść prymasowi i jego oskarżeniom? Były przecież prymitywne, żeby nie powiedzieć dziecinne? Wy, Eleni, jesteście subtelni i mądrzy. Gdybyście mogli trzeźwo na to spojrzeć, to wyśmialibyście Anniasa za jego nieudolne próby zdyskredytowania Zakonu Rycerzy Pandionu. Ale nie, nie mogliście tego ocenić, podobnie jak wasi królowie. A Annias, chytry niczym wąż, wyluszczał przed wami swoją sprawę, jak gdyby wierzył, że jest ona dziełem geniusza.

— Do czego zmierzasz, Sephrenio? — zapytał Vanion.

— Myślę, że powinniśmy rozważyć to, co usłyszeliśmy od mistrza Darellona. Za dzisiejszym przedstawieniem kryje się Styrik. Jesteśmy prostym ludem i nasi magowie nie muszą się zbytnio starać, by nas przekonać. Wy, Eleni, jesteście bardziej sceptyczni i rozumujecie bardziej logicznie. Niełatwo was zwieść nie posługując się czarami.

Dolmant nachylił się ku czarodziejce, jego oczy zdradzały gorące pragnienie docieknięcia istoty sprawy.

— Ale Annias też przecież jest Elenem — protestował — a do tego biegłym w teologicznych dysputach. Czemuż więc był tak niezdarny?

— Przyjmujesz, że dzisiejszego ranka Annias mówił sam za siebie. Styrycki czarodziej, lub ktoś o podobnych umiejętnościach, przedstawiłby sprawę tak, by była zrozumiała dla prostego Styryka, resztę pozostawiając czarom wywołującym wiarę.

— Czyżby tego ranka ktoś z obecnych w sali posiedzeń Rady Królewskiej użył czarów? — zafrasował się Darellon.

— Tak — odparła Sephrenia po prostu.

— Myślę, że zapędzamy się trochę za daleko — powiedział Komier. — Teraz najpilniejszą sprawą jest wyprawienie Sparhawk'a w drogę do Borraty. Im szybciej znajdziemy lekarstwo na chorobę królowej Ehlany, tym szybciej uda nam się pozbawić Anniasa władzy. Gdy nie będzie mógł sięgać do skarbcza, może sobie wchodzić w konszachty, z kim tylko zechce.

— Przygotuj się do drogi, Sparhawk'u — polecił Vanion. — Zaraz opiszę objawy choroby królowej.

— To nie jest konieczne, Vanionie — rzekła do niego Sephrenia. — Ja znam jej stan zdrowia o wiele lepiej od ciebie.

— Ale ty nie potrafisz pisać — przypomniał jej.

— Nie muszę tego spisywać — powiedziała ze słodyczą. — Osobiście opowiem lekarzowi w Borracie o objawach.

— Masz zamiar jechać ze Sparhawk'em? — Vanion był wyraźnie zaskoczony.

— Oczywiście. Dzieją się tu sprawy, które zdają się skupiać właśnie wokół niego. Może potrzebować mojej pomocy, gdy przybędzie do Cammorii.

— Ja również pojedę — odezwał się Kalten. — Jeżeli Sparhawk natknąłby się w Cammorii na Martela, to chciałbym zobaczyć, co z tego wyniknie. — Uśmiechnął się szeroko do przyjaciela. — Zostawię ci Martela — obiecał — jeżeli ty dasz mi Adusa.

— To uczciwa propozycja — zgodził się Sparhawk.

— Po drodze do Borraty będziecie przejeżdżać przez Chyrellos — rzekł Dolmant. — Pojadę więc razem z wami.

— Będziemy zaszczyceni, wasza świątobliwość. — Sparhawk spojrzał na hrabiego Raduna. — Może ty też chcesz się do nas przyłączyć, wielmożny panie?

— Nie. Dziękuję ci jednak serdecznie za zaproszenie, dostojny panie Sparhawk'u — odparł hrabia. — Wrócę do Arcium z moim bratankiem i mistrzem Abrielem.

Komier skrzywił się nieznacznie.

— Nie chciałbym opóźnić twego wyjazdu, panie Sparhawk'u — powiedział — ale Darellon ma rację. Annias z pewnością odgadnie nasze zamiary. Niewiele jest miejsc w Eosii, gdzie kształcą się medycy. Jeżeli ten Martel jest już w Cammorii i nadal wykonuje polecenia Anniasa, to prawie na pewno postara się nie

dopuścić, byś dojechał do Borraty. Myślę, że powinieneś poczekać w Chyrellos, dopóki nie dołączą do ciebie rycerze z naszych zakonów. Pokaz siły może czasami odegnać kłopoty.

— To dobry pomysł — przytaknął Vanion. — Niech wszyscy spotkają się w siedzibie zakonu w Chyrellos i wyruszą dalej razem.

Sparhawk powstał.

— A więc postanowione — powiedział. Spojrzał na Sephrenię. — Czy Flecik zostanie tutaj?

— Nie. Ona pojedzie ze mną.

— To może być niebezpieczne.

— Mogę ją obronić, jeżeli zajdzie potrzeba. A zresztą — nie ja o tym decyduję.

— Czyż rozmowa z nią nie jest rozkoszą? — westchnął Kalten. — To ciągle odgadywanie, co ma na myśli, jest wspaniałym treningiem dla naszych umysłów.

Sparhawk puścił tę uwagę mimo ucha.

Jakiś czas potem, kiedy Sparhawk i inni przygotowywali się do odjazdu do Chyrellos, podszedł do nich nowicjusz Berit.

— Przed bramą stoi kulawy żebrak — zwrócił się do Sparhawk. — Mówi, że ma ci coś bardzo pilnego do powiedzenia, dostojny panie.

— Wpuść go za bramę.

Berit wyglądał na zaskoczonego.

— Znam tego chłopca — uspokoił go Sparhawk. — Pracuje dla mnie.

— Jak sobie życzysz, dostojny panie. — Nowicjusz uklonił się i ruszył w kierunku bramy.

— Och, jeszcze coś, Bericie! — zawołał za nim Sparhawk.

— Słucham, dostojny panie.

— Nie podchodź do niego zbyt blisko. To złodziej i potrafi okraść cię ze wszystkiego, nim zrobisz dziesięć kroków.

— Będę o tym pamiętał, dostojny panie.

Po kilku minutach Berit wrócił prowadząc Talena.

— Dostojny panie Sparhawk, mam kłopoty — powiedział chłopiec.

— Tak?

— Któryś z ludzi prymasa odkrył, że ci pomagałem. Szukają mnie po całej Cimmurze.

— Mówiłem, że wpakujesz się w kłopoty — warknął Kurik i spojrzał na Sparhawk. — Co my teraz zrobimy? — zapytał. — Nie chcę, by trafił do katedralnych lochów.

Sparhawk podrapał się po brodzie.

— Chyba będzie musiał pojechać z nami do Demos. — Nagle wyszczerzył w uśmiechu zęby. — Możemy zostawić go z Aslade i chłopcami.

— Zwariowałeś?

- Wiedziałem, że będziesz zadowolony z tego pomysłu, Kuriku.
- To najbardziej niedorzeczna propozycja, jaką kiedykolwiek w życiu sły-
szałem.
- Nie chciałbyś, by poznał swoich braci? — Sparhawk spojrział na złodzie-
jaszka. — Ile zdołałeś ukraść Beritowi? — spytał szorstko.
- Naprawdę niewiele.
- Oddawaj wszystko.
- Rozczarowałeś mnie bardzo, dostojny panie Sparhawkku. — Życie pełne
jest rozczarowań. A teraz oddawaj to.

Rozdział 11

Późnym popołudniem przejechali zwodzony most i wjechali na trakt wiodący do Demos. Wiatr nadal dął, ale niebo się wypogadzało. Gościniec roił się od podróżnych. Turkotały dwu— i czterokołowe chłopskie wozy, a ubrani w szare siermięgi wieśniacy, z ciężkimi tobołami na ramionach, wlekli się wolno w kierunku targowiska w Cimmurze. Surowy zimowy wicher targał pożółkłe trawy na poboczach drogi. Sparhawk jechał na czele, wyprzedzając pozostałych o kilka kroków. Podróżni zmierzający do miasta ustępowali mu z drogi. Faran znowu tańczył na zadnich kopytach, gdy tak jechali równym kłusem.

— Twój koń chyba jest narowisty, Sparhawk — zauważył Dolmant, patriarcha Demos, otulony ciężkim czarnym płaszczem.

— Popisuje się — rzucił rycerz przez ramię. — Pewnie myśli, że mi tym zaimponuje.

— Ma przynajmniej co robić czekając, aż zdarzy się okazja ugryźć kogoś. — Kalten roześmiał się.

— Jest złośliwy?

— Taka już jest natura koni bojowych, wasza świątobliwość — wyjaśnił Sparhawk. — Hoduje się je po to, by były agresywne. W przypadku Farana posunięto się jednak trochę za daleko.

— Czy ugryzł cię już kiedyś?

— Raz. Potem wyjaśniłem mu, by tego więcej nie robił.

— Wyjaśniłeś?

— Za pomocą tęgiego kija. Prawie natychmiast pojął, o co mi chodzi.

— Nie dotrzemy zbyt daleko tego popołudnia, Sparhawk! — zawołał Kurik, jadący z parą jucznych koni na końcu kolumny. — Późno wyruszyliśmy. Jakąś ligę stąd jest zajazd. Może zatrzymamy się w nim, porządnie wyśpimy i wczesnym rankiem ruszemy dalej?

— To całkiem rozsądne, Sparhawk — Kalten poparł pomysł giermka. — Spanie na gołej ziemi nie należy do wielkich przyjemności.

— Zgoda — powiedział Sparhawk. Rzucił okiem na Talena, który jechał na sprawiającym wrażenie strudzonego gniadoszu obok białej klaczy Sephrenii.

Chłopiec oglądał się z obawą za siebie.

— Jesteś jakiś dziwnie spokojny — zagadnął go rycerz.

— Młodzież nie powinna zabierać głosu w obecności starszych, dostojny panie Sparhawk — odparł gładko Talen. — To jedna z tych rzeczy, których nauczano w szkole, gdzie posłał mnie Kurik. Staram się przestrzegać zasad — o ile mi zbytnio to nie wadzi.

— Ten młodzian jest bardzo śmiały — zauważył Dolmant.

— Jest również złodziejem, wasza świątobliwość — ostrzegł Kalten. — Nie należy się do niego zbliżać, jeżeli ma się przy sobie coś cennego.

Patriarcha Demos spojrział zaskoczony na chłopca.

— Czyżbyś nie był świadom tego, że Kościół patrzy krzywym okiem na złodziei? — spytał.

— Wiem o tym — westchnął Talen. — Kościół jest bardzo zasadniczy pod tym względem.

— Uważaj na swoją buzię, Talenie — warknął Kurik.

— Nie mogę. Nos mi przeszkadza.

— Zepsucie tego chłopca jest chyba zrozumiałe — usprawiedliwił go Dolmant. — Wątpię, by ktoś wpoił mu zasady wiary i moralności. — Westchnął. — Pod wieloma względami biedne dzieci ulicy są takimi samymi poganami jak Styrycy. — Uśmiechnął się chytrze do Sephrenii, przed którą na siodle siedziała Flecik zawinięta w stary płaszcz.

— Prawdę mówiąc, wasza świątobliwość — sprzeciwił się Talen — regularnie chodzę na mszę i z uwagą przysłuchuję się kazaniom.

— To zdumiewające!

— Ależ nie, wasza świątobliwość — tłumaczył chłopak. — Większość złodziei chodzi do kościoła. Podczas kolekty nadarza się wiele wyśmienitych okazji.

Dolmant patrzył na niego w osłupieniu.

— Niech wasza świątobliwość spojrzy na to od mojej strony — wyjaśniał Talen z kpiącą powagą. — Kościół rozdaje pieniądze ubogim, prawda?

— Oczywiście.

— Ja jestem jednym z tych ubogich, więc sam odbieram swój udział z krążącej tacy. Zaoszczędzam w ten sposób Kościołowi czasu i kłopotów związanych z odszukaniem mnie i obdarowaniem pieniędzmi. Lubię, w miarę swoich możliwości, pomagać innym.

Dolmant przypatrywał mu się przez chwilę, po czym nagle wybuchnął śmiechem.

Po pewnym czasie natknęli się na grupę ludzi odzianych w zgrzebne tuniki, co pozwalało sądzić, iż są to Styrycy. Wędrowali piechotą, a gdy tylko ujrzeli Sparhawk z towarzyszami, umknęli w przestachu na pobliskie pole.

— Czego oni się tak boją? — spytał zaskoczony Talen.

— W Styricum wieści rozchodzą się bardzo szybko — odparła Sephrenia — a ostatnio miały miejsce przykre incydenty.

— Incydenty?

Sparhawk opowiedział mu pokrótce, co wydarzyło się w styryckiej wiosce w Arcium. Talen pobladł.

— To okropne! — wykrzyknął.

— Od stuleci Kościół tępi podobne praktyki — westchnął Dolmant ze smutkiem.

— Myślę, że w tej części Arcium wytępiłiśmy je prawie doszczętnie — zapewnił go Sparhawk. — Wysłałem kilku ludzi, by rozprawili się z wieśniakami, którzy się tego dopuścili.

— Powiesiliście ich? — dopytywał się z zaciętością Talen.

— Sephrenia nie pozwoliła nam na to, więc moi ludzie ich wychłostali.

— I to wszystko?

— Do chłostania użyli gałęzi z cierniowych krzewów. W Arcium krzewy cierniowe wyrastają bardzo wysoko, a ja poleciłem swoim ludziom, by dokładnie wykonali rozkaz.

— To chyba dosyć surowa kara — ocenił Dolmant.

— Zupełnie właściwa w takim przypadku, wasza świątobliwość. Rycerzy zakonnych łączy bardzo ściśle więzy ze Styrykami. Nie przepadamy za ludźmi, którzy źle traktują naszych przyjaciół.

Podjechali do chylącego się ku ruinie zajazdowi. Za nimi blade, zimowe słońce chowało się właśnie za ławicę purpurowych chmur na widnokręgu. Spożyli wieczerzę, składającą się z cienkiej zupy oraz tłustej baraniny, i wcześniej udali się na spoczynek.

Następny ranek był pogodny i zimny. Gościniec był zamrznięty na kamień, a pobocza białe od szronu. Słońce świeciło jasno, ale dawało niewiele ciepła. Jechali krótkim galopem otuleni szczelnie płaszczami, by ochronić się przed kłuszącym mrozem.

Trakt biegł poprzez wzgórza i doliny centralnej Elenii, przecinając pola leżące odłogiem pod zimowym niebem. Sparhawk jadąc rozglądał się dookoła. To była okolica, w której obaj z Kaltenem dorastali. Ogarnęło go to szczególne uczucie powrotu do domu, jakiego doświadczają wszyscy przybywający po latach do miejsc swego dzieciństwa. Dyscyplina wewnętrzna, którą nabył — jak każdy pandionita — podczas długich lat nowicjatu, uczyniła ze Sparhawka twardego rycerza, odpornego na wzruszenia, ale niekiedy czuł, że jednak pewne sprawy głęboko go poruszały.

Wczesnym przedpołudniem Kurik krzyknął do nich z końca kolumny:

— Z tyłu nadjeżdża jakiś jeździec! Bardzo popędza konia.

Sparhawk ściągnął wodze i zawrócił Farana.

— Kaltenie! — rzucił ostro.

— Jestem. — Jasnowłosa, rosły mężczyzna odrzucił swój płaszcz na ramię, by mieć łatwy dostęp do rękojeści miecza.

Sparhawk również odsłonił swój miecz i pognali obaj na spotkanie nadjeżdżającego jeźdźca.

Ich ostrożność okazała się zbyteczna. Jeźdźcem był młody nowicjusz, Berit. Otulony zwykłym płaszczem pędził na spienionym rumaku, z którego sierści unosiła się mgiełka pary. Teraz młodzieniec spierzchniętymi od porannego mrozu dłońmi ściągnął wodze i zbliżył się do nich jadąc stępa.

— Mam wiadomość od mistrza Vaniona — powiedział.

— Słucham — rzekł Sparhawk.

— Rada Królewska zalegalizowała pochodzenie księcia Lycheasa.

— Co zrobiła?

— Gdy królowie Thalesii, Deiry i Arcium uznali, że bękart nie może być księciem regentem, prymas Annias zwołał posiedzenie rady i oznajmił, że książę jest legalnego pochodzenia, po czym okazał dokument stwierdzający, że księżniczka Arissa była żoną diuka Ostena z Vardenais.

— To bzdura! — wybuchnął Sparhawk.

— Mistrz Vanion również tak uważa. Świadczenie wydaje się prawdziwe, a diuk Osten umarł kilka lat temu, więc nie może zaprzeczyć. Hrabia Lenda bardzo uważnie przestudiował dokument i w końcu nawet on głosował za uznaniem prawego pochodzenia Lycheasa.

Sparhawk zaklął.

— Znałem diuka Ostena — odezwał się Kalten. — Był zatwardziałym kawalerem. Nie wierzę, że się ożenił. Nie cierpiał kobiet.

— Mamy jakieś kłopoty? — zapytał patriarcha Demos. Właśnie podjechał bliżej w towarzystwie Sephrenii, Kurika i Talena trzymającego się tuż za giernkiem.

— Rada Królewska głosowała za uznaniem prawego pochodzenia Lycheasa — wyjaśnił Kalten. — Annias przedstawił świadectwo mówiące, że księżniczka Arissa była zamężna.

— Jakże to dziwne — ocenił Dolmant.

— I jakże wygodne — dodała Sephrenia.

— Czy ten dokument może być sfałszowany? — zastanawiał się patriarcha Demos.

— Z łatwością, wasza świątobliwość — wtrącił się do rozmowy Talen. — Znam w Cimmurze człowieka, który mógłby sporządzić niepodważalny dokument zaświadczenia, że arcyprałat Cluvonus ma dziewięć żon, a wśród nich damy z rodów trolli i ogrów.

— No cóż, stało się — powiedział Sparhawk. — Obawiam się, że w ten sposób Lycheas znalazł się o krok bliżej do tronu.

— Kiedy to uchwalili? — Kalten zwrócił się do Berita.

— Zeszłej nocy.

Kurik podrapał się po brodzie.

— Księżniczka Arissa przebywa w klasztorze w Demos — przypomniał. — Jeżeli Annias tylko co wpadł na ten pomysł, ona może wcale nie wiedzieć, że jest zamężna.

— Jest wdową — poprawił Berit.

— Dobrze, dobrze — a więc wdową. Arissa była zawsze dumna z tego, że spała z każdym w Cimmurze — proszę o wybaczenie, wasza świętobliwość — i że robiła to zawsze, gdy miała na to ochotę, nie stając przed ołtarzem. Jeśli ją odpowiednio podejść, nie powinno być większych kłopotów ze zdobyciem jej podpisu pod oświadczeniem, że nigdy nie wyszła za mąż. Narobiłoby to trochę zamieszania, co?

— Skądś ty wytrzasnął tego człowieka, Sparhawk? — zapytał Kalten z uznaniem. — To prawdziwy skarb.

Sparhawk zastanawiał się nad czymś.

— Pochodzenie prawowite czy nie to sprawa cywilna — stwierdził — ponieważ wiąże się to z prawami do dziedziczenia, i tak dalej, ale ceremonia ślubna ma zawsze religijny charakter, nieprawdaż, wasza świętobliwość?

— Tak — przyznał Dolmant.

— A gdybyśmy tak zdobyli podpis Arissy pod wspomnianym przez Kurika oświadczeniem, to czy Kościół mógłby zaświadczyć, że nie zawierała związku małżeńskiego?

Patriarcha Demos rozważał to przez chwilę.

— Takich zaświadczeń się w zasadzie nie wydaje... — powiedział z powątpiewaniem.

— Ale jest to możliwe?

— Sądzę, że tak.

— Wtedy Kościół mógłby nakazać Anniasowi wycofanie tego fałszywego dokumentu, prawda?

— Oczywiście.

Sparhawk odwrócił się do Kaltena.

— Kto dziedziczy po diuku Ostenie tytuł i dobra? — zapytał.

— Jego bratanek — kompletny osioł. Jest bardzo dumny ze swego tytułu diuka i traci pieniądze prędzej, niż je zdobywa.

— Ciekawe, jak zareaguje, kiedy nagle zostanie wydziedziczony, a ziemia i tytuł przejdą na Lycheasa?

— Jego wrzask można pewnie będzie usłyszeć aż w Thalesii.

— Znam jednego zanego urzędnika w Vardenais — oblicze Sparhawka powoli rozjaśniło się w uśmiechu — a ta sprawa jemu by podlegała. Jeżeli obecny diuk wniósłby sprawę do sądu i jeżeli, dla poparcia swoich praw, przedstawiłby oświadczenie Kościoła, to urzędnik rozstrzygnie sprawę na jego korzyść, czyż nie?

— Nie będzie miał wyboru. — Kalten uśmiechnął się szeroko.
— Czy to zdelegalizowałyby ponownie pochodzenie Lycheasa?
Dolmant roześmiał się, ale zaraz przybrał pobożny wyraz twarzy.
— Śpieszmy więc do Demos, przyjaciele — poradził. — Zaprzagnąłem nagle wysłuchać spowiedzi pewnej grzeszniczki.
— Wiecie co? — odezwał się Talen. — Zawsze sądziłem, że złodzieje są największymi krętaczami na świecie, ale przy wielmożach i duchownych wyglądamy na amatorów.
Wszyscy ruszyli w dalszą drogę.
— A jak Platim poradziłby sobie w podobnej sytuacji? — zapytał Kalten chłopaka.
— Wbiłby Lycheasowi nóż w plecy — odparł Talen wzruszając ramionami.
— Martwy bękart nie może przecież dziedziczyć tronu.
— Zachwyca mnie prostota tego rozwiązania. — Kalten wybuchnął śmiechem.
— Morderstwami nie rozwiążesz ziemskich problemów, Kaltenie — powiedział Dolmant z naganą w głosie.
— Ależ, wasza świątobliwość, któż tu mówi o morderstwie? Rycerze zakonni są Orędownikami Boga. Jeżeli Bóg każe nam kogoś zabić, będzie to akt wiary, a nie morderstwo. Może Kościół zaleciłby Sparhawkowi i mnie rozprawienie się z Lycheasem, a przy okazji z Anniasem i Othą?
— Absolutnie nie!
— Tak tylko sobie myślałem... — Kalten westchnął.
— Kim jest Otha? — spytał zaciekawiony Talen.
— Gdzieś ty się chował, chłopcze? — zapytał go Berit.
— Na ulicach.
— Przecież nawet na ulicy powinniście słyszeć o cesarzu Zemochu.
— Gdzie jest Zemoch?
— Gdybyś pozostał w szkole, do której cię posłałem, to byś wiedział — warknął Kurik.
— Nudziło mi się na lekcjach. Przez całe miesiące uczyli mnie liter. A ja uznałem, że skoro umiem napisać swoje imię, to cała reszta jest mi niepotrzebna.
— Dlatego nie wiesz, gdzie jest Zemoch ani dlaczego Otha być może pewnego dnia cię zabije.
— Dlaczego ktoś, kto mnie nawet nie zna, miałby pragnąć mojej śmierci?
— Ponieważ jesteś Elenem.
— Wszyscy są Elenami, oczywiście z wyjątkiem Styrików.
— Ten chłopiec musi się jeszcze wiele nauczyć — zauważył Kalten. — Ktoś powinien się nim zająć.
— Jeśli pozwolicie, szlachetni panowie, z chęcią się tego podejmę — powiedział Berit, starannie dobierając słowa, speszony obecnością najprzewielebniej-

szego patriarchy Demos. — Wiem, że wasze umysły zaprzątnięte są poważnymi sprawami. Nigdy nie byłem prymusem, ale mógłbym się podjąć przekazania temu urwisowi podstawowych wiadomości z dziejów Eosii.

— Sposób, w jaki ten młodzieniec się wysławia, jest rozkoszą dla moich uszu — rozczulił się Kalten. — Jego wzorowe maniery doprowadzają mnie niemal do omdlenia z rozkoszy.

— Urwis? — zaprotestował głośno Talen.

Berit nawet nie mrugnął. Jakby mimochodem trzepnął ręką i strącił Talena z siodła.

— To twoja pierwsza lekcja, młodzieńcze — powiedział. — Szanuj swego nauczyciela. Nigdy nie podawaj w wątpliwość jego słów.

Talen poderwał się na nogi bełkocząc coś. W dłoni ścisnął niewielki sztylet. Berit pochylił się w siodle i kopnął go z rozmachem w żebra. Chłopakowi zaparło dech w piersi.

— Godny pochwały początek nauki, nieprawdaż? — zapytał Kalten Sparhawka.

— Wsiadaj na konia, ale już! — polecił Berit Talenowi. — I uważaj! Będę cię przepytywał od czasu do czasu i masz odpowiadać prawidłowo.

— Pozwolisz mi tak mnie traktować? — zwrócił się Talen do swojego ojca, ale Kurik w odpowiedzi wyszczerzył tylko zęby.

— To nieuczciwe — narzekał chłopak wspinając się z powrotem na siodło i ocierając krwawiący nos. — Widzisz, co zrobiłeś? — spojrzał na Berita z wyrzutem.

— Zamknij buzię na kłódkę — poradził mu Berit — i nie odzywaj się bez pozwolenia.

— Co takiego? — zdumiał się Talen.

Berit uniósł do góry pięść.

— Dobrze, już dobrze. — Chłopak uchylił się przed ciosem. — Zaczynaj. Będę słuchał.

— Ciesz się zawsze, gdy spostrzegam głód wiedzy u młodzieży — powiedział Dolmant ze słodyczą w głosie.

I tak w drodze do Demos Talen rozpoczął swoją naukę. Początkowo był niezadowolony, ale po kilku godzinach przysłuchiwania się opowieściom Berita historia zaczęła go wciągać.

— Czy mogę o coś zapytać? — odezwał się w końcu.

— Oczywiście — przyzwolił Berit.

— Mówiłeś, że w tamtych czasach nie było żadnych królestw, tylko księstwa czy coś w tym rodzaju?

Berit skinął głową.

— A więc jak w piętnastym wieku Abrech z Deiry zdobył władzę nad całą krainą? Czyżby pozostali wielmoże nie stawiali mu oporu?

— Abrech władał kopalniami rudy żelaza, które znajdowały się w środkowej Deirze. Jego wojownicy mieli stalowy oręż i broje, ludzie zaś stawiający mu czoło posiadali broń z brązu lub nawet z krzemienia.

— No tak, to zasadnicza różnica.

— Gdy Abrech umocnił swoje panowanie w Deirze, ruszył na południe — tam gdzie dzisiaj jest Elenia. W krótkim czasie zdobył cały jej obszar. Potem zajął Arcium. Następnie ruszył na centralną Eosię — Cammorię, Lamorkandię i Pelosię.

— Podbił całą Eosię?

— Nie. Właśnie w tym czasie w Rendorze zaczął się rozwijać ruch zwany herezją eshandyjską i hierarchowie Kościoła nakłonili Abrecha, by zaniechał swych planów i zajął się tłumieniem tego ruchu.

— Słyszałem o eshandistach — powiedział Talen — ale nigdy nie mogłem dociec, w co oni naprawdę wierzą.

— Eshand był antyhierarchistą.

— Co to znaczy?

— Hierarchia składa się z wysokich dostojników kościelnych: prymasów, patriarchów i arcyprałata. Eshand uważał, że o sprawach natury teologicznej każdy ksiądz powinien sam decydować we własnej wspólnocie i hierarchia Kościoła powinna być rozwiązana.

— Teraz rozumiem, dlaczego dostojnicy kościelni tak go nie lubią.

— Abrech zgromadził potężną armię — Berit wrócił do głównego tematu — składającą się z mieszkańców zachodniej i centralnej Eosii, by ruszyć na Rendor. Głowę miał zaprzątniętą ważniejszymi sprawami, więc kiedy książęta i diukowie poprosili go o stalową broń, by skuteczniej walczyć z heretykami, wyraził swoją zgodę nie zastanawiając się nad późniejszymi konsekwencjami tej decyzji. Wygrano kilka bitew, ale cesarstwo Abrecha się rozpadło. Gdy wielmoże zachodniej i centralnej Eosii poznali nowoczesną technologię produkcji broni, nie czuli się już dłużej zobowiązani do płacenia lenna Abrechowi. Elenia i Arcium ogłosiły swoją niepodległość, a Cammoria, Lamorkandia i Pelosia również przerodziły się w silne królestwa. Abrech został zabity w bitwie z eshandistami w południowej Cammorii.

— A co to wszystko ma wspólnego z Zemochem?

— Dojdziemy do tego we właściwym czasie.

Talen obejrzał się na Kurika.

— Wiesz — stwierdził — to całkiem ciekawa historia. Czemu nie opowiadali jej w szkole, do której mnie posłałeś?

— Nie zdążyli ci jej opowiedzieć, bo nie zostałeś tam dostatecznie długo.

— Pewnie masz rację.

— Jak jeszcze daleko do Demos? — zapytał Kalten spoglądając na zbliżające się do horyzontu słońce, by zorientować się w czasie.

— Około dwunastu lig — odparł Kurik.
— Przed zmrokiem nie uda nam się tam dojechać. Czy znajdziemy tu w okolicy jakiś zajazd lub oberżę?
— Przed nami jest wioska. Tam będzie zajazd.
— Co ty o tym myślisz? — Kalten zwrócił się do Sparhawk.
— Tak, powinniśmy się tam zatrzymać. Koniom nie zrobiłaby dobrze jazda w nocnym chłodzie.

Jechali w kierunku wioski długim zboczem wzgórza. Słońce za ich plecami zniżało się coraz bardziej i widzieli przed sobą swoje długie cienie. Wioska była mała. Kamienne chaty kryte strzechą przycupnęły po obu stronach drogi. Zajazd składał się zaledwie z izby jadalnej i stryszka do spania, jednakże wieczerza, jaką im podano, była daleko lepsza od nędznej strawy, którą uraczono ich poprzedniego dnia.

— Czy po przybyciu do Demos udamy się wprost do siedziby zakonu? — zapytał Kalten, gdy skończyli posilać się w niskiej, oświetlonej pochodniami izbie.

Sparhawk zastanawiał się przez chwilę.

— Prawdopodobnie jestem obserwowany — powiedział. — Towarzyszymy patriarsze w jego drodze powrotnej do Chyrellos, więc nasze przybycie do Demos wyda się zrozumiałe. Jednak nie chciałbym, by ktoś niepowołany widział, jak jego świątobliwość i ja udajemy się do klasztoru na rozmowę z Arissą. Jeżeli Annias domyśli się, co planujemy, to będzie starał się odparować nasz cios. Kuriku, czy znalazłoby się dla nas miejsce w twoim domu?

— Jest poddasze i strych na siano.

— Dobrze, a więc złożymy ci wizytę.

— Aslade będzie zachwycona — zapewnił Kurik, ale nagle zatroskał się. — Sparhawk, czy mógłbym z tobą chwilę porozmawiać?

Sparhawk odsunął stołek i podążył za swoim giermkim do ciemnego kąta w drugim końcu izby.

— Nie mówiłeś chyba poważnie o pozostawieniu Talena z Aslade, prawda? — zapytał cicho Kurik.

— Nie — odparł rycerz — pewnie, że nie. Miałeś słuszość mówiąc, że wiadomość o twym nierozważnym postępku bardzo by ją unieszczęśliwiła, a Talen jest strasznym gadułą.

— Co więc z nim poczniemy?

— Jeszcze nie zdecydowałem. Berit zajmuje się nim i przypilnuje, by nie narobił kłopotów.

— Chyba po raz pierwszy w swoim życiu Talen ma do czynienia z kimś, kto nie toleruje jego odzywek. — Kurik uśmiechnął się. — Ta nauczka może być ważniejsza od całej historii, której lekcje pobiera.

— Ja też tak pomyślałem. — Sparhawk rzucił spojrzenie na nowicjusza, który z pochyloną z szacunkiem głową rozmawiał z Sephrenią. — Czuję, że Berit będzie

bardzo dobrym pandionitą. Ma charakter, jest inteligentny i bardzo dobrze sobie radził w czasie tej bitwy w Arcium.

— Walczył pieszo — powiedział giermek. — Będziemy mogli powiedzieć więcej, gdy zobaczymy, jak radzi sobie z kopią.

— Kuriku, czy ty zawsze musisz szukać dziury w całym?

— Ktoś to musi robić, Sparhawk.

Następny ranek znowu był zimny i gdy szykowali się do drogi, z końskich pysków unosiły się obłoczki pary. Gdzieś po godzinie jazdy Berit powrócił do udzielania lekcji Talenowi.

— Powiedz, czego się wczoraj nauczyłeś — zwrócił się do chłopca.

Talen drżał z zimna, choć był szczelnie otulony starym, połatanym, siwym płaszczem, który kiedyś należał do Kurika. Opowiedział gładko to, o czym wczoraj usłyszał od Berita. Na tyle, na ile Sparhawk mógł ocenić, chłopak wiernie powtórzył słowa nauczyciela.

— Masz bardzo dobrą pamięć, Talenie — pochwalił go Berit.

— To tylko wprawa — odparł chłopiec z nietypową dla niego skromnością. — Czasami Platim posyłał mnie z wiadomością, więc nauczyłem się, jak zapamiętywać różne rzeczy.

— Kto to jest Platim?

— To najlepszy złodziej w Cimmurze, a raczej był nim, dopóki się nie rozżył.

— Przestajesz ze złodziejami?

— Sam jestem złodziejem, Bericie. To bardzo stary i poważany zawód.

— Raczej nie poważany.

— Zależy, jak na to patrzysz. No dobrze, a co stało się po śmierci króla Abrecha?

— Wojna z eshandistami utknęła w martwym punkcie — podjął opowieść Berit. — Robiono wypadki tam i z powrotem przez Morze Wewnętrzne i Cieśninę Arcjańską, ale wielmoże na obu brzegach co innego mieli w głowach. Eshand zmarł, a jego następcy nie byli już tak gorliwi. Hierarchia Kościoła w Chyrellos nadal próbowała popychać do wojny, ale ludzi bardziej od teologii interesowała polityka.

— Jak długo to trwało?

— Blisko trzy wieki.

— Dawniej poważnie podchodzono do wojen, prawda? Chwileczkę... a gdzie byli wtedy rycerze zakonni?

— Zaraz do tego dojdę. Gdy stało się jasne, że wielmoże stracili zainteresowanie wojną, hierarchowie zebrali się w Chyrellos, by znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. W końcu wpadli na pomysł utworzenia zakonów rycerskich, które dalej prowadziłyby walkę. Rycerze z czterech zakonów byli szkoleni daleko lepiej niż zwykli wojownicy. A dodatkowo zapoznawano ich z sekretami, tajemnymi naukami Styrików.

— Co to były za nauki?

— Sekrety, czyli magia.

— Aha. Czemu od razu tak nie powiedziałaś?

— Powiedziałem. Uważaj, Talenie.

— A więc rycerze zakonni wygrali wojnę?

— Podbili cały Rendor i w końcu eshandiści poddali się. Początkowo zakony rycerskie były bardzo ambitne i zaczęły dzielić Rendor na cztery wielkie księstwa. Ale wtedy ze wschodu nadeszło o wiele gorsze niebezpieczeństwo.

— Zemoch? — domyślił się Talen.

— Tak jest. Najazd na Lamorkandię nastąpił bez żadnego...

— Sparhawk! — krzyknął ostro Kalten. — Spójrz tam! — Wskazał na pobliskie wzgórze. Zza wierzchołka wyjechało nagle kilkunastu ludzi i pędziło galopem w dół zbocza porośniętego paprociami.

Sparhawk i Kalten obnażyli miecze i ruszyli w kierunku atakujących. Kurik zajechał z jednej strony, odczepiając od siodła drąg, z którego na łańcuchu wisiała kolczasta kula, a Berit z drugiej, wymachując ciężkim toporem.

Obaj rycerze wpadli pomiędzy atakujących. Sparhawk od razu rozprawił się z dwoma napastnikami, a Kalten szybkimi cięciami miecza wysadził z siodła następnego. Jeden próbował ich zająć z boku, ale padł uderzony przez Kurika obuchem w głowę. Sparhawk i Kalten, znajdujący się teraz w samym środku atakujących, machali na prawo i lewo swoimi ciężkimi mieczami, tnąc bezlitośnie. Wtedy od frontu pojawił się Berit, rąbiąc toporem wszystkich na swojej drodze. Po kilku chwilach walki atak załamał się i niedobitki napastników ratowały się ucieczką.

— O co im chodziło? — zastanawiał się Kalten. Miał twarz czerwoną z wysiłku i ciężko dyszał.

— Dogonię jednego z nich i przepytam, szlachetny panie — zaofiarował się Berit.

— Nie — rzekł krótko Sparhawk.

Berit posmutniał.

— Nowicjuszowi nie przystoi zgłaszać się na ochotnika, Bericie — powiedział surowo Kurik — zwłaszcza gdy nie włada jeszcze biegle swoją bronią.

— Ale ja dobrze sobie radziłem, Kuriku — zaprotestował Berit.

— Tylko dlatego, że tamci byli słabi. Bierzesz zbyt szeroki zamach. Odślaniasz się w ten sposób na ciosy. Gdy dotrzemy do mojego domu w Demos, udzielię ci jeszcze kilku innych rad.

— Sparhawk! — zawołała Sephrenia od podnóża wzgórza.

Rycerz zawrócił szybko konia i zobaczył, jak pięciu ludzi, ubranych w zgrzebne tuniki Styrików, biegnie od strony zarośli na poboczu traktu w kierunku Sephrenii, Dolmanta i Talena. Zaklął i spał Farana ostrogami.

Szybko stało się jasne, że Styricy chcą dostać się do Sephrenii i Flecika. Jednakże Sephrenia nie była zupełnie bezbronna. Jeden ze Styrików upadł na ziemię

wrzeszcząc i chwytając się za brzuch. Drugi padł na kolana, drapiąc twarz paznokciami, jakby chciał zerwać z oczu niewidzialną zasłonę. Pozostali trzej zataczali się — na swoje nieszczęście, ponieważ był już przy nich Sparhawk. Głowa pierwszego spadła ścięta jednym ciosem miecza, którego ostrze natychmiast zatoпиło się w trzewiach następnego. Ostatni ze Styrików próbował uciekać, ale Faran schwycił go zębami i wdeptał stalowymi podkowami w ziemię.

— Tam! — krzyknęła ostro Sephrenia, wskazując na szczyt wzgórza. Obserwował ich stamtąd zakapturzony jeździec. W chwili gdy czarodziejka zaczęła splateć swoje zaklęcie, jeździec zawrócił konia i zjechał ze wzgórza ginąc im z oczu.

Podjechał Kalten.

— Kim oni byli? — zapytał.

— Najemnikami — odparł Sparhawk. — Widać to po ich uzbrojeniu.

— Czy ten na wzgórzu dowodził nimi? — zapytał Dolmant.

Czarodziejka skinęła głową.

— To był Styrik, prawda, Sephrenio?

— Być może, ale możliwe, że nie. Był mi w jakiś sposób znajomy. To nie zdarzyło się pierwszy raz. Wtedy coś podobnego próbowało zaatakować dziewczynkę. Cokolwiek to było, zostało odpędzone. Tym razem próbowało bardziej bezpośrednich metod. — Sephrenia mówiła z wielką powagą. — Sparhawk, powinniśmy jechać do Demos co koń wyskoczy. Tu, na otwartym terenie, jest bardzo niebezpiecznie.

— Przesłuchajmy rannych — zaproponował rycerz. — Może opowiedzą nam o tym tajemniczym Styriku, który tak bardzo interesuje się Flecikiem.

— Niczego się od nich nie dowiesz. Jeżeli tam, na wzgórzu, widzieliśmy to, o czym myślę — oni nie będą niczego pamiętać.

— Zgoda — zdecydował Sparhawk — jedźmy więc.

Pod wieczór dotarli do gospodarstwa znajdującego się tuż za murami Demos. Już na pierwszy rzut oka poznać było po zabudowaniach zapobiegliwość i staranność gospodarza. Obszerny dom miał dach kryty łupkiem, a belki, z których zbudowano ściany, były ociosane prostokątnie i pasowały do siebie tak idealnie, że nie pozostała najmniejsza szpara do uszczelniania. Za domem, na zboczu wzgórza, stało kilka dobudówek i składzików oraz dwupiętrowa stodoła. Starannie pielęgnowany ogród warzywny otaczał solidny płot. Tuż przy nim stał brązowobiały cielak, zapatrzony na natkę marchewki i zwarzoną mrozem kapustę.

Dwóch młodzieńców w wieku Talena rąbało drwa na opał, a dwóch innych, trochę starszych, naprawiało dach stodoły. Wszyscy ubrani byli w zgrzebne, płócienne koszule.

Kurik zeskoczył z siodła i podszedł do chłopców rąbiących drwa na podwórzu.

— Kiedy ostatni raz ostrzyliście te siekiery? — zapytał zrędliwie.

— Ojczy! — zawołał jeden z młodzieńców. Rzucił siekierę i uściśnął Kurika solidnie. Sparhawk zauważył, że chłopak przynajmniej o głowę przewyższał swojego ojca.

Drugi z chłopców zawołał braci siedzących na dachu stodoły. Obaj zeskoczyli na ziemię nie bacząc, że mogli połamać nogi, a nawet się zabić.

Z domu wyszła Aslade, pulchna kobieta ubrana w samodziałową szarą suknię i biały fartuch. Skronie miała już przyprószone siwizną, ale dołki w policzkach nadawały jej niemal dziewczęcy wygląd. Objęła Kurika czule i na kilka chwil giermek zniknął w ramionach rodziny. Sparhawk przyglądał się temu niemal z rozrzwaniem.

— Żałujesz, Sparhawk? — zapytała Sephrenia z uśmiechem.

— Trochę — przyznał.

— Powinieneś posłuchać moich rad, gdy byłeś młodszy, mój drogi. Ty też mogłeś tego zasmakować, dobrze o tym wiesz.

— To, czym się param, jest zbyt niebezpieczne, bym myślał o zakładaniu rodziny — westchnął.

— Kiedy przyjdzie czas, drogi Sparhawk, nie będziesz się nad tym zastanawiał.

— Myślę, że ten czas minął dawno temu.

— To się okaże — rzekła tajemniczo.

— Mamy gości, Aslade — powiedział Kurik do żony.

Aslade otarła rogiem fartucha wilgotne oczy i podeszła do towarzyszy męża, ciągle jeszcze siedzących na koniach.

— Witajcie w naszym domu — pozdrowiła ich po prostu. Dygnęła przed Sparhawkiem i Kaltenem, których znała od dzieciństwa. — Szlachetni panowie... — zaczęła oficjalnie, po czym roześmiała się. — Zsiądźcie z koni i ucałujcie mnie.

Zsunęli się ze swoich siodła i niczym dwaj niezdarni chłopcy objęli ją.

— Pięknie wyglądasz, Aslade — powiedział Sparhawk, próbując zachowywać się godnie w obecności Dolmanta.

— Dziękuję, dostojny panie. — Aslade dygnęła z kpina. Znała ich zbyt długo, by zwracać uwagę na konwenanse. Uśmiechnęła się szeroko i poklepała po swoich rozłożystych biodrach. — Tyje, Sparhawk — stwierdziła. — Myślę, że to od ciągłego próbowania tego, co gotuję. — Wzruszyła pogodnie ramionami. — Ale nie można dobrze gotować, jeśli się nie próbuje. — Następnie zwróciła się do drobnej Styriczki: — Moja droga, kochana Sephrenio, tak długo się nie widziałyśmy.

— Zbyt długo — odparła Sephrenia, zsiadając ze swojej białej klaczy i biorąc Aslade w ramiona. Powiedziała coś po styriczku do Flecika. Dziewczynka podeszła zawstydzona i ucałowała dłonie Aslade.

— Cóż to za piękne dziecko! — wykrzyknęła Aslade i spojrzała filuternie na Sephrenię. — Powinnaś była mnie powiadomić, moja droga. Jak wiesz, jestem

świąteczną akuszerką, a poza tym trochę mi przykro, że nie zaprosiłaś mnie na uroczystości.

Sephrenia patrzyła na nią zdumiona, a potem wybuchnęła głośnym śmiechem.

— To zupełnie nie tak, Aslade — powiedziała. — Między dzieckiem i mną istnieje co prawda pewne pokrewieństwo, ale nie takie jak myślisz.

Aslade uśmiechnęła się do Dolmanta.

— Zsiądź z konia, wasza świątobliwość — zaprosiła patriarchę Demos. — Kościół pozwoli nam chyba na małego całuska, oczywiście całkiem niewinnego? A potem dostaniesz nagrodę, panie. Właśnie wyciągnęłam z pieca pięć bochenków chleba. Są jeszcze ciepłe.

Dolmantowi zaświeciły się oczy i szybko zsiadł z konia. Aslade objęła go za szyję i pocałowała głośno w policzek.

— On dawał mnie i Kurikowi ślub — powiedziała do Sephrenii.

— Wiem, moja droga. Byłam przy tym, nie pamiętasz?

Aslade zarumieniła się.

— Niewiele pamiętam z uroczystości — wyznała. — Tego dnia co innego miałam w głowie. — Mrugnęła frywolnie do Kurika.

Sparhawk skrycie uśmiechnął się, gdy zobaczył, że twarz jego giermka pokrywa wyraźny rumieniec.

Aslade spojrzała pytająco na Berita i Talena.

— Ten krzepki młodzian to Berit — przedstawił go Kurik. — Jest nowicjuszem w Zakonie Rycerzy Pandionu.

— Jesteś tu mile widziany, Bericie — powitała go gospodyni.

— A ten drugi jest... hm... uczniem. — Kurik zmieszał się. — Przyuczam go do zawodu giermka.

Aslade przyjrzała się chłopcu uważnie.

— Nie mogłeś go lepiej odziać? — spytała.

— On niedawno przyłączył się do nas — wyjaśnił Kurik odrobinę zbyt pośpiesznie.

Spojrzała na Talena jeszcze uważniej.

— Wiesz co? — zagadnęła męża. — On wygląda dokładnie tak samo jak ty, gdy byłeś w jego wieku.

Kurik zakasłał nerwowo.

— Zbieg okoliczności — mruknął.

— Dasz wiarę — Aslade z uśmiechem zwróciła się do Sephrenii — że zakochałam się w Kuriku, kiedy miałam sześć lat? Kosztowało mnie to dziesięć lat starań, ale w końcu go dostałam. Zsiadaj z konia, Talenie. Mam kufer pełen ubrań, z których wyrosli moi chłopcy. Znajdę ci coś ciepłego.

Talen miał dziwny, niemal rozmarzony wyraz twarzy i Sparhawk poczuł nagły przypływ sympatii, gdy zrozumiał, co ten zwykle zuchwały chłopiec musiał czuć. Westchnął i zwrócił się do Dolmanta.

— Czy wasza świątobliwość chce teraz udać się do klasztoru? — zapytał.

— Mam pozwolić, by świeżo upieczony chleb Aslade wystygł? — zaprotestował Dolmant. — Bądź rozsądny, Sparhawk.

Rycerz wybuchnął śmiechem, a patriarcha Demos odwrócił się do żony Kurika.

— Ufam, że masz świeże masło? — zapytał.

— Ubite wczorajszego ranka — odparła — i napoczęłam właśnie garnczek śliwkowych powideł, za którymi wasza świątobliwość tak przepada. Zapraszam, chodźmy od razu do kuchni.

Aslade jakby z roztargnieniem jedną ręką podniosła malutką Flecik, a drugą objęła Talena. Tułąc dzieci do siebie weszła za próg domu.

Otoczony murami klasztor, w którym była uwięziona księżniczka Arissa, stał w lesistej dolince na skraju miasta. Mężczyzn rzadko wpuszczano na teren żeńskiego klasztoru, ale — dzięki autorytetowi Dolmanta i jego pozycji w Kościele — przed nimi furta otworzyła się natychmiast. Potulna siostrzyczka o sarnich oczach i brzydkiej cerze poprowadziła ich do skromnego ogrodu w pobliżu południowych murów. Tam, w bladym, zimowym słońcu, na kamiennej ławce, z grubą księgą na kolanach siedziała siostra zmarłego króla Aldreasa.

Dziesięć lat niewiele ją zmieniło. Jej długie czarne włosy nadal były lśniące, a bladoniebieskie oczy przypominały szare oczy jej bratanicy, królowej Ehliny. Jednakże sińce pod oczyma Arissy świadczyły o bezsennych nocach i pełnych goryczy, dręczących wspomnieniach. Usta miała wąskie, a w ich kącikach widać było głębokie bruzdy niezadowolenia. Jej sylwetka nadal była młodzieńcza, ale Sparhawk wiedział, że księżniczka dobiega już czterdziestki. Nie nosiła habitu zakonnego, ubrana była w suknię z czerwonej miękkiej wełny, z głębokim wycięciem pod szyją, a głowę przykryła fantazyjnie upiętym kwefem.

— Jestem zaszczycona waszymi odwiedzinami — powiedziała zachrypniętym głosem, nie unosząc się nawet z miejsca. — Tak rzadko mnie ktoś odwiedza.

— Wasza wysokość — powitał ją formalnie Sparhawk. — Wierzę, że dobrze jesteście tu traktowana, pani?

— Dobrze, ale nudzę się, Sparhawk. — Spojrzała na Dolmanta. — Postarzałeś się, wasza świątobliwość — zauważyła złośliwie, zamykając książkę.

— Ale po tobie nie znać lat, pani — odparł. — Czy przyjmiesz moje błogosławieństwo, księżniczko?

— Wolałabym nie, wasza świątobliwość. Kościół wystarczająco już się mi przysłużył. — Popatrzyła znacząco na mury otaczające ogród. Odmowa przyjęcia zwyczajowego błogosławieństwa wyraźnie sprawiła jej przyjemność.

— Rozumiem — westchnął. — Jakąż to książkę czytasz, pani? — zapytał.

Podniosła księgę do góry, by mógł odczytać tytuł.

— „Kazania prymasa Subata” — przeczytał. — Bardzo pouczające dzieło.

— To wydanie szczególne. — Arissa uśmiechnęła się złośliwie. — Zrobiono je specjalnie dla mnie, wasza świątobliwość. Okładka wygląda niewinnie, by zmylić strażniczkę mego więzienia, matkę przełożoną. A pod tą okładką kryje się tom sprośnej poezji erotycznej z Cammorii. Czy mam odczytać kilka wersów?

— Nie, dziękuję — odparł chłodno patriarcha Demos, rzucając jej ostre spojrzenie. — Widzę, że się nie zmieniłaś, księżniczko.

— A dlaczegoż to miałabym się zmieniać? — Roześmiała się szyderczo. — Jedyne moja sytuacja uległa zmianie.

— Nie przybyliśmy tu z towarzyską wizytą. Po Cimmurze krążą plotki, że podczas twego odosobnienia, księżniczko, wzięłaś potajemnie ślub z diukiem Ostenem z Vardenais. Czy zechciałabyś, pani, to potwierdzić lub zaprzeczyć plotkom?

— Osten? — Wybuchnęła śmiechem. — Ten stary, wyschnięty kij? Któż przy zdrowych zmysłach wyszedłby za kogoś takiego? Ja wolę młodszych mężczyzn, mających bardziej gorącą krew.

— A więc zaprzeczasz tym plotkom, pani?

— Oczywiście, że zaprzeczam. Ja jestem niczym Kościół, Dolmancie. Nikomu nie szczędzę swoich względów, o czym w Cimmurze wszyscy dobrze wiedzą.

— Czy podpiszesz, księżniczko, dokument stwierdzający fałszywość tych plotek?

— Zastanowię się nad tym — odparła i spojrzała na Sparhawk. — A co ty robisz z powrotem w Elenii, mości rycerzu? Myślałam, że mój brat skazał cię na banicję.

— Zostałem wezwany z powrotem.

— A to ciekawe...

Sparhawk zastanawiał się nad czymś chwilę.

— Czy dostałaś dyspensę na udział w pogrzebie brata, księżniczko? — zapytał.

— Ależ tak, Sparhawk. Kościół wspaniałomyślnie zezwolił mi na całe trzy dni żałoby. Mój biedny, głupi brat wyglądał w trumnie bardzo majestatycznie, gdy tak leżał w koronacyjnych szatach. — Obejrzała krytycznie swoje długie, ostro zakończone paznokcie. — Śmierć przydaje pewnym ludziom godności — dodała.

— Nienawidziłaś go, pani, prawda?

— Gardziłam nim, Sparhawk. To różnica. Zawsze po wyjściu z jego komnaty brałam kąpiel.

Sparhawk uniósł dłoń, pokazując jej pierścień z krwiście czerwonym kamieniem.

— Zauważyłaś może, księżniczko, czy miał na palcu podobny do tego klejnot?

— zapytał.

Księżniczka drgnęła.

— Nie — odpowiedziała. — Nie miał. Może po jego śmierci bachor mu ukradł.

Sparhawk zacisnął zęby.

— Biedny, biedny Sparhawk — drwiła z niego. — Cierpiełeś pewnie, kiedy dowiedziałeś się o losie słodkiej Ehlany, prawda? Żartowaliśmy sobie z twojego przywiązania do niej, gdy jeszcze była dzieckiem. Czyżbyś miał jakieś nadzieje, dzielny wojowniku? Widziałam ją na pogrzebie mojego brata. Ona już nie jest dzieckiem, Sparhawk. Ma teraz biodra i piersi kobiety. Ale jest zamknięta w diamencie, więc nie możesz do niej podejść, prawda? Jej skóra jest taka miękka i delikatna, a ty nie możesz jej dotknąć nawet palcem.

— Nie sądzę, abyśmy musieli tego dalej słuchać, Arisso — powiedział rycerz patrząc na nią spod zmrużonych powiek. — Kto jest ojcem twego syna? — zapytał nagle, w nadziei, że zaskoczona wyjawi mu prawdę.

— A skąd niby miałabym to wiedzieć? — Roześmiała się. — Po ślubie mojego brata szukałam pocieszenia w pewnym, powiedzmy, przybytku w Cimmurze. — Przewróciła oczyma. — Było to zarazem przyjemne i dochodowe. Zarobiłam sporo pieniędzy. Większość dziewcząt tam wysoko się ceni, ale ja poznałam, jeszcze będąc dzieckiem, sekret szybkiego bogacenia się: musisz sprzedawać dużo i tanio. — Spojrzała wyzywająco na Dolmanta. — A poza tym — dodała — to bardzo odmładza.

Dolmant patrzył na nią z surowym wyrazem twarzy. Arissa roześmiała się rubasznie.

— Dość tego, księżniczko — rzekł Sparhawk. — A więc nie zawracałaś sobie nawet głowy ustaleniem, kto był ojcem twego bękarta? — Miał nadzieję sprowokować ją do nie przemyślanej wypowiedzi.

Jej oczy rozblęsnęły nagłym gniewem, ale zaraz odchyliła się na oparcie kamiennej ławki, rzucając mu zmysłowe spojrzenie. Położyła dłonie na dekolcie swej szkarłatnej sukni.

— Trochę wyszłam z wprawy, ale chyba jeszcze mogę poimprovizować. Chcesz spróbować, Sparhawk?

— Raczej nie, Arisso — odparł bezbarwnym głosem.

— Och, ta słynna pruderia twojej rodziny. Jaka szkoda, Sparhawk. Interesowałeś mnie, gdy byłeś młodym rycerzem. Straciłeś teraz swoją królową i nawet nie ma tej pary pierścieni, które potwierdzałyby wasz związek. Czyżby oznaczało to, że nie jesteś już dłużej Obrońcą Korony? Być może, jeśli wyzdrowieje, uda ci się nawiązać z nią bliższy kontakt. Wiesz chyba, że w jej żyłach płynie ta sama krew, co we mnie — może równie gorąca. Gdybyś ze mną spróbował, miałbyś potem z czym porównać.

Rycerz odwrócił się z odrazą, a ona znowu roześmiała się.

— Czy mam posłać po papier i atrament, księżniczko, byśmy mogli ułożyć pismo dementujące plotki o twoim małżeństwie? — zapytał Dolmant.

— Nie. Twoja prośba jest zbieżna z interesami Kościoła, Kościół zaś wyświadczył mi ostatnio kilka uprzejmości, więc nie widzę powodu, aby się dla niego wysilać. Jeżeli ludzie w Cimmurze mają ochotę zabawiać się plotkami na mój temat, to proszę bardzo! Nalizali się już prawdy, niech teraz zasmakują kłamstwa.

— To twoje ostatnie słowo, pani?

— Mogę zmienić zamiar. Sparhawk jest Rycerzem Kościoła, a wasza świątobliwość jest patriarchą. Czemu nie rozkażesz mu, panie, by spróbował mnie przekonać? Czasami ulegam łatwo, czasami nie. To zależy od tego, kto i jak mnie przekonuje.

— Myślę, że załatwiliśmy tu już wszystkie nasze sprawy — powiedział Dolmant. — Do widzenia, księżniczko. — Odwrócił się na pięcie i ruszył przez zwarty mrozem ogród.

— Wpadnij tu kiedyś, Sparhawk, jeżeli tylko uda ci się pozbyć tego drętowego przyjaciela. — Arissa uśmiechnęła się. — Moglibyśmy się dobrze zabawić.

Rycerz odwrócił się plecami i nie odpowiadając ruszył za patriarchą Demos ku wyjściu.

— Tylko straciliśmy czas — mruknął z pociemniałą ze złości twarzą.

— Och, nie, mój chłopcze — powiedział pogodnie Dolmant. — W swojej złości księżniczka przegapiła jeden z ważnych punktów prawa kanonicznego. Ona właśnie złożyła dobrowolne oświadczenie w obecności dwóch duchownych świadków, ciebie i mnie. A to ma wartość pisemnego oświadczenia. Teraz wystarczy tylko powtórzyć jej słowa pod przysięgą.

Sparhawk spojrzał z niedowierzaniem.

— Wasza świątobliwość, jesteś największym spryciarzem, jakiego znam — oznajmił. — Dziękuję za uznanie, synu. — Patriarcha Demos uśmiechnął się.

Rozdział 12

Następnego dnia wczesnym rankiem opuścili gospodarstwo Kurika. Aslade i chłopcy stali przed domem machając im na pożegnanie. Kurik został z najbliższymi nieco dłużej, obiecał jednak, że wkrótce dołączy do reszty drużyny.

— Pojedziemy przez miasto? — zapytał Kalten Sparhawk.

— Nie. Lepiej będzie pojechać traktem, omijając Demos od północy. Obawiam się, że i tak zostaniemy zauważeni, więc chociaż nie ułatwiamy obserwatorom zadania.

— Czy obrazisz się za osobistą uwagę?

— Chyba nie.

— Uważam, że powinieneś zastanowić się nad tym, czy nie czas już Kurikowi na odpoczynek. Robi się coraz starszy i, miast włączyć się za tobą po świecie, powinien więcej czasu spędzać ze swoją rodziną. A poza tym, o ile wiem, jesteś jedynym rycerzem zakonnym, który nadal ma giermka. Wszyscy już nauczyli się obchodzić bez nich. Daj mu godziwą odprawę i pozwól zostać w domu.

Sparhawk zerknął na słońce, wschodzące właśnie nad zalesionym wierzchołkiem wzgórza.

— Pewnie masz słuszość — przyznał — ale jak miałbym mu o tym powiedzieć? Nim ukończyłem nowicjat, mój ojciec najął Kurika na służbę u mnie. To wiązało się z dziedziczeniem tytułu Obrońcy Korony. — Uśmiechnął się krzywo. — Ta staroświecka godność wymaga staroświeckiej oprawy. Kurik jest bardziej przyjacielem niż sługą i nie zamierzam sprawić mu przykrości mówiąc, iż jest za stary, by mi dłużej służyć.

— No cóż, to istotnie twardy orzech do zgryzienia, prawda?

— Tak — powiedział Sparhawk. — Bardzo twardy.

Kiedy przejeżdżali obok klasztoru, w którym przebywała księżniczka Arissa, dogonił ich Kurik. Na jego brodatym obliczu malowała się troska i smutek, ale już po chwili wyprostował plecy i przyjął służbową postawę.

Sparhawk spojrział z powagą na przyjaciela, próbując wyobrazić sobie życie bez niego. Potem potrząsnął głową. Nie. To było niemożliwe.

Trakt wiodący do Chyrellos przecinał wiecznie zielony las. Promienie poran-

nego słońca przeciskały się przez konary i pokrywały ziemię złocistymi plamami. Powietrze było rześkie i czyste. Po półgodzinie jazdy Berit wrócił do swojej opowieści.

— Rycerze zakonni umacniali swoją pozycję w Rendorze — przypomniał Talenowi — gdy do Chyrellos dotarła wieść, że cesarz Zemochu, Otha, zgromadził potężną armię i wkroczył do Lamorkandii.

— Chwileczkę — przerwał chłopak. — Kiedy to się działo?

— Około pięciuset lat temu.

— A więc to nie ten sam Otha, o którym wczoraj opowiadał Kalten, prawda?

— O ile nam wiadomo, ten sam.

— To niemożliwe!

— Otha ma około dziewięciuset lat — rzekła chłopcu Sephrenia.

— Myślałem, że to historia — powiedział Talen z wyrzutem — a nie bajka.

— Gdy Otha był chłopcem, spotkał się ze Starszym Bogiem Azashem — wyjaśniła czarodziejka. — Starsi Bogowie Styricum posiadają wielką moc i nie przestrzegają żadnych zasad moralnych. Jednym z darów, który mogą otrzymać od nich wyznawcy, jest dar niewiarygodnie długiego życia. To dlatego niektórzy ludzie pragną im oddawać cześć.

— Nieśmiertelność? — zapytał Talen z niedowierzaniem.

— Nie. Tego żaden z bogów nie może nam ofiarować.

— Bóg Elenów może — wtrącił Dolmant — oczywiście w duchowym znaczeniu tego słowa.

— To bardzo interesujące teologiczne zagadnienie, wasza świątobliwość. — Sephrenia uśmiechnęła się. — Pewnego dnia musimy to przedyskutować. W każdym razie — ciągnęła dalej — gdy Otha zgodził się czcić Azasha, bóg obdarzył go olbrzymią mocą. W końcu Otha został cesarzem Zemochu. Styricy i Eleni zamieszkujący Zemoch zawierali małżeństwa mieszane i dlatego tak naprawdę Zemosi nie należą do żadnej z tych ras.

— W oczach Boga uchodzi to za odrażającą praktykę — dodał Dolmant.

— Styriccy bogowie też tak uważają — zgodziła się Sephrenia. Ponownie spojrzała na Talena. — By zrozumieć Othę i Zemoch, trzeba zrozumieć, kim jest Azash. A jest on uosobieniem wszystkich złych mocy. Obrzędy ku jego czci budzą wstęt, są krwawe i wiążą się z zadawaniem straszliwych cierpień nieszczęsnyemu ofiarom. Oddając mu cześć Zemosi przestali być podobni do ludzi. Gdy wkroczyli do Lamorkandii, budzili przerażenie nie do opisania, jednakże nadal można było z nimi walczyć i pokonać ich w normalny sposób. Ale potem Azash wsparł ich stworami z zaświatów.

— Goblinami? — W głosie Talena brzmiało powątpiewanie.

— Niezupełnie, ale myślę, że można ich tak nazywać. Opowieść o tym, jak wyglądają te wszystkie nieludzkie stwory, zajęłaby mi cały ranek i napełniłaby cię lękiem.

— Ta historia z każdą chwilą robi się bardziej nieprawdopodobna — zauważył chłopak. — Lubię bitwy, i tak dalej, ale jak zaczynasz mi opowiadać o goblinach i wrózkach, przestaję w to wierzyć. Nie jestem już dzieckiem.

— Z czasem zrozumiesz i uwierzysz — powiedziała Sephrenia. — Słuchaj, co było dalej.

— Kiedy Kościół zdał sobie sprawę z natury sił, które najechały Lamorkandię — podjął opowieść Berit — wezwał rycerzy zakonnych, by powrócili z Rendoru. Do szeregów czterech zakonów dołączyli świeccy rycerze i zwykli wojownicy, aż siły Zachodu były niemal równie liczne jak te, które zgromadził Otha.

— A więc była bitwa? — zapytał radośnie Talen.

— Największa bitwa w historii ludzkości. Dwie armie spotkały się na równinach Lamorkandii, w pobliżu jeziora Randra. Zwarły się w gigantycznej bitwie, ale walka, jaka rozgorzała między siłami nadprzyrodzonymi, była jeszcze bardziej zdumiewająca. Ogień i błyskawice spływały z nieba. Ziemia pochłaniała całe hufce lub spopielał je nagły ogień. Grzmoty przewalały się przez cały horyzont, a ziemię rozdzierały wstrząsy i wybuchy lawy. Czary rzucane przez zemoskich kapłanów były każdorazowo skutecznie odpierane dzięki magii rycerzy zakonnych. Przez trzy dni obie armie toczyły krwawy bój, aż w końcu udało się Zemochów odeprzeć. Ich odwrót szybko przerodził się w bezładną ucieczkę. Hordy Othy, rozbite ostatecznie, w panice umykały w kierunku granicy.

— Fantastyczne! — wykrzyknął Talen. — A potem nasi wojownicy najechali na Zemoch?

— Byli zbyt wyczerpani — powiedział Berit. — Wygrali bitwę, ale drogo za to zapłacili. Połowa Rycerzy Kościoła zginęła na polu bitwy, a armie królów Elenów liczyły swoich zabitych w tysiącach.

— Ale mogli przecież coś zrobić?

Berit pokiwał smutno głową.

— Zajęli się swoimi rannymi — powiedział — i pogrzebali ciała poległych towarzyszy. Potem ruszyli do domu.

— To wszystko? — spytał Talen zawiedziony. — Niewiele jest zatem do opowiadania, jeżeli niczego więcej nie dokonali.

— Nie mieli wyboru. Wszyscy zdolni do walki mężczyźni w królestwach Zachodu zostali wcieleni do armii i udali się na wojnę. Pozostawili nie zebrane plony. Nadciągała zima, brakowało żywności. Z trudem udało się przetrwać okres chłódów. W tej bitwie zginęło lub zostało okaleczonych wielu ludzi i gdy nadeszła wiosna, nie było komu — na Zachodzie i w Zemochu — zaorać i obsiać pól. Wynikiem tego była klęska głodu. Przez całe stulecie jedynym zmartwieniem w całej Eosii było jedzenie. Miecze i kopie odłożono na bok, a bojowe rumaki zaprzęgnięto do pługów.

— W opowieściach, które do tej pory słyszałem, nic o tym nie wspomiano. — Talen pociągnął nosem.

— To dlatego, że były to tylko opowieści. — Natomiast to, o czym ja ci mówię, działa się naprawdę. Ta wojna i klęska głodu, która po niej nastąpiła, spowodowały wielkie zmiany. Rycerze zakonni musieli pracować w polu razem ze wszystkimi i stopniowo zaczęli się oddalać od Kościoła. W tamtych czasach hierarchowie, proszę o wybaczenie waszą świątobliwość — Berit zwrócił się do patriarchy Demos — zbyt byli odsunięci od problemów zwykłych ludzi, by w pełni zrozumieć ich cierpienia.

— Nie musisz przepraszać, Bericie — odparł Dolmant ze smutkiem. — Kościół przyznał się do swoich błędów.

Berit potwierdził to skinieniem głowy.

— Rycerze zakonni w bardzo dużym stopniu ulegli zeświecczeniu — mówił dalej. — Według pierwotnego zamysłu hierarchii kościelnej rycerze ci mieli być zbrojnymi mnichami, którzy, gdy nie walczyli, przebywali w swoich siedzibach, warownych zamkach. Jednakże zamysł ten nie powiódł się. Z powodu straszliwych spustoszeń, jakich wojna dokonała w ich szeregach, byli zmuszeni zmienić regułę, by zyskać nowych rekrutów. Mistrzowie zakonów udali się do Chyrellos i w ostrych słowach zapoznali Najwyższą Radę Kościoła z istotą problemu. Zasadniczą przeszkodą w pozyskiwaniu nowych członków zakonu zawsze był celibat. Dzięki naleganiom mistrzów hierarchia kościelna zniosła ten nakaz i rycerze zakonni mieli odtąd prawo żenić się i mieć dzieci.

— Jesteś żonaty, dostojny panie Sparhawk? — zapytał nagle Talen.

— Nie — padła krótka odpowiedź.

— Czemu nie?

— Nie znalazł kobiety, która byłaby dostatecznie głupia, aby go poślubić — odpowiedział Kalten śmiejąc się. — Nie jest zbyt piękny, a do tego ma paskudny charakter.

Talen spojrzał na Berita.

— A więc to koniec tej historii? — spytał zawiedziony. — Dobra opowieść powinna mieć zakończenie, wiesz, coś w rodzaju: „... i żyli długo i szczęśliwie”. A twoja drepcze w miejscu nigdzie nie dochodząc.

— Historia toczy się dalej, Talenie. Nie ma tu żadnych zakończeń. Zakony rycerskie są teraz uwikłane zarówno w politykę, jak i w sprawy Kościoła, i nikt nie może przewidzieć, co czeka je w przyszłości.

Dolmant westchnął.

— To wszystko prawda — przyznał. — Chciałbym, by było inaczej, ale być może Bóg ma swoje powody, dla których tak się właśnie dzieje.

— Chwileczkę — sprzeciwił się Talen. — Wszystko zaczęło się od tego, że mieliście mi opowiedzieć o Zemochu i jego cesarzu. Wydaje się, że on dawno wypadł już z tej historii. Dlaczego więc tak się go obawiamy?

— Otha znowu zbiera swoją armię — powiedział Sparhawk.

— A czy my coś robimy w związku z tym?

— Obserwujemy go. Jeżeli ponownie ruszy, wyjdziemy mu na spotkanie, tak jak wtedy. — Sparhawk popatrzył na pożółkłe trawy błyszczące dookoła w porannym słońcu. — Jeżeli mamy zamiar dotrzeć do Chyrellos przed końcem miesiąca, to powinniśmy jechać trochę prędzej — powiedział kłując boki Farana ostrogami.

Przez trzy dni jechali na wschód, nocując w przydrożnych zajazdach. Sparhawk z wyrozumiałością i rozbawieniem przyglądał się Talenowi, który z pasją młócił kijem przydrożne osty, podniecony opowieścią Berita o dawnych czasach. Trzeciego dnia wczesnym popołudniem wjechali na szczyt wysokiego wzgórza, by spojrzeć w dół na rozległą stolicę Kościoła Elenów, Chyrellos. To największe w całej Eosii miasto nie należało do żadnego z królestw, leżało u zbiegu granic Elenii, Arcium, Cammorii, Lamorkandii i Pelosii. Najeżone było strzelistymi wieżami katedr, z których co pewien czas rozlegało się śpiewne dzwonięcie, wzywające wiernych na modlitwę. Mieszkańcom Świętego Miasta nie były jednak obojętne i sprawy świata doczesnego. Wielu z nich zajmowało się handlem, a pałace bogatych kupców z powodzeniem konkurowały pod względem wspaniałości i bogactwa z rezydencjami patriarchów Kościoła. Centrum miasta stanowiła bazylika, olbrzymia, przykryta kopułą katedra z błyszczącego marmuru, wzniesiona ku chwale Boga. Bazylika promieniowała swoją cudowną mocą na wszystkie żywe istoty, od zamieszkujących śnieżne równiny północnej Thalesii, po żyjących na pustyniach Rendoru.

Talen, który całe życie spędził w Cimmurze, wpatrywał się zdumiony w olbrzymie miasto rozpościerające się u jego stóp, błyszczące w promieniach zimowego słońca.

— Dobry Boże! — szepnął niemal z czcią.

— Tak — przyznał Dolmant. — On jest dobry, a to jest jedno z Jego najwspanialszych dzieł.

Na malutkiej Flecik ten widok zdawał się nie robić wrażenia. Podniosła do ust fujarkę i zagrała żartobliwą piosenkę, jakby dając do zrozumienia, że wszystkie wspaniałości Chyrellos nie mają dla niej najmniejszego znaczenia.

— Czy wasza świątobliwość uda się prosto do bazyliki? — zapytał Sparhawk.

— Nie — odparł Dolmant. — To była męcząca podróż i muszę dobrze wszystko przemyśleć, aby jak najlepiej przedstawić tę sprawę hierarchom. Annias ma wielu przyjaciół w Najwyższej Radzie Kościoła i z pewnością nie spodoba się im to, co mam zamiar powiedzieć.

— Czy oni mogą podać w wątpliwość słowa waszej świątobliwości?

— Raczej nie, ale mogą próbować wypaczyć ich sens. — Dolmant w zamyśleniu pocierał ucho. — Myślę, że moje sprawozdanie wywrze większe wrażenie, jeżeli będzie poparte dowodami. Jak sobie radzisz z wystąpieniami publicznymi?

— On jest w tym niezrównany, zwłaszcza wtedy, gdy może pomagać sobie

mieczem — powiedział Kalten.

Dolmant uśmiechnął się słabo.

— Przyjdź jutro do mego domu — polecił Sparhawkowi. — Przećwiczymy razem twoje zeznanie.

— Czy to jest zgodne z prawem, wasza świętobliwość? — zapytał Sparhawk.

— Nie będę cię prosił, byś pod przysięgą kłamał. Chcę tylko udzielić ci kilku wskazówek co do tego, jak powinieneś odpowiadać na pewne pytania. — Dolmant uśmiechnął się. — Nie chciałbym w obecności hierarchów zostać zaskoczony którąś z twoich wypowiedzi. Nie znoszę niespodzianek.

— A więc przyjdę jutro, wasza świętobliwość — zgodził się Sparhawk.

Zjechali ze wzgórza ku potężnym, odlanym z brązu bramom Świętego Miasta. Wartownicy oddali honory patriarsze Demos i przepuścili ich, nie zadając żadnych pytań. Od bramy wiodła szeroka ulica, której bez wątpienia przysługiwało miano bulwaru. Po obu stronach wznosiły się wspaniałe domy, rywalizujące z sobą o przyciągnięcie uwagi przechodniów. Na ulicy było tłoczno. Widziało się tu sporo jasnobrunatnych tunik gminu, ale wśród ubiorów przeważała ponura duchowna czerń.

— Czy wszyscy ludzie tutaj to księża? — zapytał Talen. Patrzył wokół szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma. Oszło miła go wspaniałość Chyrellos. Ten cyniczny złodziejasek z zaułków Cimmury w końcu zobaczył coś, czego nie mógł zbyć wzruszeniem ramion.

— Ależ skąd! — odparł Kalten. — W Chyrellos, jeżeli ktoś chce zdobyć choć trochę szacunku, to usiłuje sprawiać wrażenie, że jest związany z Kościołem, dlatego wszyscy ubierają się na czarno.

— Szczerze mówiąc, nie miałbym nic przeciwko temu, by ulice Chyrellos były trochę bardziej kolorowe — powiedział Dolmant. — Ta monotonna czerń sprawia przygnębiające wrażenie.

— Może więc czas na zmianę mody, wasza świętobliwość? — zaproponował Kalten. — Podczas następnej wizyty w bazylice proszę założyć różową lub może szmaragdową sutannę. Bardzo do twarzy byłoby waszej świętobliwości w zielonym.

— Katedra chyba ległaby w gruzach, gdybym to uczynił. — Dolmant skrzywił się z niesmakiem.

Dom patriarchy Demos, w odróżnieniu od pałaców większości dostojników kościelnych, był skromny i pozbawiony wszelkich ozdób. Stał nieznacznie odsunięty od ulicy, otoczony dobrze przystrzyżonym żywopłotem i żelaznym parkanem.

— Jeżeli wasza świętobliwość zezwoli, oddalimy się teraz do siedziby zakonu — rzekł Sparhawk, gdy stanęli przed bramą rezydencji.

Dolmant skinął przyzwalająco głową.

— Do zobaczenia jutro, Sparhawk — przypomniał. Sparhawk oddał honory hierarchowi Kościoła i pojechał dalej na czele swej drużyny.

— To dobry człowiek, prawda? — powiedział Kalten.

— Jeden z najlepszych — odparł Sparhawk. — Wielkie to szczęście dla Kościoła, że ma go w swoich szeregach.

Siedziba Zakonu Rycerzy Pandionu w Chyrellos mieściła się w ponuro wyglądającej kamiennej budowli przy mało uczęszczanej, bocznej uliczce. Zamiast fosy, jaką był otoczony zamek w Cimmurze, okalał ją wysoki mur z warowną bramą. Sparhawk dopełnił rytuałów, które umożliwiły im wjazd na dziedziniec. Zsiadli z koni. Dowódca twierdzy, tęgi mężczyzna imieniem Nashan, zbiegł ochoczo ze schodów, by ich powitać.

— To zaszczyt dla naszego domu, panie Sparhawk — witał gości ściskając dłoń rosnącego rycerza. — Jak mają się sprawy w Cimmurze?

— Udało nam się wyrwać Anniasowi kły — odparł Sparhawk.

— Jak to przyjął?

— Wygląda na trochę chorego.

— To dobrze. — Nashan odwrócił się do Sephrenii. — Witaj, mateczko. — Ucałował jej dłoń.

— Widzę, że nie opuszczałeś zbyt wielu posiłków — rzekła czarodziejka surowo.

Nashan roześmiał się i poklepał po brzuchu.

— Nikt nie jest bez wad — westchnął. — Chodźcie wszyscy do środka. Przeszmuglowałem tu bukłak czerwonego wina arcjańskiego, oczywiście jako lekarstwo na moje dolegliwości żołądkowe. Mogę was poczęstować.

— Widzisz, jak to jest, Sparhawk? — pokiwał głową Kalten. — Każdy przepis można obejść, gdy się zna właściwych ludzi.

Komnata Nashana była utrzymana w czerwieni, a ozdobny, służący mu za biurko stół miał inkrustacje ze złota i macicy perłowej.

— To tylko na pokaz — usprawiedliwiał się Nashan patrząc wokoło. — Jeżeli chce się być poważnie traktowanym w Chyrellos, trzeba kłuć w oczy bogactwem.

— Nie musisz się nam tłumaczyć — powiedziała Sephrenia.

— Nigdy nie byłem zbyt dobrym rycerzem — przyznał wzdychając. — Jestem co najwyżej przeciętny w walce na kopie, a większość z moich zakłęb obraca się w połowie przeciwko mnie. — Wziął głęboki oddech. — Myślę jednak, że jestem dobrym administratorem. Znam Kościół i jego polityków i na tym polu mogę służyć naszemu zakonowi i mistrzowi Vanionowi daleko lepiej niż na polu bitwy.

— Każdy z nas robi to, co potrafi — rzekł Sparhawk. — Uczono mnie, że Bóg sprawiedliwie oceni nasze starania.

— Czasami mam uczucie, że Go rozczarowuję. — Nashan znowu westchnął.

— Gdzieś w głębi mojej duszy tkwi przekonanie, że mogę Mu lepiej służyć.

— Nie obwiniaj się, Nashanie — poradziła mu Sephrenia. — Bóg Elenów ma opinię bardzo wyrozumiałego. Robisz, co jest w twojej mocy.

Usiedli za ozdobnym stołem i dowódca wezwał brata służebnego, który przyniósł puchary i bukłak mocnego arcjańskiego wina. Na życzenie Sephrenii posłał również po mleko dla Flecika i Talena.

— Mam nadzieję, że nie doniesiecie o tym mistrzowi Vanionowi, prawda? — podnosząc bukłak Nashan spojrział na Sparhawk.

— Będę milczał jak grób — zaklął się Sparhawk podsuwając swój puchar.

— Powiadaj, co słyhać w Chyrellos — zaproponował Kalten.

— Nastąpiły niespokojne czasy — zaczął Nashan. — Niespokojne czasy. Arcyprałat zestarzał się i całe miasto wstrzymuje oddech w oczekiwaniu na jego śmierć.

— Kto będzie nowym arcyprałatem? — zapytał Sparhawk.

— W tej chwili nikt tego nie wie. Cluvonus nie jest w stanie wyznaczyć swego następcy, a Annias z Cimmury nie żałuje pieniędzy, by zdobyć tron.

— A Dolmant? — spytał Kalten.

— Obawiam się, że za bardzo usuwa się w cień — odparł Nashan. — Jest tak bardzo oddany Kościołowi, że nawet nie pomyślał o staraniu się o złoty tron w bazylice. Ale nie tylko o to chodzi. On ma wielu wrogów.

— Ja tam lubię wrogów. — Kalten uśmiechnął się szeroko. — Dzięki nim mój miecz nie rdzewieje.

Nashan spojrział na Sephrenię.

— Czy w Styricum coś się szykuje? — zapytał.

— Co masz na myśli?

— W mieście pojawiło się nagle wielu Styrików. Mówią, że przybyli tu, by zapoznać się z wiarą Elenów.

— Bzdura.

— Ja również tak uważam. Kościół bez większego powodzenia próbował nawracać Styrików przez trzy tysiące lat, a teraz oni sami przybywają tłumnie do Chyrellos, by nawrócić się z własnej woli.

— Żaden Styrik przy zdrowych zmysłach by tego nie uczynił — zapewniła czarodziejka. — Nasi bogowie są zazdrośni i surowo karzą odszczepieńców. — Zmrużyła oczy. — Czy któryś z tych pielgrzymów mówił, skąd przybywa?

— Nic o tym nie słyszałem. Wszyscy wyglądają jak zwykli wieśniacy.

— Być może jednak odbyli o wiele dłuższą podróż, niż chcą to ujawnić.

— Sądzisz, że to mogą być Zemosi, mateczko? — zapytał Sparhawk.

— Agenci Othy już weszła we wschodniej Lamorkandii — odrzekła. — Chyrellos jest centrum świata Elenów, a więc logicznie rzecz biorąc tu właśnie można najskuteczniej szpiegować i robić zamieszanie. — Zastanowiła się. — Prawdopodobnie trochę tu zabawimy. Musimy czekać na przybycie rycerzy z pozostałych

zakonów. Uważam, że moglibyśmy wykorzystać ten czas na sprawdzenie tych przypuszczeń.

— Nie mogę zbyt w to mieszać — zastrzegł się Sparhawk. — W tej chwili jestem zaprzątnięty dużo ważniejszymi sprawami. Zajmiemy się Othą i jego Zemochami, gdy przyjdzie na to czas. Teraz muszę skoncentrować się na przywróceniu Ehlanie jej tronu i zapobiec śmierci pewnych przyjaciół. — Wyrażał się oględnie, ponieważ szczegóły tego, co wydarzyło się w sali tronowej, przyrzekł zachować w tajemnicy.

— Masz rację, Sparhawk — zgodziła się Sephrenia. — Rozumiem twój niepokój. Wezmę ze sobą Kaltena i zobaczymy, czego uda nam się dowiedzieć.

Resztę dnia spędzili na spokojnej rozmowie w komnacie Nashana. Następnego ranka Sparhawk nałożył kolczugę, a na nią habit z kapturem i pojechał do domu patriarchy Demos, gdzie obaj dokładnie przeanalizowali to, co wydarzyło się w Cimmurze i Arcium.

— Byłbym ostrożny w rzucaniu jakichkolwiek podejrzeń na Anniasa — mówił Dolmant. — Najlepiej chyba będzie pominąć wszelkie związki z jego osobą lub z Harparinem. Przedstawmy całą sprawę jako próbę zdyskredytowania Zakonu Rycerzy Pandionu i tak to zostawmy. Hierarchowie sami wyciągną z tego wnioski. — Uśmiechnął się. — A ostatecznym wnioskiem będzie ten, że Annias publicznie zrobił z siebie głupca. Jeżeli nie uda nam się osiągnąć niczego innego, to może chociaż wpłyniemy na decyzję neutralnych patriarchów, gdy przyjdzie wybierać nowego arcyprałata.

— A to też jest coś — powiedział Sparhawk. — Czy przedstawimy jednocześnie sprawę tak zwanego małżeństwa Arissy?

— Nie sądzę. Nie jest to na tyle znacząca sprawa, by wymagała rozpatrzenia przez Najwyższą Radę Kościoła. Oświadczenie w sprawie panieństwa Arissy może sporządzić patriarcha Vardenais. Ten rzekomy ślub powinien odbyć się w jego okręgu, więc to on wyda oświadczenie, iż nic takiego się nie zdarzyło. — Szeroki uśmiech rozjaśnił surową twarz patriarchy. — A poza tym — to mój przyjaciel.

— Sprytnie — pochwalił Sparhawk.

— Mnie też podoba się ten pomysł — rzekł skromnie Dolmant.

— Kiedy staniemy przed hierarchią?

— Jutro rano. Nie ma powodu, by zwlekać. Jeśli damy Anniasowi czas, on ostrzeże swoich przyjaciół tu, w Chyrellos.

— Czy mam stawić się tutaj i razem pojedziemy do bazyliki?

— Nie. Udajmy się tam osobno, żebyśmy nie wzbudzili podejrzeń i aby zbyt prędko nie połapano się, o co nam w istocie chodzi.

— Wasza świątobliwość doskonale sobie radzi w politycznych gierkach. — Sparhawk uśmiechnął się szeroko.

— Oczywiście. W końcu nieprzypadkowo zostałem patriarchą. Przybądź do bazyliki trzy godziny po wschodzie słońca. Powinienem mieć czas na przedsta-

wienie swego sprawozdania i odpowiedzi na wszystkie pytania oraz wątpliwości popleczników Anniasa.

— Dobrze, wasza świątobliwość. — Sparhawk podniósł się z miejsca.

— Bądź ostrożny jutro, Sparhawk. Będą próbowali cię zbić z tropu. I, na litość boską, nie trać panowania nad sobą.

— Spróbuję o tym pamiętać.

Następnego ranka Sparhawk ubrał się bardzo starannie. Jego czarna zbroja lśniła, a płaszcz i srebrzysta szata wierzchnia zostały świeżo wyprasowane. Faran był tak długo czesany zgrzebłem, aż jego sierść zaczęła błyszczeć, a na koniec natarto mu olejem podkowy.

— Nie daj się zapędzić w kozi róg — ostrzegął Sparhawk Kalten, gdy razem z Kurikiem pomagał mu dosiąść konia. — Duchowni potrafią być bardzo przebiegli.

— Będę uważał. — Sparhawk zebrał wodze i uderzył piętami w boki Farana. Rosły rumak zadzierając łeb wyjechał dumnie na zatłoczone ulice.

Kopuła bazyliki górowała nad całym miastem. Świątynię zbudowano na niewielkim wzgórzu i wznosiła się ku niebu lśniąc w zimowym słońcu. Wartownicy stojący przed bramą z brązu z szacunkiem ustąpili rycerzowi z drogi. Sparhawk zsiadł z konia przed marmurowymi schodami wiodącymi do wielkich drzwi. Podał wodze Farana mnichowi, poprawił rzemień u swojej tarczy, a potem wszedł na stopnie, dzwoniąc ostrogami o marmur. Na szczycie schodów zagroził mu drogę młody duchowny w czarnej sutannie.

— Mości rycerzu — odezwał się — uzbrojony nie przekroczysz tego progu.

— Mylisz się, wielebny — rzekł Sparhawk. — Ten przepis nie dotyczy zakonów rycerskich.

— Nie słyszałem nigdy o takich wyjątkach.

— Usłyszałeś teraz. Nie szukam zwady, przyjacielu, ale zostałem wezwany przez Dolmanta, patriarchę Demos, więc przybyłem i mam zamiar wejść do środka.

— Ale...

— Macie tu olbrzymią bibliotekę, przyjacielu. Może poszedłbyś i jeszcze raz przejrzał przepisy? Jestem pewien, iż stwierdzisz, że kilka z nich przeoczyłeś. A teraz zejdz mi z drogi.

Odsunął młodzieńca na bok i wszedł do pachnącego kadzidłem wnętrza katedry. Skłonił się przed przebogatym ołtarzem i ruszył główną nawą w wielobarwnym świetle, sączącym się z ogromnych witraży. Przed ołtarzem stał zakrystianin i z zapamiętaniem polerował srebrny kielich.

— Witaj, ziomku — zagadnął go Sparhawk spokojnym głosem.

Zakrystianin omal nie upuścił kielicha.

— Przestraszyłeś mnie, mości rycerzu — powiedział uśmiechając się nerwowo. — Nie słyszałem, jak się zbliżałeś, dostojny panie.

— To przez te dywany — wyjaśnił Sparhawk. — Tłumią odgłos kroków. Zda-
je się, że hierarchowie są na posiedzeniu Najwyższej Rady Kościoła.

Zakrystianin skinął głową.

— Patriarcha Dolmant wezwał mnie — mówił dalej rycerz — bym zeznawał
w sprawie, którą przedstawia dzisiejszego ranka. Gdzie obradują?

— Wydaje mi się, że w sali audiencyjnej arcyprałata. Czy mam wskazać dro-
gę?

— Wiem, gdzie to jest. Dziękuję, ziomku. — Sparhawk minął główną na-
wę i przez boczne drzwi wyszedł do dudniącego echem marmurowego korytarza.
Zdjął hełm, wsadził go pod pachę i kroczył korytarzem, aż doszedł do dużego
pokoju, gdzie siedzący za stołami duchowni sortowali dokumenty. Jeden z nich
podniósł wzrok, dostrzegł w drzwiach Sparhawk'a i powstał.

— Czym mogę służyć, mości rycerzu? — zapytał. Czubek głowy miał łysy,
a zza uszu sterczały mu niczym skrzydła kosmyki siwych włosów.

— Nazywam się Sparhawk, wasza wielbność. Wezwał mnie patriarcha Do-
lmant.

— Ach tak. Patriarcha uprzedził mnie, że spodziewa się ciebie, dostojny panie.
Powiem mu, że już przybyłeś. Może zechciałbyś tymczasem spocząć?

— Nie, dziękuję, wasza wielbność. Postoję. Trochę niezręcznie siadać z mie-
czem u boku.

Duchowny uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— Nie zdawałem sobie z tego sprawy — powiedział. — Czy to bardzo niewy-
godne?

— Uciążliwe. Zechciej powiadomić patriarchę, że tu jestem.

— Śpieszę to uczynić, panie Sparhawku. — Duchowny odwrócił się i pod-
szedł do drzwi w końcu pokoju, plaskając sandałami w marmurową posadzkę. Po
chwili wrócił. — Patriarcha Demos powiedział, że masz już wejść, mości rycerzu.
Arcyprałat również czeka.

— O, to niespodzianka. Słyszałem, że jest chory.

— Dziś poczuł się lepiej. — Duchowny poprowadził Sparhawk'a przez pokój
i otworzył przed nim drzwi.

Po obu stronach sali audiencyjnej stały ławy z wysokimi oparciami. Siedzie-
li na nich duchowni odziani w czerń, hierarchowie Kościoła Elenów. Z przodu
na podwyższeniu stał złoty tron, a na nim, w białej ałtasowej szacie i złotej mi-
trze, spoczywał arcyprałat Cluvonus. Starzec drzemał. Na środku komnaty przed
ozdobnym pulpitem dla mówcy stał Dolmant. Na pochyłym blacie leżał kawałek
pergaminy.

— Ach, pan Sparhawk — odezwał się patriarcha. — Jak to dobrze, że przy-
szedłeś, panie.

— Uczyniłem to z największą przyjemnością, wasza świętobliwość — rzekł
Sparhawk.

— Bracia — zwrócił się Dolmant do pozostałych członków hierarchii — mam zaszczyt przedstawić wam rycerza Zakonu Pandionu, dostojnego pana Sparhawka.

— Słyszeliśmy o nim — powiedział zjadliwie patriarcha o szczupłej twarzy, siedzący w ławie w pierwszym rzędzie, po lewej stronie sali. — Po co go tu wezwalesz, Dolmancie?

— By przedstawił dowody w sprawie, o której mówiliśmy, Makovo — odparł chłodno Dolmant.

— Dostatecznie dużo już słyszałem.

— Mów za siebie, Makovo — odezwał się jowialnie wyglądający grubasek z prawej strony. — Zakony rycerskie są ramieniem Kościoła i ich członkowie zawsze są mile widziani podczas naszych posiedzeń.

Obaj dostojnicy spojrzeli na siebie nawzajem nieprzyjaźnie.

— Skoro pan Sparhawk był pomocny w odkryciu i pokrzyżowaniu tego spisku — powiedział łagodnie Dolmant — to myślę, że jego zeznania mogą dostarczyć dodatkowych wyjaśnień.

— No dobrze, zaczynaj, Dolmancie — powiedział zirytowany patriarcha z lewej strony. — Dzisiejszego ranka mamy do rozpatrzenia jeszcze kilka spraw, o wiele ważniejszych.

— Niech będzie, jak życzy sobie szanowny patriarcha Coombe. — Dolmant skłonił się. — Dostojny panie Sparhawku — rzekł — czy przysięgasz na honor Rycerza Kościoła, że twoje zeznanie będzie zgodne z prawdą?

— Przysięgam.

— Proszę opowiedzieć zebranym, jak odkryłeś ten spisek, dostojny panie.

Sparhawk przytoczył niemal całą rozmowę pomiędzy Harparinem i Kragerem, pomijając ich imiona, imię prymasa Anniasa i wszystkie związki z Ehlaną.

— Czy często podsłuchujesz prywatne rozmowy, panie Sparhawku? — spytał Makova, patriarcha Coombe, z odrobiną złośliwości.

— Jeżeli wiąże się to z bezpieczeństwem Kościoła lub państwa, to tak. Przysięgałem bronić Kościoła i królowej.

— Ach, tak. Zapomniałem, że jesteś również Obrońcą Korony i Rycerzem Królowej Elenii. Czy czasem nie wystawia to na próbę twojej lojalności, panie Sparhawku?

— Jak dotychczas nie, wasza świątobliwość. W Elenii interesy Kościoła i państwa rzadko bywają z sobą sprzeczne.

— Dobrze powiedziane, panie Sparhawku — przyznał pulchny duchowny z prawej strony.

Patriarcha Coombe pochylił się i szepnął coś do sąsiada.

— Co uczyniłeś, gdy dowiedziałeś się o tym spisku, panie Sparhawku? — zapytał Dolmant.

— Zebraliśmy swoje siły i ruszyliśmy do Arcium, by udaremnić atak.

— A dlaczego nie powiadomiliście o tym tak zwanym spisku prymasa Cimmury? — spytał Makova.

— Spisek dotyczył ataku na zamek w Arcium, wasza świątobliwość — wyjaśnił rycerz. — Jest to obszar nie podlegający władzy prymasa Cimmury, a więc ta sprawa go nie dotyczyła.

— Powiedziałbym, że tak samo jak i pandionitów. Dlaczego po prostu nie ostrzeżliście Zakonu Rycerzy Cyriników i nie pozostawiliście tego problemu im do załatwienia? — Makova popatrzył zadowolony z siebie na siedzących obok, jakby właśnie utracił całą sprawę.

— Ten spisek miał na celu zdyskredytowanie naszego zakonu, wasza świątobliwość. Uważaliśmy, że jest to wystarczający powód, abyśmy sami się tym zajęli. Poza tym cyrinicy mają własne problemy i nie chcieliśmy ich niepokoić takim drobiazgiem.

Makova chrząknął niezadowolony.

— Co stało się potem, panie Sparhawk? — zapytał Dolmant.

— Sprawy potoczyły się mniej więcej tak, jak tego oczekiwaliśmy, wasza świątobliwość. Ostrzeżliśmy hrabiego Raduna. Następnie, gdy zjawili się najemnicy, natarliśmy na nich od tyłu. Niewielu z nich udało się uciec.

— Uderzyliście na nich z tyłu, bez ostrzeżenia? — Patriarcha Coombe był oburzony. — Czy na tym polega słynna odwaga rycerzy Zakonu Pandionu?

— Szukasz dziury w całym, Makovo — sapnął jowialny mężczyzna z przeciwnej strony komnaty. — Twój drogi prymas Annias zrobił z siebie głupca. Przystań go osłaniać atakując tego rycerza i podważając prawdziwość jego zeznań. — Spojrzał przenikliwie na Sparhawk. — Czy zaryzykowałbyś odgadnięcie źródła tego spisku?

— Nie jesteśmy tu po to, by wysłuchiwać spekulacji, Embanie — odpalił szybko Makova. — Świadek może składać zeznania tylko wtedy, gdy coś wie, a nie zgaduje.

— Patriarcha Coombe ma rację — rzekł Sparhawk. — Przysięgałem mówić tylko prawdę, a zgadywanie zwykle trafia daleko od celu. Zakon Rycerzy Pandionu obraził w ciągu ostatniego wieku wielu dostojników. Jesteśmy uważani za ludzi zgryźliwych, dumnych i bezlitosnych. Wielu uznało, że mamy szczególnie nieprzyjemne usposobienie, a starych urazów nie zapomina się tak łatwo.

— To prawda — zgodził się Emban. — Jeśli jednak chodzi o obronę wiary, ja bardziej ufam wam, dumnym i bezlitosnym pandionitom, niż komukolwiek innemu. Stare urazy, jak mówisz, zapomina się z trudnością, ale i nowe niełatwo. Doszły mnie słuchy o tym, co działo się w Elenii, i bez trudu mógłbym wskazać tych, którzy odnieśliby korzyści, gdyby Zakon Rycerzy Pandionu popadł w niełaszkę.

— Czyżbyś śmiał oskarżać prymasa Anniasa?! — krzyknął patriarcha Coombe z poczerwieniałą ze złości twarzą, zrywając się na równe nogi.

— Och, siadaj, Makovo — powiedział Emban z niesmakiem — Już sama twoja obecność jest dla nas dostateczną zniewagą. Wszyscy zgromadzeni tutaj wiedzą, kto cię kupił.

— Oskarżasz mnie?

— A kto zapłacił za ten twój nowy pałac? Pół roku temu chciałeś zapożyczyć się u mnie, a teraz wygląda na to, że masz wszystko, czego ci potrzeba. Czyż to nie dziwne? Kto cię wspomaga, Makovo?

— O co ten cały hałas? — odezwał się ktoś słabym głosem.

Sparhawk spojrzął na złoty tron. Arcyprałat Cluvonus obudził się i mrugając rozglądał się wokół. Głowa starca kiwała się na cienkiej szyi, a jego oczy były lekko zamglone.

— To tylko ożywiona dyskusja, przenajświętszy — powiedział łagodnie Dolmant.

— Obudziliście mnie — rzekł opryskliwie arcyprałat — a miałem taki miły sen. — Uniósł rękę, ściągnął z głowy mitrę i rzucił ją na podłogę. Następnie opadł na oparcie swego tronu i wydał wargi.

— Czy arcyprałat życzy sobie usłyszeć, co jest przedmiotem dyskusji? — zapytał Dolmant.

— Nie, nie życzę sobie — warknął Cluvonus. — A więc... — zaczął i zachichotał, jakby jego dziecinny wybuch był doskonałym żartem. Już po chwili śmiech zamarł mu na ustach. Starzec popatrzył niechętnie na zgromadzonych dostojników. — Chcę wrócić do swojej komnaty — oznajmił. — Wynoście się stąd, wszyscy!

Hierarchowie zaczęli wstawać i jeden po drugim opuszczali salę.

— Ty też, Dolmancie — nalegał zrzędliwie arcyprałat. — I przyślij tu siostrę Clentis. Ona jedna naprawdę dba o mnie.

— Jak sobie życzysz, przenajświętszy. — Dolmant skłonił się.

Wraz ze Sparhawkiem wyszli z sali obrad.

— Jak długo to już trwa? — zapytał rycerz.

— Przynajmniej rok. — Patriarcha Demos westchnął. — Przydarzało mu się to czasami wcześniej, ale w zeszłym roku starość ostatecznie go zwyciężyła.

— Kim jest siostra Clentis?

— Jego opiekunką, a właściwie niańką.

— Czy wszyscy wiedzą, w jakim on jest stanie?

— Oczywiście krążą plotki na ten temat, ale staramy się prawdę utrzymywać w tajemnicy. — Dolmant ponownie westchnął. — Nie sądź go po tym, jaki jest teraz, Sparhawku. Gdy był młodszy, w pełni zasługiwał na tron arcyprałata.

Rycerz pokiwał głową.

— Wiem o tym — przytaknął. — A jak on się teraz czuje?

— Niedobrze. Jest bardzo słaby. To już długo nie potrwa.

— Być może dlatego Annias zaczął tak szybko działać. — Sparhawk poprawił swoją ozdobioną srebrem tarczę. — Czas działa na jego korzyść.

Dolmant zasępił się.

— To prawda — przyznał. — Dlatego twoja misja jest taka ważna.

Po chwili przyłączył się do nich inny duchowny.

— Hm, bardzo ciekawy ranek — zagał rozmowę. — Powiedz szczerze, Dolmancie, jak bardzo Annias był zamieszany w ten spisek?

— Yarrisie, przecież nie wspominałem nic o prymasie Cimmury — zaprotestował Dolmant z niewinną miną.

— Nie musiałeś. Wszystko razem do siebie świetnie pasuje. Nie sędzę, by ktokolwiek na sali tego nie spostrzegł.

— Znasz patriarchę Vardenais, Sparhawku? — zapytał Dolmant.

— Spotkaliśmy się kilkakrotnie — odparł Sparhawk i skłonił się dzwoniąc zbroją. — Wasza świątobliwość. . .

— Miło cię znowu widzieć, Sparhawku — rzekł Yarris. — Jaka jest sytuacja w Cimmurze?

— Napięta — odpowiedział Sparhawk.

— Wiesz chyba — patriarcha Vardenais zwrócił się do Dolmanta — że ze wszystkiego, co tu się zdarzyło dzisiejszego ranka, Makova zda relację Anniasowi?

— Nie miałem zamiaru trzymać tego w tajemnicy. Annias zrobił z siebie głupca. Biorąc pod uwagę jego aspiracje, nie jest to pozbawione znaczenia.

— Masz słuszność, Dolmancie. Ale dzisiejszego ranka zyskałeś następnego wroga.

— Makova i tak nigdy za mną nie przepadał. A przy okazji, Yarrisie, Sparhawk i ja chcielibyśmy zapoznać cię z pewną sprawą.

— Słucham.

— Jest ona związana z inną intrygą prymasa Cimmury.

— A więc pokrzyżujmy jego plany.

— Miałem nadzieję, że tak właśnie do tego podejdziesz.

— O co chodzi mu tym razem?

— Przedstawił Radzie Królewskiej w Cimmurze fałszywy akt ślubu.

— Kto kogo poślubił?

— Księżniczka Arissa diuka Ostena.

— To śmieszne.

— Księżniczka powiedziała to samo.

— Potwierdzisz to pod przysięgą?

Dolmant skinął głową.

— Sparhawk również — dodał.

— Czyżby chodziło mu o zalegalizowanie pochodzenia Lycheasa?

Dolmant ponownie skinął głową.

— No dobrze. — Patriarcha Vardenais zastanawiał się przez chwilę. — Spróbujmy mu w tym przeszkodzić. Chodźmy do mego sekretarza, on sporządzi potrzebne dokumenty. Zachichotał. — Można by rzec, że Annias ma zły miesiąc. Dwie intrygi z rządu spaliły na panewce i w obu przypadkach przyczynił się do tego Sparhawk. — Spojrzał na rosnącego pandionitę. — Lepiej nie zdejmuj zbroi, synu. Anniasowi może przyjść ochota, by ozdobić twoje plecy ręką sztyletu.

Sparhawk i Dolmant złożyli oświadczenia w sprawie ślubu księżniczki Arissy, opuścili patriarchę Vardenais i odeszli korytarzem w kierunku głównej nawy bazyliki.

— Czy nie wiesz przypadkiem, czemu tylu Styrików kręci się po Chyrellos? — zapytał Sparhawk.

— Słyszałem o tym. Mówią, że przybyli tu, by poznać naszą wiarę.

— Sephrenia twierdzi, że to niedorzeczność.

— Pewnie ma rację. — Dolmant skrzywił się. — Pracowałem nad tym całe życie i jak dotąd nie udało mi się nawrócić ani jednego Styrika.

— Bardzo są przywiązani do swoich bogów — stwierdził Sparhawk. — Nie traktuj tego jako zniewagi, Dolmancie, ale chyba Styrików i ich bogów łączą zażyłe stosunki. Nasz Bóg wydaje się bardziej odległy.

— Wspomnę Mu o tym przy najbliższej okazji. — Dolmant uśmiechnął się. — Jestem pewien, że zainteresuje Go twoja opinia.

— Trochę w tym chyba zarozumiałstwa, prawda? — Sparhawk roześmiał się.

— Tak, rzeczywiście. Jak sądzisz, kiedy będziesz mógł wyruszyć do Borraty?

— Pewnie za kilka dni. Nie lubię tracić czasu, ale rycerze z pozostałych zakonów muszą przebyć daleką drogę, nim dotrą do Chyrellos, a ja zobowiązałem się tu na nich czekać. Bardzo się już niecierpliwię, lecz obawiam się, że nie ma na to rady. — Zacisnął wargi. — Myślę, że spędzę ten czas myszkując trochę dookoła. Będę miał zajęcie, a poza tym ciekaw jestem, co robią tu ci Styrycy.

— Miej się na baczności na ulicach Chyrellos, Sparhawk — poradził mu poważnie Dolmant. — Mogą okazać się bardzo niebezpieczne. — Ostatnio wszędzie jest niebezpiecznie. Dam ci znać, Dolmancie, gdy się czegoś dowiem — powiedział Sparhawk. Odwrócił się i poszedł dalej korytarzem dzwoniąc ostrogami na marmurowej posadzce.

Rozdział 13

Zbliżało się południe. Sparhawk wyruszył w drogę powrotną do siedziby zakonu. Wolno jechał ruchliwymi ulicami Świętego Miasta, przyglądając się z uwagą mrowiu ludzi. Pogorszenie stanu zdrowia arcyprałata Cluvonusa zasmuciło go. Znał krążące ostatnio plotki, ale widok schorowanego, czcigodnego starca był dla niego szokiem.

Zatrzymał się przed potężną bramą i obojętnie dopełnił formalności umożliwiających wjazd. Na podwórcu czekał na niego Kalten.

— Jak poszło? — zapytał Sparhawk.

Zbrojny mąż ciężko zsiadł z konia i zdjął hełm.

— Nie wiem, czy udało nam się przekonać kogokolwiek — odpowiedział.

— Patriarchowie, którzy wspierali Anniasa, nadal to robią. Ci, którzy byli mu przeciwni, nadal są po naszej stronie. A ci, którzy byli niezdecydowani, nadal trzymają się z boku.

— A więc była to tylko strata czasu?

— Wydaje mi się, że jednak nie. Po tym wszystkim Annias może mieć kłopoty, by zdobyć głosy tych, których jeszcze nie przekupił.

— Jesteś w bardzo złym nastroju. — Kalten przyjrzał się uważnie przyjacielowi. — Co naprawdę tam się wydarzyło?

— Widziałem Cluvonusa.

— A to niespodzianka! Jak wyglądał?

— Okropnie.

— Ma osiemdziesiąt pięć lat, Sparhawk. Nie oczekiwałeś chyba, że będzie wyglądał wspaniale. Ludzie się starzeją, zrozum to.

— On już nie myśli, Kaltenie — rzekł Sparhawk ze smutkiem. — Zupełnie zdziecinniał. Dolmant sądzi, że kres jego życia jest bliski.

— Aż tak źle?

Sparhawk skinął głową.

— W tej sytuacji — rozważał Kalten — niezmiernie ważne jest, byśmy jak najszybciej dotarli do Borraty i wrócili, prawda?

— Tak, to bardzo pilne — przyznał Sparhawk.

— Więc może ruszajmy? Rycerze z pozostałych zakonów dogonią nas.

— Bardzo bym tego pragnął. Nie mogę znieść myśli o Ehlanie siedzącej samotnie w sali tronowej, ale nie możemy tak postąpić. Komier miał słuszość co do tego pokazu jedności, a rycerze z innych zakonów bywają czasami zbyt wrażliwi na swoim punkcie. Nie zaczynajmy od obrażania ich.

— Czy rozmawialiście z kimś na temat Arissy?

Sparhawk skinął głową.

— Patriarcha Vardenais przejął sprawę w swoje ręce — wyjaśnił.

— A więc dzień nie był zupełnie stracony.

Sparhawk chrząknął.

— Muszę się tego pozbyć — powiedział pukając palcem po napierśniku.

— Chcesz, bym rozsiadł za ciebie Farana?

— Nie. Mam zamiar jeszcze raz pojechać do miasta. Gdzie jest Sephrenia?

— Myślę, że w swojej komnacie.

— Niech ktoś osiodła jej konia.

— Wybiera się gdzieś?

— Być może — odrzekł Sparhawk i wszedł po schodach do zamku.

Mniej więcej kwadrans później zapukał do drzwi Sephrenii. Pozbył się już zbroi i miał na sobie kolczugę oraz zwykły, szary płaszcz bez oznaczeń rangi czy przynależności do zakonu.

— To ja, Sephrenio — powiedział przez drzwi.

— Wejdz, proszę — usłyszał odpowiedź. Cicho wszedł do środka.

Czarodziejka siedziała w szerokim fotelu z uśpionym dzieckiem na kolanach. Flecik uśmiechała się przez sen.

— Czy w bazylice wszystko poszło dobrze? — zapytała Sephrenia.

— Trudno powiedzieć — odparł. — Duchowni bardzo dobrze potrafią się maskować. A jak twoja wczorajsza wyprawa z Kaltenem, mateczko? Dowiedzieliście się czegoś o tych Styrikach kręcących się po Chyrellos?

Skinęła potakująco głową.

— Gromadzą się w dzielnicy leżącej w pobliżu wschodniej bramy — powiedziała. — Musi tam gdzieś być coś w rodzaju ich kwatery głównej, jednakże nie dowiedzieliśmy się dokładnie, gdzie ona jest.

— Może spróbujemy odszukać to miejsce? — zaproponował. — Muszę sobie znaleźć jakieś zajęcie. Jestem trochę niespokojny.

— Niespokojny? Ty, Sparhawk, zawsze zimny jak głaz?

— To niecierpliwość. Chciałbym już ruszać do Borraty.

Pokiwała głową, potem wstała, położyła dziewczynkę na łóżku i delikatnie otuliła ją szarym, wełnianym kocem. Flecik otworzyła na chwilę swoje ciemne oczy, uśmiechnęła się i z powrotem zapadła w sen. Sephrenia pocałowała ją i odwróciła się do rycerza.

— A zatem ruszajmy — rzekła.

— Bardzo ją lubisz, prawda? — zapytał Sparhawk, gdy szli razem korytarzem wiodącym na podwórzec.

— To jest znacznie głębsze uczucie. Któregoś dnia może to zrozumiesz.

— Czy domyślasz się, gdzie może znajdować się ten dom Styrików?

— Rozmawialiśmy z pewnym sklepikarzem na targowisku w pobliżu wschodniej bramy. Sprzedał kilku Styrikom resztki mięsa. Tragarz, który je im dostarczył, wie, gdzie to jest.

— Dlaczego więc nie wypytałeś tego tragarza?

— Nie było go wczoraj.

— To może dzisiaj stawi się do pracy.

— Warto sprawdzić.

Zatrzymał się i spojrzał na nią badawczo.

— Nie chcę się mieszać do tajemnic, których postanowiłaś nie ujawniać, Sephrenio, ale czy potrafisz odróżnić zwykłego Styrika, wieśniaka, od Zemocha?

— Chyba tak, o ile nie będą specjalnie starali się ukrywać swego pochodzenia.

Na podwórcu czekał Kalten z Faranem i białą klaczą Sephrenii. Miał pretensję wypisaną na twarzy.

— Sparhawk, twój koń mnie ugryzł!

— Znasz go już na tyle, by wiedzieć, że nie wolno odwracać się do niego plecami. Czy ugryzł cię do krwi?

— Nie — przyznał jasnowłosy rycerz.

— A więc miał tylko ochotę na zabawę. To znaczy, że cię lubi.

— Dzięki — powiedział Kalten bez entuzjazmu. — Mam jechać z wami?

— Nie. Nie możemy zbyt zwracać na siebie uwagi, a ty miewasz z tym kłopoty.

— Sparhawk, czasem twoja delikatność zwała mnie z nóg.

— Przysięgaliśmy mówić prawdę. — Sparhawk pomógł Sephrenii wspiąć się na siodło, następnie sam dosiadł Farana. — Powinniśmy wrócić przed zmrokiem — rzekł do przyjaciela.

— Z mojego powodu nie musicie się śpieszyć.

Rosły rycerz w szarym płaszczu i drobna krucha Styriczka na białej klaczy wyjechali za bramę.

— On każdą sprawę obraca w żart, prawda? — zauważyła Sephrenia.

— Najczęściej. Od dzieciństwa stroił sobie żarty ze wszystkiego. Myślę, że właśnie dlatego tak bardzo go lubię. Ja czasami zbyt ponuro patrzę na świat, a dzięki Kaltenowi mogę zachować pewien dystans do tego, co się wokół mnie dzieje.

Jechali zatłoczonymi teraz ulicami Chyrellos. Wielu tutejszych kupców odzianych było w ponurą czerń duchownych, z którą wyraźnie kontrastowały jasne stroje cudzoziemców. Szczególnie podróżni z Cammorii wyróżniali się barwnością

ubiorów, gdyż ich jedwabne kubraki nie traciły z czasem kolorów i pozostawały nadal jaskrawe — czerwone, zielone czy niebieskie.

Targowisko, na które poprowadziła rycerza Sephrenia, leżało w odległej części miasta i dotarli tam dopiero po trzech kwadransach.

— Jak odnalazłaś tego sklepikarza? — zapytał Sparhawk.

— Dieta styrycka opiera się na określonych produktach — wyjaśniła czarodziejka. — Eleni nie spożywają ich zbyt często.

— Wydawało mi się, iż wspominałaś o jakichś kawałkach mięsa.

— To było mięso kozy, Sparhawk. Eleni nie przepadają za kozami.

Rycerz wzdrygnął się z odrazą.

— Ależ z ciebie dziwadło — powiedziała Sephrenia. — Nie zjadłbyś niczego, co nie pochodzi od krowy.

— Myślałem, że już się do tego przyzwyczaiłaś.

— Lepiej pójdę do tego sklepu sama. Potrafisz czasami wzbudzać strach, mój drogi. Chcemy, by tragarz odpowiedział na nasze pytania, a nie uczyni tego, jeżeli go przerazisz. Pilnuj mojego konia. — Podała mu wodze i ruszyła przez targowisko. Sparhawk obserwował, jak przeszła na drugą stronę pełnego rozgardiaszu placu i podeszła do nędznie wyglądającego osobnika w powalonym krwią kitlu z samodziału. Po chwili wróciła i rycerz zsiadł ze swojego wierzchowca, by pomóc jej dosiąść białej klaczy.

— Powiedział ci, mateczko, gdzie jest ten dom? — zapytał.

Skinęła potakująco głową.

— Niedaleko. — Wzięła wodze do ręki. — W pobliżu wschodniej bramy.

— Obejrzyjmy go uważnie.

Gdy ruszyli, Sparhawk pod wpływem nagłego impulsu ujął jej delikatną dłoń.

— Kocham cię, mateczko — rzekł.

— Tak, wiem — powiedziała spokojnie. — Jednakże miło mi, że to mówisz. — Uśmiechnęła się do niego. To był diabelkowaty uśmiech, który od razu skojarzył mu się z Flecikiem. — Posłuchaj kolejnej lekcji, Sparhawk: Kobietom nie trzeba za często powtarzać „kocham cię”.

— Będę o tym pamiętał. Czy dotyczy to również Elenek?

— To dotyczy wszystkich kobiet, Sparhawk. Płeć daleko bardziej łączy niż rasa.

— Jesteś moją gwiazdą przewodnią, Sephrenio.

— Czyżbyś ponownie zaczął czytać poezję średniowieczną?

— Ja... ?!

Przejechali przez targowisko i zagłębili się w dzielnicę biedoty w pobliżu wschodniej bramy. Rudery Chyrellos nie we wszystkim przypominały rudery Cimmury, ale ta część Świętego Miasta była o wiele uboższa niż okolice bazyliki. Widziało się tu mniej kolorów, w ubiorach ludzi dominowała szarość i monotonia.

Stroje spotykanych czasami kupców były wypłowiałe i znoszone, chociaż oni sami — jak wszyscy kupcy na świecie — bez względu na to, czy im się wiodło, czy nie, sprawiali wrażenie zaferowanych i przekonanych o własnej ważności. Wtem Sparhawk spostrzegł w odległym końcu ulicy niskiego mężczyznę w pogniecionej tunice z wełnianego samodziału.

— Styrik — powiedział krótko.

Sephrenia skinęła głową i naciągnęła kaptur swojej białej szaty, by osłonić twarz. Sparhawk wyprostował się w siodle i przybrał zarozumiały wyraz twarzy, taki jaki zwykle mają słudzy ważnych osobistości. Minęli Styrika, który ostrożnie zszedł im z drogi, nie zwracając jednak na nich specjalnej uwagi. Jak wszyscy Styrycy, ten też miał ciemne, prawie czarne włosy i bladą skórę. Był niższy od mijających go Elenów, a jego koścista twarz sprawiała wrażenie, jakby czegoś w niej brakowało.

— Zemoch? — zapytał Sparhawk, gdy go wyminęli.

— Niepodobna stwierdzić — odparła Sephrenia.

— Czy ukrywa swoje pochodzenie za pomocą zaklęcia?

— Nie sposób powiedzieć, Sparhawk. — Rozłożyła bezradnie ręce. — On może być zarówno zwykłym Styrikiem z leśnej głuszy, nie myślącym o niczym poza swoim następnym posiłkiem, jak i biegłym magiem udającym głupca, byśmy nie mogli go rozpoznać.

Sparhawk zaklął w duchu.

— To wcale nie jest takie proste, jak myślałem — powiedział. — Jedźmy więc, może uda nam się czegoś dowiedzieć.

Dom, do którego skierowano Sephrenię, znajdował się na końcu ślepej uliczki.

— Trudno będzie go obserwować nie zwracając na siebie niczyjej uwagi — rzekł Sparhawk, gdy powoli mijali wylot ślepej uliczki.

— Wcale nie. — Sephrenia ściągnęła wodze swojej klaczy. — Musimy porozmawiać z tym sklepikarzem na rogu ulicy.

— Chcesz coś kupić, mateczko?

— Niezupełnie, Sparhawk. Chodź ze mną. Zobaczysz. — Zsunęła się z siodła i przywiązała wodze do słupa przed wybranym przez siebie sklepem. Rozejrzała się szybko dookoła. — Czy twój wspaniały, bojowy rumak mógłby zniechęcić tego, kto chciałby ukraść moją słodką, małą Ch'iel? — zapytała gładząc czule biały kark klaczy.

— Zaraz z nim o tym porozmawiam.

— Byłbyś tak miły?

— Faranie — zwrócił się Sparhawk do swojego mało urodziwego srokacza — zostań tu i opiekuj się klaczą Sephrenii.

Faran parsknął i zastrzygł radośnie uszami.

— Ty stary głupcze — roześmiał się rycerz.

Koń kłapnął zębami tuż obok jego ucha.

— Bądź grzeczny — mruknął Sparhawk.

W sklepie, w pomieszczeniu przeznaczonym do wystawiania tanich mebli, Sephrenia przybrała unижony wyraz twarzy.

— Dobry panie kupcu — powiedziała nietypowym dla siebie tonem pełnym pokory — służymy szlachetnemu panu z Pelosii, który przybył do Chyrellos, by w tym Świętym Mieście ukoić cierpienia duszy.

— Nie zadaję się ze Styrikami — rzucił opryskliwe sklepikarz. — I tak jest was w Chyrellos zbyt wielu, plugawi poganie. — Spojrzał na przybyszy z niesmakiem, wykonując przy tym gesty, które — Sparhawk doskonale to wiedział — były zupełnie nieskuteczne w odpieraniu zaklęć.

— Słuchaj, przekupniu — odezwał się rosły rycerz, akcentując słowa w sposób typowy dla Pelozyjczyków — nie unoś się. Mój pan jest kasztelanem i masz mnie traktować z należnym mi szacunkiem, bez względu na twój głupi fanatyzm.

Kupiec zachnął się.

— Dlaczego...! — zaczął wrzeszczeć.

Sparhawk walnął pięścią w blat jakiegoś wysłużonego stołu i rozbił go w drzazgi. Potem złapał sklepikarza za kołnierz i przyciągnął do siebie tak, że ich twarze niemal się zetknęły.

— Czyżbyśmy się nie rozumieli? — zapytał złowieszczym szeptem.

— Potrzebne nam są, dobry panie kupcu — mówiła pokornie Sephrenia — dobrze umeblowane pokoje z widokiem na ulicę. Nasz pan zawsze z upodobaniem obserwował wzloty i upadki ludzkości. — Opuściła skromnie powieki. — Czy masz może, panie, takie izby na pięterku?

Pełen sprzecznych uczuć sklepikarz poprowadził ich po schodach.

Pokój na górze był nędzny, można nawet powiedzieć, że obskurny. Kiedyś, w przeszłości, ktoś pomalował ściany, ale zielona farba złuszczyła się i zwisała teraz długimi pasmami. Sparhawk i Sephrenia nie interesowali się jednak kolorem ścian. Ich oczy powędrowały w kierunku brudnego okienka wychodzącego na ulicę.

— Są jeszcze inne pokoje, paniusiu — powiedział sklepikarz z większym już respektem.

— Sami sobie poradzimy z oglądaniem, dobry panie kupcu. — Czarodziejka uniosła głowę. — Słyszę chyba odgłos kroków jakiegoś klienta.

Sklepikarz zamrugał oczyma i pośpieszył na dół.

— Czy możesz stąd dojrzeć ten dom? — zapytała Sephrenia.

— Okno jest brudne. — Sparhawk uniosł róg swego szarego płaszcza, by prze-trzeć szybę.

— Nie rób tego — powiedziała ostro. — Styricy mają bardzo ostry wzrok.

— Dobrze. Popatrzę przez brud. Wzrok Elenów jest równie ostry. — Zerknął na Sephrenię. — Czy często spotykasz się z takim traktowaniem?

— Tak. Prości Eleni nie są wiele mądrzejsi od przeciętnych Styrików. Szczere mówiąc, chętniej rozmawiam z wołami niż z ich hodowcami.

— Woły potrafią mówić? — zapytał trochę zdziwiony.

— Tak, jeżeli wiesz, czego słuchać, chociaż nie są zbyt rozmowne.

Dom na końcu ulicy nie robił imponującego wrażenia. Dolne piętro zbudowano z kamieni, a górne — z ledwo ociosanych bali. Wydawało się, że odstaje od reszty budynków dokoła. Jakiś człowiek, ubrany w typową dla Styrików zgrzebną tunikę, szedł właśnie ulicą. Rozejrzał się ukradkiem i zniknął we wnętrzu tego domu.

— I co? — zapytał Sparhawk.

— Trudno powiedzieć — odparła Sephrenia. — Mógł być zarówno prostakiem, jak i wielkim spryciarzem, podobnie jak ten, którego spotkaliśmy przedtem.

— To może trochę potrwać.

— Jeżeli się nie mylę, to tylko do zmierzchu. — Czarodziejka przysunęła sobie krzesło do okna.

W ciągu następnych kilku godzin weszło do domu wielu Styrików, a gdy słońce schowało się za pokrytym ciemnymi chmurami horyzontem, zaczęli przybywać i inni ludzie. Ubrany w jedwabną jaskrawożółtą szatę Cammoryjczyk przemknął ukradkiem ślepą uliczką i został natychmiast wpuszczony do wnętrza. Równie szybko otwarto drzwi odzianemu w stalowy, wypolerowany pancerz Lamorkandczykowi, któremu towarzyszyło dwóch uzbrojonych w kusze żołnierzy. A potem, gdy zaczął zapadać chłodny zimowy zmierzch, do domu zbliżyła się kobieta w purpurowej szacie, eskortowana przez potężnie zbudowanego służącego w zbroi podobnej do tych, jakich powszechnie używali Pelozyjczycy. Szła środkiem uliczki chwiejnym krokiem. Miała nieobecny wzrok, a na jej twarzy malowała się ekstaza.

— Dziwni goście, jak na dom Styrików — zauważyła Sephrenia.

Sparhawk skinął głową i rozejrzał się po ciemnej izbie.

— Może zapalić świecę? — zapytał.

— Nie. Nie zdradzajmy się z naszą obecnością. Jestem pewna, że ktoś obserwuje ulicę z dolnego piętra domu. — Sephrenia pochyliła się w stronę rycerza, który poczuł leśny zapach jej włosów. — Jednak przytrzymaj mnie za rękę — zaproponowała. — Trochę boję się ciemności.

Ujął w swoją wielką prawicę jej drobną dłoń. Siedzieli tak razem przez następny kwadrans. Ulica na zewnątrz pogrążała się w ciemności.

Nagle Sephrenia z jękiem wstrzymała oddech.

— Co się stało? — zapytał ją w popłochu.

Nie odpowiedziała. Wstała i uniosła w górę rękę. W ciemnej izbie pojawiła się widmowa postać, jakby cień. Pomiedzy jej odzianymi w rękawice, szeroko rozłożonymi dłońmi rozciągał się nikły blask. Ta srebrzysta mgiełka powoli sunęła

ku kobiecie. Nagle blask przybrał na sile i zmaterializował się. Widmo zniknęło, a Sephrenia opadła na krzesło trzymając z dziwną, bolesną czcią długi, wąski przedmiot.

— Co to było, mateczko? — zapytał Sparhawk.

— Kolejny z dwunastu rycerzy odszedł. — Jej głos był niemal jękiem. — To jest jego miecz, część mego brzemienia.

— Vanion? — wykrztusił. Obawa dławiała mu gardło.

Czarodziejka przebiegła palcami po deseniach na końcu rękojeści miecza.

— Nie — stwierdziła. — To był pan Lakus.

Sparhawk poczuł bolesny skurcz serca. Lakus był jednym ze starszych rycerzy zakonu, śnieżnowłosym, o surowym obliczu. Wszyscy pandionicy z pokolenia Sparhawk wielbili go jako nauczyciela i przyjaciela.

Sephrenia przytuliła twarz do osłoniętego kolczugą ramienia Sparhawk i zaczęła szlochać.

— Znałam go od dziecka — lamentowała.

— Wracajmy do siedziby zakonu — zaproponował delikatnie. — Tym możemy się zająć innego dnia.

Uniosła głowę i przetarła oczy dłonią.

— Nie, Sparhawk — powiedziała zdecydowanie. — Dzisiejszej nocy w tym domu coś się wydarzy, coś, co może się prędko nie powtórzyć.

Próbował coś powiedzieć, ale nagle poczuł straszliwy ucisk z tyłu głowy. Wydawało mu się, że ktoś z całej siły napiera dłońmi na jego czaszkę. Sephrenia zgięła się w pół.

— Azash! — syknęła. — Przywołują ducha Azasha. — Jej głos drżał z napięcia.

— A więc mamy ich, prawda? — Wstał.

— Siadaj, Sparhawk. To jeszcze się nie skończyło.

— Nie może ich tam być zbyt wielu.

— A czego się dowiesz, jeżeli na kawałki porąbiesz dom i wszystkich w jego wnętrzu? Siadaj. Patrz i ucz się.

— Ale ja muszę tam iść, Sephrenio. To część przysięgi zakonnej. Pandionicy ją składają od pięciu wieków.

— Daj spokój z przysięgą — przerwała mu gwałtownie. — To jest o wiele ważniejsze.

Sparhawk zafrasowany i niepewny opadł na swoje krzesło.

— Co oni robią? — zapytał.

— Mówiłam ci. Wywołują ducha Azasha. A to może znaczyć tylko jedno — są Zemochami.

— Co więc robią tam Eleni — Cammoryjczyk, Lamorkandczyk i Pelozyjka?

— Myślę, że otrzymują instrukcje. Zemosi nie przybyli tu, by się uczyć, lecz by nauczać. To poważna sprawa, Sparhawk, poważniejsza, niż mógłbyś sobie

wyobrazić.

— Co zrobimy?

— W tej chwili nic. Będziemy patrzeć.

Sparhawk znów poczuł przytłaczający ucisk w podstawie czaszki, a potem palące mrowienie wypełniło mu żyły.

— Azash odpowiedział na wezwanie — wyszeptała Sephrenia. — Musimy siedzieć cicho i starać się nie myśleć o niczym konkretnym. Azash potrafi wyczuć wrogie sobie myśli.

— Dlaczego Eleni biorą udział w rytuałach poświęconych Azashowi?

— Prawdopodobnie mają nadzieję na nagrodę, jaką obiecuje on swoim wyznawcom. Starsi Bogowie zawsze hojnie nagradzali — zawsze, gdy było to dla nich wygodne.

— Jakaż nagroda może być warta utraty duszy?

Wzruszyła ramionami, choć trudno było to dostrzec w ciemności.

— Może długowieczność — powiedziała. — Bogactwo, władza, a w przypadku kobiet — uroda. To mogą być i inne rzeczy, takie, o jakich nie chcę nawet myśleć. Azash jest przewrotny i szybko przerabia na swoją modłę tych, którzy go czczą.

Jakiś człowiek szedł ulicą. Ciągnął za sobą wózek turkoczący na bruku. Wyjął z niego nie zapaloną pochodnię, zawiesił w żelaznym pierścieniu przed wejściem do sklepu i zapalił ją. Potem poszedł dalej.

— Świetnie — mruknęła Sephrenia. — Teraz będziemy mogli widzieć, jak wychodzą.

— Już ich przecież widzieliśmy.

— Obawiam się, że teraz będą odmienieni.

Drzwi domu Styrików otworzyły się i pojawił się w nich ubrany w jedwabną szatę Cammoryjczyk. Gdy przechodził przez krąg rzucanego przez pochodnię światła, Sparhawk dostrzegł jego śmiertelnie pobladłą twarz i szeroko otwarte z przerażenia oczy.

— Ten już tu nie powróci — powiedziała cicho Sephrenia. — Najprawdopodobniej spędzi resztę swojego życia próbując odpokutować za to, że ośmielił się igrać z ciemnymi mocami.

Po kilku minutach na ulicę wyszedł Lamorkandczyk. Twarz wykrzywił mu grymas dzikiego okrucieństwa. Obojętni kusznicy maszerowali z tyłu.

— Zgubiony — westchnęła Sephrenia.

— Co?

— Lamorkandczyk jest zgubiony. Azash nim zawładnął.

Potem pojawiła się Pelozyjka. Jej purpurowa szata była z przodu niedbale rozchylna i odsłaniała nagie ciało. Gdy kobieta znalazła się w świetle pochodni, Sparhawk dostrzegł, że ma szkliste spojrzenie, a ciało spryskane krwią. Stąpający

niezgrabnie towarzysz próbował zapiąć jej szatę, ale warknęła, odepchnęła jego dłoń i ruszyła dalej ulicą, bezwstydnie obnosząc swą nagość.

— A ta jest bardziej niż zgubiona — powiedziała Sephrenia. — Ona będzie teraz niebezpieczna. Azash nagroził ją mocą. — Wzdrygnęła się. — Kusi mnie, byśmy podążyli za nią i zabili ją.

— Nie potrafiłbym zabić niewiasty, Sephrenio.

— Ona nie jest już człowiekiem, musielibyśmy jednak pozbawić ją głowy, a to mogłoby spowodować pewne zamieszanie w Chyrellos.

— Co musielibyśmy zrobić?

— Pozbawić ją głowy. To jedyny sposób, by zyskać pewność, że rzeczywiście nie żyje. Myślę, że dość już widzieliśmy, Sparhawk. Wracajmy do siedziby zakonu i porozmawiajmy z Nashanem. Kościół ma sposoby, by poradzić sobie z tego typu sprawami. — Wstała.

— Pozwól, że pomogę ci nieść miecz, mateczko.

— Nie. To moje brzemie i ja muszę je dźwigać. — Ukryła miecz Lakusa pod szatą i skierowała się do drzwi.

Zeszli na dół, gdzie podszedł do nich zaraz sklepikarz zacierający ręce.

— No i co? — spytał skwapliwie. — Weźmiecie te pokoje?

— Są zupełnie nieodpowiednie — prychnęła Sephrenia. — Nie trzymałabym w takim miejscu nawet psa mojego pana. — Czarodziejka była blada i wyraźnie drżała.

— Ale...

— Otwórz drzwi, ziomku — rzekł Sparhawk — a zaraz sobie pójdziemy.

— Dlaczego zajęło wam to tyle czasu?

Sparhawk spojrział na niego zimno i sklepikarz ruszył do drzwi. Głośno przełykając ślinę grzebał po kieszeniach w poszukiwaniu klucza.

Przed sklepem Faran opiekuńczo osłaniał klacz Sephrenii. Na bruku, pod jego podkowami, leżał kawałek jakiegoś materiału.

— Miałeś kłopoty? — zapytał Sparhawk.

Srokacz parsknął drwiąco.

— Rozumiem — powiedział rycerz.

— Co się stało? — spytała znużonym głosem Sephrenia, gdy Sparhawk pomagał jej wspiąć się na siodło.

— Ktoś próbował ukraść twoją klacz, mateczko — rzekł wzruszając ramionami. — Faran przekonał go, by poniechał tego zamiaru.

— Czy naprawdę potrafisz się z nim porozumieć?

— Mniej więcej wiem, co myśli. Długo już jesteśmy razem. — Wsiadł na konia i ruszyli w kierunku siedziby Zakonu Pandionu.

Jechali kilka minut, gdy nagle Sparhawk instynktownie wyczuł niebezpieczeństwo. Natychmiast zajechał drogę białej klaczy. Wierzchowiec czarodziejki

umknął w bok i w tym samym momencie w miejscu, gdzie jeszcze przed sekundą była Sephrenia, strzała ze świstem przecięła powietrze.

— Uciekaj, Sephrenio! — krzyknął rycerz, kiedy następna strzała uderzyła o mur obok jego głowy. Spojrzał za siebie wyciągając miecz. Sephrenia już zdążyła wbić pięty w boki białej klaczy i pogalopowała ulicą. Sparhawk jechał tuż za nią, osłaniając ją swoim ciałem.

Po przejechaniu kilku ulic Sephrenia zwolniła.

— Widziałeś go? — zapytała. W dłoni trzymała miecz Lakusa.

— Nie widziałem. Te strzały oznaczają Lamorkandczyka. Tylko oni używają kusz.

— To ten sam, który był w domu Styrików?

— Możliwe, chyba że ostatnio naraziłaś się, mateczko, innym Lamorkandczykom. Czy Azash lub któryś z jego Zemochów mógł wyczuć twoją obecność?

— Tak, to prawdopodobne. Nikt nie potrafi dokładnie określić, jak daleko sięgają moce Starszych Bogów. Skąd wiedziałeś, że zaraz nastąpi atak?

— To chyba wynik treningu. Nauczyłem się wyczuwać, gdy ktoś wymierza we mnie broń.

— Myślałam, że strzały kierowane były we mnie.

— To prawie to samo, Sephrenio.

— No cóż, nie trafił.

— Tym razem. Muszę porozmawiać z Nashanem o zdobyciu dla ciebie kolczugi.

— Czyś postradał zmysły, Sparhawk? Już sam jej ciężar powaliłby mnie na kolana, nie wspominając o paskudnym zapachu.

— Łatwiej znieść ciężar i zapach niż strzałę między łopatkami.

— Kolczuga absolutnie nie wchodzi w rachubę. — Zobaczymy. Ukryj miecz, mateczko, i ruszajmy. Musisz odpocząć. Chciałbym, abyś znalazła się w bezpiecznych murach siedziby zakonu, zanim ktoś inny weźmie cię na cel.

Rozdział 14

Nazajutrz wczesnym przedpołudniem pod bramę zamku pandionitów w Chyrellos przybył rycerz Zakonu Cyriników z Arcium, pan Bevier. Jego paradna zbroja błyszczała srebrzyście, na niej miał jedwabną białą szatę wierzchnią, a na głowie hełm bez przyłbicy, ale z osłonami na policzki i nos. Wjechał na dziedziniec, zsiadł z konia, odwiesił na siodło tarczę i ciężki arcjański topór, a potem zdjął hełm. Bevier był szczupłym młodzieńcem o oliwkowej cerze i kruczoczarnej czuprynie.

Nashan, Sparhawk i Kalten zeszli ze schodów, by go oficjalnie powitać.

— To zaszczyt dla naszego domu, panie Bevierze — rzekł Nashan.

— Wielmożny panie — Bevier skłonił się sztywno — mistrz mojego zakonu przesyła ci swoje pozdrowienia.

— Dziękuję, panie Bevierze — rzekł Nashan zaskoczony oficjalnym zachowaniem młodego rycerza.

— Panie Sparhawk. . . — Bevier ponownie skłonił głowę.

— Czy myśmy się kiedyś spotkali, Bevierze?

— Mój mistrz opisał mi dokładnie ciebie, dostojny panie, i twój towarzysza, pana Kaltena. Czy pozostali już przybyli?

— Nie. — Sparhawk potrząsnął głową. — Ty jesteś pierwszy.

— Proszę do środka, panie Bevierze — powiedział Nashan. — Wskażemy ci celę, gdzie będziesz mógł pozbyć się swojej zbroi, a ja wydam polecenie, by przygotowano ci ciepły posiłek.

— Czy mógłbym najpierw, za twoim pozwoleniem, wielmożny panie, odwiedzić kaplicę? Od kilku dni jestem w podróży i gorąco pragnę pomodlić się w poświęconym miejscu.

— Oczywiście — przytaknął Nashan.

— Zajmiemy się twoim koniem — rzekł Sparhawk do młodego rycerza.

— Dziękuję, dostojny panie. — Bevier znów się ukłonił i podążył schodami za Nashanem.

— Zdaje się, że będzie z niego wesoły kompan w podróży — powiedział Kalten złośliwie.

— Na pewno poczuje się swobodniej, gdy lepiej nas pozna — rzekł Sparhawk.

— Mam nadzieję. Słyszałem, że rycerze Zakonu Cyriników są wielkimi formalistami, ale nasz młody przyjaciel przeszedł samego siebie. — Kalten zdumiony odczepił od siodła arcjański topór. — Wyobrażasz sobie walkę czymś takim? — Wzdrygnął się. Halabarda miała ciężkie, półmetrowe ostrze zakończone ostrym jak brzytwa pazurem, podobnym do szponu jastrzębia. Topór osadzony był na półtorametrowej długości, solidnym trzonku. — Tym można wyłuskać człowieka ze zbroi niczym ostrygę z muszli.

— O to właśnie chodzi. Przerażające, prawda? Lepiej to odłóż, Kaltenie. Nie baw się cudzymi zabawkami.

Po skończonej modlitwie Bevier przebrał się i przyszedł do komnaty Nashana.

— Czy dostałeś coś do jedzenia? — spytał Nashan.

— Nie było takiej potrzeby — odparł Bevier. — Jeśli pozwolisz, wielmożny panie, spożyję wieczerzę w refektarzu, razem z tobą i innymi rycerzami.

— Będziemy radzi twemu towarzystwu — rzekł Nashan.

Sparhawk przedstawił Beviera Sephrenii. Młodzieniec uklonił się przed nią nisko.

— Wiele o tobie słyszałem, pani — powiedział. — Nasi styriccy nauczyciele sekretów bardzo cię poważają.

— Jesteś wielce uprzejmy, mości rycerzu. Moje umiejętności są wynikiem lat praktyki, a nie jakichś szczególnych zalet ducha.

— Lat, pani? Z pewnością nie! Nie wierzę, byś była, pani, wiele starsza ode mnie, a ja jeszcze nie przekroczyłem trzydziestej wiosny. Młodzieńczy rumieniec nie opuścił twych policzków, pani, a oczy masz nadal pełne blasku.

Sephrenia uśmiechnęła się do niego ciepło i spojrzała krytycznie na Sparhawkę i Kaltena.

— Mam nadzieję, że słuchacie tego obaj uważnie — powiedziała. — Nie zaszkodzi wam odrobina ogłady.

— Nigdy nie byłem wzorem dobrych manier, mateczko — przyznał Kalten.

— Zauważyłam to — zgodziła się Sephrenia. — Fleciku — rzekła ze zniecierpliwieniem do dziewczynki — proszę, odłóż księgę. W kółko muszę ci to powtarzać.

Kilka dni później przybyli razem panowie Tynian i Ulath. Tynian był pełnym humoru rycerzem Zakonu Alcjonu z Deiry, królestwa leżącego na północ od Elenii. Jego okrągła twarz robiła wrażenie szczerzej i przyjaznej. Ramiona i pierś zdołały mu wspaniałe mięśnie, rezultat dźwigania przez lata najcięższej na świecie deirańskiej zbroi, którą teraz okrywała jedwabna błękitna szata. Ulath był Thalezyjczykiem, rycerzem Zakonu Genidianu. Zamiast zbroi miał zwykłą kolczugę, do niej prosty, spiczasty hełm. Całości jego stroju dopełniała zielona szata wierzchnia. Niósł okrągłą tarczę i ciężki topór. Był wysoki — o głowę wyższy

od Sparhawka — barczysty, milczący i zamknięty w sobie. Rzadko zabierał głos. Jasne włosy miał splecione w dwa warkocze opadające mu na plecy.

— Witajcie, panowie — zwrócił się Tynian do Sparhawka i Kaltena. Zsiadł z konia i przyglądał im się uważnie. — Ty pewnie jesteś dostojnym panem Sparhawkiem — rzekł w końcu. — Nasz mistrz powiedział, że kiedyś złamałeś sobie nos — dodał, po czym uśmiechnął się szeroko. — Nie martw się, panie Sparhawku. Jest ci z tym zupełnie do twarzy.

— Ten człowiek zaczyna mi się podobać — ocenił Kalten.

— A ty, panie, na pewno nazywasz się Kalten. — Tynian wyciągnął dłoń. Kalten niczego nie podejrzewając ujął ją, by ponieważś zdać sobie sprawę, że alcjonita trzymał zdechłą mysz. Tynian nie posiadał się z radości.

— Myślę, że i ja go polubię — zauważył Sparhawk.

— Nazywam się Tynian — przedstawił się rycerz Zakonu Alcjonu. — Mój milczący druh to Uloth z Thalesii. Dopadł mnie kilka dni temu i od tamtej pory nie wyrzekł nawet dziesięciu słów.

— Ty mówisz za nas obu — mruknął Uloth zsuwając się z siodła.

— Święta prawda — przyznał Tynian. — Uwielbiam brzmienie mojego głosu.

— Witaj, dostojny panie Sparhawku. — Uloth wyciągnął rękę.

— Nie masz myszy? — zapytał Sparhawk ujmując jego dłoń.

Uloth uśmiechnął się słabo. Przywitał się z Kaltenem i całą czwórką ruszyli schodami do wnętrza zamku.

— Czy pan Bevier już przybył? — zapytał Tynian Kaltena.

— Kilka dni temu. Spotkałeś go kiedyś?

— Raz. Składałem razem z naszym mistrzem oficjalną wizytę w Larium i przedstawiono nam tamtejszych rycerzy Zakonu Cyriników. Zrobił na mnie wrażenie trochę sztywnego i oficjalnego.

— Niewiele się zmienił.

— Niczego innego się po nim nie spodziewałem. A po co właściwie jedziemy do Cammorii? Swoją małomównością mistrz Darellon potrafi doprowadzić mnie do szewskiej pasji.

— Poczekajmy, aż pan Bevier przyłączy się do nas — zaproponował Sparhawk. — On jest chyba trochę przeczulony na punkcie dobrych manier, więc moglibyśmy go urazić, omawiając sprawy pod jego nieobecność.

— Słusznie, panie Sparhawku. Nasza manifestacja jedności może nie dojść do skutku, jeżeli pan Bevier zacznie kaprysić. Muszę jednak przyznać, że w walce mało kto potrafi mu dotrzymać pola. Czy nadal nosi tę halabardę?

— O, tak — powiedział Kalten.

— Okropna rzecz, prawda? Widziałem w Larium, jak nią ćwiczył. W pełnym galopie jednym ciosem ściał czubek słupa grubości mojej nogi. Mam wrażenie, że mógłby przejechać środkiem oddziału pieszych i zostawić za sobą szeroką na dziesięć metrów ścieżkę ściętych głów.

— Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie — odezwał się Sparhawk.
— Jeżeli tak podchodzisz do sprawy, dostojny panie, to odbierasz tej wycieczce całą przyjemność.

— On naprawdę zaczyna mi się podobać — rzekł Kalten.

Bevier dołączył do nich po zakończeniu południowego nabożeństwa w kaplicy. Na ile Sparhawk zdołał się zorientować, Bevier od czasu swojego przyjazdu nie opuścił ani jednej mszy.

— Jesteśmy już wszyscy razem — zaczął Sparhawk wstając — więc przedstawię naszą sytuację. Annias, prymas Cimmury, ma chętkę na tron arcyprałata tu, w Chyrellos. Ma on również pełną władzę nad Radą Królewską Elenii, a więc i dostęp do pieniędzy z królewskiego skarbcza. Prymas próbuje za nie kupić dostatecznie dużo głosów, by wygrać wybory po śmierci Cluvonusa. Mistrzowie czterech zakonów chcą mu w tym przeszkodzić.

— Żaden obyczajny duchowny nie przyjmie pieniędzy w zamian za swój głos — rzucił Bevier z nagłą pasją.

— Zgadzam się z tym — przyznał Sparhawk. — Niestety, wielu duchownym daleko do przyzwoitości. Powiedzmy to sobie szczerze, panowie. Kościół Elenów jest skorumpowany. Możemy życzyć sobie, by było inaczej, ale musimy spojrzeć prawdzie w oczy. Wiele z głosów można kupić. A teraz najważniejsze: królowa Ehlana jest chora. W przeciwnym razie nie pozwoliłaby Anniasowi sięgać do skarbcza. Mistrzowie doszli do wniosku, że najlepszym sposobem na powstrzymanie Anniasa jest znalezienie lekarstwa na chorobę królowej i przywrócenie Ehlanie władzy. Po to właśnie jedziemy do Borraty. Na tamtejszym uniwersytecie są medycy, którzy, być może, będą mogli określić naturę tej choroby i znaleźć na nią lekarstwo.

— Czy królowa jedzie z nami? — zapytał Tynian.

— Nie. To nie jest możliwe.

— Nie ułatwi to chyba zadania medykom?

— Owszem — zgodził się Sparhawk — ale pojedzie z nami Sephrenia, nauczycielka sekretów magii w Zakonie Pandionu. Ona potrafi z wielką dokładnością opisać objawy choroby królowej Ehlany, a jeżeli to będzie konieczne, może również wywołać obraz królowej.

— Lepiej byłoby pokazać lekarzom prawdziwego pacjenta — zauważył Tynian — ale trudno, skoro nie mamy innego wyjścia. . .

— W Cammorii jest teraz bardzo niespokojnie — ciągnął Sparhawk. — W centralnych królestwach roi się od szpiegów z Zemochu, którzy starają się robić jak najwięcej zamieszania. A do tego jest niemal pewne, że Annias domyśla się, co zamierzamy, i będzie próbował nam przeszkodzić.

— Do Borraty z Cimmury daleka droga. Czyżby prymas Annias miał aż tak długie ręce? — zapytał Tynian.

— Tak, ma. W Cammorii przebywa renegat, dawny pandionita, który czasami pracuje dla Anniasa. Nazywa się Martel i na pewno będzie starał się nas zatrzymać.

— Jedynie raz może spróbować — mruknął Ulath.

— Pamiętajmy jednak, że nie wyruszamy na poszukiwanie przygód — ostrzegł Sparhawk. — Naszym głównym celem jest bezpieczne dowieszenie Sephrenii do Borraty i z powrotem. Już nastawano na jej życie.

— Nasza obecność powinna do tego zniechęcać — powiedział Tynian. — Czy zabieramy z sobą kogoś jeszcze?

— Mojego giermka, Kurika, i chyba nowicjusza z naszego zakonu, Berita. To bardzo obiecujący młodzieniec, a Kurik będzie potrzebował kogoś do pomocy przy koniach. — Sparhawk zamyślił się przez chwilę. — Myślę, że chłopca też zabierzemy.

— Talena? — zdziwił się Kalten. — Czy to naprawdę dobry pomysł, Sparhawk?

— Chyrellos jest już dostatecznie zdemoralizowane. Zostawienie tego złodziejzka na ulicach Świętego Miasta nie byłoby dobrym pomysłem. A umiejętności Talena mogą nam się przydać. Pojedzie również z nami dziewczynka o imieniu Flecik.

Kalten spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Sephrenia nie zechce jej zostawić — wyjaśnił Sparhawk — i nie jestem pewien, czy potrafiłaby ją zostawić. Pamiętasz, jak to dziecko łatwo wy dostało się z klasztoru w Arcium?

— Chyba muszę przyznać ci rację — westchnął Kalten.

— Bardzo jasno nam to wszystko przedstawiłeś, dostojny panie Sparhawk — rzekł Bevier. — Kiedy wyruszamy?

— Wczesnym rankiem. Czeka nas daleka droga do Borraty, a arcyprałat nie robi się coraz młodszy. Według patriarchy Dolmanta może umrzeć w każdej chwili, a wtedy Annias przystąpi do działania.

— Trzeba się więc przygotować. — Bevier powstał. — Czy pójdziecie, panowie, ze mną na wieczorne nabożeństwo do kaplicy? — zapytał.

— Chyba powinniśmy — powiedział Kalten i westchnął. — W końcu jesteśmy Rycierzami Kościoła.

— A odrobina bożej pomocy nie zaszkodzi, czyż nie? — dodał Tynian.

Tego samego dnia po południu do bram zamku przybył oddział gwardzistów.

— Panie Sparhawk, Makova, patriarcha Coombe, wzywa ciebie i twoich towarzyszy — powiedział kapitan dowodzący oddziałem, gdy rycerze zeszli na dziedziniec. — Macie się natychmiast stawić w bazylice.

— Pójdziemy po konie — rzekł Sparhawk. W stajni zaklął ze złości.

— Czy to oznacza kłopoty? — zapytał Tynian.

— Makova popiera prymas Anniasa — odparł Sparhawk, wyprowadzając Farana ze stajni. — Zaczynam podejrzewać, że zechce nas zatrzymać.

— Musimy jednak się stawić na jego wezwanie — powiedział Bevier siodłając konia. — Jesteśmy Rycerzami Kościoła i musimy być posłuszni rozkazom członka hierarchii, bez względu na to, kogo popiera.

— A poza tym jest jeszcze ten oddział żołnierzy — dodał Kalten. — Makova nie lubi ryzykować.

— Chyba nie oczekiwał, że odmówimy wykonania rozkazu? — zdziwił się Bevier.

— Nie znasz jeszcze dobrze Sparhawka — wyjaśnił mu Kalten. — Czasami potrafi być przekorny.

— No cóż, w tej sytuacji nie mamy wyboru — rzekł Sparhawk. — Jedźmy więc do bazyliki i posłuchajmy, co patriarcha Coombe ma nam do powiedzenia.

Wyprowadzili konie na dziedziniec. Gdy wspięli się na siodła, kapitan rzucił krótką komendę i gwardziści otoczyli ich ciasnym kręgiem.

Plac przed bazyliką był dziwnie wyludniony.

— Wygląda na to, że spodziewali się kłopotów — zauważył Kalten. Ruszyli w górę szerokich, marmurowych schodów.

Znaleźli się w przestronnej nawie świątyni. Bevier uklęknął i złożył dłonie do modlitwy.

Kapitan z gwardzistami szedł za nimi.

— Nie możemy pozwolić, by patriarcha Coombe czekał — ponaglił arogancko.

To ponownie rozsierdziło Sparhawka, jednak rycerz skrzętnie ukrył swoje uczucia i pobożnie klęknął obok Beviera. Kalten uśmiechnął się i również ugiął kolano. Tynian szturchnął Ulatha i przyklekli obaj.

— Powiedziałem. . . — zaczął kapitan uniesionym głosem.

— Słyszeliśmy, ziomku — przerwał mu Sparhawk. — Niebawem za tobą pójdziemy.

— Ale. . .

— Możesz na nas poczekać. To nie potrwa długo.

Kapitan odwrócił się i odszedł.

— Dobre posunięcie, panie Sparhawku — mruknął Tynian.

— W końcu jesteśmy Rycerzami Kościoła — rzekł Sparhawk. — Odrobina cierpliwości Makowie nie zaszkodzi. Jestem pewien, że oczekuje nas ciesząc się na to spotkanie.

— Na pewno — przyznał Tynian.

Rycerze modlili się z dziesięć minut, gdy tymczasem kapitan chodził niecierpliwie tam i z powrotem.

— Skończyłeś, panie Bevierze? — zapytał uprzejmie Sparhawk, kiedy cyrinita opuścił dłonie.

— Tak — odpowiedział Bevier z pobożnym wyrazem twarzy. — Czuję się oczyszczony i pogodzony ze światem.

— Postaraj się, by cię to uczucie nie opuszczało. Patriarcha Coombe pewnie zdenerwuje nas wszystkich. — Sparhawk wstał. — Możemy więc ruszać.

— No, wreszcie — sapnął kapitan na ich widok.

Bevier rzucił mu lodowate spojrzenie.

— Jaka jest twoja pozycja, kapitanie? — zapytał. — Nie mam oczywiście na myśli wojskowej.

— Jestem markizem, panie Bevierze.

— Doskonale. Jeśli nasza pobożność cię razi, będę więcej niż szczęśliwy mogąc ci dać satysfakcję, markizie. W każdej chwili możesz mi przysłać swoich sekundantów. Jestem do twojej dyspozycji.

Kapitan wyraźnie pobladł i cofnął się o krok.

— Ja tylko wypełniam rozkazy, szlachetny panie. Nie śmiałybym obrażać Rycerzy Kościoła.

— Ach, tak — rzekł chłodno Bevier. — Ruszajmy więc. Jak słusznie wcześniej zauważyłeś, nie powinniśmy kazać czekać patriarsze Coombe.

Kapitan poprowadził ich do bocznego korytarza.

— Dobra robota, panie Bevierze — szepnął Tynian.

Cyrinita uśmiechnął się.

— Są tacy, co przypominają sobie o dobrych manierach dopiero wtedy, gdy usłyszą propozycję, że popieścisz ich kawałkiem stali — dodał Kaltan.

Komnata, do której wprowadził ich kapitan, była bardzo okazała. Ściany z gładkiego marmuru zdobiły brązowe portiery i takiego samego koloru dywan okrywał posadzkę. Za długim stołem siedział patriarcha Coombe i czytał jakiś dokument. Spojrzał ze złością na wchodzących.

— Czemu to tyle trwało? — rzucił do kapitana.

— Rycerze Kościoła uznali za stosowne spędzić kilka chwil na modlitwie, wasza świętobliwość.

— Ach, tak. Oczywiście.

— Czy mogę odejść, wasza świętobliwość?

— Nie. Zostań. Będziesz musiał dopilnować, by wydane tu polecenia zostały wykonane.

— Jak sobie wasza świętobliwość życzy.

Makova popatrzył surowo na rycerzy.

— Powiedziano mi, że zamierzacie zrobić wypad do Cammorii — powiedział.

— Nie robiliśmy z tego tajemnicy, wasza świętobliwość — odparł Sparhawk.

— Zabraniam wam tam jechać!

— Czy można zapytać dlaczego, wasza świętobliwość? — spytał przymilnie Tynian.

— Nie, nie można. Rycerze Kościoła podlegają hierarchii. Ze swoich decyzji nie muszą się tłumaczyć. Wróćcie wszyscy do siedziby Zakonu Pandionu i pozostaniecie tam, dopóki nie przyjdzie mi ochota wydania innych rozkazów. — Uśmiechnął się złośliwie. — Mam nadzieję, że w krótkim czasie wszyscy powrócicie do swych klasztorów — dodał, a następnie powstał. — Skończyłem. Możecie się oddalić. Kapitanie, dopilnujesz, by ci rycerze nie opuszczali siedziby Zakonu Pandionu.

— Wedle rozkazu, wasza świątobliwość.

Wszyscy skłonili się i wyszli w milczeniu.

— Szybko załatwił sprawę, co? — rzekł Kalten, gdy podążali korytarzem w odległości kilku kroków za kapitanem.

— Nawet się nie silił na jakieś wytłumaczenie — dodał Sparhawk.

Kalten podszedł bliżej do przyjaciela.

— Będziemy posłuszni jego rozkazom? — szepnął.

— Nie.

— Panie Sparhawku — wyszeptał oburzony Bevier — chyba nie zamierzasz postąpić wbrew rozkazom patriarchy Kościoła?

— Nie, niezupełnie. Potrzebujemy jedynie innego rozkazu.

— Dolmant? — zgadywał Kalten.

— Jego imię samo przychodzi na myśl, prawda?

Niestety, nie mieli okazji zboczyć z drogi. Kapitan był zdecydowany i odprowadził ich prosto do siedziby zakonu.

— Panie Sparhawku — rzekł, gdy dotarli do wąskiej uliczki, przy której znajdował się budynek zakonu — przekaż, proszę, przełożonemu waszego zgromadzenia, że ta brama ma pozostać zamknięta. Nikt nie może do zamku wejść ani z niego wyjść.

— Przekażę to polecenie — odparł Sparhawk, spiał Farana ostrogami i wjechał na dziedziniec.

— Zdaje się, że właśnie pieczętuje bramę — mruknął Kalten. — Jak skontaktujesz się z Dolmantem?

— Coś wymyślę — obiecał Sparhawk.

Wieczorem, kiedy zmrok otulił miasto, Sparhawk chodził tam i z powrotem po murach, spoglądając od czasu do czasu na ulicę.

— Sparhawku — z dziedzińca dobiegł go strapiony głos Kurika — jesteś tam?

— Tak. Wejdz tu, na górę.

Usłyszał tupot kroków na kamiennych stopniach prowadzących na mury.

— Chciałeś nas zobaczyć? — Kurik, Berit i Talen wyłonili się z mroku schodów.

— Tak. Na zewnątrz jest oddział gwardzistów blokujących bramę, a ja muszę przesłać wiadomość Dolmantowi. Macie jakiś pomysł?

Kurik w zadumie podrapał się po głowie.

— Dajcie mi rączego rumaka, a przejadę przez nich — zaproponował Berit.

— Będzie z niego dobry rycerz — powiedział Talen. — Mówiono mi, że atak to jest to, co rycerze lubią najbardziej.

Berit spojrzał ostro na chłopca.

— Nie bij — rzekł Talen zasłaniając się ramieniem. — Przecież ustaliliśmy, że z laniem koniec. Ja będę uważał na twoich lekcjach, a ty nie będziesz mnie więcej bił.

— Masz lepszy pomysł? — zapytał Berit.

— Kilka. — Talen spojrzał za mury. — Czy gwardziści patrolują ulice pod murami? — zapytał.

— Tak — rzekł Sparhawk.

— W zasadzie to nie jest żaden problem, ale byłoby prościej, gdyby nie patrolowali. Jak sobie radzisz z łukiem? — zwrócił się do swego nauczyciela.

— Ćwiczyłem strzelanie — odrzekł Berit trochę sztywno.

— Nie o to mi chodziło. Zapytałem — jak sobie radzisz?

— Trafiam do celu ze stu kroków.

Talen spojrzał na Sparhawk.

— Czy wy nie możecie zająć się czymś pożyteczniejszym? — zapytał. Potem ponownie zwrócił się do Berita: — Widzisz tę stajnię? — Wskazał na drugą stronę ulicy. — Tę ze słomianym dachem?

— Tak.

— Czy potrafiłbyś trafić tam z łuku?

— Z łatwością.

— W końcu te ćwiczenia na coś się przydadzą.

— A ile miesięcy ty ćwiczyłeś wyciąganie sakiewek? — spytał znacząco Kurik.

— To co innego, ojczu. Tu chodziło o zarobek.

— Ojczu? — zdziwił się Berit.

— To długa historia — Kurik uciął temat.

— Jak zaczynają bić dzwony, każdy człowiek biegnie sprawdzić, co się dzieje — powiedział Talen przybierając mentorski ton. — Nikt nie chce przegapić okazji popatrzeć na pożar. Sparhawk, czy mógłbyś zdobyć długą linę?

— Jak długą?

— Wystarczająco długą, by sięgnęła do ulicy. A oto mój plan: Berit okręci strzałę pakułami i podpali ją, a potem strzeli w słomę na dachu. Gwardziści przybiegną na tę uliczkę, by obejrzeć widowisko. A wtedy ja z drugiej strony zamku opuszczę się po linie i przez nikogo nie zauważony w niecałą minutę będę na dole.

— Nie możesz podpalić tej stajni — zaprotestował przerażony Kurik.

— Ugaszą ją — tłumaczył Talen cierpliwie. — W porę ich ostrzeżemy. Wszyscy będziecie stać tu na górze i krzycheć z całych sił: „Ogień!”. Wtedy ja z dru-

giego końca murów spuszcze linę i zanim wszystko się uspokoi, będę o pięć ulic dalej. Wiem, gdzie mieszka Dolmant i mogę przekazać mu to, co trzeba.

— Dobrze — zgodził się Sparhawk.

— Sparhawk! — wykrzyknął Kurik. — Chyba mu na to nie pozwolisz?

— To jest całkiem dobry pomysł, Kuriku. Odwrócenie uwagi wroga i podstęp są elementami każdego dobrego planu taktycznego.

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, ile w tej części miasta jest strzech i drewnianych domów?

— Przynajmniej gwardziści będą mogli zająć się czymś pożytecznym — powiedział Sparhawk wzruszając ramionami.

— Jesteś bezwzględny, Sparhawk.

— O wiele bardziej bezwzględny będzie Annias, gdy zasiądzie na tronie arcycypralata. Chodźmy przygotować wszystko, czego nam trzeba. Chcę wyjechać z Chyrellos, zanim wszędzie słońce, a nie będzie to możliwe, dopóki gwardziści obozują pod bramą.

Zeszli na dół po linę, łuk i kołczan ze strzałami. Wracali już, kiedy na dziedzińcu spotkali pozostałych czterech rycerzy.

— Co się tu dzieje? — spytał Tynian.

— Mamy zamiar wysłać wiadomość do Dolmanta — odrzekł Sparhawk.

— Za pomocą tego łuku? — zdziwił się Tynian. — Czyżby niósł aż tak daleko?

— Trzeba zrobić coś więcej, niż tylko celnie strzelić — Sparhawk szybko streścił plan.

Kiedy wchodzili na mury, położył dłoń na ramieniu Talena.

— To nie będzie zbyt bezpieczne — powiedział do chłopca. — Bądź ostrożny.

— Za bardzo się przejmujesz — odparł Talen. — Mógłbym to zrobić z zamkniętymi oczyma.

— Może przydałby ci się jakiś list, który mógłbyś przekazać Dolmantowi — zastanawiał się Sparhawk.

— Chyba nie mówisz poważnie? Jeżeli mnie zatrzymają, mogę się z łatwością wyłgać, ale jak znajdą w mojej kieszeni list, to marny mój los. Dolmant mnie zna i będzie wiedział, że wiadomość jest od ciebie. Zдай się na mnie, dostojny panie.

— Tylko nie zatrzymuj się po drodze, by ukraść jakąś sakiewkę.

— Jasne, że nie — zgodził się Talen trochę zbyt pośpiesznie.

Sparhawk westchnął. Potem szybko powiedział chłopcu, co ma przekazać patriarsze Demos.

Wszystko przebiegło zgodnie z planem Talena. Gdy tylko patrol przeszedł wąską uliczką, strzała Berita niczym spadająca gwiazda poszybowała na strzechę stajni. Po chwili zobaczyli jaskrawy płomień, początkowo pomarańczowy, a potem żółty. Ogień szybko zajął cały dach.

— Pożar! — krzyknął Talen.

— Pożar! — powtarzali wszyscy za nim.
Wybiegający z za rogu gwardziści wpadli na krzyczącego histerycznie właściciela stajni.
— Dobrzy ludzie! — krzychał nieszczęsny załamując ręce. — Moje stajnie! Moje konie! Mój dom! Mój Boże!
Kapitan zawahał się, patrząc niezdeterminowanie to na pożar, to na mury zamku.
— Pomożemy ci, kapitanie! — zawołał Tynian z góry. — Otwórz bramę!
— Nie! — odkrzyknął kapitan. — Zostańcie tam.
— Możesz puścić z dymem pół Świętego Miasta, ty zakuta pało! — wrzeszczał na niego Kalten. — Jeżeli natychmiast czegoś nie zrobisz, ogień przerzuci się na sąsiednie domy.
— Ty! — warknął kapitan na właściciela stajni. — Zdobądź wiadra i wskaż mi najbliższą studnię. — Odwrócił się szybko do swych żołnierzy. — Ustawcie się w szeregu — rozkazywał. — Jeden biegnie pod bramę i przyprowadzi tu, kogo zdoła. — Wydawało się, że już podjął decyzję, ale zerknął na rycerzy na murach. — Tylko niech pozostawi tam strażę — dodał.
— Możemy ci pomóc, kapitanie — proponował Tynian. — Mamy tu głęboką studnię. Wezwiemy wszystkich ludzi z zamku i będziemy podawać wiadra twoim żołnierzom za bramą. Teraz martwimy się tylko o to, by ocalić Chyrellos. Wszystko inne musi zejść na plan dalszy.
Kapitan zawahał się.
— Proszę, kapitanie! — Głos Tyniana pełen był szczerą troską. — Błagam cię! Pozwól nam pomóc.
— No, dobrze — wysapał w końcu kapitan. — Otwórzcie bramę. Ale niech nikt nie wychodzi na zewnątrz.
— Oczywiście, że nie — odparł Tynian.
— Dobra robota — zaśmiał się Ulath klepiąc Tyniana po plecach.
— Czasami naprawdę opłaca się mówić, mój milczący drużynie. — Tynian również się uśmiechnął. — Spróbuj kiedyś.
— Wolę używać topora.
— Teraz was opuszczę, szlachetni panowie — odezwał się Talen. — Czy mam wam coś przynieść?
— Skup się na tym, co masz wykonać — rzekł mu Sparhawk. — Zmykaj i leć prosto do Dolmanta.
— I bądź ostrożny — mruknął Kurik. — Przyprawiasz mi czasami wiele zmar-twień, synu, ale nie chcę cię utracić.
— Czyżbyś miał czułe serce, ojczyste? — zapytał z udanym zdziwieniem Talen.
— Niezupełnie. Po prostu czuję się odpowiedzialny za ciebie przed twoją matką.
— Pójdę z nim — zaproponował Berit.
Talen spojrział krytycznie na barczystego nowicjusza.

— Nawet o tym nie myśl — uciął krótko. — Tylko byś mi zawadzał. Wybacz mi, czcigodny nauczycielu, ale masz za duże stopy i cały jesteś zbyt wielki, a ja nie mam dość czasu, by uczyć cię, jak chyłkiem się przemykać i jak zwiewać. — Chłopiec zniknął w mroku spowijającym mury.

— Gdzie znaleźliście tego nadzwyczajnego młodzieńca? — zapytał Bevier.

— Nie dałbyś wiary — odparł Kalten. — Absolutnie byś nie uwierzył.

— Nasi bracia pandionicy są chyba bardziej światowi niż rycerze z innych zakonów, panie Bevierze — powiedział Tynian. — My, zajęci wyższymi sprawami, nie orientujemy się tak dobrze jak oni w sprawach życia doczesnego. — Spojrzał na Kaltena nabożnie. — Jednakże wszyscy służymy Bogu i jestem pewien, że On to docenia, bez względu na nasze słabości i błędy.

— Dobrze powiedziane — mruknął Ulath z kamienną twarzą.

Strzecha płonęła i dymiała jeszcze przez dobry kwadrans. Gwardziści lali na nią wodę wiadro za wiadrem. Stopniowo ogień zaczął przygasać. Zrozpaczony właściciel stajni opłakiwał swój utracony dobytek, ale pożar nie rozniósł się nigdzie dalej.

— Brawo, kapitanie, brawo! — gratulował Tynian ze szczytu murów.

— Tylko nie przesadz — mruknął do niego Ulath.

— Po raz pierwszy widziałem, że ci ludzie robili coś pożytecznego — protestował Tynian. — Trzeba to docenić.

— Wzniesimy jeszcze kilka pożarów, jeżeli chcesz? zaproponował potężny genidianita. — Możemy zatroszczyć się, aby przez cały tydzień nosili wodę.

Tynian podrapał się za uchem.

— Nie — powiedział po chwili zastanowienia. — Może im się to w końcu znudzić i jeszcze zechcą pozostawić w spokoju płonące miasto. — Spojrzał na Kurika. — Czy chłopiec uciekł? — zapytał.

— Ześliznął się po linie niczym wąż — odparł giermek Sparhawka próbując ukryć dumę.

— Pewnego dnia będziesz nam musiał powiedzieć, czemu ten chłopiec nazywa cię ojcem.

— Może kiedyś dojdzie do tego, szlachetny panie Tynianie — mruknął Kurik.

Wraz z pierwszymi blaskami wschodzącego słońca w wąskiej uliczce rozległ się tupot setek maszerujących nóg. Potem przed bramą pojawił się Dolmant, patriarcha Demos, jadący na białym mule na czele kilku oddziałów żołnierzy w czerwonych mundurach.

— Wasza świątobliwość — pachnący dymem kapitan zasalutował wychodzącą spomiędzy pilnujących bramy gwardzistów.

— Jesteś wolny, kapitanie — zwrócił się do niego Dolmant. — Możesz wrócić ze swoimi ludźmi do koszar — powiedział i westchnął z odrobiną niechęci. — Rozkaż im, żeby doprowadzili się do porządku — poradził. — Przypominają kominiarzy.

— Patriarcha Coombe rozkazał mi pilnować tego domu — wyjaśnił kapitan kłaniając się. — Czy mógłbym wysłać kogoś, by potwierdzić rozkazy waszej świątobliwości?

Dolmant zastanawiał się przez chwilę.

— Nie, kapitanie — powiedział. — Raczej nie. Zejdź ze służby natychmiast.

— Ale, wasza świątobliwość...!

Dolmant klasnął w dłonie i żołnierze za jego plecami zajęli pozycje nadstawiając piki.

— Poruczniku — zwrócił się łagodnie do dowódcy swoich oddziałów — czy byłbyś tak dobry i odprowadził kapitana wraz z jego ludźmi do koszar?

— W tej chwili, wasza świątobliwość — odparł oficer salutując.

— Myślę, że powinni tam pozostać, dopóki nie zaczną wyglądać jak należy.

— Oczywiście, wasza świątobliwość. Osobiście dokonam przeglądu.

— Drobiazgowego, poruczniku, dro-bia-zgo-we-go. Wygląd gwardzistów nie może przynosić ujemny honorowi Kościoła.

— Wasza świątobliwość może polegać na mnie w zupełności. Odpowiedni wygląd wszystkich żołnierzy gwardii jest sprawą honoru dla oficerów naszej służby.

— Bóg doceni twoją pobożność, poruczniku.

— Żyję po to, by Mu służyć, wasza świątobliwość. — Oficer skłonił się nisko.

Żaden z nich przez cały czas nie uśmiechnął się ani nawet nie mrugnął okiem.

— Och, zanim odejdziesz, poruczniku — rzekł Dolmant po chwili — przyprowadź do mnie tego małego żebraka. Obowiązuje nas dobroczynność, więc zostawię go z braćmi tego zakonu.

— Oczywiście, wasza świątobliwość. — Oficer strzelił palcami i krzepki sierżant przyciągnął Talena za kark przed oblicze patriarchy Demos. Żołnierze Dolmanta przyparli kapitana i jego ludzi do murów zamku i szybko ich rozbroili, a potem odprowadzili do koszar.

Dolmant poklepał smukłą szyję swego białego muła i spojrzął z dezaprobatą na mury.

— Jeszcze nie wyruszyłeś, Sparhawk? — zapytał.

— Właśnie szykujemy się do drogi, wasza świątobliwość.

— Dzień już wstaje, mój synu. Temu, kto służy Bogu, powinno być obce lenistwo.

— Będę o tym pamiętał, wasza świątobliwość — rzekł Sparhawk. Zmrużył oczy i spojrzął ostro na Talena. — Oddaj to — polecił.

— Co? — zapytał Talen z udreką w głosie.

— Wszystko. Do ostatniego drobiazgu.

— Ale...!

— Natychmiast, Talenie.

Mrucząc coś pod nosem, chłopiec zaczął wyciągać z kieszeni różnego rodzaju kosztowne drobiazgi i kładł je na dłonie zdumionego patriarchy Demos.

— Teraz jesteś zadowolony, dostojny panie? — zapytał trochę smutno, spoglądając w górę na mury.

— Niezupełnie, ale na początek wystarczy. Upewnię się dopiero, jak cię obśzukam, gdy już wejdiesz za bramę.

Talen westchnął. Sięgnął do ukrytych kieszeni i dorzucił jeszcze kilka klejnotów do pełnych dłoni Dolmanta.

— Mam nadzieję, że zabierasz z sobą tego chłopca, Sparhawk? — zapytał patriarcha Demos chowając swoje kosztowności.

— Tak, wasza świętobliwość — odparł Sparhawk. — To dobrze. Będę spokojniej spał wiedząc, że nie kręci się po ulicach. Śpiesz się, mój synu, niech cię Bóg prowadzi. — Dolmant zawrócił muła i odjechał.

Rozdział 15

... W każdym razie — ciągnął Tynian opowieść o burzliwych przygodach z czasów swojej młodości — okoliczni baronowie z Lamorkandii mieli dość tych ciągłych zbójceckich napadów i przybyli do siedziby naszego zakonu, by prosić nas o pomoc w pozbyciu się złoczyńców. A ponieważ byliśmy już znudzeni ciągłym patrolowaniem granic Zemochu, więc przystaliśmy na to z ochotą. Szczerze mówiąc, potraktowaliśmy tę sprawę jako rodzaj ćwiczeń: kilka dni ostrej jazdy zakończone mile orzeźwiająca walką.

Sparhawk pozwolił swoim myślom wędrować swobodnie. Tynian mówił nieprzerwanie, odkąd opuścili Chyrellos i przekroczyli granice południowego królestwa Cammorii. Początkowo opowieści były zajmujące, ale stopniowo zaczęły się powtarzać. Z jego słów wynikało, że był bohaterem wszystkich ważniejszych bitew i potyczek, jakie zdarzyły się w ciągu ostatnich dziesięciu lat na kontynencie Eosii. Sparhawk doszedł do wniosku, że rycerz z Zakonu Alcjonu był nie tyle samochwałą, co wspaniałym gawędziarzem, który zawiązuje akcję opowieści wokół własnej osoby, by łatwiej trafić do słuchaczy. Dzięki tym gawędom czas mijał szybciej i podróż traktem do Borraty nie dłużyła się.

Słońce grzało tu mocniej niż w Elenii, a wietrzyk pędzący pierzaste chmurki po ciemnoniebieskim niebie sprawiał, że w powietrzu pachniało jakby wiosną. Dookoła rozciągały się nie tknięte mrozem, wciąż jeszcze zielone pola, a trakt niczym biała wstążka opadał w doliny i wznosił się na zielone zbocza wzgórz. To był dobry dzień do jazdy i Faran wyraźnie się nią rozkoszował.

Sparhawk zdążył sobie już wyrobić zdanie o każdym ze swoich towarzyszy. Pan Tynian bardzo przypominał z usposobienia wesołka Kaltena, jednak jego muskularny tułów i sposób trzymania broni świadczyły o tym, że w razie walki byłby trudnym przeciwnikiem. Pan Bevier był może odrobinę zbyt zasadniczy. Rycerze Zakonu Cyriników słynęli ze swoich nienaganych manier, bardzo łatwo było ich również urazić. Z Bevierem trzeba się obchodzić jak z jajkiem i Sparhawk postanowił porozmawiać z Kaltenem, by zaniechał psot i żartów, w które zamieszany byłby młody cyrinita. Jednakże w razie kłopotów Bevier także mógł być bardzo pomocny.

Pan Ulath natomiast był wielką niewiadomą. Cieszył się wspaniałą opinią, ale Sparhawk nie miał zbyt często do czynienia z rycerzami Zakonu Genidianu z dalekiej, północnej Thalesii. Słyszał opinie, że są bardzo waleczni, ale to, że nosili tylko kolczugi zamiast pełnej zbroi, budziło w nim pewne wątpliwości. Postanowił wy badać trochę rosnącego Thalezyjczyka w tej materii. Ściągnął lekko wodze Farana pozwalając, by Ulath się z nim zrównał.

— Miły ranek — zagadnął uprzejmie.

Ulath mruknął coś w odpowiedzi. Wciągnięcie go do rozmowy mogło nie być łatwym zadaniem. Wtem, o dziwo, genidianita dodał sam z siebie:

— W Thalesii nadal leży śnieg po kolana.

— To musi być bardzo uciążliwe.

— Można się przyzwyczaić — Ulath wzruszył ramionami — a na śniegu można wspaniale polować na dziki, rogacze i trolle.

— Naprawdę polujecie na trolle?

— Czasami. Wtedy, gdy trolle dostają bzika. Jeżeli zejną w zamieszkane przez Elenów doliny i zaczną zabijać krowy lub ludzi, to musimy na nich polować.

— Słyszałem, że są niesamowicie ogromni.

— Tak. Niesamowicie.

— Czy nie jest trochę niebezpiecznie walczyć z nimi mając na sobie jedynie kolczugę?

— Naprawdę nie jest tak źle. Oni używają tylko maczug. Czasem mogą złać zębro i to wszystko.

— Czy pełna zbroja nie byłaby przydatna?

— Nie w przypadku, gdy trzeba przechodzić przez rzeki, a w Thalesii mamy ich sporo. Kolczugę możesz z łatwością zdjąć, nawet gdy znalazłeś się pod wodą, a raczej trudno wstrzymać oddech na tyle długo, by pozbyć się pełnej zbroi.

— Tak, to brzmi rozsądnie.

— My też jesteśmy tego zdania. Mieliśmy kiedyś mistrza, który uważał, że powinniśmy, tak jak inne zakony, nosić pełne zbroje — by się lepiej prezentować. Wrzuciliśmy jednego z naszych braci odzianego w kolczugę do wody na przystani w Emsacie. Pozbył się swojej kolczugi i po minucie był na powierzchni. Mistrz był ubrany w pełną zbroję. Wrzuciliśmy i jego, ale nie wypłynął. Może znalazł sobie tam, na dnie, bardziej interesujące zajęcie.

— Utopiliście swojego mistrza? — Sparhawk nie wierzył własnym uszom.

— Nie. Jego zbroja go utopiła. Potem wybraliśmy pana Komiera na mistrza. Miał więcej zdrowego rozsądku i nie składał nam już równie głupich propozycji.

— Wydaje się, że wy, genidianicy, jesteście bardzo niezależnym zakonem. Czy naprawdę sami wybieracie swoich mistrzów?

— A wy nie?

— Nie, to znaczy — niezupełnie. Wysyłamy listę imion do hierarchów pozwalając, aby oni wybrali spośród nich mistrza.

— My ułatwiamy im zadanie. Wysłałyśmy tylko jedno imię.
Kalten, który dotychczas jechał około pół ligi przed nimi wypatrując możliwych niebezpieczeństw, teraz przygalopował z powrotem.
— Coś dziwnego dzieje się tam, przed nami, Sparhawk — powiedział wzburzony.
— Co to znaczy „coś dziwnego”?
— Na szczycie następnego wzgórza stoi dwóch pandionitów. — Kalten mówił z napięciem, a czoło miał zroszone potem.
— Kto to jest?
— Nie podjechałem, by ich o to zapytać.
Sparhawk spojrział bacznie na przyjaciela.
— Dlaczego? — zapytał.
— Nie jestem pewien. Po prostu wydawało mi się, że nie powinienem się do nich zbliżać. Myślę, że chcą z tobą rozmawiać, ale nie pytaj, skąd mi to przyszło do głowy.
— Dobrze — zdecydował Sparhawk. — Pojadę sprawdzić, czego chcą. — Spiał ostrogami Farana i srokacz pogalopował dudniąc kopytami na szczyt wzgórza. Obaj jeźdźcy, choć odziani byli w czarne zbroje rycerzy Zakonu Pandionu, nie wykonali żadnego z tradycyjnych gestów powitania na widok podjeżdżającego Sparhawk, nie unieśli również przyłbic. Ich konie były dziwnie wychudzone, sprawiały wrażenie szkieletów.
— Co się stało, bracia? — zapytał Sparhawk wstrzymując Farana o kilka kroków od nich. Poczul nieprzyjemną woń, a po plecach przebiegł mu zimny dreszcz.
Jedna z postaci nieznacznie odwróciła się i wskazała zbrojnym ramieniem w dół, na następną dolinę. Nie padło ani jedno słowo, ale wydawało się, że dziwnemu rycerzowi chodziło o zarośla bezlistnych wiązów na skraju traktu, pół ligi dalej.
— Nie bardzo. . . — zaczął Sparhawk, gdy wtem między płataniną gałęzi zauważył błysk stali. Przesłonił oczy dłonią i uważnie przyjrzał się grupie drzew. Dostrzegł jakiś ruch i ponowny błysk odbitego światła. — Rozumiem — powiedział ponuro. — Dziękuję wam, bracia. Czy macie ochotę towarzyszyć nam do tej zasadzki?
Przez dłuższą chwilę żaden z odzianych w czarne zbroje rycerzy nie odpowiadał, potem jeden z nich pochylił głowę na znak zgody. Ruszyli, zajmując pozycje po obu stronach traktu. Zdawało się, że czekają.
Sparhawk zbity z tropu ich zachowaniem wrócił do pozostałych.
— Mamy kłopoty — relacjonował. — W następnej dolinie, w zaroślach, ukryła się grupa zbrojnych ludzi.
— Zasadzka? — spytał Tynian.
— Ludzie zwykle nie kryją się, jeżeli nie mają złych zamiarów.
— Czy wiesz, ilu ich jest? — Bevier uwolnił halabardę z uchwytu przy siodle.

— Nie.

— W takim razie jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać — mruknął Ulath sięgając po swój topór.

— Kim byli ci dwaj rycerze? — zapytał nerwowo Kalten.

— Nie powiedzieli.

— Czy zrobili na tobie takie samo wrażenie jak na mnie?

— Jakie wrażenie?

— Mrozące krew w żyłach.

— Tak, coś w tym rodzaju — przyznał Sparhawk. — Kuriku, ty i Berit zabierzcie Sephrenię z Flecikiem i Talena do jakiejś kryjówki.

Giermek skinął głową.

— Czas na nas — zwrócił się Sparhawk do pozostałych rycerzy — jedźmy się rozejrzeć.

Ruszyli różnym kłusem, pięciu rycerzy dosiadających bojowych rumaków i uzbrojonych w rozmaity, nie sprawiający miłego wrażenia oręż. Na szczycie wzgórza przyłączyli się do nich dwaj milczący jeźdźcy w czarnych zbrojach. Ponownie Sparhawk poczuł niemiły zapach i krew stężała mu w żyłach.

— Czy ktoś ma róg? — zapytał Tynian. — Powinniśmy dać znać, iż nadciągamy.

Ulath odpiął jedną ze swoich sakw i wyciągnął okazałych rozmiarów, kręty róg zakończony ustnikiem z brązu.

— Jakież zwierze ma podobne rogi? — zapytał Kalten.

— Ogr — odparł Ulath. Przyłożył ustnik do warg i zadął z całej siły.

— Ku chwale Boga i ku czci Kościoła! — zawołał Bevier unosząc się w siodle i wywijając halabardą.

Sparhawk wyciągnął miecz i spiął Farana ostrogami. Rosły srokacz wyrwał ostro do przodu, kładąc po sobie uszy i szczerząc zęby.

W zaroślach rozległy się okrzyki zawodu. Rycerze Kościoła pędzili galopem w dół zbocza, a kopyta ich rumaków wyrzywały kępy trawy. Wtem z ukrycia wyjechało kilkunastu jeźdźców, by stawić czoło atakowi.

— Chcą walczyć! — zawołał radośnie Tynian.

— Miejcie się na baczności, gdy się z nimi zewrzemy! — ostrzegwał Sparhawk.

— W zaroślach może kryć się ich więcej!

Ulath dał w róg do ostatniej chwili. Potem szybko wsunął go do sakwy i zaczął wymachiwać nad głową swoim wielkim toporem bojowym.

Trzech z napastników trzymało się z tyłu. Tuż przed starciem zawrócili i uciekli, pędząc na złamanie karku i z przerażeniem poganiając konie.

Pierwsze zwanie było słyhać pewnie na ligę dokoła. Sparhawk na Faranie wysunął się na czoło, pozostali uformowali za nim coś w rodzaju klina. Sparhawk stał w strzemionach i rozdawał ciosy na prawo i lewo. Pierwszemu z przeciwników roztrzaskał hełm, spod którego wypłynęła krew pomieszana z mózgiem; cia-

ło spadło bezwładnie z siodła. Następnym ciosem rozbił uniesioną tarczę i usłyszał przeraźliwy krzyk, gdy ostrze miecza ugodziło w ramię zasłaniającego się wojownika. Z tyłu dochodziły go odgłosy ciosów i wrzaski, jakie towarzyszyły przedzieraniu się innych rycerzy przez napastników.

Powalili dziesięciu z nich, ale gdy zawracali, by zaatakować ponownie, z zarośli wypadło jeszcze sześciu mężczyzn i natarło na nich od tyłu.

— Idźcie naprzód! — krzyknął Bevier. — Zatrzymam ich, dopóki nie skończycie z resztą! — Uniósł swą halabardę i zaatakował.

— Kalten, pomóż mi! — zawołał Sparhawk do przyjaciela, po czym poprowadził Tyniana, Ulatha i dwóch nieznanymi na tych, którzy przeżyli pierwszy atak. Miecz Tyniana miał o wiele szersze ostrze, niż miecze używane przez rycerzy Zakonu Pandionu, a co za tym idzie więcej ważył. Ten ciężar sprawiał, że broń była jeszcze bardziej skuteczna - - Tynian z równą łatwością ciął zbroję jak ciało. Topór Ulatha nie był oczywiście zbyt subtelną bronią. Rycerz rąbał nim ludzi niczym drwał ścinający drzewa.

Sparhawk zauważył, jak jeden z dziwnych rycerzy uniósł się w strzemionach i zadał z rozmachem cios. To, co pandionita trzymał w swej odzianej w rękawicę dłoni, nie było mieczem, ale raczej tym samym rodzajem poświaty, jaką duch Lakusa złożył na dłonie Sephrenii w nędznej izdebce w Chyrellos. Poświata zdawała się przenikać na wylot ciało najemnika, który z pobladłą twarzą wpatrywał się w swoją pierś. Nie zobaczył jednak śladu krwi, pordzewiała zbroja była nieknięta. Z okrzykiem przerażenia najemnik odrzucił swój miecz i uciekł. Potem uwagę Sparhawk zaprzętnął następny nieprzyjaciel.

Gdy ostatni z napastników padł martwy, Sparhawk zawrócił Farana i ruszył ku Bevierowi i Kaltenowi, ale jego pomoc była zbyt późna. Trzech spośród tych, którzy zaatakowali ich od tyłu, było już powalonych. Inny siedział w siodle zgięty w pół, ściskając obiema dłońmi brzuch. Dwóch jeszcze usiłowało desperacko odparowywać ciosy miecza Kaltena i halabardy Beviera. Kalten wywinął mieczem i bez trudu wytrącił jednemu broń, a w tej samej chwili Bevier, jakby od niechcenia, pozbawił głowy drugiego.

— Nie zabijaj go! — krzyknął Sparhawk do Kaltena, który właśnie unosił swój miecz.

— Ale... — zaprotestował Kalten.

— Chcę go przepytac.

Kalten z rozczarowaniem patrzył na przyjaciela jadącego pobjowiskiem w jego stronę. Sparhawk zatrzymał Farana.

— Zsiądź z konia — polecił przestraszonemu jeńcowi. Miał on na sobie, podobnie jak jego powaleni towarzysze, przypadkowo dobrane części zbroi, zardzewiałe i w wielu miejscach uszkodzone, ale miecz, który Kalten wytrącił mu z dłoni, był wypolerowany i ostry.

— Jesteś pewnie najemnikiem — zwrócił się do niego Sparhawk.

— Tak, do-dostojny pa-panie — wyjąkał tamten z pelozyjskim akcentem.
 — Nie poszło wam zbyt dobrze, co? — zapytał Sparhawk niemal przyjaźnie.
 Najemnik zaśmiał się nerwowo, spoglądając na leżące wokół ciała.
 — Nie, dostojny panie, nie tak sobie to wyobrażaliśmy.
 — Daliście z siebie wszystko. A teraz potrzebne nam jest imię tego, który was wynajął.
 — Nie pytałem go o imię, dostojny panie.
 — A więc go opisz.
 — Ja... ja nie mogę, dostojny panie.
 — Myślę, że nasza rozmowa przestanie już być taka miła — odezwał się Kalten.
 — Wstawcie go do ogniska — zaproponował Ulath.
 — Ja tam zawsze lubiłem powoli wlewać im wrzącą smołę za pancerz — powiedział Tynian.
 — Śruby do zgniatania palców — rzekł zdecydowanie Bevier.
 — Widzisz, jak to jest, ziomku — zwrócił się Sparhawk do więźnia, którego twarz wyraźnie poszarzała. — Będiesz mówił. My tu jesteśmy, a człowieka, który cię wynajął, nie ma. On mógł cię straszyć różnymi okropnościami, ale my je tobie zrobimy. Oszczędź sobie wielu przykrości i odpowiedz na moje pytania.
 — Dostojny panie — wybełkotał więzień — nie mogę, nawet jeżeli zamęczycie mnie na śmierć.
 Ulath zeskoczył z siodła i podszedł do popłakującego jeńca.
 — Och, przestań — mruknął. Uniósł wyciągniętą dłoń nad głowę więźnia i przemówił w przykrym dla ucha języku, którego Sparhawk nie rozumiał, ale był pewien, że nie jest to ludzka mowa. Jeniec spojrział bezmyślnie i opadł na kolana. Jąkając się, zupełnie beznamyślnym głosem zaczął mówić w tym samym języku co Ulath.
 — Rzucono na niego czar — tłumaczył rycerz Zakonu Genidianu. — W żaden sposób nie zmusilibyśmy go do mówienia.
 Najemnik coraz szybciej mówił w tym przerażającym języku.
 — Dwóch go najmowało — tłumaczył dalej Ulath — zakapturzony Styrik i człowiek o białych włosach.
 — Martel! — wykrzyknął Kalten.
 — Bardzo możliwe — zgodził się Sparhawk.
 Więzień ponownie przemówił.
 — Styrik rzucił na niego czar — mruknął Ulath. — To czar z rodzaju tych, których nie znam.
 — Pewnie ja też go nie znam — przyznał Sparhawk. — Zobaczymy, czy Sephrena da sobie z nim radę.
 — Och, jest jeszcze coś — dodał Ulath. — Ten atak był skierowany na nią.
 — Co?!

— Rozkazano im zabić styricką niewiastę.

— Kaltenie! — wrzasnął Sparhawk, ale jasnowłosy rycerz już spiał ostrogami swojego rumaka.

— A co z nim? — zapytał Tynian wskazując na więźnia.

— Puść go wolno! — zawołał Sparhawk galopując za Kaltenem. — Za mną!

Gnając szukał wzrokiem dziwnych rycerzy, ale nigdzie ich nie było. Dopiero ze szczytu wzgórza dostrzegł tajemniczych pandionitów. Grupa ludzi otaczała skalny pagórek, gdzie Kurik ukrył Sephrenię i dzieci. Obaj rycerze w czarnych zbrojach siedzieli spokojnie na koniach. Znajdowali się między napastnikami a skałą. Nie próbowali walczyć, ale też nie ustępowali swojego pola przeciwnikom. Na oczach Sparhawka jeden z atakujących rzucił dzidą, która przeleciała przez zbroję i ciało pandionity nie czyniąc mu widocznie żadnej szkody.

— Faran! — wrzasnął. — Gnaj! — Rzadko zdarzało się, aby Sparhawk odwoływał się do lojalności swojego rumaka miast polegać jedynie na jego treningu. Rosły srokacz lekko zadrżał, a potem wyrwał z kopyta wyprzedzając innych.

Atakujących było dziesięciu i wszyscy oni wyraźnie obawiali się dwóch widmowych postaci zagrażających im drogę do skały. Wtem jeden z nich rozejrzał się i spostrzegł pędzącego Sparhawka, a za nim pozostałych rycerzy. Krzyknął ostrzegawczo. Jego kamraci zamarli jak sparaliżowani, a potem wszyscy rozpierzchli po łące, uciekając w tak wielkiej panice, jaką niezmiernie rzadko zdarzało się Sparhawkowi widywać u najemników. Faran wpadł na kamienne zbocze, jego stalowe podkowy krzeszały skry. Tuż przed skalnym gniazdem rycerz wstrzymał ostro konia.

— Wszyscy cali?! — zawołał do Kurika.

— Nic nam nie jest — odparł giermek wyglądając zza kamiennego umocnienia, jakie wznosił razem z Beritem. — Było jednak niewesoło, zanim nie pojawili się ci dwaj rycerze. — Kurik rzucił trwożne spojrzenie na jeźdźców, którzy bronili ich przed napastnikami. Tuż za giermkim pojawiła się śmiertelnie blada Sephrenia.

Sparhawk odwrócił się do tajemniczych postaci.

— Myślę, że nadszedł czas na prezentację, bracia — powiedział — i na wyjaśnienia.

Nieznajomi milczeli. Sparhawk przyjrzał się im uważniej. Konie, na których siedzieli, teraz jeszcze bardziej przypominały szkielety i rycerz wzdrygnął się widząc, że zwierzęta miast oczu mają puste oczodoły, a spod wyliniącej skóry sterczą im kości. Obaj rycerze zdjęli hełmy. Ich oblicza były zamglone i niewyraźne, prawie przezroczyste i również bezokie. Jeden z nich wydawał się bardzo młody, o włosach koloru pszenicy. Drugi był stary i siwy. Powoli Sparhawk zaczynał rozumieć. Znał ich; wiedział, że obaj już nie żyją.

— Panie Sparhawku — odezwał się duch Parasima głuchym, bezbarwnym głosem — śpiesz się waść z wypełnieniem swej misji. Czas nie będzie dla wasz-

mościów stał w miejscu.

— Dlaczego powróciliście z krainy umarłych? — zapytała Sephrenia. Jej głos drżał.

— Nasza przysięga daje nam w razie potrzeby moc powrotu z krainy cieni, mateczko — odparł duch Lakusa, także głosem głuchym i bezbarwnym. — Inni również dołączą do naszej drużyny, nim królowa powróci do zdrowia. — Następnie bezoki cień zwrócił się do Sparhawk. — Dobrze strzeż naszej ukochanej mateczki, albowiem jest ona w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jeżeli zginie, nasza śmierć będzie daremna i królowa umrze.

— Będę jej strzegł, panie Lakusie — obiecał Sparhawk.

— Wiedz również i rzecz ostatnią. Śmierć Ehlany oznacza coś więcej niż tylko stratę królowej. Ciemności gromadzą się, a Ehlana jest naszym ostatnim promyczkiem nadziei.

Obie zjawy rozplynęły się w powietrzu i znikły.

Czterej rycerze, którzy zostali u stóp skalnego pagórka, wpadli teraz z impetem na kamienny stok i ostro wstrzymali rumaki.

— Kim oni byli? — zapytał Kalten. Był blady i wyraźnie drżał.

— To pan Parasim i pan Lakus — odparł cicho Sparhawk.

— Pan Parasim? On nie żyje.

— Lakus również.

— Duchy?

— Na to by wyglądało.

Tynian zsiadł z konia i zdjął swój masywny hełm. On również był blady i zlany zimnym potem.

— Bawiłem się kiedyś w przywoływanie duchów — powiedział — chociaż często nie z własnej woli. Zwykle duchy muszą być przywoływane, ale czasami pojawiają się same — szczególnie jeżeli nie dokończyły robić czegoś ważnego.

— To była ważna sprawa — rzekł cicho Sparhawk.

— Czy chciałbyś nam o czymś jeszcze powiedzieć, dostojny panie? — zapytał Uloth. — Wydaje się, że przemilczałeś kilka spraw.

Sparhawk spojrział na Sephrenię. Nadal była śmiertelnie blada, ale wyprostowała się i skinęła głową.

Głęboko zaczerpnął tchu.

— Zakłęcie, które zamknęło Ehlane w kryształach i utrzymuje ją przy życiu, było wspólnym dziełem Sephrenii i dwunastu rycerzy Zakonu Pandionu — wyjaśnił.

— Cały czas zastanawiałem się, kto tego dokonał — powiedział Tynian.

— Jest tylko jeden problem — ciągnął dalej Sparhawk. — Rycerze będą po kolei umierać, aż pozostanie tylko Sephrenia.

— A wtedy...? — zapytał drżącym głosem Bevier.

— A wtedy ja również odejdę — odparła Sephrenia po prostu.

Młody cyrinita westchnął głęboko.

— Nie, póki ja żyję — rzekł zdławionym głosem.

— Jednakże ktoś próbuje przyspieszyć bieg spraw — podjął Sparhawk. — Odkąd opuściliśmy Cimmurę, już trzeci raz nastawano na życie mateczki.

— Ale przeżyłam — stwierdziła krótko Sephrenia, zanim ktokolwiek zdążył się odezwać. — Czy wiecie, kto kryje się za tym napadem?

— Martel i jakiś Styrik — odrzekł Kalten. — Styrik rzucił czar na najemników, by nie mogli ich zdradzić, ale Ulath jakoś go złamał. Rozmawiał z jeńcem w języku, którego nie rozumiałem.

Czarodziejka rzuciła rycerzowi z Thalesii pytające spojrzenie.

— Rozmawialiśmy w języku trolli — mruknął Ulath. — To nie jest ludzki język, a więc czar go nie obejmował.

Utkwiła w nim pełne przerażenia spojrzenie.

— Odwoływałeś się do bogów trolli? — Z trudem łąpała oddech.

— Czasami tak trzeba, pani — odparł. — Nie jest to zbyt niebezpieczne pod warunkiem, że jest się ostrożnym.

Bevier wydawał się bliski łez.

— Za twoim przyzwoleniem, dostojny panie Sparhawk — rzekł — chciałbym osobiście podjąć się ochrony szlachetnej Sephrenii. Chciałbym stale pozostawać u boku tej dzielnej damy, a jeśli zdarzą się następne potyczki, swoim życiem gwarantuję, że nie spotka jej nic złego.

Przez twarz Sephrenii przemknął wyraz zakłopotania i spojrzała prosząco na Sparhawk.

— To dobry pomysł — rzekł jednak rycerz nie bacząc na jej niemy protest.

Czarodziejka rzuciła mu złowieszcze spojrzenie.

— Czy pogrzebiemy zabitych? — zapytał Tynian.

Sparhawk potrząsnął głową.

— Nie mamy czasu na kopanie grobów — stwierdził. — Moi bracia umierają jeden po drugim, a na końcu tej listy jest Sephrenia. Jeżeli spotkamy po drodze wieśniaków, wskażemy, gdzie leżą ciała. Łup, który im przypadnie w udziale, będzie wystarczającym wynagrodzeniem za wykopanie dołu. Ruszajmy.

Borrata była miastem uniwersyteckim, które wyrosło dookoła okazałych budynków najstarszego ośrodka uczelnianego w Eosii. W przeszłości Kościół nieraz wywierał naciski, aby przenieść go do Chyrellos, ale gronu profesorskiemu udawało się zawsze pokrzyżować te zakusy, jako że zależało im na zachowaniu swojej autonomii i niezawisłości od władz kościelnych.

Dotarli do miasta późnym popołudniem. Zatrzymali się w jednym z miejscowych zajazdów, który czystością i wygodami znacznie przewyższał poprzednie miejsca ich postoju w Elenii i Cammorii.

Następnego ranka Sparhawk przywdział kolczugę, a na nią zarzucił ciężki, wełniany płaszcz. Zszedł do izby biesiadnej na parterze zajazdu.

— Mamy ci towarzyszyć? — zapytał Kalten.

— Nie — odparł rycerz. — Nie róbmy widowiska. Uniwersytet znajduje się niezbyt daleko stąd i na tej krótkiej drodze sam mogę zapewnić Sephrenii bezpieczeństwo.

Bevier chciał zaprotestować. Bardzo sumiennie spełniał rolę opiekuna Sephrenii, jaką sam sobie wyznaczył, i w czasie podróży do Borraty z rzadka oddalał się od niej na więcej niż na kilka kroków. Sparhawk spojrzał na poważnego młodzieńca.

— Wiem, panie Bevierze, że każdej nocy trzymałeś straż przed jej drzwiami — powiedział. — Może byś się trochę przespał? Na niewiele jej i nam wszystkim zdasz się, kiedy spadniesz z siodła.

Twarz Beviera stężała.

— On nie chciał cię obrazić, panie Bevierze — łagodził Kalten. — Sparhawk po prostu jeszcze nie bardzo wie, co oznacza słowo „dyplomacja”. Miejmy nadzieję, że pewnego dnia to zrozumie.

Bevier uśmiechnął się lekko, a potem wybuchnął głośnym śmiechem.

— Myślę, że to trochę potrwa, zanim przyzwyczaję się do was, rycerzy Zakonu Pandionu — powiedział.

— Wykorzystaj spędzony z nami czas na zbieranie nowych doświadczeń — poradził mu Kalten.

— Zdajecie chyba sobie sprawę, że jeżeli panu Sparhawkowi i Sephrenii uda się zdobyć lekarstwo, to w drodze powrotnej do Cimmury czeka nas jeszcze masa kłopotów — rzekł Tynian. — Możliwe, że trafimy na całe armie próbujące nas zatrzymać.

— Madel lub Sarrinium — poradził tajemniczo Ulath.

— Nie bardzo rozumiem — przyznał Tynian.

— Te armie, o których wspomniałeś, będą próbowały zagrozić nam drogę do Chyrellos, abyśmy tam nie dotarli jadąc do Elenii. Jeżeli pojedziemy na południe do jednego z portów morskich, będziemy mogli wynająć statek i pożeglować do Vardenais na zachodnim wybrzeżu Elenii. A w dodatku morzem podróżuje się szybciej.

— Zastanowimy się nad tym, jak już znajdziemy lekarstwo — rzekł Sparhawk.

Sephrenia zeszła na dół. Prowadziła małą Flecik za rączkę.

— Jesteś już gotów? — zapytała.

Sparhawk skinął głową.

Czarodziejka powiedziała coś do dziecka i dziewczynka ruszyła w kierunku Talena.

— Zostałeś wybrany, Talenie — rzekła Sephrenia do chłopca. — Opiekuj się nią podczas mojej nieobecności.

— Ale... — chłopak chciał zaprotestować.

— Rób, co ci kazano — odezwał się Kurik ze zniecierpliwieniem.

— Planowałem, że trochę się rozejrzę dookoła.

— Nie. — Kurik był stanowczy. — Na pewno nigdzie nie pójdziesz.

Talen posmutniał.

— Dobrze, już dobrze — powiedział zrezygnowany, gdy Flecik wdrapywała się mu na kolana.

Uniwersytet mieścił się nie opodal, więc Sparhawk postanowił nie brać koni i razem z Sephrenią ruszyli pieszo wąskimi uliczkami Borraty. Czarodziejka rozglądała się dookoła.

— Bardzo długo tu nie byłam — szepnęła.

— Nie rozumiem, mateczko, twojego sentymentu do uniwersytetu — Sparhawk uśmiechnął się — biorąc pod uwagę, jaki wstręt żywisz wobec ksiąg.

— Ja nie studiowałam, mój drogi. Ja nauczałam.

— Mogłem się tego domyślić. Jak radzisz sobie z panem Bevierem, mateczko?

— Dobrze, mimo że nie pozwala mi niczego samej robić i cały czas próbuje mnie nawrócić na wiarę Elenów.

— Po prostu stara się ochraniać cię, mateczko — zarówno twoją osobę, jak i twoją duszę.

— Chcesz mnie rozśmieszyć?

Uznał, że lepiej na to nie odpowiadać.

Tereny uniwersyteckie przypominały park, a studenci i wykładowcy zamyśleni spacerowali po dobrze utrzymanych trawnikach.

Sparhawk zatrzymał młodzieńca w zielonym kubraku.

— Przepraszam, ziomku — powiedział — czy mógłbyś mi wskazać drogę do wydziału medycznego?

— Jesteś chory?

— Nie, ale mam chorą przyjaciółkę.

— Lekarze zajmują tamten budynek. — Student wskazał na budowlę z szarego kamienia.

— Dziękuję, ziomku.

— Mam nadzieję, że twoja przyjaciółka szybko powróci do zdrowia.

— My również mamy taką nadzieję.

Po wejściu do budynku spotkali grubego mężczyznę w czarnej szacie.

— Przepraszam — zwróciła się do niego Sephrenia. — Czy jesteś lekarzem, uczony panie?

— Tak.

— Doskonale. Czy masz chwilę wolnego czasu?

Grubasek przyjrzał się z uwagą Sparhawkowi.

— Niestety — odmówił krótko. — Jestem zajęty.

— Czy mógłbyś więc skierować nas do któregoś ze swoich kolegów, panie?

— Spróbujcie w którychkolwiek drzwiach — powiedział machając ręką. Odszedł w pośpiechu.

— Dziwne zachowanie jak na uzdrowiciela — rzekł rycerz.

— Wszędzie zdarzają się gburzy — odparła czarodziejka.

Minęli przedsionek i Sparhawk zapukał do pomalowanych ciemną farbą drzwi.

— O co chodzi? — odezwał się znużony głos.

— Chcemy zasięgnąć porady lekarskiej.

— Dobrze — odparł znużony głos po dłuższej chwili. — Wejdźcie.

Sparhawk otworzył drzwi i przepuścił Sephrenię.

Człowiek siedzący za zagraconym biurkiem miał mocno podkrążone oczy i można było sądzić, że nie golił się od kilku tygodni.

— Jakie są objawy twojej choroby? — zapytał Sephrenię głosem świadczącym o wyczerpaniu.

— To nie ja jestem chora.

— A więc on? — Lekarz wskazał na Sparhawk. — Na oko sprawia wrażenie dość krzepkiego.

— Nie, on również jest zdrowy. Przybyliśmy tutaj w sprawie naszej przyjaciółki.

— Nie chodzę po domach.

— Nie prosimy cię o to — rzekł Sparhawk.

— Nasza przyjaciółka leży chora dość daleko stąd — powiedziała Sephrenia. — Myśleliśmy, że jeżeli opiszemy objawy, to może będziesz mógł odgadnąć przyczynę choroby.

— Ja nie zajmuję się zgadywaniem — uciał krótko. — Jakie to są objawy?

— Bardzo podobne do tych przy padaczce — zaczęła Sephrenia.

— A więc właśnie sama postawiłaś diagnozę.

— Jednakże są pewne różnice.

— Dobrze. Opisz te różnice.

— Chodzi o gorączkę, wysoką gorączkę oraz obfite poty.

— To do siebie nie pasuje, panienko. Przy gorączce skóra jest sucha.

— Tak, wiem.

— Masz medyczne wykształcenie?

— Trochę się znam na medycynie ludowej.

Prychnął.

— Z własnego doświadczenia wiem, że ludowe sposoby raczej uśmiercają pacjentów, niż leczą. — Skrzywił się z pogardą. — Jakie jeszcze inne objawy zauważyłaś?

Sephrenia dokładnie opisała chorobę, która doprowadziła. Ehlanę do śpiączki.

Lekarz nie słuchał, wpatrywał się uważnie w Sparhawk. Nagle jego spojrzenie przybrało chytry wyraz.

— Przykro mi — odezwał się szorstko, gdy Sephrenia skończyła. — Powinnościście wrócić i jeszcze raz przyjrzeć się waszej przyjaciółce. To, co opisałaś, nie pasuje do żadnej znanej choroby.

Sparhawk wyprostował się zaciskając pięści, ale Sephrenia pohamowała go kładąc mu dłoń na ramieniu.

— Dziękujemy, że poświęciłeś nam tyle czasu, uczony panie — powiedziała uprzejmie. — A więc chodźmy — zwróciła się do rycerza i oboje wyszli na korytarz.

— Dwóch z rzędu — mruknął Sparhawk.

— Dwóch... co?

— Ludzi o złych manierach.

— Trudno temu zaprzeczyć.

— Nie rozumiem.

— Nauczyciele obdarzeni są pewną naturalną arogancją.

— Ty jej nigdy nie okazywałaś, mateczko.

— Panuję nad sobą. Spróbuj zapukać do innych drzwi, Sparhawk.

Przez następne dwie godziny rozmawiali z siedmioma lekarzami. Każdy z nich po badawczym spojrzeniu na twarz Sparhawk'a udawał, że nic nie wie.

— Zaczyna mnie ogarniać dziwne uczucie — mruknął rycerz, gdy zamknęli za sobą kolejne drzwi. — Rzucają na mnie okiem, a potem nagle głupieją. A może tylko mi się tak zdaje?

— Ja również to zauważyłam — odparła czarodziejka w zamyśleniu.

— Wiem, że moja twarz nie jest zbyt urocza, ale nigdy dotychczas na jej widok nie odbierało nikomu mowy.

— Twoja twarz jest absolutnie w porządku, Sparhawk.

— Przesłania z przodu moją głowę. Czego więcej można oczekiwać od twarzy?

— Lekarze z Borraty wydają się o wiele mniej biegli, niż myśleliśmy.

— A więc zmarnowaliśmy tylko czas?

— Jeszcze nie skończyliśmy. Nie trać nadziei.

W końcu dotarli do małych, nie pomalowanych drzwi na końcu nędznego korytarzyka. Sparhawk zapukał.

— Wynocha! — dobiegł ich bełkotliwy głos.

— Potrzebujemy twojej pomocy, uczony panie — powiedziała Sephrenia.

— Idźcie zawracać głowę komu innemu. Jestem bardzo zajęty. Właśnie się upijam.

— Tego już za wiele! — warknął Sparhawk. Złapał za klamkę, ale okazało się, że drzwi są zamknięte od środka. Roześlony otworzył je kopniakiem, wyrывая z zawiasów.

Człowiek we wnętrzu małego pokoiku gapił się na nich zdumiony. Był drobny, brudny, miał przygarbione plecy i zamglone spojrzenie.

— Bardzo głośno pukasz, przyjacielu — zauważył. — No, nie stójcie tak. Wejdźcie do środka. — Był odziany nędznie. Jego głowa, okolona strzechą siwych włosów, trzęsła się wyraźnie.

— Czyżby to tutejsza woda sprawiała, że jesteście tu wszyscy tacy grubiańscy? — zapytał Sparhawk ze skwaszoną miną.

— Nie wiem — odparł człeczyna. — Nigdy nie pijam wody. — Pociągnął głośny łyk z powgniatanego pucharu.

— O, to widzimy na własne oczy.

— Czy spędzimy resztę dnia docinając sobie, czy też powiecie mi, jaki was tu sprowadza kłopot? — Lekarz popatrzył znacząco na twarz Sparhawka. — A więc ty jesteś tym człowiekiem — rzekł.

— Którym?

— Tym, z którym mieliśmy nie rozmawiać.

— Czy mógłbyś to wyjaśnić?

— Kilka dni temu przybył tu pewien człowiek. Powiedział, że każdy z lekarzy w tym budynku dostanie sto sztuk złota, jeżeli opuścicie to miejsce z pustymi rękami.

— Jak on wyglądał?

— Miał posturę wojaka i białe włosy.

— Martel — rzekł Sparhawk do Sephrenii.

— Powinniśmy się od razu domyślić — odparła.

— Rozchmurzcie się, przyjaciele — odezwał się brudny człeczyna. — Dzięki temu dotarliście do najznakomitszego lekarza w Borracie. — Uśmiechnął się. — Wszyscy moi koledzy z nastaniem jesieni odlatują z kaczkami na południe — „kwa, kwa, kwa”. Nie macie szans, by od nich uzyskać jakąś poradę. Ten białowłosy mężczyzna powiedział, że opiszecie objawy pewnej choroby. Zrozumiałem, że gdzieś daleko pewna dama jest chora, a wasz przyjaciel — ten Martel, o którym wspomnieliście — wolałby, aby ona nie wyzdrowiała. Czemu nie mielibyśmy spłatać mu figła? — Pociągnął tęgi łyk ze swojego pucharu.

— Jesteś chlubą swego zawodu, dobry panie doktorze — powiedziała Sephrenia.

— Nie. Jestem złośliwym, pijanym staruchem. Chcecie wiedzieć, czemu mam ochotę wam pomóc? Dlatego, że z rozkoszą posłucham wściekłych wrzasków moich kolegów, gdy pieniądze przejdą im koło nosa.

— To jest równie dobry powód, jak każdy inny — ocenił Sparhawk.

— No właśnie. — Podpity lekarz przyjrzał się nosowi Sparhawka. — Czemu nie dałeś go sobie wyprostować? — zapytał.

— Byłem zajęty czym innym. — Rycerz dotknął nosa palcem.

— Jeśli chcesz, mogę ci go poprawić. Musiałbym jedynie wziąć młotek i zła-
mać ci go ponownie. A potem bym ci go nastawił.

— Bardzo dziękuję, ale już się do niego przyzwyczaiłem.

— Jak chcesz. No, dobrze. Opiszcie te objawy.

Jeszcze raz Sephrenia powtórzyła całą listę symptomów.

Lekarz siedział drapiąc się za uchem i mrużąc oczy. Następnie przekopał się
przez śmietnik na biurku i wyciągnął grubą, oprawną w skórę księgę. Kartkował
ją przez kilka chwil, a potem zamknął z trzaskiem.

— Tak jak myślałem! — W jego głosie dźwięczał triumf.

— Więc? — zapytał Sparhawk.

— Wasza przyjaciółka została otruta. Umarła już?

— Nie. — Zimny dreszcz przebiegł rycerzowi po plecach.

— To tylko kwestia czasu. — Lekarz wzruszył ramionami. — Mamy do czy-
nienia z rzadkim rodzajem trucizny z Rendoru. Niestety, jest śmiertelna.

Sparhawk zacisnął szczęki.

— Wróć do Cimmury — zazgrzytał zębami — i wypruję Anniasowi flaki
tęym nożem.

Brudny czelczyzna spojrział na niego z nagłym zainteresowaniem.

— Zrób to tak: natnij mu skórę z boku tuż poniżej pępka — poradził. — Potem
go kopnij w tyłek, a wtedy wszystko powinno z niego wypaść.

— Dziękuję.

— To porada bezpłatna. Jeżeli coś robisz, rób to jak należy. Ty chyba uważasz,
że ten Annias otruł waszą przyjaciółkę, tak?

— Nie mam co do tego wątpliwości.

— Więc go zabij. Nie cierpię trucicieli.

— Czy jest jakieś antidotum na tę truciznę? — zapytała Sephrenia.

— Ja żadnego nie znam. Powinniście zasięgnąć porady moich kolegów, me-
dyków z Cipprii, ale chora nie dożyje waszego powrotu.

— Możemy jechać — powiedziała Sephrenia. — Utrzymujemy ją przy życiu.

— Ciekaw jestem, jak tego dokonaliście.

— Ta dama jest Styriczką — rzekł Sparhawk. — Ona ma dostęp do pewnych
niezwykłych rzeczy.

— Czary? Czy one naprawdę działają?

— Czasami tak. — W takim razie może starczy wam czasu. — Lekarz ode-
rwał róg jednego z dokumentów leżących na biurku i zanurzył pióro w prawie
pustym kałamarzu. — Pierwsze dwa słowa to imiona dwóch wybitnych medyków
z Cipprii — mówił bazgrząc coś na skrawku pergaminu. — Ostatnie to nazwa tru-
cizny. — Podał świstek Sparhawkowi. — Powodzenia. A teraz wynoście się stąd.
Chcę znów zająć się tym, co robiłem, zanim kopniakiem wywaliłeś drzwi.

Rozdział 16

— Nie wyglądacie na Rendorczyków — tłumaczył Sparhawk. — Cudzoziemcy nie spotykają się tam ze zbyt miłym przyjęciem. Ja mogę uchodzić w Cyprii za tubylca. Kurik również. Kobiety rendorskie zasłaniają twarze, a więc z Sephrenią nie będzie kłopotu. Reszta musi zostać tutaj.

Siedzieli w dużej izbie na górnym piętrze zajazdu. Pomieszczenie było puste, jeżeli nie liczyć kilku ław stojących pod ścianami, wąskich okien nie przesłaniały żadne zasłony. Sparhawk streścił towarzyszom rozmowę z podpitym lekarzem oraz powiadomił, że tym razem Martel, by im przeszkodzić, użył przekupstwa.

— Możemy przecież ufarbować czymś włosy — protestował Kalten. — Czy to by nie wystarczyło?

— Tu chodzi o styl bycia — wyjaśniał Sparhawk. — Kaltenie, mogę pomalować cię na zielono, a ludzie nadal będą wiedzieć, że jesteś Eleńczykiem. To samo w większym lub mniejszym stopniu odnosi się do was wszystkich, bo wszyscy zachowujecie się jak rycerze. Trzeba lat, by was tego oduczyć.

— A więc chcesz, byśmy tu pozostali? — zapytał Ulath.

— Nie. Jedźmy wszyscy do Madelu — postanowił Sparhawk. — Jeżeli w Cyprii zdarzyłoby się coś nieprzewidzianego, szybciej będę mógł was o tym powiadomić.

— Przegapiłeś coś, Sparhawk — powiedział Kalten. — Wiemy, że kręci się tu Martel i pewnie ma wszędzie szpiegów. Jeżeli wszyscy w pełnych zbrojach wyjedziemy z Borraty, on dowie się o tym, zanim oddalimy się na strzał z łuku.

— Pielgrzymi — rzucił enigmatycznie Ulath.

— Nie bardzo rozumiem. . . — Kalten zmarszczył czoło.

— Jeżeli załadujemy nasze zbroje na wóz i odziejemy się skromnie, to będziemy mogli przyłączyć się do grupy pielgrzymów i nikt nie zwróci na nas uwagi. — Ulath spojrzał na Beviera. — Czy wiesz coś więcej na temat Madelu? — zapytał.

— Mamy tam swój klasztor — odparł cyrinita. — Odwiedzam go od czasu do czasu.

— Czy są tam jakieś święte groby lub może inne otaczane czcią miejsca?

— Kilka. Ale pielgrzymi rzadko podróżują zimą.

— Podróżują, jeśli się im za to zapłaci. Wynajmiemy paru razem z księdzem, żeby śpiewał hymny po drodze.

— To jest szansa, Sparhawk — powiedział Kalten. — Martel nie wie, w którą stronę się stąd udamy, a więc jego szpiedzy muszą być znacznie rozproszeni.

— Gdybyśmy natknęli się na Martela, gdy będziesz w Cipprii, to po czym go poznamy? — zapytał Bevier.

— Kalten go zna — odparł Sparhawk — i Talen też go raz widział. — Wtem coś sobie przypomniał. Spojrzał na chłopca, który bawił się z Flecikiem w kocią kołyskę i właśnie zastanawiał się, jak z palców dziewczynki zdjąć sznurek, by ułożył się w kolejny wzór. — Talenie, czy mógłbyś narysować portret Martela i Kragera?

— Oczywiście.

— Możemy także wywołać wizerunek Adusa — dodała Sephrenia.

— Adus? To łatwe — powiedział Kalten. — Wystarczy ubrać goryla w zbroję i już masz jego podobiznę.

— Dobrze, zrealizujemy pomysł pana Ulatha — rzekł Sparhawk. — Bericie!

— Słucham, dostojny panie.

— Wyszukaj jakiś biedny kościół. Porozmawiaj z wikarym. Powiedz, że chcemy sfinansować pielgrzymkę do świętych grobów w Madelu. Niech wybierze kilkunastu spośród najuboższych parafian i przyprowadzi ich tu jutro rano. Chcielibyśmy, aby i on towarzyszył nam jako, powiedzmy, opiekun naszych dusz. I obiecaj mu, że jeśli na to przystanie, to złożymy hojny datek na jego kościół.

— A jeżeli spyta o intencję naszej pielgrzymki, dostojny panie?

— Powiedz, że dopuściliśmy się śmiertelnego grzechu i chcemy go odpokutować — mruknął Kalten. — Tylko nie wdawaj się w szczegóły.

— Panie Kaltenie! — krzyknął Bevier. — Chyba nie chcesz okłamywać duchownego?

— To nie będzie kłamstwo. Wszyscy wszak grzeszymy. Ja sam tylko w tym tygodniu zgrzeszyłem co najmniej sześć razy. A poza tym wikary biednego kościoła nie będzie zadawał zbyt wielu pytań, gdy w grę wchodzi datek.

Sparhawk wyciągnął spod bluzy skórzaną sakiewkę. Potrząsnął nią kilka razy i wszyscy usłyszeli wyraźny brzęk monet.

— Szlachetni panowie — rozwiązał mieszek — dotarliśmy do tego, co wszyscy chyba lubicie najbardziej: zbieramy datki. Boga radują hojni ofiarodawcy, a więc nie krępujcie się. Wikary musi mieć dość pieniędzy na wynajęcie pielgrzymów. — Każdemu z rycerzy podtykał sakiewkę, a oni dorzucali do niej swoje monety.

— Może Bóg zadowoliliby się obietnicą datku? — spytał Kalten.

— Bóg może tak. Ja nie. Dorzuć coś i ty, Kaltenie.

Następnego ranka na dziedzińcu zajazdu zebrała się grupa biednie odzianych ludzi — wdowy w połatanych strojach żałobnych, rzemieślnicy bez pracy i kilku żebraków. Wszyscy dosiadali znużonych szkap lub sennie wyglądających mułów. Sparhawk przyglądał im się z okna.

— Niech właściciel zajazdu ich nakarmi — zwrócił się do Kaltena.

— Sporo ich, Sparhawk.

— Nie chcę, by po godzinie podróży mdleli z głodu. Zajmij się nimi, a ja tymczasem porozmawiam z wikarym.

— Jak sobie życzysz — mruknął Kalten. — Może mam ich również wykapać? Niektórzy są jakby nie domyci.

— Nie trzeba. Nakarm również ich konie i muły.

— Czy nie jesteśmy czasami zbyt hojni?

— A będziesz dźwigał każdego, komu padnie koń?

— Och, zaraz się nimi zajmę.

Wikary biednego kościółka był szczupłym, sześćdziesięcioletnim mężczyzną. Miał siwe, kręcone włosy i poznaczoną głębokimi zmarszczkami twarz. Sprawiał wrażenie przestraszonego.

— Dostojny panie... — Ukłonił się głęboko Sparhawkowi.

— Proszę, księżę dobrodzieju — zwrócił się do niego Sparhawk — wystarczy zwyczajnie „pielgrzymie”. Przed Bogiem wszyscy jesteśmy równi. Moi towarzysze i ja chcemy po prostu dołączyć do twych wiernych i udać się do Madelu, gdzie będziemy mogli pomodlić się przy świętych grobach o to, by Bóg w swej niezmierzonej łaskawości ukoił nasze strapione dusze.

— Dobrze powiedziane... hm... pielgrzymie.

— Czy zechcesz dotrzymać nam towarzystwa przy stole, dobrodzieju? — zapytał Sparhawk. — Zanim dziś udamy się na spoczynek, czeka nas kilka lig drogi.

Oczy księdza rozbliły.

— Z największą przyjemnością, dostojny panie... to znaczy pielgrzymie — poprawił się.

Nakarmienie cammoryjskich pielgrzymów i ich wierzchowców zajęło sporo czasu i znacznie nadwreżyło zapasy kuchni i stajni zajazdu.

— Nigdy nie widziałem ludzi jedzących tak dużo — burczał Kalten wskakując na siodło. Jasnowłosy rycerz miał na sobie gruby płaszcz bez żadnych oznaczeń.

— Byli głodni — rzekł Sparhawk. — Możemy przynajmniej zadbać o to, by zjedli kilka solidnych posiłków, nim wrócą do Borraty.

— Miłosierdzie, panie Sparhawk? — zapytał Bevier. — Toż to się kłóci z waszą reputacją! Ponurzy pandionici nie słyną z wrażliwości.

— Jakże mało ich znasz, panie Bevierze — mruknęła Sephrenia.

Dosiadła swojej białej klaczy i wyciągnęła ręce do Flecika, ale dziewczynka pokręciła główką, podeszła do Farana i uniosła rączkę. Rosły srokacz opuścił łeb, a ona pogłaskała jego aksamitne chrapy. Sparhawk poczuł, jak dziwny dreszcz przebiegł przez ciało jego wierzchowca. Potem Flecik wyciągnęła prosząco ręce do potężnego pandionity. Sparhawk ze srogą miną pochylił się, podniósł ją i posadził na jej zwykłe miejsce, z przodu na siodle. Otulił dziewczynkę swym płaszczem, a ona przytuliła się do niego, wyciągnęła swoją fujarkę i zaczęła grać tę samą melodię, jaką grała wtedy, gdy po raz pierwszy ją spotkali.

Na czele kolumny wikariusz zaintonował krótką modlitwę, polecając pielgrzymów opiece Boga Elenów. Towarzyszyły mu pytające, a czasem pełne zwątpienia tony fujarki Flecika.

— Bądź grzeczna — szepnął do niej Sparhawk. — To dobry człowiek i robi to, co uważa za właściwe.

Mała spojrzała na niego z łobuzerskim błyskiem w oczach, potem ziewnęła, przytuliła się mocniej i zasnęła.

Jechali na południe pod czystym porannym niebem, a z tyłu za wszystkimi telepał się Kurik z dwukołowym wozem wyładowanym zbrojami i sprzętem. Porwisty wiatr szarpał łachmany pielgrzymów cierpliwie wlokących się za wikarym. Na zachodzie widać było pasmo niskich gór z ośnieżonymi szczytami, od których odbijały się promienie słońca. Tempo jazdy wydawało się Sparhawkowi bardzo wolne, ale biedne wierzchowce pielgrzymów tak sapały i dyszały, że nie miał wątpliwości, iż zwierzęta dawały z siebie wszystko.

Zbliżało się południe, gdy Kalten z tyłu kolumny podjechał do Sparhawka.

— Doganiają nas jacyś jeźdźcy — relacjonował cicho, by nie wzbudzić paniki wśród pielgrzymów. — Bardzo się śpieszą.

— Domyślasz się, kim mogą być?

— Są odziani w czerwone mundury.

— A więc to gwardziści.

— Patrzcie no, jaki bystry! — Kalten zwrócił się do innych rycerzy.

— Ilu ich jest? — zapytał Tynian.

— Wygląda na pluton.

Bevier sięgnął po swą halabardę.

— Trzymaj to w ukryciu — rzekł Sparhawk. — Reszta też niech schowa broń. — Następnie krzyknął w kierunku czoła kolumny: — Dobrodzieju, może zaśpiewamy jakiś hymn? Przy wtórze pieśni droga nie będzie się dłużyć.

Wikariusz odchrząknął i zaczął fałszywie śpiewać chrapliwym głosem. Natychmiast zawtórowali mu pielgrzymi.

— Śpiewajcie! — polecił Sparhawk swoim towarzyszom i wszyscy przyłączyli się do chóru.

Flecik uniosła swoją fujarkę i podgrywała kpiąco.

— Przystań — mruknął do niej Sparhawk. — A jeżeli zaczną się kłopoty, zeskakuj z konia i uciekaj na pole.

Dziewczynka podniosła na niego wzrok.

— Rób, co ci każę, panienko. Nie chcę, by cię zdeptano w czasie walki.

Jednakże gwardziści przejechali obok kolumny śpiewających hymn pielgrzymów nie zwróciwszy na nich większej uwagi i szybko oddalili się.

— Było gorąco — skomentował Ulath.

— Rzeczywiście — przyznał Tynian. — Swoją drogą, walka pośród przerażonych pielgrzymów byłaby interesująca.

— Czy sądzisz, że to nas szukali, dostojny panie? — zapytał Berit.

— Nie wiem — odparł Sparhawk. — Ani myślałem ich zatrzymać, by o to spytać.

Nie śpiesząc się, by oszczędzić nieszczęsne wierzchowce pielgrzymów, zmierzali na południe w kierunku Madel i czwartego dnia od wyruszenia z Borraty w południe dotarli na krańce portowego miasta. Sparhawk podjechał na czoło kolumny do duchownego. Podał zacnemu człowiekowi sakiewkę pełną monet.

— Tu cię opuścimy, dobrodzieju — powiedziało. — Wynikły pewne sprawy, którymi musimy się niezwłocznie zająć.

Wikariusz popatrzył na niego podejrzliwie.

— To był tylko podstęp, prawda, dostojny panie? — zapytał ponuro. — Choć jestem prostym księdzem z kaplicy dla nędzarzy, potrafię rozpoznać Rycerzy Kościoła.

— Wybacz nam, dobrodzieju — odparł Sparhawk. — Zabierz swoich ludzi do świętych miejsc w Madelu. Pomódlcie się, a potem dopilnuj, by zostali nakarmieni do syta. Następnie wróć do Borraty i wykorzystaj resztę pieniędzy według własnego uznania.

— Mogę to uczynić z czystym sumieniem, synu?

— Czystym jak łąza, księżo dobrodzieju. Moi przyjaciele i ja wypełniamy w imieniu Kościoła misję wielkiej wagi i twoja pomoc spotka się z wdzięcznością członków hierarchii z Chyrellos — w każdym razie większości z nich. — Sparhawk zawrócił Farana i dołączył do swoich towarzyszy. — A teraz, panie Bevierze — powiedział — prowadź nas do siedziby swojego zakonu.

— Rozważałem to właśnie, panie Sparhawk — odparł cyrinita. — Nasz klasztor jest pod ścisłą obserwacją miejscowych władz i różnych innych ludzi. Nawet w tych przebraniach zostaniemy z pewnością rozpoznani.

Sparhawk odchrząknął.

— Pewnie masz rację — przyznał. — Przychodzi ci do głowy jakieś inne wyjście?

— Być może. Tak się składa, że mój krewny — markiz ze wschodniego Arcium — ma posiadłość na skraju miasta. Nasza rodzina wyparła się go, ponieważ zajął się handlem. Nie widziałem go od kilku lat, ale może mnie pamięta. To z natury dobry człowiek i jeżeli odpowiednio do niego podejść, może udzieli nam swojej gościny.

— Myślę, że warto spróbować. Dobrze. Prowadź nas tam.

Okrażając Madel od zachodu pojechali do obszernego domostwa, otoczonego niskim murem z miejscowego piaskowca. Dom był odsunięty od drogi, wokół niego rosły niezwykle, wiecznie zielone, równo przyszyżone krzewy. Na wysypanym żwirem podwórku zsiadli z koni. Z domu wyszedł służący w jednobarwnej liberii i zbliżył się do nich z pytającym wyrazem twarzy.

— Bądź tak dobry i zawiadom markiza, że jego kuzyn, Bevier, chciałby zamienić z nim kilka słów — poprosił uprzejmie cyrinita.

— W tej chwili, wielmożny panie — powiedział służący i wrócił do domu.

Zaraz pojawił się postawny i rumiany mężczyzna, ubrany w kolorową jedwabną szatę, jakie były popularne w południowej Cammorii. Uśmiechał się szeroko i powitał Beviera ciepłym uściskiem dłoni.

— Co robisz w Cammorii, kuzynie? — zapytał.

— Szukam schronienia — odparł Bevier. Jego szczerą, młodzieńcza twarz zachmurzyła się na chwilę. — Rodzina nie obeszła się z tobą najlepiej, Lycienie — przyznał. — Nie będę miał do ciebie żalu, jeżeli odprawisz mnie i moich przyjaciół z kwitkiem.

— Bzdura, Bevierze. Sam podjąłem decyzję o zajęciu się handlem. Dobrze wiedziałem, jak zareaguje na to reszta rodziny. Cieszę się, że cię widzę. Wspomniałeś coś o schronieniu?

Bevier skinął głową.

— Przybyliśmy tu w pewnej delikatnej misji — powiedział — a siedzibę naszego zakonu w mieście obserwuje zbyt wiele oczu. Wiem, że to wygórowana prośba, ale czy moglibyśmy skorzystać z twojej gościnności?

— Jak najbardziej, mój chłopcze, jak najbardziej. — Markiz Lycien klasnął w dłonie i na podwórku pojawiło się paru chłopców stajennych. — Zajmijcie się końmi i wozem moich gości — polecił markiz, po czym położył rękę na ramieniu Beviera. — Chodźmy do środka — zaprosił wszystkich. — Mój dom jest waszym domem. — Powiódł ich sklepionym wejściem do wnętrza domu i dalej do pokoju, w którym stały niskie, wyściełane meble, a na kominku paliło się z trzaskiem kilka polan. — Proszę, przyjaciele, siadajcie. — Markiz Lycien przyjrzał im się z zaciekawieniem. — Ta wasza kościelna misja musi być niezwyklej wagi, Bevierze — zgadywał. — Sądząc po ich wyglądzie, powiedziałbym, że twoi przyjaciele reprezentują wszystkie cztery zakony rycerskie.

— Masz bystre oko, markizie — odezwał się Sparhawk.

— Mogę mieć przez was kłopoty? — zapytał Lycien, ale zaraz uśmiechnął się. — Nie dbam o to, jedynie lubię być przygotowany.

— Niekoniecznie — zapewnił go Sparhawk. — Zwłaszcza jeżeli nasza misja się powiedzie. Powiedz mi, markizie, czy masz znajomości w porcie?

— Rozległe, panie. . .

— Sparhawku — uzupełnił pandionita.

— Obrońca Korony i Rycerz Królowej Elenii? — zdziwił się Lycien. — Słyszałem, żeś powrócił z wygnania w Rendorze, dostojny panie, ale czy nie zapędziłeś się za daleko? Czyż nie powinienes pozostać w Cimmurze i przeszkadzać prymasowi Anniasowi w odsunięciu twej pani od władzy?

— Jesteś dobrze poinformowany, markizie — rzekł Sparhawk.

— Mam rozległe kontakty handlowe. — Lycien wzruszył ramionami i mruknął do Bevera. — To właśnie tak gorszy rodzinę. Mój agent i kapitanowie moich statków dostarczają mi najświeższych informacji.

— Domyślam się, markizie, że nie darzysz prymasa Anniasa zbytnią sympatią?

— To łajdak.

— Sądzimy dokładnie tak samo — przyznał Kalten.

— To, w co jesteśmy zamieszani, markizie — tłumaczył Sparhawk — wiąże się z ograniczeniem rosnącej władzy prymasa. Jeżeli nasza misja się powiedzie, pokrzyżujemy jego plany. Powiedziałbym więcej, ale gdybyś poznał szczegóły, mógłbyś znaleźć się w niebezpieczeństwie.

— Potrafię to docenić, panie Sparhawku — rzekł Lycien. — W czym mogę być pomocny?

— Troje z nas musi dostać się do Cipprii — odparł Sparhawk. — Ze względu na twoje bezpieczeństwo, markizie, nie powinniśmy płynąć żadnym z twoich statków. Gdybyś mógł nas dyskretnie polecić jakiemuś kapitanowi, który ma własną łódź, to resztą zajęlibyśmy się już sami.

— Sparhawku — odezwał się nagle Kurik, patrząc uważnie dookoła — co się stało z Talenem?

— Myślałem, że wszedł tu z nami.

— Ja również.

— Bericie — Sparhawk zwrócił się do nowicjusza — idź go poszukać.

— W tej chwili, dostojny panie. — Berit pośpiesznie opuścił pokój.

— Macie jakieś kłopoty? — zapytał Lycien.

— To nieobliczalny dzieciak, kuzynie — rzekł Bever. — O ile wiem, trzeba go raczej mieć na oku.

— Berit go znajdzie — zaśmiał się Kalten. — Darzę tego młodego człowieka dużym zaufaniem. Talen wróci z kilkoma guzami i siniakami, ale jestem pewien, że będzie to dla niego dobrą lekcją karności.

— Skoro wszystko ustaliliśmy — powiedział Lycien — dam znać do kuchni. Na pewno jesteście głodni, panowie. A zanim posiłek będzie gotowy, może trochę wina? — Zrobił pobożną minę. — Wiem, że Rycerze Kościoła są abstynentami, ale słyszałem, że odrobina wina jest nawet zalecana dla lepszego trawienia.

— Ja również to słyszałem — przyznał Kalten.

— Czy mogłabym poprosić o filiżankę herbaty? — zapytała Sephrenia. — I trochę mleka dla dziewczynki? Jestem pewna, że żadnej z nas wino nie będzie służyć.

— Oczywiście, pani — odparł jowialnie Lycien. — Powinienem sam o tym pomyśleć.

Późnym popołudniem Berit wrócił ciągnąc za sobą Talena.

— Był w pobliżu portu — relacjonował nowicjusz, mocno trzymając chłopca za kołnierz. — Przeszukałem go dokładnie. Nie zdążył jeszcze niczego ukraść.

— Chciałem tylko popatrzeć na morze — protestował chłopiec. — Nigdy jeszcze nie widziałem morza.

Kurik z ponurą miną zdejmował swój szeroki skórzany pas.

— Chwileczkę! — Talen próbował wyrwać się z uchwytu Berita. — Chyba nie myślisz o tym poważnie?

— Zaraz się przekonasz. — Kurik już trzymał pas w dłoni.

— Zdobyłem pewne informacje — mówił pośpiesznie Talen. — Jeśli mnie zbijesz, zachowam je dla siebie. — Spojrzał prosząco na Sparhawk. — Każ mu zostawić ten pas w spokoju, a ja powiem ci, czego się dowiedziałem.

— Dobrze — rzekł Sparhawk. — Kuriku, odłóżmy to, na razie. — Następnie spojrział uważnie na chłopca. — Lepiej, żeby to było coś warte, Talenie — ostrzegł.

— Jest, dostojny panie. Wierz mi.

— Mów, słuchamy.

— Poszedłem dalej tą ulicą. Jak już mówiłem, chciałem zobaczyć port, statki i w ogóle wszystko. W każdym razie przechodziłem właśnie koło sklepu z winem, gdy wyszedł z niego pewien mężczyzna.

— Zdumiewające — odezwał się Kalten. — Czyżby mężczyźni w Madelu rzeczywiście tak często odwiedzali sklepy z winem?

— Obaj znacie tego człowieka. To był Krager, ten, którego kazałeś mi obserwować w Cimmurze. Poszedłem za nim. Udał się do nędznego zajazdu tuż nad brzegiem morza. Jeśli będziecie chcieli, zaprowadzę was tam.

— Nałoż pas z powrotem, Kuriku — powiedział Sparhawk.

— Pójdziemy tam? — zapytał Kalten.

— Powinniśmy. Martel już kilkakrotnie próbował nam przeszkodzić. Jeżeli to Annias dał truciznę Ehlanie, to z pewnością nie chce, byśmy znaleźli odtrutkę. A to oznacza, że Martel będzie starał się dotrzeć do Cipprii przed nami. Gdyby

udało się nam złapać Kragera, moglibyśmy wyciągnąć z niego wszystko, co wie na ten temat.

— Pójdziemy z tobą — rzekł ochoczo Tynian. — Będzie prościej, jeśli wyrwiemy sprawę Anniasowi z rąk już tu, w Madelu.

Sparhawk rozważył to, po czym pokręcił głową.

— Nie — powiedział. — Martel i jego najemnicy znają mnie i Kaltena, ale nie znają was. Jeżeli nam nie uda się schwytać Kragera, to wtedy wy wszyscy zaczniecie go szukać po całym mieście. Lepiej więc, żeby nie wiedział, jak wyglądacie.

— To rozsądne — przyznał Ulath.

Tynian wyglądał na rozczarowanego.

— Czasami za wiele myślisz, panie Sparhawk — burknął.

— To jego specjalność — rzekł Kalten.

— Czy nasze płaszcze będą zwracały uwagę na ulicach? — zapytał Sparhawk markiza.

Lycien potrząsnął przecząco głową.

— Madel to portowe miasto — powiedział. — Zjeżdżają tu ludzie ze wszystkich stron świata, więc dwóch cudzoziemców nie zwróci niczyjej uwagi.

— Dobrze. — Sparhawk ruszył do drzwi, a w ślad za nim poszli Kalten i Talen. — Powinniśmy wkrótce wrócić — rzucił wychodząc.

Zostawili konie i udali się pieszo do miasta. Madel leżało u ujścia rzeki i silne poduchy przybrzeżnego wiatru napełniały miasto ostrym zapachem morza. Wąskie i kręte uliczki, którymi rycerze i chłopiec zmierzali do portu, stromo opadały w dół.

— Czy daleko jeszcze do zajazdu? — zapytał Kalten.

— Już blisko — zapewnił go Talen.

Sparhawk zatrzymał się.

— Zdążyłeś się trochę rozejrzeć dookoła, jak Krager wszedł już do środka? — zapytał chłopca.

— Nie. Właśnie miałem zamiar to zrobić, gdy Berit mnie dopadł.

— Może więc zrób to teraz? Jeżeli podejdziemy z Kaltenem do frontowych drzwi, a Krager będzie je akurat obserwował, to zdoła uciec tylnym wyjściem, zanim my wejdziemy do środka. Spróbuj odszukać te tylne drzwi.

— Śpieszę, dostojny panie — powiedział Talen. Oczy zaświeciły mu się z podniecenia i pognął w dół uliczki.

— To dobry chłopak — rzekł Kalten — jeżeli przymknąć oko na jego złe nawyki. — Następnie zmarszczył brwi. — Skąd wiedziałeś, że ten zajazd ma tylne wyjście? — zapytał.

— Każdy zajazd ma tylne wyjście, Kaltenie — chociażby na wypadek pożaru.

— Dziwne, że o tym nie pomyślałem.

Talen wrócił pędząc co tchu. Gonilo za nim co najmniej dziesięciu ludzi z Adusem na czele.

— Uważajcie! — krzyknął przebiegając obok.

Sparhawk i Kalten dobyli spod płaszczy miecze i zeszli trochę na bok czekając na atak. Ludzie, którym przewodził Adus, byli nędznie odziani i uzbrojeni w różnego rodzaju broń — zardzewiałe miecze, topory, maczugi i zastrzone kije.

— Zabić ich! — wrzasnął Adus. Zwolnił i puścił innych przodem.

Walka nie trwała długo. Napastnicy okazali się zwykłymi portowymi zabijakami i nie byli w stanie stawić czoła dwóm biegłym w walce rycerzom. Czterech z nich padło, zanim jeszcze pozostali domyślili się, że popełnili błąd taktyczny. Dopiero gdy dwóch następnych znalazło się na zboczonym krwią bruku, reszta zawróciła i rzuciła się do ucieczki. Wtedy Sparhawk przeskoczył trupy i pognął do Adusa. Bydlak odparował pierwszy cios, po czym ujął rękojeść miecza w obie dłonie i skoczył na rycerza. Sparhawk z łatwością odbił uderzenie i natarł ostro. Ciął i uderzał boleśnie po osłoniętych kolczugą żebrach i ramionach przeciwnika. Po chwili Adus uciekł. Gnał na łeb na szyję, przyciskając do boku zakrwawioną rękę.

— Czemu nie gonisz za nim? — zaprotestował Kalten. Ciężko dyszał, miecz w jego dłoni był czerwony od krwi.

— Adus biega szybciej ode mnie. — Sparhawk wzruszył ramionami. — Wiem o tym od lat.

Wrócił Talen. Z trudem łapał oddech. Popatrzył z uznaniem na leżące na bruku ciała.

— Dobra robota, szlachetni panowie — pogratulował.

— Jak to się stało, że ich tu sprowadziłeś? — zapytał Sparhawk.

— Minałem zajazd, potem obszedłem go dookoła. Ten dryblas, który właśnie uciekł, czatował razem z innymi w zaułku. Schwycił mnie, ale mu się wymknąłem i zwałem.

— Dobrze zrobiłeś — pochwalił go Kalten.

Sparhawk schował miecz.

— Wynośmy się stąd — powiedział.

— A dlaczego nie pójdziemy śladem Adusa? — spytał Kalten.

— Ponieważ zastawią na nas pułapki. Martel wykorzystał Kragera jako przynętę, by wodzić nas za nos. Pewnie dlatego tak łatwo udało się nam go znaleźć.

— Czy to oznacza, że mnie również rozpoznali? — zapytał zdziwiony Talen.

— Chyba tak — rzekł Sparhawk. — Pamiętasz przecież, że odkryli, iż pracowałeś dla mnie w Cimmurze? Krager pewnie wiedział, że go śledzisz, i podał twój rysopis Adusowi. Adus jest być może bezmyślny, ale wzrok ma bystry. — Zaklął pod nosem. — Martel jest sprytniejszy, niż myślałem, i zaczyna mnie de-nerwować. — Najwyższy czas — mruknął Kalten.

CZEŚĆ III

Dabour

Rozdział 17

Miasto zaczynał okrywać fioletowy zmierzch, a na niebie rozbłysły pierwsze gwiazdy. Sparhawk, Kalten i Talen przemierzali wąskie uliczki, często skręcając, a nawet zawracając, by zgubić ewentualny pościg.

— Czy nie przesadzamy trochę z tą ostrożnością? — zapytał Kalten po półgodzinie drogi.

— Z Martelem lepiej nie ryzykować — odparł Sparhawk. — On jest zdolny poświęcić kilku swoich ludzi tylko po to, by nas dopaść. Wolałbym nie obudzić się w środku nocy w domu Lyciena otoczonym najemnikami.

— Masz chyba rację.

Kiedy mrok zgęstniał, wymknęli się zachodnią bramą poza mury Madelu.

— Tu zaczekajmy — powiedział Sparhawk, gdy uszli kawałek traktem. — Upewnijmy się, czy nikt nas nie śledzi.

Weszli w młodniak. Skulili się między szeleszczącymi drzewkami i obserwowali drogę. Gdzieś w pobliżu zaspany ptaszek cicho wyśpiewywał swoje żale, a po chwili turkocząc kołami przejechał zaprzężony w woła wóz i potoczył się wolno w kierunku Madelu.

— Rzadko się zdarza, by ktoś opuszczał miasto, kiedy noc za pasem, prawda? — zapytał cicho Kalten.

— Na to właśnie liczę — rzekł Sparhawk. — Tylko bardzo pilna sprawa może zmusić kogoś, by wyjechał za mury o tej porze.

— A tą pilną sprawą możemy być my, czyż nie?

— Całkiem możliwe.

Od strony miasta dobiegł ich głośny trzask, a po nim głucho uderzenie i zgrzyt ciężkich łańcuchów.

— Zamykają bramę — szepnął Talen.

— Na to czekałem. — Sparhawk wstał. — Idziemy.

Wyszli z gąszczu i ruszyli dalej traktem. Drzewa przy drodze majaczyły w mroku, a zarośla porastające brzegi pól wtapiały się w ciemności nocy. Talen trzymał się blisko obu rycerzy, rozglądając się lękliwie na wszystkie strony.

— O co chodzi, chłopcze? — zapytał Kalten.

— Nigdy jeszcze nie byłem za miastem po zapadnięciu zmroku. Czy zawsze jest tu tak ciemno?

— Dlatego przecież nazywa się to nocą. — Jasnowłosa mężczyzna wzruszył ramionami.

— Czemu nikt nie pozapalał pochodni? — narzekał Talen.

— Po co? Żeby zające widziały, gdzie kicają?

Dom Lyciena stał w głębokim mroku otaczających go krzewów, a brama oświetlona była tylko jedną pochodnią. Talen wyraźnie się uspokoił, gdy w końcu znaleźli się na wysypanym żwirem podwórku.

— Jak poszło? — zapytał Tynian od drzwi wejściowych.

— Mieliśmy trochę kłopotów — odparł Sparhawk. — Chodźmy do środka.

— Mówiłem, że lepiej zrobiłbyś zabierając nas z sobą — powiedział oskarżycielskim tonem barczysty rycerz z Arcium.

— To nie były aż takie kłopoty — zapewnił go Kalten.

Pozostali czekali w dużym pokoju, tym samym, w którym rozmawiali z Lycieniem po przyjeździe. Sephrenia wstała i uważnie przyjrzała się pobrudzonym krwią płaszczom obu pandionitów.

— Nic wam nie jest? — spytała głosem pełnym troski.

— Wpadliśmy na grupę wesołków — rzucił lekko Kalten, spoglądając na swój płaszcz. — To ich krew.

— Co się stało? — zapytała Sparhawk.

— Adus próbował zrobić na nas zasadzkę w zajeździe. Miał z sobą grupę portowych łotrów. — Sparhawk przerwał i zamyślił się na chwilę. — Gdzie tylko się obrócimy, zaraz natykamy się na Kragera. Gdybyśmy go spotkali raz czy nawet dwa razy, uznałbym to za przypadek, ale natrafiamy na niego trochę zbyt często. Obawiam się, że to rodzaj pułapki.

— Tak myślisz? — odezwał się Tynian.

— Zaczyna na to wyglądać, prawda?

— Czy ten Martel wystawiłby swojego przyjaciela na takie niebezpieczeństwo? — Bevier był wyraźnie zdziwiony.

— Martel nie ma przyjaciół — odrzekł Sparhawk. — Adus i Krager są tylko najemnikami i niczym więcej. Są użyteczni, ale on nie jest do nich szczególnie przywiązany. Myślę, że nie płakałby po stracie Kragera. — Sparhawk zaczął chodzić tam i z powrotem, wpatrując się w zamyśleniu w podłogę. — A gdybyśmy tak odwrócili role? — Spojrzał na Kaltena. — Pochodź trochę po ulicach Made-lu — zaproponował. — Nie ryzykuj za bardzo, ale niech ludzie dowiedzą się, że jesteś w mieście.

— Czemu nie? — Kalten wzruszył ramionami.

— Martel i jego najemnicy nie znają nas — Tynian uśmiechnął się — a więc możemy włóczyć się za panem Kaltenem nie zwracając niczyjej uwagi. O to chodzi?

Sparhawk skinął głową.

— Jeżeli pomyśla, że Kalten jest sam, to może wyjdą z ukrycia. Martel zmęczył mnie już trochę swoimi gierkami, czas więc, byśmy sami podjęli grę. — Spojrzał na Lyciena. — Czy tutejszym władzom bardzo nie w smak są uliczne awantury, markizie?

Lycien roześmiał się.

— Madel jest miastem portowym — powiedział. — Żeglarze zazwyczaj są awanturnikami. Władze nie zwracają zbytnej uwagi na drobne utarczki. No, oczywiście usuwają ciała. Rozumiecie — ze względów sanitarnych.

— Dobrze. — Sparhawk popatrzył na swoich przyjaciół. — Nawet jeśli nie uda wam się dostać Adusa czy Kragera, przynajmniej odwróćcie uwagę Martela. To być może pozwoli niepostrzeżenie dostać się Kurikowi, Sephrenii i mnie na statek. Wolałbym chodzić po ulicach Cyprii nie musząc ciągle oglądać się za siebie.

— Czyli mamy odwrócić ich uwagę, aby nikt nie widział, że idziecie do portu — powiedział Kalten.

— Wcale nie musicie iść do portu — wtrącił Lycien. — Ze dwie ligi stąd mam skład towarów i przystań nad brzegiem rzeki. Wielu kapitanów dostarcza tam ładunki. Jestem pewien, że uda się was zaokrętować na tej przystani, a wtedy nie musielibyście kręcić się po mieście.

— Dziękuję, markizie — rzekł Sparhawk. — To rozwiąże problem.

— Kiedy zamierzacie wyruszyć? — zapytał Tynian.

— Nie widzę żadnego powodu, by zwlekać.

— A więc jutro?

Sparhawk skinął głową.

— Muszę z tobą pomówić, Sparhawk — odezwała się Sephrenia. — Mógłbyś przyjść do mojego pokoju?

Rycerz wyszedł za nią trochę zdziwiony.

— Dlaczego nie mogliśmy o tym porozmawiać przy wszystkich? — zapytał.

— Może lepiej, by nie słyszeli naszej sprzeczki.

— Będziemy się sprzeczać?

— To jest możliwe — odparła i otworzyła drzwi do swego pokoju. Weszli do środka. Flecik siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku i marszcząc w skupieniu brwi przeplatała w paluszkach wełnianą włóczkę. Stworzyła wzór o wiele bardziej skomplikowany niż ten, który pokazał jej Talen. Podniosła oczy i uśmiechnęła się, wyciągając dumnie swoje drobne rączki, by pokazać im swoje dzieło.

— Ona pojedzie z nami — powiedziała Sephrenia.

— Wykluczone! — odparł ostro Sparhawk.

— Mówiłam, że się posprzeczamy.

— Sephrenio, to niedorzeczny pomysł!

— Wszyscy czasem zachowujemy się niedorzecznie, mój drogi. — Uśmiechnęła się do niego czule.

— Przestań! Nie przekonasz mnie w ten sposób.

— To się nie upieraj, Sparhawk. Znasz ją już na tyle, by wiedzieć, że zawsze robi to, na co ma ochotę, a tym razem postanowiła pojechać z nami do Rendoru.

— Nie pojedzie, dopóki ja mam tu coś do powiedzenia.

— Otóż to, Sparhawk. Nie masz. Zetknąłeś się z czymś, czego nie potrafisz zrozumieć. Ona i tak w końcu z nami pojedzie, więc po prostu szarmancko zgódź się na to.

— Szarmanckość nie jest moją mocną stroną.

— Już to zauważyłam.

— Dobrze, Sephrenio — powiedział zrezygnowany. — A więc kim ona jest? Od razu ją rozpoznałaś, prawda?

— Oczywiście.

— Jak to — oczywiście? Ma przecież najwyżej sześć lat, a ty od pokoleń nas nie opuszczalaś. Skąd więc możesz ją znać?

— Wy, Eleni, tak bardzo lubicie trzymać się faktów, że często odbiera wam to zdolność logicznego myślenia. — Sephrenia westchnęła. — Z tym dzieckiem łączą mnie bardzo szczególne więzy pokrewieństwa. Znamy się nawzajem w sposób, którego nie byłbyś w stanie pojąć.

— Dziękuję — rzekł oschle.

— Ależ, mój drogi, nie chciałam cię urazić. Chodzi tylko o to, że do zrozumienia tej strony życia Styrików nie jesteś jeszcze przygotowany — ani duszą, ani umysłem.

Zamyślił się marszcząc czoło.

— A więc dobrze, mateczko — powiedział — spróbujmy zrobić użytek z tej mojej logiki, którą tak lekce sobie wazysz. Flecik jest dzieckiem niewiele zaradniejszym od niemowlęcia.

Dziewczynka wykrzywiła się do niego, ale nie zwrócił na to uwagi i ciągnął dalej:

— Pojawiła się nagle na nie zamieszkanym pograniczu z Arcium, z dala od wszelkich ludzkich siedzib. Próbowaliśmy zostawić ją w klasztorze na południe od Darry, ale jej nie tylko udało się uciec, ale również sporo nas wyprzedzić, chociaż pędziliśmy galopem. Potem jakimś sposobem przekonała Farana, by wziął ją na swój grzbiet, a przecież on zwykle nie pozwala nikomu się zbliżyć, o ile mu tego nie polecę. Gdy zobaczył ją patriarcha Dolmant, po wyrazie jego twarzy było widać, że wyczuł w niej coś niezwykłego. A ty sama, choć jesteś tak stanowcza wobec nas, rycerzy, za każdym razem, gdy Flecik postanowi coś zrobić lub gdzieś pójść, ulegasz jej bez dyskusji. Wszystko to wskazuje, iż nie jest ona zwyczajnym dzieckiem, prawda, Sephrenio?

— Należysz do tych, którzy potrafią zrobić użytek ze swojego umysłu. Nie śmiałabym ci przerywać.

— Zgoda. Zobaczmy, dokąd zawiedzie nas logiczne rozumowanie. Widziałem już wielu Styrików. Z wyjątkiem ciebie, mateczko, i innych magów, wszyscy są prymitywni i nie sprawiają wrażenia zbyt bystrych — oczywiście nie miałem zamiaru cię obrazić, mateczko.

— Oczywiście — odparła z rozbawieniem.

— Więc doszliśmy już do wniosku, że Flecik nie jest zwykłym dzieckiem. Co nam pozostaje?

— A jak sądzisz, mój drogi?

— Skoro nie jest zwyczajnym dzieckiem, musi być kimś szczególnym. W Styricum oznacza to tylko jedno: jest magiem. To jedyne wyjaśnienie.

Sephrenia klasnęła w dłonie.

— Wspaniale, Sparhawk — pogratulowała z ironią.

— Ale to niemożliwe! Ona jest tylko dzieckiem. Nie miała czasu, by zapoznać się z sekretami.

— Niektórzy już rodzą się z tą wiedzą. Zresztą ona jest starsza, niż na to wygląda.

— Ile ma lat?

— Wiesz, że ci tego nie wyjawię. Znajomość dokładnej daty urodzin może być w rękach wroga potężną bronią.

Sparhawk naszała niepokojąca myśl.

— Szykujesz się na śmierć, prawda, Sephrenio? Jeżeli nam się nie powiedzie, to dwunastu rycerzy towarzyszących ci w sali tronowej umrze, a potem odejdziesz i ty. Przygotowujesz Flecik na swoją następczynię.

Czarodziejka roześmiała się.

— To doprawdy ciekawy pomysł, mój drogi. Aż dziw, że choć jesteś Elenem, wpadłeś na to.

— Wiesz, mateczko, denerwujesz mnie. Nie próbuj być zbyt tajemnicza i nie traktuj mnie jak dziecka tylko dlatego, że jestem Elenem.

— Postaram się o tym pamiętać. A więc zgadzasz się, by pojechała z nami?

— A mam jakieś inne wyjście?

— Nie. Prawdę mówiąc — nie masz.

Następnego ranka wstali wcześniej i zebrali się na podwórku przed domem markiza Lyciena. Słońce właśnie wyszło zza horyzontu i świeciło jasno. Drzewa rzucały niebieskawe cienie.

— Będę wam słał wiadomości — rzekł Sparhawk do tych, którzy mieli pozostać w Madelu.

— Bądź ostrożny w Rendorze — powiedział Kalten.

— Zawsze jestem ostrożny. — Sparhawk wskoczył na Farana.
— Powodzenia, dostojny panie Sparhawk! — krzyknął Bevier.
— Dziękuję, panie Beverze. — Sparhawk spojrzął na pozostałych rycerzy.
— Rozchmurzcie się, panowie. Jeżeli nam się poszczęści, wkrótce wrócimy. —
Ponownie zwrócił się do Kaltena. — Jak wpadniesz na Martela, to przekaż mu
pozdrowienia ode mnie.

Kalten skinął głową.

— Najlepiej toporem po łbie — obiecał.

Markiz Lycien dosiadł konia i powiódł ich drogą biegnącą obok domu. Ranek
był rześki, ale nie bardzo mroźny. „Wiosna już tuż-tuż” — pomyślał Sparhawk.
Poruszył nieznacznie ramionami. Pożyczony od Lyciena kaftan zwykłego kupca
nie bardzo na niego pasował. Gdzieniedzie go uwierał, a tu i ówdzie był zbyt
luźny.

— Zaraz skręcimy — odezwał się markiz. — Tam przez las biegnie trakt wio-
dący do moich nabrzeży portowych i małej kolonii domków, która wyrosła wokół
nich. Czy chcecie, bym odprowadził wasze konie z powrotem do stajni?

— Nie, zabierzemy je z sobą — odparł Sparhawk. — Nie wiadomo, co nas
czeka w Rendorze. Możemy potrzebować dobrych wierzchowców, a ja już wi-
działem, co w Cippii uchodzi za konia.

To, co Lycien skromnie określił mianem „kolonii domków”, okazało się
w istocie całkiem okazałych rozmiarów wioską z domami mieszkalnymi, zajaz-
dami, tawernami i nabrzeżem portowym, gdzie przycumowanych było dwanaście
okrętów, a na nich, niczym mrówki, uwijali się dokerzy i tragarze.

— Całkiem spore przedsięwzięcie, markizie — ocenił Sparhawk, gdy zjeżdża-
li błotnistą uliczką w kierunku rzeki.

— Miało się to szczęście — powiedział Lycien lekko i uśmiechnął się. —
A poza tym zaoszczędziłem na podatku gruntowym tyle, że zostało mi więcej,
niż kosztuje utrzymanie tego miejsca. — Rozejrzał się dookoła. — Może wstą-
pilibyśmy do tej tawerny? — zaproponował. — Upodobali ją sobie niezależni
kapitanowie.

— Chodźmy — zgodził się Sparhawk.

— Przedstawię cię jako pana Cluffa — rzekł Lycien zeskakując ze swego
wierzchowca. — Muszę przyznać, że jest to całkiem pospolite imię, ale wilki mor-
skie bardzo lubią snuć powieści, a nie zawsze dobrze dobierają sobie słuchaczy.
Domyślam się, dostojny panie, że wolałbyś swoją misję zachować w tajemnicy.

— Jesteś przewidujący, markizie — odparł Sparhawk również zeskakując
z siodła. — To nie powinno długo potrwać — zwrócił się do Kurika i Sephrenii.

— Czyż nie to właśnie powiedziałeś, gdy ostatnim razem wyruszałeś do Ren-
doru? — zapytał Kurik.

— Miejmy nadzieję, że tym razem będzie inaczej.

Lycien wprowadził go do w miarę spokojnej tawerny. Z solidnych, ciemnych belek niskiej powały zwieszało się kilka okrętowych latami. Przez szerokie okno wpadały złociste promienie porannego słońca i odbijały się od świeżej słomy rozścielonej na podłodze. Przy stole pod oknem siedziało paru zamożnie wyglądających mężczyzn w średnim wieku i rozmawiało nad pełnymi kuflami. Na widok zbliżającego się do nich markiza unieśli głowy.

— Wielmożny panie. . . — Jeden z nich skłonił się z szacunkiem przed Lycieniem.

— Panowie — powiedział Lycien — to jest pan Cluff, mój znajomy. Prosił, bym go przedstawił.

Spojrzeni pytająco na Sparhawk.

— Mam pewien kłopot, panowie — rzekł Sparhawk. — Czy mogę się przysiąść?

— Proszę, siadaj — odezwał się mężczyzna o krótko przyciętych siwych włosach.

— A więc zostawiam was samych, panowie. Interesy mnie wzywają. — Lycien skłonił lekko głowę, odwrócił się i wyszedł z tawerny.

— Pewnie chce sprawdzić, czy nie da się podwyższyć opłat za cumowanie — zauważył złośliwie jeden z kapitanów.

— Nazywam się Sorgi — przedstawił się mężczyzna z kręconymi włosami. — Co to za kłopot, o którym wspominałeś, panie Cluff?

Sparhawk chrząknął udając lekkie zakłopotanie.

— No, cóż — zaczął — wszystko zaczęło się kilka miesięcy temu. Doszły mnie wieści o pewnej damie mieszkającej niezbyt daleko stąd. — W miarę jak mówił, ubarwiał swoją opowieść coraz bardziej. — Jej ojciec jest stary i bardzo bogaty, a więc ta dama odziedziczy pokaźny majątek. A jednym z moich odwiecznych problemów jest fakt, że mam bardzo kosztowne upodobania i zbyt pustą sakiewkę, by im sprostać. Pomyślałem więc sobie, że bogaty ożenek rozwiązałby ten problem.

— Całkiem rozsądne — powiedział kapitan Sorgi. — To chyba jedyny powód do żeniaczki, jaki przychodzi mi do głowy.

— Jak najbardziej się z tym zgadzam — odparł Sparhawk. — Napisałem do niej list udając, że mamy jakichś wspólnych znajomych i trochę zdziwiło mnie, gdy całkiem ciepło na niego odpowiedziała. Nasze listy stawały się coraz bardziej przyjacielskie i w końcu zaprosiła mnie do siebie. Zaciągnąłem u mojego krawca jeszcze większy dług i z najlepszymi nadziejami oraz we wspaniałych, nowych szatach ruszyłem do domu jej ojca.

— Wydaje mi się, że wszystko toczyło się po twojej myśli, panie Cluff — rzekł Sorgi. — Skąd więc kłopoty?

— Właśnie do tego zmierzam, kapitanie. Dama była w średnim wieku i bardzo bogata. Gdyby dobrze się prezentowała, już dawno złapałaby sobie kogoś,

a więc nie liczyłem zbyt na to, by była urodziwa. Spodziewałem się, że będzie nieładna, a nawet może brzydka. Jednakże nie oczekiwałem, że będzie aż tak wstrętna. — Wstrząsnął się z udanym obrzydzeniem. — Panowie, nie potrafię tego nawet opisać. Wszystkie jej bogactwa nie były warte tego, by każdego ranka budzić się obok takiej ohydy. Rozmawialiśmy krótko — chyba o pogodzie — potem przeprosiłem i uciekłem. Nie miała braci, więc nie obawiałem się, że będą mnie ścigać za moje niegrzeczne zachowanie. Jednak czegoś nie wziąłem pod uwagę: jej kuzynów. Miała ich cały szwadron i tak oto od tygodni depczą mi po piętach.

— Nie chcą cię chyba zabić? — zapytał Sorgi.

— Nie — odparł Sparhawk z udręką w głosie. — Chcą zaciągnąć mnie z powrotem i zmusić, bym ją poślubił.

Kapitanowie wybuchnęli gromkim śmiechem waląc w rozbawieniu dłońmi w stół.

— Myślę, panie Cluff, że przechytryłeś samego siebie — odezwał się jeden z nich ocierając łzy rękawem.

Sparhawk ponuro skinął głową.

— Pewnie masz słuszność, kapitanie — przyznał.

— Powinieneś rzucić na nią okiem, nim napisałeś pierwszy list — śmiał się Sorgi.

— Teraz o tym wiem. W każdym razie uważam, że najwyższy czas, abym wyjechał z kraju i poczekał, aż jej kuzyni przestaną mnie szukać. Mam w Rendorze, w Cipprii, bratanka, któremu ostatnio powodzi się całkiem niezgorzej. Jestem pewien, że nie odmówi mi swojej gościny do czasu, gdy będę mógł wrócić do kraju. Może któryś z was, panowie, ma zamiar wkrótce tam pożeglować? Chciałbym zaokrętować siebie i kilku przyjaciół rodziny. Mógłbym udać się co prawda do głównego portu w Madelu, ale coś mi mówi, że kuzyni tam węszą.

— Co wy na to, panowie? — powiedział rozbawiony kapitan Sorgi. — Powinniśmy chyba pomóc temu chwackiemu kawalerowi wydostać się z opałów?

— Płynę właśnie do Rendoru — odparł jeden z nich — ale mam zawinąć do Jirochu.

Sorgi zastanowił się chwilę.

— Ja również miałem płynąć do Jirochu — dumiał — ale może trochę zmienię kurs.

— Ja nie będę mógł pomóc — odezwał się jeden z kapitanów chrapliwym głosem. — Mój statek jest wyciągnięty na brzeg i oskrobuja mu dno. Ale poradzę wam coś. Jeżeli ci kuzyni obserwują główny port, to pewnie mają na oku i ten. Wszyscy w mieście wiedzą, że Lycien ma tu przystań. — Podrapał się za uchem. — Swojego czasu sam szmuglowałem ludzi do różnych miejsc — oczywiście za odpowiednią zapłatą. — Spojrzał na kapitana udającego się do Jirochu. — Mabinie, kiedy wypływasz?

— Wraz z południowym odpływem.

— A ty? — zapytał Sorgiego.

— Również.

— To się dobrze składa. Jeżeli kuzyni obserwują tutejszą przystań, mogą spróbować wynająć statek i popłynąć za naszym kawalerem. Niech więc on teraz zaokrętuje się u Mabina, a potem, gdy będziecie na rzece, z dala od wścibskich oczu, przeniesie się na pokład statku Sorgiego. Jeżeli kuzyni postanowią go ścigać, to popłyną za Mabinem do Jirochu, a pan Cluff bezpiecznie uda się do Cipprii. Tak to zwykle robiłem.

— Jesteś bardzo pomysłowy, przyjacielu. — Sorgi roześmiał się. — Czy aby na pewno w przeszłości przemycałeś tylko ludzi?

— Wszyscy czasami wolimy omijać celników — stwierdził kapitan o chrapliwym głosie. — Żyjemy na morzu, czemu więc mamy płacić podatki na rzecz królestw lądowych szczurów? Chętnie zapłaciłbym podatek królowi oceanu, ale nie mogę jakoś znaleźć jego pałacu.

— Dobrze powiedziane — przyklasnął Sorgi.

— Panowie — rzekł Sparhawk. — Na zawsze pozostanę waszym dłużnikiem.

— O, nie na zawsze, panie Cluff — uściślił Sorgi. — Ten, kto przyznał się do finansowych kłopotów, płaci za podróż przed wejściem na pokład. A przynajmniej tak jest na moim statku.

— Może zgodzisz się przyjęc teraz połowę, a resztę po przybyciu do Cipprii? — zapytał Sparhawk.

— Obawiam się, że nie, przyjacielu. Nawet mi się podobasz, ale jestem pewien, że zrozumiesz moją stanowczość w tej kwestii.

Sparhawk westchnął.

— Mamy konie — dodał. — Domyślam się, że za nie również każesz nam zapłacić?

— Naturalnie.

— Tego się obawiałem.

Załadunku Farana, klaczy Sephrenii i dzielnego wałacha Kurika dokonali za osłoną żagli naprawianych ostentacyjnie przez marynarzy Sorgiego. Tuż przed południem Sparhawk i Kurik zaokrętowali się na statku płynącym do Jirochu. Nie kryjąc się, podążyli trapem za Sephrenią niosącą małą Flecik na rękę.

Kapitan Mabin powitał ich na pokładzie.

— Oto nasz oporny pan młody. — Uśmiechnął się. — Panie Cluff, pospaceruj wraz ze swymi przyjaciółmi po pokładzie, nim odpłyniemy. Niech kuzyni mają okazję dobrze ci się przyjrzeć.

— Przemyślałem ten plan — powiedział Sparhawk. — Jeżeli kuzyni wynajmą statek i rozpoczną pościg — i jeżeli dogonią cię, kapitanie — zaraz odkryją, że

nie ma mnie na pokładzie.

— Nikt mnie nie dogoni. — Mabin roześmiał się. — Mam najszybszy statek na Morzu Wewnętrznym. A poza tym, zdaje się, panie Cluff, że niewiele wiesz o morskich obyczajach. Nikt nie wchodzi na pokład innego okrętu na pełnym morzu, chyba że po stoczony walce. Tego się po prostu nie robi.

— Nie wiedziałem o tym — rzekł Sparhawk. — A więc udajemy się na przechadzkę po pokładzie.

— Pan młody? — spytała cicho Sephrenia, gdy oddalili się od kapitana.

— To długa historia — mruknął Sparhawk.

— Coś mi się wydaje, że ostatnio mamy urodzaj na długie historie. Pewnego dnia będę musiała wygodnie usiąść i wysłuchać ich wszystkich.

— Może pewnego dnia.

— Fleciku, natychmiast zejść na dół! — powiedziała stanowczo.

Sparhawk spojrział w górę. Dziewczynka była już w połowie sznurowej drabinki wiodącej na reję. Chwilę się dąsała, ale usłuchała polecenia.

— Ty zawsze wiesz dokładnie, gdzie ona jest, prawda, mateczko? — zapytał rycerz.

— Zawsze — odparła Sephrenia.

Przesiedli się na drugi statek na środku rzeki, gdy nabrzeża portowe znikły im z oczu. Kapitan Sorgi szybko umieścił pasażerów pod pokładem, po czym oba żaglowce popłynęły spokojnie dalej w dół rzeki, kiwając się na boki niczym dwie matrony powracające z kościoła do domu.

— Mijamy nabrzeża Madelu! — zawołał w jakiś czas potem Sorgi w dół zejściówki prowadzącej do kabin. — Nie pokazuj się, panie Cluff, bo na pokładzie zaroi się od kuzynów twojej niedosłej żony.

— To jest coraz bardziej interesujące — powiedziała Sephrenia. — Sparhawk, nie mógłbyś choć trochę zaspokoić mojej ciekawości?

— Zmyśliłem opowieść — rzekł wzruszając ramionami. — Była dostatecznie sensacyjna, by zaciekawić tych marynarzy.

— Sparhawk zawsze był dobry w wymyślaniu opowieści — zauważył Kurik. — Jeszcze za swego nowicjatu potrafił świetnie wyłgać się z kłopotów. — Posiwały giermek siedział na ławie z malutką Flecik drzemiącą na jego kolanach. — Nigdy nie miałem córki — powiedział cicho. — Dziewczynki pachną o wiele milej od małych chłopców, prawda?

Sephrenia wybuchnęła śmiechem.

— Nie mów tego Aslade — ostrzegła. — Może zdecydować się na jeszcze jedną próbę.

Kurik z trwogą przewrócił oczyma.

— Tylko nie to — zarzekł się. — Nie mam nic przeciwko dzieciom, ale nie zniosę już porannych nudności.

W godzinę później Sorgi zszedł schodami do kabiny.

— Właśnie wypływamy z ujścia rzeki — poinformował. — W pobliżu nie ma żadnego okrętu. Myślę, panie Cluff, że udało ci się uciec.

— Dzięki Bogu — odparł żarliwie Sparhawk.

— Powiedz mi, przyjacielu, czy ta dama rzeczywiście jest tak paskudna, jak mówiłeś?

— Nie uwierzyłbyś, kapitanie, jak bardzo paskudna.

— Chyba jesteś trochę zbyt wrażliwy, panie Cluff. Morze robi się coraz zimniejsze, mój statek jest stary i wysłużony, a zimowe sztormy przyprawiają mnie o bóle w kościach. Ja mogę znieść nawet znaczną szpetotę, jeżeli ta dama posiada majątek tak duży, jak mówiłeś. Jestem nawet gotów zwrócić ci część opłaty za przejazd w zamian za bliższe informacje na jej temat. Może nie dostrzegłeś jakichś jej zalet.

— Co szkodzi o tym porozmawiać — uznał Sparhawk.

— Muszę wrócić na mostek. Jesteśmy już dostatecznie daleko od miasta, a więc wyjdźcie, państwo, na pokład. — Kapitan Sorgi odwrócił się i ruszył w górę schodów.

— Chyba możesz już nie opowiadać tej długiej historii — rzekła Sephrenia do Sparhawka. — Zdaje się, że wykorzystałeś ten stary, ograny pomysł ze szpetną panną młodą, prawda?

— Jak mówi Vanion, te stare historie są najlepsze. — Rycerz wzruszył ramionami.

— Och, Sparhawku, rozczarowałeś mnie. Jak wykręcisz się teraz od podania biednemu kapitanowi imienia tej damy?

— Coś wymyślę. Wyjdźmy na pokład, zanim słońce zajdzie.

— Mała zasnęła — szepnęła Kurik. — Nie chcę jej budzić. Idźcie sami.

Sparhawk skinął głową i wyszedł z Sephrenią z kabiny.

— Zawsze zapominam, jaki on jest delikatny — powiedziała Sephrenia z czułością.

— Jest najlepszym i najzyczliwszym ze znanych mi ludzi — stwierdził Sparhawk po prostu. — Szkoda, że jest niskiego pochodzenia, byłby wspaniałym rycerzem.

— Czy rzeczywiście pochodzenie jest tak ważne?

— Dla mnie nie, ale ja nie stanowią praw.

Wyszli na pokład skąpany w promieniach przedwieczornego słońca. Wiejący od brzegu rześki wiatr ozdabiał grzbiety fal pióropuszcami migoczącej w słońcu piany. Statek kapitana Mabina, płynący w kierunku Jirochu, halsował pod wiatr biorąc kurs prawie prosto na zachód przez szeroką Cieśninę Arcjańską. Z wyдутymi, śnieżnobiałymi żaglami pędził z wiatrem w zawody, niczym biegnący po falach ptak.

— Jak daleko jest stąd do Cipprii? — zapytał Sparhawk kapitana, gdy razem z Sephrenią weszli na mostek.

— Sto pięćdziesiąt lig, panie Cluff. Trzy dni przy dobrym wietrze.

— To niezły czas, prawda?

Sorgi chrząknął.

— Mogłoby być lepiej — stwierdził — gdyby ta biedna, stara krypa tak nie ciekła.

— Sparhawk! — wykrzyknęła Sephrenia łapiąc rycerza za ramię.

— Co się stało? — Sparhawk przyglądał się z uwagą jej śmiertelnie pobladłej twarzy.

— Patrz! — zawołała wskazując palcem w niebo.

Dość daleko od płynącego z gracją przez Cieśninę Arcjańską statku kapitana Mabina pojawiła się na czystym niebie samotna, ciemna chmura. Wydawało się, że sunie pod wiatr, z każdą chwilą rosnąc i złowrogo ciemniejąc. Wtem zaczęła wirować, zrazu powoli, a potem coraz szybciej i szybciej. Z jej środka wysunęło się długie, ciemne ramię, które skręcając się opadało coraz niżej, aż w końcu atramentowoczarnym końcem dotknęło zmaconej powierzchni cieśniny. W jednej chwili tony wody zostały poderwane do góry i wessane w wirującą paszczę, niczym w olbrzymi lej sunący chwiejnie poprzez wzburzone morze.

— Trąba wodna! — krzyknął majtek z bocianiego gniazda.

Marynarze rzucili się na burłę patrząc z przerażeniem, jak szeroka paszcza nieubłagania zbliżała się do bezbronnego statku Mabina. Żaglowiec nagle wydał się bardzo mały i raptem zniknął w kipieli wirującego leja. Kawałki drewna, wyrzucone przez olbrzymią trąbę wodną wysoko w górę, zaczęły opadać wolno na powierzchnię wody. Fragment żagla sfruwał w dół niczym trafiony strzałą biały ptak.

Wtem, tak nagle jak się pojawiły, czarna chmura i straszliwa trąba wodna zniknęły.

Zniknął również statek kapitana Mabina. Powierzchnia morza pokryta była szczątkami, pośród których, niby ślad po zaginionym okręcie, baraszkowało i nurkowało stado białych mew.

Rozdział 18

Kapitan Sorgi przeszukiwał pokryte szczątkami wody aż do zapadnięcia zmroku, ale nie natrafił na żadnego rozbitka. Potem, ciągle jeszcze pogrążony w smutku, skierował ponownie statek na południowy wschód i wziął kurs na Ciprię.

Sephrenia westchnęła i odwróciła się od relingu.

— Chodźmy na dół, Sparhawku — rzekła.

Rycerz skinął głową i podążył za nią schodnią pod pokład.

Kurik zapalił lampkę oliwną, która kołysała się pod niską belką stropu napełniając ciasną, mroczną kajutę ruchomymi cieniami. Flecik nie spała już i siedziała za przymocowanym do podłogi stołem, zaglądając podejrzliwie do stojącej przed nią miski.

— To zwykły gulasz, panienko — mówił Kurik. — Nie zaszkodzi ci.

Mała ostrożnie zanurzyła palce w gęstym sosie i wyciągnęła kawałek parującego mięsa. Obwąchała go i spojrzała pytająco na giermka.

— Solona wieprzowina — rzekł.

Dziewczynka wzdrygnęła się, wrzuciła mięso z powrotem do sosu i zdecydowanym ruchem odsunęła od siebie miskę.

— Styrycy nie jedzą wieprzowiny — wyjaśniła Kurikowi Sephrenia.

— Kucharz okrętowy powiedział, że to zwykła strawa żeglarzy — bronił się giermek. Spojrzał na Sparhawka. — Czy kapitanowi udało się odnaleźć choć jednego rozbitka z tamtego okrętu?

Sparhawk potrząsnął przecząco głową.

— Trąba wodna rozbiła go na kawałki — rzekł. — Ten sam los spotkał pewnie i załogę.

— Mamy szczęście, że nie byliśmy na jego pokładzie.

— Tak, wielkie szczęście — przyznała Sephrenia. — To nie było zjawisko naturalne. Trąby wodne są jak tornada. Nie pojawiają się znienacka na czystym niebie, nie poruszają się pod wiatr ani nie zmieniają kierunku. Ktoś więc tym kierował.

— Czary? — zapytał Kurik. — Czy naprawdę jest możliwe wywoływanie takich zjawisk?

— Ja nie potrafiłabym tego uczynić.

— A więc kto?

— Nie jestem pewna — powiedziała czarodziejka, ale w jej oczach czaiło się podejrzenie.

— Postawmy sprawę jasno, Sephrenio — rzekł Sparhawk. — Co przypuszczasz?

— Przez ostatnie miesiące — w oczach czarodziejki było coraz więcej pewności — kilkakrotnie spotykaliśmy zakapturzoną postać w styryckiej szacie. Widziałeś ją parę razy w Cimmurze, a w drodze do Borraty próbowała zrobić na nas zasadzkę. Styrycy rzadko zasłaniają swoją twarz. Nie zauważyłeś tego?

— Tak, ale nie bardzo widzę, jaki to ma związek. . .

— On musi zasłaniać swoje oblicze, Sparhawk. To nie jest człowiek.

— Jesteś tego pewna? — Rycerz spojrział na nią zdumiony.

— Nie mogę być całkowicie pewna, dopóki nie ujrzę jego twarzy, ale dowody zdają się za tym przemawiać.

— Czy Annias byłby zdolny uczynić coś takiego?

— To nie Annias. On może co najwyżej znać kilka pospolitych czarów, ale nie potrafiłby stworzyć takiej postaci. To potrafi tylko Azash. Jedynie on może przywołać podobne istoty. Młodszy Bogowie tego nie robią, a nawet Starsi Bogowie poniechali tych praktyk.

— A czemuż to Azash miałby chcieć zabić kapitana Mabina i jego załogę?

— Statek został zniszczony, ponieważ ten stwór myślał, że my jesteśmy na jego pokładzie.

— Wybacz, Sephrenio, ale chyba za daleko poszłaś w swoich domysłach — zaoponował Kurik sceptycznie. — Jeżeli to coś jest takie potężne, czemu zatopiło niewłaściwy okręt?

— Istoty z zaświatów nie są zbyt przebiegłe. Nasz prosty podstęp mógł go zmylić. Moc i mądrość rzadko chodzą w parze. Niejeden spośród największych magów Styricum był głupi jak głąb kapuściany.

— Nie bardzo to wszystko rozumiem — przyznał Sparhawk z powątpiewaniem. — To, co robimy, nie ma nic wspólnego z Zemochem. Czemu więc Azash miałby się wtrącać i pomagać Anniasowi?

— Azash rzadko komuś pomaga, on działa we własnych celach. Potrafi przewidywać przyszłość. Ktoś spośród nas może stanowić dla niego zagrożenie. Zupełnie możliwe, że to, co robi Azash, nie ma nic wspólnego z Anniasem.

— To się nie trzyma kupy, Sephrenio. Jeżeli co do tego stworza twoje domysły są słuszne, to przecież on pracuje dla Martela, a z kolei Martel wypełnia polecenia Anniasa.

— Jesteś pewien, że stwór pracuje dla Martela, a nie na odwrót? Ta pozorna współpraca może nie być niczym więcej, jak tylko sprytnym wykorzystywaniem Martela.

Sparhawk począł nerwowo gryźć palce.

— Tylko tego mi trzeba — powiedział. — Jakbym miał mało zmartwień. — Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. — Chwileczkę. Pamiętacie, co powiedział duch pana Lakusa — że ciemności stoją u bram, a królowa Ehlana jest naszym jedynym promykiem nadziei? Czy te ciemności mogą oznaczać Azasha?

— To prawdopodobne. — Czarodziejka skinęła głową.

— Jeśli tak, to czy nie Ehlany on chce się pozbyć? Królowa w kryształach jest na razie zupełnie bezpieczna, ale umrze, jeżeli nam się coś przytrafi, nim znajdziemy odtrutkę. Może dlatego Azash połączył swe siły z prymasem Anniasem.

— Czy wy nie przesadzacie? — zapytał Kurik. — Snujecie takie domysły na podstawie jednego tylko zdarzenia.

— Nie zaszkodzi przygotować się na wszelkie wypadki — odparł Sparhawk. — Nie cierpię niespodzianek.

Giermek roześmiał się i wstał.

— Musicie być głodni — zauważył. — Zejdę na dół i przyniosę wam coś na kolację. Przy jedzeniu możemy dalej rozmawiać.

— Wieprzowiny nie przynos — powiedziała zdecydowanie Sephrenia.

— A więc chleb i ser? — zaproponował. — I może coś z owoców?

— To mi w zupełności wystarczy, Kuriku. Byłoby dobrze, gdybyś to samo przyniósł również i dla Flecika. Wiem, że ona nie zje tego gulaszu.

— Nic nie szkodzi. Zjem za nią. Nie mam takich uprzedzeń jak wy, Styricy.

Po trzech dniach żeglugi zawinęli do portu w Cipprii. Niebo przesłaniała cienka warstwa wysokich, jakby pozbawionych wilgoci chmur. Domy w mieście, niskie i prostokątne, miały grube ściany dla ochrony przed palącym słońcem. Nabrzeża portowe zbudowane były z kamienia, ponieważ w królestwie Rendoru drzewa należały do rzadkości.

Sparhawk i jego towarzysze, wszyscy odziani w czarne szaty z kapturami, wyszli na pokład, gdy żeglarze rzucali cumy.

— Wrzucicie odbijaki między burzę i nabrzeże! — krzyknął Sorgi do marynarzy. Kapitan potrząsnął z niesmakiem głową. — Muszę o tym przypominać za każdym razem, kiedy przybijamy — mruknął. — Jak wpływamy do portu, potrafią myśleć jedynie o najbliższej piwiarni. — Spojrzał na Sparhawk. — No i co, panie Cluff, nie zmieniłeś zdania?

— Obawiam się, że nie — odparł Sparhawk kładąc na deskach pokładu tłumoczek z zapasową odzieżą. — Chętnie bym ci pomógł, ale zdaje się, że ta dama upodobała sobie mnie szczególnie. Prawdę mówiąc, mam na względzie twoje dobro, kapitanie. Jeżeli zawitasz do jej domu z mojego polecenia, to kuzyni mogą wpaść na pomysł, by wydusić z ciebie miejsce mojego pobytu. A wtedy chyba nie bawiłbyś się zbyt dobrze. Poza tym, wolę nie ryzykować.

Sorgi chrząknął, a potem spojrzął na nich w zdumieniu.

— Gdzie zdobyliście rendorskie ubrania?

— Dokonałem wczoraj drobnej wymiany w forkasztelu. — Sparhawk wzruszył ramionami i zaciągnął poły swojej czarnej szaty z kapturem. — Paru twoich marynarzy było przygotowanych na wyjście do portu w Rendorze bez rzucania się w oczy.

— Skąd ja to znam — skrzywił się Sorgi. — Podczas ostatniego pobytu w Jirochu straciłem trzy dni na szukanie naszego kucharza. — Spojrzął na Sephrenię, która również ubrana była w czarną szatę, a twarz miała przesłoniętą grubym, czarnym welonem. — A skąd wytrzasnąłeś cokolwiek pasującego na nią, panie Cluff? — zapytał. — Żaden z moich marynarzy nie jest tak mały.

— Ona bardzo dobrze radzi sobie z igłą. — Sparhawk nie uważał za konieczne tłumaczyć, jak Sephrenia zmieniła kolor swojej białej sukni.

Kapitan podrapał się po swojej kędzierzawej czuprynie.

— Nigdy w życiu nie zrozumiałem, czemu większość Rendorczyków ubiera się na czarno — powiedział. — Czy oni nie wiedzą, że w czarnym jest jeszcze goręcej?

— Może na to nie wpadli — odparł Sparhawk. — Nie są zbyt bystrzy, a przecież żyją tu dopiero od pięciu tysięcy lat.

Sorgi roześmiał się.

— Tak, to możliwe — przyznał. — Pomyślności w Cipprii, panie Cluff. Jeżeli zdarzy mi się natrafić na tych kuzynów, powiem, że nigdy o tobie nie słyszałem.

— Dziękuję, kapitanie — rzekł Sparhawk ściskając mu dłoń. — Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci za to wdzięczny.

Po trapie sprowadzili swoje wierzchowce na nabrzeże. Za radą Kurika końskie grzbiety przykryli czarnymi derkami, by ukryć fakt, że siodła nie pochodzą z Rendoru. Następnie przytroczyli swoje zawiniątka, dosiedli koni i ruszyli z portu powoli, starając się nie wzbudzać niczyjzego zainteresowania. Na ulicach było mrowie ludzi. Mieszczanie z Rendoru niekiedy ubrani byli w barwne, jasne szaty, ale wszyscy pustynni nomadzi nosili się na czarno, a kaptury mieli głęboko naciągnięte na czoła. Z rzadka pojawiające się na ulicach kobiety przesłaniały twarze. Sephrenia podążała za Sparhawkiem i Kurikiem; kaptur opadał jej na oczy, resztę twarzy miała szczelnie zasłoniętą czarnym woalem.

— Widzę, że znasz tutejsze obyczaje — rzucił Sparhawk przez ramię.

— Byłam tu wiele lat temu — odparła zakrywając swoją szatą kolanka Fleicka.

— Ile lat temu?

— Czy zaskoczy cię wiadomość, iż Cippria była wtedy tylko małą wioską rybacką? — odrzekła z filuternym błyskiem w oku. — Liczącą jedynie dwadzieścia glinianych chat?

Rycerz obejrzał się ku niej z niedowierzaniem.

— Sephrenio, Cippria od pięciuset lat jest jednym z największych portów morskich na świecie!

— Czyżby minęło aż tyle czasu? A mnie się wydaje, że to było wczoraj. Gdzie też podziewa się ten czas?

— To niemożliwe!

— Jaki ty czasami jesteś łatwowierny, Sparhawk — powiedziała śmiejąc się wesoło. — Przecież wiesz, że nie odpowiadam na takie pytania, po co więc ciągle je zadajesz?

— Ale ja nie o to pytałem — protestował nieśmiało rycerz.

— Właśnie, że o to.

Kurik uśmiechnął się szeroko.

— Nie krępuj się, mów! — rzucił mu Sparhawk zaczepnie.

— Co takiego mam powiedzieć, dostojny panie? — zapytał Kurik z niewinną miną.

Oddalali się od portu krętymi, wąskimi uliczkami, wmieszani w ciżbę Rendorczyków. Chociaż chmury przesłaniały słońce, Sparhawk wyczuwał ciepło promieniujące z pobielonych ścian domostw i sklepów. Uderzył go w nozdrza znajomy zapach Rendoru. Powietrze było zatęchłe i pełne kurzu, przesycone smrodem smażonej na oliwie baraniny i ostrych przypraw, a woń mocnych pachnideł mieszała się z wszechobecnym odorem wionącym z podwórek domostw.

W pobliżu centrum miasta minęli wylot wąskiego zaułka. Sparhawk oświadczył chłód i nagle wydało mu się, że znowu słyszy wyraźny dźwięk dzwonów.

— Stało się coś złego? — zapytał Kurik widząc, jak rycerzem wstrząsnął dreszcz.

— To ten zaułek, gdzie ostatni raz widziałem Martela.

Kurik zajrzał w głąb uliczki.

— Ależ tam ciasno — zauważył.

— Dzięki temu uszedłem z życiem. Nie mogli wszyscy naraz mnie dopaść.

— Dokąd jedziemy? — odezwała się jadąca z tyłu Sephrenia.

— Do klasztoru, w którym leczyłem rany — rzekł Sparhawk. — Nie ma co kręcić się zbytnio po ulicach. Opat pochodzi z Arcium, podobnie jak większość mnichów, a Arkowie potrafią dochować tajemnicy.

— Czy będę mile widziana w tym klasztorze? — spytała z powątpiewaniem czarodziejka. — Mnisi z Arcium są bardzo konserwatywni i szczególnie uprzedzeni do Styrików.

— Tutejszy opat jest raczej kosmopolitą, w dodatku mam pewne wątpliwości co do reguły zakonu.

— Tak?

— Ci mnisi nie są chyba dokładnie tacy, za jakich chcą uchodzić, i nie zdziwiłbym się wcale, gdybym gdzieś w klasztorze znalazł wypolerowane zbroje, błękitne płaszcze i różną broń.

— Cyrinici? — zdziwiła się Sephrenia.

— Nie tylko pandionici chcą mieć Rendor na oku.

— Co to za smród? — zapytał Kurik, gdy dotarli do zachodniego krańca miasta.

— Niedaleko są zagrody dla bydła — rzekł Sparhawk. — Z Cipprii wysyła się bardzo dużo wołowiny.

— Czy będziemy mijać jakąś bramę i strażę przy wyjeździe z miasta?

Sparhawk potrząsnął przecząco głową.

— Mury miejskie zostały zburzone podczas tłumienia eshandyjskiej herezji — wyjaśnił — a Rendorczyce nie zwracali sobie głowy ich odbudową.

Z wąskiej uliczki wyjechali na rozległe pola. Stały tu gęsto, jedna za drugą, zagrody dla bydła pełne ryczących, wychudzonych krów. Było już późne popołudnie, zachmurzone niebo pokryło się srebrzystym blaskiem.

— Jak daleko jeszcze do klasztoru? — zapytał Kurik.

— Niecałe pół ligi.

— To spory kawałek od tego zaułka, prawda?

— Zdążyłem się o tym przekonać dziesięć lat temu.

— Czemu nie schroniłeś się gdzieś bliżej?

— Nie znalazłem tu żadnego bezpiecznego miejsca. Słyszałem dźwięk klasztornych dzwonów, więc po prostu szedłem w ich kierunku. Przynajmniej miałem się czego uchwycić myślami.

— Mogłeś wykrwawić się na śmierć.

— Tamtej nocy mnie też kilka razy przyszło to do głowy.

— Moi drodzy — powiedziała Sephrenia — może byśmy w końcu ruszyli? Tu, w Rendorze, noc zapada szybko, a po zachodzie słońca na pustyni robi się zimno.

Klasztor stał na szczycie wysokiego, kamiennego wzgórza za zagrodami dla bydła. Otaczał go gruby mur. Sparhawk zsiadł z konia przed zamkniętą furką i pociągnął za sznur zwisający obok niej. Wewnątrz odezwał się dzwoneczek. Po chwili obok bramy otworzyło się wąskie, zakratowane okienko w murze. Wyjrzał przez nie ostrożnie ciemnobrody mnich.

— Dobry wieczór, bracie — odezwał się Sparhawk. — Pragnąłbym zamienić słówko z waszym opatem.

— Kogo mam mu zapowiedzieć?

— Sparhawk. Może mnie sobie przypomni. Przebywałem tu jakiś czas kilka lat temu.

— Czekaj — powiedział szorstko mnich, zamykając okiennicę.

— Nie jest zbyt serdeczny dla nas — zauważył Kurik.

— Duchowni w Rendorze nie są mile widziani — odparł Sparhawk — odrobina ostrożności jest więc zupełnie zrozumiała.

Czekali pod bramą. Zapadł już zmrok, kiedy okiennica otworzyła się ponownie.

— Pan Sparhawk! — zakrzyknął ktoś głosem bardziej pasującym do turniejowych szranków niż siedziby religijnego zgromadzenia.

— Witaj, wielbny ojcze — odpowiedział Sparhawk.

— Zaczekajcie chwilę. Otworzę furkę.

Zaszczękały łańcuchy i zgrzytnął ciężki rygiel wysuwany z grubych, żelaznych obręczy. Brama powoli otworzyła się i opat wyszedł im na powitanie. Był jowialnie wyglądającym, wysokim, barczystym mężczyzną, którego rumiane oblicze zdobiła imponująca czarna broda.

— Miło cię znowu widzieć, przyjacielu. — Zamknął dłoń Sparhawka w mocnym uścisku. — Zdrowo wyglądasz. Podczas ostatniej wizyty wydawałeś się trochę blady i słaby.

— To było dziesięć lat temu, wielbny ojcze — przypomniał Sparhawk. — W tym czasie człowiek może jedynie albo wyzdrowieć, albo umrzeć.

— Masz rację, panie Sparhawku, masz rację. Wejdz do środka wraz z przyjaciółmi.

Sparhawk wprowadził Farana za bramę, a tuż za nim wjechali Sephrenia i Kurik. Wewnątrz znajdował się dziedziniec okolony murem równie ponurym, jak ten broniący klasztoru. Nie pokrywał go biały tynk wszechobecny na ścianach rendorskich domów, a spoglądające z niego okna były węższe od spotykanych zwykle w klasztorach. Sparhawk pomyślał, że byłyby doskonałe na pozycje dla łuczników.

— Czym mogę ci służyć, przyjacielu? — spytał opat.

— Znowu szukam schronienia, wielbny ojcze — odparł Sparhawk. — To chyba weszło mi już w nałóg, prawda?

Opat uśmiechnął się szeroko.

— A kto ściga cię tym razem? — zapytał.

— O ile wiem — nikt, wielbny ojcze, i wołałbym, by tak już pozostało. Czy moglibyśmy porozmawiać gdzieś na osobności?

— Oczywiście. — Opat odwrócił się do brodatego mnicha, który rozmawiał z nimi przy bramie. — Zajmij się końmi, bracie. — Nie był to formalny rozkaz, ale miał wszelkie cechy wojskowej komendy. Mnich wyprężył się, choć nie było to jednoznaczne z oddaniem honorów.

— Chodźmy, Sparhawku — huknął opat, klepiąc dłonią rosnącego rycerza po plecach.

Kurik zsiadł z konia, podszedł do Sephrenii, odebrał od niej dziecko i pomógł czarodziejce zejść z wierzchowca na ziemię.

Opat poprowadził ich głównym wejściem do korytarza o kamiennym sklepieniu, oświetlonego słabym światłem lampek oliwnych. Być może była to tylko woń

oleju, ale pachniało tu świętością i bezpieczeństwem. Sparhawk dobrze pamiętał ten zapach sprzed dziesięciu lat.

— Niewiele się tu zmieniło — zauważył.

— Kościół jest ponadczasowy — odparł opat sentencjonalnie — a jego instytucje starają się mu w tym dorównać.

Na końcu korytarza znajdowały się zwyczajne, pojedyncze drzwi. Opat otworzył je i wszyscy weszli do wysoko sklepionej komnaty. Pokój sprawiał wrażenie całkiem wygodnego, w każdym razie był dużo bardziej komfortowy niż komnaty opatów w klasztorach Północy. Przy oknach, w które wprawiono grube, trójkątne szybki łączone ołowiem, upięto niebieskie draperie. Podłogę pokrywały białe owcze skóry, a nie zasłane łoże w rogu komnaty było znacznie szersze niż typowe klasztorne prycze. W kącie stał nie rozpalony mosiężny piecyk na węgiel drzewny. Zapchane książkami szafy sięgały od posadzki do sklepienia.

— Siadajcie, proszę — powiedział opat, wskazując kilka krzeseł stojących przy założonym stosami dokumentów stole.

— Nadal walczysz z papierami, wielebny ojcze? — zapytał z uśmiechem Sparhawk, podsuwając sobie jedno z krzeseł.

Opat skrzywił się.

— Każdego miesiąca próbuję się z tym uporać — odparł. — Nie wszyscy są stworzeni do papierkowej roboty — dodał i spojrzał ze skwaszoną miną na piętrzące się na stole papiery. — Czasami myślę, że tylko pożar mógłby sobie z tym poradzić. Jestem pewien, że urzędnicy w Chyrellos nawet by nie zauważyli braku moich sprawozdań. — Spojrzał z ciekawością na towarzyszy Sparhawk.

— To mój giermek, Kurik — przedstawił rycerz.

Opat skinął głową Kurikowi.

— A ta dama to Sephrenia. Uczy sekretów w Zakonie Rycerzy Pandionu.

— Sephrenia we własnej osobie? — Zdumiony opat wstał z uszanowaniem. — Od lat słyszałem opowieści o tobie, pani. Twoja sława jest niezmiernie wielka. — Uśmiechnął się szeroko.

Czarodziejka odsłoniła twarz.

— Miło mi to słyszeć — odpowiedziała, również się uśmiechając. Usiadła i wzięła dziewczynkę na kolana. Flecik usadowiła się wygodnie i spojrzała na opata swymi wielkimi, czarnymi oczyma.

— Piękne dziecko — rzekł opat. — Czyżby to była twoja córka, pani?

— Och, nie. — Sephrenia roześmiała się. — To styricka znajda. Nazwaliśmy ją Flecik.

— Cóż za dziwaczne imię — mruknął opat i z powrotem skierował swą uwagę na Sparhawk. — Napomknąłeś o sprawie, którą chciałbyś omówić na osobności. Może więc mnie z nią zapoznasz?

— Czy docierają do ciebie, wielebny ojcze, wieści o tym, co dzieje się na kontynencie?

— Tak, jestem o tym informowany — powiedział ostrożnie brodaty opat, ponownie siadając za stołem.

— A więc znasz sytuację w Elenii?

— Masz na myśli chorobę królowej? I ambicje prymasa Anniasa?

— Tak. Niedawno Annias wpadł na bardzo wyrafinowany pomysł zdyskredytowania Zakonu Rycerzy Pandionu. Na szczęście udało nam się pokrzyżować jego plany. Po oficjalnym spotkaniu w pałacu mistrzowie czterech zakonów zebrali się na prywatną naradę. Anniasowi marzy się tron arcyprałata, a wie, że zakony rycerskie są temu przeciwnie.

— Jeżeli będzie trzeba, to chwycimy za broń. Sam chętnie bym go ściął — stwierdził opat ochoczo, ale pojął, że chyba trochę się zagalopował i zaraz dodał: — ... gdybym nie był członkiem klasztornego bractwa.

— Tak też zrozumiałem, wielbny ojcze — zapewnił Sparhawk. — Mistrzowie przedyskutowali sprawę i doszli do wniosku, że cała potęga prymasa — i jego nadzieje na rozszerzenie swej władzy na Chyrellos — oparta jest na jego pozycji w Elenii, a będzie on pierwszym człowiekiem w państwie tak długo, dopóki królowa Ehlana jest niezdrowa. — Przez twarz Sparhawka przebiegł bolesny skurcz. — To niezbyt trafne określenie, prawda? Życie ledwo się w niej kołacze, a ja nazywam ją „niezdrową”. Och, no cóż, rozumiesz przecież, wielbny ojcze, co mam na myśli.

— Każdemu od czasu do czasu zdarza się strzelić jakąś gafę, Sparhawk — rozgrzeszył go opat. — Znam większość szczegółów. Tydzień temu Dolmant, patriarcha Demos, zrelacjonował mi sytuację. Czego dowiedzieliście się w Borracie?

— Rozmawialiśmy z tamtejszym lekarzem, który powiedział nam, że królowa Ehlana została otruta.

Opat poderwał się na równe nogi klnąc niczym szewc.

— Jesteś przecież Obrońcą Królowej, Sparhawk! — krzyczał. — Czemu nie wracasz do Cimmury, by Anniasa przebić mieczem?

— Kusiło mnie, by tak uczynić — przyznał Sparhawk — ale zdecydowałem, że ważniejsze jest znalezienie odtrutki. Potem będę miał dość czasu, by zająć się Anniasem, a wcale nie zamierzam się śpieszyć, jak już dostanę go w swoje ręce. Wracając do sprawy — lekarz w Borracie podejrzewa, że użyto trucizny rendorskiego pochodzenia i skierował nas do swoich dwóch kolegów, medyków z Cyprii.

Opat zaczął chodzić po komnacie tam i z powrotem z twarzą wciąż pociemniałą z gniewu. Gdy zaczął mówić, w jego głosie nie było już najmniejszych śladów po mniszej pokorze.

— Znam Anniasa i jestem pewien, że już nieraz próbował wam przeszkodzić. Mam rację?

— Zgadza się co do joty.

— A ulice Cyprii nie należą do najbezpieczniejszych pod słońcem — o czym sam się przekonałeś tamtej nocy, dziesięć lat temu. Zrobimy więc to w ten sposób. . . — Zdecydowanym tonem zaczął przedstawiać plan: — Annias wie, że szukacie porady lekarskiej, tak?

— Oczywiście, wszak nie jest w ciemę bity.

— No właśnie. Jeżeli pójdziecie do lekarza, pewnie sami będziecie go potrzebowali, a więc nie mogę wam na to pozwolić.

— Nie pozwolisz, wielbny ojcze? — zapytała Sephrenia łagodnie.

— Przepraszam — bąknął opat. — Być może wyraziłem się trochę niezręcznie. Chciałem powiedzieć, że odradzałbym to najgoręcej. Natomiast pošlę kilku mnichów, by przywiedli medyków tutaj. W ten sposób będziecie mogli z nimi porozmawiać, nie ryzykując życia na ulicach Cyprii. A potem pomyślimy nad zorganizowaniem waszej ucieczki z miasta.

— Czy lekarz Elen zgodzi się na złożenie wizyty domowej? — zapytała Sephrenia z powątpiewaniem w głosie.

— Zgodzi się, jeżeli własne zdrowie będzie miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie — odparł groźnie opat, ale zaraz jego spojrzenie ponownie złagodniało. — Takie słowa nie bardzo pasują do mnicha, prawda? — tłumaczył się.

— Hm, czy ja wiem? — Sparhawk był delikatny. — Są mnisi i mnisi.

— Wyślę zaraz kilku braci do miasta. Jak się nazywają ci lekarze?

Rycerz wyciągnął z zanadru kawałek pergaminu, który otrzymał od pijanego lekarza z Borraty. Opat rzucił okiem na bazgroły medyka.

— Tego pierwszego już znasz, Sparhawk — powiedział. — To on leczył cię dziesięć lat temu.

— Tak? Nie zapamiętałem jego imienia.

— Nic dziwnego. Prawie cały czas byłeś nieprzytomny. — Opat ponownie spojrzął na pergamin. — Ten drugi umarł miesiąc temu, ale doktor Voldi chyba potrafi odpowiedzieć na wszelkie wasze pytania. Jest może trochę zarozumiały, ale to najlepszy medyk w Cyprii. — Wstał, podszedł do drzwi i otworzył je. Na zewnątrz stało dwóch młodych mnichów. Sparhawk pomyślał, że podobnie dwóch młodych pandionitów strzeże komnaty Vaniona w zamku w Cimmurze. — Pójdiesz do miasta — opat polecił ostro jednemu z młodzieńców — i przyprorowadzisz do mnie doktora Voldi. Tylko nie wracaj z pustymi rękami!

— W tej chwili, wielbny ojcze — odpowiedział młody mnich. Z pewnym rozbawieniem Sparhawk zauważył, że młodzieniec skręcił lekko stopy, jakby miał zamiar trzasnąć obcasami.

Opat zamknął drzwi i powrócił na swój fotel.

— Spodziewam się, że to zajmie mu około godziny. — Spojrzął na uśmiechniętego Sparhawka. — Co cię tak rozbawiło, przyjacielu? — zapytał.

— Nic takiego, wielbny ojcze. Tyle że ten młody mnich zachowywał się nad wyraz energicznie.

— Czy to naprawdę tak rzuca się w oczy? — zapytał trochę strapiiony opat.
— Tak, wielbny ojcze, jeżeli się wie, na co patrzeć.
Opat skrzywił się.
— Na szczęście mieszkańcy Cyprii nie bardzo znają się na takich sprawach. Zachowasz swoje spostrzeżenia w tajemnicy, prawda, Sparhawk?
— Oczywiście, wielbny ojcze. Nic nikomu nie powiedziałem, chociaż opuszczając to miejsce dziesięć lat temu nie miałem wątpliwości co do reguły tego zakonu.
— Powinienem był się tego domyślić. Wy, pandionicy, znani jesteście z bystrogo oka. — Wstał. — Każę przysłać coś na kolację. Kuropatwy w tych okolicach dorastają do całkiem pokaźnych rozmiarów, a ja mam wspaniałego sokoła.
— Roześmiał się. — Oto czym się zajmuję, zamiast tracić czas na sporządzanie sprawozdań, które powinienem wysyłać do Chyrellos. Co powiedzielibyście na pieczone ptactwo?
— Chyba sobie z tym poradzimy — odparł Sparhawk.
— A czy przedtem mógłbym zaproponować wam odrobinę wina? Nie jest to co prawda czerwone arcjańskie, ale da się wypić. Sami je robimy. Ziemia tutaj nie nadaje się do niczego poza uprawą winorośli.
— Dziękujemy, wielbny ojcze — odezwała się Sephrenia — ale czy ja i dziecko możemy otrzymać trochę mleka zamiast wina?
— Obawiam się, że mamy tylko kozie mleko.
— Kozie mleko będzie całkiem dobre. — Oczy czarodziejki pojaśniały. — Mleko krowie jest zbyt łagodne, a my, Styricy, wolimy napoje o bardziej wyraźnych smakach.
Sparhawk wzdrygnął się ze wstrętem.
Opat posłał drugiego z młodych mnichów do kuchni po mleko i wieczerzę, a potem nalał czerwone wino Sparhawkowi, Kurikowi i sobie. Następnie opadł na swój fotel. Od niechcenia pocierał nóżkę swojego pucharu.
— Czy możemy być z sobą szczerzy, Sparhawk? — zapytał po chwili.
— Oczywiście.
— Czy kiedy byłeś w Jirochu, docierały do ciebie wieści o tym, co działo się tu, w Cyprii, po twoim wyjeździe?
— Nie, raczej nie. Ukrywałem się i grałem wtedy rolę zwykłego mieszczanina.
— Wiesz, co Rendorczycy myślą o postępowaniu się magią?
— O ile pamiętam, nazywają to czarnoksięstwem.
— Rzeczywiście, i uważają, że to większy występki od morderstwa. Zaraz po twoim wyjeździe mieliśmy tu do czynienia z taką właśnie sprawą. Zajmowałem się nią, ponieważ jestem najwyższym rangą duchownym w okolicy. — Opat uśmiechnął się szyderczo. — Rendorczycy zwykle na mój widok spluwają, ale wystarczy, że ktoś szepnie: „Czary!”, a już pędzą do mnie w popłochu i przerażeniu. Zazwyczaj oskarżenia są z gruntu fałszywe. Przeciętny Rendorczyk nie po-

trafiłby zapamiętać styryckich słów najprostszego zaklęcia, nawet gdyby od tego zależało jego życie, ale czasami oskarżają się o to nawzajem — powodowani złością, zazdrością i pomówieniami. Jednakże tym razem sprawa wyglądała trochę inaczej. Były niezbite dowody na to, że w Cyprii korzystano z czarów wyższego rzędu. — Spojrzał na Sparhawk. — Czy ci ludzie, którzy napadli na ciebie tamtej nocy, byli biegli w magii?

— Tak, jeden z nich.

— To by wszystko wyjaśniało. Prawdopodobnie posłużono się czarami, by ustalić miejsce czyjegoś pobytu. Może to właśnie ciebie poszukiwano.

— Wspomniałeś, wielbny ojcze, o czarach wyższego rzędu — powiedziała Sephrenia w zamyśleniu. — Czy mógłbyś dodać coś więcej na ten temat?

— Na ulicach Cyprii widziano jakąś żarzącą się zjawę. Wydawało się, że otacza ją luna, blask czy coś takiego.

— A co dokładnie ta zjawa robiła? — Czarodziejka zaczerpnęła gwałtownie powietrza.

— Zadawała ludziom pytania. Nikt ich potem nie pamiętał, ale podczas przesłuchania zjawa była okrutna. Na własne oczy widziałem liczne ślady po przypalaniu.

— Po przypalaniu?

— Gdy chwyciła kogoś, by go wypytać, gdziekolwiek dotknęła, paliła ciało. Pewna kobiecina miała wypalony ślad na całym przedramieniu. Mógłbym powiedzieć, że ślad miał kształt dłoni, gdyby nie to, że widać było dużo więcej palców.

— Ile?

— Dziewięć palców i dwa kciuki.

— Damork — szepnęła czarodziejka złowieszczo.

— Mówiłaś przecież, że Młodszy Bogowie pozbawili Martela mocy przywoływania takich stworów — zwrócił się do niej Sparhawk.

— To nie Martel go wezwał. Ktoś inny przysłał mu go do pomocy.

— To znaczy chyba prawie to samo?

— Niezupełnie. Martel ma nad damorkiem tylko niewielką władzę.

— Ale wszystko to działo się dziesięć lat temu — odezwał się Kurik wzruszając ramionami. — Jakie to może mieć teraz znaczenie?

— Nie pojmujesz istoty sprawy, Kuriku — odpowiedziała Sephrenia z powagą. — Myśleliśmy, że damork pojawił się niedawno, ale okazuje się, że był tu już dziesięć lat temu, zanim zaczęły się nasze obecne kłopoty.

— Nie bardzo rozumiem — przyznał giermek.

Sephrenia spojrzała na Sparhawk. — To o ciebie chodzi, mój drogi — powiedziała cicho. — Nie o mnie, Kurika, Ehlanę czy nawet o małą Flecik. Wszystkie ataki damorka były skierowane na ciebie. Bądź bardzo, ale to bardzo ostrożny, Sparhawk. Azash pragnie twojej śmierci.

Rozdział 19

Doktor Voldi był małym, ruchliwym człowieczkiem około sześćdziesiątki. Łysinę nad czołem starał się zatuszować zaczesując włosy starannie do przodu. Naturalnie również je farbował, by ukryć siwiznę. Zdjął ciemny płaszcz i stanął przed Sparhawkiem w białym, lnianym kitlu. Pachniał chemikaliami i miał o sobie nad wyraz dobrą opinię.

Do komnaty opata przyprowadzono go wieczorem i bez powodzenia próbował ukryć swoje niezadowolenie z powodu wezwania o tak późnej porze.

— Wielebny ojcze... — Medyk uklonił się sztywno przed czarnobrodym duchownym.

— Ach, Voldi! — Opat wstał z fotela. — Jak to dobrze, że przyszedłeś.

— Mnich powiedział, że sprawa jest pilna. Czy mogę zobaczyć pacjenta?

— Nie, chyba że jesteś gotów odbyć długą podróż, doktorze Voldi — szepnęła Sephrenia. Voldi przypatrywał się jej przez chwilę z uwagą.

— Nie pochodzisz chyba z Rendoru, pani — zauważył. — Sądząc po twoim wyglądzie myślę, że jesteś Styriczką.

— Jesteś spostrzegawczy, doktorze.

— Tego człowieka na pewno pamiętasz — powiedział opat wskazując na Sparhawką.

Doktor spojrział obojętnie na rosnącego pandionitę.

— Nie — rzekł — nie powiedziałbym... — Wtem drgnął. — Tylko mi nie podpowiadaj — dodał, z roztargnieniem przyczesując dłonią włosy do przodu. — To było z dziesięć lat temu, prawda? Czyżbyś był tym z ranami od noży?

— Masz dobrą pamięć, doktorze Voldi — rzekł Sparhawk. — Nie chcemy cię zbyt długo zatrzymywać, więc od razu przejdźmy do sprawy. Polecił nam ciebie medyk z Borraty, który bardzo się liczy z twoją opinią na pewne tematy. — Sparhawk obrzucił małego człowieczka szybkim spojrzeniem i postanowił jeszcze trochę połechtać jego próżność. — Oczywiście pewnie i tak byśmy do ciebie przyjechali, doktorze — dodał. — Twoja sława sięga daleko poza granice Rendoru.

— Hm, cóż... — Voldi był wyraźnie zadowolony, ale zaraz przybrał skromny

wyraz twarzy. — Przyjemnie słyszeć, że moje osiągnięcia spotkały się z zasłużonym uznaniem.

— Panie doktorze — przerwała Sephrenia — oczekujemy, że poradzisz nam, jak uzdrowić naszą przyjaciółkę, która niedawno została otruta.

— Otruta? — upewnił się Voldi ostrym tonem. — Jesteś tego pewna, pani?

— Medyk z Borraty był co do tego zupełnie przekonany. Szczegółowo opisa-
liśmy mu objawy choroby i on uznał, że przyczyną jest bardzo rzadko spotykana
rendorska trucizna o nazwie...

— Ja wolę stawiać własne diagnozy — przerwał doktor unosząc dłoń. —
Opisz mi objawy, pani.

Czarodziejka cierpliwie powtórzyła to, co mówiła medykowi z uniwersytetu
w Borracie.

Mały lekarz słuchając chodził tam i z powrotem po komnacie z rękoma założo-
nymi do tyłu i utkwionym w podłodze spojrzeniem.

— Padaczkę możemy od razu wykluczyć — mruknął, gdy Sephrenia skoń-
czyła. — Jednakże inne choroby też powodują drgawki — rozpoczął wykład. —
Decydującym śladem jest kombinacja gorączki i potów. Ta choroba nie jest na-
turalnego pochodzenia. Mój kolega z Borraty miał zupełną słuszość. Istotnie,
wasza przyjaciółka została otruta i doszedłem do wniosku, że użyto trucizny zwa-
nej darestim. Nomadzi z pustyni Rendoru nazywają ją śmiertelnym chwastem.
W podobny sposób uśmierca owce i ludzi. Jest to trucizna obecnie bardzo rzad-
ko spotykana, gdyż koczownicy wyrrywają i niszczą każdy krzak darestimu, jaki
zobaczą. Czy moja diagnoza pokrywa się z opinią mojego kolegi z Cammorii?

— Całkowicie, doktorze Voldi — powiedziała Sephrenia z uznaniem.

— No cóż, więc to chyba wszystko. — Doktor sięgnął po swój płaszcz. —
Cieszę się, że mogłem pomóc.

— Co teraz mamy uczynić? — zapytał Sparhawk.

— Rozpocząć przygotowania do pogrzebu — odpowiedział Voldi wzruszając
ramionami.

— A odtrutka?

— Nie ma odtrutki. Wasza przyjaciółka jest zgubiona. — Voldi mówił w irytu-
jąco spokojny sposób. — W odróżnieniu od innych trucizn darestim atakuje mózg,
a nie krew. Wystarczy raz zażyć i puff! — Strzelił palcami. — Powiedźcie, czy
wasza przyjaciółka ma potężnych i bogatych wrogów? Darestim jest niesłychanie
kosztowny.

— Otruto ją z pobudek politycznych — rzekł Sparhawk ponuro.

— Ach, politycy! — Voldi roześmiał się. — Ci zawsze mają pieniądze, praw-
da? — Zmarszczył brwi. — Wydaje mi się, że... — przerwał, ponownie przy-
gładzając fryzurę. — Gdzie ja to słyszałem? — Drapiąc się po głowie potargał
zaczესane starannie do przodu włosy. Potem znowu strzelił palcami. — Ach, już
wiem! — krzyknął triumfalnie. — Słyszałem plotki — jedynie plotki, rozumiecie

— że lekarzowi z Dabouru udało się uzdrowić kilku członków królewskiej rodziny z Zandu. Zwykle o takim wydarzeniu natychmiast dowiedzieliby się wszyscy lekarze, w tym wypadku jednak było inaczej. Znam tego człowieka, na jego temat od lat krążą różne paskudne opowieści. Niektórzy nawet uważają, że jego cudowne uzdrowienia są wynikiem pewnych zakazanych praktyk.

— Jakich praktyk? — zapytała dociekliwie Sephrenia.

— Czarów, czegoż by innego? Mojemu koledze z Dabouru natychmiast by ścięto głowę, gdyby wyszło na jaw, że używa czarów.

— Rozumiem. Czy te plotki o uzdrowieniach słyszałeś, panie, tylko z jednego źródła?

— Och, nie. Mówiło mi o tym wielu ludzi. Zachorował brat króla i kilku królewskich bratanków. Wezwano do pałacu lekarza z Dabouru, Tanjina. Stwierdził, że otruto ich darestimem, a potem ich uzdrowił. W dowód wdzięczności król okrył tajemnicą sposób, w jaki Tanjin ich uleczył, i dla pewności objął go całkowitą amnestią. — Doktor Voldi uśmiechnął się znacząco. — To nie ma wielkiego znaczenia, skoro, jak wiecie, władza królewska w Zandzie nie sięga zbyt daleko poza pałacowe mury. I tak każdy, kto ma jakiegokolwiek pojęcie o medycynie, wie, jak tego dokonano. — Na jego twarzy pojawił się wyraz wzniosłej wzgardy. — Ja nie zniżyłbym się do czegoś takiego, ale doktor Tanjin jest ogromnie chciwy, a mogę sobie tylko wyobrazić, jakie król zaproponował mu wynagrodzenie.

— Dziękujemy bardzo za twoją pomoc, doktorze — odezwał się Sparhawk.

— Przykro mi z powodu waszej przyjaciółki — powiedział Voldi. — Obawiam się, że gdy pojedziecie do Dabouru, nie zdążycie wrócić. Ona umrze. Darestim działa powoli, ale zawsze jest śmiertelny.

— Tak jak miecz w brzuchu — rzekł Sparhawk złowieszczo. — W ostateczności będziemy mogli chociaż pomścić jej śmierć.

— Co za straszne myśli — wzdrygnął się Voldi. — Czy zdajecie sobie sprawę, jakich zniszczeń można dokonać mieczem w ludzkim ciele?

— Gruntownych — odparł rycerz.

— Tak, to prawda. Sam tego przecież doświadczyłeś, dostojny panie. Może obejrzałbym twoje stare rany?

— Dziękuję, doktorze, nie trzeba. Są już zupełnie zagojone.

— Wspaniale. Jestem prawie dumny ze sposobu, w jaki cię wyleczyłem, dostojny panie. Z rąk marniejszego lekarza pewnie nie uszedłbyś z życiem. No cóż, muszę już iść. Jutro czeka mnie kolejny pracowity dzień.

— Dziękujemy ci, doktorze Voldi — powiedział opat. — Braciszek odprowadzi cię do domu.

— Było mi bardzo miło, wielbny ojcze. To była wielce zajmująca rozmowa. — Voldi skłonił się i opuścił pokój.

— Zarozumiały dupek, co? — mruknął Kurik.

— Tak — przyznał opat. — Jednak jest bardzo dobrym medykiem.

— Niewiele się dowiedzieliśmy, Sparhawk — westchnęła Sephrenia — bardzo, bardzo niewiele. Wszystko to są plotki. Nie możemy marnować czasu na sprawdzanie każdej pogłoski.

— A czy mamy jakieś inne wyjście? Musimy jechać do Dabouru. Nie możemy przegapić żadnej szansy.

— To może wcale nie jest tak niewiele, jak sądzisz, szlachetna pani — wtrącił opat. — Znam Voldiego bardzo dobrze. Nie rozpowiadałby o czymś, czego nie wiedziałby na pewno, a i do mnie dotarły plotki o chorobie i cudownym wyzdrowieniu kilku członków królewskiej rodziny z Zandu.

— To wszystko, co wiemy — rzekł Sparhawk. — I musimy pójść tym tropem.

— Do Dabouru najszybciej można dostać się morzem, płynąc wzdłuż brzegu, a potem w górę rzeki Gule — zaproponował opat.

— Nie! — Sephrenia zdecydowanie odrzuciła tę możliwość. — Stwór, który próbuje zabić Sparhawk, pewnie już zdał sobie sprawę, że nie powiodło mu się ostatnim razem. Nie myślę, byśmy chcieli podróżować wypatrując nieustannie śladów na wodzie.

— A więc musicie pojechać przez Jiroch — stwierdził opat. — Nie możecie jechać na przełaj. Nawet o tej porze roku nikt nie podróżuje do Dabouru przez pustynię. To całkowicie niemożliwe.

— Jeżeli nie będzie można inaczej, to i przez pustynię pojedziemy — rzekł Sparhawk.

— Uważajcie na siebie — ostrzegł ich poważnie opat. — W Rendorze jest teraz niespokojnie.

— Tam zawsze było niespokojnie, wielbny ojczu.

— Tym razem jest trochę inaczej. Arasham z Dabouru nawołuje do świętej wojny.

— Robi to już od lat dwudziestu bez mała. Całą zimę przewraca w głowach mieszkańcom pustyni, a oni latem spokojnie wracają do swych stad.

— Nikt nie zwraca zbytnej uwagi na koczowników, Sparhawk, ale ten szalony starzec ma coraz większy wpływ na mieszkańców miast, a to już zaczyna być poważniejsza sprawa. Arasham oczywiście wciąż podsyca nastroje wśród swoich nomadów, przebywających nadal w Dabourze. Zgromadził sporą armię.

— Mieszkańcy rendorskich miast nie są chyba na tyle głupi. Co zrobiło na nich aż tak duże wrażenie?

— Doszły mnie słuchy, że pewni ludzie rozpuszczają po miastach plotki. Rozpowiadają, że w północnych królestwach coraz większą sympatią cieszy się idea odrodzenia ruchu eshandistów.

— To bzdura — burknął Sparhawk.

— Oczywiście, ale udało im się przekonać sporą grupę ludzi tu, w Cippii, że po raz pierwszy od wieków powstanie przeciwko Kościołowi może zakończyć się zwycięstwem. A oprócz tego przeschmuglowano ostatnio pokaźne ładunki broni.

— Czy wiadomo, kto rozpuszcza te plotki? — zapytał Sparhawk, a w jego umyśle zaczęły narastać podejrzenia.

— Kupcy, podróżni przybywający z Północy i różni tacy. — Opat wzruszył ramionami. — Wszyscy są cudzoziemcami. Zatrzymują się zwykle w tej części miasta, gdzie znajduje się konsulat Elenii.

— Czyż to nie osobliwe? — wymamrotał Sparhawk. — Tej nocy, gdy napadnięto mnie na ulicy, byłem wezwany do konsulatu Elenii. Czy Elius jest nadal konsulem?

— Tak. Czemu o to pytasz? Do czego zmierzasz, Sparhawk?

— Powiedz mi jeszcze tylko jedno, wielbny ojcie. Czy twoi ludzie widzieli może przypadkiem białowłosego mężczyznę wchodzącego lub wychodzącego z konsulatu?

— Tego nie wiem. Nie kazałem im na to zwracać uwagi. Zgaduję, że pytasz o jakąś konkretną osobę?

— Rzeczywiście, wielbny ojcie. — Sparhawk wstał i zaczął chodzić po komnacie. — Może jeszcze raz spróbujemy posłużyć się logiką Elenów, Sephrenio — powiedział w końcu i zaczął wyliczać na palcach: — Po pierwsze — prymas Annias ma ochotę na tron arcyprałata. Po drugie — nasze cztery zakony rycerskie są temu przeciwne i ich sprzeciw może pokrzyżować plany prymasa. Po trzecie — by zdobyć tron arcyprałata, Annias musi zdyskredytować Rycerzy Kościoła lub odciągnąć ich uwagę. Po czwarte — konsul Elenii w Cipprii jest jego kuzynem. Po piąte — konsul i Martel mieli już kiedyś ze sobą do czynienia. Odczułem to na własnej skórze dziesięć lat temu.

— Nie wiedziałem, że Elius jest spokrewniony z prymasem. — Opat był wyraźnie zaskoczony.

— Nie obnosili się z tym — rzekł Sparhawk. — Idźmy dalej. Annias chce pozbyć się Rycerzy Kościoła z Chyrellos na czas wyboru arcyprałata. A co uczynią Rycerze Kościoła w razie wybuchu powstania tu, w Rendorze?

— Nasze zbrojne oddziały będą w każdym zakątku królestwa — oznajmił opat niepomyślnie, że w ten sposób sam potwierdza podejrzenia Sparhawka co do reguły jego zakonu.

— A to skutecznie odciągnie uwagę zakonów rycerskich od debaty na temat wyboru arcyprałata, prawda?

Sephrenia spojrzała w zamyśleniu na Sparhawka.

— Jakim człowiekiem jest ten Elius? — spytała.

— To marny urzędniczyna o niewielkiej inteligencji i jeszcze mniejszej wyobraźni.

— Z twojego opisu można wywnioskować, że nie jest zbyt obrotny.

— Bo nie jest.

— A więc musi otrzymywać instrukcje od kogoś innego, prawda?

— No właśnie. — Sparhawk odwrócił się do opata. — Wielebny ojciec, czy masz możliwość przesłania wiadomości mistrzowi Abrielowi do siedziby waszego zakonu w Larium? Wiadomości, która nie może wpaść w niepowołane ręce?

Opat spojrział na niego zimno.

— Postanowiliśmy być z sobą szczerzy, wielebny ojciec — przypomniał mu Sparhawk. — Nie zamierzałem cię wprawiać w zakłopotanie, ale to nie cierpiąca zwłoki sprawa.

— W porządku, Sparhawk — rzekł opat odrobinę sztywno. — Mogę przesłać wiadomość mistrzowi Abrielowi.

— To dobrze. Sephrenia zna wszystkie potrzebne szczegóły i ona je przekaże. Ja z Kurikiem muszę coś jeszcze załatwić.

— Co planujecie? — zażądał wyjaśnień opat.

— Mam zamiar wpaść do konsula. Elius wie, co się tu dzieje, i myślę, że potrafię nakłonić go, by podzielił się z nami swoją wiedzą. Muszę potwierdzić nasze podejrzenia, nim wyślemy wiadomość do Larium.

— To zbyt niebezpieczne.

— Ale chyba nie aż tak, jak Annias na tronie arcyprałata? — odparł Sparhawk i zastanowił się chwilę. — Jest tu może przypadkiem jakaś bezpieczna cela? — zapytał.

— Mamy w podziemiach celę pokutną, której drzwi da się chyba zamknąć.

— To dobrze. Sprowadzimy tu Eliusa na przesłuchanie. Potem go tam zamkniemy. Sephrenia nie jest zwolenniczką bardziej radykalnych działań, a nie możemy puścić go wolno, skoro będzie wiedział, że tu jestem. On po prostu zniknie i nikt nie będzie wiedział, co się z nim stało.

— A nie narobi rabanu, gdy go pojmiecie?

— Raczej nie, wielebny ojciec — zapewnił Kurik, wyciągając swój ciężki sztylet i mocno uderzając jego ręką w otwartą dłoń. — Gwarantuję, że będzie spał.

Miasto było ciche. Chmury, które tego popołudnia przesłaniały niebo, rozeszły się i teraz jasno świeciły gwiazdy.

— Nie ma księżyca — odezwał się cicho Kurik, gdy razem ze Sparhawkiem przemykali wyludnionymi ulicami. — To nam pomoże.

— Przez ostatnie trzy noce późno wschodził.

— Jak późno?

— Mamy jeszcze gdzieś ze dwie godziny.

— Czy zdążymy przedtem wrócić do klasztoru?

— Musimy. — Sparhawk zatrzymał się tuż przed skrzyżowaniem i wyjrzał za róg. Ulicą włócił się leniwie człowiek w krótkiej pelerynie. Niósł pikę i małą latarnię. — Wartownik — szepnął i razem z Kurikiem schowali się w mroku głębokiej

bramy.

Wartownik minął ich kołyszając latarnią, której migotliwe światło rysowało na mrocznych ścianach groźne cienie.

— Powinien być bardziej uważny — mruknął Kurik.

— W tych warunkach twoje umiłowanie porządku jest chyba trochę nie na miejscu.

— Porządek musi być, Sparhawk — upierał się giermek. Gdy wartownik zniknął im z oczu, ostrożnie wyszli na ulicę.

— Czy my tak po prostu wejdziemy do konsulatu przez bramę? — zapytał Kurik.

— Nie. Kiedy będziemy już dostatecznie blisko, to pójdziemy dalej po dachach domów.

— Nie jestem kotem, Sparhawk. Skakanie z dachu na dach nie należy do moich ulubionych rozrywek.

— W tej części miasta domy stoją ciasno jeden obok drugiego, ich dachy łączą się z sobą w wygodny trakt.

— Hm — mruknął Kurik. — To co innego.

Konsulat Królestwa Elenii był okazałym budynkiem otoczonym wysokim białym murem. Na każdym z rogów stał słup z pochodnią. Przy murze zobaczyli wąską uliczkę.

— Czy ta uliczka biegnie dookoła konsulatu? — zapytał Kurik.

— Biegła, gdy byłem tu ostatnim razem.

— A więc w twoim planie jest znacząca luka, Sparhawk. Ja nie potrafię przeskoczyć z któregoś z tych dachów na szczyt muru.

— Ja również. — Sparhawk nachmurzył się. — Chodźmy zobaczyć, jak to wygląda z drugiej strony.

Przemknęli wąskimi uliczkami i zaułkami na tyłach domów stojących naprzeciw muru konsulatu. Z jednego z nich wybiegł pies i ujadął wniebogłosy. Kurik rzucił kamieniem, psiak zaskowyczał i uciekł kulejąc.

— Teraz wiem, jak się czują złodzieje — mruknął Kurik.

— Spójrz tam — powiedział Sparhawk.

— Gdzie?

— Dokładnie tam. Jakaś przyjazna dusza ma zamiar naprawić swój dach. Wiesz ten stos żerdzi ustawionych pod ścianą? Chodźmy sprawdzić, czy są dosyć długie.

Podeszli do stosu materiałów budowlanych. Kurik starannie zmierzył długość żerdzi stopami.

— Ledwo, ledwo — zauważył.

— Tego nie będziemy pewni, dopóki nie spróbujemy — odrzekł mu Sparhawk.

— No dobrze, więc jak dostaniemy się na dach?

— Oprzemy żerdzie o ścianę. Jeżeli je odpowiednio pochylimy, to będziemy mogli wdrapać się po nich na górę, a potem wciągniemy je za sobą.

— Co za szczęście, że nie musimy budować sobie machin obłączniczych — zauważył Kurik złośliwie. — No dobrze. Do roboty.

Oparli kilka żerdzi o ścianę i Kurik, pocąc się i sapiąc jak miech kowalski, wdrapał się na dach.

— Udało się — rzucił szeptem — wchodź.

Sparhawk wspiał się do góry wbijając sobie po drodze w rękę sporą drzazgę. Potem razem z Kurikiem wciągnęli pracowicie żerdzie jedną po drugiej i przenieśli na drugi koniec dachu, sąsiadujący z murem otaczającym konsulatu. Pochodnie, migoczące na szczycie muru, oświetlały im teren. Gdy przynosili ostatnią żerdź, Kurik nagle przystanął.

— Sparhawk — powiedział cicho.

— Co?

— Tam leży niewiasta. Dwa dachy dalej.

— Skąd wiesz, że to niewiasta?

— Stąd, że jest zupełnie naga.

— Och, to rendorski zwyczaj — wyjaśnił Sparhawk. — Ona czeka na wschód księżycy. Panuje tu przesąd, że pierwsze promienie księżycy padając na brzuch białogłowy podnoszą jej płodność.

— Nie zauważy nas?

— Nawet gdyby zauważyła, to i tak nic nikomu nie powie. Jest zbyt zajęta czekaniem na księżyc. Chodź już, Kuriku. Nie gap się tak na nią.

Ostrożnie poczuli przesuwac żerdź ponad wąską uliczką w kierunku muru. Nie było to wcale proste zadanie, jeśli się zważy, że w miarę wysuwania coraz trudniej było utrzymać żerdź we właściwej pozycji. W końcu oporny drąg opadł na szczyt muru. Przesunęli teraz po nim kilka następnych i ułożyli obok siebie, formując coś w rodzaju wąskiego mostka. Nagle, gdy już prawie kończyli, Kurik znieruchomiał mrużąc pod nosem przekleństwa.

— Co się stało? — zapytał Sparhawk.

— Jak dostaliśmy się na ten dach? — Kurik miał skwaszoną minę.

— Wspięliśmy się po żerdzi.

— A gdzie chcemy się dostać?

— Na szczyt tamtego muru.

— To po co budujemy ten most?

— Ponieważ... — Sparhawk nagle zrozumiał, jakim był głupcem. — Mogliśmy po prostu oprzeć żerdź o mur konsulatu, tak?

— Moje gratulacje, dostojny panie — powiedział zjadliwie Kurik.

— Most był takim doskonałym rozwiązaniem problemu... — bronił się Sparhawk.

— Ale zupełnie zbędnym.

- Jednak możemy chyba z niego skorzystać?
- Oczywiście.
- Przechodzimy więc na drugą stronę?
- Idź przodem. Ja pójde porozmawiać chwilę z tą nagą damą.
- Daj sobie spokój, Kuriku. Ona ma w głowie co innego.
- Jeżeli ma problemy z płodnością, to ja jestem ekspertem w tej dziedzinie.
- Chodźmy, Kuriku.

Przeszli po swoim mostku i ruszyli wzdłuż muru konsulatu do miejsca, w którym z ciemności wyłaniały się gałęzie dorodnej figi. Zsunęli się po drzewie na ziemię i stali przez chwilę ukryci za jego pniem. Sparhawk rozważał sytuację.

— Wiesz może, gdzie jest sypialnia konsula? — zapytał szeptem Kurik.

— Nie — odparł równie cicho Sparhawk — ale mogę się domyślić. To konsulat Elenii, a wszystkie eleńskie budynki rządowe są mniej więcej takie same. Prywatne apartamenty będą z tyłu na górze.

— Bardzo dobrze, Sparhawk — powiedział Kurik oschle. — To znacznie zawęży obszar naszych poszukiwań. Teraz pozostało nam do przeszukania jedynie ćwierć gmachu.

Przemknęli przez pogrążony w mroku ogród i weszli do budynku przez nie zamknięte tylne drzwi. Minęli ciemną kuchnię i znaleźli się w słabo oświetlonym głównym hallu. Nagle Kurik wepchnął Sparhawk z powrotem do kuchni.

— Co... — Sparhawk zaczął protestować głośnym szeptem.

— Sza!

W hallu pojawił się drgający płomień świecy. Kobieta słusznej postury — gospodyni, a może kucharka — zmierzała w ich kierunku. Sparhawk skulił się na widok postaci przesłaniającej wejście do kuchni. Matrona ujęła klamkę i zdecydowanym ruchem zamknęła drzwi.

— Skąd wiedziałeś, że ona nadchodzi? — spytał Sparhawk szeptem.

— Nie wiem. Po prostu wiedziałem — odszepnął Kurik i przyłożył ucho do drzwi. — Odchodzi — zdawał cicho relacje.

— Co ona robi o tak późnej porze?

— Któż to wie? Może po prostu sprawdza, czy wszystkie drzwi są zamknięte. Aslade robi to każdego wieczora. — Ponownie wsłuchał się w odgłosy dochodzące z korytarza. — Już. Zamknęła właśnie następne drzwi i na korytarzu jest cicho. Chyba poszła do łóżka.

— Schody powinny być naprzeciw głównego wejścia — szepnął Sparhawk. — Chodźmy, zanim nie napatoczy się tu ktoś jeszcze.

Pośpieszyli cicho korytarzem, a potem schodami na górę.

— Szukaj ozdobnych drzwi — polecił Sparhawk szeptem. — Konsul jest panem domu, więc najpewniej jego pokój będzie najbardziej okazały. Ty idź w tę stronę, a ja pójde w tamtą.

Rozdzielili się i ruszyli na palcach w przeciwnych kierunkach. Na końcu korytarza Sparhawk natrafił na bogato rzeźbione drzwi ze złotym ornamentem. Otworzył je ostrożnie i zajrzał do środka. W przyćmionym świetle samotnej lampki oliwnej ujrzał tęgiego, pięćdziesięcioletniego mężczyznę o rumianej twarzy, leżącego w łóżu na wznak. Grubas głośno chrapał. Sparhawk rozpoznał go. Cicho zamknął drzwi i ruszył na poszukiwanie Kurika. Znalazł giermka u szczytu schodów.

— Ile lat ma konsul? — szepnął Kurik.

— Z pięćdziesiąt.

— A więc to nie jego widziałem. W końcu korytarza są rzeźbione drzwi, a za nimi jakiś młodzian około dwudziestki baraszkuje ze starszą od siebie damą.

— Widzieli cię?

— Nie. Byli zbyt zajęci sobą.

— Aha. Konsul śpi samotnie w tamtym końcu korytarza.

Na palcach wrócili razem do złożonych drzwi. Sparhawk po cichu otworzył je, po czym weszli do środka i podeszli do łóża. Rycerz położył rękę na ramieniu konsula.

— Ekscelencjo — powiedział cicho, potrząsając mężczyzną.

Konsul podniósł powieki, popatrzył zdumiony i zaraz padł nieprzytomny, gdyż Kurik stuknął go solidnie po głowie ręką i sztyletu. Zawinęli ogłuszonego człowieka w ciemny koc i Kurik bezceremonialnie zarzucił go sobie na plecy.

— Czy to już wszystko, czego nam trzeba? — zapytał.

— Wszystko — odparł Sparhawk. — Chodźmy.

Przemknęli z powrotem do schodów, a potem do kuchni. Sparhawk ostrożnie zamknął drzwi.

— Zaczekaj tu — szepnął do Kurika. — Sprawdzę ogród. Zagwizdę, jeśli wszystko będzie w porządku. — Wymknął się do mrocznego ogrodu i ostrożnie sunął od drzewa do drzewa, rozglądając się dookoła. Nagle zdał sobie sprawę, że świetnie się bawi. Zupełnie tak jak wtedy, gdy będąc chłopcami potajemnie wykradali się z Kaltenem w środku nocy z ojcowskiego domu.

Zagwizdał, marnie naśladowując śpiew słowika.

Po chwili od kuchennych drzwi dobiegł go głośny szept Kurika.

— To ty?

Kusiło go, by odszepnąć: „Nie!”, ale zaraz się opanował.

Mieli trochę kłopotu z wciągnięciem bezwładnego ciała na drzewo figowe, ale w końcu jakoś sobie z tym poradzili. Następnie przeszli przez swój mostek i wciągnęli żerdzie z powrotem na dach.

— Ona wciąż tam leży — szepnął Kurik.

— Jaka ona?

— Naga dama.

— To w końcu jej dach.

Przeciagnęli żerdzie na drugi koniec dachu i ponownie je opuścili na ziemię. Sparhawk zsunął się po nich na dół i odebrał od Kurika zawiniętego w koc, nieprzytomnego konsula. Po chwili giermek też znalazł się na ulicy i razem ułożyli żerdzie tam, skąd je wzięli.

— Czysta robota — powiedział z satysfakcją Sparhawk otrzepując dłonie.

Kurik ponownie zarzucił sobie toból na plecy.

— Czy jego żona nie będzie za nim tęsknić? — zapytał.

— Pewnie nie bardzo, jeżeli to ją widziałeś w sypialni na drugim końcu korytarza. Wracamy do klasztoru?

Po półgodzinie dotarli na skraj miasta, kryjąc się po drodze przed wartownikami. Toból dźwigany na plecach przez Sparhawk'a poruszył się. Usłyszeli cichy jęk.

Giermek uspokoił konsula jednym ciosem.

Kiedy weszli do komnaty opata, Kurik bezceremonialnie zrzucił nieprzytomnego mężczyznę na podłogę. Rycerz i jego giermek patrzyli chwilę na siebie, a potem wybuchnęli głośnym śmiechem.

— Co was tak rozbawiło? — dopytywał się opat.

— Trzeba było z nami pójść, wielebny ojcze — wykrztusił Kurik. — Od lat nie bawiłem się tak dobrze. — Znowu zaczął się śmiać. — Według mnie najlepszy był most.

— Mnie bardziej spodobała się ta naga dama — sprzeciwił się Sparhawk.

— Czy wyście może coś pili? — zapytał podejrzliwie opat.

— Ani kropli, wielebny ojcze — odparł Sparhawk. — To dlatego, że wszystko nam tak zęczenie poszło. Gdzie Sephrenia?

— Przekonałem ją, aby przespała się trochę razem z dzieckiem. — Opat przerwał na chwilę. — Co to za naga dama? — dopytywał się z ciekawością.

— Widzieliśmy niewiastę odprawiającą na dachu rytuał płodności. — Sparhawk wciąż się śmiał. — Można powiedzieć, że na chwilę rozproszyła uwagę Kurika.

— Czy była ładna? — opat z uśmiechem zwrócił się do giermka.

— Trudno mi powiedzieć, wielebny ojcze. Nie patrzyłem na jej twarz.

— Jak tylko konsul odzyska przytomność — Sparhawk trochę spoważniał, lecz nadal czuł się radośnie podniecony — zaczniemy go przesłuchiwać. Proszę, wielebny ojcze, nie przejmuj się zbytnio tym, co mu będziemy mówić.

— Nie musisz mi tego tłumaczyć, Sparhawk.

— To do dzieła. Kuriku, obudź jego ekscelencję, zobaczymy, co ciekawego ma nam do powiedzenia.

Kurik ściągnął koc z bezwładnego ciała i jął szczytać nieprzytomnego mężczyznę po uszach i nosie. Powieki nieszczęsnej ofiary zadrżały, wreszcie konsul

jęknął i otworzył oczy. Przypatrywał im się przez chwilę pustym wzrokiem, po czym gwałtownie usiadł.

— Kim jesteście? Co to wszystko znaczy? — pytał zaskoczony.

Kurik trzepnął go solidnie po potylicy.

— Widzisz, Eliusie, jak to jest — powiedział łagodnie rycerz. — Nie masz nic przeciwko temu, bym zwał cię Eliusem, prawda? Być może mnie pamiętasz. Nazywam się Sparhawk.

— Sparhawk? — zdziwił się konsul. — Myślałem, że nie żyjesz.

— W tej plotce było dużo przesady. Natomiast to, że zostałeś uprowadzony, jest faktem. Chcemy ci zadać parę pytań. Oszczędzisz sobie nieprzyjemności, jeżeli odpowiesz na nie dobrowolnie. W przeciwnym razie czeka cię bardzo ciężka noc.

— Nie odważycie się!

Kurik znów go uderzył.

— Jestem konsulem Królestwa Elenii — wykrzykiwał Elius próbując osłonić głowę rękami — i kuzynem prymasa Cimmury. Nie możecie tak sobie ze mną poczynać!

Sparhawk westchnął.

— Złam mu kilka palców — polecił giermkowi — aby zrozumiał, że możemy tak sobie z nim poczynać.

Kurik pchnął stopą pierś konsula przewracając go na podłogę i schwycił za przegub słabo broniącej się ręki więźnia.

— Nie! — wrzasnął Elius. — Nie róbcie tego! Powiem wam wszystko, co chcecie.

— A nie mówiłem, wielbny ojczy? Będzie współpracował — rzekł Sparhawk spokojnie do opata. Zrzucił rendorską szatę odsłaniając kolczugę, pas rycerski i miecz. — Musiał tylko zrozumieć powagę swego położenia.

— Masz proste metody, dostojny panie Sparhawk — zauważył opat.

— Jestem prostym człowiekiem, wielbny ojczy — odparł Sparhawk drapiąc się pod pachą. — Subtelność nie leży w mojej naturze. — Trącił więźnia nogą. — Ułatwię ci zadanie, Eliusie. Najpierw utwierdzisz nas w kilku podejrzeniach. — Przyciągnął krzesło i usiadł, krzyżując nogi przed sobą. — Po pierwsze — czy to prawda, że twój kuzyn, prymas Cimmury, ma zamiar ubiegać się o tron arcyprałata?

— Nie masz na to dowodów!

— Złam mu kciuk, Kuriku.

Giermek wciąż trzymał w uścisku nadgarstek konsula. Teraz rozwarł zaciśniętą pięść więźnia i ujął jego kciuk.

— W ilu miejscach, dostojny panie? — zapytał uprzejmie.

— W tyłu, ilu zdołasz. To mu da do myślenia.

— Nie! Nie! To prawda! — wrzasnął Elius. Z jego oczu wyzierało przerażenie.

— Robisz postępy — zauważył z uśmiechem Sparhawk. — Idźmy dalej. W przeszłości działałeś razem z białowłosym człowiekiem o imieniu Martel, który od czasu do czasu pracuje dla twojego kuzyna. Mam rację?

— Ta-tak — wyjąkał konsul.

— Zauważasz, o ile wszystko jest łatwiejsze, gdy się zgadzamy? A tak naprawdę to ty nasłałeś na mnie tamtej nocy, dziesięć lat temu, Martela i jego najemników, prawda?

— To był jego pomysł — rzucił szybko Elius. — Mój kuzyn polecił mi z nim współpracować. Martel zaproponował, abym wezwał cię tamtej nocy. Nie wiedziałem, że chce cię zabić.

— A więc jesteś bardzo naiwny, Eliusie. Ostatnio tu, w Cyprii, wielu przybyczy z Północy rozpowszechnia plotki, jakoby dążenia Rendorczyków do obalenia Kościoła cieszyły się coraz większą sympatią w północnych królestwach. Czy Martel ma coś wspólnego z tą kampanią?

Elius wpatrywał się w niego z zaciśniętymi ustami.

Kurik zaczął konsulowi powoli wyłamywać kciuk.

— Tak! Tak! — wrzasnął więzień skrecając się z bólu.

— Omal nie przesadziłeś tym razem, Eliusie — postraszył go Sparhawk. — Na twoim miejscu bardziej bym uważał. Idźmy dalej. Cała ta kampania ma na celu nakłonienie mieszkańców rendorskich miast, by przyłączyli się do pustynnych koczowników i wspólnie z nimi wzięli udział w powstaniu eshandistów przeciwko Kościołowi. Mam rację?

— Martel nie darzy mnie aż takim zaufaniem, ale podejrzewam, że rzeczywiście mu o to chodzi.

— I to on dostarcza im broń?

— Słyszałem, że tak.

— Następne pytanie jest trochę bardziej zawile, a więc słuchaj uważnie, Eliusie. Wszystko to ma na celu wywołanie zamieszek, aby Rycerze Kościoła musieli tu przybyć, by ponownie zaprowadzić porządek. Czyż nie jest tak?

Elius przytaknął skwapliwie.

— Martel mi o tym nie mówił, ale mój kuzyn dał to do zrozumienia w swoim ostatnim liście — wyjaśnił.

— A powstanie ma się zbiec w czasie z wyborami nowego arcyprałata w bazylice w Chyrellos?

— Tego naprawdę nie wiem, dostojny panie Sparhawk. Proszę, uwierz mi. Pewnie masz rację, panie, ale ja naprawdę nie mogę tego z całą pewnością potwierdzić.

— Zostawmy to na chwilę. Cały płonę z ciekawości, by dowiedzieć się, gdzie teraz jest Martel.

— Pojechał do Dabouru porozmawiać z Arashamem. Ten starzec próbuje doprowadzić swoich wyznawców do wrzenia, by w zaślepieniu poczęli palić ko-

ścioty i przejmować kościelne dobra. Na wieść o tym Martel bardzo się rozeźlił i pośpieszył do Dabouru, by uspokoić rozruchy.

— Pewnie dlatego jedynie, że były przedwczesne?

— Też tak myślę.

— Zdaje się, Eliusie, że to byłoby już wszystko — rzekł Sparhawk dobrotliwie. — Doprawdy, jestem ci wdzięczny za twoją współpracę.

— Pozwolisz mi odejść? — zapytał konsul z niedowierzaniem.

— Niestety, nie. Martel jest moim starym przyjacielem. Chciałbym mu zrobić niespodziankę swoim przybyciem do Dabouru i wolę nie ryzykować, że uprzedzisz go o moich zamiarach. W podziemiach tego klasztoru jest cela pokutnicza. Jestem pewien, że masz właśnie straszną ochotę na pokutę, więc ci to umożliwię — daruję ci trochę czasu, byś mógł spokojnie rozważyć swoje grzechy. Mówiono mi, że ta cela jest całkiem wygodna. Ma drzwi, cztery ściany, sufit, a nawet podłogę. — Sparhawk spojrzał na opata. — Ona ma podłogę, prawda, wielbny ojcze?

— O tak, oczywiście — zapewnił opat — z miłego, zimnego kamienia.

— Nie możecie tego uczynić! — zaprotestował głośno Elius.

— Sparhawk, rzeczywiście nie możesz zamknąć człowieka w celi pokutnej wbrew jego woli — Kurik zgodził się z opinią konsula. — To niezgodne z prawem kościelnym.

— Och, masz słuszość — zachnął się rycerz. — Chciałem uniknąć tego całego bigosu. W takim razie załatw to tym drugim sposobem, Kuriku.

— Tak, dostojny panie — odparł z szacunkiem giermek i wyciągnął swój sztylet. — Powiedz, wielbny ojcze — zwrócił się do opata — czy przy klasztorze jest cmentarz?

— Tak, i to całkiem przyjemny.

— Och, to dobrze. Nie chciałbym wyrzucać jego ciała za bramy, na pastwę szakali. — Złapał konsula za włosy, odchylił mu głowę do tyłu i przyłożył ostrze sztyletu do gardła. — Załatwię to szybko, wasza ekscelencjo — powiedział z zawodowym znanstwem.

— Wielbny ojcze! — jęknął Elius.

— Obawiam się, że niewiele mam tu do powiedzenia, wasza ekscelencjo — rzekł z mniszą pokorą opat. — Rycerze Kościoła rządzą się swoimi własnymi prawami. Nie śmiałbym się wtrącać.

— Proszę, wielbny ojcze — błagał Elius — zamknij mnie w celi pokutniczej.

— Czy naprawdę żałujesz za swoje grzechy? — zapytał opat.

— Tak! Tak! Serdecznie żałuję!

— Przykro mi, dostojny panie Sparhawk, ale muszę się wstawić za tym grzesznikiem — stwierdził opat. — Nie mogę pozwolić, byście go zabili, dopóki nie pogodzi się z Bogiem.

— Czy to twoja ostateczna decyzja, wielbny ojcze? — spytał Sparhawk.

— Obawiam się, że tak.

— A więc dobrze. Daj nam znać, gdy tylko skończą swoją Pokutę. Wtedy go zabijemy.

— Oczywiście, panie Sparhawk.

Gdy dwóch krzepkich mnichów wyprowadziło trzęsącego się ze strachu Eliusa, trzech pozostałych w komnacie mężczyźni wybuchnęli gromkim śmiechem.

— To było jedyne w swoim rodzaju, wielbny ojciec — gratulował Sparhawk duchownemu. — Doskonale odegrałeś swoją rolę.

— Nie jestem w tych sprawach zupełnym nowicjuszem — powiedział opat, po czym spojrzał bystro na rosnącego rycerza. — Wy, pandionicy, macie opinię brutalnych — szczególnie gdy więzień odmawia zeznań.

— Ha, mnie też doszły podobne plotki — przyznał rycerz.

— Ale tak naprawdę nie wyrządzacie ludziom krzywdy, prawda?

— Nie, zwykle nie. Nasza opinia wystarcza, by skłonić ludzi do mówienia. Czy potrafisz sobie wyobrazić, panie, jakim ciężkim i niewdzięcznym zajęciem jest torturowanie ludzi? Sami rozpuszczamy plotki o naszym zakonie. W końcu — po co ciężko pracować, jeśli można tego uniknąć? — W zupełności się z tobą zgadzam, Sparhawk. A, teraz — opat ożywił się — może opowiedzielibyście mi o tej nagiej damie, mostku i wszystkich pozostałych przygodach? Nie pominiecie niczego. Jestem tylko biednym mnichem i niewiele mam w życiu przyjemności.

Rozdział 20

Sparhawk syknął i przymrużył oczy.

— Czy musisz tam tak grzebać, Sephrenio? — narzekał.

— Nie pieść się — odpowiedziała czarodziejka, nadal wydłubując igłą drzazgę z jego dłoni. — Muszę całą wyciągnąć, inaczej będzie się jątrzyć.

Rycerz westchnął i zacisnął zęby znosząc cierpliwie jej dalsze próby. Flecik obiema rączkami zasłaniała usta, by nie wybuchnąć śmiechem.

— Myślisz, że to takie zabawne? — zapytał opryskliwie.

Dziewczynka przyłożyła fujarkę do ust i zagrała kilka drwiących nutek.

— Rozważyłem to, Sparhawk — powiedział opat. — Jeżeli Annias ma swoich ludzi w Jirochu podobnie jak tu, w Cipprii, to czy nie byłoby lepiej ominąć miasto i nie ryzykować, że zostanieiecie rozpoznani?

— Musimy jednak spróbować, wielbny ojczy — rzekł Sparhawk. — Mam w Jirochu przyjaciela, z którym chciałbym porozmawiać, nim wyruszymy w górę rzeki. — Spojrzał na swoją czarną szatę. — To powinno ustrzec nas przed ciekawskimi spojrzeniami.

— Narażacie się na duże niebezpieczeństwo, Sparhawk.

— Mam nadzieję, że nic złego nam się nie przytrafi. Będziemy ostrożni.

Kurik siodłał konie i przytraczał pakunki do jucznego muła, podarowanego im przez opata. Teraz wszedł do komnaty niosąc długą, drewnianą skrzynię.

— Naprawdę chcesz to ze sobą zabrać? — zapytał Sephrenie.

— Tak, Kuriku — odpowiedziała czarodziejka ze smutkiem w głosie. — Chcę.

— Co jest w środku?

— Para mieczy. To część brzemienia, które dźwigam.

— Taka wielka skrzynia na dwa miecze?

— Niestety, obawiam się, że będzie ich więcej. — Westchnęła, po czym zaczęła owijać rękę Sparhawka kawałkiem lnianego płótna.

— Nie trzeba tego bandażować, mateczko — zaprotestował rycerz. — Przecież to była tylko drzazga.

Sephrenia utkwiała w nim uparte spojrzenie.

— Już dobrze, dobrze — poddał się. — Rób, co uważasz za słuszne.

— Dziękuję — powiedziała i zawiązała końce bandaża.
— A więc wyślesz wiadomość do Larium, wielbny ojczy? — zapytał Sparhawk opata.
— Następnym statkiem, który wypłynie z portu.
Rycerz zastanawiał się przez chwilę.
— Chyba nie będziemy wracali do Madelu — rzekł. — Pozostawiliśmy tam kilku naszych towarzyszy w domu markiza Lyciena.
— Znam markiza. — Opat skinął głową.
— Czy mógłbyś i do nich wysłać wiadomość, wielbny ojczy? Przekaż im, że jeżeli sprawy w Dabourze pójdą po naszej myśli, to wrócimy stamtąd prosto do domu. Myślę, że oni również mogą wracać do Cimmury.
— Zajmę się tym, Sparhawk.
Rycerz w zamyśleniu targał węzeł bandaża.
— Zostaw to w spokoju — odezwała się Sephrenia.
Sparhawk cofnął rękę.
— Nie mam zamiaru udzielać rad naszym mistrzom — zwrócił się do opata — ale chciałbym zasugerować im, że rozmieszczenie już teraz kilku niewielkich oddziałów rycerzy zakonnych w miastach Rendoru może uzmysłwić miejscowej ludności, czym się skończy dawanie wiary tym wszystkim plotkom.
— ...I zapobiec przysyłaniu w przyszłości całej armii — uzupełnił opat. — Na pewno wspomnę o tym w moim sprawozdaniu.
Sparhawk wstał.
— Znów stałem się twoim dłużnikiem, wielbny ojczy — powiedział. — Zda się, że zawsze jesteś tam, gdzie cię potrzebuję.
— Służymy temu samemu Panu — odparł opat z uśmiechem. — A poza tym — dodał — chyba cię polubiłem. Co prawda metody działania pandionitów nie zawsze są podobne do naszych, ale jesteście skuteczni, a to się liczy, prawda?
— Mamy nadzieję.
— Bądź ostrożny na pustyni, przyjacielu, i powodzenia.
— Dziękuję, wielbny ojczy.
Zeszli na dziedziniec klasztoru przy dźwiękach dzwonów, wzywających na poranną modlitwę. Kurik przytroczył skrzynię z mieczami do siodła muła i wszyscy dosiedli wierzchowców. Wyjechali główną bramą odprowadzani przez dźwięk dzwonów szybujący wysoko nad nimi.
Sparhawk cały czas jechał zamyślony. W końcu dotarli do skraju zakurzonego gościńca idącego wzdłuż brzegu Morza Wewnętrznego i skręcili na zachód w kierunku Jirochu.
— O czym myślisz, Sparhawk? — zapytała Sephrenia.
— Te dzwony wzywają mnie już od dziesięciu lat — odparł. — Jakimś szóstym zmysłem cały czas czułem, że pewnego dnia powrócę do tego klasztoru. —

Wyprostował się w siodle. — To przyjazne mury. Trochę mi przykro je opuszczać, ale... — Wzruszył ramionami i popędził Farana ostrogą.

Poranne słońce świeciło jasno i oślepiało odbijając się od kamieni, piasku i żwiru ciągnącej się po lewej stronie gościńca pustyni. Z prawej strony stroma skarpa wiodła w dół na olśniewająco białą plażę i brzeg szafirowego morza. Po godzinie zrobiło się całkiem ciepło. Pół godziny później było już gorąco.

— Czy tu nigdy nie mają zimy? — zapytał Kurik ocierając spoconą twarz.

— Teraz właśnie jest zima, Kuriku — odrzekł Sparhawk.

— Jak w takim razie jest tu latem?

— Nieprzyjemnie. W lecie trzeba podróżować nocą.

— Jak daleko stąd do Jirochu?

— Około stu pięćdziesięciu lig.

— Przynajmniej trzy tygodnie drogi.

— Niestety, tak.

— Trzeba było płynąć statkiem nie bacząc na trąby wodne.

— Nie, Kuriku — odezwała się Sephrenia. — Spoczywając na dnie morza w niczym już nie pomożemy Ehlanie.

— A czy ten ścigający nas stwór nie potrafi za pomocą magii odkryć miejsca naszego pobytu?

— Wygląda na to, że nie. Dziesięć lat temu, gdy szukał Sparhawk, musiał o niego pytać ludzi. Nie potrafił go po prostu wywęszyć.

— Zapomniałem o tym — przyznał giermek.

Każdego dnia wstawali wcześniej, nim jeszcze gwiazdy zbladły, i jechali ostro poganiając konie. W południe promienie słońca zamieniały się w maczugi obezwładniające ludzi i zwierzęta. Wtedy odpoczywali w skąpym cieniu namiotu, który wmusił im opat, a ich wierzchowce szukały schronienia przed żarem w nędznych zaroślach, apatycznie rozglądając się za pożywieniem. Gdy słońce zaczynało chylić się ku zachodowi, ruszali w dalszą drogę i jechali aż do zapadnięcia zupełnych ciemności. Od czasu do czasu zdarzało im się trafić na pustynne źródło otoczone bujną roślinnością, rzucającą miły cień. Robili wówczas dzień postoju, by dać wytchnienie koniom i zebrać siły przed ponownym stawieniem czoła palącemu słońcu.

Przy takim właśnie źródle, którego kryształowe wody tryskały ze skały, by zebrać się w lazurowym jezioru otoczonym palmami, odwiedził ich cień rycerza Zakonu Pandionu. Sparhawk, odziany jedynie w przepaskę na biodrach, wychodził właśnie ociekając wodą z jeziora, gdy ujrzał jeźdźca zbliżającego się od zachodu. Przybysz miał słońce za plecami, ale nie rzucał cienia, a zarówno przez niego, jak i przez konia prześwitywały zbocza wzgórz. Kiedy jeździec zbliżył się, Sparhawk ponownie poczuł trupi odór. Spostrzegł, że koń niewiele różni się od bezokiego szkieletu. Nie próbował sięgać po broń. Stał drżąc z zimna pomimo

lejącego się z nieba żaru i patrzył na sunącą ku niemu widmową postać. Cień ściągnął wodze swojego wierzchowca i powolnym ruchem wyciągnął miecz.

— Mateczko — odezwał się głuchym głosem do Sephrenii — uczyniłem wszystko, co było w mej mocy. — Uniósł rękojeść broni do przyłbicy oddając honory, a potem odwrócił ostrze i podał czarodziejce miecz swoim widmowym przedramieniem.

Sephrenia pobladła. Podeszła chwiejnym krokiem po gorącym żwirze do widma i ujęła obiema dłońmi rękojeść miecza.

— Ta ofiara nie pójdzie w zapomnienie — powiedziała drżącym głosem.

— A czymże jest pamięć w Domu Śmierci, Sephrenio? Spełniłem swój obowiązek. To jedynie jest moją pociechą w wiecznej ciszy. — Następnie zwrócił swoje ukryte za przyłbicą oblicze do Sparhawk. — Witaj, bracie. Wiedz, że obrałeś słuszną drogę. W Dabourze odnajdziecie odpowiedź, której myśmy szukali. Jeżeli osiągniecie cel, Dom Śmierci wypełnią głuche okrzyki na waszą cześć.

— Witaj, bracie — odparł Sparhawk zdławionym głosem — i żegnaj.

Widmo zniknęło.

Sephrenia upadła z głośnym jękiem. Wydawało się, że ciężar nagle zmateriaлизованego miecza przygniótł ją do ziemi.

Kurik rzucił się w jej stronę, wziął czarodziejkę na ręce i zaniósł z powrotem w cień palm.

Sparhawk zdecydowanym krokiem podeszedł do miejsca, w którym upadła. Nie zwracał uwagi na rozpalony żwir pod swoimi nagimi stopami. Podniósł miecz zmarłego towarzysza.

Z tyłu dobiegł go dźwięk fujarki Flecika. Nigdy dotąd nie słyszał takiej melodii. Piosnka pełna była zwątpienia, głębokiego smutku i bolesnej tęsknoty. Odwrócił się trzymając miecz w dłoniach. Sephrenia leżała na kocu w cieniu palm. Jej twarz sprawiała wrażenie wychudzonej, a pod zamkniętymi oczyma pojawiły się czarne kręgi. Przy czarodziejce klęczał zatroskany Kurik. Flecik opadał siedziąca ze skrzyżowanymi nóżkami, a z jej fujarki wzbijał się w niebo żałosny hymn.

Sparhawk podeszedł bliżej i przystanął w cieniu. Kurik wstał.

— Ona nie będzie w stanie jechać dziś dalej — powiedział cicho do rycerza — a być może jutro też nie.

Sparhawk skinął głową.

— To ją straszliwie osłabia — ciągnął ponuro Kurik. — Za każdym razem, gdy umiera jeden z tych dwunastu rycerzy, ona traci siły. Czy nie byłoby lepiej odesłać ją z Jirochu do Cimmury?

— Pewnie tak, ale ona nie zechce wrócić.

— Niestety, chyba masz rację — przyznał chmurnie giermek. — Zdajesz sobie jednak sprawę, że bez niej i bez dziewczynki moglibyśmy podróżować o wiele szybciej?

— Tak, ale co bez niej pocniemy tam, dokąd zmierzamy?
— Słuszna uwaga. Czy rozpoznałeś tego ducha?
Sparhawk przytaknął skinieniem głowy.
— Pan Kerris — rzekł krótko.
— Nigdy go bliżej nie poznałem. Zawsze sprawiał wrażenie oficjalnego i wyniosłego.
— Jednakże był porządnym człowiekiem.
— Co on ci powiedział? Stałem za daleko, by słyszeć.
— Powiedział, iż zmierzamy w dobrym kierunku i w Dabourze znajdziemy odpowiedź.
— Ulżyło mi. Właściwie obawiałem się, że jedziemy tam na próżno.
— Ja również — przyznał Sparhawk.
Flecek odłożyła fujarkę i usiadła obok Sephrenii. Ujęła jej dłoń. Z twarzyczki dziecka wyzierał bezbrzeżny smutek.
Sparhawkowi zaświtała pewna myśl. Podszedł bliżej.
— Flecku — odezwał się cicho. Dziewczynka podniosła na niego oczy.
— Czy możesz pomóc Sephrenii?
Flecek smutno potrząsnęła główką.
— Nikt nie może tego zrobić — usłyszał niewiele głośniejszy od szeptu głos Sephrenii. Czarodziejka wciąż leżała z zamkniętymi oczyma. — Tylko ci, którzy byli tam obecni, mogą dźwigać brzemię. — Odetchnęła głęboko. — Ubierz się, Sparhawk. Nie paraduj tak przed dzieckiem.
Pozostali w cieniu nad jeziorkiem przez cały następny dzień. Trzeciego dnia raniem Sephrenia zdecydowanie zabrała się za pakowanie swoich rzeczy.
— Czas ucieka, panowie — powiedziała rześko — a przed nami nadal długa droga.
Sparhawk spojrział na nią z uwagą. Z jej twarzy nie zniknęło jeszcze zmęczenie, a czarne kręgi pod oczyma nie zmalowały. Gdy schyliła się, by podnieść z ziemi swój woal, ujrzął kilka siwych pasemek w jej lśniących czarnych włosach.
— Nabierz więcej sił, mateczko. Zostańmy tu dzień dłużej — zaproponował.
— Odpoczynek nie wróci mi sił — odparła słabym głosem. — Ruszajmy. Do Jirochu daleka droga.
Jechali zrazu wolno, ale po kilku ligach Sephrenia odezwała się stanowczym tonem:
— Sparhawk, jeżeli będziemy się tak wlekli, to zajmie nam to całą zimę.
— Dobrze, mateczko — odrzekł. — Jak sobie życzysz.

Mniej więcej dziesięć dni później dotarli do Jirochu. Podobnie jak w Cippii, w tym portowym mieście zachodniego Rendoru domy były niskie, miały grube

mury pokryte białym tynkiem i płaskie dachy. Sparhawk powiódł towarzyszy krętymi zaułkami do dzielnicy znajdującej się w pobliżu rzeki. W tej części miasta cudzoziemcy nie byli mile widziani, ale przynajmniej tolerowano ich obecność. Na ulicach przeważali odziani w czerń Rendorczycy, lecz czasem zdarzało się napotkać w tłumie jaskrawo ubranych przybyszów z Cammorii, Lamorkandii, a nawet kilku Eleńczyków. Sparhawk i jego towarzysze jechali wolno z naciągniętymi na twarze kapturami, by nie zwracać niczyjej uwagi.

Późnym rankiem dotarli do skromnego domu, stojącego z dala od ulicy. Właścicielem tego domu był pan Voren, rycerz Zakonu Pandionu, o czym w Jirochu wiedziało tylko kilku ludzi. Większość mieszkańców tego portowego miasta uważała go za przeciętnie radzącego sobie kupca z Elenii. Istotnie, zajmował się handlem. Czasami nawet osiągał zyski. Jednakże to nie interesy były prawdziwym powodem jego obecności w Jirochu. W całym państwie wielu pandionitów żyło jak zwykli Rendorczycy, a Voren był ich jedynym kontaktem z siedzibą zakonu w Demos. Wszystkie informacje i sprawozdania dochodziły do jego rąk, a on wysyłał je z portu skrzętnie schowane w skrzyniach i pakach z towarami.

Służący o wydatnych wargach i apatycznym spojrzeniu powiódł ich do otoczonego murem ogrodu. Rosły tu drzewa figowe rzucające głęboki cień i śpiewnie szemrała woda w marmurowej fontannie. Na ławce obok wodotrysku siedział Voren. Był to wysoki, szczupły mężczyzna o sardonicznym poczuciu humoru. Przez lata spędzone w tym południowym królestwie słońce tak spaliło jego skórę, że nabrała koloru starego siodła. Młodość miał już za sobą, ale w jego włosach nie było śladów siwizny, choć twarz gęsto porały mu zmarszczki. Ubrany był w zwykłą lnianą koszulę bez kołnierza. Na widok nowo przybyłych wstał z ławki.

— Ach, to ty, Mahkra, witaj, stary przyjacielu! — pozdrowił Sparhawk. Jednocześnie spojrzał znacząco na służącego. — Jak to miło cię znowu widzieć!

Sparhawk rendorskim zwyczajem skłonił się nisko.

— Jintalu — Voren zwrócił się do służącego — bądź tak dobry, zanieś to mojemu agentowi w porcie. — Złożył na pół arkusz pergaminu i podał go śniademu Rendorczykowi.

— Jak każesz, panie. — Sługa ukłonił się.

Czekali, dopóki dźwięk zamykanych drzwi frontowych nie upewnił ich, że służący opuścił dom.

— To całkiem miły chłopak — zauważył Voren. — Oczywiście jest bezdennie głupi. Zawsze staram się najmować do pracy niezbyt bystrych ludzi. Inteligentny sługa jest zwykle szpiegiem. — Nagle przymrużył oczy. — Zaczekajcie tu chwilę — powiedział. — Sprawdźę, czy rzeczywiście go tu nie ma. — Przeszedł przez ogród i zniknął w domu.

— Dawniej nie był tak nerwowy — rzekł Kurik.

— To nerwowa część świata — odparł Sparhawk.

Po kilku minutach Voren wrócił.

— Mateczko — ucałował dłonie Sephrenii — zechcesz mnie pobłogosławić? Czarodziejka uśmiechnęła się i dotknęła palcami jego czoła przemawiając po styricku.

— Brakowało mi tego — wyznał — chociaż ostatnio niewiele z moich poczynań zasługiwało na błogosławieństwo. — Przyjrzał się jej uważnie. — Dobrze się czujesz, Sephrenio? — zapytał. — Na twojej twarzy znać wielkie zmęczenie.

— To od upału — powiedziała ocierając czoło gestem pełnym znużenia.

— Usiądź tu, mateczko — rzekł wskazując marmurową ławkę. — To najchłodniejsze miejsce w Jirochu. — Uśmiechnął się ironicznie. — Mogę to zagwarantować, chociaż na takie nie wygląda.

Sephrenia usiadła na ławce, a Flecik wdrapała się na miejsce obok niej.

— Mów, panie Sparhawk — Voren uściśnął przyjacielowi dłoń — co tak szybko sprowadziło cię z powrotem do Jirochu? Czyżbyś czegoś zapomniał?

— Nie zostawiłem tu niczego, bez czego nie mógłbym się obejść — rzekł Sparhawk oschle.

— Nie powtórzę tego Lillias, by ci dowieść mej przyjaźni. — Voren roześmiał się. — Witaj, Kuriku. Jak się miewa Aslade?

— Bardzo dobrze, wielmożny panie.

— A twoi synowie? Masz trzech synów, prawda?

— Czterech, wielmożny panie. Ostatni urodził się po twoim wyjeździe z Demos.

— Gratuluję — może trochę późno, ale szczerze.

— Dziękuję, wielmożny panie.

— Muszę z tobą pomówić, panie Vorenie — odezwał się Sparhawk przerywając tę wymianę uprzejmości. — Nie mamy zbyt wiele czasu.

— A ja myślałem, że to towarzyska wizyta — westchnął Voren.

Sparhawk nie zwrócił na to uwagi.

— Czy dotarli już do ciebie wieści od mistrza Vaniona o tym, co dzieje się w Cimmurze? — spytał.

Voren przestał się ironicznie uśmiechać, z powagą skinął głową.

— To właśnie z tego powodu tak zaskoczył mnie twój widok — powiedział. — Myślałem, że jeszcze jesteś w drodze do Borraty. Dopisało wam tam szczęście?

— Nie wiem, czy można to nazwać szczęściem. Natknęliśmy się na pewien trop, którym teraz podążamy. — Sparhawk zacisnął zęby. — Panie Vorenie, Eh-lana została otruta.

Voren wpatrywał się w niego przez moment w osłupieniu a potem zaklął.

— Ciekaw jestem, ile czasu zająłby mi powrót do Cimmury — powiedział z zimną zawziętością w głosie. — Mam ochotę poprawić trochę Anniasowi urodę. O wiele lepiej wyglądałby bez głowy, nie sądzisz?

— Obawiam się, że będziesz musiał ustawić się w kolejce, wielmożny panie — zapewnił Kurik. — Znam co najmniej tuzin ludzi, którzy wpadli na ten sam

pomysł.

— Dowiedzieliśmy się — podjął Sparhawk — że była to rendorska trucizna, i słyszeliśmy, że w Dabourze jest lekarz, który zna na nią odtrutkę. Tam właśnie teraz zmierzamy.

— A gdzie pan Kalten i reszta? — zapytał Voren. — Vanion pisał, że towarzyszy ci razem z kilkoma rycerzami z innych zakonów.

— Zostawiliśmy ich w Madelu. Swoim wyglądem i zachowaniem nie bardzo przypominają Rendorczyków. Czy słyszałeś coś o doktorze Tanjinie z Dabouru?

— O tym, o którym mówią, że uleczył z jakiejś tajemniczej choroby królewskiego brata? Oczywiście. Ale on może nie chce o tym rozmawiać. Krążą różne domysły na temat sposobu, w jaki dokonał tego uzdrowienia, a wiesz, jaki stosunek do magii mają Rendorczycy.

— Nakłonię go, by o tym opowiedział.

— Możesz pożałować, że zostawiłeś pana Kaltena i pozostałych. Dabour jest teraz bardzo nieprzyjaznym miejscem.

— Muszę sam sobie dać radę. Posłałem im z Cipprii wiadomość, by wracali do zamku w Cimmurze i tam na mnie czekali.

— A kogóż na tyle zaufanego znalazłeś w Cipprii, by powierzyć mu dostarczenie takiej wiadomości?

— Odwiedziłem arcjański klasztor na wschodnim krańcu miasta. Tamtejszego opata znam od dawna.

Voren roześmiał się.

— Czy nadal próbuje udawać, że nie jest cyrinitą? — spytał.

— Czy ty naprawdę o wszystkim wiesz, panie Vorenie?

— Po to tu jestem. Ten opat ma głowę na karku. Działa może trochę powoli, ale skutecznie.

— Co teraz dzieje się w Dabourze? — Sparhawk zmienił temat. — Nie chcę tam jechać na ślepo.

Voren usiadł na trawie u stóp Sephrenii i oplótł ramionami kolana.

— Dabour zawsze był dziwnym miejscem — odparł. — Tam mieszkał Eshand i pustynni nomadzi uważają to miasto za święte. Kiedykolwiek tam zajrzysz, zawsze znajdziesz ze dwanaście różnych, zwalczających się nawzajem frakcji religijnych, próbujących zawładnąć świętymi miejscami. — Uśmiechnął się krzywo. — Nie uwierzysz, ale są tam aż dwadzieścia trzy groby, a każdy się uważa za miejsce ostatecznego spoczynku Eshanda. Podejrzewam, że przynajmniej kilka z nich jest fałszywych, chyba że po śmierci porąbali świętego i każdą część pogrzebali osobno.

Sparhawk usiadł na trawie obok przyjaciela.

— Mam taki mglisty pomysł — powiedział. — Czy nie moglibyśmy osłabić pozycji Arashama wspierając potajemnie jakąś inną frakcję?

— Świetny pomysł, panie Sparhawk, tylko że w tej chwili nie ma innych frakcji. Po swoim objawieniu Arasham spędził czterdzieści lat na tępieniu rywali. Skapał we krwi centralny Rendor, pustynię poznał piramidami czaszek. W końcu zdobył władzę nad Dabourem i sprawuje tam dyktatorskie rządy. Przy nim Otha z Zemochu wydaje się liberałem. Arasham ma tysiące zaciekle zwolenników, którzy ślepo spełniają każdy jego kaprys. Ci fanatycy o wypalonych słońcem mózgach i płonących oczach włączają się po ulicach wypatrując najmniejszego uchybienia ponurym zasądom religijnym. Hordy nie domytych, zawszonych, ledwie podobnych ludziom szaleńców tylko czekają na okazję, by sąsiada spalić na stosie.

— Wystarczy — powiedział Sparhawk. Spojrzał na Sephrenię. Flecik zamoczyła w fontannie chusteczkę i delikatnie obmywała wodą twarz czarodziejki. Sephrenia niczym dziecko oparła głowę na ramieniu dziewczynki. — A więc Arasham zbiera armię? — zapytał Vorena.

— Tylko dureń nazwałby to armią — parsknął Voren. — Nie mogą nigdzie wymaszerować, bo co pół godziny muszą się modlić. Ślepo wypełniają nawet jawnie głupie rozkazy zgrzybiałego starca. — Roześmiał się chrapliwie. — Arashamowi czasami płacze się język — co nie powinno nikogo dziwić, wszak przynajmniej w połowie jest pawianem — i pewnego razu, podczas lustrowania wojsk na ćwiczeniach, chciał wydać rozkaz: „Naprzód, na wroga”, ale mu nie wyszło. Zamiast tego rozkazał: „Naprzód, na miecze” i całe trzy regimenty zrobiły dokładnie tak, jak powiedział. Wracając tamtego dnia samotnie do domu Arasham próbował dociec, gdzie popełnił błąd.

— Jesteś tu już chyba zbyt długo — Sparhawk roześmiał się. — Kisisz się w tym Rendorze i tracisz swoje poczucie humoru.

— Nie znoszę ignorancji i plugastwa, panie Sparhawk, a wyznawcy Arashama oddają boską cześć głupocie i brudowi.

— Widzę, że zaczynasz przejawiać zamiłowanie do bogatej retoryki.

— Wzgarda ubarwia moje słowa — przyznał Voren. — Tu w Rendorze, nie mogę otwarcie wyrażać swoich myśli, więc w wolnych chwilach w domowym zaciszu doskonale sposób wysławiania się. — Spoważniał. — Bądź bardzo ostrożny w Dabourze, panie Sparhawk — poradził. — Arasham ma kilkudziesięciu uczniów — kilku z nich nawet rozpoznaje. To oni w istocie rządzą miastem, a są tak samo szaleni jak i on.

— Aż tak jest źle?

— Może nawet jeszcze gorzej.

— Zawsze byłeś pełen dobrych myśli, panie Vorenie — powiedział Sparhawk ze zjadliwą ironią.

— To moja wada. Próbuję dostrzec jaśniejszą stronę życia. Czy w Ciprii dzieje się coś, o czym powinienem wiedzieć?

— Tak, i może będziesz miał ochotę przyjrzeć się temu z bliska — odrzekł

Sparhawk, skubiąc żdźbła trawy. — Kręci się tam trochę cudzoziemców, którzy usiłują wzbudzić przekonanie, że wieśniacy w północnych królestwach są o krok od otwartego wystąpienia przeciwko Kościołowi i popierają cele ruchu eshandistów.

— Dotarły już do mnie plotki na ten temat — stwierdził Voren. — Do Jirochu jeszcze to nie doszło.

— To tylko kwestia czasu. Wszystko jest bardzo sprawnie przygotowane.

— Domyślasz się, kto za tym stoi?

— Martel, a dobrze przecież wiemy, dla kogo on pracuje. W tym wszystkim chodzi głównie o to, by mieszkańcy miast przyłączyli się do powstania Arashama przeciwko Kościołowi tu, w Rendorze, akurat w tym czasie, gdy hierarchowie zbiorą się w Chyrellos, by wybrać nowego arcyprałata. Rycerze zakonni będą musieli tu przybyć, aby stłumić rozruchy, a to da w czasie wyborów wolną rękę Anniasowi i jego poplecznikom. Powiadomiliśmy już o tym zakony rycerskie, więc chyba zdołają podjąć odpowiednie kroki. — Sparhawk podniósł się z trawy. — Ile czasu zajmie służącemu wypełnienie twojego polecenia? — zapytał. — Powinniśmy oddalić się przed jego powrotem. On może nie być zbyt bystry, ale ja znam Rendorczyków: są bardzo podejrzliwi.

— Myślę, że mamy jeszcze trochę czasu. Jintal nie umie poruszać się szybciej, jak w tempie leniwej przechadzki. Zdążycie coś przekąsić i uzupełnić zapasy.

— Czy jest w Dabourze jakieś bezpieczne miejsce, w którym moglibyśmy się zatrzymać? — zapytała Sephrenia.

— Nie ma w Dabourze miejsc naprawdę bezpiecznych, Sephrenio — odparł Voren i spojrzał na Sparhawk. — Pamiętasz pana Perraina? — zapytał.

— Tego milczącego chudzielca?

— Tak. Jest teraz w Dabourze, udaje handlarza bydłem. Występuje pod imieniem Mirrelek i mieszka w pobliżu zagród. Ludzie pustyni go potrzebują — o ile oczywiście nie zdecydują się zjeść wszystkich swoich krów — więc może swobodnie poruszać się po mieście i okolicach. On wam coś znajdzie i uchroni przed kłopotami. — Twarz Vorena rozjaśnił złośliwy nieco uśmiech. — Jeśli już mówimy o kłopotach, panie Sparhawk, to posłuchaj dobrej rady: Zniknij z Jirochu, nim Lillias dowie się, że wróciłeś.

— Wciąż jest nieszczęśliwa? — zapytał Sparhawk. — Myślałem, że zdążyła już znaleźć kogoś, kto by ją pocieszył.

— Z pewnością znalazła nawet kilku, ale znasz Lillias. Ma dobrą pamięć.

— Zostawiłem jej pełne prawo do sklepu — bronił się Sparhawk. — Jeżeli tylko dopilnuje interesów, powinno jej się nieźle powodzić.

— Z tego, co ostatnio słyszałem, w istocie nie przymiera głodem, ale chodzi przecież o coś innego. Nie pożegnałeś się z nią i zostawiłeś swoją wolę na piśmie. Nie dałeś jej możliwości do wykrzyczenia się, wyłakania i podjęcia próby samobójstwa.

— Na tym właśnie mi zależało.

— Zachowałeś się w stosunku do niej bardzo nieuprzejmie, przyjacielu. Lillias rozkwita w dramatycznych chwilach, a ty uciekając w środku nocy odebrałeś jej wspaniałą okazję do zrobienia sceny.

— Nie mógłbyś zmienić tematu? — Ja chcę ci tylko udzielić przyjacielskiej przestrogi, panie Sparhawk. W Dabourze będziesz miał przeciwko sobie tysiące wyjących fanatyków. Tu, w Jirochu, musiałbyś stawić czoło Lillias, a ona jest bardziej niebezpieczna.

Rozdział 21

Nie robiąc zbytniego hałasu opuścili dom Vorena pół godziny później. Sparhawk uważnie przyjrzał się Sephrenii. Dopiero minęło południe, a czarodziejka już wyglądała na zmęczoną.

— Czy to coś, co nas goni, mogłoby również na rzece wytworzyć trąbę wodną? — zapytał.

— Nie wiem — odparła Sephrenia marszcząc brwi. — W normalnych warunkach powiedziałabym, że nie, gdyż powierzchnia wody jest zbyt mała, ale stwory z zaświatów potrafią obchodzić prawa natury. — Pomyślała chwilę. — Czy ta rzeka jest szeroka? — zapytała.

— Nie bardzo. W całym Rendorze nie ma dosyć wody, by starczyło na szeroką rzekę.

— Brzegi rzeki mogą bardzo utrudnić kierowanie trąbą — myślała głośno. — Widziałeś, jak niepewnie poruszała się ta, która zniszczyła statek Mabina.

— A więc musimy spróbować — zdecydował rycerz. — Jesteś zbyt wyczerpana, by podróżować konno do Dabouru. Kiedy ruszymy na południe, będzie jeszcze bardziej gorąco.

— Nie ryzykuj niepotrzebnie jedynie z mojego powodu, Sparhawk.

— To nie tylko z twojego powodu. Straciliśmy już bardzo dużo czasu, a łodzią dotrzemy na miejsce szybciej niż konno. Będziemy się trzymać blisko brzegu na wypadek, gdybyśmy musieli pośpiesznie opuścić łódź.

— Ty wiesz, jak będzie najlepiej — powiedziała Sephrenia poprawiając się nieznacznie w siodle.

Wyjechali na zatłoczoną ulicę, gdzie czarne szaty nomadów mieszały się z jaśniejszymi strojami mieszkańców miast i kupców z północnych królestw. Dookoła panował zgiełk, a w powietrzu unosił się ten szczególnie rendorski zapach — przypraw, pachnideł i palących się lamp oliwnych.

— Kto to jest Lillias? — zapytał z ciekawością Kurik, gdy jechali w kierunku rzeki.

— Nieważne — odparł krótko Sparhawk.

— Jeżeli ta osoba jest niebezpieczna, to powinienem o tym wiedzieć.

— Lillias nie jest szczególnie niebezpieczna.

— Aha, nie „szczególnie” — a do jakiego stopnia?

Było jasne, że Kurik nie da się zbyć byle czym. Sparhawk skrzywił się.

— Dobrze już, dobrze — powiedział. — Mieszkałem tu, w Jirochu, przez dziesięć lat. Pan Voren umieścił mnie w małym sklepiku, który prowadziłem jako kupiec Mahkra. Musiałem tak dobrze wtopić się w miejscową społeczność, by najemnicy Martela nie mogli mnie odnaleźć. Żeby się zbytnio nie nudzić, zbierałem informacje dla pana Vorena. Nie mogłem różnić się zbytnio od innych kupców. Oni wszyscy mieli kochanki, więc i ja też musiałem jakąś mieć. Nazywała się Lillias. Zadowolony?

— Zwięzłe to ująłeś. Czyżby ta dama miała tak ognisty temperament?

— Nie, Kuriku, to niewiasta z rodzaju tych, które pielęgnują swoje urazy.

— Ach, tak, w takim razie chętnie bym się z nią spotkał.

— Nie sądzę, by sprawiło ci przyjemność uczestnictwo w jej wrzaskliwych przedstawieniach.

— Aż tak źle...?

— A jak myślisz, czemu uciekłem z miasta w środku nocy? Dajmy już temu spokój, dobrze?

Giermek zaczął chichotać.

— Wybacz mi mój śmiech, dostojny panie — wykrztusił — ale przypomniałem sobie twoją reakcję na wieść o mojej słabości do matki Talena.

— No więc dobrze, mnie też się to przytrafiło — rzucił Sparhawk, zacisnął wargi i odjechał. Gonił go głośny śmiech Kurika.

Nad mętym nurtem rzeki Gule wznosiły się liczne, niedbale zbudowane pomosty obwieszane śmierdzącymi sieciami na ryby. Na dziesiątkach szerokich łodzi, przycumowanych do pachotków, wylegiwali się ciemnoskórzy żeglarze w zawojach na głowach i przepaskach na biodrach. Sparhawk zsiadł z konia i podszedł do jednookiego mężczyzny o diabolicznym wyglądzie, ubranego w luźną, pasiastą szatę. Jednooki stał na pomoście i wykrzykiwał rozkazy do trzech żeglarzy ospale pracujących na zabłoconej galarze.

— To twoja łódź? — zapytał rycerz.

— A jeżeli tak, to co?

— Można ją wynająć?

— Zależy za ile.

— Dogadamy się. W ile dni dopłyniesz do Dabouru?

— W trzy, może cztery dni, w zależności od wiatru. — Kapitan obrzucił ich taksującym spojrzeniem swojego jedyne go oka. Twarz rozpozodziła mu się i uśmiechnął się do nich przymilnie. — Porozmawiajmy o cenie, dostojny panie — zaproponował.

Sparhawk udawał, że się trochę targuje, po czym sięgnął do ofiarowanej mu przez Vorena sakiewki, odliczył srebrniki i położył je na brudnej dłoni marynarza.

Na widok sakiewki jedyne oko kapitana zabłysło radośnie.

Podróźni weszli na pokład i uwiązali swoje wierzchowce na śródokręciu. Marynarze zdjęli cumy, pchnęli łódź w nurt rzeki i postawili pojedynczy, ukośny żagiel. Gule toczyła swoje wody leniwie i ostry wiatr, wiejący w głąb ładu od Cieśniny Arcjańskiej, pchał ich z niezgorszą prędkością pod prąd w górę rzeki.

— Bądźcie czujni — mruknął Sparhawk do swoich towarzyszy, gdy zdejmowali siodła ze swoich wierzchowców. — Nasz kapitan zdaje się pilnie wypatrywać swoim okiem każdej okazji do pomnożenia zysków — dodał, a następnie przeszedł na rufę, gdzie jednooki stał przy sterze. — Chcę, byś trzymał się możliwie jak najbliżej brzegu.

— Po co? — zapytał kapitan podejrzliwie.

— Moja siostra boi się wody — skłamał naprędce Sparhawk. — Kiedy dam ci znak, przybijesz natychmiast do brzegu, by mogła szybko opuścić łódź.

— Ty płacisz — kapitan wzruszył ramionami — a więc zrobię tak, jak sobie życzysz.

— Czy nocą również żeglujesz? — zapytał Sparhawk.

Kapitan potrząsnął głową.

— Niektórzy pływają, ale ja nie. Za dużo tu korzeni i podwodnych skał jak na mój gust. Gdy się ściemni, przybijemy do brzegu.

— To dobrze. Cenię sobie u marynarzy rozwagę. Tylko roztropni i ostrożni dopływają bezpiecznie do celu. — Sparhawk rozchylił nieco swoją szatę, by pokazać ukrytą pod nią kolczugę i miecz u pasa. — Rozumiesz, co mam na myśli? — zapytał.

Na twarzy kapitana pojawił się wyraz bolesnego rozczarowania.

— Nie masz prawa grozić mi na mojej własnej łodzi! — wrzasnął.

— Jak już słusznie zauważyłeś, ja płacę. Twoja załoga nie wygląda na zbyt zdyscyplinowaną, a i twoja twarz nie wzbudza zaufania.

— Niepotrzebnie jesteś taki podejrzliwy, dostojny panie. — Kapitan spochmurniał.

— Jeżeli moje podejrzenia okażą się niesłuszne, to cię przeproszę. Wieziemy z sobą pewne kosztowności i wolelibyśmy, by przy nas pozostały. Moi przyjaciele i ja będziemy spali na dziobie. Ty ze swoimi ludźmi możesz spędzać nocę na rufie. Z pewnością nie masz nic przeciwko temu.

— Czy to nie przesadna ostrożność?

— Niespokojne czasy, ziomku. Niespokojne czasy. Pamiętaj, trzymaj swoich ludzi na rufie, gdy przybijemy na noc do brzegu — i ostrzeż ich, by spali spokojnie. Łódź może być niebezpiecznym miejscem dla lunatyków, a w dodatku ja mam bardzo lekki sen. — Sparhawk odwrócił się i odszedł do swoich przyjaciół.

Oba brzegi rzeki porastała rachityczna roślinność, wzgórza wznoszące się za tym wąskim pasmem zieleni były nagie i kamieniste. Sparhawk siedział z przyjaciółmi na dziobie, obserwując uważnie kapitana i jego załogę oraz wypatrując,

czy nic podejrzanego nie dzieje się na powierzchni wody. Flecik przysiadła na bukszprycie i grała na fujarce, a Sparhawk rozmawiał po cichu z Sephrenią i Kurikiem. Sephrenia знаła obyczaje panujące w tym kraju, więc rycerz swoje uwagi kierował głównie do giermka. Ostrzegał go wyjaśniając, co mogło być w Rendorze odebrane jako osobista zniewaga oraz co uważane było za świętokradztwo.

— Kto ustalił te wszystkie głupie prawa? — dopytywał się Kurik.

— Eshand — odparł Sparhawk. — Był szalony, a szaleńcy lubią umilać innym życie.

— Coś jeszcze wymyślił?

— Jeszcze jedno. Jeżeli przydarzy się, że spotkasz owcę, to czym prędzej ustąp jej drogi.

— Powtórz to — powiedział giermek z niedowierzaniem.

— To bardzo ważne, Kuriku.

— Nie mówisz tego poważnie!

— Śmiertelnie poważnie. Eshand jako chłopiec był pasterzem owiec i dostawał szału, gdy ktoś wjeżdżał mu w środek stada. Po dojściu do władzy oznajmił, że Bóg wyjawiał mu, iż owca jest świętym zwierzęciem i każdy powinien ustępować jej drogi.

— Ależ to szaleństwo! — protestował Kurik.

— Oczywiście. Jednakże tu jest to prawem.

— Czyż to nie dziwne, jak bardzo objawienia Boga Elenów są zawsze zgodne z oczekiwaniami Jego proroków? — mruknęła do siebie Sephrenia.

— Czy oni w ogóle zachowują się jak normalni ludzie? — zapytał Kurik.

— Nie bardzo.

Po zachodzie słońca kapitan przycumował łódź przy brzegu i razem ze swoją załogą udał się na rufę na spoczynek. Sparhawk poszedł na śródokręcie. Położył dłoń na szyi Farana.

— Bądź czujny — powiedział do swojego rumaka. — Daj mi znać, gdyby ktoś kręcił się tu po nocy.

Faran odsłonił w uśmiechu zęby i odwrócił się łbem w kierunku rufy. Sparhawk poklepał go przyjaźnie po zadzie i wrócił na dziób.

Na kolację zjedli chleb i ser, a potem rozłożyli na pokładzie koce.

— Sparhawk — powiedział Kurik, gdy ułożyli się do snu.

— Tak?

— Coś mi właśnie przyszło do głowy. Czy wielu ludzi wjeżdża i wyjeżdża konno z Dabouru?

— Zwykle tak. Obecność Arashama ściąga tłumy.

— Tak też myślałem. Czy nie byłoby mniej podejrzanego, gdybyśmy zeszli z łodzi kilka lig przed Dabourem i przyłączyli się do którejś z grup pielgrzymów jadących do miasta?

— Że też ty o wszystkim musisz pomyśleć, Kuriku.

— Za to mi płacisz, dostojny panie. Czasami wy, rycerze, jesteście zbyt pochłonięci wypełnianiem swoich misji, więc zadaniem giermka jest ustrzec was od kłopotów.

— Jestem ci za to szczerze wdzięczny, Kuriku.

— Drobiazg — odparł giermek.

Noc minęła spokojnie. O wschodzie słońca marynarze wybrali cumy i postawili żagiel. Późnym rankiem minęli Kodhl i żeglowali dalej w górę rzeki, w kierunku Świętego Miasta Dabour. Na odcinku pomiędzy tymi miastami panował o wiele większy ruch, ale wydawało się, że nie rządziły nim żadne reguły i łodzie od czasu do czasu uderzały jedna o drugą, czemu towarzyszyła zwykle wymiana przekleństw i obelg.

Czwartego dnia żegluga około południa Sparhawk zapytał jednookiego kapitana:

— Jesteśmy już całkiem blisko, prawda?

— Jeszcze z pięć lig — odparł kapitan przesuwając ster, by uniknąć zderzenia z nadpływającą galera. — Ty plugawy pomocię trzynożnego osła! — wrzasnął do sternika drugiej łodzi.

— Oby twoja matka sparszywiła! — odpowiedział uprzejmie tamten.

— Ja i moi przyjaciele wolelibyśmy zejść na brzeg, nim dopłyniemy do samego miasta — mówił Sparhawk. — Chcemy się trochę rozejrzeć przed spotkaniem z wyznawcami Arashama, a przystanie są zwykle pilnie obserwowane.

— To mądre posunięcie — przyznał kapitan. — Poza tym coś mi się wydaje, że nie macie zbyt czystych zamiarów. Wolę się do tego nie mieszać.

— Czyli obu nam jest to na rękę, prawda?

Wczesnym popołudniem kapitan skrzył rumpel i skierował łódź do brzegu na wąską, piaszczystą plażę.

— To jedyne miejsce zdatne do tego celu — rzekł do Sparhawka. — Potem brzegi są zbyt bagniste.

— Jak daleko stąd do Dabouru? — zapytał rycerz.

— Ze dwie ligi.

— A więc dość blisko.

Żeglarze spuścili trap i Sparhawk wraz z przyjaciółmi sprowadzili swoje wierzchowce na plażę. Oczekali, aż marynarze wciągnęli trap i odepchnęli długimi wiosłami łódź od brzegu. Potem kapitan zawrócił i odpłynął z powrotem w dół rzeki.

— Lepiej się czujesz, mateczko? — zapytał Sparhawk. Czarodziejka nadal wyglądała mizernie, jednakże jej oczy nie były już tak podkrążone.

— Lepiej, Sparhawku — zapewniła go.

— Ale nie wrócisz do sił, jeżeli zbyt wielu spośród tych dwunastu rycerzy zginie, prawda?

— Tego nie wiem. Nigdy nie byłam w podobnej sytuacji. Jedźmy do Dabouru porozmawiać z doktorem Tanjinem.

Ruszyli z plaży mijając otaczające ją karłowate zarośla i wkrótce dotarli do zakurzonego traktu wiodącego do Dabouru. Tam włączyli się w falę innych podróźnych. W większości byli to odziani w czarne szaty koczownicy o czarnych, płonących wiarą oczach. Raz zdarzyło się, że zostali zepchnięci na pobocze przez stado owiec. Jadący na mułach pasterze zachowywali się butnie i z zadowoleniem blokowali swoimi zwierzętami drogę tak często, jak to tylko było możliwe. Wyraz ich twarzy sprawiał, że nikt nie ośmielał się im sprzeciwić.

— Nigdy nie przepadałem za owcami — mruknął Kurik — a jeszcze mniej za owczarzami.

— Tylko nie okazuj tego — doradził mu Sparhawk.

— Oni tu jedzą dużo baraniny, prawda?

Sparhawk skinął głową.

— Czy zabijanie i jedzenie świętych zwierząt nie kłóci się z ich wierzeniami?

— dociekał giermek.

— Rendorczycy nie słyną ze zbytnej bystrości.

Flecek podniosła do ust swą fujarkę i w momencie gdy stado ich mijało, zagrała fałszywą melodyjkę. Owce poczęły kręcić się niespokojnie, rozpychać, a potem nagle wyrwały z kopyta i pognały na pustynię, a za nimi popędzili na złamanie karku owczarze. Flecek zakryła usta rączką chichocząc bezgłośnie.

— Przestań — złajała ją Sephrenia.

— Czy to zdarzyło się naprawdę? — zapytał zdumiony Kurik.

— To dla mnie żadna nowość — powiedział Sparhawk.

— Ta dziewczuszka podoba mi się coraz bardziej. — Giermek wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Jechali wolno dalej za pielgrzymami. Po niedługim czasie dotarli do szczytu niewielkiego wzgórza i przed sobą ujrzeli leżący w dolinie Dabour. Białe tynkowane domy obsiadły brzeg rzeki, a dookoła nich przycupnęły setki wielkich czarnych namiotów. Sparhawk przestonił oczy ręką i spojrzał na miasto.

— Tam są zagrody dla bydła — powiedział wskazując na wschód. — Tam gdzieś powinien być Perraine.

Zjechali ze wzgórza omijając domy i namioty południowej części Dabouru. Gdy znaleźli się w pobliżu zagród dla bydła, z jednego z namiotów wyszedł brodaty nomada z wisiosem z brązu u szyi i zagroził im drogę.

— A dokąd to zmierzacie? — zapytał. Wykonał ręką szybki, władczy gest i nagle pojawiło się kilkunastu ubranych na czarno mężczyzn z włóczniami w dłoniach.

— Jedziemy w sprawie bydła, szlachetny panie — odpowiedział grzecznie Sparhawk.

— Czyżby? — zadrwił brodac. — Nie widzę krów. — Popatrzył na swoich ludzi i uśmiechnął się zadowolony z własnego sprytu.

— Krowy ciągną za nami, szlachetny panie — odparł Sparhawk. — Wysłano nas przodem, byśmy poczynili stosowne przygotowania.

Człowiek z wisiosem zmarszczył czoło doszukując się w odpowiedzi śladu fałszu.

— Czy wy wiecie, kim ja jestem? — zapytał w końcu wojowniczo.

— Obawiam się, że nie, szlachetny panie — usprawiedliwiał się Sparhawk. — Nie miałem jeszcze przyjemności pana poznać.

— Pewnie uważasz się za spryciarza, co? — nie dawał spokoju natręt. — Te twoje gładkie odpowiedzi mnie nie zwiodą.

— Nie miałem zamiaru nikogo zwodzić, ziomku — powiedział Sparhawk bardziej zdecydowanie. — Chciałem tylko być uprzejmy.

— Jestem Ulesim, ukochany uczeń świętego Arashama — odparł mężczyzna waląc się pięścią w pierś.

— Spotkanie z tobą jest dla mnie wielkim zaszczytem, szlachetny panie. — Sparhawk skłonił się w siodle.

— Nic więcej nie masz mi do powiedzenia?! — wykrzyknął Ulesim węsząc obrazę.

— Jak już powiedziałem, szlachetny panie, jest dla mnie ogromnym i niespodziewanym zaszczytem być powitany przez tak znamienitego męża.

— Nie wyszedłem ci na powitanie, pastuchu, ale aby cię zatrzymać. Zsiadać z koni!

Sparhawk rozejrzał się dookoła oceniając sytuację, po czym zeskoczył z grzbietu Farana i pomógł Sephrenii zsiąść z konia.

— Co się dzieje, Sparhawkku? — szepnęła czarodziejka stawiając dziewczynkę na ziemi.

— Chyba jeden z pomniejszych lizusów próbuje dowieść swojej ważności — odszepnął rycerz. — Nie chcę wywołać zamieszania, więc róbmy, co każe.

— Zabrać więźniów do mojego namiotu! — polecił po chwili wahania Ulesim. Ten ukochany uczeń świętego Arashama najwyraźniej nie bardzo wiedział, co dalej począć.

Mężczyźni z włócznieami otoczyli ich ciasnym kręgiem i poprowadzili do namiotu, którego szczyt zdobiła brudna, zielona flaga.

Wśród poszturchiwań zostali wepchnięci do środka, wejście zasznurowano. Kurik obserwował poczynania włócznieików z pogardą.

— Amatorzy — mruknął. — Trzymają te swoje dzidy niczym pasterskie kije i nawet nas nie obszukali.

— Może i są amatorami, Kuriku — powiedziała łagodnie Sephrenia — ale wzięli nas do niewoli.

— Nie na długo — burknął giermek i sięgnął po swój sztylet.

— Nie rób tego — odezwał się cicho Sparhawk. — Jeden zbędny gest i po chwili mamy na karku horde wrzeszczących fanatyków.

— Chyba nie będziemy tu grzecznie siedzieć? — zapytał z niedowierzaniem Kurik.

— Pozwól, że ja się tym zajmę.

Minuty mijały, a oni czekali w dusznym namiocie.

Wreszcie poła namiotu uniosła się i wszedł Ulesim w towarzystwie dwóch mężczyzn z włóczniami.

— Jak się nazywasz, pastuchu? — zapytał arogancko.

— Zwał mnie Mahkra, szlachetny Ulesimie — odparł Sparhawk potulnie — a to jest moja siostra, jej córka i mój służący. Czy mogę zapytać, dlaczego nas zatrzymano?

Ulesim zmrużył oczy.

— Są tacy, którzy odmawiają uznania autorytetu świętego Arashama — oznajmił. — Ja, Ulesim, jego ukochany uczeń, podjąłem się wytępienia tych fałszywych proroków i wysłania ich na stos. Święty Arasham darzy mnie całkowitym zaufaniem.

— Czy to możliwe? Są jeszcze jacyś niewierni? — zdziwił się Sparhawk. — Myślałem, że wszelką opozycję zdławiono już dziesiątki lat temu.

— To nieprawda! — krzyknął Ulesim. — Na pustyni i w miastach nadal kryje się sporo spiskowców! Nie spocznę, aż wszystkich wytropię i rzucę płomieniom na pożarcie.

— Nie powinieneś więc obawiać się mnie i moich towarzyszy — zapewnił go Sparhawk. — Jesteśmy wiernymi wyznawcami proroka i czcimy go w naszych modlitwach.

— Tak twierdzisz, Mahkro, ale czy możesz dowieść, że istotnie przybyłeś do Świętego Miasta w interesach? — zapytał fanatyk uśmiechając się głupio do swoich towarzyszy, jakby właśnie zdobył punkt.

— Ależ oczywiście, szlachetny Ulesimie — odparł łagodnie Sparhawk. — Przybyliśmy na rozmowy z kupcem krów Mirrelekiem. Może go znasz?

Ulesim nadął się.

— A cóż ja, ukochany uczeń Arashama, mógłbym mieć wspólnego z jakimś handlarzem bydła?

Jeden z jego ludzi pochylił się i szeptał mu coś długo na ucho. Pewność siebie stopniowo znikła z twarzy Ulesima, aż w końcu zaczął sprawiać wrażenie trochę przestraszonego.

— Poślę po tego handlarza — rzekł w końcu niechętnie. — Jeśli potwierdzi prawdziwość twoich słów, to dobrze, ale jeśli nie, to zawiodę cię przed oblicze świętego Arashama, który cię osądzi.

— Jak sobie życzysz, szlachetny Ulesimie — odparł kłaniając się Sparhawk. — Zechciej tylko polecić, proszę, by posłaniec przekazał Mirreleкови, że Mahkra

jest tutaj z pozdrowieniami od mateczki. Pewien jestem, że natychmiast przybędzie i wszystko wyjaśni.

— Będzie lepiej dla ciebie, jeśli tak się stanie, Mahkro — powiedział groźnie brodaty ulubieniec proroka, po czym zwrócił się do tego, który szeptał mu do ucha. — Idź i sprowadź tu tego Mirreleka. Powtórz mu wiadomość tego pastucha i przekaz, że ja, Ulesim, ukochany uczeń świętego Arashama, rozkazuję mu, by niezwłocznie tu przybył.

— W tej chwili, ulubieńcu proroka! — Posłaniec wybiegł z namiotu.

Ulesim patrzył przez chwilę spode łba na Sparhawk, a potem opuścił namiot. Jego człowiek wyszedł za nim.

— Przecież masz miecz, Sparhawk — powiedział Kurik. — Czemu nie wypuściłeś powietrza z tej nadętej kobzy? Ja mógłbym załatwić dwóch pozostałych.

— Nie było takiej potrzeby. — Sparhawk wzruszył ramionami. — Znam Perraine'a dobrze i wiem, że do tej pory zdążył się tu na tyle urządzić, iż jest Arashamowi niezbędny. Wkrótce przybędzie i odpowiednio ustawi Ulesima, ukochanego ucznia świętego Arashama.

— Czy nie ryzykujesz zbyt, Sparhawk? — spytała Sephrenia. — A jeżeli imię Mahkra nic Perrainowi nie powie, to co wtedy? O ile pamiętam, ty byłeś w Jirochu, a on od lat mieszka tu, w Dabourze.

— Może nie rozpoznać mojego rendorskiego imienia, ale twoje zna na pewno, mateczko. To bardzo stare hasło. Rycerze Zakonu Pandionu używają go od lat.

— Bardzo mi to pochlebia, ale dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? — zatrzepotała ze zdziwienia powiekami.

— Myśleliśmy, że wiesz o tym — odparł zaskoczony Sparhawk.

Po kwadransie do namiotu wszedł Ulesim w towarzystwie szczupłego, posępnego mężczyzny, odzianego w prostą szatę bez żadnych ozdób. Ulesim miał zatroskany wyraz twarzy i zachowywał się wyjątkowo usłużnie.

— To właśnie ten człowiek, o którym ci mówiłem, czcigodny Mirreleku — łąsił się.

— Ach, Mahkra! — Szczupły mężczyzna podszedł do Sparhawk, by uścisnąć mu serdecznie dłoń. — Cieszę się, że cię znowu widzę. Co się stało?

— To tylko drobne nieporozumienie, Mirreleku — odpowiedział Sparhawk skłaniając się lekko.

— Wszystko już zostało wyjaśnione, nieprawdaż? — rzekł Perraine zwracając się do Ulesima.

— Oo-czywiście, czcigodny Mi-Mirreleku — wyjąkał brodaty ulubieniec proroka blednąc.

— Skąd przyszło ci do głowy, by zatrzymywać moich przyjaciół? — W głosie Perraina brzmiała cicha groźba.

— Ja ty-tylko próbuję chronić świętego Arashama.

— Tak? A czy on prosił cię o to?

— No... może nie całkiem wyraźnie.

— Rozumiem. Odważnie sobie poczynasz, Ulesimie. Chyba wiesz, jak postępuje Arasham z tymi, którzy zbyt samowolnie wypełniają jego wolę? Wielu z nich dało głowy, bo wzięli na swe barki zbyt duży ciężar.

Ulesim zadrżał.

— Jestem jednak pewien, że wybaczy ci, gdy sam mu o tym incydencie opowiem — ciągnął Perrain. — Ktoś mniej znaczny położyłby zaraz głowę pod topór, ale ty jesteś przecież jego ukochanym uczniem, prawda? Czy coś jeszcze, Ulesimie?

Oniemiały z przerażenia i pobladły Ulesim potrząsnął głową.

— W takim razie ja i moi przyjaciele oddalimy się. Chodźmy, Mahkro. — Perrain wyprowadził ich na zewnątrz.

Jechali przez miasto namiotów wyrosłe na obrzeżach Dabouru, a Perrain opowiadał im o ciężkiej sytuacji panującej obecnie na rynku bydła. Mijali namioty ustawione w zupełnym bezładzie. Nie było niczego, co przypominałoby ulicę. Zgraje brudnych dzieci bawiły się w piasku, a apatyczne psy jedynie na chwilę wyłaniały się z cienia namiotów, by bez specjalnego zapachu powarczeć na przejeżdżających.

Dom Perraina, przypominający prosty klocek, stał na środku zachwaszczonego poletka za namiotami.

— Wejdźcie. — Rycerz zaprosił ich głośno. — Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o waszym bydłe.

Dom składał się tylko z jednej izby. Było tu mroczno i chłodno. Po prawej stronie pod ścianą stała prymitywna kuchnia, po lewej — nie zasłane łóżko. Z belek pod powalą zwisało kilka dzbanów z nie wypalanej gliny, z których coś sączyło się wolno, tworząc na klepisku kałużę. Na środku stał stół i dwie ławy. Perrain zamknął drzwi.

— Niezbyt tu pięknie — przeproszał.

Sparhawk popatrzył znacząco na nie domknięte okno w głębi izby.

— Możemy tu bezpiecznie rozmawiać? — zapytał cicho.

— Ależ tak, panie Sparhawk. — Gospodarz roześmiał się. — Pod tym oknem rośnie ciernisty krzak. Pielęgnowałem go w wolnych chwilach. Zdumiałbyś się, gdybyś zobaczył, jak jest dorodny. I jakie ma kolce! Dobrze wyglądasz, przyjacielu. Nie widziałem cię od czasu naszego nowicjatu. — Mówił z ledwie dostrzegalnym obcym akcentem. Nie pochodził z Elenii jak większość pandionitów, ale z obszarów centralnej Eosii. Sparhawk zawsze go lubił.

— O, nauczyłeś się mówić, Perrainie — odezwała się Sephrenia. — Zawsze byłeś taki milczący.

— To z powodu mojego akcentu, mateczko — powiedział z uśmiechem. — Nie chciałem być śmieszny. — Ucałował jej dłonie prosząc o błogosławieństwo.

— Pamiętasz Kurika? — zapytał Sparhawk.

— Oczywiście. Uczyl mnie walki na kopie. Witaj, Kuriku. Jak się miewa Aslade?

— Bardzo dobrze, panie Perrainie — odrzekł Kurik. — Powiem jej, że pytałeś o nią, panie. O co tu chodziło? Mam na myśli tę całą sprawę z Ulesimem.

— To jeden z tych natrętnych pochlebców uczeplonych Arashama.

— Naprawdę jest jego uczniem?

— Wątpię, czy Arasham pamięta jego imię — prychnął Perrain. — Oczywiście, są dni, gdy Arasham nie pamięta nawet własnego imienia. Takich Ulesimów są tu tuziny — samozwańcych uczniów, kręcących się dookoła i zaczepiających porządných ludzi. Najpewniej jest już daleko na pustyni i umyka co sił w nogach. Arasham bardzo zdecydowanie postępuje z tymi, co nadużywają tej odrobiny władzy, którą im ofiarował. Usiądźmy.

— W jaki sposób osiągnąłeś tak znaczącą pozycję? — zapytała Sephrenia. — Ulesim traktował cię niczym króla.

— To nie było zbyt trudne. Arasham ma tylko dwa zęby, a nie leżą one naprzeciwko siebie. Co dwa tygodnie otrzymuje ode mnie miękką cielęcinę na znak mojego oddania. Starcy zawsze mają szczególny wzgląd na swoje brzuchy, więc Arasham nie szczędzi mi dowodów wdzięczności. Uczniowie nie są ślepi, woła mi się nie narażać. A co was sprowadza do Dabouru?

— Pan Voren poradził nam, byśmy ciebie odszukali — wyjaśnił Sparhawk. — Musimy tu z kimś porozmawiać, a wolimy nie zwracać na siebie uwagi.

— Mój dom jest waszym domem. — Perrain zaakcentował ironicznie słowo „dom”. — Z kim musicie porozmawiać?

— Z lekarzem o imieniu Tanjin — powiedziała Sephrenia zdejmując woal z twarzy.

Perrain spojrział na nią z uwagą.

— Istotnie, wyglądasz niezdrowo, mateczko — rzekł. — Ale czy nie lepiej było znaleźć lekarza w Jirochu?

— To nie mnie jest potrzebny lekarz. — Czarodziejka uśmiechnęła się. — Czy znasz tego Tanjina?

— W Dabourze każdy go zna. Mieszka na tyłach apteki, przy głównym placu. Jego dom jest pod stałą obserwacją. Krążą słuchy, że czasami bawi się magią i fanatycy usiłują go na tym przyłapać.

— Czy nie uważasz, że powinniśmy pieszo udać się na ten plac? — zapytał Sparhawk.

Perrain skinął głową.

— Myślę również — ciągnął Sparhawk — że poczekamy, aż słońce zajdzie. W razie niebezpieczeństwa będziemy mogli ukryć się w mroku.

— Mam iść z wami?

— Nie, raczej pójdziemy tylko ja i Sephrenia. My odjedziemy, a ty tu zostaniesz. Jeżeli Tanjin jest podejrzewany o czary, to odwiedziny u niego mogłyby

wystawić na szwank twoją reputację.

— Trzymaj się z dala od ciemnych zaułków, Sparhawk — mruknął Kurik.

Sparhawk skinął na małą Flecik. Podeszła do niego posłusznie. Położył ręce na ramionach dziewczynki i spojrzał jej prosto w oczy.

— Chcę, abyś została tu z Kurikiem — rzekł.

Spojrzała na niego ponuro i zrobiła zeza.

— Przestań! — powiedział. — Bądź grzeczna, panienko, mówię poważnie.

— Poproś ją, Sparhawk — poradziła Sephrenia. — Nie rozkazuj.

— Proszę, Fleciku — mówił niemal błagalnie. — Czy nie zechciałabyś tu zostać?

W odpowiedzi dziewczynka uśmiechnęła się słodko, złożyła rączki przed sobą i dygnęła.

— Widzisz, jakie to proste? — powiedziała Sephrenia.

— Mamy jeszcze trochę czasu, przygotuję wam coś do jedzenia. — Perrain wstał.

— Czy wiesz, panie Perrainie, że wszystkie twoje naczynia ciekną? — zapytał Kurik wskazując na dzbany zwisające z belek.

— Tak, wiem. Na podłodze jest przez to trochę bałaganu, ale za to panuje tu przyjemny chłód. — Perrain podszedł do paleniska i przez chwilę manipulował krzesiwem i hubą. Z gałązek pustynnych krzewów rozniecił ogień. Zawiesił nad nim czajnik, następnie wziął dużą patelnię i nalał na nią trochę oleju. Postawił patelnię na ogniu, wyjął z przykrytej miski kilka kawałków mięsa. Gdy olej zaczął skwierczeć, wrzucił do niego mięso. — Niestety, to tylko baranina — usprawiedliwiał się. — Nie spodziewałem się gości. — Przyprawił mięso solidnie, a potem ustawił talerze na stole. Wrócił do paleniska i otworzył gliniany garnek. Wyciągnął z niego szczyptę herbaty, wrzucił do kubka i zalał gorącą wodą z czajnika. — To dla ciebie, mateczko. — Uśmiechnął się stawiając kubek przed Sephrenią.

Czarodziejka spojrzała na niego z wdzięcznością.

— Jak miło — powiedziała. — Jesteś naprawdę kochany, Perrainie.

— Żyję po to, by służyć — odparł z pewną egzaltacją. Przyniósł świeże figi i kawałek sera, a potem na środku stołu postawił dymiącą patelnię.

— Minałeś się z powołaniem, przyjacielu — ocenił Sparhawk.

— Już dawno nauczyłem się dla siebie gotować. Stać mnie co prawda na słuchającego, ale nie ufam nieznajomym — rzekł siadając do stołu. — Bądź ostrożny w mieście, panie Sparhawk — ostrzegł, gdy zaczęli jeść. — Wyznawcy Arashama nie mają zbyt po kolei w głowach, a na dodatek wszyscy pałają żądzą przyłapania sąsiada na najdrobniejszym uchybieniu prawom. Arasham co wieczór, po zachodzie słońca, wygłasza kazanie i za każdym razem udaje mu się wymyślić jakiś nowy zakaz.

— Czego zabronił ostatnio? — zapytał Sparhawk.

— Zabijania much. Stwierdził, że są posłańcami Boga.

— Chyba nie mówisz poważnie.

Perrain wzruszył ramionami.

— Wydaje mi się, że on już nie wie, czego ma zabraniać, a wyobraźnię ma mniejszą niż żadna. Chcesz może jeszcze kawałek baraniny?

— Dziękuję, nie. — Sparhawk sięgnął po figę. — Jeden kawałek baraniny w zupełności mi wystarcza.

— Jeden kawałek na dzień? — Nie. Jeden na rok.

Rozdział 22

Kończący się dzień zdążył już zaciągnąć niebo rdzawą kurtyną, gdy Sparhawk i Sephrenia dotarli na plac w pobliżu centrum Dabouru. Ściany domów i twarze ludzi skąpane były w czerwonych promieniach chylącego się ku zachodowi słońca. Lewa ręka Sephrenii spoczywała na prowizorycznym temblaku, a Sparhawk pomagał czarodziejce iść, podtrzymując ją za drugie ramię.

— To już tam — powiedział cicho, wskazując głową na drugą stronę placu.

Sephrenia szczelniej przesłoniła twarz i ruszyli przez mrowie ludzi.

Co kilka kroków spotkali podpierających ściany, zakapturzonych nomadów w czarnych szatach, którzy podejrzliwie wpatrywali się w twarze przechodniów.

— Prawdziwi wierni — mruknął drwiąco Sparhawk — gotowi w każdej chwili wytknąć sąsiadowi najmniejszy nawet grzech.

— Zawsze tak było — odparła Sephrenia. — Przekonanie o własnej uczciwości jest jedną z najczęściej spotykanych, acz najmniej atrakcyjnych z ludzkich cech. — Minęli jednego z obserwatorów i weszli do apteki. W powietrzu unosił się silny zapach leków.

Aptekarz był pucołowatym, drobnym człowieczkiem o bystrym spojrzeniu.

— Nie jestem pewien, czy zgodzi się was przyjąć — powiedział po wysłuchaniu ich prośby. — Wiecie, że jest pod obserwacją.

— Tak — przyznał Sparhawk. — Kilku z tych obserwatorów widzieliśmy na zewnątrz. Proszę, powiadom go o naszym przybyciu. Chcę, by zbadał ramię mojej siostry.

Zdenerwowany aptekarz pośpieszył za zasłonę, która oddzielała tylne pomieszczenie od sklepu. Po chwili wrócił.

— Przykro mi — przepraszał. — Doktor powiedział, że nie przyjmie żadnego nowego pacjenta.

— Jak uzdrowiciel może odmówić przyjęcia chorego? — Sparhawk podniósł głos. — Czyżby przysięga lekarska tu, w Dabourze, do niczego nie zobowiązywała? Medycy w Cyprii są bardziej rzetelni. Mój dobry przyjaciel, doktor Voldi, nigdy nie odmówiłby potrzebującemu pomocy.

Po chwili zasłona rozchyliła się i w szparze pojawiła się głowa. Człowiek,

który wychylił głowę, miał bardzo wydatny nos, zwisającą dolną wargę, odstające uszy i niepewne spojrzenie. Był ubrany w biały lekarski kitel.

— Powiedziałaś: Voldi? — zapytał nosowym głosem. — Znasz go?

— Oczywiście — odparł Sparhawk. — To niewysoki, łysiejący mężczyzna, który farbuje włosy i ma o własnej osobie bardzo wysokie mniemanie.

— Tak, to Voldi. Wprowadź tu szybko swoją siostrę, niech nikt z zewnątrz tego nie zauważy.

Sparhawk ujął Sephrenię pod ramię i wprowadził za zasłonę.

— Czy ktoś widział, jak wchodziliście? — zapytał nerwowo nosal.

— Owszem, tacy jedni — powiedział Sparhawk wskazując głową w kierunku drzwi. — Podpierają ściany domów i niczym sępy wypatrują grzeszników.

— W Dabourze niebezpiecznie jest mówić w ten sposób, przyjacielu — ostrzegł Tanjin.

— Możliwe. — Sparhawk rozejrzał dookoła. W kątach nędznego pokoiku piętrzyły się stosy książek i pootwieranych, drewnianych pudełek. Uparty trzmiel tłukł się o jedyne brudne okno, próbując wydostać się na zewnątrz. Pod ścianą stało niskie, skromne posłanie, a na środku stół i kilka drewnianych krzeseł.

— Może przystąpimy do sprawy, doktorze? — zaproponował rycerz.

— Dobrze. — Tanjin zwrócił się do Sephrenii: — Usiądź tu, obejrzę twoje ramię.

— Jeżeli to sprawi ci przyjemność, doktorze, to nie mam nic przeciw temu — odparła czarodziejka siadając na krześle i zdejmując rękę z temblaka. Potem rozchyliła szatę i odsłoniła olśniewające, dziewczęce ramię.

Doktor spojrzał niepewnie na Sparhawką.

— Rozumiesz chyba — powiedział — że nie mam w stosunku do twojej siostry żadnych niecznych zamiarów. Chcę ją jedynie zbadać.

— Doskonale to rozumiem, doktorze.

Tanjin wziął głęboki oddech i kilkakrotnie zgiął rękę Sephrenii w nadgarstku. Następnie delikatnie przesunął palce do góry i zgiął jej rękę w łokciu. Potem podnosił i opuszczał jej ramię lekko badając palcami bark. Na koniec zmrużył blisko osadzone oczy.

— To ramię jest zupełnie zdrowe — orzekł.

— Miło to słyszeć. — Sephrenia zdjęła z twarzy woal.

— Pani! — krzyknął zszokowany. — Zakryj twarz!

— Och, doktorze, bądź poważny. Nie jesteśmy tu po to, by rozmawiać o moich nogach i rękach.

— Jesteście szpiegami!

— W pewnym sensie tak — odparła spokojnie. — Ale nawet szpiegdy czasami muszą zasięgać porady lekarza.

— Natychmiast stąd wyjdźcie! — rozkazał.

— Dopiero przyszedliśmy — odezwał się Sparhawk odrzucając kaptur. — Zaczynaj, kochana sestro — zwrócił się do Sephrenii. — Wyjaśnij mu, po co przybyliśmy.

— Powiedz, Tanjinie — rzekła czarodziejka — czy nazwa „darestim” coś ci mówi?

Lekarz podskoczył spłoszony, spojrzął na zasłonę i szybko cofnął się w głąb izby.

— Nie bądź taki skromny, doktorze — rzekł Sparhawk. — Krążą opowieści, że uzdrowiłeś królewskiego brata i kilku jego bratanków otrutych darestimem.

— Nie macie na to dowodów!

— Ja nie szukam dowodu. Mnie potrzebne jest lekarstwo. Nasz przyjaciel znalazł się w podobnej sytuacji.

— Nie ma odtrutki ani lekarstwa na darestim.

— A więc jak to się dzieje, że brat króla nadal żyje?

— Pracujecie dla nich — doktor wskazał palcem w kierunku placu. — Podstępnie próbujecie wyciągnąć ze mnie wyznanie.

— Dla nich? O kim mówisz? — zapytał Sparhawk.

— O wyznawcach Arashama. Próbują dowieść, że w swojej praktyce lekarskiej posługują się czarami.

— A robisz to?

Doktor cofnął się gwałtownie.

— Proszę, wyjdźcie — błagał. — Narażacie mnie na straszliwe niebezpieczeństwo.

— Jak już z pewnością zauważyłeś, doktorze — odezwała się Sephrenia — nie jesteśmy Rendorczykami. Nie mamy uprzedzeń podobnych do waszych wieśniaków i nie obawiamy się magii. Tam, skąd przybywamy, posługujemy się nią na co dzień.

Lekarz zamrugął niepewnie oczyma.

— Przyjaciel, o którym wspominaliśmy, jest nam szczególnie bliski — rzekł Sparhawk — i nie cofniemy się przed niczym, by odnaleźć lekarstwo na tę truciznę. — Dla dodania wagi swoim słowom rycerz rozchylił szatę. — Absolutnie przed niczym.

Doktor patrzył w osłupieniu na jego kolczugę i miecz.

— Kochany bracie, niepotrzebnie straszysz doktora — powiedziała Sephrenia. — Myślę, że z dumą opisze nam lekarstwo, które odkrył. W końcu jest uzdrowicielem.

— Nie wiem, o czym mówisz, pani — bronił się desperacko Tanjin. — Na darestim nie ma leku. Skąd znacie te plotki? Mogę was zapewnić, że nie ma w nich nawet cienia prawdy. Nie korzystam w swojej praktyce z czarów. — Ponownie rzucił szybkie spojrzenie na zasłonę.

— Doktor Voldi z Cyprii powiedział nam jednak, że uleczyłeś kilku członków królewskiej rodziny.

— No... tak, chyba tak, ale byli otruci inną trucizną, nie darestimem.

— A co to było?

— Hm... porgutta. — Nie ulegało wątpliwości, że kłamał.

— To czemu król po ciebie przysłał, doktorze? — nalegała Sephrenia. — Porguttę usuwa z ciała zwykle przeczyszczenie, każdy lekarz to wie. Z całą pewnością nie ma łagodniejszej trucizny.

— Hm... no, może to było coś innego. Nie pamiętam już dokładnie.

— Kochany bracie — Sephrenia zwróciła się do Sparhawk — myślę, iż dobry doktor potrzebuje czegoś, co ostatecznie przekonałoby go, że może nam zaufać i że jesteśmy tymi, za których się, podajemy. — Spojrzała na trzmiela, który nadal uparcie próbował wydostać się przez okno. — Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, doktorze, dlaczego nocą nie widzimy trzmieli? — zapytała przestraszonego lekarza.

— Nie, nigdy o tym nie myślałem.

— Może powinieneś — powiedziała i zaczęła mruczeć styryckie słowa jednocześnie kreśląc palcami w powietrzu wzór zaklęcia.

— Co robisz?! — zawołał Tanjin. — Przestań! — Chciał podejść do niej z wyciągniętą ręką, ale Sparhawk go powstrzymał.

— Nie przeszkadzaj — rzekł cicho rycerz.

Sephrenia wskazała palcem na okno i uwolniła zaklęcie.

Do brzęczenia skrzydeł owada nagle dołączył cieniutki, piskliwy głosik, śpiewający radośnie w nie znanym ludziom języku. Sparhawk zerknął na zakurzone okno. Trzmiel zniknął, a na jego miejscu unosiła się maleńka, kobieca postać, rodem prosto z ludowych opowieści. Jasne włosy opadały jej na plecy pomiędzy szybko poruszające się, delikatne skrzydełka. Maleńkie, nagie ciało było doskonale uformowane, a miniaturowa twarzyczka urodą zapierała dech w piersi.

— Oto kim jest trzmiel we własnej wyobraźni — powiedziała Sephrenia z całkowitym spokojem — i być może rzeczywiście tym jest: za dnia pospolity owad, a nocą wróżka.

Tanjin opadł na swoje nędzne posłanie wpatrując się z szeroko otwartymi ze zdumienia ustami w cudowną istotkę.

— Chodź tu, siostrzyczko! — Sephrenia wyciągnęła rękę.

Wróżka obleciała pokój brzęcząc przejrzystymi skrzydełkami i śpiewając cienkim głosikiem. Potem delikatnie opadła na dłoń Sephrenii wciąż bijąc skrzydełkami powietrze. Czarodziejka odwróciła się i wyciągnęła rękę do lekarza.

— Czyż nie jest piękna? — zapytała. — Możesz potrzymać ją trochę, jeśli chcesz, ale uważaj na jej żądełko. — Wskazała na cieniutki rapier w dłoni wróżki.

Tanjin wzdrygnął się i cofnął chowając ręce za siebie.

— Jak to zrobiłaś? — zapytał drżącym głosem.

— Chcesz powiedzieć, że ty tego nie potrafisz? A więc oskarżenia przeciwko tobie muszą być fałszywe. To bardzo proste zaklęcie, prawdę mówiąc — jedno z podstawowych.

— Jak widzisz, doktorze — powiedział Sparhawk — nie obawiamy się magii. Możesz otwarcie z nami rozmawiać nie bojąc się, że doniesiemy na ciebie Arashamowi lub jego wyznawcom.

Tanjin zacisnął usta i nadal wpatrywał się we wróżkę trzepoczącą skrzydełkami na dłoni Sephrenii.

— Nie męcz nas, doktorze — prosiła czarodziejka. — Po prostu powiedz nam, jak uleczyłeś królewskiego brata, a zaraz sobie pójdziemy.

Tanjin począł cofać się w kąt izby.

— Tracimy tu tylko czas, kochany bracie — Sephrenia zwróciła się do rycerza. — Doktor nie chce nam nic powiedzieć. — Uniosła rękę. — Leć, siostrzyczko — rzekła do wróżki i maleńka istotka ponownie wzbiła się w powietrze. — Odchodzimy, Tanjinie. — Odwróciła się.

Sparhawk próbował protestować, ale ona położyła mu dłoń na ramieniu i ruszyła do drzwi.

— A co z nią?! — zawołał Tanjin wskazując na fruującą wróżkę.

— Z nią? — powiedziała Sephrenia. — Nic, doktorze. Myślę, że podoba jej się u ciebie. Od czasu do czasu nakarm ją cukrem i ustaw dla niej mały talerzyk z wodą, a ona za to będzie ci śpiewać. Nie próbuj jej tylko łapać. To mogłoby ją bardzo rozgniewać.

— Nie możecie jej tu zostawić! — krzyknął przerażony lekarz. — Spalą mnie na stosie za czary, jeżeli tylko ktoś ją tu zobaczy.

— Trafił w sedno, prawda? — zapytała Sephrenia Sparhawk.

— Uczeni to potrafią. — Sparhawk uśmiechnął się szeroko. — A więc mamy odejść?

— Czekać! — zawołał Tanjin.

— Czyżbyś chciał nam coś powiedzieć, doktorze? — spytała przymilnie Sephrenia.

— Dobrze, już dobrze. Ale musicie przysiąc, że zachowacie w tajemnicy to, co wam powiem.

— Oczywiście. Będziemy milczeć jak grób.

Tanjin wziął głęboki oddech i podbiegł do przesłoniętego zasłoną wejścia sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje. Następnie odwrócił się i pociągnął ich za sobą do odległego kąta izby, gdzie zaczął mówić chrapliwym szeptem:

— Darestim jest tak jadowitą trucizną, że nie ma na nią żadnego naturalnego lekarstwa czy odtrutki.

— To samo powiedział nam Voldi — rzekł Sparhawk.

— Zwróciliście chyba uwagę, że powiedziałem: żadnego naturalnego lekarstwa czy odtrutki — ciągnął Tanjin. — Kilka lat temu natrafiłem na bardzo starą

i dziwną księgę. Pochodziła jeszcze sprzed czasów Eshanda i tych jego wszystkich zakazów. Wydaje się, że prymitywni rendorscy uzdrowiciele często korzystali z czarów. Czasami były one skuteczne, a czasami nie — mogli się jednak pochwalić kilkoma zdumiewającymi przypadkami uzdrowień. Wszystkie ich poczynania łączył jeden wspólny element. Na świecie istnieje wiele przedmiotów, które mają nadnaturalną moc. Starożytni medycy posługiwali się nimi przy leczeniu różnych chorób.

— Rozumiem — powiedziała Sephrenia. — Styriccy uzdrowiciele też czasami uciekają się do takich środków.

— W cesarstwie Tamul na kontynencie Daresii jest to często stosowana praktyka, która jednakże tu, w Eosii, popadła w niełaskę. Tutejsi lekarze wolą polegać na rzetelnej wiedzy. Są dzięki temu bardziej wiarygodni, a mieszkańcy Eosii zawsze byli bardzo podejrzliwi w stosunku do magii. Ale darestim jest tak potężną trucizną, że wszystkie naukowe metody są wobec niej bezsilne.

— Czego więc użyłeś, by wyleczyć rodzinę królewskiego brata? — zapytała Sephrenia.

— Nie oszlifowanego drogocennego kamienia o osobliwym kolorze. Podejrzewam, że pochodził z Daresii, ale nie jestem tego całkowicie pewien. Natomiast jestem przekonany, że bogowie Tamulu napełnili go swoją mocą.

— A gdzie jest teraz ten klejnot? — zapytał z naciskiem Sparhawk.

— Niestety, już go nie ma. Starłem go na proszek i zmieszałem z winem, by uzdrowić krewnych króla.

— Ty głupcze! — wybuchnęła Sephrenia. — To nie jest właściwa metoda posługiwania się takimi przedmiotami. Wystarczy dotknąć nimi ciała pacjenta i wezwać ukryte w nich moce.

— Jestem z wykształcenia lekarzem, pani — odpowiedział Tanjin sztywno. — Nie potrafię zamieniać owadów we wróżki, latać w powietrzu czy też rzucać uroków na wroga. Mogę jedynie postępować według przyjętych w moim zawodzie praktyk, a to oznacza, że pacjent musi połknąć lekarstwo.

— Dla dobra kilku zniszczyłeś kamień, który mógł uleczyć tysiące! — zawołała Sephrenia, z trudem opanowując gniew. — Czy słyszałeś o innych tego typu przedmiotach?

— O kilku. Należą do nich wielka włócznia w pałacu cesarskim w Tamulu, kilka pierścieni w Zemochu, chociaż wątpię, by te były pomocne w leczeniu ludzi. Krążą również słuchy, że gdzieś w Pelosii jest wysadzana drogimi kamieniami bransoleta, ale to może być tylko mit. Miecz króla wyspy Mithrium był ponoć również obdarzony wielką mocą, ale minęły już całe wieki, jak Mithrium pochłonęły fale morza. Słyszałem również, że Styriccy mają sporo czarodziejskich różdżek.

— To również jest tylko mit — powiedziała czarodziejka. — Drewno jest zbyt delikatne dla takich mocy. Znasz coś jeszcze?

— Ostatni taki przedmiot, o którym wiem, to klejnot z korony królestwa Thalesii, lecz zaginął po nim ślad za czasów inwazji Zemochu. — Tanjin zmarszczył brwi. — Myślę, że ta informacja nie na wiele wam się przyda, ale Arasham ma talizman, w którym wedle jego słów kryje się niespotykana w świecie moc. Sam nigdy go nie widziałem, więc nie mogę być tego pewien, a w głowie Arashama rozum gości tak rzadko, że nie można polegać na jego opinii. Poza tym i tak pewnie nie udałoby się wam mu zabrać tego talizmanu.

Sephrenia ponownie zasłoniła twarz woalem.

— Dziękuję bardzo za twoją szczerość, doktorze — powiedziała. — Możesz spać spokojnie, nikt nie wydobędzie z nas twojej tajemnicy. — Chwilę zastanawiała się. — Lepiej mi ją usztywnij. — Wyciągnęła rękę. — Udowodnimy cię kawkim, że istotnie mieliśmy powód do złożenia ci wizyty. My będziemy bezpieczni, a i ty także.

— To bardzo dobry pomysł, pani. — Tanjin wyciągnął kilka deseczek oraz długi pasek białej tkaniny.

— Czy mógłbym ci udzielić przyjacielskiej rady? — zapytał Sparhawk, gdy lekarz bandażował ramię Sephrenii.

— Słucham.

— Rzeczywiście lepiej jej posłuchaj: Ja na twoim miejscu spakowałbym się i wyniósł do Zandu. Tam chroniłby cię król. Uciekaj stąd, póki jeszcze możesz. Fanatycy bardzo łatwo zamieniają swoje podejrzenia na pewność i niewiele ci pomoże, jeżeli okażesz się niewinny już po spaleniu na stosie.

— Ale tu jest wszystko, co posiadam.

— Tak, z pewnością będzie to dla ciebie wielką pociechą, gdy ogień przypali ci piętę.

— Sądzisz, że naprawdę jest tu dla mnie aż tak niebezpiecznie? — zapytał Tanjin słabym głosem.

Sparhawk przytaknął skinieniem głowy.

— Może nawet bardziej — dodał. — Według mnie przeżyjesz co najwyżej tydzień, jeśli zostaniesz w Dabourze.

Doktorem wstrząsnął gwałtowny dreszcz. Sephrenia wsunęła swoje usztywnione ramię w temblak i poprawiła szatę, szykując się do odejścia.

— Poczekajcie chwilę — powiedział lekarz, gdy ruszyli w kierunku drzwi. — A co z tym? — wskazał na latającą w pobliżu okna wróżkę.

— Och, omal nie zapomniałam o niej. — Sephrenia zamruczała kilka słów i zakreśliła znak ręką.

Trzymiel ponownie zaczął obijać się o szybę.

Kiedy wyszli z apteki na prawie pusty plac, było już ciemno.

— Niewiele wiemy — rzekł Sparhawk z powątpiewaniem.

— Ale więcej, niż wiedzieliśmy poprzednio. Wiemy przynajmniej, jak wyleczyć Ehlanę. Teraz tylko musimy odszukać jeden z tych przedmiotów.

— Potrafiłabyś stwierdzić, czy talizman Arashama ma magiczną moc?

— Chyba tak.

— Pan Perrain mówił, że Arasham każdego wieczoru wygłasza kazania, więc chodźmy go odszukać. Gotów jestem wysłuchać i tuzina kazań, jeśli tylko miałyby to zbliżyć nas do zdobycia lekarstwa.

— A jak masz zamiar odebrać mu ten talizman?

— Coś wymyślę.

Nagle na ich drodze stanął człowiek w czarnej szacie.

— Stójcie! — krzyknął.

— O co chodzi, ziomku? — odezwał się Sparhawk.

— Dlaczego nie jesteście u stóp świętego Arashama? — zapytał oskarżycielsko fanatyk.

— Właśnie tam podążamy — odparł Sparhawk.

— Wszyscy w Dabourze wiedzą, że po zachodzie słońca święty Arasham przemawia do tłumów. Czemu więc was tam nie ma?

— Przyjechaliśmy tu dzisiaj — wyjaśnił Sparhawk — i musieliśmy poradzić się medyka w sprawie ramienia mojej siostry.

Wyznawca Arashama obejrzał temblak Sephrenii.

— A nie radziliście się przypadkiem czarnoksiężnika Tanjina? — zapytał z oburzeniem.

— Gdy ból doskwiera, nikt nie pyta, kim jest uzdrowiciel — rzekła Sephrenia.

— Mogę cię jednak zapewnić, że doktor nie używał czarów. Złożył złamaną kość i usztywnił ją tak, jak zrobiłby to każdy inny medyk.

— Prawowierni nie zadają się z czarnoksiężnikami — upierał się gorliwiec.

— Wiesz, co ci powiem, ziomku? — rzekł Sparhawk uprzejmie. — A może tak tobie złamałbym rękę? Sam będziesz mógł wówczas odwiedzić doktora. Uważnie przyjrzyj się temu, co robi, i stwierdzisz, czy używa czarów, czy nie.

Fanatyk z obawą cofnął się o krok.

— Chodź, przyjacielu! — Sparhawk był pełen zapału. — Bądź dzielny. To nie będzie wcale tak bardzo bolało, a zauważ, że Arashamowi bardzo może spodobać się twoja gorliwość w tępieniu obmierzłego czarnoksiężstwa.

— Czy mógłbyś nam wskazać miejsce, w którym święty Arasham przemawia do tłumów? — wtrąciła Sephrenia. — Nasze dusze łakną jego słów.

— Idźcie tędy — powiedział nerwowo fanatyk wskazując im drogę. — Zobaczycie światła pochodni.

— Dziękuję, przyjacielu. — Sparhawk zmarszczył groźnie brwi. — A dlaczego ty nie jesteś tam dziś wieczorem?

— Ja? Ja... eee... ja mam bardziej odpowiedzialne zadanie. Muszę tropić tych, którzy bez powodu tam nie poszli, i postawić ich przed sądem.

— Ach, tak. Rozumiem. — Sparhawk już miał odejść, ale jeszcze raz odwrócił się do fanatyka. — Na pewno nie chcesz, bym złamał ci rękę? To zajęłoby mi tylko

chwilkę.

Wyznawca Arashama oddalił się w pośpiechu.

— Czy ty zawsze musisz grozić każdemu, kogo spotkasz, Sparhawk? — zapytała Sephrenia.

— Rozzłościł mnie.

— Bardzo łatwo cię rozzłościć, nieprawdaż?

Rycerz zastanawiał się chwilę.

— Tak, mateczko, masz rację. Idziemy?

Szli ciemnymi ulicami Dabouru aż do namiotów na skraju miasta. Na zachodzie widać jeszcze było słabą rdzawą poświatę. Niebo usiane było gwiazdami. Cicho zmierzali pomiędzy namiotami w kierunku światła.

Migotliwe pochodnie umieszczone na wysokich słupach oświetlały naturalny amfiteatr, znajdujący się między dwoma wzgórzami. W niecce tłoczyli się wyznawcy Arashama, a sam święty szaleniec stał na szczycie wielkiego głazu, leżącego na zboczu jednego ze wzgórz. Prorok był wysoki i kościsty, miał długą, siwą brodę i krzaczaste, czarne brwi. Skrzekliwym głosem przemawiał do wierznych, jednakże jego słowa były trudne do zrozumienia, ponieważ brakło mu wielu zębów. Kiedy Sparhawk i Sephrenia dołączyli do tłumu, starzec był właśnie w połowie długiego i zawiłego dowodu na to, iż w czasie snu Bóg obdarował go specjalnymi łaskami. Jego argumentacji brakowało logiki i spójności, za to często powoływał się na elementy tego, co w Rendorze uchodziło za wiarę.

— Czy jest w tym w ogóle jakiś sens? — wyszeptła zdziwiona Sephrenia do Sparhawk, pozbywając się jednocześnie deseczek i temblaka.

— Na tyle, na ile rozumiem, to żadnego — odszepnął Sparhawk.

— Nigdy bym nie wymyśliła czegoś takiego. Czy Bóg Elenów naprawdę zachęca do histerycznego bełkotu?

— Mnie nigdy nie zachęcał.

— Podejźmy bliżej.

— Lepiej nie. W pobliżu głazu, na którym stoi, tłum jest bardzo gęsty.

Arasham podjął jeden ze swych ulubionych tematów — zaczął wysuwać oskarżenia przeciwko Kościołowi. Jak twierdził, zorganizowana religia Elenów jest wyklęta przez Boga, albowiem nie uznaje jego, Arashama, za wybrańca, proroka Najwyższego Pana.

— Ale niegodziwcy zostaną ukarani — sepleniał bezzębnymi ustami, z których ciekła ślina. — Moi wyznawcy są niewyciężeni! Okażcie jeszcze trochę cierpliwości, a wzniosę swój talizman i poprowadzę was do wojny! Oni wyślą swoich przeklętych Rycerzy Kościoła, ale nie lękajcie się. Moc tej świętej relikwii zmiecie ich z naszej drogi tak, jak wiatr zmiata plewy. — Wysoko nad głowę uniósł coś w mocno zaciśniętej pięści. — Sam duch błogosławionego Eshanda mnie o tym zapewnił.

— No i...? — szepnął Sparhawk do Sephrenii.

— Jest za daleko — mruknęła. — Nie mogę niczego wyczuć. Musimy podejść bliżej. Nie widzę nawet, co trzyma.

— O, wierni, usłyszycie jeszcze jedną prawdę. — Arasham zniżył głos do chrapliwego szeptu. — Głos Boga objawił mi, że nawet teraz nasz ruch rozszerza się na pola i lasy północnych królestw. Nasi bracia i siostry mają już dość jarzma Kościoła i chcą przyłączyć się do naszej świętej sprawy.

— To Martel mu o tym powiedział — mruknął Sparhawk. — A jeżeli dla niego Martel jest głosem Boga, to jest jeszcze bardziej szalony, niż myślałem. — Rycerz stanął na palcach i rozejrzał ponad głowami stłoczonych fanatyków. W pewnym oddaleniu od wzgórza, na którym Arasham wygłaszał swoje kazanie, stał duży namiot. Otaczała go palisada z solidnych bali. — Przepchajmy się przez ten motłoch. Chyba znalazłem namiot staruszka.

Powoli się wycofali. Arasham perorował dalej bez związku, ale jego słów nie można było dosłyszeć z tej odległości i z powodu pomruków tłumu. Sparhawk i Sephrenia posuwali się dalej wzdłuż zgromadzonej wokół starca cizby, zmierzając w kierunku ciemnego namiotu. Gdy zbliżyli się na jakieś dwadzieścia kroków, rycerz gestem dyskretnie powstrzymał Sephrenię. Przed wejściem w obręb palisady stało wielu uzbrojonych ludzi.

— Musimy poczekać, aż skończy przemawiać — mruknął Sparhawk.

— Co planujesz? — spytała czarodziejka. — Powiedz mi, bardzo nie lubię niespodzianek.

— Spróbuję dostać się do jego namiotu. Jeśli ten talizman ma rzeczywiście jakąś moc, to trudno byłoby go zabrać pośród tego tłumu.

— A jak zamierzasz tego dokonać, Sparhawk?

— Pomyślałem, że może użyję pochlebstwa.

— Czy nie jest to jednak zbyt niebezpieczne i... nachalne?

— Oczywiście, że to jest nachalne, ale musimy tak postępować, skoro mamy do czynienia z szaleńcami. Oni nie są w stanie dostatecznie się skupić, by zrozumieć coś bardziej subtelnego.

Głos Arashama przeszedł w przenikliwie wysokie tony, a wyznawcy wybuchali entuzjazmem przy końcu każdego z bełkotliwych zdań. Wreszcie prorok udzielił swego błogosławieństwa i tłum począł się rozchodzić. Otoczony pierścieniem zazdrosnych uczniów święty człowiek zaczął powoli zmierzać w kierunku swojego namiotu. Sparhawk i Sephrenia stanęli na drodze starca.

— Odsuńcie się! — zażądał grubiańsko jeden z uczniów.

— Wybacz mi — powiedział Sparhawk dostatecznie głośno, aby jego słowa dotarły do trzęsącego się starca — ale przynoszę wiadomość dla świętego Arashama od króla Deiry. Jego królewska mość przesyła pozdrowienia dla prawdziwej głowy Kościoła Elenów.

Sephrenia jęknęła cicho z dezaprobatą.

— Świętego Arashama nie interesują królowie! — krzyknął arogancko uczeń.
— Z drogi!

— Chwileczkę, Ikkadzie — wymamrotał zdumiewająco słabym głosem Arasham. — Chcielibyśmy wysłuchać wiadomości od naszego brata z Deiry. Może to jest właśnie ta wiadomość, o której wspominał Bóg, gdy ostatni raz z nami rozmawiał.

— Przenajświętszy Arashamie! — Sparhawk uklonił się nisko. — Jego wysokość król Obler z Deiry pozdrawia cię jako swojego brata. Król nasz jest bardzo stary, a mądrość zawsze przychodzi z wiekiem.

— To prawda — przyznał Arasham, głaszcząc swą długą, siwą brodę.

— Jego królewska mość od dawna rozmyślał nad naukami błogosławionego Eshanda — ciągnął Sparhawk — oraz z wielką uwagą śledził twoją działalność tu, w Rendorze. Z coraz większym niezadowoleniem obserwuje on poczynania Kościoła. Odkrył, że duchowni są samolubami i obłudnikami.

— Dokładnie moje słowa — powiedział w ekstazie Arasham. — Sam powtarzałem to już setki razy.

— Jego wysokość uznaje cię za źródło i studnię swoich myśli, święty Arashamie.

— Tak, tak. — Arasham był wyraźnie zadowolony.

— Jego wysokość wierzy, że nadszedł już czas, by oczyścić Kościół Elenów, a co więcej — wierzy, że ty jesteś wybrańcem Boga, który oczyści go z grzechu.

— Czy słyszałeś moje dzisiejsze kazanie? — zapytał skwapliwie starzec. — Mówiłem dokładnie o tym samym.

— Istotnie. Byłem zdumiony, jak bardzo twoje słowa zgadzały się z tym, co polecił mi przekazać mój król. Wiedz jednak, święty Arashamie, że miłośnicy Oblera chce cię wesprzeć nie tylko swoimi pozdrowieniami i pełną szacunku miłością, jaką do ciebie żywi. Szczegóły przeznaczone są jedynie dla twoich uszu. — Sparhawk powiódł podejrzliwym spojrzeniem po naciskającym na nich tłumie. — W tak wielkiej ciźbie zawsze może znaleźć się ktoś, kto nie jest tym, za kogo się podaje. A jeśli to, co mam ci przekazać, dotarłoby do Chyrellos, to Kościół ze wszech sił starałby się zniweczyć plan miłościwego pana.

Arasham bez powodzenia usiłował nadać swemu spojrzeniu przenikliwy wyraz.

— Jesteś samą roztropnością, młodzieńcze — przyznał. — Wejdźmy do namiotu, byś mógł mi wyjawić zamiary mojego drogiego brata Oblera.

Rozpychając na boki tłoczących się uczniów, Sparhawk rzucił się, by zaofiarować swoje ramię szalonemu starcowi.

— O, święty proroku — mówił tonem pochlebcy — nie obawiaj się wesprzeć na moim ramieniu, albowiem, jak nakazał błogosławiony Eshand, obowiązkiem młodych i silnych jest służyć starym i mądrym.

— Jakże słuszne są twe słowa, synu.

Minęli palisadę i pas piasku upstrzony owczymi odchodami.

Namiot Arashama był urządzony daleko bardziej dostatnio, niżby się można było spodziewać. W jedynej lampie spalał się kosztowny olej, bezcenne dywany rozłożono wprost na piasku. Tylną część namiotu oddzielały zasłony z jedwabiu, zza nich dochodziły chłpięce chichoty.

— Spoczniej, młodzieńcze — zaprosił wylewnie Arasham opadając na stos jedwabnych poduszek. — Posilimy się, a potem będziesz mógł opowiedzieć mi o zamiarach mojego drogiego brata z Deiry. — Klasnął energicznie w dłonie i zza jednej z jedwabnych zasłon wyłonił się chłopiec o sarnich oczach. — Saboudzie, przynieś nam świeżego melona.

— Jak każesz, przenajświętszy. — Chłopiec się skłonił i wycofał za zasłonę. Arasham rozparł się na swoich poduszkach.

— Nie jestem wcale zaskoczony przywiezionymi przez ciebie nowinami o rosnącej sympatii dla naszego ruchu w Deirze — wyseplenił do Sparhawka. — Doszły mnie wieści, że i w królestwach Północy mamy coraz więcej zwolenników. W rzeczy samej tylko co dotarła do mnie podobna wiadomość. — Na chwilę umilkł i zastanowił się. — Sam Bóg, który często używa mi swoich myśli, podpowiada mi, że ty i ten drugi posłaniec możecie się znać. — Odwrócił się w kierunku jedwabnej zasłony, oddzielającej mroczną część namiotu. — Wyjdź, mój przyjacielu i doradco. Popatrz na tego dostojnego gościa z Deiry i powiedz, czy go znasz.

Za zasłoną przesunął się cień. Wydawało się, że chwilę się wahał, a potem w świetle lampy stanęła zakapturzona postać. Człowiek ten był tylko nieznacznie niższy od Sparhawka i podobnie jak on miał szerokie ramiona wojownika. Podniósł rękę i ściągnął kaptur ukazując przenikliwe, czarne oczy i gęstą grzywę białych włosów.

Sparhawk nie miał pojęcia, co powstrzymało go przed natychmiastowym dobyciem miecza. — W istocie, przenajświętszy Arashamie — odezwał się Martel swoim głębokim, dźwięcznym głosem. — Znamy się ze Sparhawkiem od bardzo dawna.

Rozdział 23

— Długo nie widzieliśmy się, Sparhawk — Martel mówił spokojnie, bez emocji, ale jego oczy pozostawały czujne.

Sparhawk z trudem się opanował.

— Tak, długo — odpowiedział. — Upłynęło przynajmniej z dziesięć lat. Powinniśmy spotykać się częściej.

— Trzeba będzie się o to postarać.

Na tym rozmowa utknęła. Nie przestawali patrzeć sobie prosto w oczy. Każdy z nich czekał na następny ruch przeciwnika, a atmosfera robiła się coraz bardziej napięta.

— Sparhawk — powiedział Arasham w zamyśleniu. — Niezwykłe imię. Wydaje mi się, że gdzieś je już słyszałem.

— To bardzo stare imię — wyjaśnił Sparhawk — od pokoleń nadawane w mojej rodzinie. Niektórzy z mych przodków cieszyli się powszechnym szacunkiem.

— Pewnie stąd je znam — mruzczał zadowolony z siebie Arasham. — Cieszę się, że dzięki mnie znów spotkali się dwaj starzy i drodzy sobie przyjaciele.

— Na zawsze będę twoim dłużnikiem, przenajświętszy — odparł Martel. — Nie dałbyś wiary, jak bardzo stęskniłem się za Sparhawkiem.

— Na pewno nie bardziej niż ja za tobą — powiedział Sparhawk, po czym odwrócił się do szalonego starca. — Kiedyś był mi bliski prawie jak brat, przenajświętszy. Wielka szkoda, że czas nas rozdzielił.

— Kilkakrotnie próbowałem cię odnaleźć, Sparhawk — rzekł chłodno Martel.

— Tak, słyszałem o tym. Zawsze śpieszyłem do miejsc, gdzie cię widziano, ale zanim tam dojechałem, ciebie już nie było.

— Miałem pilne sprawy do załatwienia — mruknął białowłosy mężczyzna.

— Zawsze tak jest — wyseplenił sentencjonalnie Arasham, mlaskając wargami przy każdym słowie. — Przyjaciele naszej młodości odsuwają się od nas i na starość zostajemy sami. — Przymknął oczy w melancholijnej zadumie i już ich nie otworzył. Po chwili zaczął chrapać.

— Łatwo się męczy — powiedział cicho Martel. Odwrócił się do Sephrenii,

kątem oka ciągle obserwując Sparhawk. — Witaj, mateczko. — W jego głosie wyczuć można było tyleż ironii, co smutku.

Sephrenia pochyliła nieznacznie głowę.

— Wydaje mi się, że cię zawiodłem — stwierdził Martel.

— Myślę, że nie w takim stopniu, w jakim zawiodłeś samego siebie.

— Chcesz mnie ukarać, Sephrenio? — zapytał gorzko. — Czy nie uważasz, że otrzymałem już wystarczającą karę?

— Karanie ludzi nie leży w mojej naturze, Martelu. Przyrodzie obce jest pojęcie nagrody i kary, ważne są jedynie konsekwencje naszych czynów.

— No cóż, niech tak będzie. Zgadzam się na konsekwencje. Czy przynajmniej pozwolisz, żebym cię pozdrowił i prosił o twoje błogosławieństwo? — Ujął czarodziejkę za nadgarstki chcąc przyciągnąć jej dłonie ku sobie.

— Nie, Martelu — odpowiedziała składając ręce razem. — Nie jesteś już moim uczniem. Znalazłeś sobie innych nauczycieli.

— Nie był to wyłącznie mój pomysł, Sephrenio. Pamiętaj, że mnie odrzuciłaś. — Westchnął i uwolnił jej dłonie z uścisku. Spojrzał na Sparhawk. — Naprawdę zaskoczony jestem, że cię widzę, bracie. Tyle razy wysyłałem Adusa, by się z tobą rozprawił. Muszę się z nim ostro rozmówić w tej sprawie, zakładając oczywiście, że jeszcze go nie zabiłeś.

— Trochę krwawił, gdy go ostatnio widziałem — rzekł Sparhawk — nie była to jednak groźna rana.

— Adus nie jest zbyt wrażliwy na widok krwi — nawet swojej własnej.

— Czy mogłabyś odsunąć się nieco na bok, Sephrenio? — rzekł Sparhawk, odsłaniając róg szaty i unosząc nieznacznie rękojeść swojego miecza. — Podczas naszego ostatniego spotkania trochę z Martelem dyskutowaliśmy. Nadszedł chyba czas, byśmy ostatecznie uzgodnili poglądy.

Martel przymrużył oczy również rozchylając swoją szatę. Podobnie jak Sparhawk ubrany był w kolczugę i miał przypasany szeroki miecz.

— Doskonały pomysł, Sparhawk — powiedział głębokim, niewiele głośniejszym od szeptu głosem.

Sephrenia stanęła pomiędzy nimi.

— Natychmiast przestańcie! — zażądała. — To nie czas ani miejsce na wasze porachunki. Jesteśmy w samym środku armii. Jeśli zaczniecie zabawiać się tu, w namiocie Arashama, nim skończycie, dołączy do was połowa Rendoru.

Bolesnie rozczarowany Sparhawk musiał w duchu przyznać jej rację. Nadal uważnie obserwując Martela cofnął dłoń od miecza.

— Jednakże już wkrótce, Martelu. — W jego spokojnym głosie brzmiała śmiertelna groźba.

— Z przyjemnością będę ci służył, bracie. — Martel skłonił ją z kpiną. — A co wy robicie tu, w Rendorze? — zapytał patrząc spod przymrużonych powiek. — Myślałem, że jesteście w Cammorii.

— To podróż służbowa.

— Ach, a więc dowiedzieliście się już o darestimie. Z przykrością muszę was powiadomić, że tracicie tylko czas. Nie ma odtrutki. Sprawdziłem to bardzo dokładnie, zanim poleciłem ją pewnemu przyjacielowi w Cimmurze.

— Nie kuś losu, Martelu — powiedział Sparhawk złowieszczo.

— Zawsze to robiłem, bracie. Jak mówią, bez ryzyka nie ma zysku. Obawiam się, że Ehlana umrze. Lycheas będzie jej następcą, a Annias zostanie arcyprałatem. Spodziewam się sporo na tym zarobić.

— Czy ty zawsze myślisz tylko o pieniądzach?

— A co jeszcze jest istotne na tym świecie? — Martel wzruszył ramionami.

— Wszystko inne jest jeno złudzeniem. Jak ostatnio miewa się Vanion?

— Dobrze — odparł Sparhawk. — Powiem, że pytałeś o niego.

— O ile pożyjesz dostatecznie długo, by się z nim ponownie zobaczyć. Znalazłeś się w bardzo niebezpiecznym położeniu, stary druhu.

— Ty również, Martelu.

— Wiem, ale ja jestem do tego przyzwyczajony. A ty nadal jesteś pełen skrupułów. Ja wyzbyłem się ich już dawno temu.

— Gdzie się podziewa twój oswojony damork, Martelu? — spytała nagle Sephrena.

Białowłosa mężczyzna drgnął zaskoczony, ale zaraz się opanował.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, mateczko — odrzekł. — Przybywa do mnie bez wezwania i nigdy nie wiem, kiedy się zjawi. Być może wraca tam, skąd przybył. Wiesz przecież, że musi to robić dość często.

— Nigdy nie byłam zbyt ciekawa stworów z zaświatów.

— To chyba duże niedopatrzenie z twojej strony.

— Być może.

Arasham wyprostował się na swoich poduszkach i otworzył oczy.

— Czyżbym się zdrzemnął? — zapytał.

— Tylko na chwilę, przenajświętszy — powiedział Martel. — Dzięki temu mieliśmy czas, by odnowić ze Sparhawkiem naszą przyjaźń. Mamy sobie wiele do powiedzenia.

— Bardzo wiele — przyznał Sparhawk. Przez moment wahał się, ale w końcu uznał, iż Martel jest tak pewny siebie, że być może przeoczy znaczenie tego pytania. — W czasie kazania wspomniałeś o talizmanie, przenajświętszy. Czy moglibyśmy go zobaczyć?

— Świętą relikwię? Oczywiście. — Starzec wsunął dłoń pod szatę i wyciągnął coś, co przypominało skręcony kawałek kości. Wyciągnął to z dumą przed siebie.

— Czy wiesz, Sparhawk, co to jest?

— Nie, przenajświętszy. Niestety, nie wiem.

— Jak na pewno słyszałeś, błogosławiony Eshand u zarania swych lat pasał owce.

— Tak, mówiono mi o tym.

— Pewnego dnia, gdy był jeszcze bardzo młody, owca z jego stada urodziła śnieżnobiałego baranka, zupełnie innego niż wszystkie, jakie kiedykolwiek widział. W odróżnieniu od zwykłych jagniąt to urodziło się z rogami. Oczywiście był to znak dany od Boga. Ten czysty baranek symbolizował samego Eshanda, a to, że miał rogi, mogło oznaczać tylko jedno — że Eshand został wybrany do oczyszczenia Kościoła z jego niegodziwości.

— Niezbadane są wyroki boskie — zadziwił się Sparhawk.

— Zaiste, mój synu, zaiste. Eshand wielką troską otoczył tego baranka, który z czasem zaczął do niego przemawiać głosem samego Boga. I Bóg mówił Eshandowi, co ma robić. Ta święta relikwia jest kawałkiem rogu tego właśnie baranka. Teraz rozumiesz, dlaczego ma tak nadzwyczajną moc.

— Oczywiście, przenajświętszy — powiedział Sparhawk tonem pełnym szacunku. — Podejdź bliżej, siostrzyczko — zwrócił się do Sephrenii. — Spójrz na tę cudowną relikwię.

Czarodziejka z uwagą przyjrzała się kawałkowi krętego rogu w dłoni Arashama.

— Zdumiewające — wyszeptała i spojrzała na Sparhawką, prawie niedostrzegalnie potrząsając głową.

Sparhawk poczuł bolesne rozczarowanie.

— Moc tego talizmanu obróci w perzynę całą zbrojną potęgę przeklętych Rycerzy Kościoła i ich plugawe czary. Sam Bóg mi to powiedział — oznajmił Arasham, a potem uśmiechnął się niemal wstydliwie. — Odkryłem naprawdę zdumiewającą rzecz. Gdy jestem sam, przykładam świętą relikwię do ucha i słyszę głos Boga. On mówi mi, co mam czynić, tak jak niegdyś mówił to błogosławionemu Eshandowi.

— Cud! — krzyknął Martel wielce zdumiony.

— Prawda? — Arasham promieniał.

— Jesteśmy niezmiernie wdzięczni, że pozwoliłeś nam, o przenajświętszy, zobaczyć twój talizman — rzekł Sparhawk — i poniesiemy wieść o nim do wszystkich królestw Północy, prawda, Martelu?

— Och... tak, oczywiście, tak. — Martel wydawał się lekko zakłopotany i patrzył podejrzliwie na Sparhawką.

— Teraz jestem pewien, że nasze przybycie tu było częścią boskiego planu — ciągnął dalej Sparhawk. — Naszą misją będzie rozgłosić po wszystkich królestwach Północy o tym cudzie — we wszystkich wioskach i na wszystkich rozstajach dróg. Już teraz czuję, jak Duch Boży przenika moje myśli i słowa, bym lepiej potrafił opisać, co tu ujrzałem. — Całkiem mocno poklepał Martela po lewym ramieniu. — Czyż nie czujesz tego samego, bracie? — zapytał z entuzjazmem. Poczuł, że ramię Martela drży pod jego dłonią.

— Ależ tak — przyznał białowłosy mężczyzna z ledwo wyczuwalną boleścią w głosie — ja również czuję podobnie.

— Cudowna jest potęga Boga! — wykrzyknął Arasham.

— Tak. — Martel rozcierał sobie ramię. — Cudowna.

W umyśle Sparhawka powoli dojrzywał pewien pomysł, który teraz przybrał całkiem konkretny kształt. Sparhawka nagle ucieszyła obecność Martela.

— A teraz, przenajświętszy — rzekł — pozwól, że przekażę ci pozostałą część wiadomości od miłościwego króla Oblera.

— Oczywiście. Słucham cię z uwagą.

— Jego królewska mość polecił mi, abym błagał cię o danie mu czasu na zgromadzenie swoich sił, nim ruszysz przeciwko sprzedajnemu Kościołowi tu, w Rendorze. Jego królewska mość musi bardzo dyskretnie zbierać wojska, ponieważ hierarchowie z Chyrellos wszędzie mają swoich szpiegów. Miłościwy pan gorąco pragnie cię wesprzeć, święty proroku, ale Kościół jest potężny i dlatego król Obler musi zgromadzić znaczne siły, by pokonać Rycerzy Kościoła w Deirze za pierwszym uderzeniem. W przeciwnym razie ponownie zewrą szeregi i rozbiją go w puch. Jego królewska mość prosi, abyś rozpoczął swoją kampanię tu, na południu, w tym samym czasie, gdy on ruszy na północy. Atakując jednocześnie z obu stron zaskoczycie Kościół i odnosić będziecie zwycięstwo za zwycięstwem. To na tyle osłabi ducha Rycerzy Kościoła, że obaj — ty, przenajświętszy, i miłościwy król Obler — wkroczyście triumfalnie do Chyrellos.

— Ku chwale Boga! — zakrzyknął Arasham zrywając się na równe nogi i wywijając kawałkiem baraniego rogu niczym maczugą.

— Ale — Sparhawk uniósł dłoń ostrzegawczo — ten wspaniały plan, który może być dziełem jedynie samego Boga, nie ma szans powodzenia, jeżeli nie uderzycie równocześnie.

— Oczywiście, rozumiem to doskonale. Głos Boga pouczał mnie w tym względzie.

— Byłem pewien, że to uczynił. — Sparhawk przybrał chytry wyraz twarzy. — Kościół jest przebiegły niczym wąż — podjął — i ma wszędzie swoich szpiegów. Choć będziemy się starali zachować wszystko w tajemnicy, może odkryć nasz plan. Wszak ulubioną bronią Kościoła jest podstęp.

— Ja również to dostrzegłem — przyznał Arasham.

— Może się zdarzyć, że odkryje nasze plany i będzie starał się je pokrzyżować. A czyż jest lepszy na to sposób, niż przysłanie tu fałszywego posłańca, który powiadomiłby cię, święty proroku, że król Obler czeka już w pogotowiu, choć miłościwy pan ciągle jeszcze będzie zbierał wojska? Wtedy Kościół pokona cię i zginą wszyscy twoi uczniowie co do jednego.

Arasham nachmurzył się.

— To prawda, tak, to prawda — powiedział. — W jaki sposób możemy się zabezpieczyć przed oszustwem?

Sparhawk udawał, że się namyśla. Wtem strzelił palcami.

— Mam! — zawołał. — Jakiż może być lepszy sposób na pomieszenie szyków Kościoła niż tajemne hasło — słowo znane tylko tobie, mnie i królowi Oblerowi z Deiry? Jeżeli posłaniec przynoszący wiadomość, że czas już nadszedł, nie będzie umiał powtórzyć hasła, rozpoznasz w nim gada nasłanego przez Kościół, by cię oszukać, i powinienes go, o przenajświętszy, należycie potraktować.

Arasham rozmyślał nad tym chwilę.

— Hm, tak... — wymamrotał w końcu. — To istotnie może pomieszać Kościołowi szyki. Ale które z ukrytych w głębi naszych serc słów może być owym kluczem?

Sparhawk zerknął ukradkiem na Martela, którego twarz nagle wykrzywiła złość.

— Musi to być słowo mające moc — powiedział gapiąc się, jakby w głębokim zamyśleniu, na sufit namiotu. Cały spisek był naiwny, mówiąc szczerze — dziecinny, ale właśnie coś takiego mogło trafić do przekonania Arashamowi, staremu sklerotykowi, i dawało dodatkowo wspaniałą okazję, by odegrać się na Martelu, chociażby ze względu na stare czasy.

Sephrenia westchnęła z rezygnacją i wzniosła oczy w górę. Sparhawk zawstydział się trochę w tym momencie. Spojrzał na Arashama pochylonego ku niemu w oczekiwaniu, przeżuwającego pustkę bezzębnymi ustami, co sprawiało, że jego długa broda niemal falowała.

— Oczywiście ciebie, przenajświętszy proroku, nie będę prosił o składanie przysięgi milczenia — powiedział z pokorą — jednakże sam przysięgam na własne życie, że słowo, które ci zaraz w najgłębszym sekrecie wyjawię, nie opuści moich ust, dopóki nie będę mógł go przekazać królowi Oblerowi w stolicy naszego królestwa.

— Ja również mogę przysiąc, szlachetny przyjacielu! — wykrzyknął starzec z entuzjazmem. — Nawet tortury z ust moich tego słowa nie wydrą! — zapewnił solennie, po czym usiłował wyprostować się i przybrać majestatyczną pozę.

— Czuję się zaszczycony twoją przysięgą, przenajświętszy — odpowiedział Sparhawk z głębokim, rendorskim ukłonem. Podszedł do starca, pochylił się i wyszeptał: — Baranie rogi. — Poczul przy tym, że Arasham nie pachniał zbyt dobrze.

— Doskonałe hasło! — wykrzyknął Arasham chwytając w swoje chude, kościste dłonie głowę Sparhawka i obdarzając rycerza gorącym pocałunkiem w usta.

Martel z pobladłą z wściekłości twarzą próbował się przysunąć bliżej, by podsłuchać, ale Sephrenia zagroziła mu drogę. Białowłosa mężczyzna z wyraźnym wysiłkiem powstrzymał się, by jej nie odepchnąć.

Czarodziejka uniosła głowę i spojrzała mu prosto w twarz.

— No i co? — zapytała.

Martel wymamrotał coś, odwrócił się i cofnął w głąb namiotu gryząc w zderwieniu palce.

Arasham wciąż obejmował szyję Sparhawk.

— Mój ukochany synu i zbawco! — wołał, a w jego kaprawych oczach pojawiły się łzy. — Z pewnością sam Bóg mi cię zesłał. Teraz nie możemy przegrać! Bóg jest po naszej stronie!! Niech drżą niegodziwcy!!!

— Święta prawda — rzekł Sparhawk uwalniając się łagodnie z objęć starca.

— Pomyślałem sobie, przynajświętszy proroku — odezwał się Martel przytulnie, chociaż twarz miał nadal bladą ze złości — że Sparhawk jest przecież jedynie człowiekiem, a więc jest śmiertelny. Świat pełen jest nieszczęść. Czy nie byłoby mądrzej...

— Nieszczęść? — Sparhawk przerwał mu szybko. — A gdzie twoja wiara, Martelu? To jest plan Boga, a nie mój. Bóg nie pozwoli mi umrzeć, dopóki nie wykonam swego zadania. Więcej wiary, drogi bracie. Bóg będzie mnie ochraniał i ustrzeże mnie przed nieszczęściami. Moim przeznaczeniem jest wypełnić to zadanie, a Bóg postara się, bym nie zawiódł.

— Chwała Panu! — wykrzyknął entuzjastycznie Arasham, kończąc dyskusję.

W tym momencie sarniooki chłopiec przyniósł melony, a rozmowa zeszała na bardziej ogólne tematy. Arasham wygłosił kolejną grzmiącą przemowę przeciwko Kościołowi, Martel siedział łypiąc okiem na Sparhawk, a sam Sparhawk skupił uwagę na melonie, który był wyjątkowo smaczny. Trochę za łatwo poszło i to nieco martwiło rycerza. Martel był zbyt sprytny, zbyt przebiegły, by dać się tak łatwo wywieść w pole. Spojrzał w głąb namiotu na białowłosego mężczyznę, którego od tyłu już lat darzył nienawiścią. Na twarzy Martela malował się zawód i zmieszanie, co zupełnie do niego nie pasowało. Martel, którego pamiętał z młodości, nigdy by nie okazał po sobie takich uczuć. Sparhawk powoli tracił pewność siebie.

— Wpadł mi do głowy właśnie pewien pomysł, święty proroku — powiedział. — Pośpiech jest w naszej sprawie konieczny, więc ja i moja siostra powinniśmy natychmiast wrócić do Deiry, by donieść miłościwemu królowi Oblerowi, że wszystko tu, w Rendorze, jest gotowe, i przekazać mu to słowo, które obaj ukryliśmy w głębi naszych serc. Mamy oczywiście dobre konie, ale oszczędzilibyśmy kilka dni, gdybyśmy popłynęli w dół rzeki do Jirochu. Może któryś z twoich uczniów zna tu, w Dabourze, jakiegoś godnego polecenia właściciela łodzi, którą moglibyśmy wynająć?

Arasham spojrział na niego lekko zbity z tropu.

— Łódka? — wymamrotał.

Wtem Sparhawk dostrzegł kątem oka, że Sephrenia nieznacznie poruszyła dłońmi, tak jakby strząsnęła rękaw. Natychmiast zrozumiał, co robiła.

— Wynająć, mój synu? — rozpromienił się Arasham. — Nie ma mowy o wynajmowaniu. Mam do swojej dyspozycji doskonałą łódź. Otrzymasz ją razem z moim błogosławieństwem. Wyślę z tobą uzbrojonych ludzi i regiment — nie,

lepiej legion — do patrolowania brzegów rzeki, byś bezpiecznie dotarł do Jirochu.

— Niech stanie się wedle twojej woli, przenäjswiętszy proroku — rzekł Sparhawk. Popatrzył na Martela, uśmiechając się przy tym błogo. — Czyż to nie zdumiewające, drogi bracie? Zaprawdę, tak wielka mądrość i szlachetność może pochodzić tylko od Boga.

— Na pewno — odpowiedział ponuro Martel.

— Muszę się śpieszyć, Arashamie — Sparhawk podniósł się żwawo — zostawiliśmy nasze konie i rzeczy pod opieką służącego, w domu na skraju miasta. Pojadę po nie wraz z siostrą i za godzinę będziemy z powrotem.

— Jak uważasz, mój synu — powiedział ochoczo Arasham. — Ja tymczasem polecę swoim uczniom, by przygotowali łódź i żołnierzy do podróży.

— Pozwolisz, że cię odprowadzę do wyjścia, drogi bracie? — spytał Martel przez zaciśnięte zęby.

— Z przyjemnością, drogi bracie — odpowiedział Sparhawk. — Twoje towarzystwo, jak zawsze, napełnia moje serce radością.

— Ale zaraz wróc, Martelu — polecił Arasham. — Musimy omówić tę cudowną odmianę losu i złożyć Bogu dzięki za jego łaskę.

— Tak, przenäjswiętszy. — Martel ukłonił się nisko. — Za chwilę wrócę.

— Sparhawku, za godzinę — przypomniał Arasham.

— Za godzinę, przenäjswiętszy — zgodził się Sparhawk z głębokim ukłonem. — Idźmy więc, Martelu. — Jeszcze raz mocno klepnął renegata po ramieniu.

— Oczywiście. — Martel ponownie skulił się pod ciężką dłonią Sparhawka.

Gdy tylko wyszli z namiotu, białowłosa mężczyzna z wykrzywioną z wściekłości twarzą zwrócił się do Sparhawka:

— Co ty sobie wyobrażasz?

— Drażliwy dzisiaj jesteś, bracie — rzekł łagodnie Sparhawk.

— O co ci chodzi? — warknął Martel rozglądając się wokoło, by upewnić się, że nikt z tłumu szwendających się uczniów go nie słyszy.

— Właśnie zagwoździłem twoje działo, Martelu — odpowiedział Sparhawk. — Arasham będzie tu tkwił kamieniem, dopóki ktoś nie przyniesie mu tajnego hasła. Mogę ci prawie zagwarantować, że kiedy nadejdzie czas wyboru nowego arcyprałata, Rycerze Kościoła będą w Chyrellos, bo tu, w Rendorze, nie będzie się działo nic takiego, co mogłoby ich stamtąd odciągnąć.

— Bardzo sprytnie, Sparhawku.

— Cieszę się, że ci się to podoba.

— Jeszcze jeden dług, który będziesz musiał mi spłacić — powiedział Martel zgrzytając zębami.

— Kiedy tylko sobie zażyczysz, drogi bracie. Z wielką chęcią wyrównam swoje długi. — Rycerz ujął Sephrenię pod ramię i odszedł.

— Czyś ty postradał zmysły, Sparhawku? — zapytała Sephrenia, gdy tylko kipiący złością Martel nie mógł dosłyszeć jej słów.

- Chyba nie, chociaż szaleńcy nie powinni się wypowiadać na takie tematy.
- Coś ty wyprawiał? Zdajesz sobie sprawę z tego, ile razy musiałam ingerować, byś nie popadł w tarapaty?
- Zauważyłem. Bez ciebie nie miałbym szans.
- Przestań się głupio uśmiechać i powiedz, o co w tym wszystkim chodziło.
- Martel zbyt blisko był już prawdy o przyczynie naszego przyjazdu. Musiałem zbić go z tropu, aby nie odgadł, że wiemy, co może być odtrutką. Myślę, że poradziłem sobie całkiem nieźle, chociaż możesz to uznać za przechwałki.
- Czemu zanim weszliśmy do namiotu, nie uprzedziłeś mnie co będziesz robił?
- Nie miałem o tym zielonego pojęcia, mateczko. Przecież nawet nie wiedziałem, że jest tam Martel, dopóki go nie zobaczyłem.
- To znaczy... — zaczęła i nagle otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia. Skinął głową.
- Po prostu improwizowałem brnąc coraz dalej — przyznał.
- Och, Sparhawk — powiedziała z oburzeniem — powinieneś mieć jakiś plan.
- Zrobiłem, co było w mojej mocy — wzruszył ramionami — jeżeli oczywiście wziąć pod uwagę zaskoczenie.
- A czemu tak klepałeś Martela po ramieniu?
- Złamał je sobie, gdy miał piętnaście lat. Od tamtego czasu to ramię jest bardzo wrażliwe.
- Byłeś bezlitosny.
- Podobnie jak Martel w zaułku Cyprii dziesięć lat temu. Wracajmy do Kurika i malutkiej Flecik. Wydaje mi się, że w Dabourze nie mamy już nic do roboty.

Martel odprowadził ich na nabrzeże i stanął z dala od podnieconych uczniów proroka tłoczących się przy brzegu rzeki.

Łódź Arashama przypominała barkę i była ze cztery razy większa od galery, którą przyплыnęli. Na obu burtach były ławki dla wioślarzy, a fanatycy w czarnych szatach, uzbrojeni we włócznie i miecze, zgrupowali się na dziobie i rufie, gdzie świeciły pochodnie. Martel obserwował, jak Sparhawk, Sephrenia, Kurik i Flecik wchodzi na pokład. Białe włosy renegata błyszcząły w świetle gwiazd, a jego twarz była niemal śmiertelnie blada.

— Nie uda ci się tak uciec — powiedział cicho do Sparhawk.

— Tak? — zdziwił się rycerz. — Rozejrzyj się, Martelu. Mam wrażenie, że już mi się udało. Możesz oczywiście mnie gonić, ale te oddziały patrolujące brzegi rzeki prawdopodobnie skutecznie ci w tym przeszkodzą. Poza tym, gdy przejdzie ci już złość, zrozumiesz, że masz tylko jedno wyjście — zostać tutaj i starać się

wyciągnąć magiczne hasło od Arashama. Dopóki ci się to nie uda, wszystkie twoje plany pozostaną w sferze pobożnych życzeń.

— Zapłacisz mi za to, Sparhawk — obiecał Martel ponuro.

— Myślę, ziomku, że już ci zapłaciłem. W Cipprii. — Rycerz wyciągnął rękę, ale Martel odsunął ramię. Tym razem Sparhawk poklepał go po policzku. — Dbaj o siebie, Martelu — powiedział. — Chciałbym cię wkrótce ponownie spotkać i wolałbym, żebyś był zdrowy i w pełni sił. A będą ci potrzebne, wierz mi. — Odwrócił się i wszedł po trapie na czekającą barkę.

Żeglarze odrzucili cumy i pchnęli łódź w leniwy nurt Gule. Wysunęli wiosła i zaczęli powoli płynąć w dół rzeki. Przystań, a wraz z nią samotny, stojący na nabrzeżu człowiek, zniknęli z oczu.

— Boże! — krzyknął Sparhawk triumfująco. — To było wspaniałe!

Podróż zajęła im półtora dnia. Wysiedli ligę przed dopłynięciem do przystani w Jirochu, by uniknąć ewentualnych szpiegów Martela. Ta ostrożność, jak przyznał Sparhawk, nie była prawdopodobnie konieczna, ale woleli nie ryzykować. Wjechali do miasta przez zachodnią bramę i wmieszali się w tłum, torując sobie drogę do domu Vorena. Dotarli tam późnym popołudniem.

Voren był zaskoczony nieco ich widokiem.

— Szybko wracacie — powiedział, gdy weszli do ogrodu.

— Mieliśmy szczęście. — Sparhawk wzruszył ramionami.

— Więcej niż szczęście — stwierdziła Sephrenia ponuro. Czarodziejka nadal była w nie najlepszym nastroju i od opuszczenia Dabouru nie chciała rozmawiać ze Sparhawkiem.

— Czy coś wam się nie udało? — zapytał Voren łagodnie.

— Mnie nic o tym nie wiadomo — odparł wesoło Sparhawk.

— Przestań w końcu być z siebie taki zadowolony! — wybuchnęła Sephrenia. — Jestem wściekła na ciebie, po prostu wściekła!

— Przykro mi z tego powodu, Sephrenio, ale starałem się, jak mogłem — odparł i odwrócił się do Vorena. — Wpadliśmy na Martela — wyjaśnił — i udało mi się usadzić go na miejscu. Pokrzyżowałem wszystkie jego plany.

Voren gwizdnął.

— Nie widzę w tym nic złego, Sephrenio — powiedział.

— Nie chodzi mi o to, co zrobił, Vorenie, ale jak to zrobił.

— To znaczy?

— Nie chcę o tym mówić. — Czarodziejka wzięła małą Flecik na ręce i odeszła w kierunku fontanny. Usiadła na ławce mrucząc coś pod nosem po styricku do dziewczynki.

— Musimy niepostrzeżenie dostać się na pokład szybkiego statku płynącego w stronę Vardenais — rzekł Sparhawk do Vorena. — Czy możesz nam w tym

pomóc?

— Bez trudu. Czasami zdarza się, że któryś z naszych braci zostaje zdemaskowany, opracowaliśmy więc sposób bezpiecznej ucieczki z Rendoru. — Voren zaśmiał się ironicznie. — Wymyśliłem to zaraz po dotarciu do Jirochu. Byłem przekonany, że sam będę musiał z niego korzystać niemal pierwszego dnia. Mam w zatoce przystań, a tuż obok, na brzegu, stoi oberża. Prowadzi ją jeden z naszych braci i jest w niej wszystko, co powinno być w przyzwoitej oberży — jadalnia, stajnie, sypialnie na piętrze, i tak dalej. Jest tam również piwnica, połączona tunelem z piwnicą mojego głównego składu. W czasie odpływu można wejść na statek prosto z tej piwnicy tak, że nikt z brzegu tego nie dojrzy.

— Czy to oszukałoby damorka, mateczko? — zapytał Sparhawk.

Wpatrywała się w niego przez chwilę nadąsana, ale potem twarz jej złagodniała. Lekko dotknęła końcami palców skroni. Sparhawk zauważył, że tej drobnej, kruchej Styriczce przybyło srebrnych włosów.

— Myślę, że tak — odparła. — Nie wiemy nawet, czy damork tu jest. Martel mógł przecież powiedzieć nam prawdę.

— Nie liczyłbym na to — mruknął Kurik.

— Ale nawet gdyby damork był tutaj — kontynuowała — to prawdopodobnie nie potrafi zrozumieć, co to jest piwnica, a tunel tym bardziej przekracza możliwości jego pojmowania.

— Co to jest damork? — spytał Voren.

Sparhawk opowiedział mu, co stało się ze statkiem kapitana Mabina w Cieśninie Arcjańskiej u brzegów Madelu.

Voren wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem.

— Nie myślałem o takich stworach przygotowując drogę ucieczki — przyznał. — Myślę, że powinniśmy zastosować dodatkowe środki ostrożności. Mam teraz w porcie sześć statków. Może wysłałbym je wszystkie jednocześnie? Pożegłujecie w środku flotylli, co narobi trochę zamieszania.

— Czy to nie nazbyt wyrafinowane? — zapytał Sparhawk.

— Znam twoją skromność, panie Sparhawk, ale dopóki nie dotrzesz do Cimmury i nie złożysz raportu mistrzowi Vanionowi, prawdopodobnie jesteś najważniejszym człowiekiem na świecie. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ustrzec cię przed niepotrzebnym ryzykiem. — Voren podszedł do muru okalającego ogród. Zmrużył oczy patrząc na zachodzące słońce. — Musimy się pośpieszyć — powiedział. — Odpływ zacznie się tuż po zmierzchu, a wołałbym, abyście byli w piwnicy, nim burta statku znajdzie się poniżej linii pomostu. Pójdę z wami i upewnię się, czy weszliście bezpiecznie na pokład.

Pojechali razem w kierunku morskiego wybrzeża. Droga wiodła przez dzielnicę, w której kiedyś Sparhawk miał sklep. Budynki po obu stronach ulicy były niczym starzy znajomi i rycerzowi wydawało się, że rozpoznaje kilku ludzi, śpieszących do domów wąskimi uliczkami w promieniach zachodzącego słońca.

— Ty łotrze! — Niewieści głos, który rozległ się za ich plecami, niósł się prawdopodobnie przez połowę Cieśniny Arcjańskiej i był boleśnie znajomy. — Zdrajco!

— Och, nie! — jęknął Sparhawk, ściągając wodze Farana. — A byliśmy już tak blisko... — Spojrzał tęsknie w kierunku oddalonej zaledwie o jedną ulicę oberży, do której prowadził ich Voren.

— Potworze! — Głos przechodził w coraz bardziej piskliwe tony.

— Sparhawk! — odezwał się łagodnie Kurik — zdaje mi się, że ta dama usiłuje zwrócić twoją uwagę.

— Tylko się nie wtrącaj, Kuriku.

— Jak sobie życzysz, dostojny panie.

— Zdrajco! Łajdaku! Potworze! Tchórze! — Po chwili niewiasta dodała jeszcze: — Morderco!

— Nic takiego nigdy nie uczyniłem — mruknął Sparhawk, po czym westchnął i zawrócił Farana w stronę kobiety z zasłoniętą twarzą. — Witaj, Lillias. — Starał się swojemu głosowi nadać możliwie łagodne i przyjacielskie brzmienie.

— Witaj, Lillias? — zapiszczała. — Witaj, Lillias! Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia, bandyto?

Sparhawk ostatkiem woli powstrzymał się, by nie wybuchnąć śmiechem. W pewien szczególny sposób kochał tę kobietę i z zadowoleniem patrzył, jak dobrze się bawiła.

— Pięknie wyglądasz, Lillias — powiedział tonem pogawędki wiedząc, że taki komentarz wzbudzi w niej nowe emocje.

— Pięknie? Pięknie?! Po tym, jak mnie zamordowałeś? Po tym, jak wyrwałeś mi serce? Po tym, jak wtrąciłeś mnie w otchłań najczarniejszej rozpaczki? — Rozłożyła ręce w tragicznym geście. — Prawie nic w ustach nie miałam od tego nieszczęsnego dnia, gdy porzuciłeś mnie w rynsztoku bez grosza przy duszy.

— Zostawiłem ci sklep — zaprotestował. — Przed moim odejściem wystarczał na utrzymanie nas obojga. Pewien jestem, że zapewnia ci godziwe życie.

— Sklep! Co mnie obchodzi sklep? Serce mi złamałeś, Mahkro! — Odrzuciła kaptur i zerwała zasłonę z twarzy. — Morderco! — krzyczała. — Popatrz na swoje dzieło! — Zaczęła szarpać długie, lśniące, czarne włosy i drapać paznokciami swoją ciemną twarz o zmysłowych ustach.

— Lillias! — huknął Sparhawk. Przez lata spędzone z tą kobietą zaledwie parę razy musiał użyć takiego tonu. — Przestań! Poranisz się.

Lillias była jednak już tak rozochociona, że niełatwo było ją ostudzić.

— Poranę się?! — krzyczała dramatycznie. — Co mnie obchodzą rany? Jak może się poranić martwa kobieta? Chcesz zobaczyć prawdziwe rany, Mahkro? Spójrz tylko na moje serce! — Rozerwała przód swojej szaty, jednak to, co się spod niej ukazało, nie było sercem.

— Och, mój Boże... — westchnął Kurik z podziwem, patrząc na kobiece wdzięki. Voren odwrócił wzrok, skrywając uśmiech. Sephrenia przyglądała się Sparhawkowi z dziwnym wyrazem twarzy.

— O Boże! — jęknął rycerz zsuwając się z siodła. — Lillias! — mruknął. — Zakryj się! Pomyśl o sąsiadach. Dzieci patrzą!

— Co mnie obchodzą sąsiedzi? Niech sobie patrzą! — zawołała odsłaniając obie piersi. — Czyż dla niewiasty o martwym sercu wstyd może mieć znaczenie?

Sparhawk zbliżał się do niej z groźną miną. Gdy był już dostatecznie blisko, wycodził cicho przez zaciśnięte zęby:

— Naprawdę są bardzo ładne, Lillias, nie sądzę jednak, aby ten widok był nowością dla któregoś z mężczyzn mieszkających w promieniu sześciu ulic. Musisz to dalej ciągnąć?

Wydawało się, że nagle straciła pewność siebie, ale nie okryła nagości.

— Jak chcesz — wzruszył ramionami, a potem także uniósł głos. — Twoje serce wcale nie umarło, Lillias — obwieścił świadkom tej sceny, tłoczącym się na balkonach. — Myślę, że daleko mu do tego. Co z piekarzem Georgiasem? A co z Nendanem, robiącym kiełbasy? — Wymieniał przypadkowe nazwiska.

Kobieta pobladła i cofając się osłaniała swój obfity biust szatą.

— Wiesz o tym? — spytała z wahaniem.

Trochę go to zabolalo, ale nie dał nic po sobie poznać.

— Oczywiście, że wiem — zwrócił się w stronę balkonów — ale ci wybaczam. Jesteś wcieleniem kobiecości, Lillias, nie jesteś stworzona do samotnego życia. — Wyciągnął rękę i delikatnie przykrył jej włosy kapturem. — Co u ciebie stychać? — zapytał bardzo cicho.

— Jakoś idzie — wyszeptała.

— To dobrze. Kończymy z tym?

— Chyba przydałoby się coś na koniec, nie uważasz? — Patrzyła na niego z nadzieją.

Z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

— To poważna sprawa, Mahkro — syknęła. — Od tego zależy moja pozycja w tej okolicy.

— Wierz mi, że choć zdradziłaś mnie, Lillias — powiedział w kierunku balkonów — wybaczam ci, bo nie było mnie przy tobie i nie mogłem cię od tego uchronić.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę, a potem z płaczem padła mu w ramiona i skryła twarz na jego piersi.

— Tak bardzo mi ciebie brakowało, Mahkro — szlochała. — Jestem słaba. Jestem tylko biedną, ciemną kobietą, niewolnicą swoich żądz. Czy kiedykolwiek mi to wybaczysz?

— A co tu jest do wybaczenia, Lillias? — oznajmił. — Jesteś niczym ziemia, niczym morze. Dawanie jest częścią twojej natury.

Odepchnęła go.

— Bij mnie! — zażądała. — Zasługuję na karę! — Wielkie łzy, sprawiające wrażenie szczerych, pojawiły się w jej błyszczących, czarnych oczach.

— Och, nie — odmówił wiedząc dokładnie, do czego by to doprowadziło. — Nie będę cię bił, Lillias. Zrobię jedynie to. — Pocałował ją raz, bez emocji, w usta. — Żegnaj, Lillias — mruknął i wycofał się szybko, zanim zdążyła opleść mu wokół szyi ramiona. Znał siłę jej ramion. — A teraz, chociaż rozdziera mi to duszę, muszę cię znowu opuścić — wydeklamował. Wyciągnął rękę i zasłonił jej twarz. — Wspomnij mnie czasami, a ja podążę na spotkanie losu, który zgotowało mi przeznaczenie. — Ostatkiem woli powstrzymał się przed położeniem dłoni na jej sercu.

— Wiedziałam! — krzyknęła bardziej do ludzi na balkonach niż do niego. — Wiedziałam, że masz duszę awanturnika! Przez całą wieczność będę nosić w sercu naszą miłość, mój Mahkro, i pozostanę ci wierna do grobu. Jeśli przeżyjesz, wróc do mnie. — Znów szeroko rozłożyła ręce. — A jeśli umrzesz, nawiedź mnie we śnie, a pocieszę twój blady cień, jak będę mogła najczulej.

Sparhawk cofnął się przed jej wyciągniętymi ramionami, a potem odwrócił się pozwalając, aby jego szata zawirowała w dramatyczny sposób — tyle przynajmniej był winien Lillias — po czym wskoczył na siodło.

— Żegnaj — powiedział uroczyście, ściągając wodze, by Faran stanął dęba i bił powietrze kopytami — a jeśli nie spotkamy się więcej na tym świecie, to oby Bóg pozwolił nam spotkać się na tamym. — Spiał rumaka ostrogami i przegalopował obok szlochającej kobiety.

— Czy ty to wszystko zrobiłeś celowo? — zapytała Sephrenia, gdy zsiadali z koni przed oberżą.

— Chyba mnie trochę poniosło — przyznał Sparhawk. — Lillias lubi czasami urządzać mężczyznom takie sceny — dodał i uśmiechnął się ze skruchą. — Średnio trzy razy na tydzień zdarza jej się łamać sobie serce — stwierdził niczym lekarz stawiający diagnozę. — Zawsze zdradzała mnie z zapamiętaniem i czasami nie grzeszyła zbyt dużą uczciwością, jeżeli chodziło o kasę. Jest próżna, wulgarna i samolubna. Oszukuje, jest chciwa i przesadnie melodramatyczna. — Przerwał na chwilę, wspominając minione lata. — Jednak lubiłem ją. Dobra z niej dziewczyna i pomimo wszystkich jej wad życie z nią nigdy nie było nudne. Byłem jej winny to przedstawienie. Dzięki temu będzie mogła teraz chodzić po swojej dzielnicy niczym królowa, a przecież nie kosztowało mnie to aż tak wiele, prawda?

— Sparhawk — powiedziała Sephrenia poważnie — chyba nigdy cię nie zrozumie.

— Właśnie dlatego życie jest takie podniecające, prawda, mateczko? — odparł uśmiechając się do niej szeroko.

Flecik, siedząca na białej klaczy Sephrenii, zagrała szyderczą melodyjkę na swojej fujarce.

— Pomów z nią — zasugerował Sephrenii — ona wszystko rozumie.
Flecek popatrzyła na rycerza, a potem łaskawie wyciągnęła do niego rączkę,
by pomógł jej zejść na ziemię.

Rozdział 24

Podróż przez Cieśninę Arcjańską przebiegła bez przygód. Pchani mocną bryzą, pod czystym niebem płynęli na północny wschód, a wokół nich, niczym straż przyboczna, sunęły inne statki flotylli Vorena.

Trzeciego dnia podróży około południa Sparhawk wyszedł na pokład i stanął obok Sephrenii, która razem z Flecikiem przyglądała się z dziobu spienionym falom.

— Wciąż jesteś na mnie zła? — zapytał.

— Nie. — Westchnęła. — Chyba nie.

Sparhawk nie bardzo wiedział, jak ma wyrazić swoje niejasne przeczucia, zaczął więc dość ostrożnie:

— Jak myślisz, Sephrenio, czy w Dabourze wszystko nie poszło nam zbyt łatwo? Mam przeczucie, że ktoś znowu wodzi mnie za nos.

— Co przez to rozumiesz?

— Wiem, że tamtej nocy kilkakrotnie wywierałaś wpływ na Arashama. Czy na Martela również?

— Nie. On byłby w stanie przeciwstawić się każdej mojej próbie zawładnięcia jego wolą.

— Tak też myślałem. A więc co się z nim dzieje?

— Nie bardzo wiem, o czym mówisz.

— Zachowywał się zupełnie jak uczeń. Oboje znamy Martela. Jest inteligentny i bystry. W lot potrafi przejrzeć zamiary przeciwnika, a jednak nie zrobił nic, by mi przeszkodzić. Stał niczym głupiec, podczas gdy ja niszczyłem cały jego plan. Wszystko poszło zbyt łatwo i dlatego mnie to niepokoi.

— Nie spodziewał się zobaczyć nas w namiocie Arashama. Może to zaskoczenie wytrąciło go z równowagi, Sparhawk.

— Martela nie można tak łatwo zaskoczyć.

Sephrenia nachmurzyła się.

— Nie — przyznała — istotnie nie. — Pomyślała przez chwilę. — Czy pamiętasz, co mówił pan Darellon przed naszym wyjazdem z Cimmury?

— Niezbyt dokładnie.

— Otóż zauważył on, że Annias, przedstawiając sprawę Radzie Królów, zachowywał się niczym niewykształcony prostak. Powiadomił władców o śmierci hrabiego Raduna, a nawet nie sprawdził wcześniej, czy to prawda.

— Ach tak, teraz pamiętam. Powiedziałaś wtedy, że cały ten spisek — próba zamordowania hrabiego i obarczenie winą pandionitów — mógł powstać w głowie styrickiego czarnoksiężnika.

— Być może sprawy zaszły jeszcze dalej. Wiemy, że Martel miał do czynienia z damorkiem, a to oznacza, że Azash również się w to miesza. Dotąd Azash miał do czynienia jedynie ze Styrykami, o subtelnościach umysłów Elenów niewiele wie. Bogowie Styricum nie słyną z przebiegłości, rzadko kiedy potrafią sprostać nieprzewidzianemu rozwojowi wypadków, chyba dlatego, że sami Styrycy nie są zbyt bystrzy. Oba spiski, zarówno w Arcium, jak i w Rendorze, miały na celu zdyskredytowanie Rycerzy Kościoła i pozbycie się ich z Chyrellos na czas wyborów. W pałacu Cimmury Annias zachowywał się jak Styryk; Martel zachowywał się podobnie w namiocie Arashama.

— Nie jesteś konsekwentna, Sephrenio — zaprotestował Sparhawk. — Najpierw twierdzisz, że Styrycy nie grzeszą przebiegłością, a potem sama odpowiadasz mi w tak zawyły sposób, że nie potrafię nadążyć za twoim tokiem rozumowania. Czemu po prostu nie powiesz, co masz na myśli?

— Azash zawsze miał przemożny wpływ na umysły swoich wyznawców. W większości byli to Styrycy. Czyż nie zastanowiło cię, że Annias i Martel również zaczynają zachowywać się jak Styrycy?

— Przykro mi, mateczko, ale nie mogę się z tym zgodzić. Pomimo wszystkich swoich wad Martel był i pozostał Elenem. Annias jest kapłanem. Żaden z nich nie oddałby swojej duszy Azashowi.

— Być może nie są tego świadomi. Azash potrafi zawładnąć umysłami tych, którzy są mu potrzebni.

— A co z tego wynika?

— Nie mam całkowitej pewności, ale wydaje mi się, że Azashowi zależy na tym, by Annias został nowym arcyprałatem. Powinniśmy o tym pamiętać. Jeśli Azash zawładnął umysłami Anniasa i Martela, będą oni myśleć podobnie jak Styrycy, którzy nie lubią niespodzianek i nie wiedzą, jak się wobec nich zachować. Tacy już są. Naszą najlepszą bronią może być zaskoczenie.

— To dlatego gniewałaś się na mnie, prawda?

— Oczywiście. Myślałam, że zdajesz sobie z tego sprawę.

— Następnym razem spróbuję cię ostrzec.

— Będę ci wdzięczna.

Dwa dni później ich statek dopłynął do ujścia Ucery i popłynął w górę rzeki do Vardenais, portu Elenii. Dopływając do przystani zbliżali się również do nowych

kłopotów. Nabrzeże patrolowali ubrani w czerwone mundury gwardziści.

— Co teraz? — zapytał Kurik, gdy ukryli się za nadbudówką statku.

Sparhawk zmarszczył brwi.

— Moglibyśmy przepłynąć zatokę i wylądować w Arcium — zaproponował.

— Jeśli obserwują porty, to na pewno patrolują również granice. Rusz głową, Sparhawk.

— Być może nocą udałoby się nam prześliznąć.

— Chyba jesteśmy zamieszani w zbyt ważne sprawy, by zdawać się na „być może” — zapytał Kurik z przekąsem.

Sparhawk zaklął.

— Musimy się dostać do Cimmury — powiedział. — Zbliży się czas odejścia kolejnego z dwunastu rycerzy, a nie wiem, czy Sephrenia zdoła unieść dodatkowe brzemie. Kuriku, wymyśl coś, w taktyce zawsze byłeś lepszy ode mnie.

— To dlatego, że nie noszę zbroi. Świadomość własnej potęgi zabija spryt konieczny do przetrwania.

— Dziękuję — odparł Sparhawk oschle.

Kurik zastanawiał się marszcząc czoło.

— No i...? — zapytał Sparhawk niecierpliwie.

— Jeszcze myślę, nie popędzaj mnie.

— Jesteśmy coraz bliżej przystani, Kuriku.

— Tyle też widzę. Popatrz, czy przeszukują również statki?

— Wydaje mi się, że nie. — Sparhawk wychylił głowę nad daszek nadbudówki.

— Dobrze, bo to oznacza, że wcale nie musimy natychmiast podejmować decyzji. Możemy zejść pod pokład i tam się zastanowić.

— Masz w ogóle jakiś pomysł?

— Znowu mnie popędzasz, Sparhawk — powiedział giermek z naganą w głosie. — To jedna z twoich głównych wad. Zawsze masz ochotę rzucać się w sam środek awantury, nim zastanowisz się nad tym, co powinieneś zrobić.

Żaglowiec, którym płynęli, dobił do wysmarowanej smołą przystani, żeglarze rzucili liny zgromadzonym na brzegu robotnikom portowym. Następnie przerzucili trap i zaczęli znosić skrzynie i bale na przystań.

Z ładowni statku dobiegł ich nagły rumor i na pokład wybiegł Faran. Sparhawk ze zdumieniem patrzył na narowistego rumaka. Na szerokim grzbiecie sro-kacza siedziała Flecik ze skrzyżowanymi nóżkami i grała na fujarce. Melodia była dziwna, spokojna, usypiająca. Zanim Sparhawk i Kurik zdążyli zareagować, dziewczynka trąciła bok Farana stópką i koń posłusznie zszedł po trapie na przystań.

— Co ona wyrabia?! — krzyknął Kurik.

— Nie mam najmniejszego pojęcia. Zawołaj tu Sephrenię, natychmiast!

Flecik ruszyła po pomoście prosto na stojącą u jego końca grupkę żołnierzy. Gwardziści sprawdzali dokładnie wszystkich marynarzy i pasażerów, ale nie zwrócili wcale uwagi na dziewczynkę i srokatego konia. Flecik bezczelnie przejechała kilkakrotnie tuż przed ich nosami, na koniec odwróciła główkę. Wydawało się, że patrzy prosto na Sparhawk. Ciągłe grając na fujarce podniosła rączkę i przywoływała go skinieniem.

Rycerz patrzył na to w osłupieniu.

Zrobiła nadąsaną minkę, a potem ostentacyjnie przejechała przez środek grupki żołnierzy. Usunęli się jej z drogi, ale żaden z nich nawet na nią nie spojrział.

— Co tam się dzieje? — zapytał Sparhawk, kiedy Sephrenia stanęła obok niego.

— Nie jestem pewna — odparła czarodziejka marszcząc czoło.

— Czemu oni nie zwracają na nią uwagi? — spytał Kurik, gdy Flecik jeszcze raz przejechała między rzędami gwardzistów.

— Myślę, że jej nie widzą.

— Stoi przecież na wprost nich.

— To chyba nie ma znaczenia — powiedziała Sephrenia, a na jej twarzy powoli pojawiał się wyraz podziwu. — Słyszałam o tym — mruknęła. — Myślałam, że to tylko bajki, ale chyba się myliłam. — Odwróciła się do Sparhawk. — Czy po zjechaniu na brzeg patrzyła w stronę statku?

— Pomachała, jakby mnie zapraszała, bym za nią szedł.

— Pewien jesteś?

— Tak mi się zdawało.

Czarodziejka odetchnęła głęboko.

— Jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić. — Wstała i wyszła zza nadbudówki, zanim Sparhawk zdążył ją zatrzymać.

— Sephrenio! — krzyknął, ale ona szła dalej pokładem, jakby go nie słyszała. Doszła do burty i tam przystanęła.

— Doskonale ją stamtąd widać — powiedział Kurik zdławionym głosem.

— Przecież sam to widzę.

— Gwardziści na pewno mają jej rysopis. Czy ona postradała zmysły?

— Wątpię. Popatrz. — Sparhawk wskazał na żołnierzy na pomoście. Sephrenia była doskonale widoczna, ale nawet w najmniejszym stopniu nie wzbudziła ich zainteresowania.

Na jej widok Flecik jeszcze raz niecierpliwie pomachała rączką.

Sephrenia westchnęła i popatrzyła na Sparhawk.

— Poczekajcie tutaj — powiedziała.

— Tutaj — to znaczy gdzie?

— Tutaj, na pokładzie. — Odwróciła się i zeszła po trapie.

— To już koniec — rzekł posepnie Sparhawk. Wstał i wyciągnął miecz. Policzyl szybko gwardzistów na przystani. — Nie jest ich aż tak wielu — powiedział

do Kurika. — Jeśli ich zaskoczymy, to może nam się udać.

— Nie byłbym tego taki pewny, Sparhawku. Poczekajmy chwilę i zobaczymy, co się stanie.

Sephrenia przeszła kilka kroków i zatrzymała się na wprost żołnierzy.

Zignorowali ją.

Przemówiła do nich.

Wciąż nie zwracali uwagi.

Odwróciła się w kierunku statku i zawołała:

— Świetnie, Sparhawku. Nie widzą nas i nie słyszą. Przyrowadź resztę koni i weź nasze bagaże!

— Czary? — zdziwił się Kurik.

— I to takie, o których ja nigdy nie słyszałem — odpowiedział rycerz.

— A więc róbmy, co każe. I to zaraz. Wolałbym nie znaleźć się pomiędzy gwardzistami, gdy zakłęcie przestanie działać.

Dziwnie się czuli, kiedy schodzili na nabrzeże, a potem swobodnie, powolnym krokiem zbliżyli się do żołnierzy. Gwardziści mieli znudzony wyraz twarzy i w ogóle się nimi nie zainteresowali. Zatrzymywali każdego pasażera i marynarza opuszczającego przystań, ale na Sparhawka, Kurika i ich konie nawet nie spojrzeli. Bez polecenia kaprała żołnierze usunęli się, by ich przepuścić, zwiernając szeregi, gdy tylko Sparhawk i Kurik wyprowadzili swoje konie z przystani na brukowaną ulicę.

Sparhawk bez słowa zdjął dziewczynkę z grzbietu rosnącego srokacza i osiadł swego rumaka.

— A teraz powiedz, jak ona to zrobiła? — zwrócił się do Sephrenii.

— Zwyczajnie.

— Przecież ona nie umie mówić — a przynajmniej nie mówi przy nas. Jak więc rzuciła czar?

— Grając na fujarce. Sparhawku, myślałam, żeś to odgadł. Ona nie wymawia słów zaklęcia, ona je wygrywa na fujarce.

— Czy to możliwe? — zapytał z powątpiewaniem.

— Dopiero co sam byłeś tego świadkiem.

— Czy ty również to potrafisz?

Potrząsnęła głową.

— Nie mam zbyt dobrego słuchu — przyznała. — Nie potrafię zbyt dobrze rozróżnić tonów, a melodia powinna być zagrana wyjątkowo czysto. Czy możemy już jechać?

Ruszyli ulicami Vardenais oddalając się od portu.

— Czy jesteśmy nadal niewidzialni? — zapytał Kurik.

— Nie jesteśmy naprawdę niewidzialni — powiedziała Sephrenia owijając płaszczem dziewczynkę, która nadal wygrywała senną melodyjkę na swojej fujarce. — W przeciwnym razie nie widzielibyśmy również siebie nawzajem.

— Nic z tego nie rozumiem.

— Gwardziści nas widzieli, Kuriku. Usunęli się z drogi, pamiętasz? Po prostu postanowili nie zwracać na nas uwagi.

— Postanowili?

— Może to niewłaściwe słowo. Powiedzmy — zostali nakłonieni do tego, by nie zwracać na nas uwagi.

Przejechali przez północną bramę Vardenais nie zatrzymywani przez strażę i wkrótce znaleźli się na głównej drodze do Cimmury. Od ich wyjazdu upłynęło już kilka tygodni i pogoda wyraźnie się zmieniła. Minęły zimowe chłody, a na gałęziach przydrożnych drzew widać już było pierwsze pączki. Oracze kroczyli za pługami wywracając skiby bogatej, czarnej, żyznej gleby. Minęły deszcze i po bladoniebieskim niebie tu i ówdzie sunęły pierzaste, białe chmurki. Wiał ciepły wiatr, który niósł zapach budzącej się ponownie do życia ziemi. Sparhawk nie miał zbyt szczęśliwej miny. Wprawdzie zrzucili rendorskie szaty, zanim opuścili statek, ale rycerzowi w kolczudze i ciepłej tunice doskwierało niemiłe gorąco.

Kurik przyglądał się świeżo zaoranym polom troskliwym okiem gospodarza.

— Spodziewam się, że chłopcy sami skończą orkę — powiedział. — Nie mam ochoty zaraz po powrocie brać się za tę harówkę.

— Aslade na pewno dopilnuje, aby wszystko zrobili na czas — zapewnił go Sparhawk.

— Masz pewnie rację — przyznał Kurik krzywiąc się nieznacznie. — Jak się temu dokładniej przyjrzeć, to jest z niej lepszy rolnik niż ze mnie.

— Kobiety bardziej się do tego nadają — odezwała się Sephrenia. — Żyją w większej harmonii z księżycem i porami roku. W Styricum polami zawsze zajmują się kobiety.

— A co robią mężczyźni?

— Jeśli tylko mogą — nic.

Jechali niemal pięć dni. Dotarli do Cimmury wczesnym, wiosennym popołudniem. Sparhawk zatrzymał konia na szczycie wzgórza w odległości pół ligi na zachód od miasta.

— Czy ona mogłaby to powtórzyć? — zapytał Sephrenię.

— Kto i co miałby powtórzyć?

— Flecik. Czy mogłaby jeszcze raz uczynić coś takiego, aby nas nikt nie zauważył?

— Nie wiem. Czemu ty jej o to sam nie spytasz?

— Może jednak ty zapytaj. Myślę, że ona mnie nie lubi.

— Skąd ci to przyszło do głowy? Ona cię uwielbia. — Sephrenia pochyliła się nieco i przemówiła po styricku do przytulonej do niej dziewczynki.

Flecik skinęła głową i rączką zakresliła kółko w powietrzu.

— Co powiedziała? — zapytał Sparhawk.

— Z grubsza tyle, że siedziba zakonu jest po drugiej stronie miasta, będzie więc lepiej, jeśli okrążymy miasto, zamiast jechać ulicami.

— Z grubsza?

— Żadne tłumaczenie nie dorówna oryginałowi.

— Dobrze, zróbmy, jak radzi. Zdecydowanie nie chcę, by Annias dowiedział się o naszym powrocie.

Objężdżali Cimmurę trzymając się w odległości pół ligi od jej murów, przecinając otwarte pola i rzadkie zagajniki. Sparhawk doszedł do wniosku, że stolica Elenii nie jest zbyt atrakcyjnym miastem. Z powodu swego szczególnego położenia i panującej zwykle na tych terenach pogody dymy z tysięcy kominów zalegały zwartą warstwą tuż nad szczytami dachów. Ta spowijająca miasto chmura nadała mu wyjątkowo ponury wygląd.

Dotarli do gęstych zarośli oddalonych o kilka minut drogi od siedziby zakonu. Znów zobaczyli wielu chłopów pracujących na roli, a droga wiodąca od wschodniej bramy Cimmury roiała się od kolorowo odzianych podróżnych.

— Powiedz jej, że już czas — zwrócił się Sparhawk do Sephrenii. — Wyobrażam sobie, ilu spośród tych ludzi szpieguje dla Anniasa.

— Ona wie, Sparhawk. Nie jest głupia.

— Nie. Tylko trochę roztrzepana.

Flecek wykrzywiła się do niego i zaczęła grać na fujarce. Była to ta sama spokojna, usypiająca melodia, którą słyszeli w Vardenais.

Ruszyli przez pole w kierunku kilku domów przycupniętych pod murami zamku. Było oczywiste, że nikt nie zwróci na nich uwagi, jednakże Sparhawk mimo woli sztywniał za każdym razem, gdy kogoś mijali.

— Uspokój się — poleciła mu Sephrenia. — Tylko jej utrudniasz.

— Przepraszam — mruknął. — To z przyzwyczajenia. — Odprężył się z trudem.

Grupka mężczyzn naprawiała drogę prowadzącą do bram fortecy.

— Szpiedzy. — Kurik zgrzytnął zębami.

— Skąd wiesz? — zdziwił się Sparhawk.

— Popatrz tylko, w jaki sposób kładą te kamienie. Nie mają najmniejszego pojęcia, jak się to robi.

— No cóż, rzeczywiście pracują trochę niedbale — przyznał rycerz, spoglądając krytycznie na odcinek nowo położonego bruku. Przejechali nie zauważeni obok mężczyzn tłukących kamienie.

— Annias chyba się starzeje — stwierdził Kurik. — Dawniej jego szpiedzy nie rzucali się tak w oczy.

— Pewnie dlatego, że ma sporo kłopotów na głowie.

Końskie podkowy dzwoniły o bruk. Dojechali do zwodzonego mostu, a potem na dziedziniec zamku, mijając czterech uzbrojonych rycerzy strzegących bramy.

Oni również nie zwrócili na nich uwagi.

Na dziedzińcu młody nowicjusz, kręcąc z wysiłkiem korbą, czerpał właśnie wodę ze studni. Po kilku końcowych taktach Flecik opuściła fujarkę.

Zdumiony młodzieniec stłumił przekleństwo i sięgnął po miecz. Wiadro spadło w głąb studni przy wtórze skrzypienia kołowrotu.

— Spokojnie, bracie — powiedział Sparhawk zsiadając z konia.

— Jak przeszliście przez bramę?! — wykrzyknął nowicjusz.

— Nie uwierzyłyś — odparł Kurik zeskakując z grzbietu swojego wałacha.

— Wy-wybacz mi, do-dostojny panie Sparhawk — wyjąkał nowicjusz. — Zaskoczyłeś mnie.

— Wszystko w porządku — zapewnił go Sparhawk. — Czy pan Kalten już wrócił?

— Tak, dostojny panie. On i rycerze z innych zakonów przybyli tu już jakiś czas temu.

— Czy wiesz, gdzie mógłbym ich znaleźć?

— Myślę, że są w komnacie mistrza Vaniona.

— Dziękuję. Czy zajmiesz się naszymi końmi?

— Oczywiście, dostojny panie.

Weszli do zamku, przeszli głównym korytarzem w kierunku wschodniego skrzydła i wspięli się wąskimi schodami na wieżę.

— Dostojny panie Sparhawk — odezwał się z szacunkiem jeden z młodszych rycerzy, stojący na straży przed drzwiami — oznajmię mistrzowi Vanionowi o twoim przybyciu.

Zapukał do drzwi i otworzył je.

— Mistrzu Vanionie, przybył pan Sparhawk — powiedział.

— Najwyższy czas — dobiegł ich głos Kaltena.

— Wejdz, proszę, dostojny panie. — Młody rycerz z ukłonem odsunął się na bok.

Vanion siedział przy stole. Kalten, Bevier, Ulath i Tynian powstali z krzeseł i podszli, by powitać przyjezdnych. Berit i Talen siedzieli na ławce w rogu.

— Kiedy tu dotarliście? — zapytał Sparhawk mocno potrząsając dłońią Kaltena.

— Na początku ubiegłego tygodnia — odpowiedział jasnowłosy rycerz. — A co was zatrzymało?

— Musieliśmy przebyć daleką drogę, Kaltenie. — Sparhawk bez słowa uściśnął rękę Tyniana, Ulatha i Beviera. Następnie skłonił się przed Vanionem. — Witaj, mistrzu.

— Witaj, Sparhawk — skinął mu głową Vanion.

— Czy otrzymywałeś wiadomości ode mnie?

— Jeżeli wysłałeś tylko dwie, to otrzymałem wszystkie.

— Wiedzieliście więc, co się z nami działo.

Vanion przyglądał się z uwagą Sephrenii.

— Nie wyglądasz zbyt dobrze, mateczko — powiedział.

— Nic mi nie jest — odparła przesuając dłonią po twarzy pełnym znużenia gestem.

— Usiądź, proszę. — Kalten podsunął jej krzesło.

— Dziękuję.

— Co się działo w Dabourze? — zapytał Vanion patrząc uważnie na Sparhawk.

— Znaleźliśmy tego lekarza — opowiadał rycerz. — Okazuje się, że naprawdę wyleczył kilku ludzi otrutych tą samą trucizną, którą Annias podał królowej.

— Dzięki Bogu! — Vanion westchnął z ulgą.

— Nie tak szybko, Vanionie — odezwała się Sephrenia. — Znamy co prawda lekarstwo, ale nim je będziemy mogli zastosować, musimy je znaleźć.

— Nie bardzo rozumiem.

— Trucizna jest nadzwyczaj silna. Można ją pokonać jedynie używając czarów.

— Czy ten lekarz powiedział, jakiego zaklęcia użył?

— Niestety, nie chodzi tu jedynie o zaklęcie. Na świecie istnieje kilka obdarzonych nadzwyczajną mocą przedmiotów. Musimy odnaleźć jeden z nich.

Vanion się nachmurzył.

— To może zająć nam sporo czasu — powiedział. — Zwykle ludzie ukrywają takie rzeczy, by nikt ich nie skradł.

— Wiem.

— Czy jesteś całkowicie pewien, że chodzi właśnie o tę truciznę? — zapytał Sparhawk Kalten.

Sparhawk skinął głową.

— Martel również to potwierdził — dodał.

— Martel? Czyżbyś uciął sobie z nim pogawędkę, nim wyprawieś go na tamten świat?

— Niestety, nie zabiłem go. Moment był nieodpowiedni.

— Na to zawsze jest odpowiedni moment, Sparhawk.

— I ja tak pomyślałem, gdy go ujrzałem, ale Sephrenia wybiła nam walkę z głowy i kazała schować miecze.

— Wielce mnie rozczarowałaś, mateczko — powiedział Kalten.

— Obawiam się, że trudno będzie ci to zrozumieć, skoro tam nie byłeś — odrzekła Sephrenia.

— A dlaczego nie przywiozłeś tego przedmiotu, którego użył tamten lekarz? — spytał Tynian Sparhawk.

— Bo zrobił z tego proszek, zmieszał z winem i dał chorym do wypicia.

— Czy tak należało tego użyć?

— Nie, zupełnie nie tak. Sephrenia nawet go zwymyślała z tego powodu.

— Chyba lepiej będzie, jeśli opowiesz wszystko od początku — zdecydował Vanion.

— Słusznie — zgodził się Sparhawk, przysuwając sobie krzesło. Opowiedział im pokrótce o „świętym talizmanie” Arashama i o fortelu, jakiego użył, by dostać się do namiotu proroka.

— Wykorzystując imię mojego króla posunąłeś się za daleko — zaprotestował Tynian.

— Czy musimy o tym mówić? — odrzekł Sparhawk. — Potrzebna mi była nazwa jakiegoś królestwa bardzo oddalonego od Rendoru. Arasham ma pewnie tylko mgliste pojęcie o tym, gdzie leży Deira.

— W takim razie, czemu nie powiedziałeś, że jesteś na przykład z Thalesii?

— Wątpię, czy Arasham kiedykolwiek słyszał o Thalesii. W każdym razie ten „święty talizman” okazał się nic niewart. Spotkaliśmy tam Martela. Usiłował nakłonić szalonego starca, by poczekał ze swoim powstaniem do czasu wyborów nowego arcyprałata. — Następnie opisał, w jaki sposób udało mu się przechytryć białowłosego renegata.

— Przyjacielu — Kalten spojrział na Sparhawk z podziwem. — Jestem z ciebie dumny.

— Dziękuję ci, Kaltene — rzekł skromnie Sparhawk. — Mnie też się zdawało, że całkiem nieźle to wyszło.

— Pławi się w samouwielbieniu, od kiedy wyszliśmy z namiotu Arashama — powiedziała Sephrenia. Spojrzała na Vaniona ze smutkiem. — Umarł pan Kerris.

Vanion z posępną miną skinął głową.

— Tak, wiem. A jak ty się o tym dowiedziałaś? — zapytał.

— Odwiedził nas jego duch, by dostarczyć Sephrenii swój miecz — odpowiedział Sparhawk. — Mistrzu, musimy coś zrobić. Ona nie może dźwigać tego brzemienia. Słabnie coraz bardziej za każdym razem, gdy odbiera kolejny miecz.

— Nic mi nie jest, Sparhawk — upierała się czarodziejka.

— Z przykrością muszę zaprzeczyć, mateczko, wcale nie czujesz się najlepiej. Co prawda teraz możesz jeszcze trzymać głowę dumnie uniesioną, ale przyjmiesz jeszcze dwa miecze i upadniesz na kolana.

— Gdzie teraz są te miecze? — zapytał Vanion.

— Mamy ze sobą muła — odparł Kurik. — Dźwiga skrzynię, w którą są zapakowane.

— Zechciej mi je przynieść, proszę.

— W tej chwili. — Kurik już był przy drzwiach.

— Co ci przyszło do głowy, Vanionie? — zapytała Sephrenia podejrzliwie.

— Zamierzam odebrać ci miecze — odparł wzruszając ramionami — razem ze wszystkim, co ze sobą niosą.

— Nie możesz...!

— Ależ mogę, Sephrenio, mogę. Ja również byłem w sali tronowej i wiem, jakiego zaklęcia trzeba użyć. Nie musisz tego dźwigać na własnych barkach. Może to uczynić ktokolwiek spośród tych, którzy tam byli.

— Nie starczy ci sił, Vanionie.

— Jeżeli o to chodzi, zapewniam, że mógłbym unieść cię wraz z całym twoim brzemieniem, moja droga nauczycielko. A teraz ty jesteś ważniejsza ode mnie.

— Ale... — zaczęła.

— Koniec dyskusji, Sephrenio. — Mistrz uniósł do góry rękę. — Ja jestem tu przełożonym. Z twoim pozwoleniem lub bez, odbieram ci te miecze.

— Nie wiesz nawet, co to znaczy, mój drogi. Nie pozwolę ci na to. — Zalała się nagle łzami, a na jej twarzy pojawił się tak rzadki u niej wyraz wzburzenia. — Nie pozwolę ci na to.

— Nie możesz mnie powstrzymać — powiedział Vanion łagodnie. — Jak mi odmówisz swojej pomocy, sam rzucę czar. Jeśli pragnęłaś zachować swoje zaklęcia w tajemnicy, mateczko, to nie powinnaś ich głośno śpiewać. Znasz mnie już tyle lat, więc wiesz, że mam bardzo dobrą pamięć.

Czarodziejka przyglądała mu się z uwagą.

— Jestem wstrząśnięta twoim zachowaniem, Vanionie — stwierdziła. — Jako młodzieniec nigdy nie pozwalałeś sobie na podobne grubiaństwo.

— No cóż, życie nie szczędzi nam coraz to nowych rozczarowań, nieprawdaż? — odparł dwornie.

— Mogę cię powstrzymać! — krzyknęła załamując ręce. — Zapominasz, o ile jestem silniejsza od ciebie. — W jej głosie zadźwięczała nuta triumfu.

— Oczywiście, masz rację. Dlatego będę musiał poprosić o pomoc. Czy poradzisz sobie z dziesięcioma rycerzami śpiewającymi unisono? Albo z pięćdziesięcioma? Czy nawet z pięcioma setkami?

— Jak możesz! — krzyknęła. — Nie sądziłam, że odważysz się na coś takiego, Vanionie. A tak ci ufałam.

— I słusznie, powinnaś mi ufać, moja droga — powiedział przyjmując nagle rolę przełożonego — bo nie pozwolę ci na takie poświęcenie. Zmuszę cię, abyś mi uległa. Wiesz, że mam rację. Musisz oddać mi swoje brzemienie. Doskonale zdajesz sobie sprawę z wagi tego, co powinnaś w tej sytuacji zrobić. Oboje wiemy, że uczynisz wszystko, co będzie w twojej mocy.

— Mój drogi... — zaczęła łamiącym się głosem — mój najdroższy...

— Już powiedziałem — przerwał jej. — Koniec dyskusji.

Nastąpiła długa, pełna napięcia cisza. Sephrenia i Vanion stali naprzeciw siebie patrząc sobie w oczy.

— Czy udało wam się od lekarza z Dabouru uzyskać jakieś bliższe informacje co do tych przedmiotów mogących uleczyć królową? — zapytał Sparhawk trochę skrępowany Bevier.

— Wspomniał o włóczni w Daresii, kilku pierścieniach w Zemochu, bransoletcie gdzieś w Pelosii i klejnocie z korony królewskiej Thalesii.

— To Bhelliom. — Ulath zgrzytnął zębami.

— A więc sprawa rozwiązana — powiedział Kalten. — Pojedziemy do Thalesii, pożyczymy koronę Warguna i przywieziemy ją tutaj.

— Wargun jej nie ma — mruknął Ulath.

— Jak to — Wargun jej nie ma? Jest przecież królem Thalesii.

— Korona zaginęła pięćset lat temu.

— Czy nie można jej odnaleźć?

— Nie ma rzeczy niemożliwych — odparł rostry Thalezyjczyk — ale przez te pięćset lat szukano jej bez powodzenia. A czy my mamy aż tyle czasu?

— Co to jest Bhelliom? — zapytał Tynian.

— Legenda głosi, że jest to wielki szafir oszlifowany w kształt róży. Podobno jest w nim zamknięta moc bogów trolli.

— A naprawdę jest?

— Skąd mam wiedzieć? Nigdy go nie widziałem. Przecież zaginął.

— Muszą być jeszcze jakieś inne przedmioty — stwierdziła Sephrenia. — Żyjemy w świecie pełnym magii. Myślę, że w ciągu wieków, jakie upłynęły od początku czasu, bogowie stworzyli wiele przedmiotów obdarzonych taką mocą.

— A może sami postąpimy podobnie? — zaproponował Kalten. — Zbierzemy grupę ludzi i rzucimy zaklęcie na jakiś przedmiot — klejnot, kamień albo pierścień, cokolwiek.

— Teraz pojmuję, Kaltenie, dlaczego nigdy nie byłeś zbyt biegły w sekretach magii. — Sephrenia westchnęła. — Nie rozumiesz nawet podstawowych zasad. Wszelkie czary czerpią swą moc z bogów, a nie z nas. Można by rzec, że oni nam jej użyczają — oczywiście kiedy odpowiednio ich o to poprosimy — ale nie zgodzą się, byśmy sami stworzyli potrzebny nam przedmiot. Moc, zawarta w takich przedmiotach, jest częścią ich własnej mocy, a oni nie wyzbywają się jej tak łatwo.

— Och, nie wiedziałem tego.

— A powinieneś. Opowiadałam ci o tym, gdy miałeś piętnaście lat.

— Musiałem zapomnieć.

— Nie pozostaje nam więc nic innego, jak tylko rozpocząć poszukiwania — powiedział Vanion. — Pomogą nam rycerze z wszystkich czterech zakonów. Powiadomię o tym mistrzów.

— A ja wyślę wiadomość do Styrików w górach — dodała Sephrenia. — Wiele takich przedmiotów znanych jest tylko w Styricum.

— Czy w Madelu zdarzyło się jeszcze coś interesującego? — zapytał Sparhawk Kaltena.

— Raczej nie — powiedział Kalten. — Kilkakrotnie widzieliśmy Kragera, ale tylko z daleka. Za każdym razem udawało mu się umknąć, nim zbliżyliśmy się do

niego. Jest zwinny niczym łasica, prawda?

Sparhawk kiwnął głową.

— Właśnie dlatego doszedłem w końcu do wniosku, że używają go jako przynęty — stwierdził. — Wiecie może, co tam porabia?

— Nie, nigdy nie udało się nam na tyle do niego podejść. Musiał jednak mieć coś do załatwienia, bo latał po Madelu jak kot z pęcherzem.

— A nie natknęliście się na Adusa?

— Niezupełnie. Talen z Beritem widzieli, że wyjeżdżał z Kragerem z miasta.

— W którą stronę odjechali? — Sparhawk zwrócił się do chłopca.

Talen wzruszył ramionami.

— Kiedyśmy widzieli ich po raz ostatni, zmierzali w kierunku Borraty — powiedział. — Mogli jednak zmienić kierunek, gdy tylko zniknęli nam z oczu.

— Ten większy miał zabandażowaną głowę, panie Sparhawk — doniósł Berit — a ramię trzymał na temblaku.

— Wygląda na to, Sparhawk, że tym razem bardziej dobrałeś mu się do skóry, niż podejrzewaliśmy. — Kalten roześmiał się.

— Staralem się, jak mogłem — powiedział Sparhawk krzywiąc się. — Jednym z celów mojego życia jest uwolnienie świata od Adusa.

Drzwi otworzyły się i powrócił Kurik niosąc drewnianą skrzynię z mieczami zmarłych rycerzy.

— Czy nadal upierasz się, by to zrobić, Vanionie? — spytała Sephrenia.

— Nie widzę innego wyjścia — odparł mistrz. — Ty musisz być silna, ja mogę wykonywać swoje obowiązki na siedząco czy leżąc w łóżku, a nawet, jeśli do tego dojdzie, gdy całkiem zeszywnieję.

Sephrenia rzuciła krótkie, ukradkowe spojrzenie na dziewczynkę, a Flecik w odpowiedzi poważnie skinęła głową. Sparhawk był pewien, że poza nim nikt tego nie dostrzegł. Poczul głęboki niepokój.

— Przejmuj miecze po kolei — pouczyła Vaniona Sephrenia. — Nie są zbyt lekkie i musisz stopniowo przyzwyczajać się do nich.

— Miałem już nieraz miecz w dłoni, Sephrenio.

— Nie taki jak ten, a poza tym nie chodzi tu o ich normalny ciężar, lecz ciężar wszystkiego, co się z nimi wiąże. — Otworzyła skrzynię. Wyjęła z niej miecz Parasima, młodego rycerza zabitego przez Adusa w Arcium. Ujęła ostrze i opierając je na przedramieniu podała rękę Vanionowi.

Mistrz powstał i przejął miecz od niej.

— Popraw mnie, jeśli popełnię jakiś błąd — powiedział i zaczął śpiewać po styricku. Sephrenia dołączyła do niego, śpiewając ciszej, mniej pewnie, ze zwątpieniem w oczach. Zakłęcie osiągnęło swój punkt kulminacyjny i Vanion nagle przygarbił się, a twarz mu poszarzała.

— Boże! — wykrztusił, omal nie upuszczając miecza.

— Dobrze się czujesz, mój drogi? — spytała Sephrenia wyciągając rękę, by podtrzymać mistrza.

— Pozwól mi złapać oddech — wykrztusił Vanion. — Jak ty to wytrzymujesz, Sephrenio?

— Każdy z nas robi to, co do niego należy — odparła. — Czuję się już lepiej, Vanionie. Nie ma potrzeby, byś przejmował dwa pozostałe miecze. — Owszem, jest. W najbliższym czasie stracimy zapewne kolejnego z dwunastu rycerzy, a jego duch dostarczy ci nowy miecz. Dopilnuję, abyś miała do tego czasu wolne ręce. — Wyprostował się. — W porządku — rzekł ostrym tonem. — Podaj mi następny.

Rozdział 25

Tego wieczoru Sparhawk był niezwykle zmęczony. Miał wrażenie, że dopiero teraz dały o sobie znać trudy podróży do Rendoru, jednakże pomimo wyczerpania nie mógł spokojnie uleżeć na wąskiej pryczy w swojej klasztornej celi. Na jego twarz padał blask pełni księżyca. Zaklął pod nosem i schował głowę pod koc, by osłonić oczy przed światłem.

Może drzemał, a może nie. Wydawało mu się, że całe godziny trwał tak zawieszony na krawędzi snu, ale mimo usilnych starań nie udawało mu się doń wśliznąć. Odrzucił koc i usiadł.

Już prawie wiosna, a co jemu udało się osiągnąć podczas tej długiej zimy? Miesiąc umykał za miesiącem, a wraz z nimi ubywało życia Ehlanie. Czy był bliższy choć o krok od uwolnienia królowej Elenii z jej kryształowego grobowca? Rozmyślał pośród nocy rozświetlonej zimnym blaskiem księżyca. Nagle pewna myśl zmroziła mu krew w żyłach. A może wszystkie knowania Anniasa i Martela miały tylko jeden cel — opóźnić jego działanie i spowodować, by czas, jaki pozostał Ehlanie, spędził na bezsensownej bieganinie? Od kiedy wrócił do Cimmury, targała nim niepewność. Być może wrogowie spiskowali nie w celu pokonania go. Mogło im chodzić jedynie o zyskanie na czasie. Miał niejasne przeczucie, że ktoś nim manipuluje i że ten ktoś, ktokolwiek to jest, czerpie przyjemność z tego okrutnego igrania jego gniewem i bólem. Położył się i zamyślił nad tym.

Obudził go nagły chłód, mróz, który przenikał do szpiku kości. Nim otworzył oczy, wiedział, że nie jest w celi sam.

W nogach jego posłania stała postać w zbroi, a światło księżyca odbijało się od czarno oksydowanej stali.

— Zbudź się, panie Sparhawk — odezwało się widmo głuchym głosem. — Przynoszę ci wieści.

Sparhawk usiadł.

— Nie śpię, bracie — odpowiedział. Zjawa podniosła przyłbicę i zobaczył znajomą twarz. — Och, panie Tanisie, to naprawdę ty?

— Wszystkich czeka śmierć — rzekł śpiewnie duch — a mój zgon nie był daremny. Ta myśl jest dla mnie w Domu Śmierci wystarczającym pocieszeniem.

Słuchaj uważnie, panie Sparhawk, bo niewiele czasu mogę ci poświęcić. Przy-
noszę ci wskazówki. To było celem mojej śmierci.

— Postąpię zgodnie z twoimi słowami — przyrzekł Sparhawk.

— A zatem jeszcze tej nocy udaj się do krypty w podziemiach katedry. Tam spotkasz się z innym nie mogącym zaznać spokoju cieniem, który pouczy cię, jak powinieneś dalej postąpić.

— Czyj to cień?

— Poznasz go, panie Sparhawk.

— Uczynię, jak każesz, bracie.

— Teraz muszę cię opuścić. — Widmowy rycerz obnażył miecz. — Muszę oddać mój oręż, nim powrócę do krainy wiecznej ciszy.

— Wiem — westchnął Sparhawk.

— Bądź pozdrowiony, bracie, i żegnaj. Nie zapominaj o mnie w swych modlitwach. — Duch w czarnej zbroi odwrócił się i wyszedł cicho z celi.

Wieże katedry przesłaniały rozgwieżdżone niebo, a świecący nisko nad zachodnim horyzontem błady księżyc wypełniał ulice srebrną poświatą i atramentowoczarnymi cieniami. Sparhawk pod płaszczem podróżnym miał kolczugę, a u pasa miecz. Cicho przemierzył wąski zaułek i zatrzymał się na jego mrocznym końcu. Główne wejście do katedry znajdowało się dokładnie po drugiej stronie ulicy.

Z dziwnym uczuciem przyglądał się dwóm gwardzistom strzegącym wejścia do katedry. Stali opierając się niedbale o kamienne mury. W bladym świetle księżycy czerwone kaftany żołnierzy wydawały się szare.

Sparhawk rozważał sytuację. Drzwi, których strzegli gwardziści, były jedynym wejściem do katedry. Wszystkie inne zaryglowano na głucho. Czy to zgodnie z tradycją, czy też z prawami Kościoła, nie wolno było w żadnej świątyni zamykać głównego wejścia na klucz.

Strażnicy byli senni i mało czujni, uliczka wąska. Jeden szybki skok mógł załatwić sprawę. Sparhawk wyprostował się i sięgnął po miecz. Wahał się jednak. Nie wydało mu się to właściwym rozwiązaniem. Nie był zbyt wrażliwy, ale czuł, że nie powinien iść na to spotkanie z krwią na rękach. A zaraz też doszedł do wniosku, że dwa ciała, leżące na katedralnych schodach, będą widomą oznaką tego, że komuś bardzo zależało na dostaniu się do środka.

Wystarczyłaby mu minuta, by przejść przez ulicę i prześliznąć się przez drzwi. Zastanowił się nad tym chwilę. Co najłatwiej mogłoby odciągnąć gwardzistów z ich posterunku? Przyszło mu do głowy z pół tuzina możliwości, aż wybrał jedną z nich. Uśmiech rozpromienił jego twarz. Powtórzył sobie w myślach całe zakłęcie, by upewnić się, że pamięta każde słowo, po czym zaczął cicho mamrotać po styricku.

Zakłęcie było dość długie. Starał się bardzo, żaden szczegół nie umknął jego uwagi. Kiedy już było gotowe, podniósł rękę i uwolnił je.

Na końcu ulicy pojawiła się kobieta w aksamitnym płaszczu z odrzuconym do tyłu kapturem i burzą długich, jasnych włosów na plecach. Jej twarz była olśniewająco piękna. Niewiasta kołysząc biodrami zmierzała w kierunku schodów katedry. Zatrzymała się, spoglądając na całkowicie teraz przebudzonych strażników. Nie odzywała się. Mowa niepotrzebnie skomplikowałaby zakłęcie, a słowa nie były tu potrzebne. Powoli rozpięła płaszcz i rozchyliła go odsłaniając nagie ciało.

Sparhawk wyraźnie słyszał, jak oddechy dwóch strażników stawały się coraz szybsze i bardziej chrapliwe.

Spoglądając zapraszająco na żołnierzy przez ramię kobieta ruszyła dalej ulicą. Strażnicy popatrzyli na nią, potem na siebie, wreszcie rozejrzeli się wokół, by upewnić się, że nikt ich nie widzi. Oparli piki o kamienne mury i zbiegli po schodach.

Kobieca postać zatrzymała się pod pochodnią, migoczącą na rogu ulicy. Rzuciła im jeszcze jedno spojrzenie, a potem przekroczyła krąg światła, znikając w bocznej uliczce.

Strażnicy popędzili za nią.

Nim jeszcze zniknęli za rogiem, Sparhawk wybiegł z mroku zaułka. W ciągu kilku sekund przebiegł przez ulicę i przeskakując po dwa stopnie wbiegł na górę. Chwytał za ciężką klamkę jednego z wielkich, łukowatych skrzydeł drzwi katedry i pociągnął. Już był w środku. Ze złośliwym uśmiechem zastanawiał się, jak długo gwardziści będą szukać stworzonej przez niego zjawy, która właśnie rozplynęła się w powietrzu.

Wnętrze katedry było mroczne i chłodne, pachniało tu kadzidłem i woskiem. Dwie cienkie, długie świece paliły się po obu stronach ołtarza, drżąc w lekkim podmuchu nocnego wiatru, który wpadł za Sparhawkiem do kościoła. Dwa migoczące płomyki odbijały się słabo od klejnotów i złotych ozdób ołtarza.

Sparhawk z niezwykłym napięciem sunął cicho główną nawą. Mimo późnej pory zawsze trzeba było brać pod uwagę możliwość, że jeden z wielu duchownych, mieszkających na terenie katedry, może jeszcze nie spać, a Sparhawk wołał nie spotkać nikogo i uniknąć zamieszania. Pragnął zachować swoje odwiedziny w tajemnicy.

Przyklękął na chwilę przed ołtarzem, powstał i ruszył z głównej nawy ku ciemnemu korytarzowi prowadzącemu w stronę prezbiterium.

Nagle ujrzał przed sobą słabe światelko. Skradał się cicho, trzymając się blisko ściany. Stanął przed łukowatym portalem osłoniętym zasłoną. Ostrożnie rozchylił palcami gruby, fioletowy aksamit i zajrzał do środka.

W środku sanktuarium, przed małym kamiennym ołtarzem, klęczał prymas odziany nie w atłasową sutannę, ale w szorstki, mnisi habit. Na wychudłej twarzy Anniasa malowała się boleść pokutnika. Dłonie splótł kurczowo, jakby chciał wy-

łamać sobie palce ze stawów. Łzy spływały mu po twarzy, pierś unosiły ciężkie westchnienia.

Sparhawk pobladł, jego ręka sama powędrowała do rękojeści miecza. Gwardziści przy drzwiach katedry to jedna sprawa. Ich śmierć nie miała praktycznie żadnego znaczenia. Natomiast zabicie Anniasa — to zupełnie inna sprawa.

Prymas był sam. Jedno pchnięcie, a ta plugawa zaraza zniknie z Elenii raz na zawsze.

Przez chwilę życie Anniasa wisiało na włosku. Po raz pierwszy w życiu Sparhawk z zimną krwią rozważał zabicie nie uzbrojonego człowieka. Wtem zdało mu się, że słyszy cichy, dziewczęcy głos i widzi przed sobą puszyste, jasne włosy oraz spokojne, szare oczy. Z. zalem opuścił aksamitną zasłonę i ruszył służyć swojej królowej, która — choć pogrążona w głębokim śnie — wyciągnęła do niego swą delikatną dłoń, by ocalić jego duszę.

— Następnym razem, Anniasie — wyszeptał bezgłośnie. Szedł dalej korytarem, mijając prezbiterium, w stronę wejścia do krypty grobowej.

Krypta znajdowała się w podziemiach katedry i prowadziły do niej kamienne stopnie. U szczytu schodów, w zatłuszczonym kaganku migotała jedna łożowa świeca. Ostrożnie, by nie czynić hałasu, Sparhawk złamał ją na pół, zapalił pozostały w kaganku kawałek i zszedł na dół, trzymając świecę nad głową.

Na końcu schodów znajdowały się ciężkie drzwi z brązu. Sparhawk niezmiernie powoli odsunął rygiel. Centymetr po centymetrze otworzył masywne drzwi. Delikatne skrzypienie zawiasów wdarło się w panującą wokół ciszę, ale Sparhawk wiedział, że te odgłosy nie dotrą nawet do podłogi kościoła, a Annias był zbyt zajęty pokutą, by cokolwiek słyszeć.

Znalazł się w obszernych podziemiach. Było tu zimno, pachniało stęchłą. Migoczący płomyk świecy dawał niewiele światła, wokół panowały głębokie ciemności. Z łukowatych podpór podtrzymujących niski strop zwisały gęsto pajęczyny, w kątach czaił się mrok. Sparhawk oparł się plecami o drzwi z brązu i wolno je zamknął. Odgłos, jaki przy tym wydały, zabrzmiał jak głuchy dźwięk trąb sądu ostatecznego.

Mroczna krypta ciągnęła się w nieprzeniknionych ciemnościach daleko pod nawą katedry. Tu leżeli w milczących rzędach dawni władcy Elenii. Każdy z nich spoczywał w marmurowym sarkofagu z umieszczonym na wierzchu ołowianym wizerunkiem. Wilgotne podziemia schroniły dwa tysiące lat eleńskiej historii, powoli pleśniejące i rozsypujące się w proch. Niegodziwiec leżał obok cnotliwego, głupiec obok mędrca. Do tego miejsca przywiodła ich ta, przed którą wszyscy są równi. Kamienne ściany i rogi wielu sarkofagów zdobiły rzeźby, jakie zwykle stawia się na cmentarzach, co jeszcze bardziej podkreślało żałobny nastrój panujący w krypcie.

Sparhawk zadrżał. Nie lękał się, gdy przeciw sobie miał ludzi z krwi i kości, uzbrojonych w błyszczącą, ostrą stal, ale tu była tylko zimna, mroczna cisza. Nie

wiedział, co ma dalej robić, gdyż widmo Tanisa powiedziało mu zbyt niewiele. Stał niepewnie przy drzwiach z brązu i czekał. Zdawał sobie sprawę, że postępuje niedorzecznie, ale ścisnął rękojeść swego miecza, bardziej dla dodania sobie otuchy niż z przekonania, że broń mogłaby się do czegokolwiek przydać w tym budzącym lęk miejscu.

Usłyszał coś. Dźwięk nie był niczym więcej, jak tylko wiewem zatechłego powietrza krypty. Znów dobiegło go westchnienie, tym razem wyraźniejsze. Ktoś wyszeptał:

— Sparhawku!

Rycerz podniósł swoją kapiącą świecę usiłując przebić wzrokiem ciemności.

— Sparhawku! — usłyszał znowu.

— Jestem tu.

— Podejdź bliżej.

Szept zdawał się płynąć od strony nowszych sarkofagów. Sparhawk ruszył w tamtą stronę, a im dalej szedł, tym większej nabierał pewności, iż idzie we właściwym kierunku. Wreszcie zatrzymał się przed sarkofagiem króla Aldreasa, ojca królowej Ehlany. Stał przed podobizną zmarłego władcy, człowieka, któremu przysięgał służyć, ale dla którego niewiele miał szacunku. Ten, kto wyrzeźbił ołowiany wizerunek, starał się dodać rysom Aldreasa majestatu, ale nadal wycierała z nich słabość i niepewność zaznaczona w udręczonym wyrazie twarzy i kształcie podbródka.

— Bądź pozdrowiony, Sparhawku. — Szept dobiegał nie z wyrzeźbionej postaci na marmurowej pokrywie, lecz z samego grobu.

— Bądź pozdrowiony, królu Aldreasie — odparł Sparhawk.

— Czy nadal twe serce pełne jest wrogości i pogardy do mnie, obrońco Korony?

Sparhawk przypomniał sobie dziesięć lat poniżenia, obelgi i potwarze. Oto, co zawdzięczał człowiekowi, którego żaloszny cień przemówił teraz z grobowej pustki marmurowego sarkofagu. Na cóż jednak zdałoby się wbijanie noża w serce kogoś, kto już umarł? W ciszy grobowca Sparhawk przebaczył swojemu królowi.

— Nigdy nie czułem wrogości do ciebie, miłościwy panie — skłamał. — Byłeś moim królem. Nic więcej mnie nie obchodziło.

— To życzliwe słowa, Sparhawku — westchnął głuchy głos. — Twoja dobroć me kruche serce rozdziera daleko bardziej niżli nagana.

— Ubolewam nad tobą, królu Aldreasie.

— Nie nadawałem się do noszenia korony — przyznał grobowy głos z żalem. — Wokół mnie działo się tyle spraw, których nie pojmowałem, źle oceniałem ludzi, których uważałem za przyjaciół.

— Myśmy o tym wiedzieli, królu Aldreasie, ale nie było sposobu, by cię przed nimi ochronić.

— Nie mogłem uwierzyć w to, że otaczają mnie knowania i intrygi. — Duch rozpaczliwie usiłował wyjaśnić i usprawiedliwić czyny, które Aldreas popełnił za życia. — Wychowano mnie w czci dla Kościoła i ufałem prymasowi Cimmury bardziej niż komukolwiek innemu. Skąd mogłem wiedzieć, że zamierzał mnie oszukać?

— Nie mogłeś tego wiedzieć, królu Aldreasie. — Sparhawk nie musiał walczyć z sobą, by to powiedzieć. Aldreas nie był już wrogiem, a jeśli tych parę słów, które kosztowały jedynie tyle, co oddech potrzebny do ich wypowiedzenia, mogło przynieść spokój temu przepełnionemu poczuciem winy duchowi, to należało je wyrzec.

— Nie powinienem jednakże odwracać się od swojego jedyne dziecko. — Głos Aldreasa był pełen bólu. — Tego żałuję najbardziej. Prymas zwrócił mnie przeciwko niej, lecz ja nie powinienem słuchać jego podszeptów.

— Ehlana wiedziała o tym, królu Aldreasie. Wiedziała, że to Annias był jej wrogiem, nie ty.

Nastąpiła dłuższa cisza.

— A co stało się z moją drogą, kochaną siostrą? — Słowa zmarłego króla wydawały się dobiegać zza zaciśniętych w nienawiści zębów.

— Przebywa w klasztorze w Demos, wasza królewska mość — odpowiedział Sparhawk najbardziej obojętnym tonem, na jaki mógł się zdobyć. — Tam też umrze.

— Więc niech tam zostanie pochowana, Obrońco Korony — zażądał Aldreas. — Nie bezczęście mego snu chowając moją morderczynię obok mnie.

— Morderczynię? — zdumiał się Sparhawk.

— Zawadzałem jej. Wszystko obmyślił i przygotował jej pochlebca i kochanek, prymas Annias. W tajemnicy przywieziono ją do mej komnaty. Omotała mnie swą dziką rozwiązłością, była bardziej rozpustna niż kiedykolwiek przedtem. Wyczerpany, wzięłem puchar z jej rąk i wypilem. W napoju była śmierć. Moja siostra urągała mi, stojąc nad moim martwym ciałem wyzywającą naga, a jej twarz wykrzywiała nienawiść i wstręt. Pomścij mnie, Obrońco Korony. Dokonaj zemsty na bezecnej Arissie i jej występny towarzyszu, bo doprowadzili mnie do upadku i wygnali mą prawdziwą spadkobierczynię, moją córkę, którą przez całe jej dzieciństwo krzywdziłem swą obojętnością i pogardą.

— Przysięgam na Boga, że stanie się zadość twojej woli, królu Aldreasie — rzekł Sparhawk.

— A gdy moja córeczka zajmie należne jej miejsce, mój tron, błagam, powiedz jej, że prawdziwie ją kochałem.

— Jeśli tak się stanie, co daj Boże, uczynię to.

— Musi tak się stać, Sparhawk, musi. W przeciwnym razie wszystko to, czym była Elenia, obróci się w nicość. Tylko Ehlana jest prawdziwą spadkobier-

czynią korony Elenii. Rozkazuje, abyś nie dopuścił, by tron zajął ten owoc nieczystego związku mojej siostry i prymasa Cimmury.

— Mój miecz do tego nie dopuści, królu Aldreasie — przysiągł Sparhawk żarliwie. — Nim upłynie tydzień, wszyscy troje legną martwi w kałużach własnej krwi.

— Dokonując zemsty sam również możesz zginąć, Sparhawk. Jak wówczas zdołasz pomóc zając mej córce należne jej miejsce?

Sparhawk doszedł do wniosku, że Aldreas stał się po śmierci znacznie mądrzejszy, niż był za życia.

— Czas zemsty nadejdzie zgodnie ze swoim własnym porządkiem — mówił duch. — Najpierw jednakże polecam ci przywrócić tron Ehlanie. Dlatego wyjawię ci pewne prawdy. Żaden specyfik czy talizman nie obdarzony odpowiednio wielką mocą nie uleczy mego dziecka, albowiem może ją uzdrowić jedynie Bhelliom.

Sparhawk poczuł bolesny skurcz serca.

— Nie trwóż się, Sparhawk, nadeszła bowiem chwila, by Bhelliom wyłonił się z ukrycia i by jego potęga znów wstrząsnęła światem. Ten cudowny klejnot żyje w swoim własnym czasie i ma swoje własne cele. Jego pora właśnie nadeszła, bo ludzkość postępując nierozważnie zabrnęła w takie miejsce, z którego jedynie on potrafi ją wyprowadzić. Nie ma siły, która byłaby w stanie powstrzymać Bhelliom przed pojawieniem się w świetle dnia, całe narody tego oczekują. A tym, który go znajdzie, powinieneś być ty, albowiem jedynie w twoich rękach może się wyzwolić cała jego moc, by odpędzić ogarniające ziemię ciemności. Nie jesteś już obrońcą Korony, Sparhawk, lecz obrońcą całego tego świata. Jeśli ty zginiesz, wszystko zginie.

— A gdzie mam szukać Bhelliomu, królu Aldreasie?

— Tego nie mogę ci wyjawić. Mogę ci jednakże powiedzieć, jak wyzwolić jego moce, gdy już znajdzie się w twoich rękach. Krwistoczerwony pierścień, który zdobi twoją dłoń, i pierścień, który ja nosiłem za życia, są dużo starsze, niż sobie możemy wyobrazić. Ten, kto szlifował Bhelliom, wykuł również te pierścienie i to one są kluczem wyzwalamym potęgę klejnotu.

— Ale twój pierścień przepadł, królu Aldreasie. Prymas Cimmury wielokrotnie przeszukiwał już cały pałac.

W sarkofagu rozległ się upiorny chichot.

— Mam go nadal, Sparhawk — mówił duch. — Kiedy Arissa złożyła na mych ustach śmiertelny pocałunek i odeszła, nie straciłem zupełnie świadomości. W jej ostatnich przebłyskach ukryłem pierścień, by nie wpadł w ręce moich wrogów. Pomimo wszystkich desperackich wysiłków prymasa Cimmury został pochowany ze mną. Zajrzyj w przeszłość, Sparhawk, przypomnij sobie stare legendy. Dawno temu, gdy nasze rodziny zawarły przymierze, którego symbolem są te pierścienie, twój pradziad ofiarował mojemu przodkowi włócznie na znak poddania. Teraz ci ją zwracam.

Z sarkofagu wysunęła się dłoń trzymająca krótką włócznię o szerokim ostrzu. Broń była bardzo stara, a jej symboliczne znaczenie uległo w ciągu wieków zapomnieniu. Sparhawk wyciągnął rękę i wziął włócznię z widmowej dłoni Aldreasa.

— Będę ją nosił z dumą, królu, mój panie — powiedział.

— Duma to próżne uczucie, Sparhawk. Ta włócznia ma dużo większe znaczenie. Zdejmij ostrze z trzonka i przyjrzyj się miejscu ich złączenia.

Sparhawk odstawił świecę, przytrzymał ostrze ręką i obrócił twarde drzewce. Włócznia rozdzieliła się z suchym skrzypnięciem. Wewnątrz ostrza pobłyskiwał krwistoczerwony rubin.

— Mam dla ciebie jeszcze jedno tylko polecenie, Obrońco Korony — mówił dalej duch. — Jeżeli moja córka dołączy do mnie w Domu Zmarłych, zanim ty zakończysz swoje poszukiwania — będziesz musiał zniszczyć Bhelliom, choć na pewno przypłacisz to życiem.

— Ale w jaki sposób mógłbym zniszczyć rzecz, mającą tak wielką moc? — zaprotestował Sparhawk.

— Przechowuj mój pierścień tam, gdzie go ukryłem. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zwrócisz go mojej córce, gdy znowu w chwale zasiądziesz na tronie; lecz jeśli ona umrze, nie przestawaj szukać Bhelliomu, choćby te poszukiwania miały trwać do końca twojego żywota. A gdy stanie się, że go znajdziesz, ujmiesz włócznię dłonią, na której nosisz pierścień, i ze wszystkich sił pchniesz ją w serce Bhelliomu. W ten sposób zniszczysz klejnot, pierścienie i samego siebie. Musisz to uczynić, Sparhawk, bo ciemne moce ogarniają ziemię, a Bhelliom nie może wpaść w ich ręce.

Sparhawk skłonił się.

— Stanie się wedle twojej woli, królu Aldreasie — przysiągł.

Z sarkofagu dobiegło westchnienie.

— A więc dokonało się — wyszeptał duch. — Zrobiłem wszystko, co było w mej mocy, aby ci pomóc. Wypełniłem swoje zadanie, którego nie ukończyłem za życia. Nie zawieź mnie. Bądź pozdrowiony i żegnaj, Sparhawk.

— Bądź pozdrowiony i żegnaj, królu Aldreasie.

Zapanowała cisza. W krypcie nadal było zimno i mroczno. Migotliwy płomyk świecy wydobywał z ciemności rzędy królewskich sarkofagów. Sparhawk złożył z powrotem włócznię, potem położył rękę na sercu ołowianego wizerunku.

— Śpij dobrze, królu Aldreasie — powiedział cicho. Ze starożytną włócznią w dłoni odwrócił się i cicho opuścił grobowiec.

Na tym kończy się pierwsza księga dziejów Elenium, „Diamentowy tron”. Księga druga, „Rubinowy rycerz”, zawiera opis przedziwnych przygód, jakie w odległych krainach przeżyli poszukiwacze dawno zaginionego Bhelliomu.